

GRAŻYNA POMIAN

507/85

POLSKA
„SOLIDARNOŚCI”

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

POLSKA "SOLIDARNOŚCI"

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 366

2-7168-0019-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

GRAŻYNA POMIAN

POLSKA
“ SOLIDARNOŚCI ”

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

Artykuły z prasy krajowej wchodzące w skład tej książki przedrukowujemy
bez wiedzy i zgody autorów.

© COPYRIGHT INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1982.

PRZEDMOWA

PRASA KŁAMIE! Hasło studentów z marca 1968 roku, choć zachowało aktualność i wiarygodność w ciągu wszystkich późniejszych lat, upraszczało i deformowało — jak każde hasło — obraz prasy polskiej przed powstaniem Solidarności. Uzależnienie od Wydziału Prasy KC PZPR i jego bezpośrednich wykonawców, cenzorów, nie przesądzało bowiem raz na zawsze granic jej swobody i reguł postępowania wobec dziennikarzy.

Stopień skrępowania prasy zależał przede wszystkim od fluktuacji politycznych. Zabiegi o uzyskanie poparcia społecznego podobnie jak zaostrzenie się walki między poszczególnymi frakcjami aparatu przyczyniały się do zwiększania swobód dziennikarzy. Liberalne umizgi ekipy gierkowskiej z początku jej panowania stworzyły szansę — nikłą co prawda — podejmowania tematów obłożonych uprzednio ścisłym interdyktem. Pogarszanie się sytuacji gospodarczej i degradacja atmosfery społecznej nieuchronnie prowadziły do zwiększenia rygorów cenzury. Tak było pod koniec panowania Gomułki i tak było w drugim pięcioletniu Gierka. Innym czynnikiem określającym zakres swobód dziennikarzy było ich miejsce zatrudnienia. Niepisane prawo głosiło, że im bardziej wykształcony czytelnik, tym więcej może otrzymać informacji pozbawionej natrętnej propagandy. Dzięki temu większą swobodą niż gazety cieszyły się tygodniki, te zwłaszcza, które przeznaczano dla elity intelektualnej. Ukazywały się w nich artykuły i nazwiska gdzie indziej skazane na banicję, a reżym tworząc zasłonę dymną dla faktycznych poczynań cenzury zyskiwał na prestiżu w oczach nieorientowanych widzów.

Zakres poruszanych tematów i możliwość przedstawienia ich

mniej więcej zgodnie z prawdą były niezmiennie podporządkowane wytycznym bieżącej polityki. W miarę oddalania się od niej słabła kontrola nad słowem pisanym. Nic dziwnego, że najżywsze i uajbardziej czytane były ostatnie strony dzienników. Ale i w sprawach najbłaższych, całkowicie na pozór oddalonych od wielkiej polityki — np. brak zielonej pietruszki na rynku — czujne oko cenzora mogło się zawsze dopatrzeć i niekiedy dopatrywało się istotnie działalności antyrządowej. Tajne instrukcje cenzury, nielegalnie wywiezione z Polski i opublikowane na emigracji i w kraju przez NOW-ą, a także wywiad z byłym cenzorem zamieszczony w *Tygodniku Solidarność* pokazują, że dla nadzorców prasy najdrobniejszy drobiazg mógł nagle nabrać wielkiego znaczenia.

Skrepowanie prasy przez cenzurę nie oznacza jeszcze takiego stopnia zniewolenia dziennikarzy, by każdy ich artykuł był kłamstwem lub w najlepszym przypadku pół-prawdą rozmiijającą się z odczuciem społeczeństwa. Podobnie uzależnienie od jedyne go pracodawcy — Biura Prasy — nie musiało nieuchronnie prowadzić do utraty własnej godności. Postawy i zachowania dziennikarzy za panowania Gierka czy Gomułki były oczywiście bardzo różne. Jedni całkowicie podporządkowali się kolejnym wytycznym kolejnych sekretarzy i kierowników wydziałów a nawet kaprysom czwartorzędnych instruktorków z Komitetów Wojewódzkich; inni, niegdyś utalentowani publicyści i reporterzy, zmienili zajęcie lub podejmowali marginalne tematy niewiele mające wspólnego ze współczesnością i funkcjonowaniem reżymu. Ich eskapizm był niekiedy równie denerwujący co penegiryczne zachwyty nad budową drugiej Polski. Pozostali, a była ich większość, dziennikarze różnych pokoleń, tradycji i przekonań dostosowywali się do warunków i próbowali paktować z diabłem. Do mistrzostwa rozwinęli sztukę aluzji i niedomówienia. Z prawdziwie detektywistycznym zapałem szukali w cenzorskich zapisach szczelin, przez które by mogli przemycić tematy, opinie czy nazwiska godne ich zdaniem przypomnienia. Uda wało się to z różnym powodzeniem. Niekiedy czytelnik przeżywał olśnienie i wzruszenie, że udało mu się przeczytać tekst, w którym odnajdował prawdziwy obraz rzeczywistości. Przeważnie jednak artykuły, mimo włożonego wysiłku pozostawały bezbarwne a aluzje — niezrozumiałe.

Gatunkiem, który pozwalał na stosunkowo największą swobodę tracąc względnie najmniej na wiarygodności był reportaż. Cenzura i jej decydenci jakby nie dostrzegali jego niebezpieczeństw. Obawa przed każdym artykułem uogólniającym oraz

przed publicystyką wkraczającą w niebezpieczne regiony powodowały, że opowieść o wyizolowanym zdarzeniu lub historia pojedynczego człowieka były łatwiejsze do zaakceptowania. Oczywiście i reportaż miał swe kredowe koło, którego autor nie mógł przekroczyć pod groźbą konfiskaty redaktorskiej lub cenzorskiej. W reportażu aparat partyjny nigdy nie ponosił odpowiedzialności za cokolwiek negatywnego; nawet poszczególnego sekretarza krytykowano bardzo rzadko, przeważnie po tym, jak został zdjęty. Opisywany świat był światem bezbezpieki i szpicli, bez opozycji i zorganizowanego sprzeciwu; konflikty były zawsze lokalne i zazwyczaj wyłączone z systemu społecznego. Przy tych wszystkich ograniczeniach reportaże tętniły życiem i większość czytelników odnajdywała w nich własne problemy i troski. Stały się instrumentem poznania społeczeństwa i — przynajmniej do pewnego stopnia — portretem nieprawości rządzących. Przedstawianie wyizolowanego faktu w sposób, który pozwalał czytelnikowi mieć poczucie jego powszechności stało się sztuką, opanowaną przez większość reporterów po mistrzowsku. Wystarczy wspomnieć Hannę Krall, a przecież była jedną z wielu, którzy wbrew wszelkim przeciwnościom umieli wykorzystać każdą szparę w murze cenzury. Troska o formę, dzięki której można było przemycić pożądaną treść wprowadziła reportaż w rejony dobrej i poczytnej literatury. Reportaże cieszyły się uznaniem publiczności a ich najwybitniejsi autorzy mieli rangę cenionych pisarzy.

Przez długi okres reportaże cieszyły się również względnym uznaniem i poparciem decydentów politycznych. W kręgach oficjalnej krytyki mówiło się wiele i chętnie o reportażu jako literaturze faktu; próbowano go nawet podporządkować regułom realizmu socjalistycznego. Reportaże ceniono ale reporterom zarzucano, że w zbyt nikłym stopniu „odzwierciedlają zdobycze socjalistycznego budownictwa” i że mają skłonność do postrzegania wyłącznie ciemnych stron rzeczywistości. Oficjalne pochwały i honory nigdy nie szły w parze z rozluźnieniem rygorów cenzury. Dziennikarzy kontrolowano bez względu na ich rozgłos. Niekiedy kontrola była tym ostrzejsza im głośniejsze było nazwisko. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych w prasie królowała propaganda sukcesu i coraz trudniej można było pisać o ludziach pokrzywdzonych, biednych i wyzyskiwanych, nie mówiąc już o tematach bezwzględnie zakazanych jak strajki, ścieżki zdrowia i działalność opozycji. Trudności w znalezieniu tematu, który by był do przyjęcia i dla cenzury i dla publiczności były wielorakie. Po 1976 roku cenzura zaostrza przepisy, podczas gdy wymagania czytelników rosną. Pojawienie się na rynku nieza-

leżnych wydawnictw zmieniło stosunek do prasy oficjalnej. Przystały już wystarczać pół-prawdy, aluzje i przymrużenia oka. Jako nudne i denerwujące zaczęły jawić się problemy wałkowane od lat bez żadnego skutku. Coraz więcej osób coraz częściej czyta „lewiznę” — jak niezależną prasę nazywał tramwaj warszawski — lekceważąc partyjne dzienniki. Pozostawały tygodniki; jeszcze czytane, coraz trudniej akceptowane.

Jakkolwiek krytycznie oceniałoby się prasę niezależną, miała ona jedną zaletę, przesłaniającą wszelkie niedociągnięcia — właśnie niezależność. Ujawnienie się możliwości przedstawienia różnorodnych punktów widzenia i dyskusowania o sprawach dla Polaków najważniejszych: niepodległości, nieprawościach systemu, wyzysku i upadaniu człowieka przez władzę — pozabawiło prasę oficjalną jej uprzywilejowanej pozycji, a co ważniejsze — stępiło jej ostrze propagandowe. Wśród licznych tytułów prasy niezależnej jeden zasługuje na szczególne uznanie: *Robotnik*, wydawany pod kierownictwem Jana Lityńskiego. Niepozorna gazetka składająca się z 4, co najwyżej 6 stron, w nakładzie dochodzącym niekiedy do 40 tys. egzemplarzy zdobyła sobie licznych i wiernych czytelników wśród robotników. Po sierpniu 1980 wychodzi nadal lecz odgrywa inną rolę ze względu na pojawienie się biuletynów związkowych. Na łamach prasy niezależnej poza informacją królowała publicystyka i eseje. Reportaż był prawie nieobecny. Tylko Jan Walc, chlubny wyjątek, próbował kontynuować tradycję w warunkach pozacenzuralnych. Unikanie czy niedocenywanie reportażu przez prasę niezależną zostawiło bolesną lukę. Z wyjątkiem reportaży z wizyty Jana Pawła II nie mamy żywego i autentycznego opisu wydarzeń bezpośrednio poprzedzających sierpień. Można je znaleźć w prasie zagranicznej, czasem przypadkowo w jakimś biuletynie, nigdy w prasie oficjalnej.

Rozdźwięk między „frontem a tyłami” (aluzja do dyskusji prowadzonej na łamach *Polityki* jesienią 1980) był w końcu lat siedemdziesiątych tak wielki, jak gdyby równocześnie żyło się w dwóch różnych krajach. W lipcu 1980 roku wybuchły pierwsze strajki, jak zwykle przemilczane przez prasę. W kraju narastało wrzenie, w prasie — cisza. W końcu lipca przerwał ją komunikat o „przymusowych przerwach w pracy”, potem przyszły doniesienia o strajkach. Wreszcie po latach wyklęcia na pierwsze strony gazet powróciło słowo „strajk”. Ten powrót miał wymowę symboliczną. Na scenę polityczną wkroczyli robotnicy i język oficjalny ugiął się przed ich słownictwem.

W tym czasie strajkowały już zakłady Gdańska, Gdyni, Szcze-

cina i setek innych miast i miasteczek. W żadnym większym ośrodku nie zabrakło dziennikarzy. Przyjeżdżali z delegacjami służbowymi lub z własnej inicjatywy, często przerywając rozpo- częte urlopy. Pozostawali wśród robotników z różnych powo- dów: z sumienności zawodowej, z ciekawości, w pogoni za przy- godą i sensacją, a także z obowiązku moralnego. Jedni, uderzeni przebiegiem strajków i postawą robotników, całkowicie zidenty- fikowali się z celami ich walki i pozostali im wierni do końca, u innych sceptycyzm walczył z entuzjazmem, nie mówiąc o tych, którzy z niechęcią czy ledwie ukrywaną wrogością odnosili się do robotników i ich żądań.

Obecność dziennikarzy wśród strajkujących robotników nie miała żadnego natychmiastowego wpływu na informację. Pod- czas gdy wydarzenia w Polsce nie schodziły z pierwszych stron gazet zachodnich a tygodniki były wypełnione reportażami z miej- scowości, którymi nigdy przedtem nie interesowała się prasa światowa, czytelnik polski miał prawo do krótkich komunikatów wypranych z wszelkich emocji, przygotowanych przez serwis PAP i starannie kontrolowanych przez cenzurę. Przysyłane przez dziennikarzy materiały chowano do redakcyjnych szuflad. Poli- tykę redakcyjną dyktowała nie tylko obawa przed cenzurą. W tym samym czasie mnożyły się bowiem doniesienia i artykuły o nie- zadowoleniu społeczeństwa z powodu przedłużających się straj- ków i jego oburzeniu na garstkę nieodpowiedzialnych ekstremis- tów. Ktoś pisał te artykuły i ktoś akceptował je do druku. I wszędzie było ich pełno — w telewizji, w radio i w gazetach. Nie należy o nich i o ich autorach zapominać, gdy śledzi się póź- niejszy bieg wydarzeń.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom podpisanie umów szcze- cińsko-gdańskich nie zapoczątkowało radykalnej zmiany w sposo- bie redagowania gazet. Niby wszyscy byli za umowami ale każda ze stron podpisujących inaczej widziała ich realizację. Pierwsze reportaż o strajkach na Wybrzeżu ukazują się w tygodnikach dopiero w połowie września. Niektóre — jeszcze później. Do- niesienia o strajkach wrześniowych przebiegających na prowincji z trudem przecierały sobie drogę na łamy prasy, choć formalnie nic już nie stało na przeszkodzie drukowaniu nadsyłanych ma- teriałów. Ze względu na politykę redakcyjną, a przede wszyst- kim na ingerencje cenzury reportaż drukowano często z wielo- miesięcznym opóźnieniem. Np. reportaż Jarosława Szczepańskie- go o strajku jastrzębskim i podpisaniu umowy z górnikami mógł się ukazać dopiero w rok później i to dzięki *Tygodnikowi Soli- darność*. W dziennikach, mimo wszelkich korzystnych zmian np.

w *Głosie Wybrzeża* i *Gazecie Krakowskiej*, że wymienię tylko te dwie i to partyjne gazety, na ogół nadal nie było bieżącej i wyczerpującej informacji o inicjatywach i akcjach Solidarności ani o życiu wewnątrzwiązkowym. A jeśli taka informacja była to przeważnie ujęta w krótkie informacje PAP odnoszące się do spraw i problemów ogólnokrajowych, bądź będących przedmiotem rozmów z rządem. Np. *Życie Warszawy*, choć dziennik stołeczny, nie zamieściło porządnego sprawozdania z wyborów do regionu Mazowsza ani informacji o pracach jego zarządu. Jeśli tak było w *Życiu Warszawy* — gazecie na ogół życzliwej Solidarności — to łatwo sobie wyobrazić, co się działo w dziennikach, których redaktorzy naczelni podzielali poglądy *Żołnierza Wolności*. Innym przykładem świadczącym o polityce informacyjnej partii i rządu z jednej strony, zaś uzależnieniu redaktorów od Biura Prasy KC PZPR — z drugiej, jest stosunek do niezależnego ruchu chłopskiego. Do marca 1981 roku, poza prasą związkową, w gazetach centralnych i tygodnikach społeczno-literackich nie ma artykułów i reportaży poświęconych strajkom chłopskim i spontanicznie powstającym związkom. Pierwsze, większe doniesienia ukazują się dopiero po wydarzeniach w Bydgoszczy a więc po formalnej zgodzie rządu na utworzenie Solidarności Wiejskiej. Dla redaktorów pism codziennych, z wyjątkiem katolickich, mianowanych przez Wydział Prasy KC PZPR i odeń zależnych, polityka informacyjna miała być po sierpniu, jak poprzednio, wykładnią stanowiska partii. Ilość i jakość informacji o Solidarności były więc bezpośrednio zależne od stosunku partii do związku. Nieco inna sytuacja panowała w tygodnikach, które zawsze cieszyły się większym zakresem swobody niż dzienniki i których redakcje umiały po sierpniu z niej skorzystać. W tygodnikach pojawiło się również wielu dziennikarzy-aktywistów Solidarności lub SDP, którzy aktywnie włączyli się w proces demokratyzacji kraju. Ich postawa nie pozostawała bez wpływu na orientację pism, w których byli zatrudnieni. Wśród tygodników szczególną rolę pełnił *Tygodnik Powszechny*, od lat kierowany przez Jerzego Turowicza. Najpoczytniejszy tygodnik katolicki, zawsze niepokorny, od września 1980 przeżywał kolejną młodość. Jego artykuły publicystyczne i reportaże poświęcone Solidarności — jedno z lepszych w kraju — wniosły ważki wkład w ogólnonarodową dyskusję.

Fluktuacje polityczne, regionalne czy taktyczne zaznaczające się w polityce informacyjnej rządu i partii nie znaczyły, iż prasa jako całość uległa demokratycznym przeobrażeniom. Dla oddanych partii dziennikarzy, podobnie jak dla aparatu partyjnego,

Solidarność, choć formalnie uznana, była obcym ciałem w systemie „realnego socjalizmu”. Centralne instancje partyjne składały się z ludzi, którzy z uwagi na całe ich nastawienie, nie byli zdolni a przede wszystkim nie chcieli zaakceptować Solidarności i uznać słuszności jej żądań. Masowy ruch odnowy w dołach partyjnych i szczere przekonanie szeregowych członków o potrzebie wprowadzenia zasadniczych zmian w kraju, poświadczane m.in. ich udziałem w Solidarności, nadawały szczególną ostrość problemowi aparatu partyjnego. Od sierpnia 1980 rozgoryczony poniesioną klęską, nieustannie oskarżany o nieudolność i złodziejstwo, politycznie zdezorientowany umowami między robotnikami a rządem, aparat zajął pozycje obronne i śnił o odwecie. Jego taktyka niekiedy ustepliwa, niekiedy agresywnie zaczepna odznaczała się z reguły dwulicowością. Na różnych zebraniach sekretarze nie przestawali gadać o porozumieniu narodowym, o odnowie moralno-politycznej i potrzebie współpracy z Solidarnością, natomiast w zaciszach własnych gabinetów podejmowali decyzje zmierzające jeśli nie do zniweczenia to przynajmniej do zmiany zawartych umów i zwolnienia tempa ich realizacji. Aparat partyjny mógł się odnawiać, nawet w sposób relatywnie demokratyczny, mógł mówić innym, bardziej współczesnym językiem lecz w istocie pozostawał taki sam i ciągle bronił interesów jedynowładczej i scentralizowanej partii. Wystarczy przypomnieć, że tuż po 13 grudnia odeszło tylko czterech pierwszych sekretarzy Komitetów Wojewódzkich — poza jednym trudno by było o nich powiedzieć, że byli zaangażowanymi obrońcami Solidarności. Aparat partyjny i w ogóle aparat władzy z uporem bronił swych przywilejów i uprawnień. Prawie żadne istotne ustępstwo wobec Solidarności nie zostało uzyskane bez żmudnej walki. Wielogodzinne rozmowy, niekiedy groźba strajku, przeważnie sam strajk zmuszały sekretarzy z różnych zresztą szczebli władzy — do podpisania kolejnej umowy. Wystarczy przypomnieć wydarzenia w regionie bielsko-bialskim, gdzie walka o ustąpienie skompromitowanej i skorumpowanej ekipy trwała prawie dwa tygodnie. W kraju, w którym każdy wyprodukowany przedmiot był niezbędny do życia przez dwa tygodnie strajkowano i czekano, by wreszcie najwyższe władze zdecydowały się na zdezwuowanie swoich podwładnych, którzy nie bacząc na ogólnonarodowy interes gorliwie bronili się przed dymisją.

Dla przeważającej liczby Polaków — w istocie niewiele interesujących się i niewiele wiedzących o mechanizmach wewnętrznego funkcjonowania partii i jej kierownictwa — zamierzenia i cele polityczne aparatu partyjnego były mgliste, pozbawione

spoistości i na pewno wyprane z machiawelicznych pomysłów. Sam aparat był traktowany jak zdziesiątkowane dowództwo, nagle pozbawione wojska i społecznego zaplecza, a tym samym słabe i łatwe do pokonania. Przekonanie o słabości aparatu partyjnego było budowane w oparciu o wiele różnych zjawisk. W ciągu 16 miesięcy istnienia Solidarności aparat partyjny przestał być nieprzezroczystą bryłą, o której nikt nic nie wiedział. Ujawnienie wielu partyjnych tajemnic, głośne dyskusje demaskujące aktualną i poprzednią pozycję polityczną, publiczne pranie wewnątrzpartyjnych brudów, wybory do wyższych instancji ludzi mało znanych ogółowi (co nie znaczy, że obcych aparatowi), a także jakiś odsetek aktywistów i funkcjonariuszy uczciwie zaangażowanych w ruch odnowy, wszystko to sprawiało wrażenie, że dekompozycja aparatu jest większa niż była w rzeczywistości. Aparat partyjny tracąc na tajemniczości stracił dla przeciętnego widza również na grozie. I nieliczni tylko zdawali sobie sprawę, że za tą grą pozorów i cieni kryją się własne i obce siły nie rezygnujące z walki.

Aktywiści związkowi i szeregowi członkowie PZPR będący jednocześnie członkami Solidarności zapatrzeni w *Gazetę Krakowską*, w poczynania Komitetu Wojewódzkiego w Gdańsku czy w sieć struktur poziomych najpierw łudzili siebie i opinię publiczną, że partia ulega ewolucji, a następnie wierzyli, że jej struktury organizacyjne są tak rozbite, iż aparat nie stanowi żadnej groźby. Zbyt łatwo zapomniano, że partia to także Żabińscy i Kociołkowie oraz pracownicy Komitetu Centralnego i Głównego Zarządu Politycznego WP, którzy ciągle byli na miejscu i nie przestawali dysponować środkami przemocy a w razie czego i pomocą z zewnątrz. Że wszyscy oni, choć stanowiący nikły odsetek narodu, nie zamierzali dzielić się z nikim władzą i nigdy nie pogodzili się z utratą dominującej pozycji w każdej dziedzinie życia społecznego a zwłaszcza z powstaniem Solidarności i niemal równie dla nich straszną utratą monopolu informacyjno-propagandowego. A w tej dziedzinie klęski aparatu partyjno-rządowego były ogromne mimo stałych wysiłków zmierzających do przywrócenia poprzedniego stanu rzeczy.

Narodziny Solidarności były początkiem odrodzenia pluralizmu kulturalnego i politycznego w Polsce. Wprawdzie po 1956 roku monopol partii nigdy nie był zupełny, naprzód ze względu na istnienie wydawnictw działających pod auspicjami Kościoła a po 1976 roku z uwagi na istnienie prasy niezależnej, niemniej dopiero zwycięskie zakończenie strajków latem 1980 zapoczątkowało nową erę. Setki nowych tytułów zalały rynek czytelnika

czy. Podczas zjazdu Solidarności było ich już około 400. Z początku, choć nielegalne z punktu widzenia obowiązującego prawa, wydawnictwa te były w miarę bezpieczne dzięki parasolowi Związku, nawet wówczas gdy nie były z nim organizacyjnie związane. Po wyjściu nowej ustawy o cenzurze biuletyny i gazety związkowe uzyskały status prawny lecz miały być przeznaczone wyłącznie do użytku wewnętrznego. W organizacji liczącej blisko 10 milionów trudno odgraniczyć normalne rozpowszechnianie od obiegu wewnętrznego. Na tym tle rodziły się liczne konflikty między decydentami politycznymi a władzami Solidarności. Wydawnictwa ciągle związku nie wyczerpują zresztą całej listy niezależnych publikacji. Książki, plakaty, periodyki, ulotki a nawet gazetki ścienne, wszystko to przyczyniało się do zniszczenia partyjno-rządowego monopolu informacji i propagandy.

Niezależna prasa, wydawana różnymi sposobami często przy użyciu prymitywnych technik, o niejednostajnym zasięgu, od tysięcy do kilkunastu czytelników, reprezentuje zróżnicowany poziom — od estetyzujących smaczków po prościutkie, niekiedy koślawą polszczyzną pisane artykuły — ale charakteryzuje się jedną cechą, której od lat brakowało oficjalnym gazetom — autentyzmem. Każdy piszący mówił własnym językiem i bronił poglądów do których był przekonany. Ich wspólnym mianownikiem było odkłamanie najnowszej historii Polski. Na tym tle dochodziło do ostrych starć ideologicznych i politycznych odnoszących się zwłaszcza do przyszłości. Mało liczono się z wydawcą, wcale — z ciągle obowiązującą cenzurą. Po latach knebla możliwość mówienia wydawała się tak wielką zdobyczą, że niekiedy zacierała się granica między dozwolonym a niedozwolonym w naszych warunkach geograficzno-ustrojowych, między wolnością słowa a nieodpowiedzialnością polityczną. Nic więc dziwnego, że w Związku powstawały konflikty między instancjami a ich własną prasą. Instancje związkowe chciały mieć gazety wyrażające opinie Związku i wykazujące publiczną aprobatę dla podejmowanych decyzji; redaktorzy biuletynów z uporem bronili swojej niezależności wobec wszystkich, także wobec Związku, dzięki któremu istnieli.

Na mapie prasy związkowej i niezależnej wyróżnione miejsce zajmuje *Tygodnik Solidarność*. Aparat partyjno-rządowy obawiał się jego powstania, gdyż obawiał się silnego konkurenta, o którym z góry wiedziano, że będzie miał nieporównanie większe wpływy niż jakikolwiek biuletyn związkowy, a tym samym lepsze i skuteczniejsze metody rozpowszechniania idei Solidarności i reprezentowania interesów Związku. Spory o tygodnik, jego

kształt, skład redakcji i nakład trwały miesiącami. Trwały zresztą nie tylko między Związkiem a Rządem. W łonie samego Związku poszczególne grupy również usiłowały narzucić swój skład redakcji i swoją linię polityczną, często wbrew interesom Związku jako całości. Po wydarzeniach bydgoskich, kiedy rząd był najsłabszy a opinia publiczna prawie jednomyślnie skupiona wokół Solidarności, *Tygodnik* wreszcie się ukazał. Redaktorem naczelnym został Tadeusz Mazowiecki, wieloletni redaktor *Więzi*, jeden z współorganizatorów Towarzystwa Kursów Naukowych, a od czasu strajku gdańskiego — doradca Lecha Wałęsy. Redakcja skupiła przede wszystkim młodsze pokolenie dziennikarzy, wielu dawnych współpracowników pism niezależnych i katolickich (*Tygodnik Powszechny* i *Więź*) obok młodych debiutantów. Zespół wydał 37 numerów. Ostatni ukazał się w piątek 11 grudnia 1982 roku z artykułem wstępnym zatytułowanym: Kto uniemożliwia porozumienie? Dwa dni później wszyscy otrzymali jednoznaczną odpowiedź.

Od początku linię *Tygodnika* określały trzy generalne założenia: stała demokratyzacja życia publicznego i walka z nietolerancją we wszelkich jej przejawach, utrzymanie jedności Związku, prowadzenie dialogu z rządem i osiąganie założonych celów za pomocą kompromisu, w duchu porozumień gdańskich. Wierne swym założeniom pismo nie wdawało się w wewnętrzne polemiki, starało się nie zauważać związkowych rozdarć, broniło wybranych władz na czele z Wałęsą i samego Związku przed nasilającymi się atakami reżymu. Dwa gatunki są tu szczególnie reprezentatywne: artykuły i eseje historyczne, przypominające zapomnianą spuściznę ideowo-polityczną i przemilczaną działalność opozycji demokratycznej, oraz reportaże o aktualnej Polsce. Pismo miało licznych przeciwników i krytyków nawet we własnych solidarnościowych szeregach ale było czytane i zacytywane przez rzeszę bezimiennych członków Związku, którzy pieczołowicie przechowywali z trudem uzyskane numery. Dziś stało się ono podręcznikiem najnowszej historii Polski i wizytówką demokratycznej prasy.

Tygodnik Solidarność, podobnie jak inne pisma związkowe, np. *Jedność* szczecińska, był bezpardonowo zwalczany przez partyjnych propagandystów. Ale jednocześnie byli oni bezradni wobec tych pism i tych dziennikarzy, których staż pracy nie przekraczał czasem kilku tygodni.

Wszelkie instancje partyjne z Biurem Politycznym włącznie tak często zmieniały decyzje, że nie bardzo wiedziano czego

właściwie bronić i kogo atakować. Większość publicystów partyjnych z taką maestrią opanowała „drętą mowę”, że mimo wysiłków nie była zdolna do przekonującej polemiki z ludźmi piszącymi normalną polszczyzną. Z jednej strony nawałnica informacji i ostrych bezpardonowych dyskusji, z drugiej — te same od lat argumenty o konieczności obrony państwa socjalistycznego, mądrości jakiejś, bliżej niezidentyfikowanej klasy robotniczej i wszechczasowej słuszności polityki partii na czele z partią sowiecką. Propagandyści nie mieli żadnej szansy na zdobycie i przekonanie czytelnika, któremu zamiast ożywczej kąpieli w strumieniu górskim proponowali sadzawkę gęsto porośłą rzęsą.

Prasy związkowej nienawidzono, bo z reguły z nią przegrywano. Cóż znaczyły wyprodukowane z mozołem wstępniaki w *Trybunie Ludu* czy powtarzane w telewizji przemówienia przywódców, gdy tego samego czy następnego dnia, bez żadnych instrukcji, biuletyny związkowe podawały własną wersję wydarzeń, a afisze oblepiające miasta zadawały kłam partyjnym agitatorom. Nie pomagały szkolenia i odprawy, propagandy oficjalnej nie był w stanie uratować żaden dziennikarz. Z pomocą, jak zawsze, przychodził mu urzędowy paragraf, czasem i milicyjna pałka.

Miesiącami wlokły się pertraktacje w sprawie nowej ustawy o cenzurze i miesiącami odwlekano zgodę na oficjalny tygodnik związkowy. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk nie próżnował — wystarczy policzyć ingerencje cenzorskie w niniejszym zbiorze, zaznaczone kwadratowymi nawiasami — choć nie ulega wątpliwości, że nowa ustawa znacznie ograniczała jego działalność. Po zjeździe PZPR, gdy jego kierownictwo pozbyło się najbardziej skompromitowanych członków i zyskało okazję do policzenia swoich przeciwników i zwolenników rozpoczęto właściwą kontrofensywę przeciw Solidarności. Pierwszym aktem jest ochrona resztek monopolu informacyjnego oraz próba pozyskania — choćby częściowego — opinii publicznej. Zarządzenia, których inicjatorem był sekretarz KC — Stefan Olszowski — najbardziej dotknęły telewizję i radio, choć ich skutki były również widoczne w prasie. Nie dochodzi do porozumienia w sprawie transmisji ze Zjazdu Solidarności, a w gazetach coraz częściej pobrzmiwają wrogie tony. Przykładem *Życie Literackie*: przez miesiące redakcja ignorowała Solidarność, aż nagle z przekąsem i żółcią zaczęła komentować jej zjazd. Od jesieni mnożą się oskarżenia prokuratorskie wobec redaktorów biuletynów — np. słynna w całym kraju sprawa *Wolnego Związkowca* — pisma Huty Katowice — zagęszczały się akcje milicyjne wobec redaktorów i kolporterów. W początku grud-

nia Agencja Solidarności w numerze 59 swego biuletynu podała, że rzecznik rządu, pan Urban, wyprosił z Urzędu Rady Ministrów dziennikarza Polskiego Radia tylko dlatego, że nosił znaczek Solidarności w klapie. I nie był to wypadek odosobniony. Polityka rządowo-partyjna wywoływała wściekłość i rozgoryczenie redaktorów i czytelników, przynosiła wiele szkód materialnych ale nie była w stanie zahamować rozwoju prasy niezależnej ani zmniejszyć jej społecznego prestiżu. Dopiero wojna rozpoczęta w nocy z 12 na 13 grudnia zmieniła sytuację.

Setki pracowników prasy niezależnej, redaktorów i drukarzy znalazły się w obozach tylko dlatego, że ośmieliły się głosić i bronić własnych przekonań. Internowano prawie całą redakcję *Tygodnika Solidarność* i prawie wszystkich redaktorów naczelnych Biuletynów Związkowych. Wraz ze stanem wojennym powróciła sytuacja, jakże wygodna dla dziennikarzy partyjnych: przeciwnicy za kratkami albo skazani na przymusowe milczenie nie mogą odpowiedzieć na ich ataki i oszczercze insynuacje. Argumenty sypią się jak z rogu obfitości, a ich autorzy upajają się własną siłą. Ale sukces propagandy stanu wojennego okazał się pozorny. Nie widać rosnących szeregów zwolenników junty, natomiast zwiększa się liczba tytułów prasy podziemnej i liczba jej czytelników.

Dzienniki i tygodniki powoli przywracane przez wojskowych łaskawców są martwe, jak nigdy przedtem. Nic nie jest w stanie ich ożywić, ani skrzętnie filtrowana informacja, ani pozorne dyskusje. Poznikały z gazet, a zwłaszcza z tygodników nazwiska znanych redaktorów i reporterów, zamilkli cieni przez czytelników współpracownicy, choć niestety gdzieś pojawia się szanowane ongiś nazwisko. Ta sama niewielka grupa publicystów do znudzenia powtarza tę samą, dobrze wyuczoną lekcję. Prasa polska z powrotem przypomina teatrzyk cieni. Gdzieś tam ludzie z trudem organizują sobie codzienne życie, wymęczone kobiety odwiedzają uwięzionych mężczyzn, gdzieś tam aktywiści Solidarności z uporem walczą o sprawiedliwość, demokrację i obronę godności nas wszystkich, a w telewizji i gazetach ciągle o tym samym; że trzeba przywrócić godność sejmowi, że partia ma słuszość a generał kocha dzieci i kraj. Tylko na ostatniej stronie, od czasu do czasu można przeczytać, że w sobotę znowu zabrakło chleba i matki nie mogą kupić dla niemowlaków mleka. Coraz więcej tytułów, coraz więcej kłamstw i nachalnej propagandy.

Reżym wojskowy odnosząc zwycięstwo nad prasą związkową zadał jednocześnie dotkliwy cios prasie oficjalnej. Dbając o czys-

tość ideologiczną dziennikarzy, a przede wszystkim o ich posłuszeństwo, junta pozbawiła się większości utalentowanych autorów. Miarą klęski prasy oficjalnej są dziesiątki internowanych i setki zwalnianych z prasy dziennikarzy, którzy nie dawali żadnej gwarancji lojalności wobec junty, a także wszyscy ci, którzy mimo namów i obietnic zarobkowych dobrowolnie zrezygnowali z uprawiania zawodu w okresie wojny. Wśród prześladowanych znajdują się autorzy reportaży prezentowanych w niniejszym zbiorze, że przykładowo wymienię: Krzysztofa Czabańskiego, reportera *Kultury*, internowanego, Ewę Berberysz stałą współpracowniczkę *Tygodnika Powszechnego* skazaną wraz z *Tygodnikiem* na milczenie — na jak długo?, Jacka Maziarskiego, publicystę *Polityki* — rozślawionego w kraju i za granicą zamieszczonym w *Życiu Warszawy* drobnym ogłoszeniem: „szukam uczciwej pracy, oczekuję propozycji”*

Rozwiązanie przez juntę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich jest ostatecznym potwierdzeniem przez reżym wkładu politycznego i organizacyjnego wniesionego przez dziennikarzy w demokratyzację kraju. Prezes Stowarzyszenia, Stefan Bratkowski, redaktor naczelny *Życia i Nowoczesności* — dodatku do *Życia Warszawy*, dziś ukrywający się, stał się jednym z jej głównych rzeczników w środowisku dziennikarskim. Najpierw jako współorganizator Klubu Doświadczenie i Przyszłość, potem jako prezes Stowarzyszenia. Dziennikarska kariera S. Bratkowskiego mogłaby służyć jako ilustracja stosunków między inteligencją należącą do partii a jej aparatem. S. Bratkowski zaczyna jako orędownik socjalizmu walczący o jego ulepszenie, w latach siedemdziesiątych staje się rzecznikiem współczesnego pozytywizmu, by w końcu 1981 działać jako bezpartyjny liberał walczący o ideały demokratyczne.

Przypadek S. Bratkowskiego nie jest odosobniony. Czytając listy internowanych czy słuchając relacji o wyrzuconych z pracy dziennikarzach odnajdujemy nazwiska ludzi, którzy ongiś byli heroldami socjalizmu, a co najmniej jego adwokatami, a dziś są jego nieprzejednanymi przeciwnikami. Proces rozchodzenia się PZPR z jej inteligencją rozpoczął się wkrótce po październiku 1956. Od 1968 roku partia stopniowo ale konsekwentnie traciła wpływ w środowiskach twórczych i naukowych, choć ciągle utrzymywała swą pozycję wśród różnych grup zawodowych, w tym dziennikarzy. Po powstaniu Solidarności straciła prawie wszystkich. Rozgoryczenie i rozczarowanie musiały być wielkie w Wy-

* Pierwszy numer *Tygodnika* ukazał się 23 maja 1982.

dziale Prasy KC gdy obserwowano dawnych podopiecznych. Wydawało się, że kryteria selekcji były tak ostre a oczka policyjnej i politycznej kontroli tak ścisłe, że nic i nikt nie jest w stanie naruszyć reguł gry. A tu taka klęska. Klęska wieloraka: organizacyjna — utrata wpływów w Stowarzyszeniu, propagandowa — najbardziej utalentowani dziennikarze niszczyli swoimi artykułami mit o Polsce sukcesu i sprawiedliwości społecznej, polityczna — odejście dziennikarzy, dawnych sojuszników pogłębiało straty poniesione w wyniku narodzin pluralizmu informacyjnego.

Zmianę zapowiadały już pierwsze reportaże i doniesienia ze strajkujących zakładów. Początkowo dziennikarze piszą ostrożnie, ciągle nadużywając aluzji i niedomówień. Później — i nie tylko za sprawą złagodzonej cenzury — artykuły i reportaże nabierają ostrości i dynamizmu. Odsłaniają nam, zapewne także swym autorom inną Polskę, tę o istnieniu której wszyscy wiedzieli, ale której rzeczywistości nikt nie ogarniał. Z opisu każdego prawie strajku wyziera twarz umęczonego i upokorzonego człowieka. Zaglądają do małych, zacofanych zakładników Polski prowincjonalnej, zwiedzają tyły dużych obiektów budownictwa gierkowskiego i prawie wszędzie to samo: zapiekła nienawiść i zadawnione krzywdy, których nikt nie chciał, a jeśli nawet chciał, nie mógł naprawić. Często jadą z przekonaniem, że strajk jest niepotrzebny, a nawet szkodliwy jeśli uwzględnić interesy Polski jako całości, ale na miejscu wśród zrozpaczonych i zbuntowanych robotników przeważnie zmieniają zdanie. Z ich reportaży wyłania się inna twarz robotnika. Przestaje być plakatowy, pierwszomajowo uśmiechnięty, przestaje być pokrzywdzoną, bezradną i wyizolowaną jednostką zwierającą się dziennikarzowi lub warchołom i nierobom, którego nie obchodzą sprawy kraju. Staje się normalnym człowiekiem upominającym się o należne mu prawa. Z reportaży wyziera poczucie siły robotników wynikające z przynależności do większej całości — fabryki, związku, narodu, i w imię tej przynależności walczących o przywrócenie praw demokratycznych. W reportażach, a przecież są one jedynie odbiciem wydarzeń w kraju, stare, wytarte słowa jak prawda, sprawiedliwość, krzywda i wyzysk odzyskują właściwe znaczenie i nabierają nieoczekiwanej siły.

Reportażom powraca utracona barwa i są ponownie czytane i komentowane. Stają się źródłem wiedzy o społeczeństwie polskim nie gorszym niż badania socjologiczne. Dzięki reporterom tygodniki społeczno-kulturalne nie tracą czytelników choć mają silną konkurencję w prasie związkowej i niezależnej. Obie formy prasy nawzajem się uzupełniają i oferują czytelnikom co mają

najlepszego: prasa oficjalna — reportaże, niezależna — nieskrępowaną cenzurą publicystykę.

Rewolucja obywatelska jaką przeżywa społeczeństwo polskie zmienia nie tylko sposób pisania dziennikarzy. Ewoluuja ich poglądy, zmieniać się zaczyna postawa ideowa. Łatwiej jednak napisać obiektywny reportaż niż odrzucić stare schematy ideologiczne i wyrwać się z zaczarowanego kręgu propagandy, której się było współtwórcą. Odsłanianie prawdy o własnym kraju i zrzucanie gorsetu cenzury nie musi być zerwaniem wszystkich nici wspólnoty z reżymem, a opowiedzenie się za ideą odnowy wyrażającą się w Solidarności nie oznacza jeszcze zgody na strategię związkowych działaczy. W jednym artykule piętnuje się więc nadużycie partyjnych biurokratów, by w innym zdystansować się od żądań władz związku. Jeśli dla większości dziennikarzy z prasy związkowej i niezależnej zmiany są zbyt wolne i nieodpowiadające zawartym umowom, to dla ich kolegów z prasy oficjalnej zgłoszone postulaty, niezależnie od stopnia ich słuszności i możliwości faktycznego zrealizowania, są na ogół zbyt odległe od pryncypiów reżymu, by jego aparat mógł je zaakceptować. Wątpliwości co do słuszności polityki prowadzonej zarówno przez rząd jak i Solidarność są nie tylko natury politycznej. Wielu dziennikarzy żarliwie walczy o utrzymanie się w roli niezależnych i obiektywnych obserwatorów lecz niewielu ta sztuka się udaje. Ich postawa budzi krytykę z obu stron. Dla partyjno-rządowych decydentów są odstępcami nie budzącymi krzty zaufania, nawet wówczas gdy korzysta się z ich usług, natomiast dla aktywistów Solidarności nadal pozostają propagandową tubą reżymu, jeśli nawet od czasu do czasu go skrytykują. Wydarzenia polityczne nie sprzyjają kompromisom i neutralności. Od Bydgoszczy linia podziału między zwolennikami rządu i Solidarności staje się coraz wyraźniejsza. Ostateczny wybór dokonuje się w nocy z 12 na 13 grudnia. Wówczas już nie chodziło o takie czy inne wątpliwości, które można było żywić wobec Solidarności lecz o sprawy podstawowe — czy jest się z generałami ustanawiającymi stan wojenny czy ze Związkiem uosabiającym wolnościowe i demokratyczne aspiracje społeczeństwa. I decyzje zapadły.

Poza internowanymi i prześladowanymi, poza tymi którzy dobrowolnie wybierają emigrację wewnętrzną odnaleźli się i sojusznicy junty. Są również wśród autorów niniejszego zbioru, np. Jerzy Loch — publicysta *Polityki* i Stefan Kozicki — reporter nowego tygodnika *Tu i teraz*. Wybierali zwycięzców z różnych powodów: z przekonania, z cynizmu i wyrachowania, z bojaźni

o własne i rodziny losy i po prostu z konieczności zarabiania na życie. Niektórzy rozpaczliwie szukają racji usprawiedliwiających podjętą decyzję, inni z pewnością siebie odwołują się do geograficznego położenia Polski i historii. I ci są najgorsi. Kozńiewiczscy mają czyste ręce, nie strzelali do górników z kopalni Wujek i nie rozpędzali zgromadzonej młodzieży z okazji 3 maja. Tylko piszą. I to wystarczy.

Mało jest reportaży w obecnej prasie oficjalnej. Nikt nie ma odwagi — a może i sumienia — by opisywać zwycięskie ataki zomowców na strajkujące zakłady ani warunki uwięzionych w obozie w Uhercach; jeśli już ktoś pisze reportaż to co najwyżej posługuje się półprawdami i aluzjami, albo wręcz kłamie. Za nich piszą inni. W skromniutkich gazetkach stanu wojennego, w biuletynach redagowanych jak za okupacji przechowuje się nasza pamięć i tkwi nasza wiara, że kiedyś na pierwszej stronie *Tygodnika Solidarność* przeczytamy reportaż o upadku WRON-u.



Przez 16 miesięcy wolności i nadziei dziennikarze, jak ongiś kronikarze średniowieczni, opisywali zachodzące wydarzenia. Reportaże są szczególnie cennym przyczynkiem do dziejów ojczystrych. Rejestrują fakty ale również oddają nastrój ludzi i atmosferę towarzyszącą wydarzeniom. Protokoły, eseje polityczne i dyskusje są dokumentami, reportaż współczesną powieścią historyczną. Gatunek ten, jak każdy inny, ma swoje ograniczenia. Reporter opisuje rzeczywistość tak, jak ją postrzega. Przekonania polityczne, skrupulatność zawodowa i osobista wrażliwość decydują o wartości opisu. Czasem miesza się on z własną opinią, czasem opinia decyduje o wyborze faktów. Niezależnie od dowolności opisu, o której należy stale pamiętać, także czytając reportaże z tego zbioru, reporterzy pozostają niezastąpionymi świadkami wydarzeń. Ich ranga może być różna — czasem mają wymiar historyczny, innym razem są drobnym przyczynkiem do życia jednego zakładu. Podczas szesnastu miesięcy *Solidarności*, niezależnie od wagi i rozmiaru opisywanych wydarzeń, reporterzy są świadomi wyjątkowości przeżywanych chwil. Prawie wszystko zdarzało się po raz pierwszy i prawie wszystko było świadectwem zwycięstwa społeczeństwa nad partyjno-rządowym aparatem władzy. Podpisanie porozumienia w Gdańsku i przyznanie przez kierownictwo *Fastów* racji strajkującym kobietom, odsłonięcie pomników w Gdańsku czy Poznaniu i poświęcenie Sztandaru Huty Warszawa, powstanie *Solidarności* Wiejskiej i zorga-

nizowanie samorządu w jednym zakładzie, każdy z tych faktów miał swój historyczny wymiar wpisujący się w rewolucję obywatelską. Polska stawiała się inna i tę inność zarejestrowali reporterzy.

Przekonaniem, które towarzyszy reporterom — przynajmniej większości spośród nich — jest troska o drobiazgowy opis wydarzenia z przedstawieniem racji obu stron: rządu i Solidarności. Za ich dążeniem do wiarygodności, niekiedy posuniętej prawie do protokolarnego zapisu, kryje się obawa, że mogą nadejść czasy, w których ich przekaz będzie miał bezcenne znaczenie. I nie oni jedni żywili taką obawę. W reportażu Małgorzaty Szejnert jest wzmianka o tym jak w Szczecinie przed podpisaniem porozumienia zostały wykupione wszystkie magnetofony i wszystkie taśmy, gdyż każdy uczestnik chciał nagrać dla siebie i rodziny ostatni akt zwycięskiej walki. W tym geście pracowników Stoczni wyraża się świadomość historycznej chwili ale również głęboka nieufność wobec władzy, która tylekroć oszukiwała i przeinaczała fakty, iż każdy chciał utrwalić rzeczywisty przebieg wydarzeń. Gest, który powtarzać się będzie przy każdej okazji. Przeczucie nie myliło ani robotników ani dziennikarzy. Od 13 grudnia propagandyści junty robią wszystko by zakłamać historię szesnastu miesięcy solidarnościowego zrywu.

Wydanie zbioru reportaży poświęconych Solidarności jest zaśluszczyńieniem wobec reporterów, którzy troszczyli się o przekazanie autentycznego przebiegu wydarzeń, a także drobnym wkładem w ocalenie naszej zbiorowej pamięci.

Wybór reportaży z bogactwa wydrukowanego materiału był trudny. Prawie każdy był interesujący i prawie każdy przypominał jakieś wydarzenie, z którym wiązała się nadzieja i ludzki wysiłek, czasem zakończony zwycięstwem, czasem gorzkim rozczarowaniem. Podstawowym kryterium wyboru — poza wartością samego reportażu — była Solidarność i to co z jej powstaniem bezpośrednio się wiązało. Np. zmiany w partii. Wyeliminowane zostały skądinąd pasjonujące i bardzo wartościowe reportaże opisujące stan gospodarki, stosunki panujące w zakładach i warunki życia poszczególnych grup społecznych, a także reportaże tematyczne: ochrona przyrody, alkoholizm, problem ludzi starych itp. Innym ograniczeniem był zestaw gazet i tygodników dostępnych w Paryżu. Niedostępna była prasa prowincjonalna, choć zapewne i tam odnaleźć by można fascynujące materiały.

Wybór nie miał na celu przedstawienia historii Solidarności ani odtworzenia wszystkich ważniejszych akcji przez nią prowa-

dzonych. Chodziło o pokazanie czym były narodziny Solidarności dla robotników i całego społeczeństwa oraz jaką rolę w demokratyzacji kraju Solidarność pełniła i mogłaby pełnić gdyby aparat partyjno-rządowy stworzył warunki dla normalnej, statutem zagwarantowanej działalności. Codziennosc Solidarności jest ustawicznie przerywana kolejnymi konfliktami. Niektórym z nich poświęcono w niniejszym tomie więcej miejsca niż innym, np. strajkom górniczym, gdyż bez ich znajomości trudno zrozumieć determinację górników w sprawie wolnych sobót, a także ich opór po 13 grudnia. Innym kryterium wyboru reportaży był stopień w jakim odtwarzają atmosferę panującą przez 16 miesięcy w Polsce. Nastroje społeczeństwa zarejestrowane w reportażach są jak wskazówka w barometrze; przeskakują od nadziei i entuzjazmu do wątpliwości i wahań. Późną jesienią, choć nad Solidarnością gromadzą się czarne chmury, związkowcy nie tracą nadziei i nie rezygnują z walki. Posiedzenie Komisji Krajowej opisane przez Piotra Rachtańskiego jest tego charakterystycznym przykładem. Reportaże o strajku w Żyrardowie, tak jak poprzednio z Gdańska i Szczecina, są również przekazem atmosfery w jakiej żyli strajkujący. I jakże te opisy różnią się między sobą, tak jakby prezentowano strajkujących z dwóch różnych epok. Co łączy te zmęczone pracą i kolejkami kobiety nie kryjące się ze swoim lękiem o dzień jutrzejszy i obawą przed represjami z pewnymi siebie i zwycięskimi stoczniovcami z Gdańska i Szczecina? Nic, poza jednym: ciągłą, niezachwianą wiarą w Solidarność.

W zbiorze nie ma reportaży hagiograficznych wobec Solidarności, tak jak nie ma przesiąkniętych nienawiścią i fałszem. Reportaże miały ukazać Związek taki, jakim był w rzeczywistości; demokratyczny i nieco anarchiczny, nieugięte broniący własnej niezależności ale ze skłóconymi przywódcami, a przede wszystkim nieprzerwanie walczący o sprawiedliwość i prawdę.

Pominięto wiele reportaży poświęconych Gdańskowi, choć były interesujące (na przykład Ewy Milewicz — „Ja, happening, stocznia”, opublikowany w *Biuletynie Informacyjnym* nr 6/40), gdyż o Gdańsku wiedzą prawie wszyscy, m.in. dzięki przekazowi filmowemu. Przebieg strajków w innych zakładach, zwłaszcza prowincjonalnych, jest znacznie mniej znany i trudno dotrzeć do reportaży im poświęconych.

Zbiór nie zawiera wyłącznie samych reportaży. Było to niemożliwe ze względów tematycznych. W rozdziale historycznym — *Droga do Solidarności* — nie ma ich, bo nikt takich nie publikował ani podczas wydarzeń z 1970 i 1976 roku, ani z manifestacji organizowanych przez demokratyczną opozycję. Wspo-

mnienia, wywiady z konieczności zastąpiły reportaże. Pominięto również reportaże z wizyty Jana Pawła II w Polsce, choć odegrała ona wielką rolę w emancypacji społeczeństwa i zmianie jego postawy wobec reżymu. Reportaże i komentarze poświęcone wizycie ukazywały się w każdej prawie gazecie i w tygodnikach, a także w wielu książkach. Pozycję Kościoła w społeczeństwie ukazuje natomiast skromne sprawozdanie Krzysztofa Turkowskiego: „Boże Ciało w Małym Cichem”. Proces księdza oskarżonego o nielegalne organizowanie procesji toczył się w sierpniu 1980 roku. Prawie w tym samym czasie, strajkujący robotnicy stoczni gdańskiej uczestniczyli w mszy na intencję zwycięskiego zakończenia strajku.

Przekazanie informacji o zjeździe Solidarności również wymagało sięgnięcia po inną formę materiału. Homilia ks. Tischnera i dyskusja między przywódcami i doradcami Związku uzupełniają reportaże, których w ogóle nie było zbyt wiele. *Tygodnik Solidarność* nie zamieścił ani jednego, poświęcając kolejne numery na diariusz zjazdu, wywiady i dokumenty. W innych tygodnikach przeważały komentarze mało mające wspólnego z obiektywnym opisem. Ostatnim materiałem zbioru również nie jest reportaż lecz artykuł Kazimierza Dziewanowskiego poświęcony Kongresowi Kultury Polskiej, którego obrady przerwał 13 grudnia. Ostatni, niedokończony już akt demokratycznej Polski. Zamach wojskowy nie przerwał jej istnienia i nie zamknął ust przeciwnikom reżymu. Dziennikarze są i obserwują, są i piszą, choć oficjalnie skazani na milczenie. W walce z propagandystami zawsze w końcu zwyciężają dziennikarze.

Grażyna POMIAN

Paryż, 17 maja 1982

ROZDZIAŁ PIERWSZY
DROGA DO SOLIDARNOŚCI

Stanisław MATYJA

... I LUDZIE WYSZLI NA ULICĘ

Zaczęło się wszystko w 1953 roku po lipcowej konferencji partyjno-ekonomicznej. O ile ja jako stolarz na montażu wagonów miałem na wykonanie takiej czy innej czynności 8 godzin, w których zarabkowałem 56 zł — to otrzymałem (po korekcie norm) — 4 godziny i tylko 25 zł.

Zaczęło się od tego, że w czasie śniadania przyszedł mistrz (po tej wspomnianej konferencji) i rozdał nam karty pracownicze na wykonanie robót i zobaczyłem ile mogę zarobić... Wiedzieliśmy, że nie wyrobimy nawet 80 % normy, a każdy miał rodzinę...

Wkurzyłem się bardzo, a ponieważ byłem wówczas bardziej energiczny i zbyt wybuchowy — chciałem się wdrapać na słup z nożem w gębie i chciałem przeciąć kable od głośnika, bo nie można było tego słuchać (tj. postanowień konferencji partyjno-ekonomicznej). Znaleźli się bardzo „uczciwi” ludzie, którzy donieśli komu trzeba i po godzinie czasu trzykrotnie byłem wzywany do komitetu zakładowego. Wziąłem kartę i poszedłem. W tym czasie nawet jeśli to były odczucia ogółu, to występowało się nie zbiorowo tylko każdy za siebie. Po cierpliwie znoszonych obelgach, którymi mnie obrzucono w Komitecie zakładowym, powiedziałem: — *Wy mówicie, że kułak i bumelant dostali w ucho — to popatrzcie sobie na tę kartę i zobaczcie! Kułak się śmieje, bumelant bumeluje a w ucho dostał robotnik.* Rzuciłem tę kartkę i wyszedłem. Zawezwano mnie za dwie godziny, prawdopodobnie sprawdzono, i wówczas otrzymałem legalnie, z powrotem tę samą normę, którą miałem poprzednio, ale sam jeden.

Kolega Taszer, jako przewodniczący rady zakładowej (wiem, że był z delegacją albo na Węgrzech, albo gdzie indziej), zwołał otwarte zebranie związkowe. I proszę sobie wyobrazić, że w tym

reżymie, który wówczas istniał — ludziom otworzyły się usta. Może sprzyjał klimat po XX Zjeździe, może to było powodem. Ludzie występowali bardzo ostro. W tym czasie obniżono ceny na artykuły żelazne: łopaty, łańcuchy itd., więc ja zadałem pytanie: — *Dlaczego zmieniają się nazwy kielbas i nie kosztują przykładowo 20 zł lecz 30 zł, kiedy to był ten sam towar, natomiast staniało żelazo — czy po to, żeby nas zakuć w te łańcuchy?...*

Kolega Taszer był w Warszawie z ramienia związków zawodowych i przyjechał z niczym. Wtedy samoistnie odbyła się masówka... Pierwszy raz nikt się tym nie zainteresował, następnym razem przyszła duża liczba osób, a nawet dyrekcja się zjawiła, ale odpowiedzi znowu nie było. Znowu było zebranie, na które kolega Taszer zaprosił przedstawicieli CRZZ jak i rządu. Na tym zebraniu, na którym wrzało, a w baraku było tak dużo ludzi, że obawialiśmy się, że dach wyleci w powietrze — ludzie, którzy zarządzili, nie potrafili na proste pytania dać odpowiedzi. Powiedziałem wówczas również, że nie będziemy za długo czekać i o ile do 27 nie otrzymamy konkretnej odpowiedzi, wychodzimy protestować na ulice Poznania.

Miałem kontakt — tu byłem największym winowajcą — z pięcioma największymi fabrykami w Poznaniu, nie przez telefony, po prostu poprzez ludzi, którzy dojeżdżali do miasta. Wiedziałem dokładnie co się dzieje na ich terenie i informowałem dokładnie o nas. I jak starsza generacja pamięta, dawniej dane słowo honoru było więcej warte niż kartka podpisów, i wówczas zdecydowano się na stworzenie delegacji, która miała jechać do Warszawy, po odpowiedź. Wybrano nas, ale myśmy otrzymali mandat do przekazania żądań, natomiast nie byliśmy uprawnieni do ustępstw względnie pertraktacji. Jak zaczęliśmy o 11-ej (rozmowy z ministrem przemysłu maszynowego) to o 20-ej skończyliśmy bardzo burzliwą dyskusję. W końcu minister Fidelski wyraził zgodę (na postulaty załogi). Przed odejściem zapytałem: — *Panie ministrze, czy my możemy to przekazać załodze? — Tak, można...*

Poprosiliśmy, aby oni teraz przyjechali do Poznania i niech przekażą to robotnikom, a my z kolei przygotowujemy grunt... Myśmy po 6-ej rano byli w Poznaniu, przygotowaliśmy na 13.45 masówkę. I co się okazuje? O 180 stopni odwróciła się karta! Robotnik, który skończył 4 klasy szkoły podstawowej, pyta się ministra Fidelskiego: — *Panie ministrze, jak wyście to liczylili?... Ludzie, uważajcie, skończyłem 4 klasy, ale mnożyć i dzielić jeszcze mnie nauczano... Panie ministrze, jest mi bardzo przykro, ale wprzód 7 klas skończyć a potem na stołek ministerialny.*

To już chyba mówi samo za siebie. I następny dzień pokazywano mi, że ministra nie puszczą; chciano go wieszać na hali. Ponieważ miałem duży autorytet, wyprowadziłem ministra i prosiłem, żeby na następny dzień co najmniej o 5-ej rano był na terenie fabryki, bo jest niedobrze. Okazało się, że myśmy byli w fabryce, pana ministra nie było, kolega Taszer próbował dzwonić, żeby dorwać pana ministra, ale nie mógł. I ludzie wyszli na ulicę. Wiadomo było, że inne zakłady, jeżeli usłyszą po godzinie 6-ej, że „Cegielski” buczy, to mają wychodzić. To znaczy, że „Cegielski” ruszył na ulice protestować.

I tak było. Zabieraliśmy powoli te zakłady pracy i ruszyliśmy pod Zamek protestować.

Przez 2 godziny nikogo nie było. Ludzie śpiewali różne pieśni nabożne, patriotyczne, trawa nawet nie była podeptana. Wyszedł tow. Kraśko — to był jedyny człowiek odważny w partii, do którego do dzisiaj żywie największe uczucia i sympatie, to był jedyny człowiek, który wyszedł i zaczął do nas przemawiać... Bronił stanowiska partii. Ludzie protestowali, drudzy natomiast mówili: — *Jeżeli wy chcecie mówić prawdę, dajcie i jemu powiedzieć*. Kiedyśmy czekali, zdążyłem tow. Kraśkę wprowadzić do Zamku no i tym samym uratowałem mu potem życie. Niestety, padło hasło, że u „Cegielskiego” delegacja została aresztowana co było nieprawdą, myśmy wszyscy wrócili. (Jest faktem, że ja i kol. Wielgosz zostaliśmy aresztowani, ale dopiero po wypadkach. Ja byłem aresztowany o 2-ej w nocy z 29 na 30 czerwca).

Przyczyną (tragicznych wypadków) naprawdę była wielka nierozwaga jednego z pedagogów, któremu do dzisiaj nie zapomnę. Widziałem dokładnie jak prowadził kolonię dziecięcą pod flagą narodową i szedł w kierunku al. Kochanowskiego, wznosząc okrzyki, że delegacja siedzi. Kiedy ja odezwałem się, że sam uczestniczyłem w delegacji, o mało co zostałem zlinchowany.

To była demagogia! I co mają dzieci do szukania w proteście robotników? Ma się rozumieć, że odezwały się strzały. Były one — tu trzeba powiedzieć prawdę — i w powietrze i pod nogi. Szły rykoszety. I tu druga strona się odezwała, że delegacja są na Młyńskiej (w więzieniu). Prawdopodobnie delegacja ZNTK (Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego) została w nocy aresztowana, nie wiem. Nie potwierdzam tego. I stąd może wyszła fama, że delegacja została aresztowana. I tak padły pierwsze strzały. Młyńska została rozbita. Czołgi wkroczyły do miasta i właśnie, kiedy rozgorzało to wszystko, zobaczyłem, że

leci rzeczywiście rządowy samolot. Czyli leciała rządowa delegacja. Co już potem było — byłoby dużo do powiedzenia...

To były główne zasady, o które wyszliśmy, o które protestowaliśmy. Nie miało to nic wspólnego z polityką, to były czysto gospodarcze żądania. Kiedyśmy stworzyli potem rady robotnicze — sam byłem twórcą na terenie Poznania rad robotniczych — to właśnie one były podobne do tego co dziś „Solidarność”. Miała być oddolna inicjatywa zatwierdzania i rządzenia. Niestety, wiemy, że jeden podpis wystarczył, aby to wszystko obalić. Mnie w 58 roku zwolniono (z pracy); przez 23 lata (jeszcze miałem namacalny dowód w 73 roku) stale byłem na indeksie.

Stanisław MATYJA

(*Polityka*, 30 maja 1981)

Hanna KRALL

SŁOWA NA TRZY DNI

Nikt nie wie o niczym i nie powinien wiedzieć. — A jak przeczytają w *Polityce*? — Nie przeczytają, nie dochodzi.

Na wiadomość, że nikt nie wie o niczym, budzi się oczywiście gwałtowna chęć natychmiastowego zawiadomienia wszystkich. Najpierw dyrektora, którego trzeba prosić o zgodę na moje wejście do basenu portowego i obejrzenia kutra. Mogłabym powiedzieć: — Przepraszam, panie dyrektorze, czy coś panu mówi nazwisko Goździk? (Naturalnie, powiedziałaby, rybak indywidualny, ma własny kuter, trzyma go w naszym basenie).

Następny mógłby być przedstawiciel Urzędu Morskiego, który przyjechał dziś ze Szczecina w sprawie terenu pod boksy (Goździk? Ten przewodniczący koła rybaków w P.?), i potem już Janusz, z którym od początku łowią razem, w dwa kutry, czyli w tukę.

Pierwsi dwaj są w wieku średnim i jest nadzieja, że po dłuższych naleganiach coś by zaczęli kojarzyć, ale Januszowi, który wtedy miał cztery lata, trzeba by wyjaśniać od początku. Ma to sens? Nie ma. Dlatego kategorycznie zabrania podobnych rozmów z kimkolwiek.

Piętnaście lat temu, kiedy przyjechał tutaj, jeszcze czasem pytali — a ten z Żerania, to krewny?, na co odpowiadał — e, nie, zupełnie inny facet, i był spokój.

Trzeba się więc przestawić na inną konwencję, na rybaka, z którym się gawędzi przy stole. To na telewizor się spojrzy, to śliwowicy popije i zakąsi świeżą rybką, wprost z morza... Rybak wrócił z połowu, założył miękkie pantofle i odpoczywa, żona rybaka zaś przy kuchni kolację szykuje.

W telewizorze akurat sejm. Rybak słucha, słucha, patrzy na dostojną, siwą głowę i mówi — jakby go kto nie znał, mógłby kupić, nie?, i tylko podobne odzywki pozwalają mniemać, że rybak dysponuje jakąś nierybacką wiedzą o tym, co oglądamy. Kiedy rybak zbyt długo siedzi tak przy telewizorze, żona rybaka woła — i co patrzysz? do roboty byś się jakiej wziął. Jak to żona.

Któregoś wieczoru żona rybaka drzemała na wersalce, a w telewizorze siedł „Pegaz” i Jerzy Putrament opowiadał, że pisze powieść o bohaterze Października, Leszku Goździku. Po tych słowach rybak zawołał — Gienia, słyszysz? Na co żona powiedziała nieprzytomnie — nie, a co, Lesiu? — E, nic takiego, śpij — powiedział rybak i żona usnęła. Później jeszcze przeczytał w *Expressie* wywiad, w którym pisarz mówił, że o „dramatycznych i powikłanych” losach swojego bohatera dowiedział się od kogoś na VIII Zjeździe partii. Bardzo to rybaka zastanowiło. — Dramatyczne i powikłane? O co mu może chodzić? Że mnie wyrzucili? Innych też wyrzucali, i przede mną i po mnie. Że przyjechałem tutaj? Nie mam pojęcia, gdzie tu dramat. A pani nie wie przypadkiem? To proszę go zapytać przy okazji.

No i siedzimy sobie tak, i ja mówię — panie Leszku, jakie są różnice między panem i Wałęsą? Uważam, że rybak powinien być tym pytaniem zaskoczony i powoli zbierać myśli, a tymczasem odpowiada od razu: pierwsza różnica, że ja nie miałem wąsów, a on ma. Druga, że był starszy o rok ode mnie. — Jak to, rok. Ma trzydzieści sześć przecież. — Czyli miał dwadzieścia sześć dziesięć lat temu. A ja dwadzieścia pięć miałem. Zależy jak nas porównywać i jak liczyć — ja go liczę od Grudnia.

Dalej. Jego wyrzucali trzy razy z pracy, mnie tylko raz.

I najważniejsza różnica: ja byłem działaczem partyjnym, a on nosi różaniec.

— Razi to pana?

— Nie, zupełnie.

— Tak, że mieliśmy po ćwierć wieku każdy... Jak na moje ćwierćwiecze, wymagano ode mnie sporo. Najpierw uczono mnie,

że jest Bóg, potem uczono, że Boga nie ma. Kazano wierzyć w Stalina, potem powiedziano o zbrodniach. Sporo wiary i niewiary wpoiono we mnie jak na moje ćwierć wieku... A jemu powiedziano, że jest Bóg i nikt go nigdy tego Boga nie pozbawił. Jego ćwierć wieku było może i łatwiejsze...

— Czy to zdanie sformułował pan pierwszy raz właśnie przed chwilą?

— Nie. Pierwszą część, tę o mnie, wygłosiłem w kwietniu 1956 roku. Była to narada aktywu partyjnego i byłem już sekretarzem komitetu zakładowego FSO. Powiedziałem wtedy o wierze i niewierze, a także, że mamy pewne postulaty... nie, to się tak dzisiaj nazywa, ale jak się nazywało wtedy? Chyba się w ogóle nie nazywało. Powiedziałem, że chcemy jawności w partii, demokracji w państwie, likwidacji cenzury... Bardzo sponiewierali mnie i pewnie byłbym już znacznie dłużej bezpartyjny niż jestem, gdyby nie Ochab. Ale oświadczył, że jestem wyrazicielem nastrojów mojej organizacji partyjnej, że trzeba się wsłuchać w mój głos jako w masy — i zostawiono mnie w spokoju.

— To bezpartyjny od kiedy pan jest?

— Od Grudnia. Byłem w Oliwie tego dnia, po silnik do Łodzi. Kolega, u którego nocowałem, pojechał rano do Gdyni i wrócił roztrzęsiony, mówi, że ludzi tłuką. Jak przyjechałem — było po wszystkim, tylko wozy milicyjne i karetki pogotowia jeszcze jeździły. Stałem tam długo i chodziło mi po głowie, że zrobił to człowiek, któremu uwierzyłem, któremu torowałem drogę do władzy, i że na mnie spoczywa część odpowiedzialności za wszystko. Po powrocie powiedziałem tu swoim — zrezygnujcie ze mnie. Przyszedł do mnie na rozmowę członek egzekutywy. Powiedziałem — ja się już do tego wszystkiego nie nadaję, na prawdę nie.

W telewizorze dziennik: strajki, rokowania, komentarze, dużo twarzy i słów. Siedzimy przy stole, w małym miasteczku, które leży daleko od spraw pokazywanych na ekranie. Więc rybak pochyla się w stronę telewizora, żeby lepiej to wszystko widzieć. Uważnie przygląda się ludziom z „Solidarności”, po czym mówi, że i twarze i słowa są dzisiaj inne.

O twarzach: inny styl, proszę się przyjrzeć. Brodaci i w swetrach. Co do nich, to nosili garnitury, krawaty i byli starannie ogoleni. On na wszystkich wiecach występował w porządnym ubraniu i krawacie.

O ludziach: poznać, że są drugim pokoleniem robotników. Nie wiadomo dokładnie po czym, ale to się poznaje. W FSO

młodzi byli przeważnie ze wsi, starsi fachowcy z kolei — z przedwojennego COP-u, z elity robotniczej, która miała przed wojną dobrze. I jedni, i drudzy zachowywali się ostrożniej, bardziej powściągliwie niż ci dziś.

O słowach: są inne. Kiedy słucha tych słów, zastanawia się czy on by znalazł takie same. Nie, takich na pewno nie, a tamte by już nie pasowały. Więc czy w ogóle znalazłby pasujące słowa. W dzisiejszych czasach o słowa jest trudniej niż wtedy. W ogóle w dzisiejszych czasach mają trudniej niż mieli oni, w Październiku. Wtedy wszystko działo się pierwszy raz i ludzie byli ufni.

A jak to jest, że się znajduje w odpowiedniej chwili właściwe słowa?

Rybak uważa, że trzeba mówić do takich ludzi jak się jest samemu.

— My, na Żeraniu, wiedzieliśmy dokładnie czego chcemy. Wiedzieliśmy, że gospodarka jest nieudolna, Nowa Huta była bez sensu — należało doinwestować stare, istniejące huty, rolnictwo leży, a robotnicy nie mają nic do powiedzenia.

Wykombinowaliśmy, że lekarstwem na wszystko będą rady robotnicze: miały być prawdziwymi gospodarzami fabryk, decydować o planie, kontrolować dyrekcję, korygować płace... No i to wszystko należało ludziom powiedzieć, pamiętając przy tym cały czas, że cztery miesiące wcześniej zdarzył się Poznań.

Na pierwszym wiecu w Politechnice, kiedy przewodniczący powiedział, że głos zabierze sekretarz partii z Żerania, zaczęli gwizdać. Zaczekałem aż wygwizdają się i powiedziałem, że to potrafi każdy, a ja nie gorzej, co zademonstrowałem natychmiast do mikrofonu. U nas, w Tomaszowie, byli wybitni specjaliści od gwizdania — na dwóch wskazujących palcach gwizdało się, albo na małym zgiętym, o tak, ale ja im zagwizdałem metodą bez palców. Roześmieli się i pozwolili mi mówić.

Ile to wszystko trwało? Dwa, albo trzy dni... (mój Boże, rybak nie pamięta ile trwał Październik). Tak, trzy dni chyba. Na każdym wiecu przemawiałem, na zakończenie śpiewaliśmy „Jeszcze Polska...”.

Najważniejsze było nie wypuścić tłumu na ulicę, a kiedy już wyległ — zapanować nad nim, gdy szedł w niewłaściwym kierunku. Któregoś dnia tak właśnie się zdarzyło — i wtedy nasi ludzie chwycili sztandar i weszli w inną ulicę. Rozległy się głosy, że jest krótsza droga, ale nasi ludzie zagłuszyli ich śpiewem i poprowadzili pod Politechnikę, gdzie myśmy już wico-

wali i trzeba było szybko opróżnić salę i wpuścić tamtych, rozgrzanych, żeby znowu nie poszli gdzie nie potrzeba.

(Ten epizod — przechwycenia sztandaru i poprowadzenia inną drogą, powraca w opowieściach rybaka parokrotnie, jak we wspomnieniach kombatanta szczególnie udana operacja wojskowa. Potem zresztą zastosowano wobec niego ten sam manewr dokładnie).

To tyle jeśli chodzi o słowa.

Rybak mówi, że skoro dziś właściwych słów by nie znalazł, znaczyłoby to, że nie jest człowiekiem dla tego czasu. Każdy czas stwarza swoich, potrzebnych mu przywódców. Jego czas to były tamte trzy dni.

Tak, dokładnie tyle, bo zaraz potem, na wiecu przed Pałacem Kultury, stojąc na trybunie koło Gomułki, poczuł, że człowiek ten, mówiący szorstko stu tysiącom ludzi — niepotrzebne nam wasze obrączki, przestańcie wiecować i bierzcie się do roboty — mówi słowami, które już nie są jego. — Należało serdecznie podziękować im, poprosić o pomoc... — Następny prosił o pomoc. — To prawda...

Tak więc dość szybko zaczął rozumieć, że jego czas mija. W grudniu 56 powiedział publicznie, że mu się wydaje jakbyśmy się wycofywali z Października, Gomułka zapewnił jednak grzecznie — bo ich jeszcze wtedy chętnie fotografowano razem — że nie może być o tym mowy. Kiedy na otwartym zebraniu partyjnym powtórzył to jeszcze raz, dodając, że rad robotniczych nikt poważnie nie słucha — (W przeciwieństwie do kolegów z „Solidarności” nie pomyśleliśmy o gwarancjach prawnych dla rad. Oni byli teraz mądrzejsi — ale może i o nas byli mądrzejsi, o Październik?) — kiedy więc powtórzył wszystko, Gomułka już zdenerwował się i nawet uderzył pięścią w stół. W tym momencie spadł ze ściany portret Gomułki i Sałaszewski, frezer z narzędziowni, od razu powiedział przyszłemu rybakowi, że chyba nie był to dobry znak, taki upadek portretu.

Po tym zebraniu wezwano przyszłego rybaka do komisji kontroli, gdzie otrzymał nagane za podrywanie autorytetu partii.

Ludzie go nie poparli: było plenum, jest Gomułka, a ty chcesz rozrabiać — mówili mu, bo wierzyli, że teraz już będzie w Polsce dobrze.

W 1957 roku przestał być sekretarzem na Żeraniu. Niestety. Nie za swoją merytoryczną działalność, lecz za „zachowanie nie licujące z godnością sekretarza”.

W tym miejscu zaczyna się tak zwana delikatna materia sprawy. Rybak opowiada o niej ze swobodą, która wydaje się

niezupełnie szczerza. Otóż — mówi rybak — oświadczono mi, że nie mogę być sekretarzem, bo rozbijam fabryczne samochody.

No, niestety — pech w tym, że je rozbijał naprawdę.

— Pewien star — mówi — próbował nas wyprzedzić i trzeba było potem wykłepywać karoserię. Chciałem zapłacić, ale powiedziano, że nie chodzi o koszt. Drugi samochód rozbił, mówiąc szczerze, Tadzio K., pracownik Komitetu Warszawskiego. Też nic wielkiego — przygrzmocił w furmankę, kapusta spadła, przygniotło prawy błotnik, ale Tadzio, jako człowiek bywały, zdenerwował się okropnie. Co to będzie, Leszek, rety co to będzie. Na co przyszły rybak powiedział — nic się, Tadzio, nie martw, będzie na mnie. Wyklepali, potem było na rybaka i to wszystko.

A nie, przepraszam, jeszcze coś. Jeszcze przyszły rybak jechał na spotkanie z wyborcami za jakąś wołgą, wołga przyhamowała i aktywistka Frontu Jedności Narodu, siedząca obok, nabiła sobie guza, ale nie trzeba było nic wykłepywać tym razem.

I teraz to już naprawdę wszystko, kończy rybak z chichotem. Panie Leszku, mówię z niesmakiem na to. Przywódca robotniczy, sztandarowa postać itd., który rozbija dwa samochody plus towarzyszkę z Frontu Jedności Narodu — no, czy to jest poważne? Nie, nie jest — mówi ze skrucą rybak — ale powiedzmy sobie szczerze: wozy objeżdżaliśmy wszyscy, bo trzeba było je docierać dla Polcarga i co rusz ktoś musiał wykłepywać karoserię. Na szczęście mieliśmy takiego blacharza, złotą rączkę, do którego w poniedziałek się szło ze stłuczką niedzielną, a on tylko ręce zacierał, bo miał świetny utarg. Nigdy nie był bez pracy, trzeba przyznać, bo kultura jazdy nie stała na takim poziomie jak dzisiaj (naturalnie klepało się na swój koszt i zakład nie był stratny).

— Panie Leszku — ja znowu — a nie przyszło panu do głowy, że w razie potrzeby wszystko to może być zwrócone przeciwko panu, i że nie należy dawać tak łatwych argumentów nikomu do rąk?

— Właśnie na tym polegał mój błąd, że nie przyszło mi to do głowy.

Powiedziano zatem, że kompromituje partię i przestał być sekretarzem w FSO. Wrócił na narzędziownię, zapisał się do technikum, ale to nie wystarczyło: powiedziano mu, że samą swoją obecnością na Żeraniu sieje niepokój. — Ludzie się oglądają na was i musicie odejść.

Odszedł do T-12, na ślusarza, a kilka lat później wziął waliz-

kę, włożył do niej dwie koszule, zapasowe spodnie, dyplom technika i udał się na dworzec.

Myślę, że kiedy Jerzy Putrament dojdzie w swojej powieści do tego momentu, uczyni ze sceny pakowania walizki prawdziwy majstersztyk, bo jest to historia jak z Frischa: człowiek, który decyduje się zniknąć.

Nie wiem, jak było naprawdę (— Ciężko pani idzie ze mną, co? To dlatego, że mnie idzie ciężko z samym sobą)... Może przyszedł rybak w tym dokładnie momencie zobaczył jasno, że nie jest już potrzebny nikomu — żadnym ludziom, żadnym sprawom, żadnej kobiecie? Może do tego momentu jeszcze miał nadzieję, że jego czas powróci, a wtedy zrozumiał, że dalsze czekanie jest bez sensu?

Włożył do walizki zapasowe spodnie, koszule itd., pojechał na dworzec, wysiadł w mieście wojewódzkim, przesiadł się na inny pociąg i dotarł do miasteczka, w którym teraz siedzimy przy telewizorze. Z walizką w ręku poszedł na plażę. Pospacerował po niej. Powiedział — może być, i udał się do przedsiębiorstwa, które minął po drodze, zapytać czy nie potrzebują pracowników.

Jest dobrze.

Rybak nie popytał dziś, ale Janusz, ten z sąsiedniego kutra, wpadł i przyniósł sandacze.

Żona rybaka — wysoka, dzinsowa, czarna — smaży je i zachęca do jedzenia.

Ludzie przychodzili dowiedzieć się, bo minął sztorm, i czy wypływają rano.

Jest pierwszorzędnie nawet: przyjaciel, który przynosi rybę, czarna żona, która ją smaży, morze, które się uspokoiło i trzej z kutra, którym można wierzyć. Na kutrze jest ich czterech — trzech rybacy i on, za sterem, i największa wartość jaka w ogóle w życiu istnieje, to ta, że można bez zastrzeżeń polegać na trzech pozostałych.

Pierwszorzędnie jest, no nie? — Tylko co tak, goździczku, w ten telewizor patrzysz — mówi żona rybaka. — Co to ciebie, goździczku, obchodzi wszystko, ty się rybami zajmuj. Bo rzeczywiście, siedzi i patrzy.

Wie pan co, mówię. Powiedzmy, że on, tamten Leszek, z wąsami, siedzi tu, bliżej pana. Czy jest coś, co miałby mu pan teraz do powiedzenia?

— Twoje zdrowie — powiedziałbym. — To przede wszystkim.

— A dalej?

— No, co ja ci, biedakowi, dalej powiem...

Ja to wszystko mam za sobą. Z głowy to mam, a ty jesteś tu, gdzie ja skończyłem. Tak, dokładnie w tym miejscu, i ja nie wiem, co się robi dalej. Ale gdybyś chciał wysłuchać mnie, to mam jedną propozycję konkretną: wróćcie do naszej idei rad robotniczych. Nowe związki będą bronić, nie zarządzać, nie można zajmować się jednym i drugim równocześnie, a produkcja też musi być w rękach robotników.

I jeszcze, Lesiu, coś.

Trzymaj tylko z nimi. Z nimi — od których jesteś. Mówię to, bo jestem starszy od ciebie: żebyś, Lesiu, któregoś dnia, nie pomyślał, że wiesz troszeczkę lepiej od nich, albo troszeczkę więcej...

No, i żebyś, Lesiu, nie siadał za kierownicą w cudzym aucie.

Po co ci to?

Jeśli już, to na tylnym siedzeniu, dobra?

Hanna KRALL

(Polityka, 6 grudnia 1980)

Krystyna JAGIEŁŁO

KONIEC WIELKIEGO STRACHU

Józef Tabin, robotnik wydziału elektrycznego Stoczni Gdańskiej, przewodniczący koła „Solidarności”, w Grudniu 1970 roku został ranny. Miał wtedy 30 lat.

Jan Pydyn, robotnik wydziału elektrycznego Stoczni Gdańskiej, przewodniczący koła „Solidarności”, w Grudniu 1970 roku stał pod stoczną w czołgu. Miał wtedy 22 lata i odbywał służbę wojskową.

Tabin: Siebie mógłbym określić tak: pracowity, cichy, trochę zawzięty.

Pydyn: Raczej jestem porywczy, ale złość mi szybko mija. Uważam, że w każdej sytuacji człowiek musi dać sobie radę.

Odkąd *Tabin* sięga pamięcią ludzie zawsze się bali. Narzekali na Gomułkę, sarkali, a pierwszego maja szli w pochodzie. Żadnych odważnych dyskusji nie przypomina sobie. I dlatego gdy w sobotę 13 grudnia dowiedział się o podwyżce cen, nie sądził, że tak się potoczą wypadki. W poniedziałek rano jeszcze pracował. Ale nie minęła godzina i podobnie jak inni wyłączył maszynę. Zebrali się pod budynkiem dyrekcji. Żądali anulowania podwyżki cen, poprawy warunków pracy i regulacji płac, rozumiejąc, że dyrektor sam tych postulatów nie spełni. Czekali na kogoś z Warszawy. Ale nie pojawił się nikt. Nikt też nie obiecywał im kontaktu z władzą. Domagali się wolności słowa i swobody krytyki, ale żadnego programu działania nie mieli. Poszli do stoczni północnej i remontowej. A potem pod politechnikę i radiostację.

Żołnierz ma co jeść, ma w co się ubrać. W jednostce wojskowej w N. wiadomość o podwyżce cen przyjęta została obojętnie. Pydyn był kawalerem. Patrzyłem tylko, żeby się nie przemęczyć i dostać przepustkę na niedzielę. A w niedzielę przyjemnie spędzić czas, zabawić się. Nad życiem nie zastanawiałem się poważnie. W poniedziałek padł rozkaz, aby przygotować żołnierzy na wyjazd do Gdańska. Ale tylko tych, którzy pochodzą spoza Trójmiasta. Mnie ten rozkaz nie dotyczył. Pochodzę wprawdzie z Olsztyńskiego, ojciec ma gospodarkę. Ale od 14 roku życia mieszkałem u krewnych w Gdańsku i pracowałem w stoczni jako uczeń, potem robotnik. Prawie żadnych informacji o tym, co dzieje się na Wybrzeżu nie mieliśmy. Powiedziano nam, że chuligani rozrabiają. Nie wierzyłem w to. Ale specjalnie nie rozważałem sytuacji. Pomyślałem tylko: zaczyna być wesoło.

Tabin znajdował się mniej więcej w połowie wielkiego pochodu, którego czołówkę we wtorek zaatakowała milicja. W odpowiedzi robotnicy obrzucili milicjantów kamieniami. *Tabin* z daleka ledwie widział, co się dzieje. Ale w kilkanaście minut później, gdy byli już pod wieżowcem, niespodziewanie wypchnięty został na czoło pochodu. Jakieś kobiety wzięły go pod rękę i musiał iść w pierwszym szeregu zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Pod gmachem KW ktoś do nich przemawiał. Dosyć obcesowo. Kazał natychmiast wrócić do pracy. Milicja rzuciła gazy łzawiące. Największa walka odbyła się pod Komisariatem. Stocznioowcy pilnowali, żeby nikt nie zabrał broni milicjantom. Ale rozbrajali ich. Tych pałek i czapek leżało na ziemi dużo. Żadnego samosądu nad milicjantem *Tabin* osobiście nie widział.

„Byłem natomiast świadkiem okradania sklepów. Przechodziliśmy akurat ulicą Rajską, gdzie są sklepy futrzarskie i delikatesy. Widziałem ludzi uciekających z futrami. To mogli być złodzieje, ale podejrzewam też i prowokację. Do sklepu z telewizorami weszło np. czterech cywilów z łomami. Wyrzucali telewizory na ulicę. Milicja to widziała.

Idąc w tym tłumie sercami łączyliśmy się. Ale każdy z nas bał się i myślał o sobie. Prawdziwej solidarności jeszcze nie było. Właściwie chodziliśmy po ulicach dlatego, żeby chociaż przez chwilę inni ludzie byli razem z nami i czuli to, co my.

Władzy nie interesowaliśmy. Jeśli pominąć milicję, oczywiście. Nie prowadzono z nami rozmów, nie dawano żadnej odpowiedzi na pytania. Gdyby to wszystko potoczyło się inaczej, nikt na pewno nie podpaliłby gmachu KW. Górne piętro komitetu obstawione było przez wojsko, dolne przez milicję. Jeszcze przed pożarem padły pierwsze strzały. Ludzie zaczęli uciekać. Schowałem się za murek. Przeczekałem chwilę. Widziałem, że pociski lecą w górę. Kilka serii, na postrach. Jak się to uciszyło, tłum ruszył na KW. Wtedy zobaczyłem latające w powietrzu butelki z benzyną, którą ludzie brali z samochodów. Zatrzymywali raczej ciężarówki.

Wycofałem się stamtąd. Spałem tak, jak i poprzedniego dnia, w domu”.

Pydyn był wściekły. Tyle sprzętu ładować na transportery! I to w nocy. Ciężka harowa. We wtorek późnym wieczorem rozkaz dowództwa dotyczył już i jego: całą jednostkę przeprowadzić do Gdańska.

O godzinie 24-tej na opancerzonych transporterach, podobnych do czołgów, wkroczyli do Gdańska. Pomimo późnej pory na ulicach stali ludzie. Jakiś kamień potoczył się w naszą stronę — opowiada *Pydyn*. Kobiety z dziećmi płakały. Co jest grane, że ci ludzie tak się nas boją? Myśląc o tym sam odczuwałem lęk.

Rozlokowano nas w jednostce w Gdańsku-Wrzeszczu. Od żołnierzy dowiedzieliśmy się tylko tyle, że w mieście jest rozróbka i podpalono KW. Dowódcy zrobili nam pokaz samochodów spalonych i zniszczonych przez ludność. Wyglądało to groźnie. O pierwszej w nocy położyliśmy się spać. Ale już o drugiej pobudka. Powiedziano nam, że jedziemy na obstawę stoczni.

Staliśmy za trzecią bramą. Siedząc w czołgu myślałem, że dobrze byłoby spotkać kolegów ze stoczni i dowiedzieć się, o co chodzi. Z drugiej strony bałem się, jak oni mnie potraktują. To jedno było dla mnie najprzykreszjsze ze wszystkiego. Grozy

specjalnie nie odczuwałem. Nie wierzyłem w to, że można strzelać do ludzi. I nie zastanawiałem się nad taką możliwością. Chciało mi się spać.

O piątej nad ranem ludzie, którzy szli do stoczni, obrzucili nas kamieniami. Pomyślałem: nie wiadomo, co nas czeka. Ale po 15 minutach nastąpiła cisza. O siódmej dowództwo wydało nam broń ćwiczebną, tzw. ślepaki. Z bliska można było tym kogoś poparzyć. Ale jeśli się strzela z daleka, to tylko na postrach. Uspokoilem się: nie jest tak źle. Wychodziliśmy z transporterów i rozmawialiśmy z ludźmi. Spotkałem dwóch starych kolegów ze stoczni. Wszyscy pytali: po co tu stoimy? — Kazali nam przyjechać — tłumaczyliśmy. Nikt nie odnosił się do nas wrogo. Nawet koledzy nie mieli do mnie pretensji. Ostatecznie każdy mężczyzna wie, co to wojsko.

Dowództwu nie podobały się te rozmowy.

O godzinie dziewiątej wydano nam 120 sztuk amunicji ostrej i granaty oraz polecenia: gdyby ludzie rzucili się na nas, strzelać na postrach, potem w tłum. Dowódca, młody chłopak, miał 25 lat, wydawał rozkaz takim dziwnym śpiewającym głosem. Odczułem, że on mówi, bo musi, ale sam boi się swoich słów.

Tylko jeden chłopak z naszej jednostki powiedział, że od razu strzelałby w tłum. Objechaliśmy go ordynarnie. Ktoś zapytał: ty, a jakbym tak ja strzelił ci wtedy w kark? Może to nawet ja powiedziałem, nie pamiętam. Poza tym jednym, wszyscy postanowiliśmy, że w razie czego będziemy strzelać tylko na postrach, nigdy do ludzi.

Ale wtedy jeszcze nie byliśmy zmęczeni, rozmawialiśmy trzeźwo. Po dwóch dniach (staliśmy pod stoczną do piątku) przebytych na nogach, bez snu, zrodziła się agresja. Chłopcy mówili: niech tylko któryś ze mną zacznie — zastrzelę.

Ja i dwóch chłopaków z Łodzi do końca pozostaliśmy twardzi: nie będziemy zabijać ludzi. To nie jest moja obecna wersja. Czego nie pamiętam, nie mówię. I dlatego chcę dodać, że chociaż do końca miałem tylko jedno pragnienie: nie strzelać, to nie wiem, jakby było, gdyby się na mnie ktoś rzucił. Takie rzeczy trzeba przeżyć, żeby poznać samego siebie. Z drugiej strony zaczynałem rozumieć, że to jest sprawa polityczna. A ludzie świadomi są mniej agresywni. Do takich wniosków doszedłem dziś. Wtedy niczego nie analizowałem. W ogóle nie rozmyślałem. Tylko bałem się, żeby ktoś nas nie zaatakował. Bałem się od chwili, kiedy dostałem do ręki broń...

W środę, jak każdego poranka *Tabin* wszedł do stoczni przez trzecią bramę, za którą dosyć daleko, naprzeciwko stoczni pół-

nocnej stał Pydyn. Tabin wojska nie widział. Ale w pół godziny później ludzie na wydziale zaczęli gadać, że stocznia jest obstawiona. Chciał sprawdzić te informacje. Ciekawość pognała go w stronę głównego wyjścia. Ludzie stojący za drugą bramą przesłoniли mu widok. Przebił się przez tłum i zobaczył naprzeciwko siebie wojsko z karabinami maszynowymi. Nagle spostrzegł, że z tłumy idzie w kierunku żołnierzy starszy mężczyzna. Mówił coś o swoim synu w wojsku, ale Tabin nie zwracał uwagi na tę rozmowę. Czego żałuje, bo ona chyba miała decydujący wpływ na otwarcie ognia. Tym bardziej, że w tym samym momencie ludzie wychodzący ze stoczni popchnęli tłum do przodu. Mogło to sprawić wrażenie, że ludzie ruszają na wojsko. „Od oficera, którego widziałem dokładnie, usłyszałem komendę 'Ładuj'. Poleciała seria z pistoletów maszynowych. Rzuciłem się do ucieczki, co nie było proste, bo inni robili dokładnie to samo. Poczulem silne uderzenie w plecy. Myślałem, że ktoś mnie popchnął. Strach był taki wielki, że nie upadłem. Podwoił moje siły. Doszedłem do szatni naszego wydziału. Zdjąłem kufajkę i koszulę. Stałem przed lustrem i wtedy zobaczyłem na plecach dziurę i krew. Zrobiło mi się niedobrze. Może od samej świadomości, że jestem ranny. Zakręciło mi się w głowie, ale nie upadłem, bo zobaczyłem kolegę, który wszedł do szatni. On był partyjny, bałem się powiedzieć mu o wypadku. Bo ja wiem, co by mógł o mnie nagadać? Że poszedłem na wojsko, że rozrabiałem... Strach był większy, niż ból. Ostatkiem sił włożyłem z powrotem koszulę, kurtkę i sam dowlokłem się do szpitala. Przypadkowo napotkali ludzie pomogli mi iść”.

Co za wariat strzelał? Kto to mógł być? Tylko takie pytania zadawali sobie chłopcy w jednostce. *Pydyn* nie dopuszczał myśli o rannych i trupach. Martwił się, jak to będzie na Boże Narodzenie, gdy przyjedzie z przepustką do Gdańska. Czy ludzie nie będą wytykać nas palcami? Przecież święta za pasem...

W czwartek *Tabin* miał operację.

Do *Pydyna* przyjechał brat z wujem. Ten sam brat, który teraz mówi: — ja bym na twoim miejscu na taką akcję nie poszedł. Heniek, jaki ty głupi jesteś! „Ale wtedy tak nie mówił. Podjechali razem z wujem samochodem prosto pod transporter. Dowódca pozwolił porozmawiać. Pytali, czy czegoś mi nie potrzeba i zostawili trochę pieniędzy. Jedzenia miałem w bród. Oprócz normalnego żołdu przywieźli nam słodycze, ciastka, papierosy, suchy prowiant i gorące dania. Jeszcze milicjanci oddawali nam swoje, bo wszystkiego nie byli w stanie przejeść. Dostaliśmy nowe ubrania, żyłетки do golenia, bieleznię i po 5 zł

dotadku. Codziennie mieliśmy gorącą wodę do mycia. Wódki nie było”.

O tym, co działo się w czwartek w Gdyni, dowiedzieli się od cywila. Całą złość za to wydarzenie skupili na jednym z dowódców, który nękał ich podczas ćwiczeń. Nie wnikali w jego odpowiedzialność, po prostu go nie lubili. Na temat żołnierzy i milicji nie wypowiadali się.

Tabin leżał w szpitalu do świąt Bożego Narodzenia, a potem otrzymał jeszcze półtora miesiąca zwolnienia ze względu na stan zdrowia. Leżał i myślał: co ze mną będzie? Ze mną i moją rodziną? Nie czuł krzywdy, tylko lęk. Lekarz doradził: — niech pan nie wspomina o tym wyjściu za bramę. Niech pan powie, że wypadek miał miejsce w stoczni. Gdy później w wydziale sporządzono protokół wypadku powiedział: poszedłem do dentysty, po drodze kupiłem papierosy... Tak — zgodził się z nim bez słowa wyjaśnień urzędnik od protokołu — tak trzeba mówić, bo nie wiadomo jak będzie...

„Dzięki temu, że byłem ranny, uniknąłem wielu przykrości. Znajdowałem się na liście tych, których postanowiono zwolnić z pracy. Ale ponieważ wróciłem do roboty dopiero po rozmowie Gierka ze stoczniovcami, kara mnie ominęła. Gierka pamiętam. Odwiedził nas kiedyś na statku. Powiedział wówczas, że nikt nie powinien być dłużej na stanowisku niż 4 lata.

Za wypadek dostałem 5 tysięcy złotych odszkodowania, chyba z prezydium WRN.

Leżałem wtedy chory. Żona otworzyła drzwi jakimś mężczyznom w skórzanych płaszczach. Myślałem, że to milicja. A oni przynieśli pieniądze w kopercie. Później jeszcze 5 tysięcy złotych przyznały mi związki zawodowe. Przez cały rok bolała mnie ręka. Byłem niesprawny. Narzędzia wypadły mi z dłoni. Zarabiałem tyle samo co przedtem. Ale dokonywałem tego ogromnym wysiłkiem.

Kierownik zapytał mnie kiedyś: po coś ty tam szedł pod stocznię, głupi?

Pydyn zasnął twardym, zdrowym snem. Spał od zakończenia akcji w piątek aż do południa następnego dnia. Na sali „Spójni” w Gdańsku. Przez 24 godziny nikt ich nie budził.

Gdy opuszczali już Gdańsk, zatrzymali się na chwilę na rogatkach i poszli do sklepu. Z zadowoleniem stwierdzili, że ludzie odnoszą się do nich normalnie. Można będzie przyjechać na święta! *Pydyn* dopiero w Nowy Rok pojawił się w Gdańsku i wspomina ten czas beztrosko.

W jednostce nie rozmawiali już o stoczni, choć dopiero tu dowiedzieli się, ilu ludzi zostało zabitych. „Czy unikaliśmy tych rozmów, czy po prostu nie mieliśmy na ten temat nic do powiedzenia — nie wiem.

Największą tragedią naszego życia stały się przemówienia Gierka. Sadzali nas przed telewizorami — a Gierek mówił godzinę, dwie, trzy. Usypialiśmy, budzeni przez dowódców — ciąg dalszy przemówienia. Nie umiem powiedzieć, czy mówił mądrze, czy głupio. Wiem tylko, że to było straszne”.

Gdy jesienią 71 roku Pydyn wrócił z wojska do stoczni, koledzy nie robili mu przykrości. Tabin i dwóch innych rannych dlatego, że to najspokojniejsi ludzie na wydziale — Pydyn mówi: pech chciał, że ich trafiło. A inni ostatecznie też wiedzą, że służby wojskowej nie wybiera się. Często rozmawiali o roku siedemdziesiątym. Ale Pydyn chłodno wysłuchiwał tych opowieści. Nie był, nie widział, nie przeżył. Nie czuł się również winny, bo niby z jakiego powodu?

„Czasem ktoś mi tym wojskiem dokuczy. Z czystej złośliwości. Kiedyś, jak mnie rozdrażnili, jak się wściekłem, to powiedziałem: — A cholera, szkoda, że was nie pozabijałem”.

„Nie czuję do Janka niechęci. Wierzę w to, że nawet gdyby on strzelał, to w powietrze” — tymi słowami Tabin zniweczył możliwość jakichkolwiek rozrachunków i uprzedzeń. „Najważniejsze, żeby już nigdy nie było grudnia”.

Po grudniu ludzie przestali się bać. Może dlatego, że to, co najgorsze już ich spotkało. W każdym razie Tabin nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek przedtem rozmawiali ze sobą tak otwarcie. Niektórzy już w roku 71, 72 krytykowali inwestycje. „Uważam ich za bardzo mądrych. Ja takim politykiem nigdy nie byłem. Ale nieraz idąc do domu zastanawiałem się: jak to wszystko będzie, czy wystarczy nam pieniędzy na te wydatki, które robimy?

Właściwie całe 10 lat przesiedziałem w stoczni. Pracowałem dziennie po 12 godzin, czyli półtora miesiąca co miesiąc. Zарабiаłem średnio 15-16 tysięcy. Ale uważam, że taka praca nie ma sensu. Nigdy w domu nie zjadłem obiadu, dzieci widywałem w święta. W końcu niczego nie dorobiłem się, a Polska i tak jest w nędzy.

W roku 71 jeden człowiek ze związków zawodowych pomógł mi załatwić mieszkanie. Kupiłem małego Fiata, tylko dlatego, że wtedy kosztował 69 tysięcy i można go było otrzymać za pieniądze odłożone na książeczke systematycznego oszczędzania, które ciułałem przez 5 lat”.

Dla *Pydyna* przełomowy był rok 1973. Ożenił się i wygrał jedną sprawę. To nie była duża sprawa, ale utwierdziła *Pydyna* w przekonaniu, że czasem dobrze jest się postawić, nie pozwolić na siebie krzyżeć. Kierownik chciał go ukarać za to, że zastępując przebywającego na urlopie majstra przydzielił jednemu pracownikowi dzień wolny. Nazajutrz *Pydyn* zauważył, że podobnie postąpił inny majster w stosunku do swego pracownika i nikt mu nie zwrócił uwagi. To ja zrobię piekło — powiedział *Pydyn*, i zrobił. Kary nie otrzymał. Sprawa elegancko przycichła.

Ale niektórzy zaczęli mówić, że *Pydyn* jest pyskаты. „W roku 76 na związkowym zebraniu wyborczym jedna pani z rady zakładowej zachwyciła się opieką lekarską na naszym wydziale. Powiedziałem wówczas, że opieka jest tak wspianiała, że ja osobiście nie zaprowadziłbym do naszej lekarki zwierzaka. Zresztą rzeczywiście niedługo zmarły trzy osoby, ich chorób lekarka nie rozpoznawała. Podpadłem. Kierownictwo przyuważyło mnie wtedy. Dobrze, że na wiecu pod dyрекcją w czerwcu 76 roku nie przemawiałem. Chociaż miałem chęć. Ale kolega mnie powstrzymał. Dobrze zrobił, bo tych, co przemawiali, zwolnili później z pracy”.

Waleśa wyleciał już wcześniej, *Tabin* mówi, że kierownictwo wydziału zwolniło go tak szybko i po cichu, że ludzie nie zdążyli na to zareagować. Skończyły się szachy podczas śniadania, które Waleśa uwielbiał. Lubił wygrywać.



O zwolnieniu Waleśy *Pydyn* mówi niemal tymi samymi słowami, co *Tabin*. Dodaje przy tym: kierownictwo zachowało się bardzo sprytnie, wiedzieli, że Waleśa jest lubiany.

Tabin w czerwcu 76 roku poszedł pod dyрекcję, bo ludzie z wydziału powiedzieli: Józek, byłeś w grupie rannych, jeśli ty się nie boisz i my pójdziemy. „Bałem się ale nie chciałem zniechęcać innych”.

Anulowano podwyżkę cen i nic się nie zmieniło. W tym kraju nic się nie może zmienić — jakieś zniechęcenie ogarnęło ludzi. *Tabin* obserwuje trzy zjawiska: beznadziejność milczenia, beznadziejność protestu i pozbywanie się strachu. Już nie tylko dyskutowano ale wymyślano publicznie na stosunki panujące w zakładzie i w Polsce.

W roku 78 *Pydyn* został zwolniony z funkcji brygadzysty. W roku 79 zapytał na zebraniu, dlaczego on i kilku innych pracowników są na czarnej liście? Nikt nie odpowiedział na to pytanie, ale też nie zaprzeczył istnieniu listy. Podobno był na niej

także Henryk Lenarciak (obecnie przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomników Stoczniowców).

Gdy w roku 79, tuż przed rocznicą grudnia, aresztowano Lenarciaka, na półtorej godziny stanął cały wydział elektryczny. Zanim podjęli pracę, kierownictwo wydziału musiało obiecać, że Lenarciak zostanie wypuszczony. Rzeczywiście nazajutrz przyszedł do pracy. Tabin i Pydyn wspominają to wydarzenie jako pierwszą, nieśmiałą jeszcze, ale udaną próbę solidarności w obronie kolegi.

Podczas wyborów do rady oddziałowej w roku 80 robotnicy usiłowali zgłosić kandydaturę Pydyna i Lenarciaka. Ale nie dopuszczono ich do głosu. Siedmiu kandydatów wybierało się z listy, jednego podawało się z sali. Ten jeden był szansą dla załogi. Ale trudno go zgłosić, bo gdy podnosiły się do góry ręce zawsze udzielano głosu temu, który podawał uzgodnioną uprzednio kandydaturę.

Tabin i *Pydyn* byli przekonani, że w stoczni wybuchnie strajk. Nie wiedzieli tylko dokładnie, kiedy.

Tabin wrócił z urlopu dopiero 14 sierpnia wieczorem. Od razu dowiedział się o strajku. Następnego dnia rano jechał do stoczni nie wiedząc, jaki los zgotuje mu historia tym razem. Co uczyni władza? Bał się tej niepewności. Ale nie odczuwał już lęku przed kolegami. Nie wyobrażał sobie, aby w ciężkiej chwili mógł przed kimkolwiek, obojętnie, partyjnym czy nie, zataić prawdę, tak jak w roku 70, gdy bał się przyznać, że jest ranny. Jadąc kolejką do Gdańska zadawał sobie pytanie: czy strajk jest dobrze zorganizowany, czy tak jak w siedemdziesiątym? Ledwie przekroczył próg stoczni, zorientował się jednak, że tym razem wszystko jest inaczej.

Pydyn był tego dnia, i jeszcze przez dwa dni następne, członkiem wydziałowego komitetu strajkowego. Razem z *Wąłęsą* obradowali u dyrektora, omawiając pierwsze postulaty.

Dopiero teraz zrozumiał rok siedemdziesiąty. Teraz, gdy razem z innymi narażony był na wszystko, odczuł obawy i niepokoje, o których opowiadał mu *Tabin*. Teraz, gdy pełniąc straż przy głównej bramie rozmyślał: a jeśli tu wejdzie jakiś prowokator?, gdy zastanawiał się: co Jagielski przywiezie z Warszawy?, jak długo potrwa strajk i czym się skończy?, gdy uspokajał innych, że desantu na stocznię nie będzie, choć sam tego nie wiedział, zrozumiał jak dobrze być żołnierzem...

Obiektywnie lepiej być po tamtej stronie stoczni, w wojsku, za bramą. Ale chociaż *Pydyn* o tym wie, mówi, gdyby można wybierać swój los, on wolałby zawsze to miejsce wśród robotni-

ków. „Po tamtej stronie ustawiono mnie przeciwko ludziom, a po tej mogłem coś dla nich zrobić. Gdybym dziś, wiedząc to wszystko, co wiem, znalazł się w takiej sytuacji, jak w roku 70, przeżyłbym piekło, którego udało mi się wtedy uniknąć. Z nieświadomości”.

Krystyna JAGIEŁŁO

(*Tygodnik Solidarność*, 7 sierpnia 1981)

Leszek BĘDKOWSKI

JEDEN DZIEŃ — CZTERY LATA

Gdy następnego dnia rano wrócił do Radomia, gaz dusił jeszcze tak, że nie można było ustać pod czerwonym światłem. Po wyludnionych ulicach krążyły wozy z działkami i patrole milicyjne. Krawężniki były powyrywane, witryny rozbite, chodniki zasypane szkłem, gruzem i powyciąganymi ze sklepów towarami.

Podwyżkę cen cofnięto, ale jakby z zemsty za ten wymuszony ruch podjęto inne decyzje, które znalazły wiernych wykonawców. Przy czym ścieżki zdrowia — chociaż stały się tak głośne, jak były okrutne — są zaledwie częścią prawdy o Czerwcu w Radomiu.

1.

Restauracja „Europa”. Leokadia Sarnacka:

— To było przed dziesiątą. Na oddział w „Radoskórce” weszli mężczyźni z jakiegoś innego zakładu i zaczęli wołać, byśmy odeszły od maszyn. Bałam się, bo obok stała szefowa. Ale oni namawiali: „Odejdźcie, pokażemy robotniczą siłę”. Poszłyśmy na dół przed bramę, a później pod partię. Tam był już tłum. O 12-tej akurat dzwonili w kościele, pomyślałam sobie — pójdę, zrobię mężowi obiad. On chory, na rencie, siedział w domu. I tyle było mojego działania 25 czerwca. Za 4 dni majster powiedział: „Pani odejdzie od maszyny, pani jest zwolniona”. A ja:

„Gdzie wy mnie zwalnianie, 21 lat jestem szwaczką, najcięższe roboty robiłam, z temperaturą chodziłam do pracy”. Ale on twarło, że jestem zwolniona. Do domu całą ulicę zapłakałam: „O Jezu, jak my będziemy żyć za te 1200 zł renty Tolka!”. Przez dwie godziny siedziało u mnie pogotowie, dawali zastrzyki, uspokajali: „Takie czasy, musi pani wytrzymać”.

Poszłam następnego dnia do personalnego i pytam: „Za co będę żyć?”. A on: „Trudno, jest pani warchołem”. Założyłam sprawę do komisji przy prezydencie miasta. Sędzina, dobra kobieta, zwróciła się na sprawie do dyrektora technicznego: „Na tę kobietę nie ma dowodów, to jest 50-letnia osoba, utrzymuje rodzinę”. A dyrektor: „Jak bym miał przyjąć tę, to musiałbym wszystko”. Poszłam do sądu. Tam mi pomogli tyle, że pokazali, kto napisał na mnie opinię. Będę te nazwiska pamiętać do śmierci. Napisałam do Gierka. Odpisał, że odpowiedź da mi Radom. Dał. Chodziłam bez pracy, oszukiwałam syna, że wzięłam urlop.

Dopiero we wrześniu kierownik „Europy” przyjął mnie do obierania kartofli. W „Radoskórze” miałam 3.500 zł, tu dostałam 1.500. Te kartofle były myte moimi łzami, a jak wzięłam pierwszą pensję, płakali ze mną wszyscy, do domu zaniostałam mokrą kopertę.

Później zaczęli przyjeżdżać z Warszawy, przywozili pieniądze. W pracy, po dwóch latach dostałam podwyżkę na 1.600 zł. Dziś mam już 3.200, a „Solidarność” załatwiła mi odszkodowanie. Ciągłe nie mam wysługi lat, a zbliża się emerytura. I to jedno, co we mnie zostało, że jak przypominę sobie wszystko od nowa, to jestem wewnątrz chora. Już chciałam odebrać sobie życie. Nikt tu nie spytał „co tam u ciebie, czy masz z czego żyć?”. Przetrwałam. Tylko jak zobaczę pieczęć „Radoskóru” drzę...

2.

„Radoskór”, dział kadr. Teczka „25.06.76”, założona po Sierpniu. Kilka dokumentów:

„Radom, 30.06.76. Protokół z posiedzenia kierownictwa i kolektywu oddziału (...) w składzie (...). Kolektyw oddziału na swym posiedzeniu dokonał analizy wydarzeń w dniu 25.06.76, poddając jako szczególną sprawę zachowanie się pracowników (...), którzy w dniu 25.06.76 brali czynny udział w demonstracji i zakłócaniu porządku publicznego. Jako kolektyw oddziału

potępiamy zachowanie się tych osób i prosimy ob. dyrektora o zajęcie stanowiska do tych, którzy nie zasługują na miano pracownika „Radoskóru”.

Pod spodem dopisek dyrektora — „Bezwzględnie zwolnić bez wypowiedzenia”.

„Wykaz pracowników, którzy agresywnie postępowali przy wyjściu z zakładu: Janina Chmielewska — agresywnie krzyczała o podwyżkach; Sabina Różycka — demonstracyjnie namawiała do wyjścia; Stefan Pintera — namawiał do wyjścia; Urszula Grzybowska — agresywna w stosunku do kierownictwa; Piotr Słomka — opuścił zakład jako pierwszy itd., itd.”.

3.

Mistrz z „Radoskóru”, chce pozostać anonimowy:

— „Z ‘Waltera’ przyszli o 9-tej. Z tysiąc osób. Przeszli przez halę, za nimi poszła cała zmiana. Przez godzinę stali pod bramą. Wyszedł naczelny, przemówił. Kobiety obstały go, zaczęły płakać. Nikt nie wiedział co robić. Pochód ruszył pod komitet, chociaż część ludzi poszła do domu, a część do zakładu. Ja, jako mistrz utrzymania ruchu, wróciłem także. Zadzwoił kierownik, kazał obejść zakład i iść pod komitet. Myśleliśmy, że uda się nakłonić ludzi do rozejścia się.

Zeromskiego szedł pochód. Ludzie w roboczych ubraniach nieśli biało-czerwone chorągwie. Było jak na 1 Maja, tylko cisza, olbrzymia cisza i ponure twarze. Absurdem było rozganiać tych ludzi. Ponieważ już wcześniej miałem zaplanowany wyjazd, o godz. 14.50 wsiadłem do pociągu. Z wagonu zobaczyłem dym. Następnego dnia nie wytrzymałem i wróciłem na motorze. Gaz dusił jeszcze tak, że nie mogłem ustać przy czerwonym świetle...

Dla mnie ten dzień nie skończył się. Córką, która pracowała ze mną w „Radoskórze”, wyszła ze wszystkimi. 30 czerwca została karnie zwolniona. Przeszła to samo co inni, chociaż była w ciąży. Dopiero we wrześniu znaleźliśmy jej pracę w spółdzielni. Ja natomiast, za pełnoletnią córkę, mężatkę, dostałem naganę partyjną. Pytałem I sekretarza w zakładzie: „Robię tu od 1951 roku, w partii jestem od 1953, pod komitet poszedłem z polecenia kierownika, za co mnie krzywdzicie?”. Poradził mi nie stawać okoniem. On później poszedł na przewodniczącego WRZZ i członka egzekutywy KW. Pierwszy był do rozmów partyjnych po czerwcu. Pyta się mnie: — „Gdzieżeście byli?”

A ja: „A wy gdzie byliście? Bo gdy dyrektor i zastępcy, i mistrzowie wyszli przed bramę do ludzi, to was jednego tam nie było...”.

Jako członek Terenowej Komisji Odwoławczej wiem dobrze, jaki potem był kurs. Chcieliśmy ludzi przywracać do pracy, bo wybierano ich przecież przypadkowo, na podstawie zdjęć robionych przez milicję, doniesień. Wtedy rozpętało się piekło, całe draństwo wyszło na wierzch, pozbywano się ludzi niewygodnych, zaczęły się rozgrywki między mistrzami, kierownikami, całe to draństwo liczyło na awanse, sąsiad donosił na sąsiada. A pod artykuł 52 kodeksu pracy można było podciągnąć wszystko i podciągali na chybił trafił. Próbowaliśmy cofać wypowiedzenia, ale naciskano nas. Był zakaz zatrudniania zwolnionych, nie było to oczywiście sformułowane na piśmie. Ludzie byli bezbronni, bo na wszystkich wypowiedzeniach widniały podpisy nawet związków zawodowych”.

4.

MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej. Z ustaleń komisji do spraw rehabilitacji wydarzeń czerwca 1976:

Pierwszy stanął wydział P-6 w „Walterze”, już o 6-tej rano. Nikt nie potrafił odpowiedzieć robotnikom, dlaczego mają tracić na podwyżce cen. Wśród robotników nikt też nie pomyślał o strajku, o zorganizowanym proteście. Dopiero później, już pod komitetem partii, niejednemu przypomniawszy się gdański grudzień. Rano ludzie wyszli z zakładu, jedni prosto pod komitet, drudzy do innych fabryk. Ok. godz. 9-tej pod budynkiem KW stała już duża grupa robotników. Do gmachu weszła delegacja, by rozmawiać z ówczesnym I sekretarzem Prokopiakiem. Sekretarz wyszedł do ludzi.

Wiesław Mizerski, przewodniczący komisji: „Prokopiak prosił o powrót do zakładów. Robotnicy żądali wyjaśnień natychmiast. Prokopiak powiedział, że musi skontaktować się z Warszawą. Przyrzekł, że o godz. 14-tej da odpowiedź. Zebrało się 30-40 tys. osób. Panował porządek, na rogach ulic stała nawet „drogówka”, kierując ruchem. Około godz 13-tej milicja zniknęła. Zaczęło natomiast przybywać ludzi, którzy zgodnie z zapowiedzią, chcieli usłyszeć odpowiedź. Niesiono transparenty „Precz z podwyżką”, „My chcemy chleba” itp. Zaczęto się niecierpliwieć, gdyż pojawił się helikopter, a od tyłu, do KW podjechała sanitarka. Ktoś krzyknął, że Prokopiak uciekł. Tłum wtargnął

do budynku. Zaczęto wyrzucać na zewnątrz dywany, kolorowe telewizory, a z bufetu szynki, konserwy, koniaki, wódki. Do tego momentu nie wypadła w mieście żadna szyba. I gdzieś o tej porze nadciągnęły od strony lotniska pierwsze oddziały ZOMO. Z samochodów wysypali się milicjanci w polowych mundurach, z tarczami i długimi pałkami, w kaskach z plastikowymi przyłbicami nasuniętymi na twarze. Za nimi pojawiły się wozy z działkami wodnymi i miotaczami gazów dławiących. W tłumie wybuchła panika. Komitet już płonął. Pożar wzniecono między godz. 14-tą i 15-tą. Zaczęło się popołudnie, w którym pomieszało się wszystko: protest, któremu zabrakło koncepcji, organizacji i liderów, z prowokacją, zwykłą rozróbą i bijatykami”.

Jeszcze początkowo niektórzy nawoływali do powrotu do zakładów lub próbowali tworzyć straż robotnicze. Nie dopuszczono do wynoszenia żywności z Zakładów Mięsnych. Na jednej z ulic kierowcy przepędzili grupy nastolatków przebijających opony. Ktoś bezskutecznie próbował pilnować rozbitych sklepów...

5.

„Radoskór”. Stefan Pintera:

— Pod komitetem byłem, aż zaczął się palić. Wtedy uciekłem do domu. Wyszedłem z zakładu, bo jako mąż zaufania i członek rady oddziałowej musiałem być z ludźmi. 29 czerwca mistrz oddziału wręczył zwolnienie dyscyplinarne trzem kobietom i mnie. Dyrektor powiedział, że zostaliśmy zwolnieni, ponieważ milicja ma zdjęcia jak rozrabialiśmy na mieście. W ciągu dwóch dni złożyłem odwołanie do komisji przy prezydencie. Na pierwszej sprawie sędzina powiedziała, że wszystko jest w porządku, tylko żebym przedstawił świadków. Zrobiłem to, a zakład nie miał żadnych. Na drugiej sprawie sędzina orzekła więc: „Dajemy zakładowi tydzień na przedstawienie dowodów, bo inaczej przywrócimy człowieka do pracy”. Na trzecią rozprawę szedłem dobrej myśli. Przybył na nią zastępca dyrektora i II sekretarz partii. Konferowali z sędziną zanim ja zostałem wezwany. Po pół godzinie poproszono mnie i sędzina powiedziała: „Panie Pintera, niech pan prosi dyrektora o przywrócenie do pracy”. Poprosiłem, mówiąc, że pracowałem 27 lat, nie miałem kar dyscyplinarnych, dostałem dwa dyplomy i książkę z dedykacją. Dyrektor: „Nie, nie”. Sędzina powiedziała, żebym prosił jeszcze raz. Dyrektor jakby zwątpił, popatrzył na II sekretarza, ale ten

pokręcił głową. I wtedy dyrektor powiedział: „Nie, panie Pintera, takich ludzi, jak pan w zakładzie nam nie potrzeba”.

Zacząłem szukać dojścia do kolektywu, który powołano do zwalniania pracowników. Odsyłali mnie jeden do drugiego. Dotarłem do I sekretarza, który mnie objaśnił: „Ja was rozumiem, ale takie tu były straty w mieście, podpalono komitet, powybijano szyby”. Odparłem, że ja nie rabowałem. On mi na to, że na moje konto było rabowane. Poszedłem do naczelnego. Kazał mi się odwoływać. Powiedziałem, że się odwoływałem, ale komisja poparła zakład, chociaż on nie przedstawił świadków. A dyrektor: „No, widzi pan, gdyby pan był bez winy, to by pan nie był zwolniony”.

I jak w tym czasie ludzie byli podli, źli, obojętni, tak znalazła się osoba, która bezinteresownie podała mi dłoń. Innym także. Zastrzegła sobie tylko jedno, żeby nigdzie nie ujawniać jej nazwiska. Dziś mogę już chyba je podać — to pani Regina Zaborska, nasz radca prawny. Napisałem do sądu według jej wskazówek i zaraz potem zadzwonił dyrektor, że będę przywrócony do pracy. Przywitał się ze mną grzecznie, pogratulował powrotu, całkiem inny człowiek. Część nieobecności pokryli moim urlopem, a na resztę kazali pisać podanie o urlop bezpłatny. Straciłem wysługę lat i grupę. A ci, co mnie zwolnili, wzięli wysokie premie.

Po powrocie do pracy spytałem wiceprzewodniczącą rady zakładowej, dlaczego nie bronili mnie wtedy. Odpowiedziała, że partia zabroniła im wstawiać się za takimi jak ja. Ale to mało. Dopiero kiedy powstała „Solidarność” i mogłem wejrzeć w papiery okazało się, że na skutek zwolnienia z pracy związki zawodowe wyrzuciły mnie ze swoich szeregów.

6.

Z ustaleń radomskiego MKZ:

„Zwolniono z pracy ok. 700 osób, w tym połowę z 'Waltera'. Pobito kilkaset osób. Skazano blisko 300 osób i tyle samo osądzono w kolegiach ds. wykroczeń. Dyscyplinarnie ukarano kilka tysięcy osób. Represjonowanym odebrano dniówki, trzynastki, dodatki rodzinne. Ludzie tracili grupy uposażeniowe, urlopy i wysługę lat. W tej masie naprawdę znikomą część stanowiły osoby złapane na gorącym uczynku przy niszczeniu mienia publicznego. Obrońcy w procesach ograniczali się do formalnej

obecności. Dopiero później pospieszyli z pomocą z Warszawy mecenasi Siła-Nowicki, Olszewski, Szczuka itd. Ukarali ich za to „kolektyw” palestry.

Posypały się areszty tymczasowe, dla których podstawą był „udział w zbiegowisku publicznym”, a uzasadnieniem „wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu”. Atmosferę podsycały wiece i masówki, te od „warcholstwa”, „chuligaństwa”, „wyprysku na zdrowym ciele klasy robotniczej”.

7.

Radom, osiedle Ustronie, mieszkanie Romualda Jęczkowiaka (żona, dwoje dzieci):

Do piętnastej pracował, jak zawsze, w spółdzielni „Wspólnymi Siłami”. Nie wiedział nawet co dzieje się w centrum. Po południu poszedł z bratem kupić buty na urlop. Wrócił następnego dnia o godz. 22-ej. Żona naskoczyła: „Gdzieżeś się włóczył?”. Ściągnął koszulę: „Zobacz, gdzie się włóczyłem”. Jak jest silna, mało nie zemdląła. Na 2 lipca dostał wezwanie na komendę. Poszedł, nie wrócił. Ona trzeciego dostała zawiadomienie o aresztowaniu. Sprawa była w lipcu. Oskarżono go o to, że „w dniu 25 czerwca 1976, działając w sposób chuligański, wziął udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy wspólnymi siłami dopuścili się gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy publicznych oraz na obiekty i urządzenia gospodarki uspołecznionej, powodując w następstwie zamachu uszkodzenia ciała 75 funkcjonariuszy MO oraz szkodę w mieniu społecznym o wartości 28 mln zł” oraz o to, że „działając w sposób chuligański znieważał słowami uznanymi powszechnie za obelżywe funkcjonariuszy MO — Waldemara Prusika i Andrzeja Brauna”. Nie przyznał się do winy, ale orzeczono, że „w świetle całokształtu materiału dowodowego, a w szczególności zeznań świadków, wyjaśnienia podejrzanego na wiarę nie zasługują”. Świadcami byli Prusik, Braun, a dowodami notatki informacyjne, notatki służbowe, protokół przeszukania itd. Dostał trzy lata.

Jesienią przyjechał do Radomia pan Zbyszek*, odszukał żonę, wręczył pieniądze. Później skontaktował z panem Mirkiem**, który zaprowadził ją do mecenasa Olszewskiego. Wnieśli rewii-

* Zbigniew Romaszewski.

** Mirosław Chojewski

zję. Wyrok zamieniono na dwa lata więzienia, w zawieszeniu na trzy lata. W grudniu spółdzielnia przyjęła Jęczkowiaka ponownie do pracy. Żona przeszła wiele. Dobrze, że jej pomogli, już nawet nie wszystkie nazwiska się pamięta. Tacy, rzecz by można, ludzie.

8.

„Radoskór”. Zbigniew Podlewski, przewodniczący „Solidarności”:

— Nikt do końca prawdziwie nie odtworzy tego popołudnia. Byli ludzie, którzy autentycznie zaprotestowali i mają świadków, że represjonowano ich według zasady odpowiedzialności zbiorowej. Byli ludzie, którzy przyłączyli się do tłumu. Byli ludzie, którzy rzeczywiście demolowali i kradli. Byli milicjanci, którzy sami przerazili się rozwojem akcji. I byli też zwykli sadyści. Czy wyjaśnimy to do końca?

9.

W 1976 roku można było rozgraniczyć każdą z tych grup. Władza nie życzyła sobie jednak kategorii „uzasadnionego protestu”. Wszystko wrzucono do jednego worka według kryterium „dobra Warszawa i zły Radom”. Gdy nie można było dyskutować o przyczynach protestu, gdy wszystko było warcholstwem, czy warto było zastanawiać się, jaki kamyk wywołał lawinę przemocy, gwałtu i niszczenia?

10.

„Radoskór”, kadry. Jadwiga Sawicka, kierowniczka:

— Wyrzucamy świadectwa pracy i opinię z 1976 roku. Wpinamy nowe z taką oto treścią: „W myśl Porozumienia Gdańskiego i Szczecińskiego rozwiązanie stosunku pracy w trybie art. 52 kp uznano za bezzasadne”.

„Radoskór”. Czesław Leśniewski:

— Ten zryw nie miał racji bytu, bo był zbyt spontaniczny. Lecz gdyby tamtego dnia wyszedł ktoś do ludzi ze zrozumieniem i poważnym słowem, nie byłoby czterech lat krzywdy.

Leszek BĘDKOWSKI

(Życie Warszawy, 25 czerwca 1981)

Mariusz MUSKAT

GRUDZIEŃ PRZED SIERPNIEM

„A źródło — a źródło wciąż bije”

Jacek Kaczmarek

Listopadowym popołudniem, pokonując pierwszą zawieję śnieżną docieramy na peryferiach Kościerzyny do piętrowego bloku, w którym mieszczą się mieszkania pracowników Rejonu Dróg. Jest zupełnie ciemno — tym razem wyłączenie prądu będzie trwało trzy godziny. Z Bogdanem Borusewiczem — pasjonatem akcji terenowych — odnajdujemy Błażeja Wyszkowskiego w świetlicy na zebraniu Komisji Zakładowej. Ledwie widoczni mężczyźni dyskutują pół po polsku pół po kaszubsku o zapasach drewna na zimę. Musieliśmy tu przyjechać — jakże pisać o obchodach grudniowych bez Błażeja. Pamiętam jak w 77 dostaliśmy w ostatniej chwili kilkaset złotych ze zbiórki stoczniowej i trzeba było jeszcze kupić dodatkowe kwiaty — kilkadziesiąt czerwonych cyklamenów. Biegliśmy, rozdając po drodze klepsydry, aby zdążyć pod II bramę, bo przecież Błażej miał nieść wieniec...

Zapalamy świecę — mogę zatem notować. Mamy dwie godziny na wywołanie kilku kadrów filmu z życia garstki, która pociągnęła za sobą lawinę.

— *Czy pamiętacie obchody w roku 71, na 1 Maja?*

Błażej Wyszkowski: — Nie było mnie tutaj wtedy. Kiedy przyszedłem na studia do Gdańska i pytałem starszych studentów, nic właściwie nie potrafili mi powiedzieć. Odnosiłem wrażenie, że byli zadowoleni z dodatkowych wolnych dni, jakich im w Grudniu udzielono.

Studiowałem wtedy w Lublinie. Pamiętam, że była oficjalna notatka w *Wieczorze Wybrzeża* informująca, że dyrekcja Stoczni Gdańskiej i organizacje społeczne składały wieńce pod murem, a robotnicy w oficjalnym pochodzie nieśli transparent domagający się ukarania winnych i zbudowania pomnika.

— *Później już obchody stały się zakazane. A jednak... zaczęły się odbywać. Od kiedy?*

Bogdan Borusewicz: — W Zaduszki 76 roku grupa studentów (późniejsze środowisko Ruchu Młodej Polski) w której byli: Arkadiusz Rybicki, Aleksander Hall i Wojciech Samoliński zapaliła świece i złożyła kwiaty pod II bramą Stoczni Gdańskiej. Ja pojechałem wieczorem do Gdyni i zrobiłem to samo na „pomście śmierci” przed Stoczną oraz pod budynkiem Prezydium MRN. Nie byłem jeszcze wtedy członkiem KOR-u — bardzo się bałem i wskoczyłem szybko do bramy, nikt mnie jednak ani nie śledził ani nie zatrzymał.

1 Maja 77 roku wspomniana grupa studentów, związana z księdzem Sroką z duszpasterstwa akademickiego złożyła pod bramą stoczni w Gdańsku wieniec z szarfą: Poległym stocznikom studenci. Było ich około 30 i działo się to około godziny 14-tej, ale właściwie nie zostało zauważone. Wieniec leżał zaledwie 5 minut, bo władze były już przygotowane. Wcześniej, na miejscu naszej zbiórki zastaliśmy sporo milicji. Nie zatrzymywano nas jednak...

Po tej uroczystości doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu organizować obchodów, które nie znajdują żadnego rezonansu społecznego. Postanowiliśmy przenieść uroczystości na grudzień, na godzinę wyjścia pracowników ze Stoczni. Środowisko nasze w ciągu roku 77 znacznie się poszerzyło. Między innymi działał już Błażej, który zgłosił się do mnie wprost z ulicy, po przeczytaniu adresu w którymś z komunikatów KOR-u.

— *Pamiętam zarzuty, że organizujemy obchody uliczne, a nie chodzimy na cmentarze. Jak to było naprawdę?*

B.W.: — Od 77 roku składaliśmy rokrocznie kwiaty na grobach z Grudnia. Oczywiście na tych, o których wiedzieliśmy, a więc na około 12 grobach w Gdyni i na jednym w Sopocie. Było to zawsze 1 listopada. Staraliśmy się to robić w dużej grupie, żeby było zauważalne. Kwiaty były biało-czerwone, z takimiż szarfami. Obstawa SB była, ale ograniczała się do obserwacji. Na grobach spotykaliśmy rodziny zabitych — w pierwszym roku bardzo zaskoczone i wzruszone. Pamiętam grób harcerza, stojący w eksponowanym miejscu, a na jego płycie bardzo dużo świec. Zatrzymywało się tu wielu ludzi. Wiedzieli widocznie z czym związany jest ten grób — był zatem miejscem symbolicznym. Zaskoczony byłem tak młodym wiekiem zabitych, dwaj z nich mieli zaledwie po 15 lat.

— *Grudzień 77 roku. Pierwsze istotne przełamanie bariery strachu. Czy tak?*

B.B.: — Na pewno. Działał już wtedy Studencki Komitet Solidarności Wyższych Uczelni Trójmiasta oparty o dynamiczny rozwój grupy, o której wspomniałem. Do tego Komitetu wszedł też Błazej. Ponadto udało mi się zebrać kilkunastoosobową grupę samokształceniową złożoną głównie ze studentów Politechniki. Najaktywniejsi byli w niej: Staszek Śmiegiel, Antek Mężydło i Andrzej Stefaniak. Zrobiliśmy kilkaset małych klepsydry, rozklejanych po mieście (przepisane były na maszynie do pisania przez rodzeństwo Rybickich) oraz kilkadziesiąt większych wykonanych metodą sitodruku. Nieoficjalny druk był już w fazie raczkowania.

— *Czy w grupie organizacyjnej przygotowującej obchody byli wyłącznie studenci?*

B.B.: — W zdecydowanej większości tak. Ale byli już wtedy np. Joanna i Andrzej Gwiazdowie ze środowiska KOR-u, a ze strony ROPCZiO, w ramach którego działali młodzi, z trójmiejskiego SKS, np. Tadeusz Szczudłowski czy Jan Samsonowicz. W 79 roku przyjechał nawet Leszek Moczulski ale został zatrzymany w areszcie. Pieniądze na wieniec z szarfą o treści takiej samej jak 1 Maja zbieraliśmy też przede wszystkim wśród studentów. Inicjator zbiórki wśród stoczniovców, o której wspominałeś na wstępie, miał później sporo kłopotów w zakładzie pracy i nie pomógł nam już więcej.

— *Czy były jakieś próby przeciwdziałania ze strony władz?*

B.W.: — Raczej nie, choć pod Stoczną napotkaliśmy istne zatrzymanie tajnych agentów. Można ich było łatwo rozpoznać, bo śledzili nas wcześniej. Nie było więc zatrzymań, ale w mieście zatrzymano sporo osób z wieńcami, które niesiono na pogrzeby. Wieniec miałem u siebie w piwnicy, a dom był obstawiony. Wyszedłem więc rano, biorąc „ze sobą” znaczną większość obstawy. Wtedy kolega przyjechał i zabrał wieniec bezpiecznie do taksówki i jadąc okrężnie przywiózł go pod Stoczną dokładnie na wyznaczoną godzinę.

Na skrzyżowaniu ulicy Doki i Łagiewniki było nas wtedy zaledwie kilkunastu. Ruszyliśmy w kierunku bramy. Grupa agentów udających robotników usiłowała nas zatrzymać ale rozstąpili się, bo my zdecydowanie szliśmy naprzód, a zza zakrętu wyłaniała się już kilkunastoosobowa grupa publiczności. Rozklejanie klepsydr okazało się skuteczne. Pamiętam, że ci, którzy chcieli nas zatrzymać, mówili, że przeszkadzamy im spokojnie pracować (było już po pracy). Był to szczyt perfidii. Dojście do muru stoczni było zablokowane kilkunastoma autobusami oraz tramwajami o numerach, które normalnie tamtędy nie jeździły.

B.B.: — W tym czasie zaczęli już wychodzić robotnicy ze stoczni. Widząc niesiony wieniec zdejmowali czapki. Kiedy minęliśmy rząd autobusów, który odgradzał nas od placu (taka była ich zamierzona funkcja), okazało się, że pod murem stoi sporo zaparkowanych samochodów osobowych. Z trudem znaleźliśmy miejsce i złożyliśmy wieniec. Było błotniście. Ludzie zapalali świeczki oraz układali kwiaty. Zauważyłem, że robili to również zupełnie nam nieznani, spoza środowiska. Jak podchodziliśmy do muru, rozległy się oklaski i jakaś stara kobieta krzyknęła głośno, że wreszcie znalazł się ktoś, kto uczci poległych. Powiedziałem do kilkusetosobowego tłumu kilka prostych zdań w tonie informacyjnym i odśpiewaliśmy hymn. Próbowano nam przeszkadzać także i w tym momencie poprzez uwagi typu: „Idźcie z tym na cmentarz” a podczas hymnu spostrzegliśmy, że część publiczności nie zdjęła czapek. Był to bardzo skuteczny test, który pozwolił zidentyfikować tajniaków.

Po złożeniu kwiatów odeszliśmy w stronę placu, aby nie utrudniać innym dostępu. I wtedy autobusy zaczęły przejeżdżać pod murem (były zupełnie puste) aby utrudnić dojście do niego oraz filmowanie i fotografowanie wiecu. Fotografów zatrzymano później w mieście i odebrano im filmy, przesłuchiowano ich. Na szczęście nie wszystkie zdjęcia wpadły. Przede wszystkim zachował się film ruchomy. Wyjęty sprytnie z kamery natych-

miast po dokonaniu naświetlenia uratował się mimo wielu rewizji w późniejszych latach i niebawem będzie stanowił część pewnego filmu dokumentalnego o tych czasach. Tymczasem SB urządziła wielkie polowanie na kamerę. Działo się to około godziny 15-tej w samym centrum Gdańska. Napadli na nas jak chuligani. Bijąc i szarpiąc, zajeżdżając drogę samochodami wydarli wreszcie kamerę Błażejowi i wtedy... mieszkańcy Gdańska zupełnie zdezorientowani zobaczyli grupę tajniaków uciekającą przed studentami, krzyczącymi „łapaj złodzieja”.

Poszliśmy natychmiast na komendę, zgłaszając napad. Do późnych godzin wieczornych trzymali nas tam ni to w charakterze zatrzymanych ni to świadków nie bardzo kryjąc się z chęcią zdobycia filmu. Bardzo zabawna sytuacja. W końcu po dwu miesiącach zwrócili kamerę ale bez jednej soczewki, więc była nie do użytku. Chcieli widać zemścić się chociaż trochę.

Z rzeczy śmiesznych zdarzyła się jeszcze jedna a właściwie dwie. Pierwszą była wizyta trzech panów ze stoczni, którzy przyszli do mnie do domu strasząc, że nie dopuszczą do obchodów. Delegacją dowodził aktywista partyjny Mazurkiewicz. Po obchodach Bożena Rybicka została skazana przez żalosne kolegium na 5 tys. zł grzywny za naklejanie klepsydry. Napisaliśmy do wojewody odwołanie podkreślając, że stanowi to wskaźnik zmiany oficjalnej interpretacji wydarzeń grudniowych. Odpowiedzi nie było.

Zdarzył się też wypadek tragiczny. Otóż wieniec składaliśmy 16 grudnia — dokładnie w rocznicę salwy oddanej do grupy robotników spokojnie wychodzących ze Stoczni. „Aktyw” stoczniowy najprawdopodobniej „odprężył” się nieco po zakończeniu uroczystości. Członek egzekutywy KZ wracając do domu wieczorem najechał pod bramą Stoczni Północnej na starszego robotnika Zygmunta Kiedysza. Prowadzący był zupełnie pijany — po zbiciu okazało się, że ma 2,55 promila alkoholu we krwi. Aresztowano go dopiero po miesiącu, gdy sprawie tej nadaliśmy rozgłos w dokumentach KOR-u. Zygmunt Kiedysz zmarł.

— *Jak długo leżał wieniec?*

B.W.: — Około godziny. To był już duży sukces.

— *Przejdźmy teraz do roku 78.*

B.W.: — W 78 miały miejsce aresztowania przewencyjne. Ja również zostałem zatrzymany i przewieziony do znanej komendy

na Białej. Było tam nas kilku (mój brat Krzysiek, Hall, Zapolnik, Szczudłowski i inni). Porozumiewaliśmy się krzykiem między celami a obsługa specjalnie nie interweniowała — zdawała sobie sprawę z niezwykłości sytuacji. O godz. 14.20 zaśpiewaliśmy wszyscy hymn. Z przebiegu przesłuchań domyślaliśmy się, że Bogdan jest na wolności więc manifestacja mogła się udać. To nas podtrzymywało na duchu.

— *Bogdan, powiedz jak udało Ci się uniknąć aresztowania.*

B.B.: — Najpierw o przygotowaniach. W tym roku główny ciężar spoczywał już na Komitecie Założycielskim Wolnych Związków Zawodowych, który powstał w międzyczasie. ROPCZiO organizował 3 Maja i 11 Listopada a myśmy im pomagali. W Grudniu sytuacja była odwrotna. Klepsydr wydrukowaliśmy około 3 tys. małych i 500 większych. Druk odbywał się na „ście” u mnie — mimo podsłuchu. Po prostu zagłuszaliśmy robotę brzękiem szklanek. Wszystkie klepsydry rozklejono. Pojawili się także na terenie Stoczni Gdańskiej, gdzie nie zawsze odważono się je zrywać od razu.

W mieście natomiast narastała atmosfera stanu obłączenia. Specjalne patrole zrywały klepsydry, skoncentrowano znaczne oddziały milicyjne, opracowano plan blokady ulic prowadzących do Stoczni oraz plan rozmieszczenia punktów obserwacyjnych w newralgicznych punktach miasta. Ówczesny wojewoda 13 grudnia wydał zarządzenie wprowadzające od 15 do 31 grudnia postępowanie przyspieszające przed kolegiami za takie wykroczenia jak nieopuszczenie zbiegowiska publicznego, kierowanie nim, tamowanie lub utrudnianie ruchu itp. Na 16 artykułów kodeksu wykroczeń, jakie obejmowało, tylko dwa nie były związane z mającą się odbyć uroczystością.

W niedzielę 17 grudnia, dzień przed planowanymi obchodami, kilkadziesiąt ekip SB często liczących po kilkanaście osób rozpoczęło jednocześnie akcję rewizji i zatrzymań. Zatrzymano na 48 godzin 16 osób i przeprowadzono 25 rewizji. Trwało to do około 6-tej rano 18 grudnia, bowiem stosowano tzw. kotły. Na szczęście część z nas przewidziała to wcześniej. Ja również. O miejscu wiedział jednak Myszk, konfident SB, członek KZ WZZ, no i oczywiście pod domem była obstawa. Odkryli ją właściciele mieszkania w bloku na Zaspie, gdzie przebywałem. Dwóch tajniaków stało w bramie na dole żeby widzieć, co się dzieje na zewnątrz, a jeden na samej górze klatki. Wyszedłem z mieszkania i poszedłem na górę, po czym wszedłem do holu

łączącego klatki schodowe i zamknąłem za sobą drzwi, wyglądające jak drzwi do mieszkania. Agent na strychu nie zorientował się, że byłem gruntuwnie przebrany i miałem duże okulary.

Wyszedłem po prostu inną klatką i klucząc między blokami ominąłem jakoś stojące w kilku punktach samochody SB, a potem biegiem, przez płot... i udało się. Poszedłem po wieniec i pojechałem taksówką pod Stocznę. Od strony ul. Jana z Kolna ruch był zatrzymany. Powiedziałem wtedy taksówkarzowi, że jadę z wieńcem na uroczystość. Pojechaliśmy od strony Wałów Piastowskich i jadąc tuż za autobusem jakoś przemknęliśmy. Był to jedyny wieniec, który dotarł pod Stocznę, a przygotowanych było aż pięć.

Tego dnia większość ludzi — zgromadziło się ich około 2 tys. — była już ze Stoczni. Zmienił się więc charakter uroczystości, przedtem w zasadzie studencki. Stacjonujące w pewnej odległości patrole milicyjne zatrzymały około 40 osób, które zwolniono po około 2-ch godzinach. Chodziło zapewne o niedopuszczenie tych, którzy mogliby przemówić. Zatrzymywanych z wieńcami kupionymi z okazji normalnych pogrzebów po sprawdzeniu konwojowano aż na cmentarz. W tłumie panowała wzorowa dyscyplina. Autobusy, które zostały zgromadzone w tym samym celu co przed rokiem miały włączone silniki, żeby zagłuszyć mówców. Cały czas z budynku za płotem SB filmowała zebranych. Druga kamera zainstalowana była na słupie oświetleniowym. O godz. 14.20 nie pojawił się jeszcze żaden wieniec i wtedy zdecydowano spontanicznie złożyć kwiaty. Tłum spod bramy ruszył w stronę muru z żałobnym napisem „Grudzień 1970” na biało-czerwonym sztandarze. Odśpiewano hymn i uczczono minutą ciszy pamięć zabitych.

Magda Modzelewska i Ania Młynik poinformowały o zatrzymaniach i prawdopodobnej konfiskacie wieńców i wezwały do spokojnego rozejścia się. Odeszło około 500 osób i wtedy Dariusz Kobzdej z ROPCZiO zaczął czytać list Kazimierza Świtoniego z więzienia. Rozległy się okrzyki „Wolność dla Świtoniego” i tłum zatrzymał się. Wówczas przemówił członek Komitetu Strajkowego z 1970 roku Kazimierz Szołoch. W tym czasie przybyłem już z wieńcem. Po jego złożeniu przemawiałem. Mówiłem głównie o nauce jaka płynie z tragedii grudniowej, o działalności WZZ. Potem odśpiewano Międzynarodówkę oraz „Boże coś Polskę”, rozległy się okrzyki: „Chcemy wolności, precz z czerwoną burżuazją”. W pewnym momencie zaczęto upominać się o prasę. Adresy zapisywano na pudełkach papierosów i zapalek. Tłum zdecydował się odprowadzić mówców i znaczna grupa, mimo

protestów organizatorów, którzy obawiali się ataku SB, odprowadziła ich aż na dworzec. O godz. 16.00, kiedy pozostało już tylko 30-40 osób, przyjechała Nysa i zabrała wieniec, mimo protestów i obelg, jakimi zostało to przyjęte.

W dwa dni później wypuszczeni z aresztów działacze WZZ: Pieńkowska, Wałęsa, Bulc i A. Gwiazda postanowili złożyć przygotowany wcześniej wieniec od Komitetu Strajkowego z 1970 roku. Zostali brutalnie zaatakowani pod Stoczną przez SB. Pieńkowskiej wykręcono ręce i wleczono ją do samochodu. Mężczyźni stanęli w jej obronie i wtedy potraktowano ich podobnie. Chwilę później aresztowano i mnie. Kolegów wieziono Nysą na komendę i wtedy zaczęli głośno śpiewać. „Śpiewająca suka” jechała środkiem szosy, żeby ludzie nie słyszeli. Tak silny był strach tych, którzy chcieli zagłuszyć pamięć. A dwa dni później Wałęsa powędrował prosto z aresztu na kolegium, gdzie dostał 5 tys. zł grzywny... za chuligaństwo.

W 79 roku również dwa dni po uroczystościach składali kwiaty A. Kołodziej i A. Butkiewicz, gdy wypuścili ich z aresztu.

— *W Grudniu 79 roku aresztowania przewencyjne objęły Was obu, czy tak?*

B.B.: — Wyglądało to gorzej niż zatrzymania przewencyjne. Andrzej Czuma z ROPCZiO wraz z Antkiem Macierewiczem (red. naczelny *Głosu*, członek KOR-u) przygotowywali obchody Grudnia także w Warszawie. Nastąpiły aresztowania i sankcje prokuratorские. Mnie przewieziono do Warszawy Mercedesem z szybkością 100 km na godz. Wyszedłem po 9-ciu dniach, już po obchodach.

— *Ty Błażeju?*

B.W.: — Pracowałem w służbie drogowej. Dzień przed uroczystością wracałem z pracy samochodem od strony Lęborka. Przed Wejherowem wyprzedził nas czarny Mercedes i zablokował niczym na gangsterskim filmie. Jednocześnie z boku blokowała nas chyba wojskowa karetka pogotowia, żebyśmy nie mogli zawrócić. Wzięli mnie do Mercedesa i jak furia pognali do Gdańska. Po rewizji w domu przewieźli mnie do Pruszcza.

B.B.: — Błażeja bali się, dlatego do Pruszcza. Był śmiały i twardy, bardzo zdecydowany. Poza tym w roku 79 areszty były mocno wypełnione grudniowymi aresztantami. Mobilizacja MO

i SB była jeszcze silniejsza, niż w 78. Wyciągano ludzi z pracy — na przykład A. Gwiazdę czy Annę Walentynowicz. Gwiazda usiłował uciec, ale w końcu go dopadli.

— *Kto zatem uchwalił się tego roku?*

B.B.: — Maryla Płońska, młodzieńca dziewczyna z WZZ uszła z zacieklej obławy dzięki pomocy zupełnie obcych ludzi, którzy przechowali ją w mieszkaniu przez cały dzień. Ludzie ci zorganizowali przy pomocy sąsiadów stałą obserwację obstawy, która w końcu dała za wygraną — myśląc, że Maryli już w owym domu nie ma. Ułożone wcześniej przemówienie mieli przy sobie wszyscy działacze WZZ. Maryla również. To ona odczytała je pod Stoczną 18 grudnia do tłumu, który liczył już mniej więcej 5 tysięcy. Drugim przemawiającym był Lech Wałęsa. Koledzy z „Elektromontażu” wywieźli go z zakładu omijając ogromną obławę, która zjawiała się tam... z psami. Lech zapowiedział wtedy, że za rok stanie pomnik, choćby z kamieni. Miał rację. Tyle, że pomnik nie był z kamieni, które przynieśli demonstranci. Był pomnikiem zwycięstwa. Tylko, że w roku 80 obchody były już społeczno-robotnicze.

— *Czy ktoś jeszcze przemawiał?*

B.B.: — Tak. Ksiądz Sroka z duszpasterstwa akademickiego, związany z ROPCZiO. W tym czasie nie pracował już w Gdańsku. Biskup usunął go z powodu kontaktów z „nieprawomyślną młodzieżą”. Wcześniej usunięty został do Lublina ks. L. Wiśniewski. Gdy w 80 roku przemawiał już sam biskup, jasne było, że dla takich jak Sroka czy my miejsca już nie było. Nie pasowaliśmy do koncepcji tej uroczystości — państwowo-kościelnej. Nawet Związek był wtedy w cieniu, przemówienie Wałęsy właściwie nie dotyczyło Grudnia. Więcej mówił o rocznicy sekretarz Fiszbach.

— *Tak. Czekaliśmy bardzo na to przemówienie Lecha. Przemówienie z tego dnia mogło być osnową lekcji wychowania obywatelskiego w szkołach w przyszłości. Bardzo zawiedliśmy się.*

B.B.: — Bylibyśmy niesprawiedliwi wobec gdańskiego Kościoła, gdybyśmy nie powiedzieli, że zgadzano się na msze grudniowe od 76 roku. No i na pewno trzeba przypomnieć postać księdza Jastaka, z Gdyni — wielkiego orędownika godności ludzkiej i

praw obywatelskich. Z tym, że Gdynia należy do innej diecezji (pelplińskiej).

— *Jak czuliście się na obchodach w roku 80? W żaden sposób nie uhonorowano tych, którzy zaczynali wtedy, gdy wokoło gęsto było od policji?*

B.W.: — To nie ma znaczenia. Przed Sierpniem traktowaliśmy obchody jako kategoriyczny obowiązek. A w 80 roku czułem po prostu radość, że ludzie mogą przyjść tu bez strachu.

B.B.: — To był nie tylko obowiązek. Z jednej strony demonstracja grudniowa była przełamaniem bariery psychologicznej, nie tylko dla nas ale i dla postronnych obserwatorów. Ludzie byli zaskoczeni i zdumieni, że można występować jawnie i z podniesionym czołem. Z drugiej strony zdobywaliśmy tym pozycję do szerszego działania — głównie do szerzenia idei Wolnych Związków Zawodowych. Grudzień był wyjątkowo niewygodnym problemem dla władzy. To także sprzyjało naszej śmiałości. Władza miała tylko jedno wyjście sensowne taktycznie i zarazem moralne — organizować obchody. Ale na to trzeba było właśnie być moralnym i mieć wyobraźnię. Wybrano poleganie na SB, która okazała się nieskuteczna, choć dysponowała wyrafinowanym sprzętem i chmarą szpicli. Na podsłuchy mieliśmy też sposób — pisanie wszystkich szczegółów „operacyjnych” na kartkach...

— *Już ósma Bogdan, musimy biec do pociągu. Trzeba to jakoś zakończyć.*

B.B.: — Pamięć o Grudniu była na Wybrzeżu zawsze silna. Ale jakby uśpiona. Nasze środowisko pozwoliło jej się ujawnić w sposób szybko narastający.

B.W.: — Myślałem, że to będzie trwało wiele lat...

Jest nadal wietrznie. Wychodzimy w pośpiechu. W drzwiach czuję, że muszę się odwrócić... Świeca wciąż się pali.

Rozmawiał: Mariusz MUSKAT

(Tygodnik Solidarność, 11 grudnia 1981)

TERAZ JESTEŚMY W PRZYSPIESZENIU

Postulaty strajkujących w lipcu załóg lubelskich zakładów pracy leżą złożone w czterech pękatych teczkach w Wydziale Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Niektóre zawierają po kilka, inne po kilkanaście i kilkadziesiąt punktów. Pisane są długopisem na kartce wyrwanej z zeszytu, na papierze podaniowym, albo na maszynie, na płachtach, które z trudem w teczkach się mieszczą.

Formę płacht mają z reguły wnioski wielkich zakładów: FSC Lublin, Okręgowej Dyrekcji PKP, WSK Świdnik. Płachty świdnickie, zgłoszone w dniach 8-11 lipca 1980, podzielono metodycznie na rubryki: „Postulat — wydział zgłaszający — adresat (przedsiębiorstwo, jednostka wojewódzka lub władze centralne) — odpowiedzialni, termin”.

Ogółem sformułowano w WSK Świdnik 110 postulatów, na które złożyło się 568 wniosków załogi.

Postulat pierwszy: rekompensata podwyżek cen.

Postulat sto dziesiąty: zaniechać administracyjnego nacisku na pozyskiwanie członków wspierających KS „Avia”.

O to, czy i jak wykonane są postulaty 10-tysięcznej załogi, zapytałam 22 sierpnia *Zdzisława Mazura*, przewodniczącego Rady Zakładowej WSK Świdnik (na 54 przewodniczących Rad Oddziałowych pracownicy zażądali dymisji jednego — i tak się stało).

Najpilniejsze sprawy pieniężne zostały załatwione. Te, których załatwienie wykraczało poza kompetencje dyrekcji i wojewódzkich władz — przekazano władzom centralnym.

100 % puli mięsnej dla zakładów sprzedaje się, zgodnie z życzeniami załogi, po południu. Płaci się pracującym w akordzie za wolne soboty. Postulat nieobwarowywania wolnych sobót warunkiem wykonania planu lub innymi — przekazano do resortu.

Za wszystkie dni strajkowe wynagrodzenie zostało wypłacone. W związku z postulatem zmniejszenia aparatu administracyjnego odchodzą dwaj zastępcy dyrektora naczelnego: do spraw pracowniczych i do spraw inwestycyjnych.

Oto niektóre postulaty w ich oryginalnym brzmieniu:

— wyjaśnić czemu zarządzenia KC i władz centralnych podane przez środki przekazu docierają do nas w zmienionej formie, wobec winnych wyciągnąć wnioski,

— prowadzić konsultacje z klasą robotniczą w sprawach decydujących o stopie życiowej,

— zlikwidować sprzedaż towarów krajowych w Pewexie,

— utrzymać talony na cukier, wprowadzić na artykuły przemysłowe, których brak — we wszystkich sklepach,

— płacić za pracę, nie za dyplom i uczelnię,

— przyspieszyć zakup terenów pod ogródki działkowe,

— ujednolicić system emerytalny,

— skrócić do 6 godzin czas pracy matkom dzieci do lat 8,

— wykwaterować rodziny, które mają domki jednorodzinne z mieszkań spółdzielczych i kwaterunkowych,

— ograniczyć służbowe wyjazdy zagraniczne,

— ograniczyć wydatki na propagandę wizualną, cele reprezentacyjne, przyjęcia dostojników w zakładach i regionach,

— stosować jawność kryteriów podziału dóbr materialnych i atrakcyjnych świadczeń socjalnych,

— zlikwidować korupcję w lecznictwie w Świdniku (*to jest cholerny problem* — skomentował ten punkt przew. Mazur. — *Wiadomo, że jak się w kieszeń nie wsadzi, to opieki nie ma. Ale każdy boi się coś konkretnego powiedzieć, bo wiadomo jakie to solidarne środowisko, a chorujemy wszyscy i jesteśmy od nich zależni*),

— obniżyć cenę leków (chodzi o te polskie, 100 % płatne w aptekach z lekarstwami zagranicznymi),

— nie lekceważyć pracowników w zakładzie i za powiedzenie prawdy nie karać i nie zwalniać,

— na odprawie zapowiedzieliśmy (przew. Mazur): *Przy podziale dóbr, stanowisk kierowniczych żadna przynależność czy działalność nie będzie decydować o podwyżkach, tylko praca i to, co mężowie zaufania mówią. A np. szef produkcji WSK jest bezpartyjny.* Dla przew. Mazura ten postulat jest oczywisty.

— wprowadzić zasadę rotacji kadr na stanowiskach państwowych,

— poprawić Kierownictwo Centralne w zarządzaniu gospodarką narodową,

— jednakowo wyciągać odpowiedzialność na wszystkich szczeblach,

— dać odpowiedź przez Władze Centralne za pomocą środków przekazu z realizacji wniosków zgłoszonych przez zakłady pracy,

— rzetelnie informować o sytuacji i przedsięwzięciach,
— zagwarantować obronę interesów załogi w organizacjach związkowych.

Zdaniem przew. Mazura teraz najważniejsze są: postulaty związkowe, równościowe, antykorupcyjne i o odpowiedzialności.

— Już w marcu przy okazji naszych wyborów związkowych większość tych postulatów była wysuwana... Teraz jesteśmy w przyspieszeniu. Ludzi drażnią często drobne sprawy; kucharka nie dogotowała przedwczoraj ziemniaków w stołówce — przyszli do mnie robotnicy, przynieśli pięć talerzy zupy: — I co — mówią — jak nas karmicie?!

Osobisty postulat? Przewodniczący wolałby, żeby etatowi pracownicy związkowi opłacani byli przez centralę związkową, nie przez dyrekcję. Wiadomo, że niezależność finansowa tworzy dopiero warunki niezależności duchowej.

Teraz ze *Stefanem Wijakowskim*, specjalistą do spraw organizacji z Wydziału Kontroli idę do Ośrodka Badawczo-Rozwojowego WSK. W wielkiej hali stoi kilka śmigłowców poddawanych próbom, m.in. najnowsze osiągnięcie polskiej myśli technicznej — białobrązowa „Kania”, której zalety specjalista Wijakowski rozwija szeroko. Koło „Kani” spotkamy inżyniera konstruktora, który pragnie pozostać anonimowy (*proszę napisać: jeden z wielu*).

— Postulaty wykonywane są stopniowo, powoli poprawia się zaopatrzenie. Dla mnie najważniejsza jest sprawa rzetelnej, szybkiej informacji: to jest też mowa do was, do telewizji, do prasy i do waszych szefów.

W WSK Świdnik jednym z upoważnionych do informowania i przedstawiania postulatów przedstawicieli załogi jest inż. *Zygmunt Karwowski*, absolwent Politechniki Rzeszowskiej, mąż zaufania na Wydziale Prób i Badań. 22 sierpnia inżynier Karwowski zapytany o wykonanie postulatów załogi powiedział:

— Najdrażliwsza jest dziś u nas sprawa kartek na mięso. Wojewoda obiecał i dyrekcja podpisała odpowiedni dokument — potem wojewoda wycofał się, twierdząc, że jeżeli u nas — to i w innych zakładach regionu trzeba by zrobić to samo. Musimy rozmawiać ze sobą szczerze. Co jest niemożliwe — rozumiemy. Wczoraj dalej prowadziliśmy rozmowy w tej sprawie z naczelnikiem Świdnika. Z kwestii ogólnych szczególnie palące jest, naszym zdaniem, uregulowanie wysokości zasiłków rodzinnych: winny być równe dla wszystkich, bez względu na wykonywany zawód. Dalej: stworzenie mechanizmu ruchu cen i płac,

sprawa informacji, oczywiście. Dopiero teraz dowiadujemy się o zadłużeniu, o trudnościach. To można było mówić wcześniej, a nie wtedy, kiedy powstała reakcja lawinowa.

Rada zakładowa winna poszerzyć działalność, faktycznie reprezentować załogę, a nie ograniczać się do — jak ktoś słusznie w telewizji powiedział — załatwiania ziemniaków. Gdyby związki zawodowe były do rzeczy — nie dochodziłoby do sytuacji wzajemnego udzielania sobie votum nieufności przez rządzących i rządzonych.

— Czy uważa pan, że już stworzona została płaszczyzna pełnego porozumienia między załogą i dyrekcją?

— Nie uważam. Wczoraj był u nas sekretarz Kruk, ale wiedzieli o tym tylko partyjni, i to nie wszyscy. Dziś takie rzeczy mają wpływ na nastroje wśród załogi.

Jan Czogała, dyrektor WSK Świdnik, jest bladozielony ze zmęczenia i nerwów. Jeszcze nigdy w życiu czegoś podobnego nie przeżywał.

— Rytm pracy jest intensywny, ale atmosfera napięta. Mamy 25 % ludzi na urloпах. Jednocześnie absencja chorobowa spadła o 50 % w porównaniu do czerwca...

...Tydzień temu była inna Polska. Męczy nas ta sytuacja polityczna i ekonomiczna. Dużo mówi się ciągle o związkach, gdzie są te związki?! Ludzie mówią: wybierać do rady tych, którzy rzeczywiście będą nas reprezentować.

...Czekamy na Plenum, coś trzeba pokazać, coś zrobić, czekamy na pełną informację, na reformę systemu ekonomicznego, samodzielność, żeby to było wyliczone, skonfrontowane z rachunkiem ekonomicznym, żeby stworzono system ładu i porządku w gospodarce, z jakimś regulatorem wmontowanym, zabezpieczającym przed tymi ciągłymi zakrętami. Żeby pokazać, gdzie są ci co nawalili, żeby wprowadzić rotację kadr.

Nie czekając na strajkowe postulaty mieliśmy program działania w przedsiębiorstwie z przeglądu społecznego — sprawy socjalne, bytowe, bhp.

Dyrektor wyciąga dwie czerwone książeczki „Kompleksowy program działania”. 591 postulatów w wyniku przeglądu, 568 z akcji strajkowej. Czy one gdzieś się krzyżują? — Na pewno zbieżność można znaleźć, ale strajkowe poszły głębiej i ostrzej.

...Nasi pracownicy strajkowali odpowiedzialnie. Tam gdzie jest niezbędny ruch ciągły, np. przy klejeniu śmigieł, pracowali bez przerwy.

..Trzech przedstawicieli załogi cieszy się największym autorytetem: Karwowski, Puczek, Bartkowiakowa. Ja z nimi od początku rozmawiałem spokojnie, od razu zapowiedziałem: jest, było, nie ma, żadnych konsekwencji. To są normalni pracownicy zakładu.

...Zawartość tych czerwonych księжек i tych płacht z postulatami strajkowymi załatwić w ciągu roku — niemożliwe. Ale trzeba od razu załatwić sprawy najdrażliwsze.

Marta WESOŁOWSKA

23 sierpnia

(Polityka, 30 sierpnia 1980)

Krzysztof TURKOWSKI

BOŻE CIAŁO W MAŁEM CICHEM

29 lipca 1980. Urząd Miejski w Zakopanem. Wydział Spraw Wewnętrznych. Przed Kolegium staje wikary kościoła w Małym Cichem, dominikanin o. Jerzy Benedykt Piotrowski. Zarzut: zorganizowanie zgromadzenia bez zgody władz administracyjnych. W rzeczywistości chodziło o urządzenie procesji Bożego Ciała w dniu 5 czerwca 1980.

Do Urzędu Miejskiego w Zakopanem przybyli mieszkańcy wsi Małe Ciche oraz turyści, którzy o całej sprawie dowiedzieli się po mszy św. w niedzielę 27 sierpnia. Zarówno mieszkańcy wsi jak i turyści fakt postawienia o. Piotrowskiego przed Kolegium pod zarzutem urządzenia procesji Bożego Ciała przyjęli ze zdziwieniem i oburzeniem. („Przecież za okupacji procesje robiliśmy i Niemcy czapki zdejmowali”). Rozprawa odbyła się w salce o powierzchni 12 m², co uniemożliwiło uczestniczenie w sprawie wszystkich chętnych. Jako pierwszy złożył oświadczenie o. Jerzy Benedykt Piotrowski, który stwierdził, że procesje Bożego Ciała odbywają się w Polsce od setek lat, zaś on sam w Małym Cichem prowadził procesje już 5 lat. „Uważałem, że procesję muszę

zrobić". (Głos z sali: „My byśmy nie chcieli takiego księdza, który by procesji nie zrobił”. „My na głowach w przyszłości pójdziemy”). Dalej o. Piotrowski podał, że do urządzenia procesji skłaniały go także następujące przyczyny:

1) wieś jest położona w odległości 7 km od kościoła parafialnego w Poroninie. Mieszkańcy mieliby kłopot z dotarciem, gdyż autobus świąteczny jest o 7-ej, zaś procesja zaczynała się o godz. 11-ej;

2) wieś jest w 100 % (!) katolicka.

Kontynuując swe oświadczenie o. Piotrowski dodał, że wieś w zupełności popiera postawę księdza. (Głosy poparcia z sali). „Skazanie mnie potraktowane będzie przez wieś jako skazanie wsi. Z pewnością nie wpłynie to na poprawę nastrojów społecznych. Takie działania nie przyczynią się na pewno do poprawy stosunków między Kościołem a państwem”.

Kończąc swe wystąpienie o. Piotrowski podkreślił, że do żadnej winy się nie poczuwa. Przewodnicząca Kolegium pani Dunin stwierdziła, że kościół w Małym Cichem został zbudowany i obsadzony przez władze kościelne bezprawnie. W odpowiedzi na zarzuty przewodniczącej o. J. Węgrzynek, dominikanin powiedział, iż kościół został zbudowany przez ludność miejscową w czym uczestniczyła cała wieś, zaś władze kościelne oddelegowały oo. dominikanów do Małego Cichego na mocy porozumienia, które miało miejsce między kardynałem Wojtyłą, obecnym Ojcem Świętym a Urzędem Wojewódzkim.

Przewodnicząca Kolegium ponownie zabierając głos uznała, że musi trzymać się paragrafów i dodała, iż procesje od 5 lat odbywają się bez zezwolenia. (Głos z tłumu: „I będą się odbywać!”). „A czy pani była na procesji w tym roku?”. Przewodnicząca: „to moja prywatna sprawa”. Salwa śmiechu). Przewodnicząca dalej: „Tutaj na salę przybyli ludzie, którzy chcą z tej sprawy zrobić sensację i roznieść po Polsce” (prawdopodobnie na widok osób reklamujących Niezależną Oficynę Wydawniczą). Głos górala: „i za granicę”.

Przewodnicząca powołała świadka oskarżenia. Przez tłumek stojący w drzwiach zaczął przeciskać się mężczyzna w jasnym garniturze z wpiętym w klapę odznaczeniem państwowym, niski, łysawy blondyn. (Jedna z góralek: „Patrzcie się! Takich, jak on my musimy sobie zapamiętać”). Świadek przedstawił się jako mgr E. Kołodziejek. Stwierdził, że „na podstawie posiadanych przez nas informacji w dniu 5. VI. 1980 r. oo. dominikanie zorganizowali procesję bez zgody władz”.

O. J. Piotrowski: „Myśmy o zgodę prosili”.

E. Kołodziejek: „O pozwolenie może wystąpić proboszcz, lub musi być wystawione z upoważnienia proboszcza poronińskiego”.

O. J. Piotrowski: „Ja tu mam kopię pisma z podpisem proboszcza, które zostało wysłane do władz”.

Po zeznaniach świadka oskarżenia przewodnicząca Kolegium zarządziła przerwę. Publiczność wyproszono z sali.

Głosy mieszkańców Małego Cichego: „Niech nam tylko spróbują skazać księdza to nie dostaną od nas nic: masła, sera, mleka. Żadnych prac społecznych”.

Rozprawa została przerwana do czasu przesłuchania jako świadka proboszcza poronińskiego.



Do niniejszego sprawozdania należy się kilka słów wyjaśniających. Małe Ciche to jedna z najpiękniejszych wsi podhalańskich, licząca ok. 400 mieszkańców. Wyróżniająca się na tle innych wsi. Do niedawna nie było drogi prowadzącej do niej, brak było kościoła, szkoły, sklepu. Mieszkańcy sami w czynie społecznym budowali wpierw drogę, postawili szkołę, w trakcie budowy jest także remiza, zaś na gruntach prywatnych wykupionych przez wieś, zbudowano na koniec śliczny kościółek, który objęli oo. dominikanie z Wiktorówek. Małe Ciche to jedna z coraz mniej licznych wsi podtatrzańskich, w której zachowały się cechy charakteryzujące onegdaj cały region Podtatrza.

Tyle o Małym Cichem. O epilogu sprawy doniesiemy po zakończeniu.

Krzysztof TURKOWSKI

Zakopane, 29. VII. 1980

(Biuletyn Dolnośląski, wrzesień 1980)

ROZDZIAŁ DRUGI
NARODZINY SOLIDARNOŚCI

Ryszard KAPUŚCIŃSKI

NOTATKI Z WYBRZEŻA

*Po raz pierwszy uczymy się na doświadczeniach,
a nie na błędach.*

(Stoczniowiec ze Szczecina, w rozmowie)

1.

Dwanaście sierpniowych dni spędzonych na Wybrzeżu. Szczecin, potem Gdańsk i Elbląg. Nastrój ulicy spokojny, ale i napięty, klimat powagi i pewności zrodzony z poczucia racji. Miasta, w których zapanowała nowa moralność. Nikt nie pił, nie robił awantur, nie budził się przywalony oślepiającym kacem. Przystępczość spadła do zera, wygasła wzajemna agresja, ludzie stali się sobie życzliwi, pomocni i otwarci. Zupełnie obcy ludzie poczuli nagle, że są — jedni drugim — potrzebni. Wzorzec tego nowego typu stosunków, który wszyscy przejmowali, stworzyły załogi wielkich zakładów strajkujących.

W tych dniach można było zobaczyć jak kształtuje się stosunek między wielkim zakładem a miastem. Kilkuset tysięcy miasto samorzutnie podporządkowuje swój los intencjom i dążeniom załogi stoczniowej, której walkę uważa za swoją i której zmagania wspiera solidarnie. Wszelkie mówienie i pisanie w stylu „*Zniecierpliwione społeczeństwo Wybrzeża oczekuje, że strajkujący podejmą pracę*” powtarzane ciągle w telewizji i prasie brzmiało tam, na miejscu, jak ponury żart i przede wszystkim — jak obraza. Rzeczywistość wyglądała inaczej: im bardziej przedłużał się strajk, tym silniejsza stawała się wola wytrwania. W tych dniach bramy stoczni i wejścia do innych zakładów tonęły w kwiatach. Bo też sierpniowy strajk był zarazem i dramatycznym zmaganiem i świętem. Zmaganiem o swoje prawa i Świętem Wyprostowanych Ramion, Podniesionych Główn.

2.

Na Wybrzeżu robotnicy rozbili pokutujący w oficjalnych gabinetach i elitarnych salonach stereotyp robota. Robol nie dyskutuje — wykonuje plan. Jeżeli chce się, żeby robol wydał głos, to tylko po to, aby przyrzekł i zapewnił. Robola obchodzi tylko jedno — ile zarobi. Kiedy wychodzi z zakładu, wynosi w kieszeniach śrubki, linki i narzędzia. Gdyby nie dyrekcja, robole rozkradliby cały zakład. Potem stoją pod budkami z piwem. Potem śpią. Rano jadąc pociągiem do pracy grają w karty. Po przyjściu na zakład ustawiają się w kolejkę do lekarza i biorą zwolnienie. Ciężkie to życie kierować robolami. Nie ma z nimi o czym rozmawiać. Na wszystkich ważnych naradach wiele jest wzdychania na ten temat.

Tymczasem na Wybrzeżu, a potem w całym kraju, spoza tego oparu zadowolonego samouspokojenia wyłoniła się młoda twarz nowego pokolenia robotników — myślących, inteligentnych, świadomych swojego miejsca w społeczeństwie i — co najważniejsze — zdecydowanych wyciągnąć wszystkie konsekwencje z faktu, że w myśl ideowych założeń ustroju ich klasie przysnaje się wiodącą rolę w społeczeństwie. Odkąd sięgam pamięcią, po raz pierwszy to przekonanie, ta pewność i niezachwiana wola wystąpiły z taką siłą właśnie w owe sierpniowe dni. To przez naszą ziemię zaczęła płynąć ta rzeka, która zmienia pejzaż i klimat kraju.

Nie wiem, czy wszyscy mamy tego świadomość, że cokolwiek jeszcze się stanie, od lata 1980 żyjemy już w innej Polsce. Myślę, że ta inność polega na tym, że robotnicy przemówili — w sprawach najbardziej zasadniczych — swoim głosem. I że są zdecydowani nadal zabierać głos. Nie może tego nikt nie zrozumieć.

3.

Do lokalu Komitetu Strajkowego stoczni gdyńskiej przyszło pięć kobiet z miejscowej spółdzielni rzemieślniczej. Byłem świadkiem tej sceny. Przyszły, aby przyłączyć się do strajku. Nie chciały podwyżek, nie domagały się nowego przedszkola. One zdecydowały się strajkować przeciw swojemu prezesowi, który był chamelem. Wszelkie próby nauczania go grzeczności i szacunku do nich — kobiet i matek — kończyły się fatalnie, kończyły się szykanami i prześladowaniami. Wszelkie odwołania do wyższych czynników nie przynosiły nic — prezes był dobry, ponieważ zapewniał wykonanie planu. A one dłużej nie

mogą tego znieść. One przecież mają swoją godność. Wobec doniosłości postulatów stoczniowych, motyw strajku tych pięciu kobiet zdawał się być drugorzędnym. Ileż u nas rozjuszonego chamstwa! Ale młodzi stoczniowcy, którzy wysłuchiwali tej skargi, odnieśli się do niej z największą powagą. Oni też walczyli przeciw rozpanoszeniu biurokracji, przeciw pogardzie, przeciw „róbcie, a nie gadajcie”, przeciw nieruchomej i obojętnej twarzy w okienku, która mówi „nie!”. Kto stara się sprowadzić ruch Wybrzeża do spraw płacowo-bytowych, ten niczego nie rozumiał. Bowiem naczelnym motywem tych wystąpień była *godność człowieka*, było dążenie stworzenia nowych stosunków między ludźmi, w każdym miejscu i na wszystkich szczeblach, była zasada wzajemnego szacunku obowiązująca każdego bez wyjątku, zasada według której podwładny jest jednocześnie partnerem.

W trakcie wspomnianej rozmowy, jedna z kobiet powiedziała: „*Czy ten nasz prezes nie mógłby także być człowiekiem?*”. Dla nich chamstwo było jakąś obcą i zniewalającą naleciałością w naszej kulturze, w której tradycji, owszem, istniała szlachecka wyższość, ale nie rozmyślne upodlenie, nie ordynarność, perfidna sztykana, brutalna wzgarda objawiana słabszemu. Te zachowania robotnicy Wybrzeża postawili pod pręgierz nadając naszemu patriotyzmowi ten nowy walor: być patriotą — to znaczy szanować godność drugiego człowieka.

4.

Na Wybrzeżu rozegrała się również *batalia o język*, o nasz język polski, o jego czystość i jasność, o przywrócenie słowom jednoznacznego sensu, o oczyszczenie naszej mowy z frazesów i bredni, o uwolnienie jej z trapiącej ją plagi — plagi niedomówień. „*Po co to tak owijać wszystko w bawełnę* — powiedział jeden ze stoczniowców. — *Nasz język jest zabartowany. On się nie przeziebi*”. I pamiętam pierwsze spotkanie MKS-u z delegacją rządową. Przewodniczący MKS: „*Prosimy przedstawiciela rządu, aby ustosunkował się do naszych postulatów*”. Przedstawiciel rządu: „*Pozwólcie, że odpowiem na nie ogólnie*”. Przewodniczący MKS: „*Nie. Prosimy o odpowiedź konkretną. Punkt po punkcie*”. Ich naturalna nieufność do odpowiedzi ogólnych, do języka ogólnego. Ich protest przeciw wszystkiemu, co traci fałszem, luką, wciskaniem kitu, rozmywaniem, kluczeniem. Występowali przeciw zdaniom zaczynającym się od słów „*Jak sami wiecie...*” (właśnie nie wiemy!), „*Jak sami*

rozumiecie..." (właśnie nie rozumiemy!). Jeden z delegatów stoczni: *„Lepsza jest gorzka prawda, niż słodkie kłamstwo. Słodycze są dla dzieci, a my jesteśmy dorośli”*.

5.

W ich rozgoryczeniu, które odczuwało się w pierwszych dniach strajku, w ich dążeniu, aby stworzyć instytucjonalne gwarancje nieustannie przebijał duch niespełnionej obietnicy. Tej, która była dana w latach 70-71. Oni potraktowali ową obietnicę rzeczywiście serio, jako początek dialogu, który będzie się rozwijać, a który — jak dowiodła praktyka — szybko i bez ich winy — ustał.

6.

Ich rozważa, ich rozsądek i — chcę użyć tego słowa: humanizm. Najwyższą karą było — zostać usuniętym ze strajku, i oto scena, zresztą rzadka, kiedy w Gdańsku załoga stoczni postanawia usunąć człowieka, który ją skompromitował. Wałęsa: *„Proszę wszystkich, aby pan ten mógł spokojnie i bez żadnej obrazy opuścić stocznię. Proszę was o godne i szlachetne zachowanie”*.

I jeszcze scena (też Stocznia Gdańska), kiedy przyjechali z Hiszpanii dwóch trockistów. Stocznioowcy poprosili mnie, abym był tłumaczem w tej rozmowie. Trockista: *„Chcieliśmy się zapoznać z waszą rewolucją”*. Członek prezydium MKS: *„Panowie się pomylili. Nie robimy tu żadnej rewolucji. Załatwiamy nasze sprawy. Wybaczcie, ale proszę natychmiast opuścić teren stoczni, bez prawa powrotu”*.

„Załatwiamy nasze sprawy”. Ważne było też to jak je załatwiali. W tym działaniu nie było żadnego elementu zemsty, żadnej chęci odkucia się, ani jednej próby rozgrywania spraw personalnych na żadnym szczeblu. Zapytani o taką postawę odpowiadali, że *„to nie są rzeczy istotne”* i że poza tym byłoby to *„niehonorowe”*. W tych sierpniowych dniach wiele słów nagle odżyło, nabrało wagi i blasku: słowo — *honor*, słowo — *godność*, słowo — *równość*.

7.

Zaczęła się nowa lekcja polskiego. Temat lekcji: demokracja socjalistyczna. Trudna, mozolna lekcja, pod surowym i baczным okiem, które nie pozwala na ściągawki. Dlatego będą także

dwójki. Ale dzwonek już się rozległ i wszyscy zasiadamy w ławkach.

Ryszard KAPUŚCIŃSKI

(Kultura, 14 września 1980)

Stefan KOZICKI

Mariusz ZIOMECKI

Z TAMTEJ STRONY BRAMY

Zdumienie: Gdańsk wygląda zwyczajnie, jak zawsze. Może nawet zwyczajniej niż zawsze. Mniej aut, przechodniów. Ani jednego podpitego. Najpierw komitety strajkowe zarządziły prohibicję na terenie okupowanych zakładów, potem zażądały od władz wycofania alkoholu ze sprzedaży w całym Trójmieście.

Zdumienie: niemal wcale nie widać milicji. Na ulicy prowadzącej pod stocznję jeden radiowóz i trzech obywateli w białych czapkach drogówki. Przechodniami ciągnącymi chodnikiem nie interesują się zupełnie. Kontrolują jedynie auta. Kierowcy zjeżdżają na pobocze, sprawdzanie dokumentów. Rutyna, elegancja.

Zdumienie: pod wielkimi literami: „Stocznia im. Lenina” wysokie, żelazne pręty giną pod masą kwiatów, szarf i zieleni. Obrazy.

I dalej cały łańcuch zdumień. Bo wszystko co się daje widzieć dokoła, dzieje się w architekturze i perspektywach takich samych jak przedtem a przecież zupełnie innych.



Pod wartownią i biurem przepustek, na ławeczce opartej o mur — dwaj granatowi strażnicy ze straży przemysłowej. Leniwymi, znudzonymi oczami patrzą przez tłum — wcale zdając się go nie widzieć — na mur przeciwny. Są tu jak przedtem, jak zawsze, ale nie oni wpuszczają do środka. Władnymi do otworzenia żelaznej furty są młodzi robotnicy z opaskami służby porządkowej.

Wszędzie robotnicze warty. W dzień i w noc. Pełny porządek. Spokój.

Mimo to (piątek, 23 sierpnia) rozeszła się wieść: w nocy ktoś (kto?) poprzecinał opony w znacznej części wózków akumulacyjnych służących do utrzymywania łączności i transportu między poszczególnymi wydziałami.

Strajk — czy beczka prochu?



Na terenie Trójmiasta strajkuje czterysta zakładów. Ponad czterysta.

Oddział gdański Związku Literatów zgłosił akces solidarnościowy z akcją strajkową (wynik głosowania — jedenaście osób za, trzy przeciw; oddział liczy ogółem trzydziestu członków). Prozaik, Lech Bądkowski, wszedł do prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Kiedy rozmawiam z nim — na krzesłach tuż obok śpią śmiertelnie zmęczeni ludzie nie reagując na dookolny gwar — wydaje się jakby zagubiony w mnogości otaczających go konkretów z zupełnie innego świata, niż świat jego historycznych powieści.



Z wielotysięcznej załogi stoczni w okupowaniu zakładu bierze czynny udział najwyżej jedna trzecia. Może nawet mniej.

W innych, mniejszych zakładach niemal pusto. Dziwne wrażenie robią świetnie widoczne z okien pociągu biegnącego nasympem opustoszałe bazy transportowe, puste place przy magazynach. Puste podjazdy i rozjazdy. Przy bramach też pusto. Ani jednego człowieka. Tylko szarpane wiatrem biało-czerwone chorągwie znaczą, że i tutaj.



W małych zakładach pusto. W stoczni gdańskiej pełno. Tu dzieje się najwięcej.

Najpierw wpuszczano mnie na jej teren i do budynku, w którym ma swoją siedzibę Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (po drodze aż trzy osobne kontrole) na podstawie legitymacji prasowej. Potem podano wąski pasek papieru z nazwiskiem i pieczętką. Od dziś mam przepustkę stałą, na sztywnym kartonie. Numer 72.

Ogonek po przepustki był długi. Dziewczyna, która je wypisywała, dość opryskliwa. Pierwszy i jedyny dotąd wypadek opryskliwości, z jakim od chwili przyjazdu się spotkałem. Nie wiem: za sprawą ogonka to było (ogonki od dawna budzą złość), czy też zmęczenia.

◆

Widok z wewnętrznej drogi obok wartowni i stołówki na zamkniętą, umajoną bramę: rząd kobiecych twarzy wciśniętych między wysokie, żelazne pręty. Niżej ręce kurczowo obejmujące żelazo. Kobiety modlą się i śpiewają.

Nie modlą się do krzyża usytuowanego za nimi, nieco z boku, na brzydkim rozkopanym skwerku; krzyża oznaczającego miejsce, w którym stanąć ma — tak w każdym razie żądają strajkujący i tak ustalone zostało podczas udanych, zdawałoby się, rokowań z pierwszej fazy strajku — pomnik ku czci ofiar wydarzeń pamiętnego „Grudnia”.

One modlą się do strajku.

◆

Przyjechał do MKS-u delegat ze Świdnicy przywożąc 170 tys. złotych na fundusz strajkowy. Ze składek. Międzyzakładowy Komitet ma już (sobota, 23 sierpnia) około 2 milionów. Osobno zbierane są składki na budowę pomnika. W hallu budynku, gdzie urzęduje komitet, tam, gdzie kiedyś była szatnia, pojawił się napis: „Tu przyjmuje się składki na pomnik”. Pod napisem zdążył się już uformować długi ogonek.

◆

Zatrzymuję przebiegającego korytarzem przewodniczącego prezydium Międzyzakładowego Komitetu Lecha Wałęsę, elektromontera. Chwila rozmowy. Między innymi ni to spostrzeżenie, ni pytanie o listę postulatów. Dwadzieścia jeden punktów. To chyba przydużo. *„Lista specjalnie jest taka długa po to, aby było z czego, w razie podjęcia rokowań, odpuścić”*. Chwila zastanowienia. *„Ale tamci też muszą odpuścić”*. Na pytanie, czy wierzy, że komisja rządowa zechce podjąć rozmowy z Międzyzakładowym Komitetem, potakuje w sposób stanowczy. Po chwili zastanowienia dodaje, że więcej. On po prostu wierzy w pomyslny koniec pertraktacji. I po chwili zastanowienia: *„To zresztą zależy. Ale my się możemy długo trzymać. Niech redak-*

tor spojrzy w kalendarz i zobaczy, że teraz nie jest grudzień, ale zupełnie inny miesiąc”.

Ciągle ten grudzień wypływa.



Wielka sala. Siedziba Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Sala obliczona jest na czterysta osób. Teraz mieści co najmniej siedemset. Cyfra szacunkowa uzyskana według prostego rachunku. Z każdego komitetu strajkowego siedzi przy długich stołach po dwu delegatów (trzeci przebywa na terenie swojego zakładu jako łącznik gotów do rotacyjnej zmiany). A jeszcze korespondenci prasowi, polscy i zagraniczni, a jeszcze stół z aparaturą nagłaśniającą, stół ze stenotypistkami, maszynistkami, tłumaczami. I prowizoryczny bufet: herbata, kawa, woda sodowa, kanapki.

Delegaci siedzą na wyznaczonych sobie miejscach, niezależnie od tego, czy dzieje się akurat coś ciekawego, czy też nie. W głośnikach co chwila dudnią komunikaty. Porządkowe, informacyjne, agitacyjne.

Na przydzielonym stole makieta przyszłego pomnika i rzeźba w drewnie — dzieło robotnika zaliczanego przez krytyków do samorodnych talentów — wyobrażająca stoczniońca z rękami uniesionymi do góry dramatycznym gestem. W tyle za przydzielonym stołem rzeźba Lenina.



W miarę upływu czasu strajk obrasta we własną literaturę: ulotki powielaczowe i drukowane (we własnej drukarni Stoczni Gdańskiej) komunikaty i odezwy. Nawet wiersze.



Notatki z „operatywki” — codziennego (dziś niedziela, 24 sierpnia) zebrania roboczego komitetu strajkowego „Komuny Paryskiej” w Gdyni i pracowników odpowiedzialnych za poszczególne wydziały. Przy stole niemal sami młodzi ludzie. Nic dziwnego. Na czele komitetu stoi zaledwie dwudziestolatek.

Sprawy, kolejno: 1) nie wpuszczać na teren żadnych babek, a już szczególnie sekretarek z dyrekcji! Były takie wypadki. Wiadomo, babki ładne, ale... 2) Potrzebny mistrz od wytrycha, aby otworzyć magazyn. 3) Schwymano dwóch złodziei — odstawiono

do rąk milicjantów. 4) Czy awaria maszyny drukarskiej w Gdańsku już usunięta, czy będzie można dostać dalsze numery codziennej gazetki „Solidarność”? 5) Może dobrze będzie — pyta jedyny starszy wiekiem robotnik — dodać do składu grupy łączników z Komitetem Międzyzakładowym kogoś starszego wiekiem i stażem? To jakoś nie tak, że reprezentują „Komunę” na zewnątrz tylko ci, co tak krótko w niej pracują; jeden w ogóle tylko trzy dni wszystkiego. 6) Jak ustosunkować się do sprawy: przyszła informacja, że sekretarz komitetu zakładowego wszedł do jednego z prowizorycznych namiotów, rozmawiał długo. (Podrywa się zainteresowany: „Uważam, że wolno mi z naszym sekretarzem rozmawiać. Szczególnie wtedy, kiedy rozmowa idzie nie na linii: po jednej stronie sekretarz a po drugiej robotnik, ale zwyczajnie się gada jak człowiek z człowiekiem. A tak właśnie było. Są świadkowie!”). 7) Wreszcie sprawa ostatnia: potrzebna jest wiertarka Boscha z wiertłem winidowym. Transparent zawierający fragment Konstytucji dotyczący wolności słowa jest już wymalowany. Trzeba go tylko zawiesić.



Pół dnia (23 sierpnia) oczekiwania na coś. Na co? Nikt dokładnie odpowiedzieć nie umie. Atmosfera się zagęszcza. Nagle przewodniczący MKS — jest już późne popołudnie — wbiega na trybunę (owacja) i ogłasza, że jako łącznik delegacji rządowej, której kierownictwo objął w miejsce odwołanego wicepremiera Pyki wicepremier Jagielski, przybył do komitetu wojewoda gdański (owacja), że będzie ustalał wstępne warunki rozmów i szczególne techniczne (znów owacja). Przerywa ją głośnie pytanie: — Może na sali jest prawnik? Potrzebujemy go natychmiast. Nie ma? No to może jest chociaż pół prawnika? (poda się, śmiech).

Ten najwyżej trzydziestoparoletni mężczyzna z zawadiackim, lekko zakręconym wąsikiem, świetnie umie nawiązać kontakt z salą. Z tłumem... Ma aktorskie zdolności. Na początku chodził w roboczym kombinezonie, dziś widzimy go w garniturze.



Jeszcze dziś w sobotę, o 8-ej wieczór! Wyraźnie czuć, jak sala się odpręża. Wyglądają się twarze delegatów reprezentujących poszczególne komitety strajkowe. Jeszcze dziś, o 20-ej, początek rozmów między delegacją rządową a prezydium Międzyzakładowego Komitetu. To pewne.

Boleśnie biją w oczy błyski fleszy i reflektorów ekip telewizyjnych, kiedy delegacja rządowa przechodzi — aż dwukrotnie — przez salę wzdłuż długich stołów, aby wreszcie, po ceremonii powitania, zniknąć za drzwiami osobnej salki.

— Wierźcie mi, że będę całkowicie szczerzy... — dudni z głośników głos szefa delegacji rządowej. Sala, w której siedzą delegaci, jest nagłośniona w ten sposób, że słyszać w niej wszystko, co mówi się w sąsiedniej salce podczas pertraktacji. Każde słowo. Wszystkie słowa.

Na te słowa odbijające się od słów innych, przeciwnych, układające się w zdania, zbitki frazeologiczne i ciągi myślowe, następuje natychmiastowy rezonans. Natychmiastowa reakcja tłumnego gremium delegatów. I zbitego, stojącego tłumu (nagle zabrakło miejsc siedzących).

Zaraz, zaraz... Który z profesorów uczył mnie podczas studiów o psychologii tłumu? Zupełnie już nie pamiętam.

W obramowaniu framug okiennych pełno głów. Twarze przytulone do szyb, rozpląszone o szyby. Jedne nad drugimi. Piętrowo.

Nieco dalej i wyżej pełno robotników na dachu sąsiedniego parterowego baraku. Usłyszeć to nie to samo co zobaczyć. Choćby nawet przez szybę.

Szyby są kruche. Ale żadna — na razie — nie pęka. W Stoczni Gdańskiej nie pękła w ogóle żadna szyba.



Już przed wyjazdem z Gdańska (poniedziałek, 25 sierpnia) na ulicy przed dworcem, nieznajomy starszy mężczyzna: Redaktorze, serdecznie zapraszamy na koncert symfoniczny. Dziś popołudniu w stoczni gdańskiej muzycy z naszej Filharmonii... Wie pan, dla robotników...

Żałuję, że na koncercie być nie mogę. W ostatniej chwili dowiaduję się jeszcze, że blokada połączeń telefonicznych między Trójmiastem a resztą kraju została zniesiona.

To był wstępny warunek rozmów. Techniczny.

Stefan KOZICKI

Mariusz ZIOMECKI

(*Kultura*, 14 września 1980)

J. W.

JAKIE ŻYCIE OFIARUJE MI PANI POTEM

Dotychczas czytałam wypowiedzi ludzi, którzy byli w samym środku wydarzeń sierpniowych, uczestniczyli w nich czynnie. Ja przez cały czas stałam z boku, zajmowałam pozycję obserwatora.

Jako człowiek nie byłam bezstronna — od początku życzyłam z całego serca zwycięstwa stoczniovcóm i strajkującym, ale ze względu na swój zawód musiałam pomagać nie tylko im, a właściwie — przede wszystkim tym, którzy nie byli im przychylni.

Jestem lekarzem. Nieważne z jakiego miasta. To, o czym napiszę, nie musi się kojarzyć z określonym miejscem na mapie.

Kiedy TO się zaczęło, przyszedł do mnie pacjent, inżynier, który przebył dość poważną operację, a potem, na skutek ogólnoustrojowych powikłań, trafił na internę. Powiedział, że chce się wypisać na własne żądanie. Jego stan nie był dobry i choć nie ma tendencji do zatrzymywania pacjentów ponad konieczne minimum, w tym wypadku należało przeciwdziałać opuszczeniu szpitala. Wyjaśniłam, że to nieprzemyślana decyzja, lekkomyślna, opowiedziałam o skutkach, jakie może pociągnąć. „Pani nic nie rozumie — powiedział mi — ja przecież muszę być teraz ze swoimi ludźmi. Oni są w porządku, chcą dobrze, ale potrzebują kogoś, kto im pomoże wszystko zorganizować i nie pozwoli ich 'wpuścić w maliny', oszukać, wykorzystać. Oni na mnie liczą”.

„Czy pan wie, że może pan to przyjąć życiem?” — spytałam.

„A jakie życie ofiaruje mi pani potem, jeśli teraz zdezerteruję?” — odpowiedział.

Wypisał się ze szpitala, poszedł do „swoich ludzi”, przebywał na terenie zakładu przez wiele dni. Przyszedł do mnie na kontrolę przed kilkoma dniami. To było na pewno zdumiewające, ale to ja się myliłam, a on miał rację. W czasie badania nie znalazłam niczego, czego można było się spodziewać przykładając miarkę „szkiełka mędrca” — był całkiem sprawny fizycznie, a przede wszystkim zadowolony i wygrany psychicznie.

Po tym inżynierze mieliśmy wielu takich, którzy przerywali leczenie sami albo zdrowieli tak szybko, że zaczynaliśmy podej-

rzewać, iż leczylimy symulantów. Nasza pyskata salowa, widząc kolejnego chorego, który cudownie ozdrowiał i zabiera się do domu, powiedziała złośliwie: „Do pracy to wam się jakoś nie spieszyło, ale na strajk to bardzo żeście silni”. Robotnik, zaczepiony w ten sposób, odparował natychmiast: „Niewolnika można do pracy zmusić, ale nie można go zmusić do tego, żeby ją lubił i żeby się do niej spieszył”.

Na zwolnione miejsca szybko przybyli nowi.

Najpierw był telefon do dyrektora szpitala, potem — od dyrektora w dół — czyli do mnie. Poproszono mnie, żebym przyjęła, znalazła chorobę i zatrzymała na oddziale tzw. VIP. Bardzo Ważną Osobę. Nie było to trudne, nawet dla lekarza o wrażliwym sumieniu, który trzęsie się nad każdym zwolnionym miejscem i myśli komu je dać. Po prostu miałam przed sobą człowieka autentycznie chorego — chorego ze strachu. Strach rujnuje organizm wcale nie gorzej niż bakteria. U tego pacjenta musiał być strach wyjątkowo silny i wyjątkowo zjadliwy, bo w karcie można było wpisać wiele przypadłości — ku jego zadowoleniu i zadowoleniu tych, którym było na rękę, żeby ta postać zniknęła na pewien czas z horyzontu i nie „robiła złej krwi” robotnikom i wszystkim uczciwym, myślącym ludziom.

Miałam też pacjenta chorego ze wstydu. On także był przyjęty na zasadzie: „był w jego sprawie telefon” i także pozwolił nam na znalezienie u siebie chorób, które zwalniały od wyrzutów sumienia za zajęte łóżko. Właściwie to nawet w momencie przyjęcia był w lepszym stanie i dopiero w szpitalu zaczął nam marnieć. Był apatyczny, przygnębiony, nie miał „woli wyzdrowienia”, a przeciwnie — „wolę chorowania”. Któregoś dnia, całkiem nieoczekiwanie (bo nie należał do ludzi komunikatywnych i otwartych) przyszedł do mojego pokoju i rozpoczął swojego rodzaju spowiedź. Dowiedziałam się, co robił, czego nie robił, co było złe, co ma na swoje usprawiedliwienie i nad czym najbardziej boleje. Otóż najbardziej cierpiał z powodu syna; dorosły już prawie chłopak — jednak, student, nie odwiedzał go w szpitalu. „Mam wrażenie, że chciałby, żebym umarł — powiedział mi zgnębiony pacjent — wtedy nie musiałby się wstydić mnie przed kolegami”.

Udało mi się skontaktować z żoną tego pana i delikatnie zasugerować, że wizyta syna byłaby — ze względu na stan psychiczny męża — ogromnie pożądana. Dowiedziałam się wówczas, że syn ma wielki żal do ojca, że codziennie ona i chłopak przyjmują dziesiątki anonimowych telefonów, w których ludzie szydzą, docinają, prawią złośliwości lub złorzeczą. „To trudno udźwignąć,

tyle ludzkiej nienawiści, która dotyka bliską osobę” — powiedziała.

W pewnym okresie na widok karetki pogotowia jadącej na sygnale ludzie mawiali: „Oho, wiozą znowu jakiegoś dyrektora albo sekretarza”. To było złośliwe, ale nie pozbawione wcale racji. Szok psychiczny, strach, wstyd, dosłownie powalały ludzi. Mieliśmy zawały — wcale nie symulowane, autentyczne ciężkie zawały u całkiem zdrowych ludzi. Pękały masowo wrzody żołądka i dwunastnicy. Ciśnienie przybierało krytyczne wartości. Następowало drastyczne zaostrzenie wszystkich stanów chorobowych u chroników. Dlatego, gdy czytałam w prasie, że ktoś z Ważnych odszedł ze względu na stan zdrowia (a było takich komunikatów wiele), mój sceptycyzm był o wiele mniejszy niż przeciętnego czytelnika. Ja gotowa byłam w to wierzyć, bo miałam u siebie wielu z nich, tych co odchodzili, bo stress psychiczny był zbyt duży, by wytrzymał to organizm.

Umrzeć ze strachu, z rozpacz, ze wstydu — nagle przestało brzmieć jak poetycka przenośnia.

Zadaniem lekarza było nie tylko udzielenie pierwszej i drugiej pomocy. Musieliśmy wszyscy — bez względu na wewnętrzne przekonania i sympatie czy antypatie — zastanowić się nad tym, w jaki sposób ułatwić, a czasem wręcz umożliwić niektórym pacjentom powrót do życia poza szpitalem. Wiedzieliśmy, że nie wyleczenie jest najtrudniejsze, ale powiedzenie: może pan już iść do domu.

Poczucie winy było stosunkowo rzadkim uczuciem. Słyszeliśmy: „Musiałem...”, „Nie było wyboru...”, „Gdyby nie ja, to zrobiłby to ktoś inny...”, „Moja odmowa, sprzeciw nie miały znaczenia. Straciłbym pracę, stanowisko, a wszystko byłoby i tak załatwione po ICH myśli”.

Dominujące było natomiast poczucie krzywdy. Czasem za to, że ponosi się winę za cudze błędy, że jest się ofiarą odpowiedzialności zbiorowej; czasem — za okazaną niewdzięczność.

„Byłem dla nich jak ojciec — powiedział jeden z dyrektorów — tyle im załatwiałem, tak się troszczyłem, traciłem czas na zebraniach, walczyłem o nich i ich sprawy, teraz niczego się nie widzi. Oni chcą tylko krwi i głów. Nie ma dla nich dobrych i złych kierowników. Kierownik — musi być zły. Od tego nie ma odwołania”.

Jako lekarz mogę mieć pewną satysfakcję. Jako człowiek przeżyłam bardzo trudne momenty — musiałam stać po stronie

jednych i wyposażać w siłę, także duchową, tych drugich, którzy mogą pierwszym zaszkodzić, właśnie dlatego, że zostali wzmocnieni.

J. W.

(*Polityka*, 20-27 grudnia 1980)

Małgorzata SZEJNERT

CHWILA PRZED PODRÓŻĄ

Do tej pory, przed każdym wejściem komisji rządowej, ktoś z Prezydium MKS przypominał sali:

— Proszę koleżeństwa, dzisiaj tak jak zawsze, wchodzą, wstajemy, bez słów, bez oklasków, siadamy, cisza. Dyscyplina świadczy o wielkiej kulturze mas pracujących.

Kto nawet nie wiedział, że rząd się zbliża, poznawał tę chwilę po rumorze krzesel.

Taśma, którą uruchomiłam o siódmej dziesiątej, trzydziestego sierpnia, zaczyna się takim właśnie rumorem. Potem słychać kroki. Stawia je na pewno były mistrz Polski w wadze piórkowej, przydany przez stocznię do ochrony porządku. Bokser, który wchodzi przed wicepremierem, kołysząc się na krótkich masywnych nogach, ma dzisiaj na sobie nie zwykłą fufajkę, ale garnitur, a jego okrągła twarz, dotąd szczeciniasta, jest wygolona i uroczysta.

Czy sala klaszcze? Marian Jurczyk zwierzał się wczoraj: — Każdy dzień niesie nowe dla człowieka zmiany, człowiek nie może sprostać pamięcią. Musimy pamięć wesprzeć nagraniem, które nie podlega tak szybko zmęczeniu. — Przepuszczam rumor i oto owacja. Teraz się powinien wybić głos Jurczyka, który otworzy wielką uroczystość.

Lecz niespodziewanie następują słowa: Jestem delegatką Wiskordu, deklarujemy sumę na fundusz związków...

Ostatniej nocy strajkowej nikt nie chciał spać. Mało kto przespia noc przed rozstaniem. Ludzie, pochyleni ku sobie, szeptali przy stołach. Ja też nie spałam. Rano pomieszałam kasety. Nie

sposób teraz odczytać, komu klaszcze sala. Pani z włókien sztucznych czy Komisji Rządu?

Dalej jednak wszystko się zgadza. Słysząc donośny głos Mariana Juszcuka, jednego z zastępców szefa MKS. Juszcuk czyta protokół ustaleń. Trafnie wybrano go na lektora, jest jednym z najmłodszych członków młodego Prezydium, ale najlepiej rozkłada akcenty. Jest w partii, jest w radzie i w TPPR. Ma ciemną bródkę i ciemne oczy, za okularami. Skończył średnią szkołę techniczną, pracuje w dziale zaopatrzenia. Wiezorami, kiedy cały ogromny komitet, ze trzystu ludzi, wyciąga się na stołach konferencyjnych lub na estradzie zwanej sypialnią, za ciepłą ścianą kurtyny, na styropianie, który, przeznaczony na transparenty, jest dziś pokruszony ciężarem ciał, Juszcuk ma zawsze jeszcze robotę. Zawsze zalatany. — W siedemdziesiątym roku byłem chłopaczkiem, świeżo żonatym. Wróciłem do domu, wykąpałem się i mówię żonie — wiesz mała, to jest mój strajk ostatni.

[...]

Juszcuk więc czyta porozumienie. Te słowa są znane. Były omawiane najpierw na wydziałach, potem w tej sali, potem w komisjach, stamtąd wracały do delegatów, rozchodziły się znowu po wydziałach stoczni i po zakładach pracy Szczecina, wracały przyjęte, albo podważone. Oglądano je po wielokroć. Sala więc słucha ich ze spokojem. Lecz w wielkiej ciszy. Ponieważ te słowa stają się aktem. Juszcuk trzyma w dłoni nie zwykłe kartki maszynopisu, jak bywało dotąd, lecz pompatyczne czerwone okładki, w których spoczywa nie chęć tylko i nie nadzieja, ale już — prawo.

Zaraz po pierwszym punkcie protokołu — lekkie, niedostrzegalne niemal poruszenie. Wymiana spojrzeń. Lecz oczy znów biegają ku mówcy. Po ostatnich słowach wybucha aplauz, oklaski ze zwykłych przechodzą w rytmiczne. Trwają bardzo długo.

Teraz głos, którego nie mogę rozpoznać, zapowiada chwilę sygnowania aktu. Wymienia godności podpisujących. Przy mikrofonie jest chyba Krystosiak, ślusarz z Parnicy, najstarszy członek Prezydium. Spróbuję jednak sprawdzić, czy to on. Mam Krystosiaka na innej taśmie. Mówi jedno zdanie: My mamy prawo do godnego życia.

Niewykluczone, że to ten sam głos. Ale ton zdania o godnym życiu i ton zapowiedzi złożenia podpisów różnią się od siebie jak surowa deska od taflí forniru.

Znowu owacja. Na taśmie nic się nie dzieje, ale tym razem pamiętam: — inżynier Mroczek, który po raz pierwszy od trzy-nastu dni wszedł na tę salę nie w kombinezonie, lecz w mary-

narce o modnym kroju, jeden z trzech inżynierów w siedemnastoosobowym Prezydium MKS, zawsze spokojny, chociaż stanowczy, ujmuje czerwone okładki z porozumieniem i podsuwa je kolejno sygnatariuszom.

Całe szczęście, przepisano dokument na czas. Po ostatniej dyskusji Prezydium z Rządem, która się skończyła nad ranem, wynikła krótka różnica zdań, kto ma właściwie to zrobić? Bo ani komisja rządowa, ani stocznia nie miały o tej porze dobrej maszynistki.

Teraz wkręca się w taśmę przeraźliwy terkot, pstrykanie migawek, syki i znaki porozumiewawcze cizby pomocniczej — nosiocieli kamer i kabli. Gdyśmy tu przyjechali przed ośmiu dniami, było nas troje — dwoje z redakcji *Literatury*, kolega z *Życia Gospodarczego*. Reporter z miejscowej gazety przychodził pokątnie, wbrew woli swego zwierzchnika. Rozwój sytuacji stopniowo zachęcał prasę. W ostatnich dniach MKS musiał otworzyć biuro prasowe. Wczoraj wydano 41 akredytacji. Starszy robotnik, któremu powierzono misję rzecznika, przysiadł się do nas w nocy ze skwaszoną miną. — Nie mam do tego ręki — powiedział. — Do tego musi być człowiek zręczny. Czuł się znacznie lepiej w swej poprzedniej roli. Był delegatem MKS do spraw strajkowania. Widywaliśmy go za stołem, kiedy tłumaczył świeżo przybyłym reprezentantom rozmaitych załóg o co należy walczyć, jak stawiać sprawę, i jak traktować dyrekcje.

Terkot zostaje nagle zagłuszony dźwiękami Drugiej Sonaty b-moll Chopina. Wybiła się z taśmy. Od tygodnia jadę na taśmach z muzyką, bo czystych nie ma w całym Szczecinie. Wykupiono także magnetofony. Stocznia i miasto od trzynastu dni utrwalają głosy niosące się z sali, w której siedzimy, nie tylko po to, by je przegrać wnukom. Każda rodzina w Szczecinie chce trzymać gwarancje we własnej szufladzie.

Teraz na mównicę wchodzi wicepremier. Jest bardzo zmęczony i nieogolony.

— Towarzysze — mówi. Wśród siedemnastu członków Prezydium MKS jest czterech partyjnych, lecz Prezydium mówi do sali: — kochani, drodzy, proszę koleżeństwa. Czasem — proszę państwa. Ostatnia forma napłynęła tutaj pod koniec strajku, kiedy do klasy dobiły warstwy, wcześniej niepewne, gdy przed stołami delegatów fabrycznych rozwinął się korowód pielęgniarek, spółdzielców, nauczycieli, prawników, projektantów i nawet pracowników estrady.

— Towarzysze... Można dyskutować, ale zawsze musimy pamiętać o tym, że wszystko co służy ludziom, co służy gospodarce,

powstaje z pracy... Nie mamy tutaj innego pragnienia jak to, aby w pełni zrealizować te postulaty, jakie zapisaliśmy w protokole. Ale też musicie pamiętać o tym, że władza w Polsce może dzielić tylko to, co zostało wytworzone...

... Państwu, narodowi potrzebna jest dobra, zorganizowana, świadoma swych celów klasa robotnicza. Ona konstituuje to państwo, stanowi jego kościec. Stanowi jego główną ostoję...

Tym razem nie ma żadnej wątpliwości — oklaski na taśmie należą się mówcy.

Teraz do mikrofonu zbliża się Jurczyk, szef MKS. Trzyma w ręku kartkę, chociaż wystąpienie, jakie go czeka, nie jest kłopotliwe. Wygłosi tylko podziękowanie załogom i miastu. Teraz jednak stoi przed całą Polską. Więc i te proste słowa, które przeczyta, pomógł mu ułożyć znajomy socjolog.

Sięgnijmy więc po własne słowa Jurczyka, zapisane parę dni temu. Toną wprawdzie w szmerze pospiesznych rozmów (ktoś pyta szeptem czy wyprawa na Spitsbergen może załadować w porcie swój statek) lecz przy pewnym wysiłku dadzą się zebrać:

— Jestem Polakiem z krwi i kości... Urodziłem się i wychowałem na wsi. Nie miałem jeszcze pełnych szesnastu lat, gdy przystąpiłem do pracy. W Stoczni Szczecińskiej... Około piętnastu lat w zawodzie spawacza... Miałem wypadek bardzo poważny... W tej chwili jestem kierownikiem magazynu. Dziewięć lat temu, w czasie właśnie strajków, wybrano mnie do rady oddziałowej i od tego czasu kadencja po kadencji... W siedemdziesiątym roku również byłem w komitecie strajkowym... Zabrałem głos w tak zwanych wypadkach czerwcowych siedemdziesiątego szóstego roku... I na czarnej liście się ja znalazłem... Kończyłem zaocznie tę szkołę średnią... W każdym semestrze byłem wzywany... To co rząd uważał, że robiłem źle, zaznaczam, co rząd uważał, ja wszystko nadrabiałem sumienną pracą...

Biorę z powrotem poprzednią kasotę. Jurczyk zakończył swe podziękowania, schował karteczkę, prosi o zabranie głosu dyrektora stoczni.

Dyrektor Ozimek zaczyna słowami: — Koleżanki i koledzy stoczniovcy!

On także dziękuje za ład, porządek, powagę, szacunek. Prosi by nadgonić utracony czas. Tylko wysoka jakość pracy, tylko zaangażowanie załogi (na które, wiadomo, zawsze można liczyć) gwarantują efekt.

Szept: — Nie tylko zaangażowanie gwarantuje efekt.

Dyrektor dostaje solidne oklaski. Przychodził codziennie, pilnował majątku i umiał się znaleźć. Kiedy ktoś z Prezydium za-

gubił się w sytuacji i poprosił dyrektora o transport, dyrektor powiedział — wszystkie samochody są przecież wasze. W przeciwieństwie jednak do Jerzego Jeruzala, przewodniczącego rady zakładowej nie chciał odpowiadać na pytania prasy — czy pan strajkuje? — To jest pytanie poniżej pasa. I tylko w ten sposób mógłbym odpowiedzieć, a tu są panie. Jeruzal zaś mówił prasie, że strajkuje i miał swe krzesło wśród delegatów. Lecz gdy komisja rządu wchodziła na salę, zasiadał przy niej, przy brzegu stołu, *vis-à-vis* tłumu.

Gdy cichną oklaski dla dyrektora, Jurczyk proponuje, by odśpiewać hymn. Jako właściwy akcent „zakończenia pracy”.

Czy ktokolwiek tutaj pomyślałby o tym, jeszcze miesiąc temu, jak dalece strajk potrafi być pracą?

Rzadko kiedy się słyszy tak potężny hymn. Nie ma chyba nikogo kto by markował.

Członkowie komisji rządowej przechodzą teraz przed czołem tłum delegatów. Słychać pojedyncze oklaski, okrzyki, śmiechy. Następuje wymiana uścisków dłoni; rząd pośród tych gestów zbliża się ku drzwiom. Tłum delegatów pozostaje jednak na swoich miejscach. Siadają jakby na coś czekali. Nagle wszyscy obracają głowy ku oknu, za którym stoi niezmiennie wielki sierp i młot z nadbudówki promu „Dymitr Szostakowicz”. Gdzieś zza tego statku, od strony wody, niesie się cichy, lecz przejmujący głos syren stoczni i portu.

Komitet strajkowy znowu jest sam (kamerzyści także już wyszli unosząc stelaże i reflektory). Choć miasto niecierpliwie czeka przed bramą, członkowie komitetu zwlekają jeszcze. Jak człowiek przed wielką podróżą, który nim otworzy drzwi przed przyszłością, siada pośrodku własnego, bezpiecznego pokoju.

Okazuje się, że Jurczyk będzie jeszcze mówił. Znowu trzyma kartkę. Nad tą drugą kartką siedział sam nad ranem, w małej salce konferencyjnej dyrektora do spraw produkcji. Na górze napisał: Moje osobiste podziękowanie.

Tego by nie podsunął doktor socjologii: — Posyłam głęboki szacunek... Chylę swe czoło... Dziękuję za szlachetne serca i czyny... Życzę wam wszystkim, by w oczach waszych nigdy nie pokazała się łza smutku, lecz przeciwnie, by oczy wasze były zroszone łzami, łzami szczęścia i radości. Bóg z wami.

Wybuch „Sto lat”. Niemniej potężne, niż hymn.

Jurczyk jeszcze mówi:

— Proszę koleżeństwa, bardzo bym prosił państwo o spokojne opuszczenie stoczni, o zdjęcie z uszanowaniem obrazków na

bramie... Oprócz tego tu jeszcze prawdopodobnie, doszły mnie słuchy, że jest delegacja z jakiegoś zakładu pracy...

W tym miejscu taśma się kończy. Teraz zapewne weszła ta pani z Wiskordu. Muszę polegać już tylko na pamięci.

Teraz delegaci opuszczają salę. Jeszcze przez jakiś czas trwa krzątanie, sprzątanie pustych butelek po oranżadzie, rolowanie koców, pakowanie toreb. Lecz przede wszystkim znoszenie z estrady ogromnych bukietów róż, goździków, gladiolusów, które codziennie napływały z miasta. Na te naręcza, które trudno unieść, czeka już stoczniowy samochód. Zawiezie je na cmentarz w dzielnicy Gumieńce, na groby stoczniowców usypane w roku siedemdziesiątym. Tak zdecydował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.

Sala pustoszeje i widać teraz w kącie, obok radiowęzła, gdzie są telefony, miejski i wewnętrzny, samotną postać zgarbioną w krześle. Nikt się do niej nie zbliża i nie zagaduje. Wszyscy przechodzą obok, jak gdyby chyłkiem. Samotny chłopak trzyma głowę w rękach. Pytam go kim jest. Czy się nie cieszy?

Wzrusza ramionami i pochyla głowę. Jest delegatem z Gdańska.

Podczas gdy on ciągle siedzi w pustej sali, obok telefonu (połączenie znowu nie działa), ze wszystkich wydziałów, z hali i pochylni, kantorów, świetlic, warsztatów dążą granatowo-zielone grupki, łączą się na głównym placu stoczniowym, w miejscu, gdzie w niedzielę proboszcz Sosna z miejscowej parafii celebrował mszę, i powoli wylewają się za bramę główną.

Do stoczni wiedzie pięć bram: — mała i najdalsza, przy ulicy Ludowej, nieco większa za pochylnią Wulkan, duża Kolejowa, przy której ciągnie się pas trawnika i zielony parkan — główne miejsce strajkowych spotkań rodzinnych, równie duża zwana Arsenał i brama Główna. Nad tą ostatnią ciągle jeszcze powiewają duże flagi. Trzeci maszt jest pusty.

Bramy poboczne są dobre na dzień powszedni. Krystosiak mówi przed wyjściem: — Moja kobieta już mi zrędziła. Pewnie myślała babka o podmianie. A teraz już grzeczna, bo ma bohatera.

My siedzimy jeszcze w jednym z gabinetów, w tym samym gmachu, gdzie wielka sala. Leszek Dlouchy, inżynier z Gryfii i członek Prezydium, odpowiedzialny za organ MKS „Jedność” obmyśla plan piątego numeru. — Jakiego piątego numeru?

Leszek ma bujną czuprynę, nieduże wąsiki, twarz polską i romantyczną. Jest bardzo młody. Nawet telewizja doceniła Leszka. Wybrała go z tłumu. Podczas słynnej transmisji ze stoczni

szczecińskiej, w niedzielę 31 sierpnia, kamera zatrzymała się na nim przez parę sekund.

Po tym pytaniu Leszek się tropi. Uświadamia sobie, że papiernia Skolwin też przerwała strajk. Wraca do normalnych codziennych zajęć stary zecer, który pamięta jeszcze strajki przedwojenne i który składał *Jedność* nocami w ręcznej drukarni.

Otwierają się drzwi gabinetu. Wchodzi sekretarka. — Czy państwo długo jeszcze zabawia?

Po tych słowach zapada kłopotliwa cisza. Robi się niezręcznie. Wstajemy i porządnie ustawiamy krzesła.

Po korytarzu błąka się jeszcze jakaś delegacja, która przyniosła pieniądze na fundusz, ale nikt nie wie, gdzie ją odesłać. Wielka skarbona ze szklaną ścianą, w której spoczywa chyba z pięć milionów, jest już pod kluczem.

W końcu i my przekraczamy bramę. Tłum się przerzedził. Pojedynczy ludzie, których mijamy, pytają nas o kopię porozumienia.

Owszem, zostało odbite. Mamy egzemplarze. Lecz szkoda je oddać. Możemy pożyczyć. Przechodnie tworzą grupkę, ktoś czyta głośno.

Punkt pierwszy brzmi: „Uzgodniono, że w oparciu o opinie ekspertów będą mogły powstawać samorządne Związki Zawodowe, które będą miały socjalistyczny charakter zgodnie z Konstytucją PRL...”.

— To tylko tyle?

Tłumaczymy, że punkt jest rozwinięty w opinii ekspertów. Wybitni prawnicy, wśród nich profesor Łopatka i profesor Salwa, piszą w tej opinii, że konwencje międzynarodowe dotyczące wolności związkowej obowiązują w Polsce. Autorzy opinii określają na czym polega demokratyczny ustrój związku i demokratyczny charakter wyborów.

Grupa czytelników porozumienia chce tę opinię zobaczyć.

Słusznie. My także chcemy ją mieć. Chcemy ją przepisać, lub mieć z niej ksero. Ale nikt nie wie, gdzie się podziała. Właśnie przechodzi prawnik, który ją podpisał. Słyszemy odpowiedź:

— Jest przecież tajna.

— Jak to tajna? A gdzie jest oryginał?

— W sejfie dyrektora.

— Dyrektora?

— Stoczni.

To nam przypomina, że dyrektor Ozimek zaprosił Prezydium na krótkie spotkanie, i że już czas. Więc i my, ostatnia czwórka

dziennikarzy (ciągle jest ten uparty reporter, którego nikt tutaj nie delegował), chcielibyśmy wejść. Dyrektor powiedział nam przecież — po zakończeniu strajku chętnie was widzę.

Spotkanie odbywa się w gmachu dyrekcji, nie w stoczni lecz blisko. Do tej pory zwierzchnictwo przekraczało bramę, by iść na spotkanie, dzisiaj po raz pierwszy czyni to Prezydium. Idziemy na końcu, lśniącem korytarzem, pośród przepięknych modeli okrętów, w miłym zapachu dobrej czarnej kawy.

Idziemy za wolno. Drzwi już zamknięte. Stoi przed nimi uprzejmy urzędnik. — Dyrektor przeprasza, jest bardzo zajęty.

Chcemy tylko uczestniczyć w spotkaniu.

Jest zamknięte. Ściśle robocze.

Wracamy spod drzwi. Na schodach czeka pani z dziewczynką. Przyszła po męża. Czy jest na górze?

Znamy go. Jest. Stanisław Wiszniewski, zaopatrzeniowiec. Na pewno siedzi obok Jurczyka. Stale nad nim czuwa. — Z nim jem, przy nim śpię. Trzyma na kolanach drelichową torbę. Bardzo jej pilnuje. Stąd ciekawość — co tam może trzymać. Czy to może podręczny arsenał? Lecz w torbie leży stary tomik Mickiewicza, przepiękne wydanie dziewiętnastowieczne. W stoczni trudno znaleźć jakąś bibliotekę. Więc Leszek Dłouchy, szukając poezji, którą by można uskrzydlić zbyt formalny numer *Jedności*, przypomniał sobie, że Staszek Wiszniewski w chwilach największego zamętu czyta coś pod stołem.

Leszek przerzucił książkę. Wybrał cztery wersy. Zaczynają się: ... „naród nasz jak lawa...”. Zamknął nimi czwarty, ostatni numer.

Mam ten numer w domu. Pod cytatem zebrałam podpisy. Na środku podpisał Jurczyk, dookoła Juszcuk, Fischbein, Wondolowski, Mroczek, Krzystosiak, Chmielewska, Gwizdał, Serafin, Plaugo, Wiszniewski, Nowak, Soszyński, Wojan, Ban, Dłouchy, Zieliński. Każdy chce mieć jakieś zapewnienie i jakieś listy polecające. Z tym pamiątkowym numerem *Jedności* chciałabym przyjechać jeszcze do Szczecina. Powiedzmy za rok. Chciałabym wtedy odszukać ludzi, których obeszłam rano z długopisem. Kim wtedy będą?

Małgorzata SZEJNERT

(*Literatura*, 18 września 1980)

PRZED ROKIEM W JASTRZĘBIU

„Dziś, we środę, 3 września o godz. 5.45 w cechowni kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju zawarto porozumienie pomiędzy Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym górników z ponad 30 kopalń i wielu zakładów miasta a Komisją Rządową” — tak rozpocząłem swoją korespondencję dla *Expressu Wieczornego*. Miała ona szansę ukazać się w dniu podpisania porozumienia. Byłaby pierwszą informacją własną gazety centralnej o tym wydarzeniu. Jak dowiedziałem się później, w redakcji nadesiono na telexie drobne poprawki (napisałem, że strajk górników zaczął się we czwartek — błąd. Wersja oficjalna — w piątek. Napisałem: blisko 40 zamaryłych kopalń — poprawiono na kilkanaście), lecz mimo tego Wydział Prasy na publikację nie zgodził się. A było to przecież czwartego dnia nowej ery, czyli czwartego dnia po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego.

Poniedziałek, 1 września. Wczesnym rankiem dowiaduję się, że na Śląsku stoją kopalnie. Radio na ten temat milczy. Po kilku telefonach wiem — w Jastrzębiu strajk. Górnicy poszli w ślady stoczniovców. Mój informator, dziennikarz ze Śląska, lojalnie uprzedza, że dojechać na miejsce jest bardzo trudno.

— Sam wiesz, możesz mieć kłopoty. A poza tym oni i tak pewnie cię nie wpuszczą do środka.

Jadę stopem do Katowic, stamtąd pociągiem do Rybnika. Łapię jakiś autobus który podrzuca mnie w pobliże kopalni „Jastrzębie”. Z radia dowiaduję się, że „na Śląsku pracę przerwało kilka kopalń. Dziś o 15-tej mają się rozpocząć rozmowy z Komisją Rządową”. Więc jednak.

Kilkadziesiąt metrów przed wejściem do kopalni górnicy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach ustawieni w szpaler zatrzymują mnie i prowadzą do siedziby Zakładowej Komisji Strajkowej. Wszędzie kręcą się ludzie. Ja na razie nie wiem, czy rozmowy się zaczęły, czy nie.

W ZKS rozmawiam z przewodniczącym. Mówi, że bez zgody Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego nie dowiem się niczego. Dzwoni tam. Przy okazji dowiaduję się, że popełniłem błąd. MKS mieści się w kopalni „Manifest Lipcowy”. Z rozmowy telefonicznej orientuję się, że niewiele się tu dowiem. Próbuje

pertraktować. Nic z tego. Pytają mnie, czy w Warszawie wiedzą, że górnicy strajkują. Czy oglądali ludzie sobotni dziennik TV? Jeszcze pytanie, czy ludzie w stolicy nie dziwią się, że oni strajkują kiedy w stocznich ludzie idą do roboty. I właściwie nikt moich odpowiedzi nie słucha. Odprowadzają mnie do bramy. Na pożegnanie krótkie „szczęść Boże” i zamyka się za mną furta kopalni. Jest coraz później. Postanawiam dostać się do „Manifestu”. W taksówce słucham wiadomości. Mówią o trwających rozmowach. I zaraz potem jakby komentarz do strajku górników, tragiczna wieść o wypadku na „Halembie” i śmierci ośmiu górników.

— U nas to już trwa parę dni — mówi taksówkarz gdy zorientował się, że jestem spoza Śląska. — W sobotę woziliśmy im po kopalniach jedzenie. Panie, czy to się dobrze może skończyć? Ilu nas na Śląsku, to przecież nie jest Wybrzeże.

Wreszcie u celu

„Na bramie” kopalni „Manifest Lipcowy” wartownicy ze straży górniczej. Dokładnie oglądają moje dokumenty. Zaglądają do torby. Telefonicznie indagowany szef MKS nie pozwala mnie wpuścić. Po długich namowach (jest coraz później, nie znam miasta, nie mam się gdzie podziać) zgadza się.

Prowadzą mnie przez dziedziniec. Przechadzają się po nim górnicy. Niektórzy układają się do snu — pod ścianami, na ławkach. Jest chłodno. Wchodzimy do świetlicy. Za stołem przydzielonym siedzą młodzi ludzie: komitet strajkowy kilkunastu kopalń. Przedstawiam się. Nieufne odpowiedzi. Sadzają mnie koło siebie w kopalni tylko do rana. Wsłuchuję się w dyskusję. Wreszcie jeden z członków MKS zaczyna opowiadać.

— Zaczęło się tu w „Manifestie”. We czwartek 28 sierpnia trzecia zmiana odmówiła zjazdu. Ludzie zebrali się i powiedzieli, że chcą gadać z dyrektorem. Ten początek był bardzo niemrawy. Dyrektor Duda przyleciał z krzykiem. Parę godzin później był już na kopalni minister Lejczak — opowiada Tadeusz Jedynek, górnik z „Manifestu”. — Chcieli nam dać podwyżkę i żebyśmy od razu do roboty poszli. Widać jednak było, że ani minister, ani dyrekcja nie bardzo wiedzą co z nami robić. Był i krzyk, i groźby. Rano nim się zaczęła pierwsza zmiana, wiedzieliśmy już że stoją następne kopalnie Rybnickiego Zjednoczenia. Przyjechali do nas z Boryni”.

Pytam o dzisiejsze, poniedziałkowe rozmowy. Przecież radio trąbiło, że trwają.

— Trwać, to one trwały. Może pół godziny. Nikt z tej komisji nie miał żadnych pisemnych pełnomocnictw rządowych. Z komisją resortową gadaliśmy przez dwa dni — dodaje górnik, Ryszard Kuź. — W piątek to nawet przyjechał Leś, przewodniczący związku zawodowego górników. Razem z Lejczakiem namawiali nas, żebyśmy się za robotę wzięli. Że kopalnia stać nie może, bo się ściany zacisną. My to wszystko wiedzieliśmy, ale postawiliśmy warunek — podać w telewizji, że my też stoimy. Że wreszcie Śląsk się ruszył. Sami usiłowaliśmy dać znać do Gdańska. Ale nawet nie bardzo wiemy, czy nasi dojechali, czy teleksy doszły.

Rozmowy przerywają nowe delegacje. Wchodzi pięciu górników w kombinezonach z lampkami, z czarnymi twarzami. Widać, że po wyjeździe z dołu nie byli jeszcze w łaźni.

— Jesteśmy z kopalni „Wujek”. Cała załoga popiera wasze postulaty. Trzecia zmiana nie zjechała.

Wszystko to mówi przedstawiciel „Wujka” do mikrofonu. Z dworu słyszać oklaski. Po chwili górnicy ci idą się wykapać, dostaną gorący posiłek.

Dzwoni telefon. Odbiera Kuź. Słyszę tylko fragmenty rozmowy. — Nie. Teraz nie może. Jest zajęty. Jutro. Tak było uzgodnione. O 17-tej.

— Dzwonili z dyrekcji. Przyjechał wicepremier Kopeć. Chciał mówić z przewodniczącym MKS, Jarosławem Sienkiewiczem. Kopeć jest gotowy do rozmów. Ale szkoda, że teraz po północy, a nie o 15-tej.

W piątek rozmowy spaliły na panewce. Klasycznie przeciągano je, zwlekano z rozpoczęciem sensownych pertraktacji. Wniosek jest jeden — rząd czekał, aż podpisze porozumienia w Gdańsku i Szczecinie i chyba na to, że do strajku górniczego przyłączy się więcej kopalń. Rząd jeden z górniczych warunków „spełnił” — w sobotę, 30 sierpnia, podano w telewizji, w dzienniku, że stoją kopalnie. Oglądałem ten dziennik i nic takiego nie słyszałem — mówię.

— Nam się zdawało, że coś w tym dzienniku nie gra. Za często odbierał spiker telefon, kręcił coś — dodaje Grzegorz Stawski, sztygar, co do strajku przyłączył się jako pierwszy z dozoru.

Dopiero w Warszawie dowiedziałem się, że to wydanie dziennika było niezwykle skomplikowane, na Śląsku mówiono o strajku kopalń, a reszta kraju oglądała film o wczasach żaglowych.

Postulaty górników

Mijają godziny. Dostaję gorącą zupe. Powoli przełamuję tamę nieufności. Czytam postulaty górników. Wśród nich żądanie gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących i ich rodzin.

— Milicja już była w naszych domach — mówi Stawski. — Żonie jednego z górników powiedzieli, że był wypadek na kopalni i że jej starego przywaliło. Nim ona tu przyleciała, nim się dowiedziała, że to nie zawał, to sama omal nie umarła. Boimy się tutaj na Śląsku wszyscy.

Następne postulaty to podanie do publicznej wiadomości informacji o strajku, poparcie 21 postulatów z Wybrzeża oraz długa lista własnych, śląsko-górnich. Dodatki za szkodliwość pracy w zakładach przeróbczych, likwidacja czterobrygadowego systemu pracy w kopalniach, zwiększenie dodatku z tytułu Karty Górnika, wprowadzenie wszystkich sobót i niedziel wolnych, przestrzeganie dobrowolności pracy w dni wolne, obniżenie wieku emerytalnego, reforma górniczej służby zdrowia, uniezależnienie tzw. czternastej pensji od absencji powypadkowej i urlopów okolicznościowych, zaliczenie pylicy płuc do chorób zawodowych, likwidacja talonów na atrakcyjne towary, zasada dobrowolności pracy ponadnormatywnej, zapewnienie pracownikom dozoru 8-godzinnego dnia pracy, poprawa zaopatrzenia, likwidacja sklepów komercyjnych, konieczność racjonalnej gospodarki węglem, zakaz pracy na rzecz kierowników kopalń.

Ze Stawskim, Kuziem, Jedynakiem wprowadzamy drobne poprawki.

— Pierwszego dnia chcieliśmy ściągnąć do nas jakiegoś prawnika. Nie udało się. Nikt się nie chciał zgodzić. Wszystko robimy sami. Nikt nam nie pomaga — mówi Kuź.

I faktycznie tego strajku nikt nie wspomagał. Nie było ekspertów, którzy by górnikom doradzali czy metodę rozmów, czy układ postulatów. Tu w tym regionie intelektualiści są zbyt zastraszeni, nikt nie zaryzykował wspomagania strajkujących. — Nad każdym krążył duch Decembra* — powiedział jeden z górników.

Koło piątej nad ranem sympatyczny górnik z odstającymi uszami, przezywany Kargul, prowadzi mnie do ratowników. Mam się przespać dwie godziny, bo czeka nas (tak do mnie powiedział) kolejny ciężki dzień. Po drodze zaglądamy do łaźni i szatni górni-

* Z. Grudzień, przezywany na Śląsku Decembrem.

czej. Na ziemi pokotem leżą setki mężczyzn. Niektórzy siedzą, rozmawiają. Spokój, porządek, oczekiwanie.

Szarpanie za ramię. Budzi mnie Kargul. — Chodź, już siódma. Prowadzi mnie do łaźni. Kąpiel orzeźwia. Idziemy do świetlicy. Dostaję talerz parującej grochówki. Po chwili zabiera mnie Jedynek. Wprowadza mnie do małego pokoiku. — To jest ten redaktor, o którym wam mówiłem — przedstawia mnie Niskiemu i Wysokiemu. Pierwszy to Stefan Pałka, elektryk z „Manifestu”, wybrany na szefa strajku, drugi to Jarosław Sienkiewicz, ekonomista z „Boryni”, który przyszedł na „Manifest” z delegacją swojej kopalni i tak się jakoś stało, że został przewodniczącym MKS. Wzajemne badanie się. Trwa to jakiś czas. Przerywa naszą rozmowę informacja o mszy.

Msza w kopalni

Wtorek, godz. 9-ta rano. Piąty dzień górniczego protestu. Przed budynkiem cechowni, na dworze wyciągnięta z ukrycia figurka św. Barbary, patronki górników. Cała w kwiatkach. Msza odprawiana w intencji strajkujących i poległych poprzedniego dnia w „Halembie”. Na miejscu są górnicy z tej kopalni. Zaraz po wypadku dołączyli oni do strajku. Od Jedynaka dostaję różaniec. On i Pałka, podobnie jak Wałęsa w Gdańsku, w czasie rozmów z delegacją rządową będą mieli na szyi różańce. Msza odprawiana w ciszy i skupieniu. „Boże coś Polskę” w wykonaniu strajkujących górników i rodzin, które stoją zwartym kołem za murem kopalni, przejmuje wiarą w siłę i zdecydowanie tych ludzi.

Później znowu dyskusja nad punktami żądań. Czy jeszcze coś zmienić? Sienkiewicz odpoczywa, uważa, że musi być wypoczęty na czas pertraktacji. Nie chce zresztą dyskutować.

Ze znaczkiem członka Prezydium MKS, pożyczonym od jednego z przewodniczących, łączę po kopalni. Oglądam ludzi, podziwiam niezwykle porządek. W pokoju przewodniczącego strajku krótka narada. Zjechało się sporo dziennikarzy.

Wychodzi do nich na zewnątrz kopalni Stefan Pałka. Ja w tym czasie idę do dyrekcji. Chcę zadzwonić do Warszawy, a ze środka strajkującej kopalni jest to niemożliwe. Żeby mnie wpuścili z powrotem idę z Kargulem, jako obstawą. W budynku dyrekcyjnym trafiam do gabinetu naczelnego inżyniera. Wywiązuje się dyskusja z Kargulem. Inżynier wręcz krzyczy: — Ludzie

przecież wy rozwalicie kopalnię. Tyle dni, a wy się na niczym nie znacie. To wszystko będzie do zwalenia.

Kargul tłumaczy, że cały czas czuwają na dole służby zabezpieczające. Nawet jak trzeba było dla utrzymania ściany węglowej w dobrym stanie zrobić tzw. rozcinke, to pojechała grupa górników i to zrobiła. Ta argumentacja jednak nie dociera. Inżynier myśli inaczej — on uważa, że górnicy są od roboty, od dyrygowania pracą jest on i dyrektor.

Wracamy, Pałka opowiada, że go dziennikarze napadli, pytali, dlaczego nie wpuszczają, że oni byli w Gdańsku i tam to inaczej wyglądało. Powiedziałem im: — Zaczęliśmy strajk we czwartek wieczorem. — Liczyliśmy, że dziennikarze z Katowic przyjadą w piątek rano, a z Warszawy — najdalej w sobotę. Powiedziałem, że dopiero dziś w nocy przyjechała nasza wysłanniczka z Gdańska, jedyna, której udało się dojechać tam i z powrotem i przywiozła tekst Porozumienia Gdańskiego, pozdrowienia od Lecha Wałęsy i zapewnienie, że stoczniovcy trzymają za górników. I że dostali nasz teleks.

Początek rozmów

Czekanie. Rozmowy zaczną się o godz. 17-tej. Tak ustalono poprzedniego dnia. MKS kłóci się między sobą, czy odbywać się one mają w świetlicy, czy w cechowni, do której wejdą przedstawiciele wszystkich ZKS z miasta i innych kopalń. Decydują się na cechownię. Stół do rozmów ustawiają tak, by komisja rządowa siedziała tyłem do sali, a przodem do komitetu strajkowego. O 16-tej sala jest pełna. Wszyscy czekają.

W pokoju Sienkiewicza ostatnie przygotowania. Przewodniczący goli się. Podciąga krawat. Jedynak obciąża nerwowo sweter. Jest już lista strony rządowej. Ja dostaję zgodę MKS na uczestniczenie w rozmowach. Poza mną na sali nie będzie dziennikarzy. Ucinam kwadrans drzemki.

O godz. 16.30 wpuszczono wszystkich dziennikarzy. Są zachodnie telewizje, które przyjechały prosto z Gdańska; są dziennikarze z Katowic i Warszawy.

O godz. 17-tej na salę wchodzi przedstawiciele MKS i Komisji Rządowej. Jest wicepremier Kopeć, min. Lejczak, podsekretarz Głanowski, prof. Nawrocki z Polit. Gliwickiej, sekretarz KW Kiczka, wicewojewoda Gorczyca. Jeden z członków MKS przedstawia sali przybyłych. Nie ma na liście Żabińskiego. Pomija go, dopiero wita go po chwili, kiedy mu nazwisko to podpo-

wiada Sienkiewicz. Na sali entuzjazm. Pamiętają Żabińskiego jeszcze z czasów, gdy był szefem ZMS na Śląsku, a i z Opola też dobre wieści o nim przychodziły. On przyjechał bezpośrednio ze Szczecina. Fotoreporterzy robią zdjęcia. Dziennikarze opuszczają salę. Zaczynają się rozmowy. Jeszcze na chwilę przerwane, bowiem tumult spod cechowni udowadnia, że musi być nagłośnienie kopalni, wszyscy muszą słyszeć o czym i jak rozmawia się w sali.

Obie strony bardzo zdenerwowane. Górnicy zacięci, Komisja właściwie też. Postulaty górników są stanowcze i twarde.

— Zapewnienie bezpieczeństwa. Rozpoczyna się targ. Bo nie ma takiego prawa żeby w Polsce glejty dawać. Ale my na Śląsku wiemy, że w Polsce nie prawem się posługują władze, tylko milicja. Mijają minuty. Do żądań strajkujących „zabrania się szykan mających pozory legalności” Komisja chce dopisać „z wyłączeniem przestępstw pospolitych” bądź kryminalnych. MKS nie zgadza się. Wiadomo, że sfabrykowanie dowodów to kwestia chwili. Komisja w końcu przystaje, choć prosi o zaprotokołowanie, że nikomu nie można dać glejtu na gwałt, rozbój, kradzież czy wypadek drogowy. Oklaski na sali i pod oknami. Kolejne punkty — poparcie 21 żądań gdańskich, podwyżki zarobków stosownie do wzrostu kosztów utrzymania od IV kwartału. To Komisja Rządowa przyjmuje. Widać już, że przyjechali podpisywać porozumienie. Węgiel jest zbyt cenny, żeby tracić czas. Tak myśleli górnicy i liczyl, że komisja przyjedzie w piątek, a nie dopiero we wtorek.

Wolne soboty

Punkt najtrudniejszy — wolne soboty i wolne niedziele. Starcie. Rząd nie zgadza się. Wytacza kolejne argumenty. Że systematycznie do 85 roku będą wprowadzane wolne soboty. Stwierdzenie z sali: — Już raz nam powiedziano, że do końca 1979 roku będą wszystkie soboty wolne i co z tego wyszło?

— Kopalnie nie mogą stać dwa dni bez wydobywania. Zacisną się skały. Kontra: — Służby zabezpieczenia i tak będą pracować bo muszą. Znajdą się też chętni do wydobywania, ale dobrowolnie. Bez przymusu.

— Nie stać nas na tak gwałtowne zmniejszenie wydobywania. Do tej pory szło w soboty i niedziele, teraz tyle wolnych dni? Gospodarka tego nie wytrzyma — argumentuje Komisja. Kontra:

— My jesteśmy ludzie. My tego nie wytrzymujemy. Nie możemy pracować po 35, 36 dniówek na miesiąc. My chcemy żyć z rodzinami.

Szałę przeważa kobieta, która przysłuchuje się rozmowom. Zaczyna krzyczeć: — Nie może tak dłużej być. Mąż pracuje cały tydzień na noc, potem na południe, w niedzielę, zamiast z rodziną do kościoła, idzie do roboty. Mnie się mały dzieciak pyta — Mamusiu, czy to ja nie mam tatusia, że go nigdy nie widzę i że go nie ma z nami w domu? — Na sali oklaski. Ryk zza okien. Komisja Rządowa prosi o przerwę. Wychodzi z sali. Nerwowa atmosfera. Po pół godzinie rozmowy wznowione. Targ o wolne soboty zaczyna się od nowa. Strony nie ustępują. Zanosi się, że rozmowy zostaną przerwane. Nagle dramatycznym ruchem Kopeć wstaje z krzesła. Odwraca się, zapina marynarkę. — Szanowni zgromadzeni, górnicy, czy jak podpiszemy wszystkie wolne soboty od 1 stycznia 1981, to czy wróćcie od jutra do pracy?

Na sali entuzjazm. Żabiński nerwowo kręci się na krześle. Widać furję na twarzy. Górnicy intonują „Międzynarodówkę”. Groźnie brzmi ona w tych ustach, w tych murach tu na Śląsku w takiej sytuacji. Groźnie, bo prawdziwie.

Dalej już łatwiej. Postulat obniżenia wieku emerytalnego — komisja poprze i skieruje do Sejmu. Pylicę uzna się za chorobę zawodową. Talony na atrakcyjne towary zlikwidować jest prosto. Gorzej ze zniesieniem wprowadzonej z takim uporem czterobrygadówki. Górnicy mają dwa dni w tygodniu wolne — pada argument strony rządowej. Ciekawe ilu z nas ma wolne? Brakuje 70 tys. ludzi w górnictwie. Pracujemy świętek, piątek na okrągło. Podsekretarz Głanowski pyta — ilu przedstawicieli kopalń z już wprowadzoną czterobrygadówką obecnych na sali jest za zlikwidowaniem tego systemu? Przedstawiciele mają rozbieżności jedynie co do terminu zlikwidowania czterobrygadówki. Punkt przyjęty.

Komisja Rządowa bez dyskusji przyjmuje punkt o zakazie zatrudnienia górników do prac poza terenem kopalń, przy budowie prywatnych domów dyrektorów, naczelnich inżynierów i temu podobnych potentatów.

W czasie przerwy członkowie Komisji Rządowej miesza się z górnikami. Zbratanie? Premiera Kopcia pytano o to, dlaczego nowy samochód kosztuje mniej od używanego i o cenowe absurdy w motoryzacji. Pytania trafiały pod adres właściwy...

Dopięli swego

Dochodziła północ, gdy dokończono rozmowy. Ogłoszono przerwę na przepisanie dokumentów i przygotowanie się do uroczystego podpisania. Na sali i pod oknami radość zmęczonych ludzi. Dopięli swego.

Komisja Rządowa i Komitet Strajkowy rozeszli się. Spotkanie następne za parę godzin. Poszedłem znowu do dyrekcji, by zadzwonić do Warszawy. W gabinecie naczelnego dyrektora kopalni nie krępowano się obecnością dziennikarza *Expressu*. Rozmowa dotyczyła jednego: — Jak się do takiego mam teraz odezwać na dole? — pytał kolegów dyrektor. — Powiem mu żeby szedł do roboty, a on mi na to rzuci, że nie, że on sobie zastrajkuje. No, wydobyć to już teraz nie będzie w ogóle.

Przed oczami stanęła mi podobna scena — z filmu *Wajdy „Ziemia Obiecana”*, gdzie łódzcy fabrykanci przez okno patrzyli na strajkujący tłum...

O 3-ej nad ranem dokumenty gotowe. MKS udał się do cechowni. Na sali tłum górników i przedstawicieli strajkujących zakładów. Są przedstawiciele domu mody „Elegancja” i Biblioteki Publicznej w Jastrzębiu. Są przedstawiciele Wydziału Kultury MRN w Jastrzębiu i coraz to nowi górnicy. Do rana, do podpisania porozumienia było już ponad 55 strajkujących zakładów górniczych. W sumie koło setki różnych firm.

W cechowni są przedstawiciele prasy, fotoreporterzy i filmowcy. Wchodzi Komisja Rządowa. Wymieniają dokumenty z MKS, który idzie przeczytać i przedyskutować ostatnie kwestie przed złożeniem podpisów. Ta przerwa przeciąga się. Nikt nie wie, ile potrwa. Komisja Rządowa jest na sali. Na wprost czekających na koniec strajków górników. Twarze członków Komisji nie są zbyt radosne. Kiczan uśmiecha się nerwowo. Kopec stara się być obojętny, Lejczak jakby nie wiedział dlaczego tu siedzi. Tylko Żabiński jest twardy, zimny i zacięty.

O godz. 5.20 wchodzi MKS. Flesze, kamery. Podpisy na dokumentach. Oklaski, radość.

Przemawia wicepremier Kopec, po nim sekretarz Żabiński. Mówi: — To była dobra i mocna lekcja wychowania obywatelskiego. Dla nas wszystkich, dla obu stron tej sali. Nauki tu pobrane pamiętać będziemy długo. — Mówi to z twarzą bardzo poważną, widać, że tej lekcji zapomnieć mu się nie uda. Dwie i pół godziny siedzenia twarzą w twarz z salą strajkujących, oczekiwania na powrót MKS, to mocne i długie godziny.

Na koniec przemówił jeszcze delegat kopalni „1 Maja”, Józef

Branka: — Dziś, we środę przystąpimy do pracy poczynawszy od drugiej zmiany.

Sienkiewicz dodał: — Wracamy do pracy po zakończeniu tygodniowego strajku. Większość zakładów od czwartku. Część z nas górników, jest już od dziś. Nie wszyscy, gdyż względy bezpieczeństwa nie pozwalają na pracę pod ziemią ludzi zmęczonych prawie tygodniowym strajkiem okupacyjnym.

Strajk się skończył, a na Śląsku żegnano się wciąż życzeniami „szybkiego Sylwestra”, czyli ostatniego dnia grudnia.

Jarosław SZCZEPAŃSKI

(Tygodnik Solidarność, 4 września 1981)

Joanna SIEDLECKA

HALA I BIUROWIEC

Piątego dnia po podpisaniu porozumień w Gdańsku, czyli 4 września, w czwartek, rozpoczął się strajk w białostockich zakładach przemysłu bawełnianego „Fasty”. Najdłużej, bo aż do piątku po południu pracowały tkaczki z tkalni „białej”. I nic dziwnego — one właśnie rozpoczęły strajk w roku 1976 po czym najaktywniejsze z nich natychmiast zwolniono. Białystok nie jest wielkim miastem, znalazły więc pracę jedynie w MPO i Zieleni Miejskiej. Nie wiadomo, czy teraz wrócą tutaj.

— Nie mieliśmy jeszcze na temat tych osób dokładnych wytycznych, nie mogę więc nic powiedzieć — wyjaśnia Romuald Klimiuk, dyrektor d/s handlowych.

„Biała” przystąpiła do strajku dopiero gdy na sto procent upewniła się, że strajkuje cała, sześciotysięczna załoga.

To znaczy, wszyscy z wyjątkiem „biurowca” czyli dyrekcji, kierownictwa, administracji. Ale już z mistrzami było różnie. Mistrz przędzalni został wybrany nawet do Wydziałowego Komitetu Strajkowego. Powstała milicja robotnicza, straż przem-

słowa. Zabezpieczono materiały, maszyny. „*Mucha się nie przegryzła*” — mówią włóknarki.



To był strajk, którego można było uniknąć. Spowodował go brak informacji. Kobiety nie wiedziały, czy porozumienia podpisane na Wybrzeżu dotyczą wszystkich, także i ich zakładu. Nie orientowały się nawet za bardzo, czego tam żądano. Dlatego też wiele wysuniętych przez nie postulatów powtarzały gdańskie i te z innych regionów kraju — m.in. o wyrównaniu zasiłków rodzinnych z zasiłkami MO i SB, trzyletnich, płatnych choć częściowo urlopach macierzyńskich, zlikwidowaniu talonów na samochody, itd.

Zażywały też ogłoszenia postulatów Wybrzeża w gazecie zakładowej *Fasty*. Nieosiągalny był w Białymstoku ani *Sztandar Młodych* z postulatami, ani *Życie Warszawy* i *Polityka* z tekstami porozumienia. Białostocka *Gazeta Współczesna* informowała jedynie ogólnikami w stylu: „*trwa dialog nad sprawami Polaków...*”.

Milczała dyrekcja, Rada Zakładowa, Komitet Zakładowy.

— Tymczasem po raz pierwszy — mówią kobiety — chciałyśmy zebrania.

— Nie mieliśmy żadnych dyrektyw z góry — tłumaczy dyrektor Klimiuk. — No i z czym mieliśmy wyjść do ludzi? Z pustą kieszenią?

Choć w większości zakładów nie było również od razu pieniędzy na podwyżki i realizację innych postulatów.

W „Fastach” jednak nie było nawet natychmiastowych rozmów z chwilą rozpoczęcia strajku. Trwał długo, bo aż pięć dni — od czwartku do poniedziałku po południu. Do ostatniego bowiem dnia dyrekcja usiłowała zakończyć go bynajmniej nie „dialogiem”. I to było, zdaniem kobiet, najbardziej niepoważne.

— Coraz ogłaszano przez zakładowy radiowęzeł, że strajk już skończony.

— Telefonowano na przykład na „białą”, że ruszyła już „kolorowa”, a na „kolorową”, że „biała” już pracuje.

— A na wykończalnię czyli do siedziby Komitetu Strajkowego, że w zakładzie nie ma porządku — tu i tam zamknął się pan z panią i robią różne rzeczy. Albo, że pali się ten czy inny wydział. Komitet biegł przerażony — odpowiadałby przecież za straty. Ale były to nieuczciwe alarmy.

— Przychodzili na wydziały z uwagami, że wszędzie walają

się niedopałki. Podwojono straż robotniczą, która zauważyła, że niedopałki rozrzuca jeden z kierowników wydziału. Grzecznie wyprowadzono go z zakładu.

— Przed naszym strajkiem strajkowała białostocka komunikacja. Zorganizowano nam wtedy autobusy z różnych firm, jednak natychmiast je wycofano, gdy i my zaczęliśmy strajk. Mimo to, i tak na strajk docierałyśmy. Białostoczanki szły godzinami, bo „Fasty” są kawał drogi za miastem. Taksówkarze wieźli do „Fast” za darmo. Kobiety z okolicznych wsi, których pracuje tu sporo, przyjeżdżały furmankami.

— Wracajcie do pracy — namawiała dyrekcja — a my będziemy realizować wasze postulaty.

Nikt jednak w to nie wierzył. Nie raz wiele obiecywano i nic z tego nie wynikało.

Dopiero w sobotę przybyli do „Fast” przedstawiciele Zjednoczenia i KW. Około dziesiątej wieczorem odbyła się pierwsza, poważniejsza rozmowa. Nie doszło do porozumienia. Nie z winy Komitetu Strajkowego nie podjęto także rozmów w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Nie poprawiła również atmosfery tych pięciu dni sprawa redaktora Klimaszewskiego z białostockiej *Gazety Współczesnej*.

Był obecny podczas strajku, rozmów i zanim jeszcze doszło do porozumienia, napisał 30-wierszową notatkę:

„W dalszym ciągu nie pracuje załoga 'Fast'. W minioną sobotę prowadzone były do późnych godzin nocnych rozmowy, w toku których pozytywnie rozpatrzono niemal wszystkie postulaty, między innymi dotyczące rozpisania nowych wyborów do niezależnych, samorządnych związków zawodowych, zwiększenia dodatku za pracę w godzinach nocnych i popołudniowych, w warunkach szkodliwych dla zdrowia i za wystugę lat. W zakładach panuje ład i porządek. (...) W nocy z soboty na niedzielę pertraktacje zostały przerwane. (...) Komitet liczy jednak na szybkie podjęcie rozmów...”

Z przyczyn od autora i redakcji niezależnych, notatka nie ukazała się w druku, poszedł więc do „Fast”, wytłumaczył to kobietom. Pokazał, co chciał napisać. I na tym by się skończyło, gdyby nie dyrektor „Fast” inż. Adam Karwowski, który poprosił go do pokoju, gdzie obradowała dyrekcja i goście. Przeczytano maszynopis, który wywołał oburzenie. Nie wiadomo właściwie dlaczego. Może ze względu na wzmiankę o nowych związkach? Albo podkreślenie, że to nie strajkujący przerwali rozmowy?

— To bzdury! — krzyczał inżynier Zbigniew Majer ze Zjednoczenia. — Te strajki to przede wszystkim przez was, dziennikarze!

Dyrektor Karwowski obrzucił redaktora Klimaszewskiego niecenzuralnymi słowami. — Znów się na was zawiodłem, redaktorze! — krzyczał. — Już raz zrobiliście mnie w konia, mówiąc przy Komitecie Strajkowym, że porozumienia na Wybrzeżu dotyczą wszystkich!

I według wiarygodnych chyba relacji, jakie zebrałam — złapał redaktora za kłapy. Na szczęście, ktoś go odciągnął. Redaktor Klimaszewski — dziennikarz doświadczony, zasłużony, wielokrotnie nagradzany — musiał uciekać.

Wiadomość o incydencie obiegała szybko zakład.

Na drugi dzień odbyło się nadzwyczajne zebranie białostockich dziennikarzy, większość z nich była wyrzucana przez dyrekcję strajkujących zakładów białostockich. W żadnym jednak wypadku nie doszło do rękoczynów.

Po prostu redaktor Kin na przykład, rozmawiał z Komitetem Strajkujących zakładów „Polmo” „przez siatkę ogrodzenia” (*Gazeta Współczesna*, 14. 09. br.) bo dyrekcja wyprosiła go z zakładu. Redaktorowi Siwakowi udało się wśliznąć do Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Emilii Plater w Wasilkowie pod Białymstokiem, lecz gdy tylko dyrekcja dowiedziała się o jego obecności — ścigała go po halach przez radiowęzeł, przekazała portierom, żeby jak najszybciej go złapali. Dyrektor białostockiej „Biruny” nie wpuścił redaktor Zarembiny. — Pani będzie rozmawiać z jedną, a reszta tkaczek zatrzyma krosna — tłumaczył. Rozmawiała z robotnicami na portierni.

Zarząd białostockiego oddziału SDP wystosował do inżyniera Majera i Karwowskiego pisma z prośbą o wyjaśnienia. Może przypomną sobie słowo przepraszam? Jeżeli nie — w stosunku do dyrektora Karwowskiego zostanie droga sądowa.

Nietrudno zrozumieć, że w takiej atmosferze porozumienie z Komitetem Strajkowym podpisano dopiero piątego dnia strajku, w poniedziałek o godz. 14.30, gdy wiadomo było, że nic nie wyjdzie z przeciągania i odwlekania pertraktacji. Zapewniono realizację większości postulatów.



Postulatów podstawowych było dziewięć. Numer jeden to „uznanie Zakładowego Komitetu Strajkowego za wyraziciela woli

załogi i współgospodarza zakładu". Numer dwa — utworzenie niezależnych, samorządnych związków zawodowych.

W Radzie Zakładowej byli ludzie nie z hali, z produkcji, tylko ze strony przeciwnej, czyli „biurowca”. Nieprzypadkowo też tam właśnie, blisko dyrekcji, mieli swoją siedzibę z wygodnymi fotelami, kawką, etatami. W „biurowcu” — rozumiało — przyjemniej.

Fastowskie włóknarki nie orientowały się na czym polegają nowe związki. Wiedziały tylko jedno — nie chcą starych, które nic nigdy dla nich nie zrobiły. Nie broniły nawet nie tylko wyrzucanych za strajk, ale i w różnych dyscyplinarnych sprawach. Podczas pertraktacji z Komitetem Strajkowym dyrektor Karwowski jak najbardziej aprobował projekt nowych, samorządnych związków. Rada Zakładowa i Rady Oddziałowe zostały zawieszane. W podpisanym porozumieniu znalazło się jednak tylko:

— „Rozpisanie nowych wyborów do oddziałowych Rad Związkowych oraz Rady Zakładowej na nowych zasadach”.

W poniedziałek, przed podpisaniem porozumienia dyrekcja wydelegowała do Komitetu Strajkowego pracownicę administracji. Poinformowała ona, co tracą członkowie nowych związków. Nie dostaną wczasów, kolonii i paczek dla dzieci, pożyczek i zapomóg. To wszystko pochodzi z funduszu socjalnego; zatem informacja urzędniczek nie była zgodna z prawdą. Zrobiła jednak swoje. Zdecydowana większość załogi to kobiety. Niewykształcone, zmęczone nocną pracą, obciążone dziećmi. Przestraszyły się. Nie chciały tego wszystkiego stracić. Komitet nie mógł działać bez ich zgody. Zresztą, sam nie wiedział, jak jest prawnie z tymi sprawami? Nie miał pomocy prawnika czy po prostu kogoś bardziej zorientowanego.

— Nie rozumiem, dlaczego pyta pani akurat o nowe związki?
— dziwi się Wiesław Lerman, dyrektor d/s ekonomiczno-pracowniczych. Nikt przecież nie domagał się nowych związków...

Ale jeśli już o nich rozmawiamy, chciałby zadać mi dwa pytania:

— Czy Pani jest Polką? Patriotką?

— ?? Nie rozumiem... To demagogiczne pytanie.

— To wobec tego drugie. Czy jako Polka chce pani pętli na szyję?



Kolejny postulat — najdłużej dyskutowany — to „podwyżka pensji zasadniczych o tysiąc złotych miesięcznie”. Będzie realizowana stopniowo. We wrześniu i październiku po 500 złotych,

w listopadzie już tysiąc. Wszystko jednak pod warunkiem utrzymania dotychczasowej wydajności i jakości pracy.

— „*Zwiększenie dodatku za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia o 100 %*”.

Nie było to chyba żądanie wygórowane. Dotychczas dodatek wynosił złotówkę na godzinę czyli miesięcznie około 180 złotych. A to się tylko mówi „przemysł lekki”. Na każdym stanowisku pracy kumulują się liczne uciążliwości. Wysoka temperatura (zła klimatyzacja), zapylenie (głównie na przędzalni), hałas (na krosnach przekracza 90 decybeli czyli dopuszczalną normę, słuchawki łagodzą go, ale uciskają uszy), złe oświetlenie (w handlu brak świetlówek), praca w nocy, w pozycji stojącej, w ciągłym ruchu — tkaczka ma nieraz i 14 krosien.

„*W sumie jest to mieszanina, która po kilkunastu latach złamie najzdrowszego. Nieprzypadkowo przy krosnach trudno znaleźć tkaczkę z kilkunastoletnim stażem — lekarze wysyłają ją do lepszych prac*” — pisze J. Jamiołkowski w gazecie zakładowej *Fasty* (15. 08. br.).

Najtrudniej jest na wykończalni zwanej też dlatego „wykańczalnią”. Najwyższa temperatura, hałas, a przede wszystkim — opary chemikaliów. Zdarzają się ostre zatrucia spowodowane raptownym stężeniem szkodliwego składnika. Jak podaje dalej cytowany numer *Fast* — przy produkcji tkaniny trudnopalnej dla hutników (od której innym zakładom udało się wybronić) przekroczona jest norma szkodliwych dla zdrowia składników. „*Wywołuje to dostawny płacz załogi. Na formaldehyd nie ma rady...*”.

Na wykończalni pracują przede wszystkim mężczyźni, kobiety nie dałyby rady. Obsługujący na przykład maszynę dogrzewającą tkaniny musi wchodzić do komory o temperaturze 150 stopni. Co raz zdarzają mu się oparzenia, egzemy, od zmian temperatury cierpi na chroniczny katar.

Wśród dziewięciu podstawowych postulatów był również domagający się „*podciągnięcia wykończalni pod przemysł chemiczny*”, co wiązałoby się z wyższymi stawkami, specjalnymi sanatoriami itd. Nie będzie jednak zrealizowany — zakład nie może podlegać pod dwa ministerstwa.

— „*Zwiększyć dodatek za pracę na zmianie nocnej do 50 %, a popołudniowej do 30 %*”.

„*Zwiększyć dodatek za wystęgę lat — stażowy po 25 latach pracy na 25 %*”.

Realizacja — tak jak i większości postulatów finansowych — zależy od Zjednoczenia które czeka na regulację rządową. Uzasadnianie postulatów chyba zbyt ciężkie.

— Po nocnej zmianie jest się nieprzytomnym — mówią kobiety. — I prawie już się człowiek nie kładzie, bo kiedy? Trzeba wyprawić dzieci do przedszkola, szkoły, kupić coś, ugotować obiad.

A dodatek za wysługę lat zatrzymywał się — nie wiadomo dlaczego — po 15 latach pracy.

W najbliższym czasie bez zastrzeżeń realizowane też będą postulaty:

— „*Postoje powstałe bez winy pracowników płacić średnią płacą*”.

— „*Zapewnić całodobową opiekę lekarską w Przychodni Przychodowej* (dotychczas w nocy była tylko pielęgniarka)”.

— „*Przydział paczek choinkowych dla dzieci do lat 14-tu, nie jak było — do siedmiu*”.

— To ostatnie jest najprostsze — mówi dyrektor Lerman. — Przeprowadzi się korektę funduszu socjalnego, coś tam ograniczy, kolonie dla dzieci na przykład, i będzie na paczki.

Sporo krwi napsuł postulat o „*Zniesienie ze stanowisk pracowników zatrudnionych w biurze na etatach fizycznych*”. Biorą oni pensje „produkcyjne”, tymczasem przekładają w biurowcu papierki, patrzą z wyższością na halę. W ogóle, za wiele jest stanowisk administracyjnych. Po co aż tylu mistrzów, na każdym wydziale po kilku kierowników; na przędzalni cienkiej aż siedmiu.

Na produkcji natomiast brak ludzi. I nawet ten — wydawałoby się prosty postulat — też nie może być zrealizowany przez zakład. „*Dokona on dopiero analizy, przedstawi program likwidacji zbędnych stanowisk*”, po czym wystąpi o redukcję do Zjednoczenia. Sam nie może zadecydować nawet o tym. — W tempie błyskawicznym wyrzucało się natomiast w 1976 roku za strajk — komentują kobiety.

Władzom centralnym — za pośrednictwem Urzędu Wojewódzkiego — przekazano postulaty o charakterze ogólniejszym:

— „*Traktować Białostoczczyznę na równi z innymi regionami kraju pod względem płac, cen, inwestycji*. (Dlaczego na przykład Białostocczanie muszą jeździć do Warszawy na zakupy?).



— „*Zrealizować postulaty wysunięte przez wszystkie wydziały*”.

— Oczywiście, nie ma mowy o wszystkich — mówi dyrektor

Lerman. — Bo były i typu: „moja narzeczona ma oczy zielone, a ja wolalbym niebieskie”.

Ponieważ wszystkie (667) postulaty wydziałowe zostały dokładnie spisane, proszę, żeby mi tego rodzaju postulat pokazał. Mityguje się więc i mówi:

— Powiedziałem to tak przykładowo.

Takich żądań jednak nie było.

Owszem, nie brakowało postulatów drobnych, szczegółowych typu: „Przydzielić pracownikom ręczniki frote”. Ale to jest tutaj bardzo ważne. Człowiek się poci, musi co raz wymyć sobie choćby ręce. Tymczasem dają ścierki, w które w ogóle nie wsiąka woda i wszyscy rwą na ręczniki produkowane materiały.

W ogóle, czy nie jest ważne WSZYSTKO, co może uczynić pracę w „Fastach” znośniejszą? Bo czyż nie wpływa na to „czysta ubikacja i łazienka?”. „Wystarczająca ilość palarni?”. „Częstsze przydziały odzieży ochronnej?”. A tym bardziej — „lepsze zaopatrzenie stołówek? Sprawiedliwy podział premii?” (Żeby nie było twarżówek, to znaczy dzielenia według zasady „bo ten i ta podoba się panu kierownikowi”). „Jawny podział zakładowych mieszkań? (w osiedlu naokoło „Fast” na palcach można policzyć ludzi z produkcji, tylko działacze zakładowych organizacji, pracownicy „biurowca”), racjonalny remont maszyn?” (remontuje się je wszystkie naraz, a gdy trzeba gonić plan — robi się wszystko na hura, byle jak, organizuje tak zwane „nadróbki”).

Niektóre z wydziałowych postulatów — choć wszędzie się powtarzały — nie mogą być na razie realizowane.

Na przykład „poprawa klimatyzacji”. Ta, która jest, prawie nie działa. Latem jest sauna za darmo, zimą strach zdejmować palta. Modernizacja będzie jednak możliwa dopiero przy generalnym remoncie, na który jednak się nie zanoszą. Na pewno jeszcze nie w roku przyszłym. (Choć na przykład na wykończalni, na tak zwanym bielniku wszystko się wali, rusza). Na razie trzeba będzie zadowolić się półśrodkami — okapami, wyciągami.

Nie zostanie także w najbliższym czasie zrealizowany postulat o „wyposażeniu wydziałów w wózki akumulatorowe”. Do transportowania czegokolwiek będzie się odrywało od pracy połowę wydziału. Bo wózki są, nie ma akumulatorów. I nie jest to chyba tylko problem „Fasty”. Może trochę pochopnie zakupiono w Bułgarii wózki bez akumulatorów? Akurat trafiła się jednak okazja. Na szczęście „Bumar” obiecał, że gdy tylko będą akumulatory — „Fasty” są pierwsze w kolejce.

Jak zrealizować też postulat o „zaopatrzeniu w surowce niezbędne do produkcji?”. Faktycznie, często są przestoje. Brak

to wątków, to osnów i tkaczki kłócą się, niemal biją między sobą — każda chce przecież jak najwięcej zarobić. Tylko, że to wszystko zależy również od kooperantów. Kończy się na przykład włókno wiskozowe dostarczane przez zakłady chemiczne w Tomaszowie Mazowieckim. Aż strach pomyśleć, co będzie gdy Tomaszów nie nadrobi?



Na razie — większość postulatów jest „przekazana władzom zwierzchnim z prośbą o pozytywne załatwienie”, „konsultowana i analizowana” lub też „będzie realizowana zgodnie z programem rządowym”.

Gdyby nie strajk — żadna z kobiet nie wierzyłaby w ich realizację. Teraz jednak będzie nowa Rada, wejdą ludzie z Komitetów Strajkowych, czyli wreszcie hala, nie biurowiec. Już teraz kilku przywódców Komitetów Strajkowych zostało oddelegowanych do biurowca, gdzie organizują nowe wybory. Kto by kiedyś pomyślał — hala w biurowcu! Co ważniejsze jednak — „biurowiec” w końcu ich teraz przynajmniej zobaczył.

Czy rzeczywiście zobaczył?

Joanna SIEDLECKA

(Kultura, 19 października 1980)



Marta WESOŁOWSKA

TRZEBA PATRZEĆ NA RĘCE

— Jak państwo widziecie jest też wśród nas ekipa łódzkiej telewizji — mówił zza stołu prezydium do delegatów około dwustu zakładów pracy ANDRZEJ SŁOWIK, przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego łódzkiej „Solidarności”. Zgromadzeni uciszyli się. — Czy wyrazimy zgodę na filmowanie?... Ja nie widzę przeszkód. Działamy jawnie, legalnie, nie mamy nic do ukrycia. Co państwo sądzicie?

Oklaski, uśmiechy.

— Dziękuję. Aha, oczywiście nie znaczy to, że film kiedykolwiek ukaże się na ekranach. Chodzi o sporządzenie dokumentacji.

Tak rozpoczęło się 1 października w sali konferencyjnej dyrekcji Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego przy ulicy Wierzbowej 51 w Łodzi nadzwyczajne zebranie ponad 500 przedstawicieli komitetów założycielskich Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych Pracowników Województwa Łódzkiego „Solidarność”.

Ostatnią, nieco ironiczną uwagę przewodniczącego Słowika należy wyjaśnić i rozwinąć. To kierowca autobusowy Andrzej Słowik właśnie, wraz z innymi reprezentantami Komitetu Strajkowego, podpisał 31 sierpnia porozumienie z władzami administracyjnymi MPK po 6-dniowym strajku, który całkowicie sparaliżował miasto. Strajk trwał tak długo, bo dyrektorom zjednoczenia i przedsiębiorstwa już pierwszego dnia zabrakło cierpliwości i rozsądku, by wysłuchać do końca słów prawdy, żalów i żądań tej prominentnej grupy robotniczej. Dla Łodzi tramwajarze i kierowcy autobusów są tym, czym stoczniovcy dla Gdańska. I taką jak oni rolę odegrali tutaj w sierpniu.

Uroczysty moment ich powrotu do pracy opisał Konrad Frejdllich w znakomitym reportażu w „Odgłosach”, opublikowanym z miesięcznym opóźnieniem: „Od trzeciej nad ranem kolejne wozy wyjeżdżały na swoje zwykłe trasy. Motorniczowie tramwajów i kierowcy autobusów mieli wpięte do kłap biało-czerwone kokardki na pamiątkę tych trudnych dni, kiedy ważyły się losy całego kraju”.

Sytuacja informacyjna niewiele zmieniła się we wrześniu. Piszze Frejdllich: „Gdy zawiązał się MKZ nowych związków, na łamach łódzkiej prasy, którą przebieg wypadków najwyraźniej zaskoczył, w dalszym ciągu nie było miejsca dla ich spraw. Blokada informacyjna, w wyniku której do świadomości ludzi z dużym opóźnieniem dotarło, że umowa społeczna zawarta na Wybrzeżu dotyczy całej Polski — wywołała spóźnioną falę niepotrzebnych strajków”. Dopiero 20 września na pierwszym posiedzeniu Komitetu Założycielskiego NSZZ Pracowników Województwa Łódzkiego — Andrzej Słowik „powiadomił zebranych, że w Gdańsku powstała Koordynacyjna Komisja Porozumiewawcza z Leszkiem Wałęsą na czele, której celem będzie koordynowanie działań NSZZ w całej Polsce, organizowanych na zasadzie terytorialnej. Postawę władz lokalnych w Łodzi — pisze dalej Frejdllich — można określić krótko jako wyczekującą”.

Dzisiejsze nadzwyczajne zebranie ma służyć nie tylko podjęciu

doraźnej decyzji o ostrzegawczym strajku 3 października, ale i wzajemnemu poinformowaniu o sytuacji w związkach. W łódzkiej prasie wciąż o tym pisze się półgębkiem, jeżeli w ogóle, albo w sposób nasuwający wątpliwości co do prawdomówności środków przekazu. Nie pomaga to przywracaniu klimatu zaufania. Tygodnik *Odgłosy* jest chlubnym, lecz niskonakładowym (25 tys.) wyjątkiem.

Reprezentanci łódzkich zakładów pracy weszli więc na pierwsze piętro ponurego gmachu przy Wierzbowej i zasiedli wśród starych dekoracji konferencyjnych po to, by osobiście, imiennie odpowiedzieć na dwa pytania:

1. *Jak u was wygląda realizacja postulatów pracowniczych, przede wszystkim płacowych?*

2. *Czy napotykacie na jakiegokolwiek przeszkody przy organizowaniu nowych związków?*

Okazało się, że wśród dyrekcji łódzkich zakładów najbardziej powszechna jest postawa wyczekująco-tolerancyjna. Niektóre historie, opowiadane ze śmiertelną powagą, sala przyjmowała śmiechem. Był to niewątpliwie śmiech zdrowy.

Tłumaczenie na polski

Historię najdrastyczniejszą opowiedział Grzegorz L., przewodniczący Komitetu Założycielskiego w zakładach W. Gdy komitet ukonstytuował się i przedstawił dyrekcji swoje, wyjątkowo zresztą skromne i przyziemne, postulaty ekonomiczne i społeczne, m.in. prośbę o sprawiedliwe traktowanie ludzi i nieponiżanie ich godności — sekretarz OOP nazwał członków Komitetu „wywrotową grupą wrogów ustroju socjalistycznego, działającą na szkodę zakładu, a nawet państwa, inspirowaną działaniami z zewnątrz” (ze skargi załogi do KW PZPR w Łodzi i POLITYKI).

A znowu w Ośrodku Doskonalenia Kadr Przemysłu Lekkiego DOSKO nowi związkowcy usłyszeli od swojego zwierzchnika, że powstanie NSZZ grozi wywołaniem trzeciej wojny światowej. Co strachliwsi szybko wycofali się. W dzisiejszych czasach, po Helsinkach, przed Madrytem, każdy pragnie uniknąć etykietyk podżegacza wojennego...

Oto kilka relacji przedstawicieli łódzkiego środowiska:

— CEFARM, Wieczorek jestem. Dyrekcja nam nie pomaga, nie przeszkadza, cenzuruje nasze wydawnictwa powielaczowe, za-

rzuca nieformalne działanie z powodu braku osobowości prawnej. Popieramy strajk solidarnościowy.

— Teatr Wielki reprezentuję. Współpraca z dyrekcją układa się dobrze. Na dzisiejszym zebraniu uchwaliliśmy poparcie dla strajku.

— Spółdzielnia Inwalidów „Pokój”. W działalności związkowej nikt nam nie przeszkadza. Załoga opowiada się za strajkiem.

— Przędzalnia Czesankowa „Polanil”. Bez przeszkód, przeciw strajkowi.

— Teatr Powszechny: 98 % załogi zapisało się do nowych związków. Żadnych kłopotów. Chciałam kolegom z radością powiedzieć, że zjazd SPATiF-u, który odbył się w Warszawie podjął uchwałę o przyłączeniu się naszego środowiska do „Solidarności” (brawa).

— Marek Edelman, Szpital Pirogowa. Żadnych podwyżek, żadnych przeszkód. Tylko od dłuższego czasu nie możemy doprosić się wizyty przedstawicieli władz, z którymi mamy do porozmawiania w naszych sprawach.

— Uniwersytet Łódzki. Podwyżek ani przeszkód nie było. Strajk uważamy za przedwczesny.

— Zakład Energetyczny. Przeszkody są nam czynione w białych rękawiczkach. Przeciwno nowym związkom zraża się ludzi, strasząc ich utratą świadczeń i składek w kasach pożyczkowych w razie wystąpienia ze starych.

Członkowie prezydium — dwunastu mężczyzn w różnym wieku, przewaga młodych — uważnie słuchają każdej wypowiedzi. Andrzej Słowik notuje, czasem zadaje pytanie uzupełniające.

— Biuro Projektów Wodnych, Stanisław Piecyk. Podwyżek u nas nie było, trudności też nie, bo cała dyrekcja od razu zapisała się do naszego związku.

— Zakłady Strzelczyka: to samo. I sekretarze partii też zapisali się. A znowu w Maszynach Włókienniczych ścisła cenzura; ostatnio dyrekcja zdjęła ogłoszenie o zbiórce na pomnik Poległych Stoczniovców z numerem konta bankowego. W Zakładach Kserograficznych: — Nie chcą nam udostępnić koparki... (śmiej).

Kolejka przesuwają się. Jeszcze kilkadziesiąt osób. Teraz do mikrofonu podchodzi wysoka, siwa dama w czarnym kostiumie Chanel, czarnym kapeluszu, z czerwoną apaszką wokół szyi. To dr Jadwiga Krawczyńska ze Spółdzielni Lekarzy Specjalistów, wiceprzewodnicząca Komitetu Założycielskiego. — Pan prezes

bardzo życzliwy. W razie potrzeby korzystamy z jego gabinetu i maszyny do pisania. Solidaryzujemy się ze strajkiem.

Energiczny blondyn potężnej budowy w miarę mówienia podnosi głos:

— Reprezentuję Zakład Sieci Ciepłej. Dyrektor zerwał na sze zebranie, obrzucił nas kalumniami. On nazywa się Walczak Paweł. A moje nazwisko — Pawłowski Sławomir!

Andrzej Słowik wzdycha że, ech, jak trudno jest czasem wytłumaczyć ludziom po polsku o co chodzi... — Dobra, zaprosimy tego dyrektora na rozmowę do prezydenta Niewiadomskiego.

Później członkowie MKZ jeszcze parę razy wymieniają nazwisko prezydenta Łodzi, Józefa Niewiadomskiego, jako rzeczowego i godnego szacunku partnera rozmów. Prezydent załatwił im lokal przy ulicy Sienkiewicza 63, dyplomatycznie pomaga rozmiękczać nieprzejednanych dyrektorów, rzetelnie wywiązuje się ze zobowiązań.

Wolne wnioski, propozycje

— Czy jeżeli w telewizji pokazują Leszka Wałęsę, to redaktor musi mówić za niego? Czy pan Wałęsa przemawia po chińsku? (śmiech).

— Co z rejestracją „Solidarności”?

Na to pytanie odpowiada Andrzej Słowik. — W sprawie rejestracji już coś się dzieje. Sąd jest na dobrej drodze; nie powinno być zastrzeżeń — to przygotowali fachowcy. Prezes Sądu Wojewódzkiego zapewnił, że robi wszystko dla usprawnienia rejestracji. Musimy mu wierzyć. Musimy wierzyć, że intencje władz są zbieżne z naszymi intencjami.

Stefan Niesiołowski z Uniwersytetu Łódzkiego zgłasza wniosek o umożliwienie przedstawicielom „Solidarności” publicznego odpierania zarzutów stawianych związkowi publicznie, w telewizji szczególnie — zarzut np. nieodpowiedzialnego proklamowania strajku. Bez względu na to, kto ma rację — chodzi o równe szanse prezentowania swoich racji.

Słowik: — Są pierwsze próby naszej obecności w prasie, radio, TV. Trudno byłoby mi postawić wniosek o zagwarantowanie nam obecności w każdym przypadku, kiedy o nas jest mowa; nie będziemy się oganiali przed muchami. Mamy wiele ważniejszych spraw do załatwienia... Wstaje dr Marek Edelman: — Nie lekceważyłbym potrzeby obrony związków w propagandzie. Dotychczas różnie bywało z obiektywizmem. Dlatego uwa-

zam, że powinniśmy mieć rzecznika prasowego (brawa) ... jeszcze nie skończyłem; jak demokracja to demokracja. Wierzę w dobre intencje władz. Ale władz należy pilnować. Władzy trzeba patrzeć na ręce, szczególnie w propagandzie... Słowik: — Patrzanie władzy na ręce to mało. Musimy stanowczo działać, robić swoje, domagać się. Zakładamy nasze związki. Nic więcej. Chcemy odnowy. Niczego innego. Nie patrzymy na boki, za swoje słowa odpowiadamy. Za to co robimy — też odpowiadamy (burzliwe oklaski). ... Na razie nie mamy możliwości technicznych, papieru, poligrafii, nasi ludzie cierpią i głód informacji. Ale powoli...

Już po godz. 21-ej. Redaktor z *Dziennika Popularnego* bierze oświadczenie o przystąpieniu łódzkiego środowiska do strajku prosto z maszyny i biegnie do drukarni, żeby zdążyć wpasować informację w bieżący numer (nazajutrz ukazała się). Ludzie wstają z miejsc, dyskutują w przejściach, palą. — Co to jest za niezdyscyplinowanie? — przywołuje do porządku głos przewodniczącego. — Proszę bardzo, teraz wstaniemy i na zakończenie odśpiewamy hymn narodowy.

Andrzej Słowik pytany po nadzwyczajnym zebraniu co myśli robić za rok odrzekł spontanicznie, że chciałby wrócić za kółko swojego ikarusa, którym długo nie nacieszył się (przedtem jeździł jalczem), wciągnięty przez bieg wypadków w zupełnie inne zajęcia. 30-letni Słowik pochodzi z wielodzietnej chłopskiej rodziny z Kieleckiego. Członek partii od 1976 roku, członek Dzielniczego Zarządu ZSMP, absolwent piekarskiej Zasadniczej Szkoły Zawodowej, ojciec 8-letniego syna i mąż swojej drugiej żony Haliny — ekonomistki — sukcesy odnosił już w życiu: w kolarstwie szosowym. W 1969 roku uczestniczył nawet w przygotowaniach kadry olimpijskiej. Na pytanie czy jest wierzący odpowiada: — Byłem chrzczony, ale nie praktykuję... Czy we wszystkim zgadza się z Włęsą? — Nie jestem bezkrytyczny — mówi. — W niektórych sprawach postępowałbym inaczej. Czuję dla niego wiele szacunku i uznania. Czy przydają mu się teraz, w nowych związkach doświadczenia z pracy w organizacjach, do których należał wcześniej? Owszem. Głównie doświadczenie współpracy z ludźmi. Co powiedziawszy opuszcza w pośpiechu budynek na Wierzbowej, by zdążyć na swoje pierwsze nagranie do radia.

A my postaramy się teraz uzupełnić ten ogólny łódzki krajobraz związkowy wrażeniami z wizji lokalnej w odległym o 100 km od Łodzi Bełchatowie (woj. piotrkowskie! zgodnie z regionalnym podziałem związków na 17 terytoriów według, mniej więcej, gra-

nic dawnych województw — zakłady piotrkowskie skupią się w związku łódzkim). Przyjrzyjmy się jak powstają nowe i jak zachowują się stare związki w Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów”.

Rozdwojenie jaźni

Na pierwszym piętrze biurowca w pokoju 116 mieści się rada zakładowa, a naprzeciwko, w pokoju 110 — Komitet Robotniczy. Komitet ma sprawować pieczę nad wszelkimi związkami, które pracownicy zechcą zawiązać wśród 5700-osobowej załogi kopalni. Dyrektor Drozdowski liczy się z możliwością powstania trzech, czterech związków. Ze względów praktycznych wolałby raczej mniej niż więcej. Do Komitetu, wybranego na ogólnym zebraniu załogi w głosowaniu tajnym weszli, tak się złożyło, wyłącznie członkowie „Solidarności”. Komitet Robotniczy jest więc zarazem Komitetem Założycielskim tego związku (z racji wcześniejszych kontaktów instruktażowych bełchatowska „Solidarność” podporządkowana jest NSZZ w Hucie Katowice. Zdaniem MKZ w Łodzi Bełchatów w przyszłości powinien dołączyć do swojej organizacji regionalnej).

Robotnika spotkanego na schodach biurowca zapytałam o związki zawodowe. Zaprowadził mnie na pierwsze piętro. — Tu jest rada — pokazał pokój 116 i zawahał się. — A tu są nasze związki — uchylił drzwi do 110.

Właściwie stara rada sama przyspieszyła powstanie — czy raczej: ujawnienie nowych związków. 16 września mianowicie zarządziła wspólnie z administracją referendum, które miało odpowiedzieć na trzy pytania: 1. czy chcesz zmienić swojego męża zaufania? 2. czy chcesz zmienić Radę Oddziałową? 3. czy chcesz zmienić Radę Zakładową? Wyniki głosowania były równoznaczne z udzieleniem starej radzie votum nieufności. — W tej sytuacji zabrakło pytania czwartego: czy załoga przypadkiem nie życzy sobie nowych związków — zauważył Stefan Borysewicz, technik, przewodniczący Komitetu Robotniczego, wiceprzewodniczący KZ „Solidarność”. I to pytanie zadał publicznie na zebraniu załogi parę dni później. Długie brawa przekonały go, że nadszedł właściwy moment, żeby się *odstonić*, tzn. opowiedzieć załódze i kierownictwu o działającym dotychczas w dyskrecji na terenie kopalni 10-osobowym Komitecie Założycielskim NSZZ. Dyrektor Drozdowski przyjął ich życzliwie. W wyniku negocjacji zawarto porozumienie. Komitet Robotniczy dostał dwa po-

mieszkania biurowe, radiowęzeł i powielacz do dyspozycji, „korzystanie ze środków transportu na zasadach jak dotychczasowa Rada Zakładowa”. I rzeczywiście: 1 października po doświadczenia do kopalni Jastrzębie służbowym fiattem pojechali razem wiceprzewodniczący „Solidarności” Kazimierz Kasprzak i nowy szef starej Rady — Stanisław Wejman. A znowu przewodniczący KZ „Solidarność”, inżynier Stanisław Knaś, udał się na konsultacje do Huty Katowice.

Z uchwałą walnego zgromadzenia delegatów na konferencję wyborczą Komitetu Robotniczego wynika też, że „KR jest pełnoprawnym przedstawicielem załogi, ma pełnomocnictwo do podejmowania decyzji w zakresie spraw socjalnych, umowy zbiorowej, spraw pracowniczych, zatrudnienia, płac, BHP i wszystkich innych, dotyczących pracowników, ich rodzin i pracy”. Wydawałoby się, że dla starej rady nie został ani kawałeczek miejsca. I że winna ona ograniczyć działalność do rozwiązywania się.

Tak nie jest.

Siedzę w KR, gdy z radiowęzła energiczny damski głos czyta załodze „doraźny program działania Związku Zawodowego Górników”. Program głosi przyjęcie przezeń „... deklaracji niezależności i samorządności na zasadach pełnej autonomii... Związek oderwał się od CRZZ i przestał uznawać jej zwierzchnictwo. Konsekwencją tego jest pełne uniezależnienie od WRZZ...”. Tu następuje prezentacja jakby platformy wyborczej Związku (niezależnego i samorządnego). Chodzi więc: o dialog z Komitetem Robotniczym, o swobodną dyskusję, zapewnienie rotacji etatowych związkowców, zwiększenie uprawnień rad itd. Po czym czynione są „propozycje aktualne od 1 stycznia 1981”: zwiększenie zasiłków z tytułu urodzenia i zgonu członka rodziny, podniesienie wysokości wszelkich pożyczek i różne inne, zachęcająco i rozsądnie brzmiące sugestie.

W pokoju 110 znają ten program, w wielu punktach pokrywa się on z ich własnym. Ludzie z pokoju 110 mówią, że teraz, gdy większość załogi przychodzi do nowych związków taka próba odzyskiwania pola tylko wprowadza zamęt. — Czy nie przemawia przez was niechęć? — pyta obecny przy rozmowie redaktor z *Życia Warszawy*. — Ależ my nie mamy nic przeciwko starym związkom! — wzrusza ramionami Ryszard Wiącek z KR. — Owszem, my ich krytykujemy. Oni zachowują się niekonsekwentnie. Już zawiesili swoją działalność, potem na gwałt zwołali plenum — z resztek zwolenników, zmienili skład rady... Reporter napomyka coś o różnicach ideowych. Wiącek w lot chwytając jego myśl odpowiada: — Od 20 lat jestem w partii.

My, w „Solidarności” — ile razy jeszcze przyjdzie to powtarzać?! nie mamy na uwadze żadnych negacji systemu, żadnych antysocjalizmów, żadnych podważań. Chcemy tylko autentycznych, własnych związków. Nie można przy pomocy nowych form w ciągu miesiąca wiarygodnie zmienić treści, ustaleń przez dziesiątki lat.

— Nie można robić nowego starymi twarzami — kontynuuje, dla mnie niespodziewanie, zdymisjonowany szef w pokoju 116. — Sześć lat byłem przewodniczącym. Zrozumiałem, że muszę odejść, bo żebym był najporządniejszy — kompromituję odnowę.

Eks-przewodniczący J., główny zmianowy ruchu (prosił o niepodawanie nazwiska; naopisywali go dość redaktorzy przez te sześć lat, teraz kolej na innych...) ma zawód i przyszłości nie boi się. Ale taki pan Z., na przykład: sekretarz rady wciąż jeszcze — wiek przedemerytalny, niczego w życiu nie nauczył się, prócz bycia działaczem, prócz posłuszeństwa i reprezentowania interesów partii i dyrekcji. Co robi Z. — i tysiące jemu podobnych?

Szansą starego ruchu związkowego w nowych formach (branżowych) jest pozbycie się balastu w postaci modelu myślenia i pracy społecznej posłusznych działaczy. Modelu tak długo i uporczywie, z tak opłakanymi skutkami podtrzymywanego przez ludzi, których słabość i nieudolność w potrzebie obrony towarzyszy pracy brały się ze strachu o własny stołek i własne interesy, zagrożone k a ż d ą zmianą *status quo*.

Na dowód ociężałości myślenia centrali pan J. wyciąga plik prymitywnych plakatów agitacyjnych przysłanych przez CRZZ we w r z e ś n i u — podkreśla. Czerwone litery na białym tle: „CRZZ — związki zawodowe — nie jesteś sam”; „CRZZ — związki zawodowe przeciw lekceważeniu ludzi pracy, za praworządnością i pracą. Zależy to od ciebie”. I tak dalej. — Wpadłem w panikę, kiedy to przyszło. Szybko schowałem, żeby nikt nie zobaczył — mówi J. z niesmakiem. — Czy oni w tej centrali są ślepi i głusi?!

Żeby tylko nie przegadać

Po ogłoszeniu „platformy” ludzie są jeszcze bardziej zdeorientowani i jeszcze bardziej zdenerwowani niż przedtem. — Co, tymi świadczeniami socjalnymi kupić nas chcecie? — pytają „starych”. Inni domagają się „platformy” na piśmie, a tu jak na złość zepsuł się powielacz. W Komitecie Robotniczym mimo

braku powielacza radzą sobie. Najwyżej ktoś siada i stuka, stuka w maszynę, aż ustuka ile trzeba. Choćby w domu, w nocy.

Jeszcze inni boją się stracić składki. J. lojalnie tłumaczy: — Według statutu można sześć miesięcy nie istnieć w żadnym związku. Dopiero po tym okresie traci się ciągłość członkostwa i prawo do świadczeń.

Znowu telefon. — Nie, nie, już nie podlegamy ani pod CRZZ, ani pod WRZZ — odpowiada pani F., członek rady. — Nie, nie w gestii partii... nie, to jest tak, jak Wałęsa powiedział, że popiera politykę partii i rządu, ale jest niezależny... nie, ja to tylko jako przykład, nie podszywamy się wcale... nie, u nas nie jest powiedziane, że podlegamy, ale że popieramy! Nam też zależy, żeby ludziom dać... Bardzo proszę. Pani F. drżącą ręką zapala papierosa. — O Jezus. Ależ krzyczała. Cały dzień te telefony.

Ludzie dzwonią: Czy jeszcze istniejecie?

I: Oddajcie nam nasze pieniądze!

I: Umarł mi mąż. Czy mogę jeszcze do was przyjść po pomoc?

Są telefony obelżywe.

Ironiczne.

Różne.

Na pożegnanie były przewodniczący J. mówi: — Nie wiem, które związki będą lepsze w przyszłości, kiedy sytuacja ustabilizuje się. Teraz trwa walka o wpływy, a przez ten czas praca, związkowa też, stoi w miejscu. W końcu ktoś musi wykonać te wszystkie postulaty...

W pokoju 110 pod koniec dnia pracy 1 października zabrakło deklaracji o wystąpieniu ze starych i o przyjęcie do nowych związków. Bez przerwy ktoś wchodził, wychodził, pytał, dyskutował. Podobnie jak na sali konferencyjnej łódzkiego MPK przypominały mi się czasy ZSP-owskie, klimat Rady Wydziałowej, luzu i pewnej improwizacji, przejęcia i rozemocjonowania. — My się ciągle organizujemy, oby jak najszybciej doszło do formalnego zalegalizowania statutu „Solidarności” — powiedział mi Ryszard Wiącek. — Bo jak długo można dyskutować? Aż przegadamy tę Polskę? Ile razy w historii upadaliśmy przez sejmikowanie, przez tę naszą rozlazłość i brak dyscypliny?

Jak widać powrót do życia unormowanego jest — niezależnie — przedmiotem troski obu pokoiów związkowych w biurowcu kopalni Bełchatów.

Tego samego życzyliby sobie dyrektor Drozdowski. I jeszcze: żeby dać węgiel na początku grudnia. Dyrektor nie chce żadnego

ze związków ograniczać, żadnego faworyzować. — Na wszelki wypadek informację o zmianach płac uzgodniłem ze starymi i z nowymi — podaje przykład.

Bardzo podobało mu się stanowisko przedstawicieli „Solidarności” z Huty Katowice, którzy przybyli tu na założycielskie zebranie nowego związku. — Wy tu możecie nie strajkować — powiedzieli górnikom. — Energia jest krajowi niezbędna. Jak już strasznie będzie potrzeba — kto inny będzie strajkował za was.

Dyrektor Drozdowski proponował solidarnościowcom, żeby stali się radą zakładową. Nie chcieli. Powiedzieli, że nazwa im się nie podoba. Cóż „Solidarność” to piękna nazwa, rzeczywiście. I właściwie gros spraw załatwia już z nimi... Oni bardzo pilnują wykonywania wszystkich uzgodnień, ludzie im wierzą i ich lubią. A od tego zależy atmosfera w zakładzie, a od atmosfery zależy jakość pracy.

— Nie wiem, czy u nas możliwe jest porozumienie między starymi i nowymi związkami — zastanawia się dyrektor. — Na pewno konieczna jest wzajemna tolerancja.

I jeszcze bardzo prosi, żeby nie wyszło, że u niego było albo jest bezkonfliktowo. Bo nie było i nie jest. KR zarzuca mu m.in. obronę na siłę starej rady i sztuczne przedłużanie jej egzystencji. Tak, dyrektor Drozdowski zdecydowanie nie życzy sobie być opisywanym pozytywnie. On też słyszał o przypadku, kiedy skutek „pozytywnego” przeinaczenia wypowiedzi robotnika z huty „Hortensja” w Piotrkowie — zastrajkował cały zakład. — Wam, propagandzie — mówi — trzeba teraz uważnie patrzeć na ręce.

Marta WESOŁOWSKA

(*Polityka*, 11 października 1980)

Ewa BERBERYUSZ

ZJAZD DELEGATÓW

Na tym odcinku ulica Grunwaldzka we Wrzeszczu przypomina to, co Polacy nazywają „city”. „Hotel Morski”, obskurny

ni to hotelik, ni stacja, wciśnięty w stężenie ruchu wielkomiejskiego, gubi się w ogólnym pejzażu. Tabliczka „Niezależne Samorządne Związki Zawodowe” mało widoczna, znakiem rozpoznawczym jest raczej szyld wysunięty z muru: „Złotnik, Uszpulewicz”.

Za kilka godzin w tym miejscu pojawi się informujący transparent, a na chodniku wielkie białe litery: „Narady NSZZ” i strzałka. Jest ranek 17 września 1980 roku.

Przy tablicy ogłoszeń na klatce przyklejony tłum czytających. Stoją milcząco, niektórzy zakładają okulary i notują. I tak już będzie przez cały dzień, ten i następne. Zawsze obecna „pula” ludzi z zadartymi głowami. Napisy wyraźne, robione ręką fachowca, jak w biurach projektowych.

Sekretariat przypiął pineską: „*Potrzebujemy od zaraz maszyn do pisania, gumek, Kodeksów KPA i Karnych, lamp biurowych, koszy, dziurkaczy, skoroszytów, rozkładów jazdy, nożyczek, spisów instytucji naukowych, kleju...*” (W dwie godziny zniesiono tyle, że zapasy trzeba było łądować na strychy).

Pierwsze dwa piętra martwe (tu mieszczą się niedobitki hotelowe), ul zaczyna się na trzecim. Ciasnota, życie korytarzowo-pokoje tworzy jeden ciąg. Głos Francuza dyktującego w telefon: „*A la ligne, tout le monde regarde...*” miesza się z szumem towarzyszącym, z pytaniami w rodzaju: „Czy pan jest Lis”, z wiecznym „przepraszam” ekipy WFD, tarabaniącej swój przedpotopowy sprzet.

Klamki pokojów członków Prezydium nie zawsze ustępują pod naporem ręki, debatują zamknięci od wewnątrz, jedyne drzwi w tym lokalu zawsze stojące otworem to drzwi Wałęsy. Pracownia Plastyczna chciała mu zaaranżować wejście przez Sekretariat — nie dała.

Tak woli. Jakby przepływający przez jego pokój tłum mobilizował go wewnętrznie. Pótleży w fotelu (całe umeblowanie to też taka wielka filantropijna zbieranina od Sasa do lasa) pod przywiedłą palmą i urzęduje.

Zastanawiałam się, co wyróżnia to urzędowanie. Otóż brak mafijności, do której przywykliśmy jak do zatrutego środowiska. Dlatego w pierwszej chwili każdy jest zaskoczony, ale już w drugiej — przechodzi z Wałęsą machinalnie na „panie Leszku”. A przyjść może każdy, postać, popatrzeć, zagadnąć i wyjść nie pytany co tu robił.

Jedynym tabu niedostępnym dla publiczności są zebrania Prezydium (dwa razy dziennie). Interpretacja Wałęsy: „Bo my tu mamy swoje sekrety, rozumiecie, omawiamy taktykę”, —

uśmiecha się chytrze, ale jest to uśmiech, który sygnalizuje jednocześnie: „Patrzenie, jaki jestem chytry...”. Otóż to! Otwartość, dopuszczenie do partnerstwa każdego, czerpane z przeświadczenia, że każdy, nawet przeciwnik, ma swoją rację.

A zresztą, co tu gadać, ściany mają uszy. Taki drobny przyczyn: Gdy poproszono MO o oczyszczenie terenu wokół hotelu z plagi pijaczków, milicja ujęła się honorem: „Potem będzie, że się koło was kręcimy...”. Reakcja Wałęsy: „A kręćcie się, chłopaki, kręćcie...”. Więc wycięto drzewo, które obsikiwały pijaki, i teraz ściany mają nie tylko uszy, ale i oczy, bo widać na kilometr, co dzieje się w hotelu.

I spokój!

Otwartość wobec ludzi określa też typ religijności Wałęsy. Ci, którzy bali się u niego cech inkwizytorskich, zmienili zdanie przy pierwszym zetknięciu, mimo obecności akcesoriów (na ścianie Krzyż, różaniec, fotosy z Prymasem) i wzmożonych praktyk: obecnie przystępuje do Komunii codziennie, dawniej — nie codziennie. W tej sytuacji zapewnienia, które deklaruje często: „Kaplic budować nie będę, ale krzyża nie zdejmę”, wydają się zbędne. Fanatykiem nie jest: widać jak na dłoni, że cały impet życiowy kieruje ku polityce. Ku polityce, dodajmy, w ramach rodzących się związków. Miałam możliwość obserwacji, jak bardzo Wałęsa baczny, by tych ram na jotę nie przekroczyć.

Jego zmysł polityczny jedni nazywają instynktem, drudzy — nosem, niuchem, węchem. W każdym razie, w sytuacjach „teraz i tutaj” dyktuje mu — jak dotąd — bezbłędne rozwiązania.

Po lewej stronie Wałęsa ma okno, po prawej — osobistego sekretarza-atletę, no, powiedzmy — goryla. Stary matros i duszaczłowiek zarazem, za kilka godzin zobaczą go, jak holuje przez tłum na salę obrad uczeplony jego ramienia pęczek dziennikarzy. Teraz podnosi słuchawkę telefonu i wręcza Wałęsie:

— Mar-Woj...

— Wojewoda...

— Jakaś babka płacze...

Wałęsa w telefon:

— Nie bucz, kobito, nie bucz — rozczapierza dłoń i zakrywa sobie oczy — nie mogę znieść kobiecego płaczu. Składaj podanie, jak jest prawda, załatwimy od ręki...

Z godzin urzędowania:

Gospodarz domu:

— Panie Leszku, jakby co, to lokatorzy oświadczają, że łatwo dadzą się wykwaterować...

Architektka z Pracowni Plastycznej:

— Leszku, podoba ci się taki znaczek? (Pokazuje projekt plakietki w klapę).

Uczeń:

— Czy szkoły przykładowe mogą się zapisywać?

— Tak — spojrzenie na chłopca i uśmiech — tylko żeby to nie były gnojki...

Ktoś z „organizacyjnego”:

— Brak mi ludzi na dzisiaj...

Wałęsa:

— To ja ci mam wytrzasnąć? Moi synowie jeszcze za mali...

Powstaje kwestia, czy na dzisiejsze spotkanie wpuszczać dziennikarzy, czy nie. Ustalenie: jak starczy miejsca. Przede wszystkim wchodzi delegaci.

Spływają stopniowo z rannych pociągów, jest już trzydziestu, siedemdziesięciu, pierwsza setka, druga... Meldowanie u Wałęsy. Większość styka się z nim po raz pierwszy. Napięci, uroczyści, mnący kartki i słowa; z drżącymi rękami, z worem odpowiedzialności na plecach za tych, którzy ich przysłali.

Problem prawie wszystkich sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: jakie czynności należy wykonać, żeby założyć i zalegalizować niezależny samorządny związek zawodowy? Ale jest to tylko pierwsza połowa pytania, łatwiejsza, na którą odpowiedź można wykuć na pamięć w punktach. Druga połowa ma znacznie wyższy stopień trudności: jak sprawę przeprowadzić przez rafa i sztormy instytucji i urzędów? Z tym jest bieda.

Propozycja Wałęsy: Kochani, weźcie nasz statut do ręki, usiądźcie i przykróćcie do swoich potrzeb. Może wystarczy mała kosmetyka, może duża przeróbka, a może wcale nie będzie pasować. Niczego wam nie wciskam. Zapamiętajmy: obrady wspólne, manewry osobne. Każdy związek decyduje sam...

Wstaje. Jego niewielki wzrost kontrastuje z koszykarską posturą delegata Jastrzębia-Zdroju, który przybył tu w imieniu kilkuset tysięcy górników.

Taki kadr utkwił mi w głowie z tej sceny: Pat i Pataszon w uścisku dłoni.



Rajd po pokojach. Po tej mrówczej armii ochotników, którzy zgłosili i zgłaszają się stale z ulicy, oferując swój czas, siły i umiejętności. Młode emerytki — nie rozdarte między dom, chłopca, menażowanie dziećmi a pracę zawodową — jeszcze raz potwierdzają swoją przydatność. Księgowość i dział tłumaczy nimi stoi.

Prócz tego masa studentów, którzy odejdą z rokiem akademickim. Trzon stanowią jednak ludzie normalnie pracujący, na miesięcznych urlopach bezpłatnych (w tym członkowie Prezydium) ze swoich przedsiębiorstw, do których większość z nich powróci. Wątpię: „Choćbym miał taksówką dojeżdżać, z ćwierć etatu sobie w stoczni zatrzymam...”. Boi się skostnienia zabiurkowego.

To zdanie wymaga rozbudowy. Boi się czegoś więcej: utraty wężu. „Mądrzejszy jestem jako robotnik”, tłumaczy. Taki przykład: gdy nowo utworzona Rada Artystyczna przy konserwatorze wojewódzkim zaprosiła go, żeby ostatecznie wybrać „najoptimalniejszy wariant lokalizacji i kształtu Pomnika”, było mu znacznie łatwiej jako robotnikowi („gdzie mnie mierzyć się w dyskusji z fachowcami?!”) zaprosić gremium na wiec do Stoczni. Strona wojewódzka przedłożyła najróżniejsze możliwości, z ewentualnością zniwelowania istniejącej stacji benzynowej łącznie. Ostatecznie jednak zwyciężyła wersja stoczniowa — całkiem poza-estetyczna, natomiast zgodna z historią. Pomnik stanie 16 grudnia.



„Załoga” Hotelu Morskiego dostaje po sto złotych dziennie diety wyżywieniowej. Jak będzie potem? Władze związkowe ustalą po wyborach. Na razie jedyne dwa etaty mają sprzątaczkę odziedziczoną w spadku po działalności hotelowej.

Wojtek Kwiecień, czyli „starszy goniec” (ten typ odradzającego się w takich chwilach w każdej epoce gawrosza), chodzi po pokoju z listą obecności (godziny obowiązkowe: dziesiąta — siódma) i przypomina niektórym o obiedzie. Bo pewna pani z sąsiedztwa wzięła się za darmowe stołowanie. Ona tłumaczy, że broń Boże, żadna jałmużna, po prostu, w czasie strajku dała się spanikować i narobiła zapasów, więc chce się teraz po ludzku odplacić. „Bujda z chrzanem — komentuje Kwiecień — widziałem, jak stoi po kolejkach, żeby nas wyżywić”.

W bufecie na piątym piętrze — głównie goście, różni zwiedzający Hotel Morski jak Zoo — oraz „tajemnicze lobby” ekspertów. Przemęczeni, na ostatnich nogach, śpią, kiedy się zdarzy, tu obok, w pokojach gościnnych. Jan Strzelecki powtarza melancholijnie: „Jesteśmy tylko zleceniobiorcy, zleceniobiorcy...”, jakby chciał tym słowem określić odległość między ich funkcją, a całą tą *dirty game*, jaką jest polityka.

Politykę robi Prezydium. Już na pierwszy rzut oka, jak siedzą za stołem, widać, że muszą się różnić wszelkimi możli-

wymi podziałami — pionowo, poziomo, wprzód i wstak, generacyjnie, pochodzeniowo, intelektualnie i światopoglądowo. Prezydium wyłoniło się z Komitetów Strajkowych. W tamte dni połączyła ich spontanicznie idea i odwaga — dziś muszą doprowadzić rzecz do końca. Prezydium nie jest wieczne. Szary dzień związkowy zastąpi je nowymi ciałami, zarządami, komisjami itd. itp.

Dlatego nie jest rzeczą trafną (nie wspominając o pożyteczności!) puszczanie w obieg takich słów jak „rozłam” lub określeń typu „orientacja chadecka” czy „orientacja lewacka”. Poza wszystkim — i z tej przyczyny, że te skróty myślowe są tak mało przystawalne do polskiej rzeczywistości w ogóle.

Na razie Wałęsa skutecznie kontroluje sprawę po swojemu, na niuch, nie wgłębiając się w niuanse pojęciowe. Gdy jeden z członków Prezydium wręczył mu list, w którym — mówiąc w skrócie — apelował o większy ład i przestrzegał przed doradztwem radykałów, Wałęsa nie powiedział nic, schował list do kieszeni, ale prowadzenie „zjazdu delegatów” powierzył jego autorowi.

Zjazd zacznie się dopiero o czwartej. Do tego czasu zdążę odwiedzić jeszcze ze dwa robocze pokoje, gdzie się w ogóle nie pyskuje, nie politykuje, nie rozdziela włosa na czworo, tylko zasuwa, zasuwa...

NSZZ w Hotelu Morskim ma dwa powielacze, trzy wałki, maszynę drukarską — podobno — w drodze oraz Krzysztofa Wyszkowskiego, który tym wszystkim zawiaduje.

Z zawodu stolarz, dla ścisłości taki stolarz, który chciałby wydawać Gombrowicza i gazetę. Ale ta informacja też nieścisła: nie jest intelektualistą zajmującym się hobbystycznie stolarką, stolarstwem zarabia na życie. Gombrowicza nie wyda, bo z lepszym pożytkiem zrobi to niebawem — jak słyszał — fachowy wydawca państwowy. Tymczasem cała jego robota sprowadza się do tłumaczenia w kółko tego, co można by z grubsza nazwać jednym wielkim poradnikiem związkowca pod hasłem: „Zrób to sam”, z pokazaniem, jak i gdzie wkręca się każdą śrubkę. Sprawa w sumie ogromna i wcale nie prosta, gdzie jakoś — w sensie merytorycznym — walczy o lepsze z ilością. Bo podaź stale nie nadąża za popytem...

Pukam w drugie drzwi, na których fachowa ręka liternika wypisała pięknie: „Sekretariat”. Tam prezyduje student filozofii. Znad maszyny oznajmia, że właściwie jest on takim dziennikiem podawczym. Napływające listy segreguje się na: pozdrowieniowo-dziękczynne, postulatywne, informacyjne oraz anonimy.

Liczbowo stanowią kroplę w morzu, ale leżą do wglądu dla wszystkich. Czytamy pierwsze z brzegu:

— Kończcie rozróbę, zacierzewione ciemniaki...

— Prochu nie wachałeś, bydlaku...

— Prawdziwy Polak posiada rodzinę w Polsce, a nie w Ameryce...

— Radziwiłła, Sapięhy czy Hitlera chcecie...

Odkładam lekturę anonimów i pytam sekretarza, jaki jest tryb przyjmowania darów. Otóż Polacy trudno przyswajają sobie pojęcie konta bankowego i wszystko znoszą na miejsce. „Jeśli ma pani trzy minuty czasu, proszę usiąść, na pewno ktoś nadejdzie”. Nadchodzi pani z koszem kwiatów i jeszcze z takim pakunkiem zasznurowanym jak do nadania na pocztę. W kwiatkach jest dwieście tysięcy, jak dla chirurga, a w pakunku cukier (chwilowo brakujący w Gdańsku nawet na bony). Potem druga pani — z willą na Monte Cassino w Sopocie. Też przyjęta wdzięcznie. Przyda się, może jako lokal ekspertów...



„Zjazd Delegatów” na dole, w dawnym klubie „Ster”. Przejorniejsi usadawiają się na godzinę naprzód. Widzowie z ulicy okupują miejsca przy oknach. Przy wywietrznikach, skąd lepiej słyszać, tworzy się niemal piramida ludzka.

Ostatnie przymiarki nagłośnienia, rajdy lekkich zachodnich kamer (mamucia aparatura z WFD pojechała do domu), na stole prezydialnym wiązanka bardzo jaskrawych kwiatów, zapomniano je włożyć do wody, w miarę upływu czasu więdną na stole i traci barwę.

Otwarcie.

Prowadzący zebranie postuluje „w imię tej samorządności, której się dopiero uczymy” po pięć minut na głowę, i w punktach:

- 1) charakterystyka moich NSZZ-ów,
- 2) stosunek dyrekcji i władz regionalnych.

Po czym oddaje głos pierwszemu mówcy, którym jest delegat Szczecina, i wymienia kolejnego, żeby się przygotowywał, czyli przedzierał przez salę do mikrofonu.

No i leci cała „geografia Polski” wyrażana ustami jej przedstawicieli. Mapa pokryta szczerlnie, żaden region nie pominięty. Na sali około trzystu delegatów z około trzydziestu związków, reprezentujących milion ludzi.

Większość młodzież. Ze Stalowej Woli wręcz młodzianek;

z Łodzi przystojniak w białym golfie (kierowca MPK), ubolewa na serio, że ma nieszczęście reprezentować tak bardzo sfeminizowane miasto.

Inżynier Bibrowski (związek pracowników nauki, techniki i oświaty (ochrzczony zaraz „dziewięcioliterowcem”: NSZZ PNTIO) oznajmia, że mają już za sobą cały cykl, potem słowo, „o tej pierwszej w naszej historii fuzji inteligencji z robotnikami” i kończy: „Nie zgubmy tej szansy, na miłość boską...”.

Jednakże głównym tematem zebrania, tym, co pcha je naprzód i co w końcu wpłynie na ostateczne ustalenia — jest stosunek regionalnych władz do nowo tworzonych związków, czyli po prostu wypełnianie lub nie — litery prawa.

Opinie, jakie na ten temat padają, można pogrupować tak: gdzieś tam jest znakomicie (Elbląg, Lublin), pełna kooperacja. W większości regionów: postawa władz wyczekująca („daj lokal i czekają”, niektórzy delegaci używają słowa „czyhają”). Niestety, istnieją obszary, gdzie stosunek władz jest wrogi, czyli w przekładzie na język faktów: bezprawny.

Z ust delegatów padają głosy o podziale Polski na „strefy wolności”: „to jest jakaś wyspa szczęścia to Wybrzeże...”. Chcą nas zdusić w mieszkaniu prywatnym, mowy nie ma o lokalu, ale to już eksplozja...” (Poznań).

Delegat z Częstochowy (Huta Bieruta) opowiada, że na to zebranie uciekł z pracy, jak złodziej czy leser, nie wie, czy jeszcze jest pracownikiem, pewnie wyrzucony. „Ludzie są sparaliżowani strachem, nie chcą wierzyć swemu szczęściu. Nie mając potwierdzenia w prasie, myślą, że to podstęp, a prasa milczy...” (Prudnik).

W wypowiedziach pojawia się słowo „łącznik”. Piękne w czasie wojny i konspiracji, ale przecież nie mamy wojny i jesteśmy u siebie, u Boga Ojca!

Gdy delegat Związków Podkarpackich (Krosno, Jasło i Bieszczady) kończy swoją wypowiedź słowami: „Jeśli nas nie obronicie, to nas rozwalają” — temperatura sali skacze, a piramida ludzka za oknem przy wywietrzniku tężeje. Dramatyzm chwili podnosi jeszcze żelazny rygor pięciu minut wypowiedzi — żadnego wodolejstwa, fakty i cyfry. Dlatego też gdy delegatowi z Rzeszowa (starszy gość) informującemu, że znalazł się na tej sali dzięki błyskawicznej zbiórce na taksówkę, bo odwołano samolot — załamuje się nagle głos, wszyscy są przekonani, że płacze i nikogo to nie dziwi. Zapada cisza, którą rozbraja sam bohater, wołając (znów z kiksem w głosie): „Nie, nie, to tylko chryпка, bo przecież ja od miesiąca krzyczę, krzyczę, że skoro

żeśmy się przez tyle lat sami nie szanowali, to nie oczekujmy, że od razu nas uszanują...”

Głosy z sali: „Blokiem, jednym frontem, federacją...”. Ktoś podpowiada i dostaje brawa: „Oddajemy się Gdańskowi w nie-wolę!”

Wałęsa wstaje i przeprosza, że włącza się „na partyzanta”. Jego stanowisko: Nie chcę jedności, która nas wymanewruje — mówi — nie chcę rządzić centralistycznie i od tego nie odstąpię. Ludzie — woła — tam są „szpece”, mogą mnie i mojego następcę rozmiękczyć! Dlatego decyzja musi należeć do dołów, zawsze i zawsze. Ale — jeśli taka woła, możemy sobie zrobić taki mały rozbiór Polski pod kątem łączenia się słabszych organizmów z silniejszymi, możemy też zarejestrować się wspólnie”. Mówi teraz wolniej, jakby rozbijał słowa spacją: „Za tydzień wsiadamy w autokar, z pompą jedziemy do Warszawy, symbolicznie ja przewoźę...”

Po czym opuszcza salę i zamyka się z Prezydium, ekspertami i jednym delegatem z każdej reprezentacji, a cała reszta ma przerwę.

„Cała reszta” myśli to samo, to mianowicie, że brak informacji i zła wola niektórych władz lokalnych przemieniły to zebranie związkowców, debatujących nad własnymi sprawami związkowymi, w manifestację zupełnie innego typu.



Godzina dziesiąta wieczór, Wałęsa w swojej charakterystycznej, półleżącej pozie na fotelu. Trawiasty sweterek kontrastuje z jego nagle ziemistą twarzą, pije szybko herbatę: „Chyba mam to zapalenie oskrzeli w końcu...”. I natychmiast odwraca się z uśmiechami do starszej damy z *Times*'a, która dziwi się rozanielona: „*You really remember me?!?*”

Nazajutrz cała prasa Gdańska przyniosła sprawozdanie z wczorajszego spotkania. Cytuję fragment za *Wieczorem Wybrzeża*: „Podjęta została decyzja, w myśl której MKZ-ty z całego kraju zgłoszą się do rejestracji jako jeden niezależny samorządny związek zawodowy 'Solidarność' ze stojącą na czele Komisją Porozumiewawczą, mającą swą siedzibę w Gdańsku. Jej przewodniczącym wybrano Lecha Wałęsę”.

Na dworcu przy kasach biletowych spotykam jednego z ekspertów gdańskich NSZZ-ów, doc. Geremka, który zmienia rezerwację. Musi jeszcze zostać, bo wczorajsza decyzja przydała pracy przy statucie.

Spod Hotelu Morskiego znika transparent i napisy na chodniku. A za tydzień, jak w zegarku, dnia 24, „Solidarność” zameldowała się w Sądach na Świerczewskiego.

Ewa BERBERYUSZ

(Tygodnik Powszechny, 19 października 1980)

Ewa BERBERYUSZ

Z A Ł A C Z N I K

Dziewiąty listopada, niedziela rano. W Klubie Inteligencji Katolickiej na Kopernika w Warszawie obrady Krajowej Komisji NSZZ „Solidarność”. Nazajutrz rozstrzygnięcie w Sądzie Najwyższym.

Przy wejściu silna „bramka” „Mazowska”. Rozpoznaję postaci, które przed dziesięcioma dniami „broniły” w podobnych okolicznościach Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Różnią się od otwartości Gdańszczan: Mam jeszcze w oczach zapraszający gest Wałęsy i słowa „Nie mamy tajemnic przed społeczeństwem, niech wejdzie tyle, ile się zmieści, tylko żeby cisza była...”. Tutaj świadomość bardziej centralna, nie wchodzi postronni; widzę, jak delegat z Krakowa, Zawada, szwarcuje Jerzego Surdykowskiego, agitując, że sprzymierzeniec, przyjaciel i wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zostaje pouczony, że to ostatnie stwierdzenie zbędne. Surdykowski wchodzi z trudem.

Na sali ruch wokół kontaktów. Okazuje się, że przewodniczący MKZ-etów to sami dokumentaliści, każdy usiłuje wetknąć swoje Sony. Przezorniejsi przywieźli rozgałęziacze, „kostki”, „złodziejki” (baterijki w perspektywie wielogodzinnych obrad nie mają sensu). Po rogach sali — kolportaż regionalnych pisemek związkowych, wszędzie — kanapki z margaryną mleczną, szykowane ruchem ciągłym przez „Mazowszanki”.

Pierwsza informacja: Wałęsa z ekspertami spóźnia się, zebranie przesunięte na trzecią. Sala pustoszeje, delegaci rozchodzą się po mieście, niektórzy wcale go nie znają. Dopiero teraz widać

siłę uzbrojenia w sprzęt, bo wszyscy zostawili nagrywacze w kontaktach.

Godzina trzecia. Wałęsa od prezydium, zacierając ręce: — Wpuśćmy fotoreporterów, co, niech nam zrobią „reklamówkę”... — „Reklamówka” we fleszach, raz-dwa-trzy, „bramka” robi swoje. Cisza.

Do prezydium wpływa z sali kartka ołówkiem. Wałęsa czyta i tłumaczy: — Pytacie o te cztery godziny spóźnienia. Faktem jest, że spóźniliśmy się, ale jest robota zrobiona, to zobaczycie. Nie siedzieliśmy na kawie, nie wylegiwaliśmy się. Możecie nas ochrzanić, możecie nie zaakceptować, ale coś z tego jest. Tak że przepraszam za cztery godziny, ale te cztery godziny to nie było na marne. — Rozlgąda się i woła:

— Panie Bujak, mister Bujak, będziesz szefował dzisiaj...

Na podium gospodarz, przewodniczący półmilionowego związku regionalnego „Mazowsze”, Zbigniew Bujak. Gdy się na niego patrzy, trudno opędnąć się pytaniu o wiek. Z pewnością musi być starszy niż jego wygląd. Wygląda tak, że można go sobie dokładnie wyobrazić jako dziecko. Mówi z wielką stanowczością, bez uśmiechu, co jeszcze bardziej podkreśla młodość:

— Porządek dzienny, jeden: Wysłać list-apel do cukrowników czekających w gotowości strajkowej w Domu Kultury w Pruszczu na podjęcie rozmów z resortem (pilny, bo kampania).

Dwa: Wysłać apel do premiera w sprawie służby zdrowia i oświaty, czekających na to samo w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku. (Wałęsa: *Sytuacja dziwna, ciekawa i niespotykana na naszym terenie. Wszystkie wejścia obstawione przez ludzi z opaskami 'Solidarność', na jednym piętrze — lekarze, na drugim nauczyciele, wojewoda jak w twierdzy, trzeba coś z tym zrobić, do diabła...*).

Trzy: Jutrzejsza rozprawa w Sądzie Najwyższym, i łączący się z tym punkt czwarty: wybór rzecznika prasowego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Pięć. Rozdział majątku CRZZ i WRZZ (*trzeba powołać komisję...*).

Z sali wnioski o wprowadzenie do porządku dziennego kwestii branż i rolnictwa, oba odrzucone przez Bujaka: — Nie w tym momencie, kiedy się bezpieczeństwo kraju waży. Koniec, nie wprowadzam...

Nagle zamilknięcie, jakby to zdanie uruchomiło inną świadomość. W tej sytuacji dyskusja nad oboma apelami — do cukrowników i premiera — przebiega szybko. Oba zredagowane w tonie stereotypów. Do premiera: Zwracamy się z apelem o pilne

podjęcie... w trakcie ostatnich rozmów w Radzie Ministrów dostaliśmy zapewnienie, że postulaty służby zdrowia, oświaty i łączności zostaną rozpatrzone zgodnie z ustaleniami postrajkowymi i w duchu polityki sprawiedliwości, itp. itd. Podobnie, tekst do cukrowników: Drodzy koledzy, jesteśmy w pełni świadomi słuszności waszych żądań... Jednocześnie jednak zwracamy się do was z serdecznym apelem, drodzy koledzy, nie przerywajcie pracy. Kraj jest w katastrofalnej sytuacji gospodarczej... Zapewniamy was z całą mocą, itd. itp.

Wąteśa określa ten list jako ślizgający, ale *nie może być inny; na pewno, im się należy, ale nie teraz.*

Głos I: Ile „cukier” konkretnie chce?

Głos II: 1500.

Głos III: To my zażądamy dwa.

Andrzej Gwiazda stopuje ten wątek, mówiąc, że nie rozumie, jak można tak traktować postulaty płacowe kolegów (*jak spojrzeć, nosimy tabliczki „Solidarności”*); można się najwyżej zastanawiać, czy ich roszczenia są realne, czy też naszą pomoc ustalamy na niższym poziomie...

W tym momencie młody przedstawiciel Łodzi (zakrzykiwany, że już dość, przejdźmy do punktu trzeciego, najważniejszego) unosi rękę ze słowami „chwila, moment! Sprawa jest taka: Jeśli my tu czegoś zaraz nie postanowimy, od poniedziałku strajkuje całe „włókno” — Łódź, Bielsko-Biała i inne ośrodki. Szóstka, która rozmawiała z ministrem, wróciła z niczym. I pointuje dramatycznie. — Chyba w ten poniedziałek, kiedy będziemy rozstrzygać w Warszawie, nie chcemy niepokojów w Łodzi, prawda? *Oni chcą tylko po 640, a dają im 250, bo niby mieli podwyżki w lipcu...*

Sprawa włóknarzy (do których po bojach pchnięto analogiczny list-apel) rozbija beczkę prochu pod hasłem „branże”. Wbrew przestrogom przytomnych, że jeśli teraz zaczniemy o branżach, nie wyjdziemy z budynku przez kilka dni, bo *jedna godzina na jedną branżę to zaledwie wstępne ustalenie* — dyskusja wybuchu jak lawa.

Batalia o strukturę — kluczowa sprawa w każdych związkach — jest również kwestią niezmiernie komplikacji. „Solidarność” wie, że musi się z nią zmierzyć a jednocześnie ma świadomość, że na skutek swojej unikalnej sytuacji nie może czerpać z żadnych wzorów. W krajach socjalistycznych obowiązuje struktura czysto branżowa, na Zachodzie — głównie zawodowa. Obie nie do powielenia. „Solidarność” musi wypracować własną koncepcję. Prace wyłonionej do tych zadań jedenastki dopiero raczkują.

Wałęsa: — Niech jedenastka usiądzie wreszcie w logicznym terminie... Choć „logiczny” termin (i miejsce) zostają natychmiast zaklepane, dyskusja nie słabnie. Choć coraz bledszy i coraz poważniejszy Bujak nawołuje: *nie zabierać głosu poza kolejnością, nie zabierać głosu...*, głosy sypią się nadal:

— Nie uchylać się przed tym, do czego powstaliśmy; nie cofać się! Inicjatywy branżowe wyrastają nie od góry, ale od dołu; nie utracać ale pokierować...

— W CRZZ do kotła wrzuceni byli wszyscy, myślałem, że w „Solidarności” się zrobi, ale tracę nadzieję...

— Niech będą branże, ale na gruncie sprawiedliwości społecznej, żeby nie było jak dawniej, że silny darł do siebie, a małe koniki stały z boku...

— Włączyć się do układów zbiorowych: uważam, że powinno tu paść jedno wyjaśnienie: jaki mamy mieć stosunek do tych inicjatyw oddolnych?

Wałęsa (rozładowująco): Płciowy.

Sala: — Z mężczyznami?! — Chwila relaksu.

Ale zaraz pryncypialny delegat z Bydgoszczy, Rulewski (duża indywidualność, o której jeszcze w „Solidarności” będzie głośno) zgłasza, że jest przeciwny, tak branżom (*branże potworzymy, jak regiony zorganizujemy*), jak i tym listom popierająco-apelującym: — Nie rozszerzajmy postulatów Gdańskich, bo przegramy postulaty Gdańskie. W postulatach Gdańskich jest punkt ósmy, dotyczący spraw płacowych, proszę tak realizować, bo narobimy bigosu. Będzie strajk nie o statut, ale o forszę. Cukrownicy, włókiennicy, niewidomi w Bydgoszczy też chcą zastrajkować i mają rację, bo dostają pół pensji, a robią szczotki...

— Racja! Nie iść tym rozkrętem płacowym. Cukrownicy to jest strajk dziki. Dziki strajk na zakładzie może się zdarzyć na całym świecie zawsze, ale dziki strajk branży, to już obciąża Związek...

Narzekania na bałagan, na „dzikie” komisje, sekcje, zjazdy, *nie wiadomo, kto zwołuje, czy branża, czy CRZZ, czy Sejm. Dzwoni się do Gdańska, nie odpowiada, niech choć teleksy będą firmowane...*

Gwiazda (gwałtownie): — Jeśli komuś chodzi o dopieszczenie, niech sobie znajdzie dziewczynę, a nie przychodzi do związku. — Przypiesza: — Stale słyszę, „bo Gdańsk, bo Gdańsk”... Trzeba było siedzieć osiemnaście dni, przykrywając się zasłoną, do cholery jasnej, to ja bym do was jeździł... Biercie sobie w cholere branże, sekcje, komisje, nasze też, a przede wszystkim, to trzeba było strajkować... — Siada.

Drugie już wejście członka prezydium gdańskiego MKZ-etu wyraża to, co wisi w powietrzu, choć nie jest jasno werbalizowane: oczekiwania wobec Gdańska i poczucie własnego znaczenia samego Gdańska.

A jeżeli chodzi o meritum, to Andrzej Gwiazda lansuje rozbięcie struktur branżowych na rzecz struktur zawodowych: „To, że CRZZ była taka, jaka była, to nie tylko dlatego, że miała kierownicę zdalną, ale również dlatego, że miała strukturę branżową”.

Głosy:

— Zażądać od ekspertów, żeby to opracowali!

— Wycofaj słowo „zażądać”, oni tu darmo robią.

— Przepraszam, w gorączce powiedziane.

Wałęsa sumuje: — Tak z grubsza, to my wchodzić zawsze musimy, jak się coś dzieje, czy w cukier, czy we włókno, bo to już jest fakt, trudno, najwyżej nas rozerwie, odłączą się, albo zrobią swoje. Jutro MKZ-ety powinny podjąć uchwałę tej treści: Jesteśmy już Związkiem, więc kto zrobi bez uzgodnienia z nami, trudno, przepraszamy, choć to nasz człowiek, niech nie wymaga. Bo głupia sytuacja jest: szpital przyjeżdża i się zamyka, nauczyciele się zamykają i nie wychodzą. Nie damy „Solidarności” babrać w te rzeczy. One są ważne, ale najważniejsza jest ta pierwsza...

Ta pierwsza, czyli trzeci punkt spotkania: jutrzejszy Sąd.

Referuje (nieprzypadkiem) Andrzej Gwiazda, mający opinię nieprzejednanego bezkompromisowca:

... Powstała sugestia, aby za cenę, można powiedzieć, utrzymania Statutu bez poprawek, jednak zrobić gest... — Atmosfera sali całkiem zmieniona, bez tego związkowego rejwachu; wszyscy zasłuchani: — ... Gest, w formie zgłoszenia propozycji Załącznika, w którym to Załączniku znalazłaby się treść dokumentów, na jakie powołuje się Porozumienie Gdańskie, tj. obie Konwencje Pracy nr 87 i 98 oraz Część I tegoż Porozumienia. — Pauza — ... Jest sugestia — w sali robi się zupełnie cicho: — że jeśli byśmy wyszli z propozycją poprawek, to byłoby pewnym ułatwieniem — pauza — to byłby ten kompromis, który mógłby pogodzić...

Wałęsa (bardzo szybko): Z czym wyjechaliśmy z regionów? Wyjechaliśmy z takim zadaniem: żadnych zmian w Statucie, ale Porozumienie Gdańskie to my honorujemy. Więc, ja bym był za koncepcją taką — żeby te ośrodki, które podjęły decyzje wiążące wobec swoich ludzi, żeby one nic nie straciły. — Rąbie: — Nie wolno nikomu zmieniać Statutu, i nam samym też nie wolno. Nie wolno preambuły, nie wolno aneksu, można protokół, czy jak

tam, dalej nie chcę nic mówić... — rozgląda się: — Proponuję takie rozegranie: Niech się spotka grupa, ale nie za duża, po jednym z tych, co podpisywali w sierpniu, Szczecin podpisywał, Jastrzębie i Gdańsk, Katowice też, plus eksperci. Niech się zjedą, tu obok, w pokoju, i niech dopracują taktykę postępowania, mając na uwadze, że będą ukamienowani, jeśli coś wprowadzą nie tak. Musimy być trochę taktykami, proszę państwa, musimy wygrać, a nie mamy manewru, mamy manewr, ale bardzo nieduży...

Głos: Leszek, ale kiedy my tę taktykę poznamy?

Wałęsa: Nie, ta taktyka dopiero się ujawni w Sądzie. — I dalej swoje: — Statutu nie wolno ruszyć, jeśli jest ruszony, wychodzimy z Sądu, ja pierwszy...

Bogdan Lis przypomina, że tu na tym forum, nim się rozejdą, muszą mieć wszystko dopracowane do końca, żeby potem nie było rozbieżności w Sądzie. Zgoda na krótką dyskusję:

Wrocław (Modzelewski): Tylko to, co jest w Statucie, jest prawem wewnętrznym Związku, natomiast sformułowania dotyczące sojuszy lub kierowniczej roli partii w państwie, podkreślam, w państwie, a nie w Związku, który kierownictwu Partii nie podlega — do Statutu wprowadzone być nie mogą.

Głos: Jasna sprawa, bo Statut to wewnętrzna rzecz.

Bujak do prezydium (coraz bledszy): Nie zabierać głosu poza kolejnością, nie zabie...

Kraków (Zawada, jego góralska logika i ton działają krzepiąco): Po mojemu, sprawa jest prosta: Statut to to, co my, każdy z nas, będzie nosił zawsze przy sobie.

Szczecin (Jurczyk): Niech ten Załącznik, który tu opracujemy (skoro, Lechu, mówisz, że nie ma innej rady), niech będzie przynajmniej przedstawiony całej Komisji pod przegłosowanie. Bo nie chciałbym, żebyśmy byli potem obciążani przez naszych.

Bydgoszcz (Rulewski): Nie głosować, ale niech każdy z nas w ciszy ten dokument przeczyta i podpisze. Albo nie podpisze.

Tadeusz Mazowiecki, zmęczonym ruchem sięgając po mikrofon, apeluje do wszystkich o zdystansowanie się od ujmowania zagadnienia w kategoriach meczu z sędzią Kościelniakiem: *Tu się ważą daleko poważniejsze sprawy...*

Wrocław (Modzelewski bardzo wolno): NIE ZAPOMINAJMY, ŻE W NASZYCH RĘKACH SPOCZYWA LOS POLSKI, A MOŻE NIE TYLKO POLSKI. BYĆ MOŻE W HISTORII POWOJENNEJ JEST TO JEDYNY PRZYPADEK, GDZIE STATUT ZWIĄZKU ZAWODOWEGO MOŻE SIĘ STAĆ PRZYCZYNĄ WYDARZEŃ O ROZMIARZE EUROPEJSKIM.

MYŚLĘ — mówi jeszcze wolniej — ŻE WIĘKSZOŚĆ Z PAŃSTWA GŁOSOWAŁA ZA DNIEM GOTOWOŚCI STRAJKOWEJ, CZYLI ZA STRAJKIEM (W PRZYPADKU, GDYBY DO POMYŚLNEGO ROZWIĄZANIA W SĄDZIE NIE DOSZŁO) Z BARDZO CIĘŻKIM SERCEM, UWAŻAJĄC TEN STRAJK ZA OSTATECZNOŚĆ. NIE OGŁOSIŁO SIĘ TEGO STRAJKU W UBIEGŁY WTOREK W STOCZNI GDAŃSKIEJ, WIĘC SKORO NIE POSZŁO SIĘ WÓWCZAS NA ROZWIĄZANIE SIŁOWE, TO ZNACZY, ŻE SIĘ POSZŁO NA DROGĘ, KTÓRA PROWADZI ALBO NIELOGICZNIE: Z POWROTEM W TO SAMO MIEJSCE DO STOCZNI, ALBO LOGICZNIE: DO ROZWIĄZANIA KOMPROMISOWEGO, KTÓRE BYŁOBY DO PRZYJĘCIA DLA OBU STRON.

Skupienie na sali rośnie.

.. CHCIAŁBYM WYJAŚNIĆ DO KOŃCA: NIE JEST TO ZUPEŁNIE TAK, ŻE ZAŁĄCZNIK MOŻE BYĆ OD STATUTU ODPIĘTY, ON POWINIEN BYĆ ZE STATUTEM DRUKOWANY, TYM BARDZIEJ, ŻE GDYBYŚMY SIĘ ZGODZILI NA REDAKCJĘ NASTĘPUJĄCĄ: PUNKT 1, TAK JAK LECI, I, NAWIAS OTWARTY: (patrz, załącznik), NAWIAS ZAMKNIĘTY. A W ZAŁĄCZNIKU TAKI TEKST: „POWOŁANA W PAR. 1 STATUTU KONWENCJA NR 87 MIĘDZYNARODOWEJ ORGANIZACJI PRACY BRZMI (tu tekst konwencji. POWOŁANA W PAR. 1 KONWENCJA NR 98 MOP BRZMI (tu tekst konwencji). POWOŁANA W PAR. 1, CZĘŚĆ I, POROZUMIENIA GDAŃSKIEGO BRZMI: I LECI TEN TEKST, ZACZYNAJĄCY SIĘ OD STWIERDZENIA, ŻE STARE ZWIĄZKI NIE SPEŁNIŁY OCZEKIWAŃ, A ZAWIERAJĄCY TO WSZYSTKO, CO BYŁO PRZEDMIOTEM POROZUMIENIA. PROSZĘ PAŃSTWA, TEN ZAŁĄCZNIK, TAK ZREDAGOWANY, MA CHARAKTER CAŁKOWICIE INFORMACYJNY! JEST ZGODNY Z POROZUMIENIEM, NA GRUNCIE KTÓREGO STOIMY, WBRĘW TEMU, CO NAM ZOSTAŁO ZASUGEROWANE W CZASIE KRYZYSU REJESTRACYJNEGO, ŻE MY TO KWESTIONUJEMY, A MIANOWICIE: SOJUSZE I KIEROWNICZĄ ROLĘ PARTII — PODKREŚLAM — W PAŃSTWIE! PONIEWAŻ W PAŃSTWIE, A NIE W ZWIĄZKACH ZAWODOWYCH, TO DLATEGO NIE MOGLIŚMY SIĘ ZGODZIĆ, ŻEBY TE FRAGMENTY POROZUMIENIA (MIMO ŻE JE RESPEKTUJEMY) WCIELIĆ DO PRAWA WEWNĘTRZNEGO ZWIĄZKU...

— Schodzi wolno z podium, jakby nieobecny, z nieruchomą ściągniętą twarzą.

Nim wyłoniona grupa robocza pójdzie się zamknąć, Bujak od prezydium proponuje, żeby natychmiast rozprawić się z punktem czwartym dziennego porządku, którym jest wybór rzecznika prasowego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Chyba jednomyślnie przechodzi Karol Modzelewski.

W kuluarach, bo nastąpiła krótka przerwa — kawa, herbata, znów kanapki z margaryną — i dyskusja, byle nie o tej najważniejszej sprawie, o której za godzinę, dwie — przyjdzie im zdecydować. Więc o Warszawie (*gdzie jest ten hotel „Grand”? na tej ulicy, co jest na wprost „Smyka”*); o płci żeńskiej (*te wszystkie matki i żony, czyli osoby, które mają na nas, niestety, wpływ*) i o prasie, która stoi na schodach nie wpuszczona. Dlaczego? Skoro mamy się czymś różnić; skoro nie jesteśmy Biurem, to po co zakładamy sobie cenzurę? Co innego grupa robocza: jeśli ma sekrety taktyczne, zamyka się, jak teraz w pokoju, ale obrady Komisji Krajowej powinny być jawne. Ktoś rzuca, że powinniśmy tutaj, dzisiaj, jak jesteśmy, „lecieć” na żywo w TV; ktoś inny, że jak dostaniemy ten swój czas antenowy, powinien być spożytkowany na takie właśnie audycje; ludzi interesuje prawda na gorąco, nie referaty z kartki. Trzeba się uczyć jawności, bo nie będzie demokracji, — podpowiada ktoś sentencjonalnie. Tłumaczenie organizatorów, że tu chodziło o spokój obrad, zostaje przyjęte uśmiechem: To są wszystko ludzie zaprawieni do występowania w halach fabrycznych, w tłumie, dali się od tej strony poznać, inaczej nie zostaliby wybrani. „Jak ja mam za sobą ścianę ludzi, to się lepiej koncentruję, nie plotę” — konkluduje ktoś z boku, i jest to oczywista prawda.

Organizatorzy rozdzielają bilety na jutrzejszy koncert galowy w Teatrze Wielkim, gdzie *najlepsi aktorzy najlepszym Polakom...* I żeby koniecznie przyjść nawet w sytuacji niepomyślnego wyroku w Sądzie. *Panie, jak będzie zły obrót, to my nie do Opery, tylko zaraz do swoich...*

Bujak wali ręką w zielony stół prezydalny, koniec przerwy. Pasjonujący skądinąd temat rozdziału majątku po CRZZ, którego nawiasem mówiąc ciemne okna widnieją z naprzeciwka — nie ma dziś wzięcia. Ludzie totalnie zmęczeni, spięci, nie mogą się skupić, papieros za papierosem, Wałęsa to wstaje, to siada na schodku podium, gdzieś chodzi, znów kanapki, woda, papieros.

Nareszcie! Dokument gotowy, błyskawicznie odczytany w zupełnej ciszy (jego treść nie różni się od przedstawionej propo-

zycji) i równie błyskawicznie przegłosowany (tylko siedem głosów przeciw).

Ogromne westchnienie ulgi, i całkowita zmiana nastroju. Wałęsa, który gdzieś się zawieruszył, wraca w białej czapce UW na głowie, zdążył już być u studentów (*ja błyskawicznie załatwiam sprawy*), rozdaje autografy na biało-czerwonych opaskach „bramkarzy”, i mówi tym samym euforycznym głosem, jakim przemawiał do tłumów w upalny sierpniowy dzień po podpisaniu Porozumienia w Gdańsku: — Tylko zastanawiam się jak oni poradzą sobie z tym *honoris causa* — pokazuje na czapkę — bo ja mam tylko zawodówkę — i robiąc oko: — Nie matura, lecz chęć szczerą...

Ewa BERBERYUSZ

(Kultura, 23 listopada 1980)

Jolanta STRZELECKA

NA MIODOWEJ I U „NOWOTKI”

10 listopada przed gmachem Sądów na Lesznie czekał spory tłum ludzi. Wszystkie wejścia były zamknięte, strażnicy wpuszczali tylko tych, którzy mieli wezwania i przepustki. Sąd chciał orzekać w spokoju. Dziennikarze polscy i zagraniczni, fotoreporterzy, wszyscy, którzy tu dziś przyszli, byli cierpliwi. Przed gmachem Sądu też był spokój. Porządku pilnowali sami członkowie „Solidarności”, była też milicja drogowa. Około godziny jedenastej wyszli obecni na sali sądowej członkowie Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Rozprawa skończona. Sąd udał się na naradę. Została ogłoszona przerwa do dwunastej piętnaście. Ludzie czekali dalej. Mijały minuty, kwadranse, godziny. Rosło zdenerwowanie. Jakie będzie orzeczenie? Czy będziemy musieli strajkować? Przypomniało się poprzednie, przedłużające się oczekiwanie. Co oznaczał sobotni dziennik telewizyjny? A co przemówienie Stanisława Kani w Hucie im. Lenina? Co znaczyło niedzielne kazanie w kościele Św. Krzyża? A czy dzisiejszy artykuł Stanisława Grabskiego w *Trybunie Ludu*

pozwała mieć nadzieję? Dlaczego Sąd tak długo każe czekać? Coś głośniejsz mówiono, krzyczano. W końcu tuż przed drugą po południu wyszli. „Solidarność” zarejestrowana bez zmiany statutu! Nie trzeba strajkować! Trzaskają aparaty, warczą kamery, błyskają flesze. Wielka radość. Wiwaty. Zniknęło napięcie. Wałęsa przemawia: „... *jest dobrze, tak jak chcieliśmy*”. Potem chwila powagi, śpiewamy „Jeszcze Polska” i „Boże coś Polskę”. I szybko do autobusów, prawie w biegu. Przedstawiciele „Solidarności” jadą na audiencję do Księdza Prymasa na Miodową. Jadą dwa autobusy MKK z nalepkami „Solidarność”; jeden z Huty Warszawa i jeden z Ursusa. Na Ogrodowej, na Świerczewskiego przechodnie już wiedzą. Uśmiechnięte twarze, podniesione dwa palce prawej ręki, znak „*victoria*”. Im dalej od gmachów sądu, tym bardziej pytające, pełne jeszcze niepokoju twarze zaglądają do autobusów i dopiero na nasze znaki reakcja ulgi i dwa palce w górę: „*victoria*”. Tak reagują kierowcy autobusów, pasażerowie, przechodnie. Chwila niepokoju, a potem uśmiech na twarzy. Wszyscy na to czekali.

W Pałacu Prymasowskim Lech Wałęsa dziękuje Księdzu Prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu za zaproszenie. Przypomina, że w grudniu 1979 roku, w miejscu, w którym stanie pomnik ku czci tych, którzy zginęli w grudniu 1970 roku, zwracał się o wsparcie do Księdza Prymasa. Nie wiem, czy słowa jego wypowiedziane rok temu zostały Księdzu Prymasowi przekazane, ale w końcu doszło do takiej sytuacji, jaką mamy obecnie. Lech Wałęsa mówi, że doszło do tego dzięki naukom Prymasa, na których się wychowaliśmy, dzięki dążeniu do prawdy i sprawiedliwości. Tymi naukami Kościoła związkowcy pragną się kierować dalej w swej działalności.

Audiencja trwała około dwóch godzin. Ksiądz Prymas wygłosił obszerne przemówienie, w którym mówił między innymi o swoich wielokrotnych spotkaniach z I sekretarzem KC PZPR, o rozmowie 24 sierpnia z Edwardem Gierkiem, w której to rozmowie Gierek stwierdził, że nowe związki zostaną uznane i uznane też będzie prawo do strajku, a także o rozmowach ze Stanisławem Kanią (ostatniej tuż przed wyjazdem do Rzymu i spotkaniem z Ojcem Świętym). Ksiądz Prymas powiedział też, że jego kazanie wygłoszone na Jasnej Górze w sierpniu zostało w środkach masowego przekazu zniekształcone („... *sam się zdumiałem, zobaczyłem się w telewizji jak w krzywym zwierciadle*”). Ksiądz Prymas przekazał także członkom „Solidarności” pozdrowienia od Ojca Świętego wraz z prośbą o cierpliwość i wielki umiar. (Pełny tekst przemówienia zamieścimy w najbliższym numerze).

Ksiądz Prymas przyjął przedstawicieli NSZZ „Solidarność” w sali, gdzie odbywają się konferencje biskupów („*Uważałem, że godnie mogą Was przyjąć tylko w tej sali, żebyście wiedzieli, że istnieje ciągłość między biskupem i człowiekiem pracy*”).

Z Pałacu Prymasowskiego Komisja Porozumiewawcza pojechała do Zakładów im. Marcelego Nowotki na Wolę. W czasie obrad uchwalono tekst oświadczenia, odczytanego następnie na konferencji prasowej. Lech Wałęsa rozpoczął ją od stwierdzenia: „*Faktem jest, że to, co dziś osiągnęliśmy, to tylko formalno-prawne zatwierdzenie tego, co zostało już osiągnięte 31 sierpnia. Nie ma mowy ani o przegranych, ani o zwycięzcach — było to załatwienie sprawy takie, jakie być powinno, może tylko mogło nastąpić trochę wcześniej*”. Na zadawane pytania odpowiadał Lech Wałęsa.

Pytanie: Czy strajk na Uniwersytecie Poznańskim jest „dzikim” strajkiem?

Odpowiedź: Dopóki nie był zatwierdzony statut, strajki mogły być takie, jakie były. Teraz muszą być zgodne ze statutem. Strajk może ogłosić zakład pracy, jeśli większość pracowników za tym się opowiada.

Pyt.: Jaki będzie następny etap działalności Związku?

Odp.: Takie zorganizowanie struktur, aby nie upodobił się do CRZZ. Winno być duże zróżnicowanie, bo każdy zakład pracy ma swoje specyficzne problemy, specyficzne możliwości i potrzeby.

Pyt. (telewizja francuska): Czy dzień dzisiejszy to zwycięstwo „Solidarności”?

Odp.: Nie. To zwycięstwo zdrowego rozsądku, dogadanie się Polaków.

Pyt.: Stosunek „Solidarności” do trudności ekonomicznych kraju.

Odp.: Jesteśmy Polakami. Nie tylko „Solidarność”, ale cały naród musi się zastanowić co zrobić, aby nie powrócić do tego, co było. Trzeba pracować. Pracowaliśmy i będziemy pracować dobrze, ale zapłatę za pracę trzeba dzielić rozumnie, a nie tak, jak było dotychczas.

Pyt.: Czy podtrzymuje Pan twierdzenie, że Polska powtórzy sukces Japonii?

Odp.: Oczywiście, przecież mamy teraz lepszy start niż Japonia wtedy. Jesteśmy lepiej wykształceni, dlatego nie mamy być lepsi?

Uwaga ze strony dziennikarza telewizji francuskiej: ... żeby zarabiać, trzeba produkować.

Odp.: Ludziom w Polsce nie trzeba tego powtarzać, przypominać. My to wiemy i pracujemy. Musimy tylko jeszcze patrzeć, do czyjej kieszeni to spływa.

Pada jeszcze wiele pytań o stosunek władz terenowych do „Solidarności” — „wojewodowie, którzy nas nie akceptowali, teraz szybko opuszczą uszy”, czy Wałęsa wygłosi *exposé* w telewizji, czy w przeddzień, przed ogłoszeniem orzeczenia Sądu Najwyższego było jakieś spotkanie z władzami państwowymi, które mogło mieć wpływ na orzeczenie sądu (pyta dziennikarz telewizji USA, ABC), jaki będzie los „Solidarności Wiejskiej”. Wszyscy są zmęczeni. Kończy się dzień ciężkiej pracy, wielkich napięć. Uniknięto konfliktu, którego skutki najbardziej dotknęłyby Polaków. Odczułby je jednak cały świat.

Jolanta STRZELECKA

(Tygodnik Powszechny, 16 listopada 1980)

ROZDZIAŁ TRZECI

SOLIDARNOŚCI DZIEŃ
ZWYKŁY

Helena KOWALIK

STO LAT SAMOTNOŚCI

Drzwi zamknęli na minutę przed naszym przyjściem. Gdy dyrektor Karol Grzywa wspiał się na ostatni stopień kręconych schodów w budynku ratowników, zobaczył już tylko dwie grube kłódki. Doktor Jerzy Madejczyk właśnie podpisywał — opierając papier o ścianę — protokół:

„Komisja mieszana dokonała oględzin pomieszczenia wyznaczonego na miejsce głodówki i stwierdziła, że w korytarzu o powierzchni 11 m² oraz w sanitariach nie ma artykułów żywnościowych. Osoby biorące udział w głodówce poddano osobistym przeszukaniom. Po ich wejściu — punktualnie o godzinie 16-tej, pomieszczenie zamknięto: zaplombowano”.

Staliśmy w ciszy. Zza drzwi, które oddzielały ślepy korytarz, dochodziły jakieś szelesty, szepty. — Nic tam po nas — odezwał się wreszcie dyrektor Grzywa i pierwszy zawrócił ku schodom. Za nim ruszyli inni. Tylko sekretarz Komitetu Zakładowego zawahał się, dobiegł do zaplombowanych drzwi, zastukał: — Chłopy, żeby tu był spokój.

Ale tamci milczeli.

Więc sekretarz dogonił dyrektora i dalej szli razem, przez kopalniany plac, koło masztu ze ściągniętą do połowy flagą, koło muru wartowni z nalepionymi nań ulotkami: „Zwracamy się do całej załogi kopalni 'Manifest Lipcowy' o moralne poparcie naszego protestu sumienną i wydajną pracą”. — Zwariowany pomysł — szepnął Grzywa, wypatrując czegoś w jaśniejących zapalonym światłem oknach sali konferencyjnej — Kompletne wariactwo — powtórzył, żegnając się z sekretarzem. Ich gabinety były w przeciwnych stronach kopalni.



Przed salą stoi z biało-czerwoną opaską na rękawie Grzegorzczyk — wiceprzewodniczący sekcji górniczej z Międzyzakładowego Komitetu Robotniczego w Jastrzębiu. Wpuszcza delegacje górników z innych kopalń. Skrzyknięto głównie zakładowe komisje robotnicze, ale ściągają też szeregowi członkowie „Solidarności” — prosto z szychty, jeszcze z czarnymi, jak wymalowanymi tuszem obwódkami koło oczu.

Nie wszyscy są zorientowani o co chodzi. Więc Pogłodziński z Zakładowego Komitetu Robotniczego w „Manifeście” podsuwa tym, co bliżej — komunikat, który od kilku dni krążył po okolicznych kopalniach, a dziś wydrukowała go *Trybuna Robotnicza*: „Założa KWK 'Manifest Lipcowy' zwraca się do całej braci górniczej o przeciwstawianie się terminowi zjazdu Związku Zawodowego Górników jako organu nie reprezentatywnego. Delegaci byli wybierani w kwietniu. (...) Żądamy pełnym głosem, aby zjazd ZZG został odłożony do momentu przeprowadzenia tajnych, demokratycznych wyborów do 'Solidarności'”.

Gazeta wędruje z rąk do rąk, ludzie czytają półgłosem, komentując na gorąco: „Perruńskie rzymienie”, „Dwie baby na kupie”. (Co mniej więcej znaczy: ale klops).

Gdy Grzegorzczyk — młody, silny, o kroku i wejrzeniu woda — opuszcza swój posterunek udając się w stronę prezydium, ludzie milkną. To, co teraz usłyszą, jest ważne: mają czekać na przewodniczącego Zarządu ZZG, Jana Koniecznego. Podobno już wyjechał z Katowic. Trzeba jeszcze raz spróbować pertraktacji. Tamtym pięciu — Alfred Gałucha, Jan Bożek, Jerzy Mnich, Eugeniusz Zendler i Józef Błaut — którzy teraz zamknęli się w korytarzu, nie udało się. Konieczny „dycht ucik przed nimi”. No, ale gdy zobaczy tu tyle chłopów? Prosto z szychty?... Może przypomni sobie jak to jest w kopalni, podobno był kombajnista...

Czekają... Niektórzy naciągnęli czapki na oczy, próbują drzemki. Po godzinie ktoś wzdycha: pierrona, jo bym już na piechty z tych Katowic przydyrdoł...

Ale nikt nie ogląda się za kapotą.

Nagle w ciszę wdzierają się terkot telefonu. Grzegorzczyk jednym susem przesadza prezydialny stół, wbiega na scenę, gdzie przyciągnięto aparat.

— Kaj? — krzyczy do słuchawki. — Co to za błazny! Jak to zobaczyliście? Przeca my tu czekamy, na „Manifeście”. Kieruj ich tukej”.

Ma jeszcze to zaskoczenie na twarzy, gdy informuje salę, że Konieczny zjawia się... w kopalni „Bolesław Śmiały”.

Po co, dlaczego — nikt nie wie. Czy ktoś wprowadził przewodniczącego w błąd, czy też on sam kluczy licząc na to, że minie się z górnikami w drodze — nie wiadomo. Dla zebranych w „Manifeście” jedno jest pewne: teraz nie czas na obrazy. Trzeba odbyć tę rozmowę, zwłaszcza, że liczba protestujących głośno górników zastraszająco rośnie: już czterdziestu trzech z innych kopalń zamknęło się, odmawiając jedzenia. A dalekopisy terkoczą nadal, na stół spływają coraz nowe meldunki zaczynające się od słów: Załoga kopalni... przyłącza się do protestu ZKP w „Manifeście” i...

W szóstej godzinie głodówki ci, którzy nerwowo krążyli od okna do okna podnoszą krzyk: jadą! Jakaś „Wołga” stanęła przed budynkiem. I zaraz ktoś, kto warował na dole przybiega z wieścią, że widział Koniecznego wychodzącego z samochodu. Przewodniczący wypytywał się, czy jest jeszcze ktoś w dyrekcji.

— Panie Konieczny — głos Adama Macherzyńskiego, członka ZKR w „Manifeście” brzmi cicho, załamuje się — dosyć już sobie nawtykaliśmy. Niech pan jeszcze raz przemyśli nasze argumenty i odpowie jak górnik.

— Sam nie mogę o niczym decydować. Do tego potrzebne jest prezydium. A zwołanie go niemożliwe, nie mam telefonów członków, ani samochodów.

— To my panu pomożemy, na większe rzeczy wazyliśmy się — deklaruje się Bogusław Kocik, wiceprzewodniczący MKR w Wałbrzychu.

— Chodzi przecież o niewielki ukłon — dodaje Rygier z „Boryni”. — No niech pan wyjdzie nam naprzeciw, pokaże dobrą wolę.

Konieczny milczy, mocniej sznurując usta.

Od stołu podnosi się Grzegorzcyk. — To może zrobimy tak — proponuje — pan pojedzie do Katowic i jutro rano podejmiecie decyzję na prezydium. My tu będziemy czekać.

— A żeby nie uleciało coś z tego, co tu jeden przez drugiego mówiliśmy, trzech od nas stawi się w waszym gmachu jutro, z samego rana — dodaje Adamus.

Sto kilkadziesiąt par oczu, naznaczonych węglowym pyłem wpatruje się w gładką twarz przewodniczącego branżowego związku. On ciągle waha się. Wreszcie wyciąga rękę do tych co najbliżej — zgoda. Sam przyjedzie jutro do Jastrzębia. Z decyzją prezydium.



Nazajutrz o szóstej rano stajemy w kolejce przed kopalnianym sklepikiem. Jest lepiej zaopatrzony niż spożywcze w głębi miasta, istnieje więc szansa na wystanie po kostce margaryny i trójkąciку topionego serka. Szkoda, że nie ma choćby cukierków miętowych...

Zdobyty prowiant poporcjowany, położy się na stole prezydium, ale niewiele rąk wyciąga się. Napięcie czai się w zmęczonych od niespania twarzach. Już od godziny powinien być tu Konieczny wraz z wydelegowanymi górnikami: Kocikiem, Grzegorzcykiem, Adamusem. Daremnie stoją czujki przy oknie.

W tej beczynności wypatrzyłam na sali inż. Jana Kowalczyka. Wczoraj poznaliśmy się w kopalnianej komisji postulatowej. Inni inżynierowie salę z delegacjami zetkaerów omijają szerokim łukiem. Dlaczego? — pytam Kowalczyka. Przecież w MKR jastrzębiowskim tłoczno od ekonomistów, technologów. Miast odpowiedzieć wprost, Kowalczyk prowadzi mnie do pustego o tej porze... gabinetu naczelnego.



Wygląda jak hala dworcowa. Jakżeż długo idzie się do obrotowego fotela, na którym były dyrektor kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu, Jan Duda, sadzał wezwanego. Sadzał i kazał kręcić się. Bezustannie. A przywołani sztygarzy, nadsztygarzy, kierownicy zmiany — pokornie wykonywali rozkaz.

Kowalczyk wyznaje nie bez radości w głosie, że jemu los oszczędził takiego upokorzenia. Duda nie zdążył wezwać go — więksi od Kowalczyka czekali w kolejce przed gabinetem. Ale przed epitetem „ty baranie” nie uchronił się. To był ulubiony numer naczelnego: podczas operatywki, gdy przy dębowym stole siedziało kilkudziesięciu fachowców, wołał zaopatrzeniowca. Wydawał mu polecenie: sprowadzić furę siana. Trzeba — tłumaczył urzędnikowi pokazując na kwiat dozoru — nakarmić te barany.

Dziwię się, że nikt nie protestował.

Nikt. Wszyscy pamiętali o oddziałowym sztygarze Z., który ośmielił się wyrazić wobec Dudy własne, odmienne zdanie. Wyleciał z roboty natychmiast. Dyrektor zapowiedział na odchodnym, że już on go urządzi; na kolanach będzie prosił o przyjęcie do „Manifestu”. Nie były to słowa na wiatr. Sztygar dostał wilczy bilet. Wszystkie kopalnie w rybnickim zagłębiu zatrzasnęły przed nim bramy. Wiadomo było z kim w Katowicach naczelny jest na ty.

— Każdego z nas — mówi 37-letni Jan Kowalczyk, w kopalni „Manifest” od pierwszego dnia jej uruchomienia — czekał ten sam los. Lecz tylko w wielkiej desperacji, za jednym zamachem przekreślało się wszystkie pożytki, które przynosiła praca w kopalni: mieszkanie, pożyczki, dodatek osiedleniowy, różnego rodzaju premie. Człowiek szedł po szychcie do domu i myślał nieraz: „to jest nie do wytrzymania”. Ale gdy otwierał drzwi na swoją klatkę i słyszał głosy dzieci, które wreszcie doczekały się własnego pokoju po latach poniewierki w sublokatorskich izbach — zaciskał zęby...

W sierpniu w „Manifeście” wybuchł strajk, który wkrótce ogarnął całe rybnickie zagłębie. Komitet strajkowy zmusił Dudę do roztania się z kopalnią. Na jego miejscu zasiadł 38-letni inżynier Karol Grzywa z zaledwie Brązowym Krzyżem w klapie. Doskonały fachowiec. W czasie strajku kierował zabezpieczeniem kopalni przed wybuchem gazu. Potem został wyniesiony rękami strajkujących. Konkretnie, właśnie kombajnista Jan Bożek i nadgórník Józef Bałuta zażądali w zjednoczeniu, a następnie w katowickim KW zatwierdzenia tego kandydata.

Kowalczyk: wydawać by się mogło, że dla sponiewieranych inżynierów zaczął się czas odbudowy. Wyszło inaczej, *katharsis*, rehabilitacji psychicznej doświadczyli tylko nieliczni. Dlaczego?

W kopalni „Manifest” większość ludzi z dozoru stanęła z boku wydarzeń. Górnicy z dołu, rębacze, kombajniści nie za bardzo wiedzieli co działo się za wywatowanymi drzwiami dyrektorskiego gabinetu Dudy. Nie mieli okazji oglądać upokorzenia na twarzach swych szefów. Sztymarzy bowiem w drodze z dyrektoryjnego budynku do kopalnianej windy zazwyczaj zdążyli pozbiierać się. Histeryczny krzyk zwierzchnika: na dół... wywoływał u zelzonych — gdy już minął strach — wściekłość, którą łatwo było obrócić w stronę swoich podwładnych.

— Co to jest, k... — do ryla! (Do łopaty) — krzyczał na dole znów pewny siebie kierownik zmiany. I gonił, gonił. Ze strachu o zagrożoną premię, z przekonania, że tak trzeba, bo jest to jedyna droga do awansu.

Ta ostatnia myśl... Trzeba było być ekonomem, żeby przeskoczyć kolejne szczebelki w skomplikowanej hierarchii górniczych funkcji i tytułów. Aby zyskać prawo do rzadszych, tylko kontrolnych zjazdów na dół, do ciepłego kantorka na powierzchni. Kierownik, który spoufalał się ze swoją brygadą, który przyjmował do wiadomości skargi na zdezelowany sprzęt, brakujące części, na złą organizację pracy był przez Dudę nazywany ciulem...

Trzeba mieszkać na Śląsku by wiedzieć, jakie poharbienie niesie to przezwisko.

Do grudnia w „Manifestie Lipcowym” — załatwiono już prawie wszystkie z 368 postulatów strajkowych. Specjalnie powołana komisja rozwiązała się. Jeszcze tylko Jan Kowalczyk siedzi w biurze odfajkując ostatnie, powtarzające się zresztą wnioski. Żadnemu inżynierowi nie grożą już taczki: kto musiał odejść, odszedł. Kogo niesłusznie oskarżono, jest zrehabilitowany. Jeszcze tylko z oddelegowanymi na dzienne studia (z pensją górnika przodowego) należało zrobić porządek. Zajął się tym ostatni kaeser — załoga zażądała, aby uprzywilejowani wrócili do kopalni. Mogą zdobywać dyplomy zaocznie.

Właściwie można by już pracować, bo węgiel bardzo potrzebny krajowi, gdyby nie... pewna bierność kadry.

— Jakby przyczaili się — zauważa Jan Kowalczyk.

I mówi mi też, że lata, gdy wydobywano węgiel za każdą cenę, spowodowały bodaj największe spustoszenie w psychice młodych inżynierów. Tych, którzy przyszli do kopalni w latach 78, 79. Wyciągnięci, zazwyczaj za cenę stypendium, spod uczelnianego klosza zetknęli się z aż nazbyt brutalną rzeczywistością. Postawieni w sytuacji: wóz albo przewóz, zazwyczaj opowiadali się po stronie naczelnego.

Bo wsłuchiwanie się w głos własnego sumienia groziło kręciołkiem przed dyrektorskim biurkiem. I utratą nadziei na jakikolwiek awans. Ilu było takich, którzy oderwani od własnych rodzin, rzućni do obojętnego miasta — znaleźli w sobie siłę przetrwania?...



Po południu, w sali konferencyjnej zupełnie inny nastrój. Ktoś czyści sukno na stołach z rozsyanego popiołu, słysząc nawoływania o odniesienie do stołówki szklanek. — Musi być „ochludnie” — właśnie dodzwonili się do Katowic, portier zdradził, że narada w Zarządzie Głównym skończona i kilku mężczyzn wysiadło do kopalnianego autobusu.

W pół godziny później otwierają się nazbyt energicznie pchnięte drzwi. Kocik, Grzegorzczuk i Adamus stoją w progu. Bez Koniecznego. Wystarczy spojrzeć na ich twarze — przegrali. Już tylko dla ulżenia sobie, Grzegorzczuk opowiada jak było: Konieczny pokazał im list — z daleka, nie zdradzając nazwiska — jakiegoś górnika z „Manifestu”, który domagał się natychmiastowego zwołania zjazdu. To był koronny argument branżowców. — Wyznaczyli nas — w zdenerwowaniu wiceprzewod-

niczący sekcji górniczej przeszedł na gwarę — dalej nieszło im niczego pedzieć. Prawilem: tylu delegatów oddało mandaty — nie wykorzystujcie tego, żeśmy byli zajęci zmianą dyrektora, oddawaniem spraw do prokuratury, spisywaniem bumelantów. Poczekajcie, aż cała załoga opowie się. Konieczny na to: jeśli zjazd nie odbędzie się teraz, to już nigdy.

Adamus włączył się: — Jo pedziołem na koniec Koniecznemu: wy isto macie pylice. Wom koło serca urósł taki pieroński kamień. Więcej rzondzić nie mogłem, bo popłokałem się.

Ostry głos Grzegorzczyka: nie ma co się ślimaczyć. Mija 23 godzina głodówki naszych kamratów. Zapowiedzieli, że wyjdą dopiero w dniu rozpoczęcia zjazdu. Czyli za cztery dni. Teraz tworzymy międzyzakładowy komitet strajkowy. Zostanie 5 osób. Reszta wraca do kopalń. Musicie zapobiec dalszym głodówkom. Za wszelką cenę. Porobić sobie tuby i ogłaszać. A tu, niech ktoś poprosi dyrektora Grzywę i farorza...

Pytanie do naczelnego jest krótkie: czy kopalnia dobrze fedruje.

— Bardzo dobrze. 301 skibów na pierwszej zmianie.

Grzywa, aczkolwiek traktowany na sali z wyraźną sympatią, wychodzi pośpiesznie — zdaje się, że ponagliły go głosy spod okna, dlaczego na sali nie ma Sienkiewicza — przewodniczącego MKR w Jastrzębiu. Do prezydium też już dociera żądanie. Po chwili słysząc terkot nakręcanej tarczy telefonicznej. Rozmowa jest zduszona przyciśniętym do ust rękawem, ale wiadomo tyle, że Sienkiewicz przyjedzie.

Pół godziny później: atakują go, nie pozwoliwszy nawet zdjąć kurtki. — Dlaczego MKR nie jest na sali od rana?

— Bo to nie nasz pomysł. Bożek z kolegami sami zadecydowali — perswaduje zrazu łagodnie przewodniczący MKR, ale wkrótce i jego ponoszą nerwy. Podrywa się — wysoki, z rozwichrzoną czupryną, z jakby dziecinnym grymasem na twarzy. Jeszcze próbuje odpowiadać, półgłosem, miękko, ale z tego ściszenia wychodzi świst. Zdaje się — syczy — że mamy demokrację oddolną, nie?

I już nie panuje nad własną twarzą. — Najgorszy wróg — krzyczy — nie wymyśliłby nam takiego numeru. Teraz stano-wisko KW jest jednoznaczne — anarchia. Przyznaję, bardzo prawdopodobne, że branżowcy będą usiłovali przywłaszczyć sobie na zjeździe nasz program ale czy należało posunąć się aż do strajku? I wy nie tłumaczcie się, że nie mieliście czasu na zbieranie oświadczeń. Ja też pracuję po 12 godzin.

— Ale u nas, na „Boryni” — ktoś przerywa Sienkiewiczowi

— rada zakładowa odrzuciła cztery tysiące wypełnionych deklaracji. Żąda, aby każdy, kto przechodzi do „Solidarności”, podpisał się w obecności sekretarza.

— To zróbcie to co ja — radzi Grzegorzczyk. Chcieli oświadczyć każdego wypisującego się, to ustawiłem ludzi po szwach. Pokój zapchał się tak, że nie było gdzie rozłożyć tych papierów. Zaraz wycofali się z rozporządzenia...

Huknęło śmiechem. Tylko Sienkiewicz nadal spięty: połączcie mnie, mówi, z Bożkiem.

— Tamci — mówi wolno i dobitnie do słuchawki, wydali już na was wyrok. Nasłuchuje chwilę. Przerywa: co, nie szkodzi, trzeba zastanowić się nad sensem takiego strajku... Słucham? Ale co to znaczy, że mamy robić wszystko, aby zjazd nie odbył się! A co tu można jeszcze zrobić?

Ostro kładzie słuchawkę. Siada z rękami na oczach. Na sali cisza taka, że słysząc skwierczenie popiołu w papierosach. Wreszcie podnosi się: — Dlaczego — pyta już spokojnie — chcecie pozbyć się najlepszych organizatorów? Głodują już 43 godziny. Niedługo zaczną im obumierać komórki w mózgu. Dlaczego rozmyślnie osłabiacie się? Kochani — teraz w głosie Sienkiewicza pobrzmiwa błaganie — trzeba przerwać. Podpisaliśmy przecież porozumienie. Przestaną z nami rozmawiać. A jest tyle do załatwienia: nie ma co jeść, jeździliśmy w tej sprawie do premiera, do wojewody, obiecali chociaż ryby, teraz potraktują nas jak organizację anarchistyczną... Nie — unosi się — my tą głodówką podcinamy sobie gardła...

I takim, z ręką na krtani ogląda go proboszcz. Oddawszy duszpasterską posługę ksiądz zasiada w prezydium ze słowami: byłem i będę z wami. Ale — dodaje łagodnie — byłbym bardzo wdzięczny, gdyby ktoś mi wytłumaczył, dlaczego oni tam podjęli taką ostateczną decyzję. Kochani, ja jestem synem górnika, mój ojciec też protestował głodem, ale miał powody!



Kolejna nieprzespana noc. Rano w *Trybunie Robotniczej* odpowiedź ZG ZZG na komunikat „Solidarności” z „Manifestu”:

„Przedstawiciele NSZZ 'Solidarność', którzy próbowali podczas spotkania z kierownictwem Zarządu Głównego wpłynąć na odwołanie a co najmniej przełożenie zjazdu nie przedłożyli na poparcie swoich żądań żadnych racjonalnych i przekonujących argumentów. (...) Demokracja jest jedna dla wszystkich. Intencje pracowników wspólne. Skąd więc biorą się próby ograniczenia

swobody i wpływów Związku Zawodowego Górników? (...) Odrębna sprawa to reprezentatywność związku. Od kilku tygodni głosi się poglądy o przygniatającej przewadze 'Solidarności'. Fakty jednak są inne'...

— Pierońskie rzymienie — kwituje głośną lekturę stary rąbacz z „Anny” i gniecie gazetę w kulę.

Telefon z zaplombowanego korytarza: — Tak, czują się dobrze. Proszą tylko o wstrzymanie głódówki w innych kopalniach. Mieli niespokojną noc, górnicy z nocnej szychty chcieli przerwać fedrunek.



Jedziemy tam. Jak przed tygodniem, hala zapełniona do ostatniego miejsca. Tylko członkowie, kibiców wyeliminowała służba porządkowa. Nazbierało się wyjątkowo dużo spraw do obgadania. (Ścierpną wam tyłki — zapowiada Pałka z MKR). Ale przede wszystkim informacja o tym, co dzieje się w „Manifestie Lipcowym”:

Za mównicą staje drobny, znany w całym Jastrzębiu ze skłonności do „błaznów” (żartów) i gadek — Adamus. Tym razem nie jest mu do śmiechu. — Chłopy — zaczyna — trzeba powiedzieć jasno: to jest strajk dziki. Gdy byliśmy na rozmowie u Koniecznego, on odgrażał się, że też mogą taki strajk urządzić. Tak po prawdzie to nie było co mądrego im ciepnąć.

Mimo to sala uchwała rezolucję, popierającą czterdziestu sześciu głodujących. W chwilę później Sienkiewicz wycofuje się z wiecu pod pretekstem, że jego miejsce jest w kopalni „Manifest”. (Nie pokazał się tam zresztą). A dyskusja dopiero rozgrzewa się. Problem numer jeden: głód. Półki sklepowe są prawie puste, może magazyny kryją jakieś zapasy? — Sprawdzaliśmy — przekrzykuje tumult Kosiński z MKR — jest trochę drobiu, odłożonego na święta. I — rozkłada na mównicy kartki z rozmów z wojewodą oraz premierem. Kolumny liczb, z których wynika, że nie jest tak źle, jeszcze bardziej rozsierdzają tłum. — Nie potrafisz, nie pchaj się na afisz — krzyczy Jan Kupka, przodkowy, zdaje się z „Wujka”. — To samo podawali wczoraj w dzienniku — skanduje jakaś silna grupa na galerii.

— Sami dogadajmy się z chłopami — radzi delegat z kopalni „Marcel”. I pozdrowiwszy zebranych pokornym „Szczęść Boże” dorzuca głosem przodownika pracy lat 50 zobowiązanie. Fedrunek w wolną sobotę tylko dla wsi. Tona węgla za tonę kartofli. Oczywiście z odpowiednią dopłatą.

Oklaski, radość z chytrego pomysłu. Daremnie Kupka krzyczy, żeby odwrócić głowy ku wejściu. Tam, korzystając z zamieszania, jakaś przekupa handluje odznakami „Solidarności”. Można sobie kupić przynależność za jedno dwadzieścia złotych.



55 godzina głodówki. Pora kolacji. Jastrzębie, straszne miasmo z majaków Kafki, pogrążone w ciemnościach. Oszczędność. W sali konferencyjnej też wygaszono co drugą żarówkę.

Jeszcze w południe, przed zamknięciem urzędów, komitet strajkowy miał nadzieję, że odezwie się telefon z Katowic. Albo — że pojawią się dziennikarze z całej Polski, wysłali przecież dalekopisy. Tymczasem nie. Ani w dzienniku TV, ani w radiu.

Teraz napięte jak postronki nerwy wysiadają. — A idźcie wszyscy w cholerę do tych swoich sztywnych bloków — krzyczy Grzegorzczuk do kolegów — porozsiadajcie się w fotelach.

Ktoś tłumaczy mu półgłosem, że to wszystko przez to, że nie mają wprawy w pisanie komunikatów. Że przydałby się na sali chociaż jeden inżynier. Ale przewodniczący sekcji górniczej nie daje się zagadać. Sapie gniewnie, pochylony nad butem, który coraz trudniej rozsznurować. Nogi popuchły po trzech dniach stania na warcie.

Jakoś odwiązał, chodzi, odbijając się od ściany do ściany. Zastanawia się nad czymś. Wreszcie decyduje: sztandar ze świętą Barbarą na frontalną ścianę. Niech zbiorą się pod nim wszystkie zetkaery. A meldunki spływające z dalekopisu o gotowości kolejnych kopalń odłożyć na bok. I już nic nie przyjmować!...

W czasie przygotowań zaglądam do czuwającego piętro niżej sekretarza komitetu zakładowego. Ja nic nie rozumiem — mówi on i trzęsącymi rękami przekłada z miejsca na miejsce głuchy aparat telefoniczny. Miał przyjechać ktoś z KW, przecież tu jest potrzebny mediator, żeby ustąpił mądrzejszy. Po chwili szeptał: — pozostawili mnie samego.

Telefon. Sekretarz omal nie wyrywa sznura z kontaktu. — Tak, tak — potakuję całym ciałem — już jadę.

A do mnie, rozedrganym radością głosem: — Wzywają mnie. Komitet Miejski...



Wracam na salę — znów ożywioną, gwarą. Przed chwilą mieli wiadomość, że jednak ktoś wyruszył z Katowic do Jastrzębia. Ktoś z KW. Adamus zarządza: — Niech piorunem, ale to

piorunem zetkaery przyślą notki, po ilu ma członków „Solidarność”. Ten rachunek może przydać się, gdyby rozmowa znów zeszła na noże.

Pierwsze dalekopisy: „Anna” — 95 %, „Brześnia” — 100 %. Ludzie zapisywali się masowo w ostatnich dniach. Dębieńsko — na 5200 załogi — 4720 w „Solidarności”, ale rada zakładowa nie przyjmuje deklaracji.

Lista wydłuża się... Nie ma jednak czasu na podliczenia, gdyż po schodach już idzie kierownik wydziału socjalno-bytowego Komitetu Wojewódzkiego.

— Osobiście żałuję — oświadcza — że nie doszło do uzgodnienia stanowisk. Zjazd odbędzie się.

Tyle. Ani słowa więcej. Choć sala ciągle jeszcze milczy, dopiero wzbiera w niej krzyk.

— To pewne? — pyta stary górnik z kopalni „Anna”.

— Raczej tak.

— Pewne, czy blank pewne?

— Absolutnie pewne.

Wreszcie zrozumieli. I — już nic nie słychać. Daremnie Eugeniusz Grzegorzczuk woła: Lepiej teraz zrobić krok do tyłu, aby później nadrobić dwoma do przodu!

Podnosi się starszy mężczyzna o twarzy bardzo pobrużdżonej. Pyta jakoś tak żałośnie: to już nic nie można zrobić?

Grzegorzczuk rozkłada bezradnie ręce.



Już po północy. Za kilka godzin zacznie świtać. Tych pięciu zgodziło się po ledwo półgodzinnych naleganiach (na to była ta przerwa na papierosa) otworzyć zaplombowane drzwi. Obecna na sali lekarka poderwała się, aby jak mówi, podreperować wygłodzonych nim tu wejść. Tymczasem Kocik zarządza — uprzątnąć z sali miski po zjedzonej kolacji. I tę torebkę z cukrem.

Grzegorzczuk z Adamusem zajęci są czym innym: przywiązują czarną krepę do drzewca sztandaru górniczego. Każą też zebranym zdjąć z rękawów opaski, aby machać nimi w chwili, gdy poprzedzający Bożka — który zapewne wejdzie pierwszy — sztandar pojawi się na progu.

Pani psycholog, dostosowując się do żądania szepce mi, że górnicy lubią taką fasadowość. Nawet ci tu w zasadzie bez pokoleniowej tradycji, łapańcami zwani.



Wchodzą z pochylonymi głowami i tak siadają za prezydium. Jakby coś przeszkrobali. Mnich ociera oczy i pierwszy podnosi się z krzesła: głodowaliśmy, mówi, za własne błędy. Chce jeszcze coś dodać, ale Błaut, który pierwszy dostrzega niebezpieczne drżenie głosu kolegi, szybko przerywa mu wołając: — Chodźmy do domu, zostało jeszcze kilka godzin snu. Tamci niech sobie robią zjazdy. W poniedziałek, pierona, zabieramy się ostro do akcji wyborczej.

Już siada, ale coś sobie przypominał: słuchajcie, żeby nikt nie wybierał się w poniedziałek do Katowic. Żadnego gromadzenia się pod ich budynkiem. Ani wdzierania na salę. Głodówkę przegraliśmy. Ale jedno udało się załatwić: na tym zjeździe nie zapadnie żadna uchwała, przynosząca starym związkom korzyści.



Zjazd odbył się w ciszy aż przesadnej. Żaden z katowickich dzienników nie podał informacji, gdzie odbywają się obrady. Nie udzielała ich także portierka w WRZZ.

Odnalezienie domu bez jednego transparentu to dopiero pierwszy próg trudności. Musiałam wylegitymować się kolejno: milicjantom, straży pożarnej ze znaczkiem „służba organizatorska”, straży drugiej, a następnie — bo ciągle jeszcze daleko było do zgody na zdjęcie palta — szefowi tzw. pokoju prasowego. Za to wciągnięcie na listę swoich ludzi rekompensowało wszystkie przykrości.

Więc było bardzo miło. Jeśli nie liczyć drobnego incydentu z delegacją niewyspanych po nocnej zmianie górników z FaZOS, którzy przez pięć godzin stali pod oszklonymi drzwiami gmachu domagając się rozmowy z ich delegatem. Chcieli wręczyć mu przywiezioną uchwałę starej rady i „Solidarności”. Na kartce pisało: „Żądamy, aby obywatel... zawiadomił uczestników zjazdu, że nie reprezentuje całej kilkutyśnej załogi. Wspólną uchwałą przedstawicielstw obu związków ob. utracił mandat, ponieważ w sierpniu obrażał strajkujących nazywając ich chuliganami”.

Poza tym wszystko, co głosili z trybuny dyskutanci było absolutnie słuszne. Że trzeba zadbać o bhp, o warunki lecznictwa, o wyższe emerytury, o remont familoków itd. itd. Krytykę zawiera też referat Koniecznego:

„Wprawdzie osiągnięty został ogólny spadek liczby wypadków, o czym była mowa w sprawozdaniu (w tym momencie ktoś krzyknął, że pisanym jeszcze w czerwcu), jednak nastąpił wzrost

liczby wypadków ciężkich. I na nic zda się przeliczanie wypadkowości na tony wydobywania. To już tylko manipulacja”.

„Dobrze” wyglądała sala zjazdowa. Na 302 delegatów nie stało się zaledwie stu. Frekwencję robili reprezentanci fabryk zatrudniających po pięćset osób, nie przyjechali delegaci z prawie wszystkich kopalń.

Nie można też powiedzieć, iż najważniejszą sprawą na zjeździe było ponowne, jednomyślne wybranie na przewodniczącego Jana Koniecznego... Tak się oczywiście stało, ale przecież stawiali za mównicą aż do czwartej nad ranem.



Podczas katowickich pertraktacji z Zarządem Głównym Związku Górników, „Solidarność” z „Manifestu Lipcowego” usłyszała coś, co miało być jakby pocieszeniem.

— Zobaczycie — powiedział Jan Konieczny — ten zjazd pomoże wam.

W tydzień później na jednym z ważnych oddziałów w „Manifestie” odbyło się zebranie załogi, zainicjowane przez ZKR. Tych pięciu z głódówki poszło tam na niezbyt pewnych nogach: trochę obawiali się uśmieszków na twarzach dozoru. Przegrali przecież. Tymczasem już pierwszy głos magazyniera dołowego sprawił, że po raz pierwszy w dziesięcioletnich dziejach „Manifestu” obie strony: dozór i fizyczni zaczęli rozmawiać tym samym językiem.

Komórkarz Alfred Skoneczny powiedział: jesteśmy z siebie niezadowoleni, tak? Więc mówmy o postulatach. To raz. Dwa: dobrze, że spotkaliśmy się. Ja pracuję tu od samego początku i widzę, że to jest nasze pierwsze spotkanie. Róbmy je raz na pół roku, żebyśmy się wzajemnie nie oszukiwali. My nadzór, nadzór nas, człowiek człowieka, przyjaciel przyjaciela. Stać nas przecież na odwagę. Jeśli wywołaliśmy taką burzę w kraju, bądźmy także odważni wobec siebie. Przecież każdy wie, co jest grane...

Helena KOWALIK

Krajowy Zjazd Związku Zawodowego Górników odbył się 17 listopada 1980.

(*Życie Literackie*, 7 czerwca 1981)

DZIEŃ LECHA W.

Gdyby Wałęsa chciał czytać listy, zamieniłby się w całodobowego lektora. Wpływa ich dziennie na Grunwaldzką około setki, sortowane w sterty tematyczne, odnotowywane w rejestrze, rozprowadzane po komórkach wedle kompetencji przez „dobrowolców”, czyli młodych ludzi, którzy przerwali zgłębianie tajników kwasu rybonukleinowego czy też badania nad Maurycym Mochackim, by tu, w pomieszczeniu pod szyldem „Kancelaria”, służyć sprawie. Patrząc na tę konfigurację papierów, akt, teczek, skoroszytów zalegających sprząty Kancelarii przychodzi mi na myśl widziana dawno temu inscenizacja „Zamku” Franza Kafki...

Na Grunwaldzkiej (stara nazwa „Hotel Morski” przepadła wraz z funkcją) podłogi i schody zdeptane do niemożliwości coraz większą ciżbą butów; korytarze i pokoje coraz tłoczniejsze, coraz brudniej; a pracownia graficzna wiesza coraz wyrazistsze napisy, o tym na przykład, że czwartki są dniem bez interesanta. Szkoda słów! Wałą drzwiami i oknami, na ulicy kolejka po gazetkę *Solidarności* dłuższa niż za mięsem. Jeśli ktoś z merytorycznych pracowników wyjedzie w teren, zachoruje, zaśpi, nawali (a dezynwoltura w tym względzie panuje całkowita), robi się zator piramidalny. Przy tym, sprawy wielkiej wagi państwowej, nieustanne „gaszenie pożaru”, spychają wciąż na dalszy plan całą rytmikę pracy związkowej.

D o m

Osiedle Zaspą jakby nazwę wzięło od terenu, w którym się znajduje. Wśród rumowisk i hałd, wśród betonowych skrawków dawnego lotniska. Klatkę Wałęsy poznać po samochodach: volva amerykańskiej ekipy telewizyjnej NBC, polonezy interpresowca, który przywiózł stadko Belgów, Francuzów i Czecha.

Godzina 7.15 rano.

Zbiega ten, na którego czekamy. Zmłodziejzowiął, zmodernizował się. Sztruks, golf, i nie ten człowiek. Każdy oferuje swoje transportowe usługi. Wybiera naszego fiacika. Do mnie: „Pani mi się śniła na jakimś zebraniu. Pani jest cygański typ, to pani wszędzie wejdzie...”.

Lubi kobiety. Tym zanikającym wśród mężczyzn uczuciem wynikającym z braku kompleksów, a więc z zaufania, z odcienia rewerencji w dawnym stylu, opiekuńczości i przeświadczenia, że baby go nie skrzywdzą.

Szybka jazda w eskorcie obcych dziennikarzy, szybka Msza w zimnym kościele, Komunia Święta — powrót. Nagle, w ciągu tych dwóch minut, jakie dzielą dom od kościoła, określenie własnej religijności w sposób odbiegający od jego zwykłej artykulacji: „To jest coś bardzo mojego, prywatnego. Mój odpoczynek. Ja tylko sobie westchnę, i zawału nie dostanę. Może jak dla innych joga? Może. Religia to jest mój spokój. Więc moja siła.

— A u żony?

— Po tradycyjnemu. Ja nikomu Boga nie wciskam.

Śniadanie

Micha jajecznicy, kanapki z pomidorem, taca herbat. Za stołem, na podłodze, na dwóch leniwcach, trzynaście osób. W drzwiach kuchni teściowa, szwagierka i żona — najładniejsza. Czarniawa, krótko ostrzyżona, z dołkami, delikatna w rysach. Dzieci poszły w nią. Też smukłe, subtelne, o zgrabnych, małych głowach, tylko po ojcu blondyni. Bogdan i Sławek już „na wyjściu” do szkoły, Przemek i Jarek — do przedszkola, Magda („księżniczka moja niedobra”) — na kolanach u ojca, tylko mała Ania gdzieś śpi w którymś z pokoi. (Mieszkanie puste, bo mebel z M-3 na Stogach, gdzie się gnieździli w ósemkę, nie zapełnia tych nagłych rozległości). Gdy Włesie zaproponowano przydział, postawił sprawę na Prezydium. „Bierz”, powiedzieli. I tak się znalazł na Zaspie.

Mamy pół godziny czasu. Na pierwszy ogień idzie Czech. Stawia pytania dobieraną polszczyzną:

— Czy to jest demokracja, że „Solidarność” odmawia partnerstwa z innymi związkami?

— Ja nie widzę związków, ja widzę działaczy. Nie mają ludzi, ale krzyk to oni potrafią podnosić. Jak w Hali Gwardii. — I jak u trybuna ludowego, który musi baczyć, żeby zachować równowagę — tezę przygważdża antytezą: Nikogo nie chcemy rozliczać, jesteśmy za zgodą narodową.

— Stale mówicie o błędach, a przecież... — Czech wymownym gestem wskazuje na rozbebeszoną budowę za oknem.

— No proszę pana, to jest czas właśnie taki. Ja nie mówię,

że nie nabudowali. Jest masę dobrych rzeczy, jest! Ale nie teraz czas na klaskanie...

Pytanie o siły antysocjalistyczne.

— Zarzuca mi się antysocjalizm. My jesteśmy w socjalizmie urodzeni, tak jak ja, nie znam innego systemu i nawet nie pozwolimy, żeby nam ktoś socjalizm zawracał. Nikt nie chce posiadać fabryk.

Mruży oczy i mówi dowcip: — Kto to jest siła antysocjalistyczna? Siła antysocjalistyczna to jest ten pan, co mi w domu szafę przestawia. Tak było w „60 minut na godzinę” chyba...

Telefony, dzwonki, rejwach przy drzwiach; obudziła się pani z Kutna, która zapukała w nocy z dzieckiem, a które teraz płacze. Pytam ją czemu tu przyjechała. Patrzy na mnie długo bez wyrazu (wcale nie wygląda na wariatkę), potem mówi: „Bez impulsu. Wyrzucili mnie wczoraj z pracy, wsiadłam w pociąg i przyjechałam...”.

Wąłęsa (w poirytowaniu): — Nie wytrzymujemy psychicznie. Nie mogę pobyc chwili z rodziną, dzieci ustawić, a mam kłopoty wychowawcze, starszy syn chciał dyrektora szkoły zmieniać, a tu stale tłum. — I opowieść: Wróciłem raz nad ranem ze spotkania studenckiego, położyłem się bez światła, żeby rodziny nie budzić, otwieram oczy, kamera nade mną bzczy. Bezczelność! „Ten pan tylko umie strajkować i dzieci robić”. Taki wniosek musiał wyciągnąć ten dziennikarz (ja bym też wyciągnął: „Patrzcie, jaki król się zrobił, nawet głowy nie chce mu się unieść... — Do żony: — Danusia, umówiłem się, wywieś kartkę, że nie przyjmujemy, albo sam ją wywieszę — podrywa się.

Silny głos z kuchni: „Nie wierzę!” Stają w progu w trzy, matka z dwiema córkami. Wąłęsowa ma ośmioro rodzeństwa. Wszyscy zdrowi, pracują. Podlesiacy.

Francuzów i Belgów interesują głównie sprawy płacowe.

Kolejna NBC. Ekipa amerykańska przypuszcza szturm zmasowany. Kamera sprzężona z reflektorem, dźwiękowiec z lufą mikrofonu, sekretarka planu na ziemi po turecku i reżyser z tłumaczem tuż przy Wąłęsie:

— Czy gotów jest pan zapłacić cenę krwi?

Tak, jest gotów zapłacić każdą cenę, ale jest przekonany, że można wykierować się bez takich ofiar. „Solidarność” rozumie, w czym dzieło, i zawsze tak się ustawia, że taktykę dopasowujemy do okoliczności.

W tym momencie przypomina mi się rozmowa z pewnym członkiem Komisji Krajowej uważanym za „twardogłowca”, który w odpowiedzi na zarzut nierozwagi i ryzykanctwa przyciskał mnie

do muru pytaniem, kiedy to mianowicie „Solidarność” popełniła błąd, utrzymując, iż przeciwnie, stale trzyma się rękę na pulsie. Taki drobny przykład: rozkład kolejowy przez Polskę w obie strony funkcjonuje bezbłędnie nawet w sytuacjach najbardziej napiętych.

Teraz przy stole rozmowa zjeżdża na Reagana. Dziennikarz NBC bardzo się dziwi, że pan Wałęsa lubi obecnego prezydenta USA: „Stawiałem na niego, nawet się chyba nie spodziewałem...”. Dopatruję się w nim człowieka, który będzie szedł za swoim głosem. Widzi w nim podobieństwo do siebie, nawet w sposobie bycia. „Mamy takie rzeczy podobne, tam z tymi rękami, takie ruchy, i chyba ładnie byśmy sobie porozmawiali...”.

Nie, nie jest mu wiadome, że nasze rządy zawsze lepiej dogadywały się z prezydentami republikanami niż demokratami, jak również nie kłopotuje go pytanie, że jakże to: on, opowiadający się za socjalizmem, może gustować w prawicowcu, Reaganie. Podpowiadamy, że Wałęsie podoba się osobowość prezydenta USA, co natychmiast kupuje.

Jeszcze jakieś nowe zamieszanie u wejścia; jeszcze „księżniczka” w te i wewte z kolan na kolana u ojca, który woła: „szwagierka, może komu jeszcze herbaty?”, a ekipa NBC wspomina, że kiedy kręcili tu film o strajku robotnicy krzyczeli: „Wałęsa na premiera!”. Ogólny śmiech i znana odpowiedź o braku wszelkich ambicji politycznych.

NBC krąży jak sęp wokół spraw bezpieczeństwa.

— Czy pan się boi?

— Zapłacę każdą cenę, już mówiłem. Jak jest mi pisane, zapłacę i to. Nawet okiem nie mrugnę, jak będę szedł...

— Jednakże czy pan się boi?

— Ja się już zadeklarowałem. Ja naprawdę jestem wierzący. Jeśli są takie wyroki, a więc moje kalkulowanie jest tu nic nie warte.

— A jednak to pan siedzi za kierownicą. Czy nie boi się pan stracić kontroli?

— Nie stracę. Nikogo nie kantuję, jeśli mi ktoś coś zarzuci, to ja się z tego oczyszczę. Bądźmy ludźmi, a wszystko będzie dobrze.

— Kłopoty?

— Kłopotów mam więcej niż włosów na głowie, ale jakie by to było życie bez kłopotów...?

Wychodzimy w milczeniu.

Tym razem Wałęsa zabiera się z kim innym, a do nas sadowi się jego opiekun, stary marynarz Henio: — On tam w ogóle

nie ma pojęcia, co to być w niewoli, albo wojna. Jakbyś miał bracie cztery lata walki z Niemcami, byłbyś wtedy bohaterem. Jego to zdaniów jest dziesięć na minutę. Jak z tym dziennikarzem. Wczoraj go wyrzuciłem, nie chcę was widzieć, mówię, już jeden tu był od was i świństw narobił. Może i ten dziennikarz chciałby prawdę, ale mu przekręca. A Lech go przyjął. Ej, na morze wróć...

R a d a

Jest dzień 26 listopada. Na porządku dziennym sprawa aresztowań w „Mazowszu”. Komisja Krajowa zbiera się zwykle na dole w klubie Ster. Już miejsca zajmowane, już przy wejściu stolik z przepustkami, nie wchodzi nawet podwójni delegaci MKZ-tów, tylko po jednym, żeby nie było przechyłów w głosowaniu. Prasa oczywiście też nie. „Closed door, closed door”, powtarzają sobie zagranicznicy i zajmują miejsca pod ścianami w hallu.

Molestuję Wałęsę. Tłumaczy mi z tym żartobliwym zgorznięciem z jakim odmawia się dzieciom: — „No, nie mogę, proszę panią, naprawdę, nie mogę, my się tam strasznie namawiamy... Ja tam mówię, jak kogoś podetnę, butelkę podłożę, no i pani chciałaby to słyszeć, nieładnie, bardzo brzydko...”.

W końcu obietnica, że po pierwszym punkcie zostaniemy wpuszczeni. Czekamy. Obieg jabłek, gazetek regionalnych, no i wiadomości. Ursus przestał pracować. Ktoś żartuje: „Czyli przestali zamiatać hale...” (bo do Fergussona i tak części brak).

Korespondent TASS-a stoi najbliżej drzwi i nadstawia ucha: „Panie TASS-ie, co tam mówią?”. Rozkłada ręce, że nic nie słyszy. Ma tu dobrą markę. Odkąd będąc w zamieszaniu świadkiem bardzo poufnej rozmowy, świadomie zdekonspirował się, proponując, że wyjdzie — zyskał sobie opinię niezwykle taktownego i w ogóle na poziomie. Miły chłopak, studiował w Polsce polonistykę, teraz tłumaczy nam flegmatycznym basem: „Trzeba logicznie myśleć: Z kim graniczy Czechosłowacja, a z kim Polska, no? Trzeba logicznie myśleć, nie ma paniki...”.

Porządek dzienny ma sześć punktów z masą podpunktów. Ale jak zwykle aktualna *Hochpolitik* pochłania lwią część czasu i energii; punkt pierwszy trwa w nieskończoność.

Wreszcie po przerwie. W sali Karol Modzelewski czyta nam treść oświadczenia, z czego wynika, że Komisja Krajowa popiera

roszczenia „Mazowsza”, jednocześnie apelując o powstrzymanie się „w obecnej sytuacji od eskalacji roszczeń płacowych i innych, podkreślając, iż obowiązuje statutowy zakaz ogłaszania strajków nie uzgodnionych z władzami związku”.

I można by w tym miejscu przejść do punktu drugiego, jakim jest organizacja terytorialna związku, już referent i koreferent przy podium, z planszami, z mapkami, w pełni przygotowani, gdyby nie wejście Wałęsy odwołanego przed chwilą do telefonu.

Dzwonił minister, propozycja jest krótka: Narożniak zwolniony, Ursus rusza — transakcja ręka w rękę. Wałęsa: — Ja to tak widzę: Ten pan zjawia się w Zakładzie, mówi „dziękuję wam, chłopcy, wyszedłem”, i dopiero idą do pracy. Nie, to jest moja koncepcja prywatna, musimy się tu wypowiedzieć, żeby nie przestrzelić...

To co się dalej dzieje, niesie w sobie dwa nurty: moralny i ambicjonalny. Moralny jest przejrzysty, chodzi nie tylko o Narożniaka, który jest pracownikiem „Solidarności”, ale również o tego drugiego chłopca, nie wolno ich rozłączać, bo działali w jednej sprawie: przecież „Solidarność” nie bije się tylko o swoich działaczy. Ktoś idzie jeszcze dalej: — ujęcie się za tym drugim posiada też tę niewątpliwą wagę, że w ten sposób nie znika nam z pola widzenia sprawa wszystkich... (Bo „Mazowsze” w swoich sześciu punktach rozrachunkowych dopomina się o innych zatrzymanych. Sprawę pointuje delegatka Koszalina: — Umówmy się czy my chcemy wygrać praworządność, czy pana Narożniaka. — I emocjonalnie: — Błagam, koniecznie dwóch!

„Nurt ambicjonalny” ma wymiar znacznie bardziej skomplikowany. Mit Wałęsy, jego symboliczne znaczenie — ten Wałęsa w fotosach i na okładkach, w kościuszkowskich rajdach po Polsce — w umysłach wielu członków Komisji Krajowej odbija się źle. To są wszystko duże indywidualności; nie ma miernot, nie ma zer, nie ma tych, którzy by się chcieli owijać wokół kogoś jak bluszcz — i których krótko mówiąc, wysoce drażni ten rumor wokół osoby ich przywódcy.

Na sali dzieje się coś, co na nas, dziennikarzy, działa ożywczo jak tlen: normalne starcie — gdzie białe znaczy białe, a czarne czarne; gdzie z mowy-trawy nie trzeba wyławiać sensu między wierszami; gdzie ludzie mówią do siebie wprost, nie uciekając się do złowieszczej w swej anonimowości formy bezosobowej.

Bydgoszcz do Wałęsy: — „To ty nas tu jak chłopców w krótkich spodenkach traktujesz — (bo przedtem była mowa,

że władza zachowuje się niepoważnie). Tu się zbiera blisko setka ludzi, debatuje trzy godziny, podejmuje uchwałę... — Więc co to za pokątne rozmowy?

Wałęsa: — Człowieku, efektów pracy się podjęliśmy, uwolnić człowieka. I to natychmiast...

(Okrzyk: — Dwóch ludzi!)

Wałęsa: — ... Toż ty pajacujesz tylko, nic więcej...

Bydgoszcz: — Ty pajacujesz!

Katowice: — Uchwaliliśmy już dokument, klamka zapadła.

Panowie, zastanówmy się, co my z siebie robimy...

Sala: — Wniosek, konkretny wniosek!

Katowice: — Utrzymać formę naszego dokumentu bez zmian. Ani litery!

Lublin (pacyfikująco): — Myślę, że myśmy tutaj trochę się zmylili. Telefon ze strony Rządu do Przewodniczącego Wałęsy nie był odpowiedzią na nasze oświadczenie. Był natomiast odpowiedzią na stanowisko zajęte przez „Mazowsze”...

Głos z sali: — Czy my chcemy zażądać od „Mazowsza”, żeby ono odpowiedziało: „wszystko albo nic”? Nie, nie chcemy. Ja nie wyobrażam sobie, że jest ktoś na tej sali, kto uważa, że zacznie się strajk i ten strajk będzie trzymany tak długo, aż wszystkie sześć żądań „Mazowsza” zostanie spełnionych...

Wałęsa (spoglądając na zegarek): — Słuchajcie, ja muszę już iść dawać znać...

Ustalenie, z którym Wałęsa idzie do telefonu: „Krajowa Komisja Porozumiewawcza stoi na stanowisku, że rozłączenie sprawy aresztowania Jana Narożniaka od sprawy aresztowania Piotra Sapełły jest niesłuszne...”.

Okrzyk: — ... Jest nie do przyjęcia!

Teraz następuje głosowanie (z trzema głosami wstrzymującymi się) o poparcie wszystkich punktów „Mazowsza”, ale w trybie bezstrajkowym.

K o ś c i ó ł

Kwestionariusz przesłany przez „Encyclopeadia Britannica”
Wałęsa wypełni tak:

Nazwisko: Wałęsa.

Imię: Lech.

Miejsce urodzenia: Popowo, powiat Lipno.

Dokładna data urodzenia: 29.09.1943.

Wykształcenie: Zawodowe — elektromechanik.

Zainteresowania polityczne: Działalność na rzecz: poszanowania praworządności, obrony praw człowieka, obywatela, rewindykacja praw pracowniczych i społecznych narodu.

Ewentualne dalsze szczegóły z życia, które, Pańskim zdaniem, nie powinny być pominięte:

- wielokrotnie zatrzymywany przez policję polityczną,
- jeden z przywódców strajków 1970, 76,
- przywódca strajku 1980.

Dumnie powiedziane. Na Gdańskiej Starówce, u Dominikanów, w wielkim, mrocznym kościele pod wezwaniem Świętego Mikołaja, gdy staje na tle ołtarza w blasku świec, mówi bardzo cicho: — Nie wiem, czy potrafię, czuję się tu taki małuski (gest ręką).

Najpierw wprowadzenie o sytuacji, potem pytania. Powraca sprawa stosunku do strajków: „My tego nigdy nie chcieliśmy i nie chcemy”.

O winnych: Potrafmy sobie trochę wybaczyć. Każdy ma jakąś winę, jak mógł brać, brał, przepisy były złe. Te fotele...

O kartkach: Że byli zaproszeni na dyskusję na ten temat. Kartki ratują twarz w małych miasteczkach. Powiedzieliśmy sobie takie coś, oprócz kartek zrobi się hałas, chłop będzie mógł świniaka przywieźć, weterynarz będzie stał powyżej i na miejscu wszystko się dokona.

O historii: Było nas osiemnastu zapaleńców, którzy rzucili się na Polskę. Przewidywaliśmy, że zwyciężymy, ale nie tak mocno. Tak daleko nie sięgnęliśmy nawet myślami.

O ekspertach: Pierwszy etap był na ura, na krzyki. Potem powołaliśmy trzy grupy ekspertów. Jedną od Prymasa, drugą — pod przewodnictwem pana Mazowieckiego (sami doktorzy i docenci), trzecia — Kuroń. Żadna z tych grup nie będzie nam dyktować, ale musimy się oprzeć na ludziach mądrych.

O kontaktach z innymi związkami: Demokracja polega na tym, że każdy może mieć swoje zdanie. Niech radzą, może coś uradzą. Będą korzyści. Będziemy wchodzić... (Ani śladu porannego wzburzenia).

O kontaktach z innymi krajami: Nie ma kraju, który by nas nie zaprosił. Ale pojedą grupy kierunkowe. Chciałbym dołożyć, że Węgrzy nas też zaprosili.

— Czy wiedzieli wtedy, w sierpniu, że będzie strajk?

— Nie. Siedemdziesiąty rok przegryźliśmy dobrze, nie chcieliśmy na ura. Nam by pasowało może za dwa lata...

— Ilu zginęło?

Nie jest w stanie określić. „Komisja się zregeneruje po szesnastym, Heniek Lenarciaś tym przewodzi”. I jeszcze o recepcji w dniach uroczystości grudniowych. Że trzeba godnie, bez prowokacji, przyjąć gościnnie każdego gościa.

Jest dalej mowa o rolnictwie, o rzemiośle, jakaś pani ubolewa nad niedostatkiem dostępu kapłanów do więźniów.

— Proponuję, niech pani się tym zajmie, ja panią podeprę. Wszystko trzeba robić ale kto? Nas osiemnastu...?

O władzach wojewódzkich: Że idealnie się współpraca układa. „Jakby wojewodzie albo panu Sekretarzowi coś się działo, to my nie damy”.

O kapitalizmie. Że socjalizm lepszy, bo w kapitalizmie trzeba mieć 300 dolarów, żeby umrzeć.

O sobie: Że propozycji miał masę. „Gdyby nie wiara, to bym was sto razy sprzedał”.

— Czy był zamach na pańskie życie?

— Zamach to jest ten, że ja po trzy godziny na dobę śpię.

— Mówi, że dostawał pogróżki, szubienicę ze swoją głową, list od ojca-kombatanta o syna. „Ten pan pisze, że zachował z 39-go roku pistolet i teraz go na mnie wyjmie z szuflady”. I znów odwołanie się do wyroków Boskich, które mają tę siłę, że pognębiają strach.

Potem wszyscy hurmem biegniemy na górę po krętych schodach, Wałęsa niemal niesiony w białych powiewach dominikańskich habitów. Na górze niespodzianka: na wysokim podium czerwony rower ufundowany przez duszpastertwo akademickie.

Bo przewodniczący „Solidarności” nie ma samochodu. Ale ma tę wyższość nad ich posiadaczami, że nie posiadając żadnego, posiada ich wiele, bo gdzie tylko się obróci, czekają chętni, żeby go podwieźć. Więc z roweru pewnie skorzysta jego dziesięcioletni syn Bogdan (ten który chciał zmienić dyrektora)...

O b i a d

W dawnym pokoju Wałęsy nie ma już krzyża i palmy, jest plakat ze Starówką Gdańską i ozdobna księga wpisów z jednym

jedynym zawijasz po chińsku. No i jest tam „sekreтариат” z Bożenką (tą samą uduchowioną dziewczyną, która czyta modlitwę na filmie „Robotnicy 80”); sekretariat z telefonem, pocztą, telegramami i multum ludzi — ważnych i nieważnych — czekających na swoje pięć minut u Szefa.

Mój czas przypada na moment dramatyczny.

Dzwoni wojewoda. Wałęsa wypada ze swojego pokoju (bo u niego nie ma aparatu) i kłania się w telefon: „Moje uszanowanie szanownej pani...”. Krótka rozmowa, i do Bożenki: „Musimy lecieć, podstawiają helikopter czy samolot...”.

Już znów za swoim biurkiem (wzburzony): — Za poważnie wyskoczyli w tym „Mazowszu”. Tak nie można, za młodzi, nieobliczalni...

Znów mam niefart, bo wparowuje kilku młodych z Działu Propagandy. Chcą, żeby Szef przeczytał tekst do gazetki o poparciu dla „Mazowsza”.

Wałęsa (z furią): — Nie przeczytam, nie podpiszę, napisać raczej, że ubolewamy, że postavili Hutę na strajk. — I dalej swoje: — Nie przeczytam, nie popieram. Propagandyści wychodzą. Do mnie inaczej: — Ja tylko tak bez gniewu, żeby skończyć sprawę. Słucham.

Otwiera okno. Rozmawiamy w huku ulicy, w stukocie zatrząskiwanych szuflad (bo porządkuje przed drogą w napięciu, z myślami biegnącymi już gdzie indziej). Sama się potem dziwię, że tyle się jednak zmieściło w tych trzech minutach:

— Czy mógłby pan powiedzieć, co pan wczoraj robił?

— Nie, do tyłu się nie oglądam.

— Czy odpowiada panu funkcja „gaszenia pożarów”?

— Nie, z konieczności to robię. Wczoraj żeśmy się wypowiedzieli: nic bez nas, bez Komisji Krajowej. Ale ktoś nas nie słuchał, ktoś chodził na wolnego...

— Jak pan sobie wyobraża dzień Przewodniczącego w normalnych warunkach?

— Od godziny do godziny. Ściśle według harmonogramu...

— Co to znaczy „według harmonogramu”?

— Na określonych terminach, z wyprzedzeniem. Och, różne sprawy! Zresztą będą komórki i wszystko będzie rozkalkulowane. Dopięte. Niech będzie cztery godziny na rzeczy zaprogramowane i cztery na nieprzewidziane. Ale nie może być 24 godziny na dobę tych nieprzewidzianych.

— Jaka jest w chwili obecnej najbardziej paląca sprawa związkowa?

— Najbardziej paląca jest w tej chwili sprawa: skończyć z tymi żądaniami naokoło, z tym strajkowaniem...

— A potem?

— Potem bierzmy się za porządne wybory.

— A jak pana nie wybiorą?

— Tak mówiąc prawdę, to ja nie chcę być wybrany. Z tym, że nie mówię tego głośno, bo ktoś powie, że tchórzę.

— A jak pana nie wybiorą?

— Bardzo fajnie, wracam do roboty. Może nie tak bardzo do roboty, bo mam dużo zaproszeń, opłaconych zaproszeń, że sobie odpocznę, gdzieś może w Szwecji, może w Szwajcarii...

— A rodzina?

— To jest kłopot. Chłopcy w szkole. Tak, że właściwie o tym nie myślę, to jest niemożliwe. Ale w sumie chciałbym choć na miesiąc do sanatorium jechać, zapomnieć, płuca mam słabe, bronchit...

— Nachodzą pana w domu jak jakiego świętego, co to ma radę na wszystkie ludzkie krzywdy? Co robić?

— Są różne warianty rozwiązań. Ponieważ sam w życiu w różnych sytuacjach bywałem, bywałem i bez chleba, w związku z tym mam takie ludzkie podejście.

— Ale to niszczy pana jedyne minuty prywatności.

— Dlatego też nie wiem, jak z tego wyjść. W sumie, kazałem żonie napisać na drzwiach, że prywatne, przepraszam, ale urzęduję tylko tam i tam, a tu mam rodzinę. Żona ma napisać na kartce. Niech się gniewają. Muszę ten drastyczny krok zrobić. I tak ci wytrwalsi dojdą. Oczywiście, nie będę drzwi zamykał, jak zobaczę przez judasza kobietę z dzieckiem. Ale te głupie sprawy, tak jak było wczoraj. Gość trochę podпиты mówi, że teść tłucze mu szklanki. Na milicję nie pójdzie, a do mnie...

— Trzeba takich ludzi pędzić.

— To nie takie proste. Ale ja już nie wytrzymuję. Organizm nie panuje...

— A powiedział pan wczoraj, że życie bez kłopotów to nie życie.

Śmieje się: — No właśnie!

— Czy to prawda, że niektóre MKZ-ety urzędniczej i tracą kontakt z załogami?

— To jest prawda. Ponieważ nie mieli niektórzy doświadczenia, więc wciągnęli się w te różne komisje rozrachunkowe, w różne „łapaj złodzieja!”, i takie rzeczy.. I ja też już się trochę odłączyłem, ale na inny sposób. Ja zająłem się Polską z musu. Nie, ja nie lubię jeździć, strasznie nie lubię. Ale mnie wrzucono w to: jedź tam, bo tam czekają, bo ci nie wybaczą. Zostawiłem mój region, ale teraz już nie, niech się biją, idę po zakładach, nigdzie nie jadę.

— Właśnie pan jedzie.

— To jest sytuacja wyjątkowa. Żeby nie wbili klina, to ja muszę w te układy wejść.

— Mówią, że jest pan samotny.

— Jestem samotny. Taki urodziłem się i takim jestem.

— Cecha charakteru?

— Oczywiście.

— Dobrze panu z tym?

— Bardzo dobrze.

Bożenka w drzwiach. Wałęsa wstając: — Tak, tak, już idę.
— Do mnie? — Jesteśmy z Bożenką przyjaciółmi na śmierć i na życie.

W sekretariacie asystent wojewody, wytworny jak Anthony Eden, bardzo tu przy tym zadomowiony, zagarnia całą trójkę (Bożenkę, Wałęsę i Henia — opiekuna), prędzej, prędzej, samochód czeka, i na lotnisko.

Obiadu nie było.

Wieczór

Na piątym piętrze gdańskiej „Solidarności”, w bufecie (jedynym przytulnym w tym lokalu miejscu), a potem obok w restauracji „Newska”. O Wałęsie.

Optyka kogoś „zbliżonego do kół ekspertów”: Mazowiecki, Geremek. Tak się stało, że nagle przy nim znaleźli się ludzie naprawdę wybitni, w tym kraju coś znaczący. Nie umie ich ustawić w szyku. Może nie chce? Może. Dla niego ważny jest człowiek jako jednostka. Jeśli kogoś lubi, ceni, szanuje, to dla

niego samego, nie dla pozycji. Kompletny brak snobizmu. Tak samo będzie rozmawiał z Kanią co ze staruszką na ulicy.

Optyka rozgoryczonego: Odszedłem, bo się wkurzyłem. Lech w polityce personalnej jest kompletnie zielony. Na Grunwaldzką przychodzą ludzie zupełnie nieprawdopodobni. Różne niebieskie ptaki, które doszłusowały, gdy było już bezpiecznie, ludzie, którzy nigdy nigdzie nie pracowali, „Solidarność” jest dla nich prestiżową szansą. Niechby byli, ale wzięci w ryzy organizacyjne. A tymczasem powstaje sytuacja paradoksalna, taka dla której się strajkowało. W mini-skali, oczywiście. Teraz powiem rzecz bardzo niepopularną, ale upoważnia mnie do tego fakt, że Lech jest mi bliskim człowiekiem: Organizacja na Grunwaldzkiej byłaby sprawniejsza bez niego. On jest bezradny wobec ludzi.

— Przecież nie jest naiwny?

— Ale za miękkiego. Każdy przychodzi ze swoim „podpisz”, i on podpisuje.

— Trudno powiedzieć „zasłużonej sile”: Pani jest głupia, dość...

— Nie musiałby. Ale trzeba zrobić tak: przygotować schemat organizacyjny zapięty na ostatni guzik, porwać go na godzinę do jakiejś twierdzy, zamknąć się z nim na głucho, niech się skoncentruje, przeczyta, pomyśli i da pełnomocnictwo. Kieruje najliczebniejszym na świecie związkiem zawodowym. Musi mieć przy sobie takiego Richelieu.

Optyka sekretarki: Nie umie odpoczywać. Pierwszego dnia w sanatorium umarłby z nudów. Mieliliśmy kiedyś w Warszawie kilka godzin luki. „Dawaj papiery, odrobimy zaległe, mówi. Nie wzięłam papierów. „No to dawaj adres tej pani z pierścieniem...”. (Pewna pani chciała wręczyć rodowy klejnot dla „Solidarności” wyłącznie Lechowi, ale nigdy nie było czasu). Nie wzięłam adresu, mówię. „Jak to nie wzięłaś? Przeszukał mi wszystkie notesy i znalazł. Potwornie punktualny. Nie rozumie, jak się można spóźnić do pracy. Jak mu powiedziałam, że nie słyszałam budzika, powtarzał przez pięć minut: „nie rozumiem, nie rozumiem...”. Grozi, że będzie sprawdzał obecność po pokojach, ale tego nie robi, nie jest typem biurokraty.

Optyka „stałego obserwatora”. Wobec tłumu jak ryba w wodzie, znakomity. W strajku niezastąpiony, w sytuacjach podbramkowych, kiedy już, już wszystko wisi na włosku, wyprowadza z impasu. Jak np. w czasie rozmów u premiera Pińkowskiego. Język indywidualny, nie dający się podrobić, ktoś by powiedział „pod publiczkę”, ale po analizie okazuje się, że

adekwatny do sytuacji. On musi działać na takim rozhuście, żeby niemożliwe uczynić możliwym. I to robi.

Dzień Lecha W. miał czterdzieści godzin. Jak to u niego: niemożliwe stało się możliwym.

Ewa BERBERYUSZ

współpraca

Krzysztof SZYMBORSKI

(Tygodnik Powszechny, 21-28 grudnia 1980)

Jacek SUSUŁ

GDAŃSK, 16 GRUDNIA 1980

Wznoszą się w niebo trzy krzyże z przybitymi kotwicami-nadziejami. Rzeźby na swoich miejscach. W okręgu znicza u stóp Pomnika widać potężne kurki czekające na odkręcenie i zapalenie gazu. „Mała architektura”, stanowiąca bezpośrednie otoczenie monumentu, już gotowa. Z Andrzejem Stolarczykiem, uzbrojonym w aparat, lustrujemy pośpiesznie teren, przedostawszy się przez bariery z żelaznych rur i kordony stoczniovców w żółtych hełmach, którzy bronią wstępu tłumowi zaciekawionych, a nas jakoś wpuszczają po okazaniu „Tygodnikowej” legitymacji. „Tylko na małą chwilę” — mówią. Wchodzimy i uwagę naszą przykuwa od razu nowy, przedtem nie widziany element: „tło” pomnika, kilkudziesięciometrowy mur z betonu, przerwany mniej więcej w dwóch trzecich długości czarnym marmurowym „ekranem”, na którym u samej góry widnieje ostatnie zdanie z kazania Jana Pawła II na Placu Zwycięstwa w Warszawie: „*Niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi. Amen*”. Tuż pod cytatem papieskim czytamy: „*Oddali życie, abyś ty mógł żyć godnie*”. Na samym dole „ekranu” trzy słowa: „*Cześć ich pamięci*”. Prawie cała powierzchnia — pusta, bez nazwisk — przemawia tylko żałobną czernią. Na prawej części betonowego muru gigantycznych rozmiarów cytaty (litery odlane w brązie) z 29 psalmu Dawidowego w przekładzie Czesława Miłosza: „*Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju*”. O mur oparte liczne wieńce, czekające na złożenie u stóp

Pomnika w czasie popołudniowej uroczystości. Po lewej stronie muru — niespodzianka, nie przewidywana przez nikogo w projekcie: skromnych rozmiarów tablica odlana w jasnożółtym metalu (chyba mosiądz). Otwiera ją jedno tylko zdanie Stefana Żeromskiego: „... I POWIAŁ WIATR OD MORZA”. Pod cytatem na pół abstrakcyjny relief, przypominający wzburzone fale morskie. U dołu napis: „W HOŁDZIE POLEGŁYM STOCZNIOWCOM — ROBOTNICY OSTROWCA ŚWIĘTO-KRZYSKIEGO. GRUDZIEŃ 1980”. I słowa Żeromskiego, i fakt, że tablicę przywieziono z rodzinnych stron pisarza, i że wmurowano ją właśnie tutaj — to wszystko nie powinno uchodzić uwagi nikogo, kto kiedykolwiek będzie zwiedzał teren Pomnika.



Na trybunę prasową przyprowadzają nas na trzy godziny przed uroczystością przy słusznym przewidywaniu, że później osiągnięcie trybuny będzie niemożliwe, co też się niedługo potwierdza. Pogoda jest sztormowa. Co chwila nawiedza nas przywiana gwałtownym wiatrem zimna, zacinająca niemal poziomo siąpiawica drobnego deszczu. Naprzeciw nas, u stóp Pomnika, niewielka trybuna, a na niej prosty drewniany ołtarz, przepasany ukośnie białą-czerwoną flagą. Obok ołtarza mównica. Na placu przed Pomnikiem i na ulicach doprowadzających, przed dwiema-trzema godzinami dość gęsto zaludnionych, z chwili na chwilę narasta tłok i ludzie stoją już głowa przy głowie. Stoczniovcy w żółtych kaskach utrzymują wzorowy porządek, tworzą szpalery, przez które przedostają się ku Pomnikowi delegacje zakładów pracy z całego kraju z wieńcami i goście z osobnymi zaproszeniami. Przybywają zwarcie uformowane oddziały górników w galowych mundurach, z pocztami sztandarowymi na czele i z orkiestrami. Nad jedną z górniczych grup powiewa gigantyczny transparent z napisem „Solidarność”. Same tylko stroje górnicze — jedyne wyróżniające się w „cywilnie” odzianym tłumie — dają wyobrażenie, jak wielki udział ma w uroczystości sam tylko Śląsk. Górniczych pocztów sztandarowych doliczamy się (z pewnością niedokładnie) ponad pięćdziesiąt. Kolega-dziennikarz z miejscowej prasy ten liczny udział Śląska komentuje z zachwytem i nieukrywanym wzruszeniem. Idzie bowiem nie tylko o to, że w sytuacji kraju, jaka powstała latem i jesienią 1980, uległ przełamaniu czy też radykalnemu uchyleniu nie zawsze dobrze w innych dzielnicach Polski widziany, ale też nie zawsze dobrze rozumiany „sepa-

ratyzm” Ślązaków. Idzie o coś więcej. W sytuacji strajkowej, wymagającej jedności i solidarności postaw ludzi pracy, docho-
dziło w wypadku konkretnych żądań, postulatów i planowanych
działań do różnic zdań, a nawet do momentów ostrego sporu
między przedstawicielami Śląska i innych regionów. I jakkolwiek
sytuacje sporne zostały przewyciężone i w drodze dyskusji roz-
wiązane, a jedność zachowana, można było podejrzewać, że wy-
niesione z tych rozmów i sporów bodaj drobne ślady zakomplek-
szeń i osobistych urazów mogą spowodować, iż Ślązacy 16 grud-
nia nie dopiszą na miarę oczekiwań. A jednak są, i to w tak
wielkiej gromadzie. Kolega-dziennikarz widzi w tym coś więcej
niż wyraz szlachetnej potrzeby doraźnego zamanifestowania jed-
ności moralnej w obliczu Pomnika, który symbolizuje tragedię
grudnia 1970. Jego zdaniem jest to objaw, że Polska rośnie
w jedność „od dołu” i „po swojemu”, powodowana tyleż naka-
zami moralnymi, co doświadczeniami historii, i że jest to proces,
który nie zaczyna się akurat tutaj i teraz.

Dochodzi piąta. Oświetlony nagle setkami jupiterów, z tła
ciemności wyłania się Pomnik — strzelająca w niebo srebrzysta
zjawia trzech krzyży. Nie zauważyliśmy, że na jeden z krzyży,
niby na maszt, wciągnięto sięgającą połowy jego wysokości szarfę
o barwach narodowych, która łopocąc na wietrze pełni teraz
symboliczną rolę zasłony monumentu. Wzdłuż ulic zbiegających
się na placu przed drugą bramą Stoczni, pada oślepiająca jasność
z gigantycznych reflektorów wojskowych, umieszczonych daleko
w tyle. Oświeca ona głowy zbitego tłumu, o którym to tylko
można powiedzieć, że jest rzeczywiście nieprzeliczony. Światło
pada na mównicę przy ołtarzu. Wchodzi na nią Henryk Lenar-
ciak, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika.
Wita delegację polityczno-państwową z przewodniczącym Rady
Państwa prof. Henrykiem Jabłońskim na czele. Wita delegację
Episkopatu Polski pod przewodem Metropolity Krakowskiego,
ks. kard. Franciszka Macharskiego. Wita reprezentację „Solidar-
ności” z Lechem Wałęsą. Wita przedstawicieli korpusu dypl-
matycznego. Rozlegają się oklaski przy niektórych nazwiskach.
W delegacji władz państwowo-politycznych tłum szczególnie
żywo oklaskuje dowódcę Marynarki Wojennej, admirała Ludwika
Janczyszyna (z powodów, o których może kiedyś opowie historia
wydarzeń w Trójmieście R.P. 1980). Dowódca kompanii hono-
rowej składa raport Przewodniczącemu Rady Państwa. Goście
zasiadają w pierwszym rzędzie krzeseł wokół Pomnika.



Rozpoczyna się właściwa uroczystość odsłonięcia. Otwiera ją — przy wprost przeraźliwym milczeniu tłumów — żałobne wycie syren okrętowych, przemieszane z oddalonymi dźwiękami dzwonów we wszystkich kościołach Gdańska. Kiedy milknie głos ostatniej, jakby zagubionej syreny, rozlega się chór alny śpiew „Roty”. Wielu z nas ma łzy w oczach (nawet te scyniczające wygi dziennikarskie), choć niejedno co młodszy utyka w śpiewaniu po pierwszej lub — w najlepszym wypadku — po przedostatniej zwrotce, bo w szkołach powojennych całe j „Roty” ani czytać, ani śpiewać jakoś nas nie nauczono. Jakby na przedłużeniu „Roty” i jej nastroju słyszymy z głośników nowy utwór Krzysztofa Pendereckiego (kompozytor z małżonką jest wśród zebranych) — „Lacrimosa” na orkiestrę symfoniczną, chór mieszany i sopran, skomponowany specjalnie na tę dzisiejszą okazję.

I oto Apel Poległych. Na mównicy przy ołtarzu staje Daniel Olbrychski i recytuje 11 psalm Dawidowy (prawie cały) w przekładzie Czesława Miłosza. W uciszone tłumy uderzają pełne bólu i nadziei słowa:

„Schroniłem się w Panu. A wy mówicie duszy mojej: 'Leć jak ptak w swoje góry'.

Gdyż oto nieprawi napięli łuk, założyli strzałę na cięciwę, aby ugodzić w ciemności prawych sercem.

Kiedy zburzone są fundamenty, co może zdziałać sprawiedliwy?

Pan w swoim przybytku świętości, Pan, którego tron w niebie, oczy Jego widzą, powieki jego badają synów ludzkich.

Pan doświadcza sprawiedliwego, a nieprawego i kochającego zbrodnie dusza Jego nienawidzi.

Bo sprawiedliwy jest Pan, sprawiedliwość miłuje, prawi sercem będą widzieć oblicze Jego”.

Głos Olbrychskiego z żarliwej modlitewnej jakby-inkantacji przechodzi w ton żołnierski, surowy, w ton wezwania-rozkazu:

„Wzywamy was, wszyscy polegli w Gdańsku! Wzywam: Brunona Drywę, Apolinarego Formelę, Zygmunta Glinieckiego, Zbigniewa Godlewskiego, Jana Kałużnego, Jerzego Kuchcika, Stanisława Lewandowskiego, Jerzego Matelskiego, Stefana Mosiewicza, Zbigniewa Nastęgo, Józefa Pawłowskiego, Andrzeja Perzyńskiego, Ludwika Piernickiego, Jana Polechońskiego, Zygmunta Polito, Waldemara Rebibina, Tadeusza Sawicza, Stanisława Sieradzana, Jerzego Skonieczkę, Kazimierza Stojckiego, Bogdana Sypkę, Józefa Widerlika, Zbigniewa Wycichowskiego, Mariana Wójcika, Waldemara Zajczonko, Kazimierza Zastawnego, Janusza Żebrowskiego”.

Po każdym nazwisku chór gromkim *staccato* odkrzykuje trzema słowami-sylabami: „*Jest — wśród — nas!*”. Olbrychski dopowiada tym samym tonem: „*Wzywamy wszystkich poległych, których nazwiska są nieznane, lecz ich ofiara nie pozostała daremna. Wzywamy Was do apelu!*”. I znów trzy słowa-salwy chóru: „*Są — wśród — nas!*” Apel kończy się cytatem z orędzia Prymasa Polski na Boże Narodzenie 1980: „*Umiłowanie ludzi i ziemi, czerpane z serca i myśli Stworzyciela człowieka, może uchronić oblicze ziemi od zniszczenia, może zatrzeć Kainowe ślady, przewyciężyć nienawiść i zło myśli ludzkich, może napętnić je Duchem twórczego pokoju*”. Trzykrotnie powtórzone słowo „może” zostało w celnej interpretacji Olbrychskiego ze szczególną mocą wyakcentowane (co zaznaczam tu drukiem rozstrzelonym).

Aktor-Przodownik obrzędu wzywa wszystkich do uczczenia poległych minutą ciszy. Po czym kończy Apel Poległych cytatem z psalmu 29, umieszczonym na betonowym murze w tle Pomnika:

„*Pan d a siłę swojemu ludowi, Pan d a swojemu ludowi błogostawieństwo pokoju*”. Nacisk położony na słowie „da” nakazuje nam odbiór tego wersentu w niezłomności wiary i nadziei.

Następuje moment symbolicznego odsłonięcia Pomnika. Przedstawiciele Rodzin ofiar Grudnia 1970, Tadeusz Nastały, Jan Łopata, Lech Widerlik, Ewa Ostrowska i Janina Tarczewska, podchodzą do łopocącej biało-czerwonej szarfy. Tadeusz Nastały dokonuje aktu jej przecięcia. Szarfa opada. Z kolei Lech Wałęsa z przygotowanym zapalnikiem podchodzi do znicza — symbolu życia — i zapala go. Następnie wchodzi na mównicę i wygłasza w sposób prosty, antyretoryczny, z usprawiedliwionymi w takie sytuacji zahamowaniami i drobnymi omyłkami swe krótkie przemówienie. Odnotowuję z niego tylko dwa zdania. Ich zwięzła wymowa wystarczy nie tylko za całość werbalną wystąpienia, ale musi wystarczyć za całość tragicznej historii, której dotyczy. Wałęsa mówi już na samym początku:

„**DZIEŃ DZISIEJSZY POWINIEN BYĆ DNIEM MILCZENIA I ZADUMY. POMNIK JEST TREŚCIĄ PYTANIA I ODPOWIEDZI**”.

Po Lechu Wałęsie przemawia z tej samej mównicy I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, dr Tadeusz Fiszbach.

Kolej na symboliczne złożenie trzech wieńców przed czarnym „ekranem” za Pomnikiem. Składają je: przedstawiciele Rodzin poległych, delegacja polityczno-państwowa z prof. Henry-

kiem Jabłońskim oraz trzech delegatów „Solidarności”. Olbrzymie koliska wieńców niosą uczniowie miejscowych szkół przemysłu okrętowego. Dołącza jeszcze kilka delegacji z wieńcami. Wspólnym odśpiewaniem hymnu „Boże coś Polskę” kończy się ceremonia odsłonięcia Pomnika.



Następuje Msza św., którą ks. kard. Franciszek Macharski odprawia w intencji naszej Ojczyzny. Rozpoczyna ją chóralne odśpiewanie „Bogurodzicy”. Po znaku krzyża otwierającym liturgię ks. bp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu Polski, odczytuje telegram Ojca Świętego Jana Pawła II, skierowany na ręce ordynariusza diecezji gdańskiej, ks. bpa dra Lecha Kaczmarka, wysłany z Watykanu 14 grudnia o godz. 15-tej:

„Odpowiadając na szczególną prośbę Biskupa Gdańskiego i mieszkańców Wybrzeża, łączę się w dniu dzisiejszym z Wami, Drodzy Bracia i Siostry, przy pomniku, który przypomina tragiczne wydarzenia sprzed lat dziesięciu i każe nam myśleć o wszystkich, którzy wówczas ponieśli śmierć. Polecam ich miłosierdziu Ojca Przedwiecznego, dziękując Bogu za to, że tego-roczne wydarzenia na Wybrzeżu miały przebieg całkowicie inny. Proszę Go, aby moim Rodakom dał wszystkie siły potrzebne do budowania w spokoju i wzajemnym poszanowaniu wspólnego dobra umiłowanej Ojczyzny. Jan Paweł II, Papież”.

Z kolei ks. bp Dąbrowski odczytuje list ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski, skierowany do Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku:

„Znakiem potrójnego krzyża chcieliście upamiętnić, Umiłowaniu Stoczniovcy i Obywatele Trójmiasta, miejsce bolesnej tragedii, która przed dziesięciu laty skrwawiła bruki Gdańska i Gdyni. Ten znak krzyża Chrystusowego jest zarazem znakiem pojednania, przebaczenia i pokoju, którego tak gorąco pragniemy dla naszej wspólnej i jedynej Ojczyzny.

Wszyscy to wiemy, że drogą do pokoju jest sprawiedliwość, fundament pokojowego życia i współpracy wszystkich warstw narodu. Prawda w miłości, pokój w sprawiedliwości budzą zaufanie, poczucie odpowiedzialności i obowiązkowości — tych niezbędnych warunków zdrowego życia społecznego i narodowego. Niech znak potrójnego krzyża będzie natchnieniem w pracy i w ofierze. Błogosławię te krzyże i ramiona, które je wzniosły, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”.

Po telegramie Ojca Świętego i liście Prymasa Polski rozwija

się akcja liturgii mszalnej. Na Lekcję podchodzi do mównicy przedstawiciel stoczniovców i czyta zebrany — wszystkim zebrany — fragment pierwszego Listu św. Jana Apostoła:

„Taka bowiem jest wola Boża, którą objawiono nam od początku, abyśmy się wzajemnie miłowali. Nie tak, jak Kain, który był pod wpływem Złego, i zabił swego brata. A dlaczego zabił? Ponieważ czyny jego były złe, brata zaś sprawiedliwe. Nie dziwiecie się, bracia, jeśli świat was nienawidzi. My wiemy, że przeszliśmy z śmierci do życia, bo miłujemy braci, kto zaś nie miłuje, trwa w śmierci. Każdy, kto nienawidzi swego brata, jest zabójcą, wiecie przecież, że żaden zabójca nie ma w sobie trwającego życia wiecznego. Po tym poznaliśmy miłość Boga, że On oddał za nas swoje życie i my winniśmy oddać życie za braci. Jesliby ktoś posiadał majątność tego świata i wiedział, że brat jego cierpi niedostatek, a zamykał przed nim swe serce, jak może trwać w nim miłość Boża? Dzieteczki, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą” (I J 3, 11-18).

Kolejny stoczniovec recytuje przepełniony apokaliptyczną niemal wizyjnością 29 psalm Dawidowy w przekładzie Czesława Miłosza:

„Oddawajcie Panu, synowie Boży, oddawajcie Panu chwałę i cześć...

Po śpiewie Alleluja ksiądz odczytuje ewangeliczny tekst św. Jana, fragment pożegnalnej mowy Chrystusa w Wieczerniku.

Kazanie wygłasza ks. bp dr Lech Kaczmarek, ordynariusz gdański, i kończy je potrójnym zawołaniem modlitewnym: *„Wieczny odpoczynek racz im dać Panie”*.

Następują dwa najbardziej chyba poruszające momenty dzisiejszej uroczystości. Pierwszy z nich to poświęcenie Pomnika — obrzęd, który włącza to dzieło w poczet obiektów sakralnych, wymagających należącego uszanowania. Celebrans odczytuje modlitewną formułę poświęcenia: *„Wszchemogący wieczny Boże, Ty zesłałeś na świat jedynego Syna swojego, Jezusa Chrystusa, aby przez swoją mękę, wywyższony na krzyżu, wszystkich przyciągnął do siebie. Prosimy Cię, pobłogosław i uświęć ten pomnik, znak zbawczej śmierci Twojego Syna i pamiątkę śmierci odkupionych dzieci Twoich, poległych przed dziesięciu laty. Spraw, niech stanie się on znakiem nadziei i wiary, znakiem miłości i przebaczenia, znakiem jedności i solidarności wszystkich, którzy ufają Twojemu ojcowskiemu miłosierdziu, przez Chrystusa Pana naszego. Amen”*. Po tych słowach celebrans, obchodząc Pomnik, skrapia go wodą święconą.

Przed ołtarzem melduje się robotniczy poczet ze sztandarem

„Solidarności” — do poświęcenia. Sztandar przedstawia (widziane z daleka) z jednej strony wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej na biało-niebieskim tle, z drugiej Orła Polskiego na tle biało-czerwonym. Napisów na sztandarze nie da się odczytać. Słyszymy słowa modlitwy: *„Panie Jezu Chryste, Ty przez swoją zbawczą śmierć pojednałeś odkupione dzieci Boże z Ojcem Przedwiecznym i w arcykapłańskiej modlitwie prosisz, aby wszyscy stanowili jedno i wzajemnie się miłowali. Prosimy Cię, pobłogosław ten sztandar i uczyn go znakiem jedności i solidarności. Obdarz swoją łaską również wszystkich, którzy w tym znaku szukać będą natchnienia dla budowania i umacniania Twojego królestwa sprawiedliwości, miłości i pokoju. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków. Amen”*. Kardynał Macharski poświęca sztandar, po czym ujmuje go za brzeg, pochyla się i oddaje mu cześć kornym pocałunkiem.

Po obrzędach poświęcenia następuje modlitwa wiernych. Do mównicy podchodzą po kolei stoczniovcy w roboczych strojach i modlą się z całą wspólnotą za Papieża Jana Pawła II, za Kościół w naszej Ojczyźnie, za Prymasa Polski, za Kardynała Franciszka i Biskupa Lecha, za biskupów i kapłanów. Padają słowa modlitwy za przywódców naszego narodu, *„aby z mądrością, odwagą i roztropnością rozstrzygali wszystkie sprawy, służąc prawdzie i dobru tych, którzy przez swoją pracę służą Ojczyźnie”*. W nawiązaniu do prawdy, że *„Polska jest krajem broniącym zawsze pokoju, wolności i wolności innych narodów”* pada wezwanie do modlitwy *„za wszystkich robotników, naukowców i twórców kultury, aby mogli cieszyć się pełnią godności, jaka przystoi osobie ludzkiej”*. I jeszcze te modlitewne słowa: *„Polska została zroszona krwią męczenników i bohaterów. Módlmy się za robotników poległych w wypadkach grudniowych, aby ich imiona były zapisane w księdze życia”*.

W czasie Ofiarowania gdański Chór im. Stanisława Moniuszki (założony w 1919 roku, w okresie międzywojennym wielce zasłużony w podnoszeniu ducha Polonii gdańskiej, działający do dziś) śpiewa pod dyрекcją Jacka Romanowicza pieśń o niezwykle prostej i zarazem głęboko przejmującej melodii — pieśń, o której dowiedziałem się, że jej tytuł brzmi: *„Suplikacje Stoczniovców”*. Przejęty melodią (o której *nota bene* wyraził się z wysokim uznaniem Krzysztof Penderecki), a nie mogąc dosłyszeć słów, postanowiłem je zdobyć i zdobyłem je dzięki uprzejmości dyrygenta chóru, Pana Romanowicza — przez telefon. Myślę, że warto je przytoczyć:

*Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, Ojczy-
[Miłosierny,
My, Gdańscy Stoczniovcy, którym trud nie obcy,
Spoglądamy w Twoją dłoń, łaskę spragnieni łowcy.
Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, Ojczy-
[Miłosierny.*

*Wejrzyj na nas z nieba, bo dziś nam potrzeba
Twego wsparcia, jak co dnia, powszedniego chleba.
Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, Ojczy-
[Miłosierny.*

*Drogą wiedz odnowy, pod Krzyż Chrystusowy
Umęczony, wierny lud, prawy Szczep Piastowy.*

Twórcą tekstu i muzyki jest osiadły w latach powojennych w Gdyni dawny absolwent Konserwatorium Warszawskiego, kompozytor Adolf Adam Wiktorski. „*Suplikacje Stoczniovców*” wysnuły mu się w czasie wystawiania pod Stoczną w Gdyni, w dniach sierpniowego strajku 1980. Tekstu nutowego jeszcze nie zdobyłem.

Po Komunii św. wszyscy zebrani przed Pomnikiem odmawiają ogłoszoną niedawno przez Episkopat „Modlitwę za Ojczyznę”. Ks. Kard. Macharski udziela błogosławieństwa. I znów śpiew: „My chcemy Boga”. I ostatni akord uroczystości: nasz Hymn Narodowy.

Do Pomnika przeciskając się przez napierający tłum, płynie (widać to dobrze z trybuny) prawdziwa rzeka wieńców, bukietów i wiązanek kwiatów, niesionych nad głowami z powodu tłoku. Tych wieńców, bukietów i wiązanek ilość jest nieprzeliczona. W dniu następnym dowiem się od ludzi kompetentnych, że sama ilość szarf u wieńców wynosiła ponad dwa tysiące.

I na tym koniec sprawozdania.



Historia roku 1970 znalazła przejmujący wyraz, ale już nie- jako na peryferiach głównych uroczystości — w postaci wystawy „Zapis 1980”, urządzonej na Długim Targu w Gdańsku i w Domu Kolejarza w Gdyni (wstrząsające fotogramy, reprodukcje dokumentów oraz artykułów, przemówień i komentarzy umieszczonych wówczas w prasie, nagrania). Jeśli w czasie uroczystości jakiegokolwiek słowa, przynajmniej do mnie osobiście, przemówiły, to były to słowa kierowane przez ludzi nie do ludzi, lecz do Boga, i słowa Boga kierowane do ludzi — prawda słów Pisma

św. Zabrakło mi w Gdańsku pod Stoczną szerokiego kontekstu prawdy historycznej i wiarygodnych jej ocen. Gdyż to byłaby dopiero „katharsis” tamtej tragedii. W jakiejś mierze — ale tylko w jakiejś mierze — rolę „katharsis” pełni Pomnik, jego wyrażona w symbolach prawda.

Jacek SUSUŁ

(*Tygodnik Powszechny*, 11 stycznia 1981)

Barbara W. OLSZEWSKA

WYBORY

Środa, 7 stycznia — Rejon Budowy Dróg i Mostów w Mińsku Mazowieckim. 425 pracowników, w „Solidarności” — 196. Od 7-ej rano urzęduje w zakładowej świetlicy komisja wyborcza. Na stole prezydialnym (sukno w kolorze bordo) — poezja wyborcza, wiersz pt. „Pojednanie narodu, partii, 'Solidarności'” podpisany pseudonimem Znicz. Przed stołem urna. Wyżej, na ścianie biało-czerwone emblematy i krzyż. Kierowca Jerzy Wróblewski, który wraz z brygadzystą Maciosiem zajmował się dekoracją sali, narzeka, że nie zdążył go porządnie zabejcować, bo w sprawie wykonania krzyża musiał składać do dyrekcji pismo na dziennik podawczy. Nie tylko to zresztą zajęło mu sporo czasu — w dni poprzedzające wybory trzeba było obsługiwać zebrania w grupach robót podległych przedsiębiorstwu i rozrzuconych po całym kraju. Typowano tam kandydatów, z których dziś wyłoni się ścisła czołówka. Pierwszy stopień głosowania przeszedł bez zakłóceń, z wyjątkiem może wyborów w dziale gospodarki sprzętem transportu, gdzie był chaos i na liście kandydatów znalazła się osoba całkiem przypadkowa. Jest nadzieja, że przypadnie w dzisiejszym głosowaniu.

Na tablicy ogłoszeń — ślady walki przedwyborczej. Obok napisu „Solidarność” przekreślonego długopisem ktoś napisał: „Samozwańcy”. Pod tym komentarz: „Korespondencję z nami prosimy prowadzić na sąsiedniej tablicy, podpisując się”. Niżej ogłoszenie, że zebrania na temat przystępowania do „Solidar-

ności” pracowników tutejszego Rejonu nie mogą być prowadzone przez działaczy Związku Zawodowego Transportowców. Jeszcze niżej — lista kandydatów do komisji zakładowej „Solidarności”, z której będą dziś wybierać 20 nazwisk, połowa umysłowych, połowa fizycznych. Ma być wybranych czterech.

Władze związkowe regionu „Mazowsze” nie zdążyły wypracować jednolitej ordynacji wyborczej dla wszystkich członków. Otrzymali oni jedynie ramowy regulamin wyboru władz i delegatów, w oparciu o który układają sposób przeprowadzania wyborów odpowiadający specyfice swoich zakładów pracy. W Mińsku wykorzystano, z pewnymi modyfikacjami, regulamin wyborczy zredagowany niegdyś przez związek zawodowy kolejarzy. Inż. Witan i kierowca Wróblewski siedzieli nad nim do trzeciego rano, by „nie można było znaleźć żadnego haczyka na „Solidarność” i by wszystko przebiegało jak najprościej”.

— *Zastosowaliśmy system włoski tzw. białej kartki — objaśniają. — Każdy wyborca otrzymuje czystą kartkę do głosowania, na której wolno mu napisać cztery nazwiska kandydatów, podkreślając osobę wytypowaną na przewodniczącego zakładowej komisji związkowej.*

Dyrekcja (!) sugerowała dwa warianty wyborcze: zebranie ogólne wszystkich członków w sali miejscowego kina i głosowanie bezpośrednie, jednostopniowe lub wybór delegatów obdarzonych mandatami wyborczymi i głosowanie pośrednie. Odrzucono oba. Dyr. Tułodziecki, który zjawia się w świetlicy, by oddać swój głos, broni nadal koncepcji wielkiego zebrania. — „Solidarność” — mówi — mogłaby wtedy zdać sprawozdanie z tego, co zrobiła, zaprezentować swoje stanowisko i mieć lepszy kontakt z załogą. Inż. Witan: — Po co odrywać ludzi od pracy? Zebranie ogólne stwarza bałagan i wiele niezręcznych sytuacji. Nie każdy ma odwagę publicznie kwestionować kandydata, nie chce się narażać. Wygodniej psychologicznie, gdy wyrazi swój pogląd na kartce. Wróblewski: — Bez spontaniczności, godnie i z powagą — to nasze hasło wyborcze. — Z czym wychodzicie do ludzi? — pytam. — Skutecznie zakwestionowaliśmy zasadność przydziału dla I sekretarza KM dwóch mieszkań w zakładowym bloku. Zebraliśmy fundusze na budowę kościoła i na materialną pomoc dla dziewięciu sierot. Wywalczyliśmy premię dla dozorców.

O godz. 11-tej oddali już swoje głosy ludzie z KGR w Mostach, Sokołowie Podlaskim, Stanisławowie i z tzw. Kubaturówki (pracownicy budowlani). Sprawnie spisał się Zarząd Biura Rejonu. O 16-tej jest już po wszystkim. Oddano 155 głosów.

Przewodniczącym zakładowej komisji związkowej zostaje inż. geodeta, 39 lat, partyjny, ten sam, który przewodniczył dotąd komitetowi założycielskiemu „Solidarności”. A oto skład pozostałej trójki: inspektor w dziale księgowości, 26 lat, bezpartyjny, kierowca, 37 lat i tokarz, 34 lata, obaj członkowie partii.



W Ministerstwie Łączności, gdzie „Solidarność” liczy 131 członków (ok. 30 % załogi) na zebraniu miał być minister Rudnicki, ale zachorował. Zastąpił go generał Kołatkowski, generalny dyrektor Resortu. Jest przedstawiciel NSZZ „Solidarności” Regionu Mazowsze. Tutaj wybory odbywać się będą według systemu francuskiego (ponoć w ten sposób wybierano generała de Gaulle’a): oddzielne głosowanie na przewodniczącego i oddzielne na członków komisji zakładowej. Liczba kandydatów do tej ostatniej jest nieograniczona, jednak, by się znaleźć na liście wyborczej, niezbędne jest poparcie przynajmniej 20 % ogółu obecnych na sali. Zamiast komisji mandatowej i komisji matki zostaje powołane czteroosobowe prezydium upoważnione do przeprowadzenia wyborów. Inne uproszczenie: nazwiska kandydatów zgłaszanych z sali opatrzone są cyframi, które zastępują ich nazwiska na kartkach do głosowania.

Rekomendują zgłaszający, potem kandydat mówi krótko o sobie i odpowiada na pytania z sali. Większość typowanych to długoletni pracownicy resortu, legitymujący się 25-letnim stażem pracy. Prawie każdy już w pierwszym zdaniu oświadcza, że należał lub nie do starych związków, ci, którzy nie należeli, otrzymują oklaski. Pierwsze pięć kandydatur przechodzi bez zastrzeżeń, przy szóstej z sali pada sprzeciw. — *Mam dwa pytania do kolegi* — mówi ktoś — *doszły mnie słuchy, że nie tak dawno jeszcze namawiał kolega ludzi, by nie wstępowali do nowego związku. Czym tłumaczyć tak nagłą zmianę frontu? Pytanie drugie: czy praca kolegi jako lektora KW nie będzie kolidowała z jego obowiązkami w „Solidarności”?* Indagowany deklaruje swoją lojalność wobec związku, określając siebie jako człowieka opowiadającego się już od dawna za odnową życia w partii. Głos z sali: *Czy kolega nie próbuje rozgrywać na płaszczyźnie związkowej swoich osobistych interesów? Czym tłumaczyć zredagowanie pisma dyskwalifikującego przydatność zawodową naczelnika W. i podpisanie go w imieniu „Solidarności”?* Kandydat numer sześć przepada, głosuje za nim zaledwie siedem osób. Pełny aplauz sali zyskuje natomiast następny, członek od-

działowej egzekutywy. Zebrani nie mają też zastrzeżeń do sekretarza oddziałowej organizacji partyjnej, który jednak sam, z uwagi na nadmiar obowiązków, rezygnuje z kandydowania.

Przedstawiciel Biura Dyspozycyjnego Łączy Międzynarodowych, będącego częścią resortu, ale administracyjnie luźno z nim związanego, obawia się, że ich koło związkowe może nie mieć swego reprezentanta we władzach (sprawy podobnego typu będą się często powtarzać w instytucjach o piętrowych strukturach organizacyjnych: działy mniejsze boją się zostać zdominowane przez kolosy) i składa wnioski, by niejako automatycznie dokooptować go do składu komisji. — *Statut „Solidarności” mówi, że nikt nie może być wybierany automatycznie, co ma być protestem przeciw przeszłości* — wyjaśnia przewodniczący zebrania. Staje na tym, że Biuro wysunie swego kandydata i odbędzie się na niego regularne głosowanie.

Całe wybrane prezydium związku w ministerstwie jest bezpartyjne, w komisji jest czterech członków partii. Rozpiętość wieku — od 25-53 lat, przewaga czterdziestolatków.



Czwartek, 8 stycznia. W przedsiębiorstwie zapleczu technicznego „Transbud” w Warszawie (oddziały w całym kraju, razem 700 ludzi, w „Solidarności” — 365) do wyborów przymierzają się już po raz drugi. Pierwsze, skrzyknięte na 15 grudnia ub. roku do kina „W-Z” nie wyszły z powodu niskiej frekwencji oraz faktu, że kandydat zgłoszony na przewodniczącego zakładowej komisji nie ujawnił w porę, że jest zastępcą dowódcy w dzielnicowej ORMÓ. Ten punkt statutu „Solidarności”, który mówi o niewybieiranu do władz związku osób piastujących stanowiska kierownicze, budzi zresztą wszędzie wiele kontrowersji. O ile bowiem w dużych zakładach funkcje kierownicze są bardziej wyraziste, o tyle w małych bywają często bardziej formalne niż faktyczne. Ludzie główkują więc, jak wybrnąć z dylematu, kiedy kandydat jest kierownikiem i zarazem przyzwoitym człowiekiem, w ich odczuciu godnym zaufania.

Żeby uniknąć tych i podobnych błędów, komisja matka, która ukonstytuowała się po poprzednich wyborach, po zebraniu listy zgłoszonych na wszystkich wydziałach „Transbudu”, przeanalizowała szczegółowo nie tylko ich sytuację zawodową, ale i postawę moralną (jednym z kryteriów był stosunek do alkoholu). Dwie osoby zostały w ogóle wyrugowane z listy, trzeciej polecono zrzec się funkcji kierowniczej.

Zadbane o bufet wyborczy. O godz. 13-tej przedstawiciele Komitetu Założycielskiego „Solidarności” wtaczają do Domu Kultury na Obozowej skrzynki z „Cytronetą” i pączki. Wypada po dwa na osobę. Poczęstunek jest bezpłatny. O godz. 13.30 przybywa przedstawiciel związkowy z „Regionu Mazowsze” i ku rozpaczy komisji matki stwierdza, że przygotowała wybory niezgodnie z ordynacją. Jest bowiem tylko jedna zbiorcza lista kandydatów, a winny być trzy oddzielne, na przewodniczącego, komisję zakładową i komisję rewizyjną. „Rozstrzeli” to głosy i spowoduje galimatias. Podobne sytuacje będą się powtarzać i w innych przedsięwzięciach, w jednym, na przykład, chciano zgłaszać kandydatów spośród członków komisji skrutacyjnej. Janusz Kondrasiuk, który z ramienia regionalnych władz związku koordynuje całą akcję wyborczą, mówi, że nie starczyło czasu i możliwości, by poprzedzić ją szkoleniem, jak się to robi. Codziennie do siedziby związku na Szpitalnej zgłaszają się więc przedstawiciele z kół terenowych po informacje na ten temat. Pytają nawet, czego jestem świadkiem, czy można na wybory zaprosić reportera. — Jeśli sami go chcecie, to proszę bardzo. Jeśli nie macie życzenia a on by się wpychał — nie ma obowiązku go zapraszać — brzmi odpowiedź.

Za późno już na zasadnicze korekty: o godz. 14-tej autobusy zakładowe przywożą ludzi na zebranie. Sala wypełnia się szczelnie, część osób stoi na korytarzu. Ktoś w kuluarach proponuje, by zamknąć drzwi od domu kultury i otworzyć dopiero po zakończeniu głosowania. Wniosek nie przechodzi.

Na liście kandydatów jest 30 nazwisk. Jedna piąta zgłoszonych to członkowie partii, wszyscy należeli uprzednio do Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Przeważają fizycy: mistrz stacji obsługi, elektryk, ślusarz, monter, magazynier — razem 10 osób. Niektórzy wychodzą na przód, przed prezydium, by powiedzieć kilka słów o sobie. Ktoś z sali podnosi błędy formalne wyborczej procedury. Komisja matka się denerwuje, przewodniczący zebrania z trudem opanowuje tremę. Widać, że jest w „temacie wyborów” nowicjuszem.

— *Nie było czasu* — mówi mi blacharz Józef Pośpiech z komitetu założycielskiego — *na zgłębienie całej tej ordynacji. Przez ostatnie dwa miesiące mieliśmy ręce pełne roboty. Najpierw trzeba było zbierać pieniądze i odzież dla ofiar trzęsienia ziemi we Włoszech, potem zaprogramować i przepracować dodatkowe godziny. Zakład specjalizuje się w naprawach głównych*

samochodów typu „Tatra” dla całego resortu budownictwa. Dopiero pod koniec roku dostaliśmy do nich części zamienne i trzeba było dogonić plan. Mieliliśmy i mamy nadal zastrzeżenia do profilu naszego przedsiębiorstwa: albo niech to będzie zakład naprawczy, albo przedsiębiorstwo handlowe, a nie jak dotąd jedno i drugie. Dyskusje nad tym też zajęły sporo czasu. No i występowaliśmy jeszcze do dyrekcji w sprawie braków w zapleczu socjalnym, odzieży ochronnej, środków higieny osobistej, przestarzałych sanitariatów.

Dalsze prowadzenie wyborów, już znacznie sprawniejsze, przejmie przewodniczący komisji skrutacyjnej — główny księgowy przedsiębiorstwa. Tłumaczy co i jak skreślać. Przerwa. Z sali zostaje dyskretnie usunięty osobnik będący pod wpływem alkoholu. Wyborcy zajądają pączki i popijają cyronetą. Rozmowa w kuluarach: — *Dlaczego na liście aż tylu robotników? Bo oni inteligencji nie uważają za ludzi. Ee, to dlaczego dla umysłowych załatwili gacie przydziałowe, a dla nas tych po 60 złotych nie mogli?* — Czym się te wybory różnią od poprzednich, w starym związku — pytam dwie panie z drugiego rzędu. — *Wtedy lista kandydatów była narzucona przez dyrekcję, teraz już demokratycznie, ludzie na wydziałach zgłaszali sami.*

Dyskusja. Pytania z sali: — *Kiedy zrobimy porządek z daczami, nie z tymi, co je TV pokazuje, bo na takie to każdego stać, ale z tymi, o których się nie mówi? Jak należy rozumieć powiedzenie Andrzeja Gwiazdy, że praca na akord jest poniżeniem godności człowieka; Czy można należeć do dwóch związków zawodowych? Jak interpretować sprawę wolnych sobót w świetle ostatniego komunikatu w telewizji?*

Ogłoszenie wyników wyborów. Przewodniczącym zakładowej komisji zostaje ślusarz wydziału regeneracji silników Józef Błądek, ten sam który nie przeszedł w poprzednich wyborach z powodu funkcji pełnionej w ORMÓ. Zrzeka się jej teraz na rzecz „Solidarności”.



W Stołecznym Przedsiębiorstwie Imprez Estradowych „Solidarność” (130 członków) zdecydowała przed wyborami zaprosić do teatru „Buffo” całą załogę i przedstawić jej swój pomysł na tę instytucję. Przy dość niskiej frekwencji („Estrada” jest rozrzucona po całej Warszawie, a jej kolektyw słabo zintegrowany, w ub. roku wskaźnik fluktuacji wyniósł tu blisko 60 %) od godz.

16.30 do wieczora przez scenę teatru, na której wzniesiono trybunę udekorowaną znakiem drogowym z napisem „Solidarność — nie ma odwrotu” przesunęło się kilkudziesięciu mówców.

— *Nawiązując do cytatu z pana Kani* — powiedział jeden z nich — *by zamiast zagryzania warg rozgryzać problemy, będziemy się starali w tym duchu poprowadzić nasze zebranie.* Problemem nr 1, poruszonym we wszystkich wystąpieniach, były wewnętrzne stosunki w przedsiębiorstwie, ocena pracy jego kierownictwa i działalności artystycznej „Estrady”, warunków socjalno-bytowych jej pracowników. „Solidarność” skierowała w listopadzie ub. roku petycję do wiceprezydenta miasta przedkładając mu najistotniejsze bolączki środowiska. Wiceprezydent zobowiązał się rozpatrzyć te sprawy do 10 grudnia, którego to terminu nie dotrzymał. Zebrano także postulaty załogi i przedstawiono je dyrekcji. Spotkanie z nią również nie dało spodziewanych wyników. Jedyne, co do chwili wyborów udało się nowym związkom załatwić pozytywnie, to wywalczenie sprawiedliwego podziału dodatku drożyznianego, prawa uczestnictwa w decyzjach personalnych podejmowanych przez górę przedsiębiorstwa, zorganizowanie ziemniaków i mięsa na święta. Dotychczasową współpracę z kierownictwem „Estrady” oceniono jako nie najlepszą na dowód czego przytoczono ostatnią, konspiracyjną ponoć reorganizację przedsiębiorstwa, która — zdaniem mówców — służyć ma jedynie tworzeniu stanowisk i zbędnej karuzeli. Odnosi się wrażenie — podkreślano — że dyrekcja zachowuje się tak, jakby odnowę potraktować jako rodzaj Nepu.

Po samokrytycznym przyznaniu się do uczestnictwa w wielu widowiskach typu „wazelina show”, poddano ostrej krytyce ostatnie trzy imprezy-giganty w Sali Kongresowej, które skończyły się fiaskiem artystycznym i finansowym. Mówiono o upadku kabaretów, których przed laty „Estrada” miała aż pięć, obecnie zaś tylko jeden, o niewykorzystaniu własnej orkiestry kameralnej, o krociowych zarobkach niektórych aktorów i reżyserów, o czarnym rynku estradowym. O odwoływanych — mimo wystarczającej ilości widzów — przedstawieniach. Był to istny koncert życzeń i oskarżeń pod adresem „Estrady”. Z trybuny padało wiele efektownych zwrotów na temat motywacji społecznej do pracy (*nie o zarobki rzecz idzie, lecz o samopoczucie*), cytatów z Jana Pawła II o służebnej roli kultury wobec narodu i z przemówień obecnego I sekretarza partii, oraz rozmów *Polityki* z doradcami byłego I sekretarza.

Dyskusja przedwyborcza wyraźnie zdominowała same wybory,

które jednakże się odbyły. Z 73 głosujących za przewodniczącym Andrzejem Makarewiczem opowiedziało się 54.



Poniedziałek, 12 stycznia. Zebranie przedwyborcze w zakładach „Unita-Polkolor” w Piasecznie. Spośród 5200-osobowej załogi do „Solidarności” przystąpiło 4800 ludzi, których na dzisiejszym spotkaniu reprezentuje ponad 300 delegatów. Nowe związki są w „Polkolorze” nie tylko liczne, ale i już z dość wyrazistym programem: ich przedstawiciele przez ostatnie dwa miesiące pełnili funkcję straży przemysłowej, by przeciwdziałać akcjom sabotażu, komisja „Solidarności” zobowiązała się pomóc dyrekcji zakładu w przeprowadzeniu planowanej i koniecznej reorganizacji przedsiębiorstwa własnymi siłami, co znacznie zmniejszy koszty osobowe i materialne całego przedsięwzięcia.

Porządek zebrania: sprawa wolnych sobót i omówienie ordynacji wyborczej do władz związku. W prezydium — oprócz przedstawicieli zakładowego komitetu założycielskiego — szef „Solidarności” regionu Mazowsze — Zbigniew Bujak. Oczekiwane jest przybycie ekipy telewizyjnej, która filmować ma przebieg spotkania. Po zreferowaniu stanowiska związku w sprawie wolnych sobót i realizacji porozumień zawartych w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu — dyskusja. Oto jej główne konstatacje: ludzie czują, że może za dużo tych wolnych sobót, ale skoro zostały one zapowiedziane w porozumieniach, niech rząd wyda uzgodnione decyzje. Jeśli z przedstawionej analizy stanu gospodarki okaże się, że nie możemy sobie pozwolić na wszystkie wolne soboty, „Solidarność” jest w stanie zapewnić, by część sobót była dniami pracy. Konkretnie, dla „Polkoloru” sprawa wolnych sobót nie wiąże się z wykonaniem planu, lecz z otrzymaniem gwarancji mocy energetycznych, surowców i półfabrykatów, warunkujących ciągłość produkcji. Ostatnią na przykład sobotę, 10 stycznia, dyrekcja sama ogłosiła jako wolną od pracy z powodu trudności paliwowo-energetycznych. Głównym problemem, nad którym dyskutowano, była więc sprawa rekompensaty za wolną sobotę dla osób zatrudnionych w ruchu ciągłym, w systemie czterobrygadowym. Pada propozycja, by przedłużyć im urlop wypoczynkowy.

Narzekano na zbyt wolny przepływ informacji związkowej, co powoduje galimatias w głowach członków. Bujak: — *Przepływ informacji jest to najpoważniejszy problem naszego związku. Mamy 2700 kół do obsłużenia i zbyt szczupłą bazę poligraficzną,*

*by przekazywać im wszystko na piśmie. Z tych względów m.in. projekt ustawy o związkach zawodowych nie jest znany szerszemu ogółowi zainteresowanych choć najwyższy czas, by rozpocząć nad nim dyskusję. Domagano się rewindykacji na rzecz „Solidarności” mienia dawnej CRZZ i majątku branżowych związków, którego parcelacja właśnie się odbywa w całym kraju. Także — większego dostępu do środków masowego przekazu. W chwilę potem okazuje się, że zebranie w „Polkolorze” nie będzie filmowane przez TV: ekipa Dziennika wprawdzie przyjechała, ale z poleceniem nakręcenia tylko jednogodzinowego *view*, które ma iść na niemo, co nie satysfakcjonuje zainteresowanych. Kamery zostają odesłane do domu.*

Niektóre pytania z sali: Czy „Solidarność” coś robi w sprawie przydziałów cukru, które mają być w tym roku ograniczone? Bujak: *W tej i podobnych sprawach trzeba uruchomić Ruch Obrony Konsumenta. Będziemy taki ruch popierać. Dlaczego organ prasowy Zarządu Regionalnego „Solidarności” zamieszcza cytaty z Kociołka, Kani i Rakowskiego? Bujak: „Niezależność” jak wynika z tytułu jest niezależna i nie mamy wpływu na to, co pisze. Zawieszono działalność KSR-ów. Kiedy zrobimy wybory do samorządu pracowniczego? Bujak: Sprawa jest bardzo ważna, bo od niej zależy samodzielność przedsiębiorstw i kształt reformy gospodarczej. W zakładach hutniczych próbuje się już taki samorząd powoływać — na podstawie jego doświadczeń opracuje się projekt ustawy o samorządzie pracowniczym, podda go szerokiej dyskusji społecznej. Dopiero potem będzie go można wybrać.*

Burzliwą i długą dyskusję wywołuje omówienie ordynacji wyborczej. Ludzie — komentuje ten fakt przedstawiciel komitetu zakładowego „Solidarność” Zygmunt Szczepański — *uczą się dopiero teraz, jak robić demokratyczne wybory. Nie jest to łatwe, skoro przez wiele lat przyzwyczajeni byli do innych. Najwięcej kontrowersji budzi sugestia, by odejść od zasady ścisłej reprezentacji w zakładowych władzach związku — przedstawicieli wszystkich wydziałów. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że „Polkolor” składa się z dwóch zakładów: starego „Zelus” i nowego. Ludzie boją się, że kandydat z jednego zakładu czy wydziału nie będzie tak samo zabiegał o sprawy drugiego, jak o własne podwórko. Bujak: Trzeba wprowadzić moment walki wyborczej, by ten, kogo wybierzecie, wykazał, że będzie się bił o sprawy wszystkich. Wybierać osoby, a nie stanowiska. Ludzi rzetelnych, uczciwych i odważnych. Staje na tym, że każdy członek związku zgłosi w ciągu paru dni na kartce swoich kandy-*

datów do jego władz, z krótkim uzasadnieniem wyboru. Listę wytypowanych, opatrzoną ich charakterystyką, wywiesi się w zakładzie dla powszechnej wiadomości i informacji, na kogo będą głosować w „Polkolorze” za dwa tygodnie.



Akcja wyborcza do „Solidarności” trwa. Jej zakończenie władze związkowe regionu „Mazowsze” przewidują na koniec stycznia. Ze wstępnych ocen wynika, że większość zgłoszonych kandydatów to ludzie, którzy w opinii załóg sprawdzili się pozytywnie w dotychczasowej krótkiej działalności związkowej i dają takie gwarancje na przyszłość. Są te wybory swoistą szkołą demokracji, której nowe związki i ich działacze też muszą się dopiero uczyć.

Barbara W. OLSZEWSKA

(*Polityka*, 24 stycznia 1981)



Jarosław PIWAR

MILICJA WAS UZDROWI

Zaczęło się od tego, że Piła została województwem. W połowie lat siedemdziesiątych było to wielkie słowo stwarzające konieczność wielu inwestycji prestiżowych. Ale nie tylko. Oprócz szumnych zajazdów, kaskady neonów, wyspy à la Wenecja i sklepu myśliwskiego, że ho, ho, w 1976 roku podjęto w Pile decyzję o budowie trzech dużych gmachów: dla władzy — KW PZPR, dla milicji — KW MO oraz gmachu dla służby zdrowia na skalę potrzeb województwa. Podjęto decyzję, rozpoczęto budowy i wszyscy byli zadowoleni. Kiedy jednak w jesieni ub. roku ujawniły się tu rażące kontrasty będące pogwałceniem podstawowych zasad socjalizmu, w Pile zawrzało.

Ogromny, dziewięciokondygnacyjny wieżowiec dla partii ukończono na 1 maja 1980 roku. Gigantyczna inwestycja dla milicji jest już na ukończeniu. Szpital wojewódzki planowany na 1981

rok nie wyszedł jeszcze z ziemi. Wojewoda pilski zakłada ukończenie szpitala na rok 1986-87, fachowcy z „Budopolu” — 1990. A tymczasem w jedynym wybudowanym jeszcze przed wojną szpitalu z ilością 426 łóżek kilkadziesiąt osób leży na korytarzach. Oczywiście są również i przychodnie. I to nie tylko dzięki spuściznie po przedwojennej sanacji. Jedna z trzech istniejących w Pile przychodni (przy ul. Roosevelta) wybudowana została w latach pięćdziesiątych. Oddajmy jednak sprawiedliwość statystyce dodając, że w latach „przyspieszonego rozwoju” ostatniego dziesięciolecia powstało również pół przychodni w gmachu poczty. I to jest wszystko. Inteligentny urzędnik z władz mógłby tu jeszcze dużo wymienić, wyliczyć i wyszczególnić, bo każde, najmniejsze nawet pomieszczenie ma jedną właściwość: na drzwiach można przybić kilkanaście różnych tabliczek.

Konflikt z władzami

nastąpił dlatego, ponieważ NSZZ „Solidarność” w Pile nie poprzestaje na czytaniu tabliczek tylko otwiera drzwi i patrzy. Młodzi w większości ludzie patrzą tu stanowczo, energicznie, z ogromnym wyczuleniem na wszelkiego rodzaju fałsze i działania pozorne. Zebrano dane i 13 listopada ub. roku przedstawiono dylemat na Plenum MKZ. Plenum upoważniło prezydium „Solidarności” do rozmów z wojewodą pilskim aby wznoszony dla KW MO kompleks budynków przekazać na cele służby zdrowia.

A co z milicją?

Rozmawiam z Jarosławem Gruszkowskim — redaktorem naczelnym *Solidarności Pilskiej*.

— Położenie Komendy Wojewódzkiej MO w Pile istotnie nie jest najlepsze. Przejęli oni gmach po Komendzie Miejskiej i — jak twierdzi nasz świetny komendant — jest tam bardzo mało miejsca dla milicjantów, a on musi mieć wszystkie punkty dowodzenia i służby pod sobą, bo 5 służb (na przykład drogówka) jest poza Piłą. My uważamy, że komendant nie musi mieć wszystkich milicjantów w jednym marmurowym pałacu tylko milicjanci mają pracować w terenie. Tam są najbardziej potrzebni...

Istotnie. Budynki, jakie przekazałaby w zamian pilskiej milicji służba zdrowia — mogą zapewnić milicjantom i potrzebną bazę i... dużą operatywność. Niestety. Dworzec Centralny w Warszawie wpędził całą Polskę w kompleks marmurów. A jak

miejsce pracy może być i marmurowe i duże, to już nie ma kompleksów w żadnym zawodzie!

Abulia

18 listopada. Wicewojewoda Roman Jachnik rozpatrując wniosek „Solidarności” zwraca się do inwestora gmachu Komendy Wojewódzkiej MO — Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Otrzymuje błyskawiczną odpowiedź o wstrzymaniu dalszej budowy w wyniku postanowień Rady Ministrów z dnia 15 października ub. roku o ograniczeniu rozpoczętych inwestycji oraz zarządzenia nr 42 prezesa Rady Ministrów z dnia 30 października ub. roku w sprawie wstrzymania budownictwa administracyjnego. Na wieść o wstrzymaniu inwestycji władze w Pile dostają jednak abulii, to jest niemożności podjęcia jakichkolwiek działań i decyzji samodzielnie.

Tymczasem inicjatywa „Solidarności” dotycząca przekazania budowanego gmachu KW MO dla potrzeb służby zdrowia spotyka się z masowym poparciem społeczeństwa. W setkach zakładów pracy zebrano tysiące podpisów, a miasto ilością transparentów przypomina Święto Odrodzenia Polski. Całe społeczeństwo pilskie zajęło jednoznaczne stanowisko — p r z e k a z a ć!

Z dnia na dzień zniecierpliwienie społeczeństwa wzrasta — a władze nic.

Pracownicy Wojewódzkiego Szpitala Zespołonego w Pile zwracają się do wojewody z prośbą o podjęcie decyzji, wymieniając 63 poradnie, zakłady i pracownie, które w sposób palący należałoby zlokalizować w budynku budowanej komendy wojewódzkiej MO. Również w podjęciu decyzji stara się wojewodzie dopomóc przewodniczący „Solidarności” w Pile mgr Eligiusz Naszkowski. Zobowiązuje wojewodę, aby spowodowano przybycie do Piły przedstawiciela rządu PRL kompetentnego do podjęcia decyzji.

1 grudnia wicewojewoda Jachnik może trochę odetchnąć. Poznańskie biuro projektów przesyła inteligentną odpowiedź podpisaną przez bardzo przewidującego dyrektora inżyniera Mariana Kaczmarka. Otóż, zdaniem owych mistrzów ekspertyzy opracowanie projektu technicznego dla nowej przychodni będzie szybsze niż wykonanie dokumentacji adaptacyjnej, a ponadto umieszczenie w marmurach lekarzy zamiast milicjantów będzie architektonicznym okaleczeniem! Równie pomyslnie wieści nadeszły od lekarza wojewódzkiego — pana Ryszarda Macie-

jewskiego. Radość pana wicewojewody trwała jednak krótko. 11 grudnia Krajowa Komisja Porozumiewawcza popiera żądanie pilskiego społeczeństwa aby luksusowe budynki dla KW MO przekazać na cele służby zdrowia i utworzyć tam Wojewódzki Zespół Przychodni Specjalistycznych. KKP zwraca się jednocześnie do rządu PRL i władz województwa o potraktowanie tej sprawy jako nadzwyczaj pilnej.

Tego już było za wiele! Wicewojewoda Jachnik wysłał w Rocznice Grudnia dramatyczny list do samego... Lecha Wałęsy. List jest przebogaty w najrozmaitsze wskaźniki, liczby, przeliczniki, parametry i dane. A wszystko po to, żeby przekonać Lecha, iż władze w Pile zrobiły dla służby zdrowia wszystko! List kończy się stwierdzeniem, że zbieranie podpisów, transparenty, kolportaż oświadczenia KKP i w ogóle cała działalność „Solidarności” w Pile na rzecz służby zdrowia jest tylko eskalacją napięcia.

Czytelnika zaintrygował zapewne fakt, że pisząc o władzach w Pile piszę tylko o wicewojewodzie. Co robił w tym czasie wojewoda? W ogóle nie rozmawiał aż został w grudniu przeniesiony na inne stanowisko. A co robi nowy wojewoda Mieczysław Lepczyński? Jeszcze z MKZ nie podjął rozmów pomimo, że rząd go do tego zobowiązał...

3 lutego br. przyjeżdżam do Piły, abulia władzy trwa.

Wizja lokalna

Jeżeli słyszymy, że czegoś nie wolno, to najczęściej mamy ochotę zobaczyć jak to właśnie wygląda. Kiedy w siedzibie pilskiego MKZ dowiedziałem się, że od grudnia Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zakazało kontynuowania budowy gmachu dla KW MO zezwalając tylko na prace zabezpieczające, zapytałem czy mają w „Solidarności” samochód. Mieli.

Na budowie KW MO w Pile legitymowano mnie bardzo długo, ale wpuszczono. A było co zobaczyć!

Teren zabudowy — 9 hektarów. Budowa — 4 etapy. Założenie kosztów z 1978 roku — ponad 700 mln złotych. Kłównia jedna z największych w województwie ma zasilać tylko ten wydzielony kompleks budynków. Wszystko prawie na ukończeniu. Basen, żłobek, przedszkole, stacje diagnostyczne dla samochodów, budynek główny, budynek paszportowy (obecny wydział paszportowy ma ośmiu pracowników), areszt. Niezwykle intrygujące jest pomieszczenie dla psów: 8 m² na pieska, bo tyle

zalecił weterynarz (a na jednego pracownika służby zdrowia przypada w Pile 4,4 m²). Budynek główny — 12 tysięcy m² i 400 pomieszczeń. Przyjrzyjmy się jednak jak wyglądają prace zabezpieczeniowe. W części paszportowej wre praca nad podwieszaniem sufitów aluminiowych. W najlepsze idzie również praca nad układaniem drewnianej boazerii. Instalacja kaloryferów, rur, czy to wszystko prace zabezpieczeniowe? A wykonawca? Podchodzę do jednego z robotników. Chwila rozmowy i widzę, że dotychczasowe Poznańskie Przedsiębiorstwo Budowlane nr 2 zastąpiono w grudniu ekipami prywatnymi. Zabezpieczenie?!

Budynek jest ze wszech miar ciekawy. Gabinet komendanta — 56 m², 15 zwisów lampowych, sekretariat z łazienką, prysznic...

Szpital

w Pile. Jestem na izbie przyjęć. 15 pielęgniarek, 8 rejestratorek i 10 salowych pracujących na zmiany ma pokój socjalny o powierzchni 6 m². Lekarz dyżurny nie chce ze mną rozmawiać, jest wieczór. Pielęgniarki dzwonią do lekarza będącego w „Solidarności”.

— Z Jedności?

Lekarz medycyny Tomasz Stengert przerywa rodzinną uroczystość i po chwili przyjeżdża. Przechodzimy korytarzem, gdzie stoi łóżko przy łóżku. Rozmowa trwa do późnych godzin nocnych.

— Piła ma 65 tysięcy mieszkańców, a z województwem pół miliona. Ten szpital był budowany dla miasta 20-30-tysięcznego...

— Ale macie przecież w przychodniach tabliczki niemal wszystkich potrzebnych poradni?

— W każdej klitce można dać na drzwiach tabliczki bardzo wielu poradni. I wszystkie one będą czynne raz, no dwa razy w tygodniu. W efekcie skierowani do przychodni przychodzą na oddziały szpitalne, gdzie faktycznie można zastać specjalistę...

— Władze odstępują wam za „zrezygnowanie” z gmachu Komendy MO budynek budowany pierwotnie dla WZKR i obecny budynek Komitetu Miejskiego partii. W jakim stopniu może to sprostać potrzebom służby zdrowia w Pile na jutro?

— Wszystko zależy od przyjętych kryteriów. Uważam jednak, że w 25-30 % najwyższej.

— Nie ... zaadaptować dla służby zdrowia owej komendy władze replikują m.in. brakiem odpowiedniego zaplecza...*

— Ale w pełni nowoczesny Wojewódzki Zespół Przychodni Specjalistycznych byłby właśnie niepowtarzalną szansą na pozyskanie najlepszych specjalistów!

Nazajutrz, 4 lutego jestem w pilskim szpitalu ponownie. Lekarz medycyny Michał Dolata, wytrawny mieszkaniec Piły, wyjaśnia mi wiele problemów tego miasta. Dowiaduję się o specyfice polskiego mikroklimatu, który tak wielu mieszkańców wpędza w reumatyzm. Rozumiem, że oddanie budynku budowanego dla WZKR na potrzeby służby zdrowia byłoby bardzo lekkomyślne, bowiem przepompownia i stacja redukcyjna gazu jest o 15 metrów za blisko, a po przeciwnej stronie budynku będące zbyt blisko dwa ujścia wody pitnej mogą stanowić duże zagrożenie epidemiologiczne...

Doktor Dolata mówi konkretnie, z taką samą pasją i zarliwością jak doktor Stengert. Ale żebym miał pełniejszy obraz załatwiają mi również rozmowę z dyrektorem Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Pile, lek. med. Januszem Musiałowiczem.

Dyrektor Musiałowicz jest bardzo pogodny, ale i bardzo rozgoryczony.

— Przecież sprawą najważniejszą jest tu szczerze i realne rozpatrzenie problemu. Wspólnie, bez tych wszystkich uprzedzeń i wyrwania zdań z kontekstu. Wówczas będzie można podjąć decyzję, taką czy inną, ale uzasadnioną. Wystarczy już w Komitecie i u wojewody tych narad bez wniosków i bez decyzji...

W Komitecie

Wojewódzkim PZPR w Pile znalazłem się w towarzystwie Eligiusza Naszkowskiego, Jarosława Gruszkowskiego i Marka Kierkowicza. Na parterze marmurów (i legitymowania) było w bród. W końcu schodzi po nas pan Sylwester Chęciński, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej. Przedstawiam się i wyjaśniam cel wizyty. Pan Chęciński uprzejmie prosi nas do swojego gabinetu. Gabinet jest bardzo elegancki i funkcjonalny. Nie lubię statystyki, ale rozpoczynam rozmowę od liczb. Koszt budowy gmachu Komitetu Wojewódzkiego — 127 milionów złotych, zaś włączając odpowiednie zagospodarowanie ul.

* Zdanie niejasne w oryginale.

Dąbrowskiego — 170 milionów. 9 dużych kondygnacji, 4 ogromne sale, 50 pracowników aparatu politycznego. W Pile jest 7 tysięcy członków PZPR, zaś w województwie — niewiele ponad 40 tysięcy. Przechodzimy do problemów miasta, inwestycji, gospodarności. Pan Chęciński, spięty w początkowej fazie rozmowy, rozluźnia się. Coraz wyraźniej przechodzimy do problemu zasadniczego — oddania budowanego gmachu komendy MO dla potrzeb służby zdrowia. Towarzyszący mi koledzy z pilskiej „Solidarności” są czujni na każde okrągłe zdanie. A im bardziej mówimy o tym gmachu, tym bardziej rozmowa staje się chińska. Pan Chęciński jest wyraźnie zaskoczony, że trwają tam prace inwestycyjne. Młodzi ludzie napierają agresywnie. Po dłuższej chwili zaczynam tę agresywność rozumieć. W wydanych dotychczas pięciu Biuletynach Informacyjnych KW PZPR partia nie szczędzi działaczom „Solidarności” obraźliwych epitetów w stylu lat 50. Merytorycznie jest to puste, a bardzo rozdrażnia. Pan Chęciński rozmawia jednak z dużą kulturą i spokojem. Ale rozmowa przechodzi coraz bardziej w kategorię powinności i nie prowadzi już do niczego. Bo wiadomo: i służba zdrowia powinna mieć i milicja powinna mieć, i strony powinny ze sobą konstruktywnie rozmawiać itd., itd.

Wizyta w Komitecie Wojewódzkim dobiega końca. Sympatycznym akcentem jest to, że pan Chęciński zwraca się do szefa pilskiej „Solidarności” Eligiusza Naszkowskiego po imieniu. Był kiedyś nauczycielem... Będący ze mną członkowie „Solidarności” są obeznani w problemach miasta niczym zawodowi eksperci. Tylko że są twardzi i wiedzą czego chcą. Wychodząc, zadaje panu Chęcińskiemu pytanie, czy jako *p e d a g o g* ma dużą satysfakcję, że młode pokolenie w Pile wykazuje tak czynną obywatelską postawę... Kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej popatrzył na mnie jak Henryk VIII na Cromwella przed wysłaniem go do Tower.

Dialog

z władzami widać już na peronie dworca kolejowego. Dwie identyczne oszklone gabloty niemal przylegają do siebie. Jedna należy do partii, druga do „Solidarności”. W pierwszej Biuletyn Informacyjny KW PZPR, atakujący działaczy pilskiej „Solidarności” i piękne hasło: „Klasa robotnicza ma jeden cel: socjalizm”. W drugiej gablocie Biuletyn „Solidarność Pilska” i równie piękne

hasło: „Nie chcemy pałaców, chcemy przychodni”. Dialog władzy ze społeczeństwem trwa...

Jarosław PIWAR

(*Jedność*, 13 lutego 1981

Jerzy LOCH

SPÓR O METODĘ

W Bielsku-Białej spora część społeczeństwa uznała, iż w ich regionie odnowa przebiega za wolno. Żeby ją przyspieszyć — ogłoszono strajk generalny. Intencje na pewno są słuszne. Ale czy metoda właściwa?

Zarzuty pod adresem wojewódzkich i miejskich władz administracyjno-gospodarczych sformułowane zostały przez działaczy „Solidarności” w listopadzie ubiegłego roku. Po rozmowach z Komisją Rządową, której przewodniczył minister Józef Kępa, uzgodniono, że wszystkie oskarżenia zostaną zbadane przez specjalną komisję powołaną przez Wojewódzką Radę Narodową. Jeszcze w tym samym dniu nadzwyczajna Sesja WRN taką komisję powołuje. W jej skład wchodzi siedmiu radnych wojewódzkich — z których dwóch należy do „Solidarności” — oraz czterech przedstawicieli Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Bielsku-Białej, z wiceprzewodniczącym *Andrzejem Zającem*.

Po trzech dniach Komisja rozpoczęła pracę, odbywając w sumie 26 wielogodzinnych posiedzeń, w czasie których przedstawiciele administracji państwowej składali szczegółowe wyjaśnienia i przedstawiali niezbędną dokumentację. Oprócz tego badano także sprawy w terenie.

Wyniki prac Komisja miała przedstawić, wedle pierwotnych założeń, na grudniowej Sesji WRN, która jednak została przełożona — jak wyjaśnia dyrektor Biura WRN, mgr *Jerzy Sikora* — z powodu braku niezbędnych danych do przyjęcia planu i budżetu na 1981 rok, a poza tym Komisja badająca zarzuty w grudniu nie ukończyła jeszcze prac. Końcowy dokument przedstawiła do-

piero 13 stycznia. Składał się on z 45-stronicowego sprawozdania syntetycznego oraz 250 stron załączników. Wszystkie te dokumenty zostały paraflowane przez uczestniczących w pracach Komisji WRN przedstawicieli „Solidarności”.

W tej sytuacji Sesję zwołuje się na piątek, 30 stycznia, zapraszając na nią także delegatów Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Solidarności”. Wydaje się, że do rozstrzygnięcia nabrzmiałego sporu udało się w Bielsku wykorzystać we wzorowy niemal sposób istniejące u nas instytucje demokracji socjalistycznej. Wzbudzone zostają nadzieje, że może dopracowano się formuły postępowania, którą będzie można szerzej zastosować w procesie odnowy na terenie całej Polski. Jednak na cztery dni przed planowaną Sesją WRN, 26 stycznia, MKZ ogłasza w południe godzinny strajk ostrzegawczy, żądając przyjazdu Komisji Rządowej, a nazajutrz rano rozpoczyna się na terenie całego województwa strajk generalny. Nie uczestniczą w nim tylko niektóre zakłady, organizacyjnie należące do MKZ-ów w Krakowie, Katowicach i Jastrzębiu. *Życie Podbeskidzia zostaje sparaliżowane!*

Ze zdziwieniem zadaję sobie pytanie, dlaczego działacze „Solidarności”, przyjąwszy uprzednio propozycję powierzenia organowi przedstawicielskiemu zadania szczegółowego zbadania swych zarzutów i aktywnie w tym procesie uczestnicząc, nagle, przed finałem postępowania — wycofują się? Dlaczego nie znając jeszcze opinii i postanowień ogółu radnych wojewódzkich — bo te zapaść mają dopiero za cztery dni! — już je negocjują, żądając innego arbitra — Komisji Rządowej?

Racje strajkujących

Wszystkie te wątpliwości przedstawiam kierownictwu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Wzbudzają one u przewodniczącego MKS-u, *Patrycjusza Kosmowskiego* i jego zastępcy, *Andrzeja Zajęca* spore emocje. Odrzucają kategorycznie moją propozycję hipotetycznego choćby rozważenia innych niż strajk wariantów postępowania, jakie można było zastosować. Są absolutnie przekonani, że innej drogi nie ma. Podobnego zdania, choć przedstawionego znacznie spokojniej, są także członkowie Prezydium MKS, *Henryk Juszczak* i *Kazimierz Szmigiel*.

— *Z oddaniem sprawy w ręce radnych było niezupełnie tak, jak pan przedstawia — prostuje Juszczak. — Ustaliliśmy z ministrem Kępą, że nasze zarzuty zbada Komisja WRN, ale przedstawimy je Komisji Rządowej, minister Kępa zapewnił nas —*

mamy to na taśmie magnetofonowej — że jest do naszej dyspozycji i jak tylko będzie trzeba, to przyjedzie się z nami spotkać. Toteż gdy Komisja skończyła robotę, wystaliśmy uprzejmy list do premiera Pińkowskiego, prosząc go o wydelegowanie Komisji Rządowej, powołując się na wcześniejsze ustalenia z ministrem Kępą. Nie wysyłaliśmy zaproszenia bezpośrednio do ministra Kępy, lecz do premiera, żeby premier nie poczuł się urażony, że go pomijamy, bo to przecież on jest jedynie władny do powołania Komisji Rządowej i przyznania jej pełnomocnictw. Na list nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Wokół naszej propozycji zapadła jakaś zмова milczenia. Nie raczono nas nawet poinformować, że termin nie odpowiada lub że w ogóle nasze żądanie uważa się za nieuzasadnione. W tej sytuacji pozostawała tylko groźba strajku.

Ciągle jednak upieram się, że ze strajkiem można było zacząć, dać szansę radnym wojewódzkim, a nuż rozstrzygnęliby sporne kwestie po myśli przynajmniej większej części społeczeństwa.

Przewodniczący Kosmowski zdecydowanie taki pogląd odrzuca. Oświadcza, że skuteczne może być tylko postępowanie zdecydowane, którego jest zwolennikiem. Wszystko inne prowadzi jego zdaniem do rozwodnienia odnowy. — *A poza tym — dodaje — jeśli wszyscy w województwie przez tyle lat tolerowali oczywiście przestępstwa i najwyklesze nieprzyzwoitości, jakie udowodniła Komisja WRN, to jak można mieć zaufanie, że teraz radni nagle będą uczciwi i obiektywni w szukaniu winnych? Dlatego stoimy na stanowisku, że władze wojewódzkie rozliczyć musi ktoś spoza województwa, spoza sitwy. Dlatego żądamy też przyjazdu Komisji Rządowej. Dopiero ona może być dla nas wiarygodna.*

Wiceprzewodniczący Zajac przyznaje, że decydując się na strajk byli przekonani, iż Sesja WRN w jawnym głosowaniu opowie się za wojewodą.

Czy zatem faktyczny przebieg Sesji, na której w tajnym głosowaniu wotum zaufania dla wojewody przyznano tylko 61 głosami, przy 57 sprzeciwach, 5 wstrzymujących się i 4 głosach nieważnych, nie posiał w nich choćby cienia wątpliwości co do słuszności decyzji o strajku?

— *Tu nie tylko o głosowanie chodziło — odpowiada Zajac. — Nasze zaufanie podważono od początku działania Komisji. Uczestniczyłem w pracach, więc wiem najlepiej. Robiono wszystko, żeby zarzuty stonować, osłabić. Na początku odmówiono nam nawet pełnych praw przysługujących członkowi Komisji.*

Przy niektórych rozmowach byliśmy proszeni o wyjście z pokoju. Dopiero wyjazd do Warszawy i interwencja ministra Kępy spowodowała, że zaczęto nas uważać za pełnoprawnych partnerów. Poza tym nie udostępniano nam materiałów źródłowych, lecz tylko opracowania, przygotowywane przez podległych wojewódzie pracowników. Karmiliśmy się więc okruchami, a mimo to dokument końcowy — wbrew naszym sprzeciwom mocno wygładzony — wystarcza, żeby natychmiast zdjąć całe kierownictwo Urzędu Wojewódzkiego i nie tylko. Czemu się więc z tym czeka?

Co ujawniła Komisja WRN?

W czasie kontroli potwierdziła się część zarzutów, przy czym niektóre okazały się nie w pełni uzasadnione. Ale i tak ujawnione karygodne praktyki mogą tłumaczyć powszechne oburzenie społeczne.

Wyłączono na przykład właścicieli domów na podstawie aktu prawnego dopuszczającego taki tryb w przypadku konieczności zaspokojenia tą drogą potrzeb publicznych, następnie budynki wyposażono luksusowo i... odsprzedano wicewojewodzie Antoniemu Urbańcowi oraz komendantowi wojewódzkiemu MO Ryszardowi Witkowi. Skarb Państwa dopłacił do tego interesu 4 mln 475 tys. zł.

Dochodziło nawet do sytuacji, że poprzednich lokatorów z domu upatrzonego sobie przez kogoś wpływowego eksmitowano przy pomocy milicji. Przy sprzedaży domów przez państwo zaniżano wycenę, drożej więc płacono wywłaszczanemu, a taniej sprzedawano nabywcy. Komisja WRN doliczyła się z tego tytułu 847 tys. zł strat. Ustalono ponadto, że z kiesy społecznej wydatkowano przeszło pół miliona na ponadnormatywne wyposażenie budynków w kominki itp. W tej sytuacji Komisja Wojewódzkiej Rady Narodowej uznała, iż takie praktyki „*należy uważać za przejaw niegospodarności, nieliczenia się z priorytetem społecznym, a przede wszystkim ignorowanie opinii społecznej, wrażliwej na tego rodzaju przejawy samowoli. Przedstawione fakty godzą w dobre imię organów administracji państwowej szczebla wojewódzkiego, które okazały się niewrażliwe i nie liczące się z opinią społeczną, obdarowując pewne osoby nie należnymi świadczeniami. Ponadto niektóre osoby reprezentujące organa tej władzy, powołane do przestrzegania ładu prawnego, same go łamały*”.

Przepisy łamano także w sferze polityki mieszkaniowej, przy-

działając na przykład lokale osobom, które zatrzymywały nadal dotychczasowe mieszkania, przyznając lokatorskie mieszkania spółdzielcze posiadaczom lokali własnościowych, a także przydzielając pomoc finansową na wkład spółdzielczy ludziom, którzy mieszkali już w spółdzielniach. Wszystko to działo się pod pretekstem przestrzegania decyzji premiera, mającej ułatwić skompletowanie specjalistów w nowo powstających województwach.

Dalej radni stwierdzają, że na terenie województwa bielskiego „nie było prawidłowej polityki w zakresie budownictwa prywatnego, a w szczególności budownictwa letniskowego, a jako dowód niech posłuży fakt, że na 40 jednostek podległych województwu, stwierdzono w tym względzie nieprawidłowości w 36 miastach i gminach”. I tak: 424 dachy oraz 149 domków jednorodzinnych powstało bez zezwoleń, a 525 obiektów wybudowano co prawda na podstawie decyzji władz, ale w zupełnie innym miejscu. Działo się tak głównie w Żywcu, Wiśle, Czernichowie oraz w Szczyrku, gdzie żyzne gleby masowo zamieniano na działki budowlane.

Sporo zastrzeżeń wzbudza przekazywanie działek na użytkowanie wieczyste. Tylko w samym Bielsku wyłapano siedem poważnych przypadków tego typu, przy czym radni dodają, że to jest „tylko przykład na występujące szeroko w tym zakresie nieprawidłowości”, stwierdzając dalej, że „przytłaczająca większość ujawnionych przypadków łamania zarówno prawa materialnego, jak i proceduralnego została zawiniona bezpośrednio przez prezydenta miasta, czy też przez podległy mu urząd”.

Udowodniono też prowadzenie niewłaściwego postępowania podatkowego, polegającego na zaniżaniu należnych państwu opłat lub w ogóle na nieściągnięciu ich. W Ustroniu nie opodatkowano 480 domów, w Porąbce 249, a także wielu w Brennej.

Lekceważenie finansów najjaskrawsze jest przy budowie hali sportowo-widowskiej. W celu zgromadzenia funduszy wydrukowano tzw. „cegiełki”, rozprowadzane w zakładach pracy i w urzędach. Łączna ich wartość przekraczała 37 mln zł. Do kasy Zespołu Wykonawczego Towarzystwa Upiększania Miasta, odpowiedzialnego za budowę hali, wpłynęło zaledwie 1.245 tys. Co z resztą?

Przeszło 191 tys. ukradła kasjerka.

Ponad 849 tys. winne są od 8 lat 62 zakłady pracy, przy czym nikomu jakoś nie chce wpaść do głowy, żeby albo wyegzekwować należność, albo odebrać „cegiełki”.

34.896.832 zł puścił z dymem dyrektor Zespołu Wykonawczego TUM, Ferdynand Orawski. Powołał w tym celu komisję likwidacyjną, sam zostając jej przewodniczącym, i powołując na członków syna Jerzego oraz trzy osoby „nieznane co do wykonywanej pracy i zajmowanych stanowisk” — jak to określili radni WRN w Bielsku-Białej. Następnie wszyscy ci panowie poszli do osiedlowej kotłowni i papiery o łącznej wartości niespełna 35 mln zł wrzucili do pieca, zapominając przy tym sporządzić protokół. Radni WRN konstatują w tym miejscu, że podobnej likwidacji mogła dokonać wyłącznie komisja składająca się z przedstawicieli Narodowego Banku Polskiego, Wydziału Finansowego UW oraz organizacji społecznych, zlekceważenie zaś tych wymagań formalnych i brak protokołu „nasuwają podejrzenie celowej działalności noszącej cechy przestępcze”.

Komisja dopatrzyła się ponadto podstawowych błędów w prowadzeniu całej budowy hali, zawierających się już w fakcie bezpodstawnego jej rozpoczęcia przy zgromadzeniu niedostatecznej ilości środków, co spowodowało marnotrawstwo materiałów, sprzętu oraz konieczność wydatkowania sporych sum na samo tylko zabezpieczenie rozgrzebanej budowy przed dewastacją, nie mówiąc już o zamrożeniu sporej ilości środków i deficytowych materiałów.

Spośród wielu innych nieprawidłowości, jakich doszukali się radni, zwrócić wypada jeszcze uwagę na nieprzestrzeganie czteroletniego okresu karencji pomiędzy kolejnymi przydziałami talońców na samochody oraz tolerowanie braku klauzul o dacie nabycia poprzedniego pojazdu. Wytknięto także błędy w polityce kadrowej, jak skierowanie skompromitowanych byłych naczelników gmin w Porąbce i Zawoi po odwołaniu ich ze stanowisk — do pracy pedagogicznej. Ujawniono ponadto nadużycie w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym, polegające na wręczeniu 900 legitymacji społecznego kontrolera, upoważniających do bezpłatnego korzystania z autobusów, bez egzekwowania od ich posiadaczy wykonywania swych obowiązków.

Raport przedstawiający wszystkie przytoczone wyżej fakty oraz wiele innych, których nie zdołałem tu omówić, Komisja przedstawiła Sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, wnioskując, by „wystąpić do Ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska o pociągnięcie do odpowiedzialności służbowej osób, które działając w organach administracji państwowej szczebla wojewódzkiego i podstawowego dopuściły do rażących niedociągnięć wykazanych w sprawozdaniu i ustaleniach Komisji”.

Radni byli chyba zaskoczeni przedstawionym dokumentem. Przyzwyczajeni do obrad prowadzonych gładko i na okrągło nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Tym bardziej że wojewoda Józef Łabudek przedstawił swój pogląd. Uznał za nieuzasadnione stwierdzenie, iż spalono blisko 35 mln zł motywując to tym, iż „cegiełki” błędnie zaliczono do papierów wartościowych, podczas gdy są one jedynie „drukami ścisłego zarachowania, stanowiącymi formę szczególnego potwierdzenia wpłaty na indywidualnie określony cel”. Jak gdyby nie było wszystko jedno, jak formalnie zakwalifikuje się coś, co w każdej chwili można komuś przy wypłacie wepchnąć do ręki, potrącając za to parę złotych. Dalej wojewoda usprawiedliwiał się, że wystąpił w tej sprawie do Prokuratury Wojewódzkiej 28 listopada ub. roku. Szkoda tylko, że uczynił to trochę za późno, by w cztery dni po powołaniu Komisji do zbadania postawionego wcześniej zarzutu. Czy dotąd urząd administracji terenowej nie uważał za stosowne zainteresować się losem cegiełek o tak dużej wartości? Tym bardziej że budowa hali została już dawno wstrzymana i nie można było domniemywać, iż cała akcja rozprowadzania cegiełek przebiegła sprawnie.

Z talonów na samochody rozliczał się wojewoda, uzasadniając ich przydzielanie z pominięciem obowiązujących zasad na przykład koniecznością wręczenia talonu dyrektorowi Zjednoczenia Budownictwa Ogólnego w Krakowie, by podległe mu przedsiębiorstwo w Bielsku zechciało w ogóle budować mieszkania w tym mieście.

Wojewoda odrzucił ponadto zarzut, że zaniżano wyceny niektórych nieruchomości za jego wiedzą, gdyż podjął decyzję o ponownej wycenie trzech budynków, jako że pierwsza wydała mu się zaniżona. Znów, niestety, podjął tę decyzję trochę za późno, bo 8 grudnia, co nastawiało niektórych radnych sceptycznie do tego tłumaczenia.

Co do siedmiu wskazanych nieprawidłowości w przekazywaniu działek budowlanych na użytkowanie wieczyste, wojewoda uznał, iż nieprawidłowości te stanowią zaledwie 2,8 % ogólnej liczby tego rodzaju aktów. A przecież o to właśnie chodziło stawiającym zarzuty, że przywileje dotyczą wybranych, a nie wszystkich, bo inaczej nie byłoby przecież żadnej sprawy.

Przekonująco mogły zabrzmieć dla radnych natomiast wyjaśnienia tego rodzaju, że wszystkie nieprawidłowości w postępowaniu podatkowym wykryte zostały przez Wydział Finansowy

i że za nadzór nad społecznymi kontrolerami odpowiada wyłącznie dyrektor przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Mniejszą wagę miały natomiast usprawiedliwienia, że z wywłaszczonych domów na cele publiczne wicewojewoda Urbaniec i komendant Witek już się wyprowadzili, bo przecież w sytuacji, jaka się wytworzyła po sierpniu ubiegłego roku, oni po prostu musieli tak postąpić.

Następnie głos na sesji zabrali wicedyrektor Okręgowego Urzędu Kontroli NIK w Katowicach, *Andrzej Jaskólski* i minister *Józef Kępa*. Ich stanowiska nie były jednak jednoznaczne, nie rozwiały wątpliwości radnych, jak ocenić przedstawiony raport.

— Wszyscy oczekiwali — mówi dyrektor Biura WRN mgr *Jerzy Sikora* — że *minister Kępa*, jako szef resortu zajmującego się administracją i gospodarką terenową, da wykładnię, jakiego kalibru są przedstawione nieprawidłowości. Nic takiego się jednak nie stało i radni mieli w głowie mętlik.

Mimo to postawiono wniosek o głosowanie nad votum zaufania dla wojewody. Jak już wcześniej podałem — udzielono go zaledwie czterema głosami. A więc jednak wykazano duży stopień nieufności. Czy nie deprymuje to wojewody w jego aktualnej pracy? Zadaję to pytanie *Józefowi Łabudkowi*.

— W sytuacji strajku generalnego, zmęczenia ludzi strajkiem, przy chęci jak najszybszego rozwiązania konfliktu, głosowanie takie, jakie miało miejsce, należy uznać za sukces — odpowiada wojewoda. — Zresztą materiały przedstawione przez Komisję WRN w żadnym wypadku nie stawiają kierownictwu Urzędu Wojewódzkiego zarzutów, które byłyby podstawą do wyrażenia dezaprobaty dla jego działania. Ustalają jedynie szereg spraw, które powstały w różnych miejscach, między innymi w jednostkach szczebla podstawowego oraz w jednostkach gospodarczych podporządkowanych i nie podporządkowanych wojewodzie, za które ludzie albo już ponieśli odpowiedzialność, albo ją poniosą.

A m b i c j e

Od wtorku, 27 stycznia, trwa strajk generalny. Motyw: żądanie przyjazdu Komisji Rządowej, co obiecał działaczom „Solidarności” minister Kępa. Rozumiem, że członkowie Rady Ministrów mają dużo ważnych obowiązków i przekonany jestem, że praktyka wzywania ich jak do gaszenia pożaru do coraz to innego zakątka kraju może tylko ujemnie odbić się na wykonywaniu przez nich ich zasadniczych obowiązków. Tym niemniej nie

umiem znaleźć żadnego uzasadnienia dla faktu, że skoro minister Józef Kępa poświęcił już swój czas na wyjazd 30 stycznia do Bielska, by wziąć udział w Sesji WRN, nie doszło do spotkania z nim działaczy „Solidarności”.

I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii w Bielsku-Białej, Józef Buziński, zapewnia mnie, że minister Kępa bardzo chciał spotkać się z przywódcami strajkujących. Ci jednak nie skorzystali z okazji, lekceważąc zaproszenie na Sesję WRN, na której minister był obecny.

Przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, Patrycjusza Kosmowskiego pytam więc, dlaczego nie wydelegowali przedstawicieli na Sesję, dlaczego nie chcieli się spotkać z ministrem Kępą?

— *Mówiłem już, że nie mamy zaufania do nikogo w tym województwie, stąd nasz udział w Sesji był bezcelowy — słyszę w odpowiedzi. — Poza tym ustaliliśmy w listopadzie, że wyniki dochodzenia rozpatrywać będzie Komisja Rządowa. Sesja nie ma prawa odwołać wojewody, lecz premier. Stąd chcemy rozmawiać z osobą posiadającą pełnomocnictwa premiera. Czy nie chcieliśmy się spotkać z ministrem Kępą? Tak, nie chcieliśmy się spotkać z nim jako z ministrem, bo on nie może zdjąć wojewody. Chcieliśmy natomiast i to bardzo spotkać się z ministrem, posiadającym pełnomocnictwa premiera. Dlatego też podczas pobytu pana Kępy w Bielsku wystaliśmy do niego teleksem zaproszenie, pytając przy tym, czy ma kompetencje do rozmów w imieniu rządu. Odpowiedział, że nie, że przebywa tu wyłącznie jako szef resortu.*

Nadal nie mogę pojąć, jak w sytuacji, gdy sparaliżowany jest ważny gospodarczo region kraju, można sobie pozwolić na luksus niespotkania się na rozmowę, przebywając tak blisko siebie. Wyobrażam sobie, że przywódcy strajku nie chcieli ustąpić, bo nie pozwalała im ambicja. Wyobrażam też sobie, że również ambicja nie pozwoliła na zrobienie pierwszego kroku wzywaniem teleksem ministrowi. Ale co mnie, przeciętnego obywatela, obchodzą czyjeś ambicje wobec miliardowych strat gospodarczych, których reperkusje wcześniej czy później odbiją się na mojej skórze? Czy naprawdę pan Kosmowski nie mógł się zdobyć na pójście do ministra i wyłożenie w bezpośredniej rozmowie swych argumentów? Czy naprawdę pan Kępa nie mógł darować nie najgrzeczniejszej formy zapraszania go na spotkanie i mimo to pójść do strajkujących, by przekonać ich o racjach rządu? Czy wreszcie Bielsko odcięte jest od Warszawy tak, że nie można telefonicznie lub teleksem nadać niezbędnych kompetencji szefa

Komisji Rządowej ministrowi Kępie, który już raz, trzy miesiące temu je posiadał i rozpoczął negocjacje, które teraz trzeba dla społecznego dobra sfinalizować? Czy ucierpiałby autorytet rządu, gdyby pod naciskiem niezwyklej przecież sytuacji, takie pełnomocnictwa ministrowi Kępie mimo wszystko przekazano? Wydaje mi się, że na każde z tych pytań odpowiedzieć trzeba, niestety, przecząco. Ponieważ jednak odpowiedzi takiej nie udzielili sobie sami zainteresowani — strajk na Podbeskidziu trwa nadal.

Wreszcie negocjacje!

W poniedziałek, 2 lutego, w tydzień po strajku ostrzegawczym, zapada decyzja o wysłaniu do Bielska-Białej Komisji Rządowej pod przewodnictwem wiceministra administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska, *Czesława Koteli*.

We wtorek rano rozpoczynają się negocjacje, w których uczestniczy także *Lech Wałęsa*.

Przedstawiciele strajkujących rozgrzebują szczegóły, w czym celuje przewodniczący Kosmowski, a Komisja Rządowa jak gdyby z urzędu nawet najbardziej drobiazgowo zarzuca usiłując osłabiać. Kilka minut toczy się na przykład spór o to, czy kurator wojewódzki miał prawo z trzyosobową rodziną zajmować mieszkanie M-7, czy nie miał.

Uwagę negocjujących na sprawy zasadnicze usiłuje skierować *Wałęsa*. Z początku bez większego efektu, a gdy mu się to udaje, to minister Kotela oświadcza, że nie wie, czy ma aż tak daleko idące pełnomocnictwa i że musi się skontaktować z Warszawą. Ogłoszona zostaje przerwa.

Po przerwie niewiele się zmienia. Nadal nie widać żadnego zbliżenia stanowisk. Po kolejnych przerwach to samo. Tyle tylko, że strajkujący wyciągają coraz cięższe argumenty, uzasadniające żądanie zmiany administracji w Bielsku, a minister Kotela nieodmiennie powtarza, że trudno mu się ustosunkować, że musiałby to zbadać NIK albo prokuratura. Równocześnie parokrotnie jednak oświadcza, że w pełni honoruje sprawozdanie Komisji WRN, gdzie przecież większość kwestii, o jakie toczy się spór, zostało jednoznacznie rozstrzygniętych.

Strajkujący domagają się więc w kółko, by szef Komisji Rządowej powiedział, iż w świetle zgromadzonych materiałów wniosków o zdjęcie wojewody i jego współpracowników jest uzasadniony. Tego zaś minister Kotela nie mówi. Nie mówi też jednak, że przedstawione argumenty nie stanowią dostatecznej pod-

stawy do wyciągnięcia ostrych sankcji. Dyskusja prowadzi w tej sytuacji do nikąd. W środę rzecz ma się podobnie. W końcu rozmowy zostają zerwane.

Żeby było dziwniej, każda ze stron przyznaje w zasadzie rację drugiej, gdy proszę o komentarz:

— *Udowodnionych zostało wiele oczywistych nieprawdowości. Dodatkowe materiały przedstawione przez „Solidarność” w czasie rozmów są uderzające* — mówi minister Kotela.

— *Tak, zgadzam się, że decyzję o strajku podjęto pochopnie. Ujawnione przestępstwa muszą oburzyć każdego uczciwego Polaka, dla dobra kraju nie powinno się ich jednak w tej chwili ruszać, bo grozi nam katastrofa* — oświadcza Lech Wałęsa.

Niestety, są to tylko słowa. Płynących z nich wniosków nikt nie zamienia w czyn.

Z Warszawy przekazana zostaje wiadomość, że zdaniem premiera o decyzjach personalnych można dyskutować, ale tylko w atmosferze ładu i porządku. Strajkujący nie dopuszczają jednak myśli o przerwaniu strajku.

Impas pogłębia się.

We czwartek po południu dyskutuje się o możliwości wprowadzenia stanu wyjątkowego. Wałęsa zaleca zachowanie w takim przypadku biernego oporu.

Dopiero późnym wieczorem nadchodzi upragniona informacja o decyzji przyjazdu Komisji Rządowej z ministrem Kępą jako przewodniczącym. Ku powszechnemu zaskoczeniu okazuje się, że pośredniczą w rozwiązaniu konfliktu duchowni katoliccy, z sekretarzem Episkopatu, księdzem biskupem *Bronisławem Dąbrowskim*. W nocy, po przyjeździe przedstawicieli rządu duchowni spotykają się oddzielnie z każdą ze stron. Następnie — jest już godz. 1.30 — zaczyna się dialog wedle siedmiopunktowego porządku.

O godz. 6.15, w piątek 6 lutego, podpisane zostaje porozumienie. Okazuje się, że problem można było rozwiązać w niecałe 5 godzin.

Dlaczego więc czekano 12 dni?

Jerzy LOCH

(*Polityka*, 14 lutego 1981)

PROWOKACJA

Czwartkowa VI sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy rozpoczęła się przed godziną dziesiątą. W porządek dzienny wpisane były: zaopiniowanie kandydatury nowego wojewody, interpelacje radnych, plan i budżet województwa na rok 1981, odpowiedzi wojewody na interpelacje, plan pracy WRN oraz wolne wnioski. W tym ostatnim punkcie głos mieli zabrać członkowie bydgoskiego MKZ, którzy już tydzień wcześniej planowali udział w sesji i dla których WRN przygotowała 6 zaproszeń. W związku z trwającym od poniedziałku, czyli od czterech dni, strajkiem okupacyjnym rolników w siedzibie WK ZSL w Bydgoszczy, działacze „Solidarności” chcieli wypowiedzieć się na ten temat.



Na sesję przybyło 20 członków MKZ i pięciu rolników. Weszli spokojnie, przez nikogo nie zatrzymywani. Zajęli miejsca z tyłu sali, na podwyższeniu dla gości. Nie mieli ze sobą żadnych paczek, jak to później twierdził w telewizji wicewojewoda Bąk. Niektórzy byli tylko w marynarkach, bo z siedziby MKZ do gmachu WRN jest bardzo blisko.

Po sali kręcili się porządkowi — młodzi ludzie z biało-czerwonymi opaskami. Radny Czesław Myszkowski twierdzi, że na żadnej z poprzednich sesji porządkowych nie było. Tego dnia jednak byli, a na ulicy przed gmachem WRN stały dwa milicyjne radiowozy — też nigdy tu nie widywane.

Od kilku dni w Bydgoszczy i w okolicach stacjonowały duże oddziały milicji z różnych miast. Wicewojewoda Przybylski, zapytywany później przez dziennikarzy na specjalnie zorganizowanym spotkaniu, określił ich liczbę na 22 tysiące.

Dzień przed sesją bydgoski MKZ rozesłał do zakładowych organizacji „Solidarności” zaproszenia do przybycia delegatów pod gmach WRN w godzinach 14-15, kiedy to wystąpić mieli członkowie MKZ w sprawie rolników. Prosił przewodniczącego WRN Bergera o zainstalowanie głośników na zewnątrz budynku, tak aby przebieg sesji słyszalny był na ulicy. Przewodniczący wzbraniał się przed tym, proponował przeniesienie zgromadzenia do dużej sali, wreszcie zażądał odwołania zaproszeń. Ostatecznie

MKZ zaproszeń nie odwołał, nie zainstalowano nagłośnienia. Spodziewano się, jak później przyznał wicewojewoda Bąk, przybycia pod gmach WRN 1000-1300 osób.

Wracajmy jednak do wydarzeń czwartkowych, wracajmy na salę obrad WRN.

Zanim to jednak uczynimy, dodajmy, że spóźniony dziennikarz *Gazety Pomorskiej*, który usiłował dostać się do środka o godzinie 12-tej, zastał — rzecz niezwykła — drzwi zamknięte. Nie wpuszczono go do budynku. Dodajmy też, że o godzinie 9-tej, a więc jeszcze przed rozpoczęciem sesji, zawiadomiono redakcje bydgoskich dzienników, że po południu o 17-tej w WRN odbędzie się konferencja prasowa na temat jej przebiegu. Być może jest to fakt bez znaczenia — ale jest.

Do godziny 13.40 sesja odbywała się zgodnie z porządkiem obrad. Radni zgłosili około 60 interpelacji. Należało je rozpatrzyć. Z tego między innymi względu, jak również z powodu nieprzygotowania kompletu materiałów do dyskusji nad planem i budżetem województwa, radny Andrzej Młodecki zgłosił wniosek o przerwanie dyskusji nad tym punktem; poparł go radny Bogdan Należyty. Przewodniczący Edward Berger: — *Kto jest za wnioskiem radnego Młodeckiego?* Radni podnieśli ręce; czterech wstrzymało się od głosu. Berger ogłosił przerwę w sesji i podziękował radnym. Członkowie prezydium zaczęli szybko wychodzić, wyszedł też obecny na sesji wicepremier Stanisław Mach.

Wychodzili też radni. Z tyłu sali przewodniczący bydgoskiego MKZ Jan Rulewski krzyknął: — *Skandal, co to jest? Przecież mieliśmy prawo głosu, a tu się sesję przerywa!* Edward Berger przyznał później, że słyszał okrzyk, ale wyszedł, bo tak uczynił wicepremier.

Radni byli zdezorientowani. Do omówienia pozostały jeszcze trzy punkty porządku obrad. Część radnych już wyszła, część zatrzymała się, niektórzy jeszcze siedzieli na miejscach. Członkowie MKZ zaczęli wołać: — *Radni, nie bądźcie bezradni!*

Większość radnych wyszła. W sali zostało ich czterdziestu pięciu (część z nich opuściła jeszcze salę w ciągu następnych godzin). Pozostali dziennikarze i młodzi mężczyźni z białoczerwonymi opaskami.

Jakiś czas trwała dyskusja radnych z działaczami „Solidarności”. Członkowie MKZ twierdzili, że radni padli ofiarą machinacji, że ich oszukano.

Radni proponowali, że wystąpią z wnioskiem o zwołanie sesji nadzwyczajnej, na której będą obecni przedstawiciele „Soli-

darności". Mieli do tego prawo i byli władni to uczynić. Nie mówiono już w ogóle o strajku okupacyjnym, postanowiono natomiast opracować wspólny komunikat. Na salę wszedł profesor Kukołowicz, którego — mimo iż miał wygłosić na sesji referat — służba porządkowa nie chciała wcześniej wpuścić do gmachu.

Między 14-tą a 15-tą przystąpiono do redagowania wspólnego komunikatu. Pracowała nad nim specjalna grupa robocza, po 4-5 osób z każdej strony. Uzgodnienie wspólnego stanowiska w różnych kwestiach było bardzo trudne i praca nad komunikatem bardzo się przeciągała. W sali panował całkowity spokój. Ale na zewnątrz nie było równie spokojnie. Wraz z upływem czasu gromadził się przed gmachem WRN coraz większy tłum. Przybyły delegacje, przystawali przechodnie. Ktoś krzyknął: — *Podpalić tę budę!* Uznano go za prowokatora i kazano odejść. O tym, co się działo w sali nie wiadomo na zewnątrz, i na odwrót. Gmach WRN był zamknięty. Nikogo nie wpuszczano do środka, nikogo też nie wypuszczano. Kłopoty z wyjściem miał wiceprzewodniczący MKZ Krzysztof Gotowski, który około godziny 17-tej chciał wyjść do siedziby związku. Wymknął się porządkowym korzystając z tego, że wychodził ktoś z radnych czy też jakiś urzędnik.

O godzinie 18-tej próbowano doręczyć Rulewskiemu dalekopis od Lecha Wałęsy. Mimo dobijania się do drzwi, służba porządkowa nie wpuściła do środka gońca z MKZ. Próbowano podać do środka suchy, pokrajany chleb — i to się nie udało. Zamknięte były wszystkie wejścia do budynku.

Prace nad wspólnym komunikatem przeciągały się. Do grupy roboczej kilkakrotnie podchodzili wicewojewodowie Przybylski i Bąk oraz kierownik wydziału organizacyjnego KW PZPR Witkowski, namawiając radnych do przerywania pracy i do opuszczenia sali.

Członkowie MKZ — poza tymi, którzy redagowali komunikat — znajdowali się na miejscach dla gości. Zachowywali się spokojnie, jedli razem z radnymi żywność przyniesioną z bufetu i pili zakupione tam napoje. Wicewojewoda Władysław Przybylski zaprowadził kilka osób do sąsiedniego pomieszczenia, skąd można było zatelefonować.

Telefonowali do rodzin; nie mogli powiedzieć, kiedy wrócą. Nie było mowy o strajku, przeciwnie — członkowie MKZ odrzucali tę insynuację, byli gośćmi radnych.

Profesor Kukołowicz kilkakrotnie rozmawiał z wicewojewodą Bąkiem. Ostrzegał przed użyciem siły, proponował, aby natych-

miast wznowić sesję, wreszcie — aby radnych i członków MKZ pozostawić nawet na 24 lub 36 godzin, dopóki nie dojdą do porozumienia. Wicewojewoda odpowiedział, że się zastanowi. Około godziny 18-tej profesor Kukołowicz odjechał.

Wicewojewodowie Bąk, Przybylski i Warczak wspólnie podjęli decyzję o wezwaniu milicji. Tak oświadczył wicewojewoda Przybylski na spotkaniu z dziennikarzami.

Przed godziną 19-tą milicjanci ze służby drogowej zagrozdili boczne uliczki wokół gmachu WRN, a tylnym wejściem weszli funkcjonariusze w mundurach i w cywilu. Nie wiedzieli o tym ani ludzie przebywający w gmachu, ani stojący przed nim.

O godzinie 19.30 wicewojewodowie, wiceprzewodniczący WRN Wesołowski oraz Edward Witkowski, kierownik wydziału KW a zarazem przewodniczący zespołu radnych PZPR, weszli do sali i poprosili radnych o przejście do pokoju 145. Rulewski zaproponował, aby poszedł z nimi ktoś z członków MKZ. Witkowski sprzeciwił się. Członkowie MKZ zażądali, aby ktoś z radnych z nimi pozostał. Zostało pięciu radnych — członków „Solidarności”, reszta przeszła do pokoju 145. Redagowanie wspólnego komunikatu przerwano.

Jan Rulewski na moment wyszedł. Otrzymał telefon od Lecha Wałęsy z Gdańska z prośbą, żeby przenieść się do MKZ. Na to nie zgadzali się radni.

W sali 145 Witkowski próbował wyperswadować radnym pomysł zwołania sesji nadzwyczajnej. Dziwił się, że w ogóle próbują dogadać się z „Solidarnością”. Przewodniczący ZW ZSMP Zbigniew Bartel oświadczył, że młodzi radni są zawiedzeni, że sesja była wyreżyserowana. Jego głos spotkał się z reprimendą Witkowskiego. Dziennikarz obecny wówczas w sali 145 określa to, co się tam działo, jako „pranie mózgów”.

W tym czasie do sali obrad wszedł wicewojewoda Bąk z wiceprokuratorem rejonowym Januszem Pejką. Prokurator oznajmił, że „Solidarność” bezprawnie okupuje gmach WRN i dał 10 minut członkom MKZ na opuszczenie sali.

Rulewski podał przez okno kartkę z tą wiadomością.

Dochodziła godzina 20-ta, gdy do sali wbiegli nagle milicjanci z grupą ludzi bez mundurów. Funkcjonariuszy było w sumie około dwustu. Dowodził nimi major MO. Milicjanci mieli dwa aparaty fotograficzne i kamerę filmową. Fotografowali i filmowali przede wszystkim członków MKZ.

Major oświadczył Rulewskiemu, że „Solidarność” bezprawnie okupuje gmach. Dał 15 minut na opuszczenie sali. Rulewski wygłosił do milicjantów płomienne — jak to określają świadko-

wie — przemówienie, po czym zwrócił się do majora: — *Panie dowódco, proszę oświadczyć przełożonym, że to nie ja zerwałem umowę. Jeśli milicja użyje siły, to chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, do czego dojdzie. Dojdzie do strajku.* Major: — *Proszę pana, ja jestem za „Solidarnością”, ale ja mam określone zadanie.* Rulewski: — *Od kogo dostał pan rozkaz?* Major: — *Od wicewojewody Bąka;* (do Bąka) *panie wojewodo, czy pan mnie wzywał?* Bąk: — *No, tak...* Rulewski: — *Musimy dokończyć komunikat.* Major: — *Ile czasu potrzebujecie?* Rulewski: — *Pół godziny.* Major dał tylko 15 minut.

W tym czasie weszli radni z sali 145. Byli zaskoczeni widokiem milicji. Ale milicjanci zaraz wyszli, żeby dać czas na dokończenie komunikatu.

Po upływie 15 minut weszli ponownie. Obstawili całą salę. Wdali się w prywatne rozmowy z członkami MKZ. Komunikat był gotów w rękopisie, podpisano go też w rękopisie. Sytuacja była niezwykle napięta. Radni spieszyli się. Odczytano więc tylko wnioski końcowe z komunikatu. Major: — *To wszystko, proszę opuścić salę.* Rulewski: (nie zdążył jeszcze podpisać): — *My się chcemy jeszcze naradzić.* Dochodzi do krótkiej słownej utarczki. Rulewski: — *Jeszcze sekunda.* Major dał znak. Z grupy cywilów rozległy się okrzyki: — *Brać Rulewskiego.* Kordon milicji oddzielił grupę radnych od członków MKZ. Ci skupili się w rogu sali, wzięli się pod ręce i zaczęli śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”, a potem pierwsze słowa Roty. W środku grupy były kobiety i Jan Rulewski. Radni też śpiewali i klaskali.

Milicjanci i cywile zaczęli rozrywać grupę i wyciągać członków MKZ bocznym wyjściem. Wyciągnęli ich na dziedziniec, podzielili na grupki. Słychać było przeraźliwy krzyk Rulewskiego. Andrzej Tokarczuk, ciągnięty przez metalową barierkę, krzychał: — *Puśćcie mnie, bo mnie rozerwiecie!* Jarosław Wenderlich widział jak milicjanci trzymali Rulewskiego w powietrzu za ręce i nogi, a jego korpus podskakiwał. Inni widzieli jak cywile kopali leżącego już Rulewskiego. Bili tylko oni, nie milicjanci.

Trwało to 2-3 minuty. Była godzina 20.15.

Radni w sali obrad WRN ujrzeli, jak gwałtownie otwierają się drzwi i milicjanci wciągają do środka dwie osoby. Byli to Rulewski i Łabentowicz. Łabentowicz trzymał się na nogach, miał szramę na policzku, Rulewskiego rzucono na podłogę. Był bez marynarki, pokrwawiony, płakał i jęczał. Próbował oprzeć się na krześle. Powiedział: — *Mam wybite zęby.* Z nosa płynęła krew. Nie przyjął podanej mu chusteczki. Powiedział: — *Zobaczcie, jesteście świadkami, jak mnie władza ludowa trak-*

tuje. Zrobił kilka kroków do wyjścia. Podbiegli cywile i wynieśli go.

Ludzie stłoczeni na dziedzińcu, przy bocznym wejściu, otoczeni przez milicjantów, wołali o Rulewskiego. Zatykano im usta. Nie było klucza od bramy. Kiedy się znalazł, otwarto bramę i wypchnięto członków MKZ na boczną uliczkę. Przyniesiono Rulewskiego i rzucono go na bruk, przygniatając skrzydłami bramy. Dopiero wtedy ludzie stojący przed frontem gmachu dowiedzieli się, co stało się w środku.

Rulewskiego przyniesiono do siedziby MKZ, odległej o kilkadziesiąt metrów. Tam jego i Łabentowicza zbadał lekarz. Rulewski miał wybite zęby, rany twarzy, rozległe otarcie uda, nie reagował na światło. Łabentowicz miał rozorany policzek i uszkodzoną gałkę oczną. Michał Bartoszcze, 67-letni rolnik, który mówił milicjantom w sali WRN „jak mnie będziecie bić, to ja was będę całował”, zasnął po przyjeździe do MKZ. Wszystkich ich przewieziono karetkami do szpitala XXX-lecia. U Rulewskiego i Łabentowicza stwierdzono wstrząśnienie mózgu. Bartoszcze, zapewne ze względu na podeszły wiek, był w najgorszym stanie. Doznał częściowego paraliżu, grozi mu zawał serca.



O północy przyjechał Lech Wałęsa z Jurczykiem, Celińskim, Bujakiem i Kalinowskim. Nad ranem w całym regionie ogłoszono pogotowie strajkowe. Wieść o ciężkim pobiciu trzech działaczy „Solidarności” szybko rozeszła się po mieście. Od rana wszystkie bydgoskie zakłady były już w stanie gotowości strajkowej.

W piątek o 11-tej ogłoszono dwugodzinny strajk. W Bydgoszczy ustała praca, funkcjonowały tylko: handel, służba zdrowia, kolej, zakłady o ruchu ciągłym. Pod siedzibą MKZ na ulicy Marchlewskiego przez cały czas stał tłum ludzi, oczekujących na wiadomości i komunikaty. Do Bydgoszczy zaczęły się zjeżdżać delegacje ze wszystkich MKZ w Polsce.

O 19.30 przyjechała komisja pod przewodnictwem wiceprokuratora generalnego Józefa Żyty. Na spotkaniu z MKZ prokurator dowiedział się, jakie warunki stawia „Solidarność”: ukaranie osób odpowiedzialnych za wezwanie milicji i Służby Bezpieczeństwa, ukaranie osób bezpośrednio biorących udział w biciu, przejęcie sprawy przez Prokuraturę Generalną.

W sobotę o godzinie 11.30 do Wałęsy zadzwonił wicepremier Rakowski. Zaproponował, aby działania szły w dwóch kierun-

kach: jedna komisja przyjedzie do Bydgoszczy, druga prowadzi będzie rozmowy w Warszawie. Rozmowy w Warszawie miałyby się rozpocząć w poniedziałek o 12-tej. Wałęsa: — *Za późno, tylko jutro rano.* Rakowski: — *Jestem człowiekiem i nie mogę pracować 24 godziny na dobę, proponuję godzinę 14-tą.* Wałęsa przystał na tę propozycję.

Wieczorem wyjechało do Warszawy 8 osób: pięciu członków Komisji Krajowej i trzech członków bydgoskiego MKZ.

W niedzielę dużo ludzi odwiedza szpital XXX-lecia. Rulewskiego pilnuje straż robotnicza. Czuje się dobrze, nawet żartuje.

O godzinie 13-tej msza w kościele św. Wincentego a Paulo. Celebranszem jest biskup Michalski z Gniezna. W czasie kazania woła: — *Zaklinam was w imię Chrystusa, a jeśli w Niego nie wierzycie, to w imię ziemi zroszonej krwią Polaków, w imię waszych matek, które was w bólu rodziły: nie wolno wam bić żadnego człowieka! Bo inaczej przeklnie was ziemia, na której żyjecie, przeklnie was własna matka!*

To są słowa skierowane do tych, którzy skatowali Rulewskiego, Łabentowicza, Bartoszcze, a może zamierzają też bić innych.

Po południu przyjeżdża komisja rządowa pod przewodnictwem ministra Bafii. W Warszawie już toczą się rozmowy. Bafia nie ma kompetencji do załatwienia któregośkolwiek z listy dziesięciu postulatów. MKZ jest wzburzony.

Krąży dużo ulotek na temat Rulewskiego, w których próbuje się go skompromitować i fałszywie przedstawić czwartkowe wydarzenia. „W czasie przywracania porządku — głosi jedna z nich — nikt nie doznał żadnych obrażeń, jeśli nie liczyć tego, że Jan Rulewski dokonał samookaleczenia. MO i SB posiada na to niepodważalne dowody”. Ulotkę podpisała „grupa radnych WRN”.

Profesor Kukołowicz jedzie do Bafii, aby nakłonić go do rozmowy z MKZ. Bafia sprawę odwleka, nie ma kompetencji, może jedynie zapoznać się z faktami. Nie o to przecież chodzi.

O 22.15 wiceprzewodniczący MKZ Krzysztof Gotowski ogłasza, że rozmowy w Warszawie zawieszono i że w poniedziałek o godzinie 16-tej odbędzie się w Bydgoszczy spotkanie Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Strajk jest na razie odwołany.

23 marca 1981 godz. 15-ta.

(Jedność, 27 marca 1981)

BYDGOSZCZ*

Kiedy milicja wkroczyła do akcji, delegacja „Solidarności” chwyciła się pod ręce, tworząc kordon-kółeczko. Do środka wzięto kobiety i przewodniczącego Rulewskiego. Słuchać było jak ktoś krzyczy: „Bracie Rulewskiego!”.

Milicjanci rozerwali kordon i siłą wypychali ludzi z „Solidarności” do bocznych drzwi wyjściowych, prowadzących na dziedziniec.

Nie wszystko widziałem — wspomina Antoni Tokarczuk, wiceprzewodniczący MKZ — byliśmy przecież rozproszeni w morzu milicjantów. Ale kamery wszystko filmowały, można sobie zapewne to obejrzeć. No, nie filmowano na dziedzińcu, a tam było najgorzej, tam bito.

Delegacja „Solidarności” śpiewała hymn, radni razem z nią.

— Na dziedzińcu — mówi A. Tokarczuk — atakowali nas cywile, wyskakujący spoza szpaleru mundurowych. W pewnym momencie, gdy Rulewski i Łabentowicz leżeli już na ziemi, cywile wnieśli ich z powrotem do gmachu WRN.

Radni byli jeszcze na sali. Nie widzieli, co dzieje się na dziedzińcu.

— Po kilku minutach od wyprowadzenia delegacji MKZ — mówi radny Czesław Myszka — drzwi się ponownie otwierają i kilku cywili wnosi Rulewskiego i Łabentowicza. Rzucają ich na podwyższenie w końcu sali, tam, gdzie miejsce dla gości.

Radni chcą podejść do pobitych. Milicja nie puszcza.

— Słyszę — mówi radny Eugeniusz Kuziemski — jak Rulewski skarży się majorowi, że go pobito, jego, syna murarza, a przecież jeszcze dzisiaj rano komendant wojewódzki MO zapewniał, iż nic nikomu nie grozi.

— Udało mi się wreszcie podejść do leżącego Rulewskiego — dodaje Cz. Myszka — podałem mu chusteczkę, żeby otarł twarz z krwi, ale on nie wziął, tylko powiedział: „Sam widzisz jak nas traktuje władza ludowa!”.

Po kilkunastu minutach Rulewskiego i Łabentowicza ponownie wyrzucono z gmachu WRN. W tym czasie otwarto już

* Drugi odcinek reportażu.

bramę na boczną ulicę i wypchnięto przez nią delegację „Solidarności”.

Przed frontonem WRN stał ponad tysięczny tłum. Sto metrów od tego tłumy leżeli na ulicy trzej skatowani działacze: Bartoszcze (nikt nie widział, gdzie i jak go bito), Rulewski i Łabentowicz. Z miejsca, w którym leżeli najkrótsza droga do MKZ wiedzie właśnie przez plac pod WRN. Opatrzność jednak czuwała, ludzie, którzy podnieśli pobitych, poszli przezornie drogą okrężną. Tłum może i coś podejrzewał, ale niczego nie wiedział na pewno. Była to kolejna niespodzianka w scenariuszu wydarzeń: najpierw na sali zostali radni, potem — pobitych niesiono poza oczami tłumy...

Jednak, gdy działacze MKZ zabrano do szpitala, o akcji milicji wiedziało już całe miasto. Zapanował strach. Z głośników zainstalowanych na siedzibie MKZ słyszał było nerwowe informacje i wezwania do ludności miasta, żeby broniła „Solidarności” przed milicją. Na ulicach aż gesto było od patroli MO w panterkach. Z dużych fabryk dzwoniono bez przerwy do MKZ, domagając się proklamowania natychmiastowego strajku generalnego.

— Na prośbę Lecha Wałęsy — mówi jeden z działaczy MKZ — z dużym wysiłkiem powstrzymaliśmy tę akcję.

Tak, jak i z ledwością powstrzymano akcję strajkową w Inowrocławiu. Pobity Michał Bartoszcze, działacz ludowy i ojciec szefa komitetu strajkowego z budynku ZSL, jest bardzo znany i popularny w tamtym rejonie. Poza tym, właśnie MKZ w Inowrocławiu podjął się gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących, czyli również dla M. Bartoszcze.

Wydawało się więc, że po akcji milicji w WRN strajk musi nastąpić. Tyle było tu punktów pewnych... A jednak — do strajku nie doszło. „Solidarność” wykazała silne nerwy i dyscyplinę. Nic bez zgody KKP, a w takich sytuacjach — bez zgody Wałęsy. Owszem, puszczono trochę pary przez wentyl bezpieczeństwa — dwugodzinny strajk ostrzegawczy w regionie.

Ugniatanie

Wydarzenia w Bydgoszczy od samego początku miały przypisaną sobie informację i interpretację. Przede wszystkim, nikt nie wiedział niczego o żadnym pobiciu. Poza tym — wszystkiemu winni byli chłopci.

— 19 marca wieczorem — mówi Jan Kułaj, szef NSZZRI „Solidarność” — ksiądz Orszulik zadzwonił do ministra Kuberskiego, a minister z pretensją, że chłopci pod przewodnictwem Kułaja demolują Urząd Wojewódzki w Bydgoszczy, że musiała interweniować milicja. Na to ksiądz: „Kułaj jest w Warszawie, siedzi obok mnie”. Więc Kuberski skończył rozmowę. Zadzwonił po 15 minutach, że z Kułajem to rzeczywiście coś nie tak, ale milicja nie miała wyboru, musiała interweniować.

Pojawia się wersja, że działacze „Solidarności” sami pobili się kastetami; ktoś drukuje ulotki, twierdzące, iż Rulewski dokonał samookaleczenia. Komunikat PAP mówi o usunięciu siłą, ale nie ma w nim ani słowa o pobiciu i rannych. Jedynie miejscowe gazety — kłaniam się nisko swoim kolegom-gazeciarzom — usiłują opublikować choćby skrawek prawdy. W *Dzienniku Wieczornym* i w *Gazecie Pomorskiej* napisano wprost o tym, że interwencja milicji nastąpiła w momencie końcowym uzgadniania przez radnych i „Solidarność” wspólnego komunikatu, że milicja działała wbrew woli i mimo protestów radnych, czyli gospodarzy budynku WRN.

W kraju jednak i w DTV obowiązywała inna wersja wydarzeń. Oficjalna i potwierdzona w specjalnym wydawnictwie Urzędu Wojewódzkiego, gdzie czytamy m.in.: „*W dniu 19. III. 1981 r. po zakończeniu sesji WRN w Bydgoszczy grupa osób, w tym strajkujący rolnicy i niektórzy członkowie MKZ „Solidarność” podjęli okupację gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Grupa ta nie opuściła gmachu, mimo stanowczych wezwań wicewojewody bydgoskiego i ostrzeżeń prokuratora. W związku z powyższym wicewojewoda bydgoski wezwał służby porządkowe MO do przywrócenia ładu i porządku. Większość okupujących osób opuściła dobrowolnie gmach Urzędu Wojewódzkiego. Osoby stawiające opór zostały wyprowadzone. Przywrócono ład i porządek*”.

Wersja ta, jaskrawie różna od faktów, była uporczywie podtrzymywana przez wiele dni. Mówiono wprawdzie, że są pobici, jednak podkreślano, że pobicie nastąpiło poza salą WRN, a bił nie wiadomo kto.

Do Bydgoszczy zjechało Prezydium KKP z Lechem Wałęsą. Wicepremier Rakowski wysłał do tego miasta specjalny zespół z zastępcą Prokuratora Generalnego J. Żyto. „Solidarność” ogłosiła gotowość strajkową w całym kraju i zawieszenie wszelkich toczonych aktualnie rozmów z władzami do czasu wyjaśnienia sprawy bydgoskiej. Rzecznik premiera ripostował oświadczeniem, że właśnie w takiej sytuacji rozmowy są szczególnie potrzebne.

W przedziwny sposób to, co stało się w Bydgoszczy pobudziło rozmaite środowiska do działania. Rosła fala, choć na razie rząd jakby jej nie dostrzegał. Prokurator Żyto nie przemęczył się w swoich dociekaniach i powtórzył po prostu wersję oficjalną Urz. Woj. Dziennik telewizyjny uparcie dopuszczał do głosu wicewojewodów, którzy przecież nie zmienili nagle zdania. Oficjalna informacja wywoływała gorzki śmiech w Bydgoszczy, a właściwie w całym kraju.

Przed budynkiem MKZ w Bydgoszczy godzinami stały tłumy ludzi, czekających na jakąkolwiek informację. Ludzie ci nie krzyczeli, ani niczego się nie domagali. Czekali na komisję rządową i chcieli wiedzieć, co się dzieje.

Okazało się, że rozmowy zaczną się w niedzielę. Równolegle: w Warszawie i w Bydgoszczy. Poinformowano o tym w sobotę po południu, kiedy prawda o Bydgoszczy znana już była niemal w całym kraju. Służba informacyjna „Solidarności” rozlepiała w wielu miastach plakaty ze zdjęciami pobitych, ukazywały się ulotki, potępiające akcję milicji i opisujące przebieg wydarzeń. Jednocześnie pojawiły się ulotki wydawane jakby przez kogoś innego. „*W czasie przywracania porządku — czytamy w jednej z nich — nikt nie doznał żadnych obrażeń. Jeśli nie liczyć tego, że Jan Rulewski dokonał samookaleczenia. (...)*”. Podpisano: *Grupa Radnych Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy*. (Na najbliższej sesji WRN spytano, kto jest autorem tej ulotki. Ponieważ okazało się, że nikt z radnych, sprawę przekazano oficjalnie do prokuratury; śledztwo nie powinno być trudne, gdyż jakość druku ulotki jest nader wysoka, a takich drukarni w kraju nie ma dużo).

Na murach miasta pojawiły się napisy: „*Rulewskiego pomścimy!*”. Co zwracało szczególną uwagę, to znakomita jakość farby. Napisy na murach sygnowane były znakiem Polski Walczącej i tajemniczym skrótem: ZWN.

Napięcie w mieście wcale nie malało, ale strach jakby ustępował. Ujawniły się głosy sprzeciwu organizacji i instytucji społecznych. Pierwsze oświadczenie potępiające akcje milicji i władz wojewódzkich wydało Prezydium ZW ZSMP, już nazajutrz po 19 marca. „*Prezydium — czytamy — wyraża oburzenie sposobem rozwiązywania konfliktów społecznych*”. Tego samego dnia podjęła specjalną uchwałę egzekutywa KM PZPR, w której stwierdziła m.in.: „*(...) bezpośrednią i zasadniczą przyczyną powstania konfliktu jest niespodziewane przerwanie obrad sesji. Dalszą przyczyną był sposób rozwiązania kwestii przedstawionych przez „Solidarność” i radnych, którzy pozostali w sali obrad. Obie*

strony wykazywały w toku długiej, często kontrowersyjnej dyskusji dużo dobrej woli do polubownego załatwienia — na tym etapie — zaistniałych problemów”.

Erozji emocjonalnej uległo też środowisko dziennikarskie. W sobotę odbyło się nadzwyczajne walne zebranie oddziału SDP. Przedstawiciele władz usiłowali podtrzymać na tym spotkaniu wersję oficjalną, ale nie było to możliwe w konfrontacji publicznej z naocznymi świadkami wydarzeń: radnymi i dziennikarzami. Słowa notabli były przyjmowane śmiechem i gwizdami.

W tym samym czasie ulicami Bydgoszczy przeciągał groźny pochód 16-17-latków, wracających z meczu „Zawiszy” z mielecką „Stalą”. Było ich dwanaście, piętnaście tysięcy. Na szczęście „Zawisza” wygrał mecz ze „Stalą”, więc tłum był podekscytowany, ale — wbrew różnym okrzykom — życzliwy. I ta wygrana piłkarzy była lepszą gwarancją spokoju niż rozlepione po całym mieście odezwy prezydenta; prezydent apelował bowiem o spokój, ale meczu — wbrew uprzednim obietnicom — nie odwołał.

Dziennikarze podjęli uchwałę, podpisaną również przez przybyłych korespondentów z innych miast, żądającą obiektywnej informacji w środkach przekazu. *„Protestujemy przeciwko — pisali koledzy z Bydgoszczy — manipulowaniu, w sobie tylko wiadomych celach, społeczeństwem, poprzez ograniczone przepływy informacji i jej świadome fałszowanie w centralnych środkach masowego przekazu, depearach PAP i dzienniku TV”.*

Sprzeciw wobec manipulacji społeczeństwa oraz wobec żonglerki informacyjnej stanie się w najbliższych dniach wspólnym mianownikiem dla działań różnorodnych organizacji, instytucji i pojedynczych osób.

Natomiast Prezydium WK ZSL, protestując w związku z pobiciem M. Bartoszcze, poparło okupujących gmach działaczy wiejskiej „Solidarności”. Stanowisko to spotkało się niemal natychmiast z życzliwym odzewem różnych instancji ZSL.

W takiej atmosferze doszło do niedzielnych rozmów rządu z KKP: w Warszawie i w Bydgoszczy.

Ruchy pozorne

Zespół prokuratora Żyto niczego nie zbadał. Łatwo mogli się o tym przekonać widzowie sobotniego wieczoru TV. J. Żyto

powtórzył wersję wicewojewodów. Teraz do Bydgoszczy zjechała komisja rządowa pod przewodnictwem min. Jerzego Bafii. W Warszawie L. Wałęsa rozmawiał z M. F. Rakowskim.

Po kilku godzinach okazało się, że komisja rządowa nie ma odpowiednich pełnomocnictw. PAP podał wprawdzie że rozpoczęły się rozmowy, jednak nie mogło to zmienić rzeczywistości. Tłum, czekający cierpliwie przez wiele godzin pod MKZ na początek rozmów, zareagował na wiadomość o fiasku spokojnie. Wbrew obawom niektórych, rozszedł się do domów. Okazało się, że Bafia przyjechał właściwie po to samo, co Żyto — żeby zbadać przebieg wydarzeń, a nie żeby prowadzić negocjacje.

W Warszawie rozmowy niczego nie dały. W Bydgoszczy w ogóle do nich nie doszło. Wszyscy czekali teraz na decyzje Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”; plotkowano również o mających nastąpić „twardych” posunięciach rządu i Rady Państwa.

Najdłuższa noc

Sprawy bydgoskie zeszyły teraz na plan dalszy, czego nie mogli zrozumieć ani radni WRN wszędzie głoszący — i słusznie! — prawdę o zajściach, ani działacze MKZ stosujący specjalny system zapór i przepustek, broniący nie istniejących tajemnic.

Późnym popołudniem w poniedziałek 23 marca rozpoczęły się obrady KKP. Najpierw sprawy bydgoskie, później — problem chłopów. Wreszcie, około godziny 22.30 — „co związek ma robić w obecnej sytuacji?”. Na salę obrad wpuszczono dziennikarzy. Polskich, zagranicznych, widziałem m.in. korespondenta TASS.

Sala jest rozgrzana. Delegaci regionów przyjechali z twardymi, jednoznacznymi decyzjami. Strajk! Jak najszybciej i od razu generalny. Wałęsa przypomina, że jego propozycja jest następująca: w środę rozmowy z rządem, jeśli nie przyniosą rezultatów — w piątek strajk ostrzegawczy, jeśli i to nie pomaga — we wtorek strajk generalny.

Prowadzący obrady zarządza, aby każdy delegat przedstawił w jednym zdaniu stanowisko regionu: czy strajk, jeśli tak, to jaki i kiedy?

Toruń — strajk generalny od czwartku.

Bydgoszcz — jak Toruń.

Częstochowa — strajk generalny w terminie do ustalenia.

Gorzów — strajk generalny od piątku.

Łódź — strajk generalny od piątku.
 Radom — strajk generalny od czwartku.
 Małopolska — strajk ostrzegawczy w piątek. Strajk generalny we wtorek.
 Szczecin — piątek strajk ostrzegawczy, we wtorek — powstanie.
 Tychy — strajk ostrzegawczy w piątek, a generalny — we wtorek.
 Poznań — strajk generalny od piątku.
 Sieradz — piątek strajk ostrzegawczy, a od wtorku strajk „kroczący” regionami.
 Rzeszów — strajk generalny w terminie do ustalenia przez KKP.
 Olsztyn — piątek strajk ostrzegawczy, we wtorek — generalny.
 Włocławek — strajk generalny natychmiast.
 Płock — strajk generalny, im wcześniej tym lepiej.
 Przemyśl — strajk generalny w terminie do ustalenia.
 Krosno — strajk generalny w piątek.
 Bytom — we czwartek 12-godzinny strajk ostrzegawczy, a od piątku lub poniedziałku — strajk generalny.
 Zielona Góra — strajk generalny od piątku.
 Wrocław — strajk generalny od piątku.
 Leszno — strajk generalny od piątku.
 Kalisz — strajk generalny od piątku.
 Gdańsk — strajk generalny w piątek.
 Koszalin — od piątku strajk generalny.
 Jelenia Góra — strajk generalny od wtorku.
 Katowice — strajk generalny od piątku, z rządem w ogólnie rozmawiać.
 Bielsko-Biała — strajk generalny od piątku.
 Konin — od piątku strajk generalny.
 Lublin — strajk generalny w terminie do ustalenia.
 Opoczno — strajk generalny w terminie do ustalenia.
 Wałcz — strajk generalny w terminie do ustalenia.
 Jastrzębie — strajk generalny w piątek.
 Mazowsze — strajk generalny w terminie do ustalenia.
 Elbląg — strajk generalny natychmiast, kiedy to tylko możliwe, a do tego czasu codziennie 1-godzinne strajki ostrzegawcze.
 Grudziądz — strajk generalny w czwartek.
 Suwałki — strajk generalny w czwartek.
 Opole — strajk generalny od piątku...
 Po tej rundzie było jasne, że strajk generalny jest przesądzony.

ny, jedynie data była dyskusyjna — mniej więcej tyle samo osób wypowiadało się za czwartkiem, co za piątkiem; część pozostała decyzję KKP. Wałęsa parę razy przypominał o swoim wniosku, podkreślając, że to jedyny wariant rokujący nadzieję na sukces, jednak nie robiło to wrażenia na sali. Czuło się narastającą niechęć wobec szefa KKP i dodatkowo do wszelkich „doradców”.

— Tutaj odbywa się tylko pranie mózgów — wołał A. Rozpłochowski z MKZ Katowice — a przecież nasze decyzje są jasne; głosujmy termin strajku i koniec, po co nam eksperci i ta cała dyskusja?!

— Każda nasza uległość — przypominał A. Słowik z MKZ Łódź — jest wykorzystywana przeciwko nam. Teraz nie możemy ustąpić ani na krok.

— Nas nie interesuje rząd — irytował się P. Kosmowski z MKZ Bielsko-Biała — jak chce, to niech do nas przyjeżdża na rozmowy. Regiony są podekscytowane, rozbudzane. Ludzie chcą strajkować i najlepiej my to wiemy, a nie eksperci. Nie chcemy żadnych rozmów z rządem.

— O czym mamy rozmawiać z władzami?! — poparł go A. Rozpłochowski. — Koniec tej lipy!

Wałęsa aż skoczył do mikrofonu:

— Do diabła! Żona w szpitalu, dzieci same w domu, uspokójcie się. Jak to, chcecie odmówić rozmów?! Czyście poszaleli?! Czy wy w ogóle wiecie co to jest strajk generalny?!

Sala cichnie. Głos zabierają eksperci (podaję w streszczeniu).

Tadeusz Mazowiecki: *„Odpowiedź na Bydgoszcz musi być. Ale na miarę naszych możliwości i możliwości naszego kraju. Zastanówmy się kogo we władzy wzmocnimy naszymi posunięciami. Musimy zapamiętać, że rząd Jaruzelskiego jest ostatnią kartą na pokojowe rozwiązywanie problemów. I nawet jeżeli to karta słaba, trzeba z niej skorzystać. Czyli — strajk tylko kilkogodzinny w końcu tygodnia. Taki strajk wstrząśnie układem politycznym kraju, i może zmienić to o co nam chodzi”.*

Bronisław Geremek: *„Naszą odpowiedzią musi być uderzenie. Jednak strajk powszechny bez określenia terminu trwania jest faktycznie powstaniem narodowym. Miejmy świadomość decyzji, jaką chcemy podjąć. Dlatego radzę strajk ostrzegawczy, a następnie — jeżeli to nie pomoże — strajk generalny, ale o z góry określonym terminie zakończenia”.*

Jan Olszewski: „Decydujemy tu o rzeczy, która ma wymiar historyczny. I stwarza śmiertelne niebezpieczeństwo. Ludzie nam wierzą i ufają. Na was spoczywa obowiązek, aby ich nie zawieść. Ja wiem, z własnych doświadczeń, że wcale nie jest wszystko jedno — jak tu niektórzy twierdzili. Pamiętajmy, że władza, jaką mamy, jest jedyną możliwą władzą, a na inną zmienić jej nie chcemy.

Nasza akcja musi więc być bezbłędna. Nasz strajk nie może przegrać. Musimy stworzyć taką sytuację, tak jasno przedstawić to społeczeństwu, żeby było oczywiste, iż linia konfrontacji nie przebiega między rządem a „Solidarnością”. (...) Cele strajku muszą być oczywiste dla całego społeczeństwa. Musimy również dać wszystkim czas. Pamiętajmy, że nas wcale nie cisną doty... Ci, którzy wywoływali Powstanie Warszawskie, też tak mówili, ale to nie była prawda. Doty były i są zdyscyplinowane, same niczego nie robią, będą czekać cierpliwie. Wielu moich kolegów z „Szarych Szeregów” powinno być tu dzisiaj na tej sali. Ale ich nie ma i dobrze wiemy dlaczego. Pamiętajmy o tym”.

Siła-Nowicki: „Mam wrażenie, że ulegamy zbiorowemu szaleństwu. Głosy delegatów przypominają mi naradę sztabu po wygranej wojnie. A my tej wojny nie wygraliśmy. Związek jest nadzieją narodu. Czy mamy prawo tę nadzieję stawiać na jedną kartę? Rozmawiamy z rządem, przede wszystkim — rozmawiamy. Nie kończmy sami ery negocjacji i porozumień”.

Sala słucha w skupieniu. Olszewski i Siła-Nowicki otrzymują długie brawa (jedyne podczas tych obrad). Wydaje się, że wraca rozsądek. Wałęsa ponownie przypomina, że jego propozycja jest najlepszą z możliwych. Ostrzega również przed groźbą wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Delegaci podejmują kolejno dwie ważne decyzje: o przeniesieniu siedziby MKZ do wielkich fabryk oraz o tym, że wprowadzenie (formalne lub faktyczne) stanu wyjątkowego oznacza automatycznie natychmiastowy strajk generalny.

Pada wniosek o przerwanie obrad do rana. Jest już prawie druga w nocy, wszyscy są zmęczeni. Ale na sali czuje się wzrastające emocje.

Wniosek o przerwanie obrad upada. Delegaci chcą głosować termin strajku. Prowadzący obrady poddaje pod głosowanie wniosek Wałęsy. Wałęsa ponownie apeluje o rozsądek. Wszyscy w napięciu liczą podniesione mandaty. 24 — za, 18 — przeciw. Przeszedł!

Ale słysząc głosy protestu. Przecież we wniosku Wałęsy były właściwie trzy wnioski jednocześnie, nie można tego głosować łącznie. Szulc z Wałbrzycha domaga się, żeby najpierw głosować, czy w ogóle należy rozmawiać z rządem. Sala głośnie, prawie wszyscy są za. Teraz Rozpłochowski żąda ponownego głosowania nad wnioskiem Wałęsy. Prowadzący obrady ulega żądaniu. Robi się atmosfera wiecu.

Znowu wszyscy obserwatorzy i goście zbliżają się do stołu KKP, żeby nerwowo liczyć uniesione mandaty, 19 za, 1 wstrzymał się, 22 — przeciw. Wniosek Wałęsy upadł.

Jak informuje PAP, w dalszej części obrad:

— postanowiono przeprowadzić ogólnopolską akcję strajkową. Zgodnie z podjętymi ustaleniami, w piątek 27 marca w godzinach od 8-12, ma się odbyć ogólnokrajowy strajk ostrzegawczy, a następnie od wtorku, 31 marca ma być proklamowany strajk właściwy. Akcje te mogą zostać odwołane — jak stwierdzono — w wypadku osiągnięcia zadowalających rezultatów w rozmowach ze stroną rządową, które spodziewane są 25 marca.

Wybrany został Krajowy Komitet Strajkowy, który kierować będzie działalnością związku w czasie strajku. Siedzibą Komitetu będzie Stocznia Gdańska. KKP zaleciła regionalnym MKZ przeniesienie na okres strajku i czas poprzedzający ich siedzib do wielkich zakładów pracy, przyjęty został zestaw zadań, które przedstawione zostaną stronie rządowej podczas negocjacji. Zadania te dotyczą głównie wyjaśnienia wydarzeń w Bydgoszczy i pociągnięcia do odpowiedzialności osób za nie odpowiedzialnych, przyznania rolnikom indywidualnym prawa do tworzenia związków zawodowych oraz zapewnienia gwarancji bezpieczeństwa dla działalności związku i jego członków.

W podjętej na zakończenie obrad uchwale określone zostały działania związku w obecnej sytuacji. Uchwała zawiera pakiet postulatów, w tym także sformułowanych wcześniej przez „Solidarność” bydgoską, odnoszących się do wyjaśnienia wydarzeń z 19 marca.

(Kultura, 12 kwietnia 1981)

Ewa BERBERYUSZ
Krzysztof SZYMBORSKI

POWRÓT POSŁÓW

Relacje z gdańskiego posiedzenia KKP „Solidarności” ze względu na jego znaczenie postanowiliśmy wydrukować równocześnie z wcześniejszym reportażem z Bydgoszczy, omawiającym poprzednie posiedzenie tejże KKP.

„... Byście chcąc wiele, nie stracili nic z tego, co macie już dziś. Nie męstwo jest największą cnotą. Największą cnotą jest miłość. I roztropność. Tej roztropności wam dziś potrzeba”.

Kardynał Stefan Wyszyński do Grupy
Negocjującej z Rządem.
Sobota, 28 marzec 1981.

Podnoszenie na rękach, a następnie oblewanie zimną wodą stanowi skuteczną terapię pozwalającą na utrzymanie równowagi ducha i jasności umysłu. Przewodniczący Solidarności, Lech Wałęsa, został jej poddany w pamiętnych dniach z przełomu marca i kwietnia 81 r. w sposób wyjątkowo intensywny.



Poniedziałek, 30 marca, godzina szesnasta. Przed Urzędem Rady Ministrów w Warszawie tłum. Ulga. Delegacja związkowa wychodzi z gmachu. Czy koniec napięcia, które przeżywało społeczeństwo od jedenastu dni? Bliżej stojący podnoszą samochód z Wałęsą, ci, co dalej, padają sobie w ramiona. Wiwaty i łyzy. Wielkie narodowe pojednanie.



Nazajutrz, o tej samej porze, w hallu historycznej już Sali Konferencyjnej Stoczni Gdańskiej, ani śladu wczorajszej euforii. Napięcie rośnie w miarę zbliżania się godziny otwarcia obrad Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność. Przedstawiciele regionów łapani przez reporterów, udzielają krótkich, lakonicznych wypowiedzi. Czego się pan spodziewa po dzisiej-

szym dniu? Lis: „Raczej po nocy, przeciągnie się”. Gwiazda: „Decyzja KKP? Może przyjmą całkowicie, może warunkowo, a może odrzuca...?”

Skupione twarze ekspertów potwierdzają, że szykuje się, być może, najcięższa z dotychczasowych Sesji.

Obserwatorzy znający stan umysłów tego gremium wychwytywali pewne symptomy zbliżającej się burzy już podczas wczorajszej ogólnonarodowej euforii: ten znaczący fakt, że komunikat w telewizji odczytał Andrzej Gwiazda; to ostrożne 70 % zadowolenia Wałęsy na konferencji prasowej w Warszawie...

Dziś będzie się mówić o brakujących trzydziestu procentach. Czy trzydziestu? Tu każdy stosuje własną arytmetykę...

Na sali. Odsuwanie krzeseł, szelest kamer, ktoś z obsługi stoczniowej głośno pyta, co zrobić z ludźmi przed bramą, przejechali całą Polskę i chcą tu być, załogi, MKZ-ety... Głosy milkną, cisza, otwarcie.

Wałęsa do mikrofonu: Proszę, Andrzejku, wal.

Andrzej Celiński (sekretarz KKP) odczytuje porządek.

Na pierwszy ogień cztery protokoły obrad z grupą rządową.

Z przemówienia wicepremiera Rakowskiego: Wiem, że planujecie strajk, to już od was zależy. Państwo ze swej strony uczyni wszystko, co zaplanowało, to jego obowiązek wobec narodu. W naszych rękach jest los Polski. W waszych też...

Macie znakomitą propagandę — ironicznie: — nasza powinna się od was uczyć...

Jest w protokole taki moment, kiedy Wałęsa protestuje przeciwko obecności ekipy telewizyjnej w Urzędzie Rady Ministrów. Teraz, tu, w Stoczni, przerywa odczytywanie i włącza się z szybkim wyjaśnieniem:

— To było tak, że pan Rakowski zarzucił, że Solidarność taka niewyrozumiała, że prze na strajki, a ja nie miałem natychmiastowej „odcinki”. Wyszłoby na to, że ja tu siedzę i się uśmiecham, a pan premier mówi głupstwa o związku. Zaprotestowałem błyskawicznie i wstrzymano dźwięk z tego filmu...

Powrót do protokołu. „Lecą” kolejne głosy grupy rządowej.

Komentarz z sali: — Znamy ten porządek przemówień: najpierw, że katastrofa gospodarcza, a potem, że my to Somosierra...

Znów protokół. Gdy Rakowski wylicza dowody dobrej woli rządu i bombarduje Solidarność, Wałęsa ripostuje: Przykro słuchać pańskiej oceny. Prawie całkowicie się z nią nie zgadzam. Uważa pan, że Solidarność prowokuje. Przecież nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie problem rolników, zamykanie ludzi, Ra-

dom, sprawy personalne. Dziś już nikt nie wierzy w ludzi, którzy zmieniają się jak kameleony. Niektórym się wydawało, że po dwóch miesiącach Solidarność siądzie i że będzie wszystko po staremu. Zapowiedzieliśmy, że na atak na działaczy związku odpowiemy natychmiastowym strajkiem. Jednak tego nie zrobiliśmy. To nie jest podważanie socjalizmu ani sojuszy... W ciągu dalszym protokołu Rakowski zarzuca grupie negocjacyjnej, że wprowadza na salę atmosferę wiecową. Wałęsa: Wiece? Tego się od kogoś nauczyliśmy. Rakowski: To jest nieszczęście, że jesteście naszymi dziećmi...

Odczytywanie protokołu zostaje przerwane na wniosek Bu-jaka, który proponuje, żeby od razu przejść do części, która bezpośrednio doprowadziła do Porozumienia. Zgoda sali.

W poniedziałek, 30 marca — notuje protokół — Rakowski mówi cicho, ledwo dosłyszalnie, jest bardzo zmęczony: Nie spodziewałem się, że mogę mieć osobiście wpływ na losy Polski... Czy w razie porozumienia jesteście dziś w stanie odwołać strajk? Wałęsa: Tak jest. Rakowski: Proponuję załatwić sprawę Bydgoszczy, a w innych kwestiach wydać oświadczenia. Wałęsa: Nie, tak nie można. Słowik: My mamy do załatwienia uczciwych pięć punktów. Wy macie do załatwienia strajk. Ciosek (na pytanie o publikację wspólnego komunikatu radnych bydgoskich i Solidarności bydgoskiej z przerwanej sesji WRN): Ale to już jest dla historyków. Geremek: Ja upominam się o to w imieniu przyszłych historyków...

Desperacki list Jana Rulewskiego, odczytany zaraz po protokółach, przyjęty przez KKP w milczeniu. Dopiero nazajutrz doczeka się reakcji w postaci komentarza jednego z delegatów, który powołując się na swój zawód (jest lekarzem) zauważy, że publikowanie go w tym stanie zdrowia autora jest równie niemoralne, co audycja telewizyjna o człowieku, który podpalił się w Krośnie.



„Kwestia chłopska” była główną kością niezgody w łonie grupy negocjującej już w Warszawie. Dziś na jej tle ujawniły się konflikty wychodzące daleko poza problematykę wiejską i literę Porozumienia: rola i postawa ekspertów, problem jawności wewnątrzwiązkowej, oto nitka, która stanie się kluczowym wątkiem całej dwudniowej dyskusji.

Obecni na sali w Stoczni przedstawiciele rolników wyrażają gorycz. Bartoszcze-junior pokazuje zdjęcie swojej świeżo spalonej stodoły, Jan Kułaj wygłasza płomienną filipikę: Jeśli was ode-

pchną od rolników, a to już wam zrobili, to nie wiem, jak wy będziecie wyglądali. Wałęsa (wolno, dobitnie): Zrobiliście w Bydgoszczy taką sprawę, wciągnęliście związek, nawet nikt nie powiadomił nas. A więc, to sobie zapamiętajcie. Przysyłacie tylko rachunki — też o tym pamiętajcie. Bez żadnych uzgodnień. A więc, bądźmy szczerzy, do końca szczerzy...

Słowa Elżbiety Petrykus (Koszalin) trafiają w odczucia większości: „Co do innych punktów Porozumienia można mieć mniejsze lub większe zastrzeżenia, ale jeśli chodzi o rolników, to stwierdzenie 'obie strony uczyniły wszystko', to jest za małe stwierdzenie. Tu trzeba powiedzieć, co robią i kiedy robią. A konkretnie, co robi strona rządowa”.

Niezgoda (Zielona Góra) dopowiada: Trzeba prowadzić dalej sprawę rolników, ale środkami politycznymi. Inne środki są dzisiaj, w moim przekonaniu, nie do przyjęcia. Dlatego dyskusja nie powinna iść — w sensie krytyki tego, co się stało, ale w sensie poszukiwania nowych środków do politycznego załatwienia sprawy.



Jurczyk zgłasza otwarcie żal wobec ekspertów: drodzy panowie, mam głęboki szacunek dla panów nie tylko dlatego, że macie wykształcenie i macie siwe skronie niektórzy, ale mam szacunek za to, żeście bardzo dużo zrobili dla nas. Ale przy opracowywaniu komunikatu to nie stanęliście, drodzy panowie, na wysokości zadania — nie potrafiliście sformułować tych punktów...

Jest jednak w ocenie pracy ekspertów coś niedopowiedzianego do końca. Nikt nie wątpi w ich intencje, natomiast przeżywają się jakiś motyw pretensji czy podejrzenia o nadmierne oddziaływanie na Wałęsę poprzez osobiste, nieformalne kontakty. KKP nie chce by jej przywódca wyrastał ponad nią. Czy on sam czuje się zagrożony? Chyba nie przypadkiem dzisiejsze obrady toczą się tu, w Stoczni, gdzie Wałęsa jest u siebie.

Gdy przedstawiciel Stoczni, Szablewski, odczytuje rezolucję dwudziestu dwóch zakładów Wybrzeża obdarzających votum zaufania grupę negocjatorów z Wałęsą na czele, który, ich zdaniem, uzyskał optymalne warunki kompromisu z rządem — spotyka się to z dezaprobatą sali. Podejrzewają manipulację, także w entuzjastycznych teleksach, których góra rośnie przy stole prezydialnym. Drażnią zebranych. W pewnym momencie ktoś z sali (Kopaczewski?) woła sarkastycznie: „Teleks się pali, lećmy z wodą...”.

Tenże Kopaczewski (Rzeszów) w swoim programowym wy-

stąpieniu najtrafniej syntetyzuje nastrój nurtujący salę: Mówiliśmy, że żądamy jawności życia w kraju i teraz wracam do jawności życia w związku. Trzeba sobie powiedzieć, że z tą jawnością jest coraz gorzej i — Leszek — to po prostu nie jest do wytrzymania na twoje barki. Po prostu się wykańczasz i jesteś już niesprawny. A z naszej strony też trzeba powiedzieć, że nikt nie zwraca uwagi na to, że tego człowieka się eksploatuje... Jawność życia pozwoliłaby nam się uchronić od wielu nieszczęść. Ja telefonując jeszcze w czasie negocjacji i proponując zwołanie Komisji Krajowej do Warszawy, kierowałem się tylko całością związku, jego istnieniem i jego bezpieczeństwem. Uważam, że każdy z nas jest odpowiedzialnym człowiekiem — choć czasem ktoś tam ma jakiś wybryk — i uważam, Lechu, że przedstawienie nawet tak trudnej sytuacji — w kontekście sprawy — zrozumielibyśmy i nie byłoby tu żadnych dyskusji. Należy sądzić, że był tu pewien nacisk, że jeżeli Komisja Krajowa przyjedzie zaraz do Warszawy, to strajk będzie utrzymany. Jeżeli jest odpowiednia argumentacja, że w tym zagrożeniu koniecznym jest tak postąpić, jak ty postąpiłeś, to jesteśmy ludźmi rozsądnymi i tak na pewno byśmy postąpili... Ludzie to nie są wiązki słomy, którymi można obracać. Stan psychiczny społeczeństwa jest nie mniej tragiczny jak ta gospodarka...

Będzie jeszcze wiele wypowiedzi w podobnym duchu, może mniej klarownych, ale bardziej brutalnych. Atak Słowika (Łódź) zmusza Wałęsę do riposty: „To już są chwytty poniżej pasa, ale niech ci będzie, przyjmuję nawet i to...”.

W tej sytuacji przerwa stanowi wybawienie. Ludzie wstają, rozprostowują kości, nagle czują głód, kolejkuje do jajecznicy, którą jednak prawie w całości zjadły już antyszambrujące ekipy zagranicznych dziennikarzy.

Wałęsa nie rusza się od prezydium. Skurczony, wciąż pod okiem kamer. Nie zważając na Kołodzieja, który pochyla się nad nim ze słowami: „każdy szczeka na ciebie, a ty czekasz” — mamrocze do siebie: „To jest mentalność ludzka, kiedy mamy już prawie wszystko, rozwalamy. Nie można w tym kraju rządzić...”.



Po przerwie, późnym wieczorem, choć wiadomo, że sesja i tak dziś się nie skończy, wszyscy mobilizują się wokół kwestii najważniejszej — strajku właściwego. Żeby choć to, nie rozchodząc się załatwić. Dla większości jest rzeczą jasną, że należy go odwołać, choć dla tejże większości treść zawartego Porozumienia

jest niezadowolająca. Panuje opinia, że można było wygrać więcej. Że była niepowtarzalna szansa, nie wykorzystana przez negocjatorów, którzy — jak się zdaje — byli wewnętrznie rozbić.

Tę opinię wyraża niezidentyfikowany głos... Na korytarzu słyszę: ja nie mogłem, ja nie miałem wpływu, bo doradca, bo Wałęsa... No, kochani, przepraszam bardzo, dla kogo to tłumaczenie? To znaczy, że ci, co nie mogli, to albo się nie nadają do negocjacji, albo, przepraszam, głupcy są, bo się dają wykołować jednemu człowiekowi. Tyle łbów, i jeden Wałęsa ich kołuje. Naprawdę, krew może zalać...

Przeważają jednak głosy innego typu:

PRZYDZIAŁ (Wrocław): Po komunikacie w telewizji byliśmy przybici. Rano jednak, po przespanej nocy, zebraliśmy przedstawicieli załóg i okazało się, że nastroje są zupełnie inne...

SAWICKI (Lublin): Ten balon już pękł. Więc trzeba odwołać. Tylko co zrobić, żeby wyprostować trochę Dokument?

PETRYKUS (Koszalin): Ulga i niedosyt.

DELEGAT TYCH: To jest kompromis. Wszyscy musimy sobie zdawać sprawę z tego, że jak jedzie grupa, nie załatwi wszystkiego. No, bo chyba każdy z nas już negocjował i wie, że pewne punkty trzeba puścić, żeby osiągnąć inne. I t r z e b a być niekonsekwentnym...

KRUPINSKI (Olsztyn), występuje z propozycją skojarzenia terminu rozwiązywania kwestii spornych z upływem 90 Dni Premiera. Po czym pyta: W świetle IX Plenum, jakie mamy gwarancje, że to, co podpisze Rząd będzie honorowane przez KC PZPR?

PRZYBYLSKI (Grudziądz): Strajk ostrzegawczy nas skonsolidował. Dajmy jeszcze jeden dowód dobrej woli...

Zwolennicy strajku są w tak ogromnej mniejszości, że milkną. Optowanie za strajkiem generalnym jest do tego stopnia niepopularne, że trudno wyrażać je głośno. Jedynie Rozpłochowski (Katowice) powtarza swój pogląd, że wszelkie negocjacje z Rządem są błędem...

Wynik głosowania:

25 głosów za odwołaniem strajku właściwego,

4 głosy za strajkiem,

6 wstrzymujących się.

Około pierwszej w nocy jedyna w KKP kobieta, Elżbieta Petrykus, grozi, że jeżeli wszyscy się natychmiast nie rozejdą, ona zamieni się w przewodniczącego bydgoskiego WRN i po „bergerowsku” zakończy zebranie.

Ustalenie, że jutrzejszy „ciąg dalszy” odbędzie się już nie tu, ale w klubie Ster na Grunwaldzkiej, „którego dawno nie widzieliśmy”. I spać!



Nocą, w hallu hotelu „Heweliusz”, na fotelach, czekając na zameldowanie w recepcji, wyjadając bezceremonialnie z koszy Francuzów ich podróży francuski furaz — grupa delegatów i dziennikarzy. Lech DYMARSKI (Poznań) który do niedawna jawił się w KKP jako młody poeta-intelektualista z brodą, teraz występuje w roli „mniejszego” Mochnackiego. Udziela wywiadu zagranicznej prasie. Jest za strajkiem: „Mogliśmy wygrać wszystko. Zaprzepaściliśmy szansę, ponieważ Wałęsa dał się owinąć, o tak...” — ruch owijania wokół palca.

Rozmowa z ekspertami w windzie: Nie, to nie zawsze wybujała ambicja pcha tych ludzi do radykalizmu. Często siłą motoryczną ich działań jest przekonanie, potwierdzone latami doświadczeń, że trzeba przeć, przeć jak taran, aby cokolwiek osiągnąć...



Klub Ster na Grunwaldzkiej nie ma nic z funkcjonalnego komfortu Sali Konferencyjnej w Stocznii. Zawalony rupieciami, przypomina skład, miejsce, gdzie wiecznie trzyma się niepotrzebne rzeczy. Dziś niedostępny, obwarowany szeregiem drzwi, z których każde coraz trudniejsze do sforsowania bez odpowiedniego „paszportu”. W przedsionku gromada dziennikarzy, tłumek pod oknami, przy wywietrznikach, gdzie trochę słychać.

Posiedzenie rozpoczyna się z godzinnym opóźnieniem. Przewodniczy Bogdan Lis. Jego donośny acz beznamiętny głos wnosi element spokoju i tak potrzebne w tej chwili poczucie obiektywizmu. Jest coś w powietrzu, co mówi, że dzisiejszy dzień potoczy się inaczej.

Eksperci, którzy wczoraj milczeniem przyjmowali stawiane im zarzuty, dziś odpowiadają ustami prof. Geremka i mecenasu Siły-Nowickiego. Tenor ich wypowiedzi: gdy nie ma zaufania do ekspertów, nie ma ekspertów. Mecenas Siła-Nowicki podkreśla, iż rola eksperta nie polega na tym, żeby zabierał głos jedynie wtedy, kiedy się go pyta. „Moim psim obowiązkiem, mówi, było powiedzieć wam wczoraj, że musimy od siebie samych wyegzekwować zgodę na to, co się z Rządem parafoowało, bo w przeciwnym razie zwalniamy go z obowiązku respektowania tego, co podpisał”. Kończy słowami: „Jestem jednym

z was dopóty, dopóki mnie chcecie. Jeśli nie chcecie, ukloncie się i odejdę”.

Nie na ekspertach, jednak, ogniskuje się uwaga, lecz, podobnie jak wczoraj, na czwórce negocjatorów. Zostaje postawiony i przegłosowany wniosek, by każdy z nich określił swoją rolę w czasie sprawowania mandatu.

WAŁĘSA, popędliwie: Nie mam nic do powiedzenia. Chciałbym wam pokazać teleksy z w a s z y c h zakładów i spytać, kogo reprezentujecie. Dziękuję uprzejmie.

Bardziej ton niż treść jego lapidarnej wypowiedzi wskazuje, że to już nie wczorajszy Wałęsa. Zebrał siły.

GWIAZDA z dziwnym spokojem ustosunkowuje się kolejno do pięciu punktów pertraktowanych z Rządem. Trochę zaskakująco brzmi w ustach tego intelektualisty stwierdzenie, iż słowo „abolicja” rozumieli tylko eksperci. „Ponadto, mówi, nie walczyliśmy o ten punkt, ponieważ nieznane nam były podstawy prawne”. Sprawa Bydgoszczy też była trudna, bo wszystkie nici prowadziły w górę. Stwierdzenie, że jedyną kwestią, którą można było jasno stawiać, była zapłata za strajk ostrzegawczy, wywołuje (czy zamierzony?) efekt ironiczny. Wyakcentowuje wątki samokrytyczne: „Nasza rozsyпка była naszą własną winą; mogę się tłumaczyć zmęczeniem, gdyż uprzedniej nocy odbywało się IX Plenum KC i nie spałem, ale jakież to tłumaczenie?! Jeżeli już złożyłem swój podpis, to gówniarstwem byłoby spieranie się o to, kto przeczyta. Przeczytałem, bo uważam, że umiem czytać”.

JURCZYK, który wczoraj wyraził się, że wychodząc z Rady Ministrów czuł się bardziej zdenerwowany niż gdyby sąd wydał na niego wyrok śmierci, dziś prezentuje pełną godności determinację: Nie zgadzam się ze słowem „rozsyпка”, Andrzej. — Ile osób, tyle charakterów. — I zwracając się do sali: — Jeżeli premier Rakowski z całą uroczystością stwierdził, że jeśli stąd wyjdziemy ze strajkiem, natychmiast w kraju stanie się coś wyjątkowego, to wyobraźcie sobie bagaż, jaki na nas spoczywał! Ja mam 46 lat, właśnie ożeniłem syna, nie potrzebuję forsy i niczego się nie boję. Podpis złożyłem zgodnie ze swoim sumieniem.

Kolej na Andrzeja SŁOWIKA. Być może, w jego wypowiedzi leży klucz do zrozumienia tego, co się w ciągu ostatnich kilku dni rozegrało w tym gronie.

Przypomnijmy sytuację: Na sesji KKP w Bydgoszczy, 24 kwietnia, w tajnym głosowaniu zostaje wybrany Krajowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Gdańsku. Wyłania z siebie czwórkę negocjatorów w osobach: Wałęsa, Gwiazda, Jurczyk, Słowik,

którzy udają się do Warszawy. Mieszkają w hotelu „Solec”. Negocjacje z Rządem ciągną się sześć dni. W tym więcej jest przerw niż spotkań stron. Słowo „przerwy” jest tu nieodpowiednie. Są to zwielokrotnione minuty najwyższego napięcia. A więc: w „Solcu” negocjatorzy z ekspertami, w Gdańsku — reszta Krajowego Komitetu Strajkowego: Bujak, Cierniewski, Dymarski, Gotowski, Kalinowski, Kopaczewski, Lis. Na ich barkach spoczywa odpowiedzialność nie mniejsza, a kto wie, czy nie większa, niż na grupie negocjacyjnej. Muszą trzymać na wodzy 10 mln ludzi w gotowości strajkowej. I w tym stanie rzeczy zaczyna nawalać komunikacja — pojęta metaforycznie, gdyż łączność działa — nie tylko na linii „Solec” — Gdańsk, ale i w samym „Solcu” również. W tej pełnej napięcia sytuacji chyba zabrakło — jak mówił wczoraj Kopaczewski — demokracji i jawności, o których istnienie w życiu publicznym związek walczy przecież od chwili swego powstania.

Oto co wynikało ze słów Słowika: Że czuł się intruzem, gdy wchodził do pokoju, gdzie eksperci konferowali z Wałęsą. Na jego widok zmieniano temat. „Zamiast informować, grano na naszych uczuciach, powtarzając, że cała Polska wisi na nas czterech”. O powstaniu Zespołu Dobrych Usług dowiedział się pokątnie. Widział tych panów w hotelu, ale mu ich nie przedstawiono. „Takie postępowanie doprowadziło do dezintegracji grupy” — stwierdza.

Przy uwzględnieniu całej złożoności sytuacji, w której elementy psychologiczne, takie jak ambicja jednostek i ich frustracja, sprzęgły się z nakazem najwyższej ostrożności podyktowanym stanem rzeczy, narzuca się myśl, że jednak należało podjąć ryzyko nie tylko dopuszczenia do pełnej informacji, ale i do kompanii, wszystkich, na czyich barkach spoczywała w tych trudnych dniach tak wielka odpowiedzialność. Tak się nie stało. Trudno orzec, czy zawiniło tu niedopatrzenie, podejrzliwość, nawyk, czy — najprościej — presja chwili. Choć nie padło to słowo, Słowik — a jego postawa wcale nie była na tej sali odosobniona — protestował chyba przeciwko pewnej „mafijności” zachowań; przeciwko gabinetowemu stylowi porozumiewania się, gdzie pod warstwą oficjalności kryją się sieci tajemniczych „układów”.

SŁOWIK: Gdybym wiedział to, co wiedzieli eksperci, może broniłbym dziś Porozumienia...

WAŁĘSA, który przez ostatnie półrocze przeszedł Intensywny Kurs Szybkiego Szkolenia i tyle się przecież nauczył, tym razem jakby nie chwytą tego podtekstu frustracji w słowach

Słowika. Odpowiada na meritum. Odnalazł już siebie, wygłasza jedną ze swych lepszych, krótkich ripost:

Trzeba być ślepcem, żeby nie dostrzec tego, cośmy zrobili. Trzy razy szedłem jak burza, trzy razy zrywałem, ale do konfrontacji nie dopuszczę. Nie chodzi o to, żeby jednego dnia rozbić sobie łeb, Słowiku, ale żeby krok po kroku wygrywać, nikogo nie narażając, nikogo! Świat nas podziwia, że idziemy po linii i — dopóki ja tu będę — tak będę szedł, krok po kroku, ostrożnie, inaczej nie. Gdybyście widzieli reakcję warszawiaków, te tysiące teleksów.

GŁOS: Sfabrykowane!

WAŁĘSA: To się da sprawdzić. — I powracając do wątku: Siebie mogę narazić, ludzi nie będę. Nie sprowadzaj (do Słowika) do krawędzi, nie sprowadzaj! Cały świat prosi nas o rozsądek...

Oklaski. Biję brawo sala i ci za oknami przy wywietrznikach.

GWIAZDA: W tym momencie państwo przez aklamację zdusili demokrację — wstaje i zbiera się do wyjścia. Protesty, okrzyki: „Jak wyjdiesz, będziesz zerem...!” — No, to ja z boku siadę. — Siada na jakichś paltach pod ścianą.

Szczęśliwym zbiegiem, w tym momencie wypływa „sprawa prasy” wniesiona na kartce zza drzwi do stołu prezydialnego. Bogdan Lis czyta protest dziennikarzy stłoczonych przed wejściem na salę. Są rozgoryczeni. Ich rezolucję można by streścić w dwu punktach: 1. jawność prasy jest czynnikiem resocjalizacji społecznej, 2. jawność prasy jest czynnikiem nadzoru społecznego nad trybem podejmowania, w imieniu społeczeństwa, decyzji. Świadomość tego nie trafiła jeszcze, najwyraźniej, do umysłów członków KKP. Nauczeni złym doświadczeniem, słowa „jawność” nie kojarzą z prasą.

I teraz nie bardzo wiedzą, co zrobić z dziennikarzami na zewnątrz. Jedni mówią — wpuścić, bo trzeba jawnie! drudzy — w tym Wałęsa — wyrażają opinię pragmatyczną: publiczna bijatyka odbyła się już wczoraj (kulary w Stoczni były nagłośnione), więc dlaczego dziś nie mogliby wejść? Niektórzy napomkają o wprowadzanym przez dziennikarzy bałaganie, bardzo nieliczni szermują zdartym już argumentem: że jeżeli posiedzenia Biura będą jawne, to i nasze też. Ostatecznie zwycięża życie — i tak jest już za ciasno na tej sali. Dziennikarze zostają pod drzwiami.

Po prasowym incydencie zabiera głos Elżbieta PETRYKUS: Jak długo jeszcze będzie trwać to przesłuchanie? Czy naprawdę potrzeba wojny, żeby była Solidarność? Jak długo będziemy się

przepytywać na okoliczność, kto z kim i dlaczego namawiał się w toalecie hotelu „Solec”? Wybraliśmy reprezentację w tajnym głosowaniu, a to, co teraz robimy, to jest podważanie Wałęsy w trybie intensywnym. To nie jest batalia, ale personalia...

SZULC (Wałbrzych): Aczkolwiek bardzo lubię Elę, zupełnie się z nią nie zgadzam. Mam pretensję do Gwiazdy, że idzie na bok, mam pretensje do Lecha, że zachowuje się jak prima-donna. Nigdy, Lechu, nigdy tak nie mów, że ja załatwiłem, że ja zawsze tak będę robił...

WAŁĘSA: To mam się spowiadać Słowikowi, że dzwonię do Cioska?

SZULC: Lechu, nie czuj się osaczony, my cię w regionach popieramy...

Te słowa, jakby miały moc zaklęcia, są przełomem w obradach. W dyskusji, jaka się jeszcze potoczy na wiele tematów i potrwa wiele godzin, będzie się przewijał leitmotiv: „Lechu, nie czuj się osaczony”. Agresja pękła, nastąpiło *catharsis*.

Z głosów sali:

Związek stał się silniejszy niż był dwa tygodnie temu.

Oliwa z ogniem łączy się w dobrą miksturę.

Szczęśliwy koniec: wyrwano nam parę kłów, ale i myśmy coś wyrwali.

Podsumowanie Kopaczewskiego wyczerpuje temat: Dobrze się stało, że brudy zostały wyprane. Czuję się wzmocniony, bo kontynuowanie zła rodzi dalsze zło. Powoływanie się na doły — w stronę Wałęsy — jest bezcelowe, bo doły to my. Jest tu cała Polska. Robotnicy, intelektualiści, partyjni, bezpartyjni, ludzie o różnej mentalności i o różnych poglądach.

Ktoś zgłasza przytomnie, że nie ma zamiaru spędzić jeszcze jednej nocy w Gdańsku. Wczoraj przerabaliśmy, mówi, dziewięć godzin, dziś grozi nam zadyskutowanie na śmierć. *Ad rem!*

Wałęsa wnioskuje o odwołanie gotowości strajkowej dla kraju. Wniosek przechodzi 26 głosami.



Czego byliśmy świadkami przez te dwa dni? Rozłamu, czy normalnej zwykłej pogłądowej lekcji demokracji?

(Kultura, 12 kwietnia 1981)

SENSACYJNY TEMAT

Kraków. Czwartek, 16 kwietnia, godzina 10-ta. MKZ Małopolska.

Stanisław Kornaś: — Przyjechałaś z Warszawy. Chcesz pisać o świadomości związkowej? Sensacyjny temat!...

— Nie żartuj. Pomóż mi znaleźć zakład.

Kornaś: — Jaki to ma być zakład?

— Duży, przemysłowy, nie Huta.

Kornaś: — Tu masz listę pionów. Na ich czele stało szesnaście największych zakładów.

— Co to są piony?

Kornaś: — System porozumiewania. Jak piramida, od największego zakładu do wielu małych. Z regionu przesyła się komunikaty, naszego „Gońca Małopolskiego”, waszą „Solidarność”, także ankiety, pytania, kiedy trzeba coś skonsultować. W dół i w górę.

Godzina 12-ta. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego

W Komisji Zakładowej „Solidarności”: sekretarz — Krzysztof Adamski, przewodniczący Komisji Postulatowej — Mieczysław Leśniak, przewodniczący Komisji Rewizyjnej — Leszek Waśko. Żałują bardzo, że nie ma przewodniczącego, a zarazem członka MKZ, Tadeusza Piekarza. Wyjechał na święta. Oni nie są przyzwyczajeni do takich rozmów, ale to jest przecież *Tygodnik Solidarność*. Nasz tygodnik. Więc, oczywiście, mimo że zmiana już się kończy będziemy rozmawiali tak długo, jak potrzeba.

W zakładzie pracuje 1.800 osób, w tym 1.748 to członkowie „Solidarności”. Także sekretarz partii. Dyrektor — nie. Zresztą nowy naczelny jest dopiero od ośmiu dni. Poprzedniego zdjęto na wniosek Związku. „Złe stosunki międzyludzkie”. Mieszkania, wczasy w Jugosławii, talony na samochody i pralki rozdzielano w małej grupie. Niektórzy dostawali po parę razy, co rok jeździli za granicę, a załoga nic nie wiedziała.

Po Sierpniu mieli 700 postulatów. Najwięcej dotyczy bhp. Są przekroczenia toksyczne, duży hałas, brak środków transportu. Ludzie często noszą ciężary na plecach, żeby zabezpieczyć

sobie pracę w akordzie. Tu, w Komisji, opracowali program ujednolicenia przepisów, pilnują sprawiedliwości przy rozdziałach, rozwiązyali problem bufetów, gdzie stało się w kolejkach po wiele godzin. Teraz masło rozdziela się po równo wszystkim, przynosi na wydziały. To samo z *Gazetą Krakowską*. Cóż jeszcze?... Strajk ostrzegawczy odbył się doskonale. Nikt nie pracował, był spokój i dyscyplina. Kiedy załoga ma być aktywna — jest aktywna. Oczywiście, nie ma tej spontaniczności co po wojnie, bo nie wychodzimy z okupacji i niewoli, tylko z oszustwa i nieufności. Dzisiaj trzeba przekonywać przykładami, uzgadniać. I uzgadniają wszystkie decyzje z szefami komisji wydziałowych, a oni z ludźmi.

— Jak oceniacie system informacji wewnątrz regionu?

Adamski: — Bardzo dobrze. Mamy wszystko na bieżąco.

— Jak działa MKZ?

Adamski: — No... Dobrze.

— Ale co wiecie konkretnie?

Leśniak: — Ja mam zaufanie do MKZ. Pytałem się Piekarsza, jak tam jest? Jacy ludzie? A on mi, że to sama fajna wiara, bo inaczej się nie utrzyma.

— Są sprawy drażliwe, jak choćby usunięcie z funkcji przewodniczącego MKZ — Zawady. Co o tym wiecie?

Adamski: — Komisja Zakładowa wiedziała. Dostaliśmy pismo.

— To wy w Komisji...

Leśniak: — Niech pani nie myśli, że te „Gońce” są tak czytane. Na początku tak, ale teraz to się powinno wskazywać członkom, co jest najważniejsze, co winni czytać.

Waśko: — Za mało jednak o tym było.

— No, Zawada stara sprawa, ale Lasota?

Leśniak, Adamski, Waśko: — Nic nie wiemy.

— Lasota zakładał „Solidarność” w Krakowie, potem był sekretarzem Zarządu. Wiecie chyba? Był popularny, poza tym świetny organizator, nawet po tym wszystkim, ostatnio, poproszono go o zorganizowanie strajku. I właśnie jego, z błahego powodu, zawiesza się w prawach członka Zarządu. Dopiero po interwencjach mógł zachować to miejsce, ale ustąpił z funkcji sekretarza. Więc MKZ nie konsultuje z załogami, nie informuje? Co wy na to?

Leśniak: — Nie, tak się nie robi.

Adamski: — To jest bardzo źle.

— A komisja krakowska?

Mężczyźni milczą.

— No, musicie wiedzieć, co to jest komisja krakowska! Przecież to było votum nieufności wobec MKZ. To była walka dużych zakładów pracy o współuczestnictwo w decyzjach, o właściwą reprezentację. Wasz zakład też jest członkiem komisji krakowskiej.

Adamski: — Coś tam wiemy...

— Ale jakie macie o tym zdanie?

Leśniak: — Ja traktuję MKZ jako tymczasowy, bo oni nie są wybrani. Dopiero jak wyjdą tarcia wśród tych wybranych...

— A kto organizuje wybory?

Waśko, Adamski: — Wiadomo...

— Wybory mogą być manipulowane. Nie mówię, że będą, ale czy w ogóle myślicie o tym?

Leśniak: — Więcej powinno być kontaktów z działaczami MKZ. Znamy ludzi z Komisji Krajowej, a MKZ jest anonimowy.

— Do niedawna wszystkie posiedzenia Zarządu MKZ były tajne. Nie wpuszczali nawet obserwatorów, chyba że specjalnie, imiennie zaproszonych. Ludzie z sekcji informacji zrobili ogromny wysiłek, żeby przebić tę skorupę. Panowie zaufaliście MKZ-owi. Dlaczego?

Leśniak: — Wszyscy w kraju się zorganizowali.

— Ale macie w Krakowie grupę ludzi przypadkowych, sami mówicie — nie wybranych. Na jakiej podstawie powstało wasze głębokie zaufanie?

Adamski: — Z zebrań ogólnych.

Leśniak: — Mnie umocniło w zaufaniu zebranie na Politechnice przed strajkiem. Jestem były wojskowy i to była praca naprawdę sztabowa.

— Ale była wojenna sytuacja.

Waśko: — Ja nie powiedziałem, że mam zaufanie. Ja o tych sprawach nic nie wiedziałem.

— A nie zachwiała waszym zaufaniem sprawa wolnych sobót? W piątek o 14-tej MKZ przysłał uchwałę, że następnego dnia nie pracujecie. To przecież czyste szaleństwo. A gdzie konsultacja z załogą?

Leśniak: — Była przy następnej wolnej sobocie.

— Jak to się w ogóle stało, że wy sobie tu tak spokojnie żyjecie?

Waśko: — Jesteśmy bardzo zajęci, w produkcji i tutaj. Nie ma etatów dla „Solidarności”. Robotnicy przychodzą i całują klamkę.

Adamski: — Cała robota się skupia na dwóch, trzech osobach.

— Dlaczego nie ma etatów?

Leśniak: — Dyrekcja się nie sprzeciwia. Piekarz nie załatwił i mamy do niego o to pretensje.

— Piekarz jest bez przerwy zajęty w MKZ-cie, a wy jesteście tutaj.

Waśko: — Nie chciałbym, żeby to co mówimy obróciło się przeciwko Piekarzowi. Bez niego nie byłoby „Solidarności” w zakładzie.

— A jak panowie wyobrażacie sobie demokrację wewnątrz-związkową?

Adamski: — Żeby ludzie z MKZ nie działali arbitralnie, tylko liczyli się z zakładami.

— Jak oni mają się z wami liczyć, kiedy was to, tak naprawdę, w ogóle nie obchodzi.

Waśko: — Nie obchodzi, bo nic nie wiemy.

Leśniak: — Zaspałem sprawę.

— Nie, nie wmówicie mi jednak, że Komisja Zakładowa jednego z największych zakładów nie miała żadnych informacji. Kto z was chodzi na zebrania pionów informacyjnych?

Adamski: — Ja.

— Czy tam nie mówiło się tego samego co tu dzisiaj?

Adamski: — Mówiło...

— I ton był krytyczny wobec MKZ?

Adamski: — Był.

— I ustalono, że powinniście to przekazywać dalej w pionach?

Adamski: — Tak.

— Czy pan przekazuje?

Adamski: — Nie.

— Dlaczego?

Adamski: — Nie chcieliśmy o tym mówić. Piekarz też nic nie mówił.

— Dlaczego?

Adamski: — Bo nie.

Waśko, Leśniak: — Dlaczego nam nie mówiłeś?

Adamski: — Nie pytaliście.

Leśniak: — Coś podobnego. A o co mieliśmy pytać, jak nie wiedzieliśmy!

— Ale dlaczego pan nie mówił?

Adamski: — Bo uważałem, że jest takie zaufanie do Komisji Krajowej i MKZ, że nie trzeba nic złego mówić.

— Ale dlaczego?

Adamski: — Dla dobra Związku.

*Piątek, 17 kwietnia, godzina 9-ta,
Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego — produkcja.*

Rozmowa I

— Czy panów, jako członków Związku, pytano o zdanie w jakiejś konkretnej sprawie?

Ludwik Jaworski (ustawiacz): — W jakiej?

— Na przykład wolnych sobót.

Jaworski: — Osobiście mnie nikt nie pytał, ale pracując tyle lat chcę mieć te dwa dni wolne, na działce porobić...

— Więc nie pytano?

Jaworski: — Po to ta „Solidarność” jest, żebyśmy byli wszyscy solidarni.

Stanisław Surówka (tokarz): — W wyborach to każdy brał udział, ale tak to nie pytają. Członkowie Komisji mają większy wpływ. My, tu na dole nie mamy żadnego.

— Znać ludzi z Komisji Zakładowej?

Józef Walczyk (mistrz): — Piekarza znamy.

— Co wiecie o MKZ?

Jaworski: — Nic.

Walczyk: — Wiem, że założył się w Hucie, przeniósł na Karmelicką, a teraz jest w Alejach, że przewodniczącym jest Gil, a był Zawada.

— Był i przestał. Dlaczego?

Walczyk: — To nie było wytłumaczone tak, żeby do wszystkich dotarło. Że lekceważył kolektyw?... To powinno być konkretnie wyjaśnione.

Surówka: — My nie znamy tych spraw. Do nas to nie dociera.

— Uważacie, że to dobrze?

Surówka, Walczyk, Jaworski: — Nie.

— Co robicie, żeby to zmienić?

Walczyk: — Rozmawiamy między sobą, ale więcej to nic...

Surówka: — Do tej pory podawano nam — tak i tak i bez dyskusji. Nie ma tego we krwi, żeby się pytać.

— Czy pan czuje się współodpowiedzialny za coś?

Jaworski: — Nie umiem odpowiedzieć.

— Czy pan w „Solidarności”, w zakładzie czuje się wewnętrznie, konkretnie za coś odpowiedzialny?

Surówka: — Każdy jest na pewno za tym w sensie ogólnym. Ale czy wewnętrznie czuję się współodpowiedzialny? Nie wiem.

Rozmowa II

— Jak jest z informacją w zakładzie?

Stanisław Gałek (planista): — Słabo. Uważam, że dojrzał już czas, żeby się zebrać i powiedzieć: Słuchajcie koledzy, tyleśmy zrobili, tyle — nie. I dlaczego?

— Wiecie co robi Komisja Zakładowa?

Gałek: Zbiera okruchy ze stołu — to całe masło. Trzeba przyznać, że dzielą sprawiedliwie. Dawniej, ci z Rady Zakładowej sami wszystko wynieśli. Ale poza tym nie wiem, co robią.

Stefan Stempak (mistrz): — Informacja związkowa powinna być dostępna. Na przykład radiowzeź jest uruchamiany jak się coś dzieje — afery, strajki, a jak jest spokój, to i tu cisza.

Gałek: — „Gońca” dostaje się z przypadku, albo po sympatii, ale jak może być inaczej, kiedy jest kilka egzemplarzy na wydział.

— Ale gdybyście bardzo chcieli wiedzieć?...

Gałek: — Na upartego można, fakt.

Stempak: — To nie chodzi tylko o dostęp, ale o jakość. Sprawa Lasoty, czy inne zostały podane w telegraficznym skrócie, bez wyjaśnień, bez możliwości zajęcia stanowiska. Jeśli oni chcą od nas wiary bezgranicznej, to to jest zawsze szkodliwe.

Rozmowa III

— Czy pytano was o coś?

Bogusława Piznal (ślusarz), Halina Pecia (ślusarz): — Nie.

— O wolne soboty?

Kazimiera Biela (pomocnik planisty): — Ogłaszano przez głośnik.

Pecia: — Czytano na wydziale.

Piznal: — Uważamy, że nie powinni się o to pytać. Jeśli są w „Solidarności” to wiedzą.

— Wszystko wiedzą?

Piznal: — No, tak...

— I u was nic nie trzeba zmieniać?

Pecia: — Warunki są bardzo ciężkie. Widziała pani jak pracujemy. Nadźwigamy się chłodnic, 75 dziennie. Nie mamy dodatku za szkodliwość, mimo że mężczyźni mają, a my zarabiamy trzy razy mniej.

— Zrobiliście coś w tej sprawie?

Piznal: — My dwie nic nie zdziałamy. Jak się mówi do mistrza, to drugim uchem wypuszcza.

— A „Solidarność”?

Piznal: — Taka mała sprawa...

— Próbowaliście?

Piznal: — Nie.

— Dlaczego zapisaliście się do Związku?

Pecia: — Słusznie walczą o to wszystko, co się w Polsce dzieje.

— Czyli bardziej dlatego, co robią na zewnątrz niż wewnątrz zakładu?

Piznal: — Nie. Wewnątrz też. Wolno teraz mówić, co się myśli.

— A co się myśli?

Piznal: — Że życie jest ciężkie. Inaczej to sobie wyobrażałam, a nie tak.

R o z m o w a IV

— Co myślicie o cenzurze?

Kazimierz Majchrowski (organizator produkcji: — Wiadomo, źle.

— Czy wiecie, że były próby cenzurowania wydawnictw wewnątrzwiązkowych?

Sylwester Bartosik (tokarz): — U nas w Związku?

— Pisał o tym ostatni „Goniec”. Czytaliście?

Zenon Piznal (spawacz — zastępca przewodniczącego Komisji Wydziałowej): — Nie.

Bronisław Bednarowski (starszy mistrz): — Uważam, że powinna być cenzura wewnątrzwiązkowa.

— Dlaczego?

Bednarowski: — Są rzeczy, które powinny być tajemnicą, bo one bulwersują nas, prostych ludzi.

— Nie chce pan wiedzieć, jak działają władze Związku?

Bednarowski: — Osobiście chciałbym wiedzieć, ale z drugiej strony mnie to rusza.

Bartosik: — Jak nie będziesz wiedział, to nie będziesz mógł ukrócić.

Piznal: — Jako zasada powinniśmy wszystko wiedzieć.

— Co wiecie o MKZ?

Majchrowski: — Prawie nic. Sprawa Zawady nie wyjaśniona.

— A o komisji krakowskiej?

Piznal: — Co to jest?

— Wasz zakład jest w tej komisji.

Majchrowski: — Dlaczego nam nie mówicie?

Alojzy Kaczor (spawacz — przewodniczący Komisji Wydziałowej): — Sam nic nie wiem.

— Kogo znacie w MKZ?

Majchrowski: — Gil jest przewodniczącym.

Bednarowski: — No i Piekarz...

— Zbliżają się wybory. Kogo będziecie wybierać, jeśli nikogo nie znacie?

Majchrowski: — Tyle miesięcy minęło i żeby do tak dużego zakładu jak nasz nie pofatygował się nikt z MKZ?

— Upominaliście się?

Majchrowski: — Może i my od dołu powinniśmy się upominać.

Bartosik: — Dlaczego Rakowski ma czas? Był tu parę dni temu, spotkał się z załogą, picował, zrobił sobie reklamę.

Piznal: — Między zakładem a MKZ nie ma łączności.

— A między Komisją Zakładową i załogą?

Bartosik: — Też nie bardzo.

— Co z wami konsultowano?

Majchrowski: — Nic.

— Wolne soboty, strajk w sprawie Nowego Sącza?

Bartosik: — Nikogo tu nie było.

Kaczor: — Myśmy pytali.

Majchrowski: — Nas nikt nie pytał.

Piznal: — Pytałem się wokół siebie, w brygadzie. Trudno po całym wydziale chodzić. Tu jest akord.

Majchrowski: — Trzeba zrobić zebranie. Ogłosić.

Piznal: — Nikt nie przyjdzie.

Bednarowski: — Skąd wiesz?

Piznal: — Bo z ankietą ogłoszenie wisiało tydzień i przyszło siedem osób.

Majchrowski: — Jaka ankieta?

Piznal: — No właśnie!

Kaczor: — Wy byście się sami z siebie też mogli trochę zainteresować.

Majchrowski: — Czytamy przecież to, co jest na tablicy, ale czasami można coś przeoczyć.

Bartosik: — Trzeba bezpośrednio do ludzi mówić, rozmawiać. Raz na miesiąc powinno być zebranie wydziału.

Piznal: — Raz już zrobiłem. Nie przyszli.

— To się pan obraził?

Majchrowski: — Kochani, jak nie będzie konkretów to i nikt nie będzie przychodził.

Godzina 14-ta

Oddaje przepustkę na portierni. Obok wisi tablica „Solidarności”. W środku duży czerwony napis: Nie oddamy Sierpnia!

(Tygodnik Solidarność, 8 maja 1981)

Jan DWORAK

SZTANDAR HUTY WARSZAWA

Jest pewne, że z uroczystości poświęcenia związkowego sztandaru można napisać krótkie, treściwe sprawozdanie. Jest równie pewne, że można pisać jeszcze krótszą notkę informacyjną. Bo co to właściwie za temat — poświęcenie sztandaru — myśli dziennikarz.

W niedzielne popołudnie 26 kwietnia rozpoczynała się uroczystość poświęcenia sztandaru „Solidarności” przy Hucie Warszawa. Kilka minut przed piątą rozzwoniły się dzwony w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

Na wieżach kościoła biało-czerwone i symbolizujące pracę

hutników pomarańczowo-czarne flagi. Na frontonie transparent: Bóg i Ojczyzna. Niżej kamienny taras. Na nim, wysoko nad głowami wiernych — ołtarz. Z prawej poczet sztandarowy hutników w charakterystycznych strojach, z kapeluszami o szerokich wywiniętych rondach i honorowi świadkowie poświęcenia sztandaru: członek KKP Alina Pieńkowska, pielęgniarka, którą mogli zapamiętać widzowie filmu „Robotnicy '80” oraz Andrzej Wajda.

Przed kościołem 10-tysięczny tłum wypełnia skwer i przyległe uliczki.

Mszę celebruje ks. bp sufragan warszawski Zbigniew Kraszewski. Następują czytania. Do mikrofonu podchodzi robotnik, później młoda dziewczyna w uniwersyteckiej czapce. Na rękawach mają biało-czerwone opaski. „Dziękujcie Panu, bo jest miłosierny” — modli się tłum.

Biskup Kraszewski odczytuje depeszę nadesłaną do związkowców Huty przez Prymasa Polski: „Błogosławię waszym szlachetnym zamiarom”. W kazaniu nawiązuje do hasła — Bóg i Ojczyzna, hasła, które było wyznawane i realizowane przez pokolenia Polaków w czasie wojny i pokoju. Dalej biskup przypomina profetyczne fragmenty z poezji Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego. Przywołuje też słowa Jana Pawła II wypowiedziane podczas Mszy Św. na Pl. Zwycięstwa w Warszawie: „Niech zstąpi duch Twój! I odnowi oblicze ziemi, Tej ziemi!”. I oto nasza ziemia jest odnowiona. — „Cześć wam robotnicy za wiarę i za miłość Ojczyzny” — woła biskup. — Jesteśmy ludźmi zadufanymi nie w siłę, lecz miłosierdzie Chrystusa i Matki Bożej. Nikomu nie obiecujemy raju na ziemi, ale zgodnie ze wskazaniami Św. Benedykta, patrona Europy, modlitwą i pracą wyprowadzimy Ojczyznę na prostą drogę.

Ostry dźwięk trąbek wskazuje, że zbliża się kulminacyjny moment uroczystości. Biskup Kraszewski święci sztandar. Rozlega się dostojna melodia „Gaude Mater Poloniae”. Na sztandarze — św. Florian — patron hutników. U góry napis „Honor-Ojczyzna-Wiara”. U dołu: „Święty Florianie, miej nas w opiece”. Z drugiej strony na tle srebrnego orła wielkie litery — „Solidarność”. I jeszcze: Huta Warszawa — 1980.

Hutnicy składają ślubowanie. Przyrzekają działać dla dobra narodu i Ojczyzny, być solidarni i zwarci, strzec umów społecznych i przestrzegać postanowień statutu Związku.

Msza św. zbliża się do końca. Biskup Kraszewski święci krzyż zrobiony przez hutników, który będzie wisił w siedzibie ich Związku, błogosławi zebranych... Hymn „Boże coś Polskę” śpiewany przez zebranych kończy uroczystość.

Nie tylko dla kronikarskiej ścisłości trzeba dodać, że zebrani dwa razy zareagowali oklaskami: raz po okolicznościowym wierszu napisanym i przeczytanym przez robotnika, w którym prosi Boga o pokój, i drugi raz, gdy już po Komunii Gustaw Holoubek w przejmującej ciszy deklamował modlitwę za Ojczyznę.

Przez chwilę myślałem w tej ciszy, jak opisać tę uroczystość, aby nie wpaść w łatwą ckliwość i bigoteryjną histerię.

Jak opisać mężczyzn, ocierających łzy!? A przecież sam ich widziałem. Stałem wśród nich...

Świeżo poświęcony sztandar w bogato udekorowanym kwiatami i flagami odkrytym samochodzie powoli sunął ulicą Krasin-skiego wśród klaszczących tłumów.



O zmierzchu Huta wygląda jeszcze bardziej szaro niż w ciągu dnia. Samochody zatrzymały się przed bramą. Brama uchyliła się na krótko. Wewnątrz stało kilkudziesięciu hutników. Nie mieli na głowach kapeluszy z szerokimi wywiniętymi rondami. Byli ubrani w poplamione drelichowe kurtki, szare albo granatowe. Jeden z nich wziął sztandar i pochylił drzewce. Drugi rozprostował materiał, żeby wszyscy mogli obejrzeć sztandar.

A potem poszliśmy — robotników było coraz więcej, około dwustu — zanieść sztandar do siedziby „Solidarności”. Robotnicy, wśród których siedłem, rozmawiali o sprawach praktycznych i dość głośno szurali nogami, słowem, zachowywali się zwyczajnie i normalnie.

A jednak w tym marszu było coś niezwykłego. Zamglona ciemniejąca perspektywa zupełnie pustej głównej alei, stukot ciężkich butów o beton.

Przed siedzibą „Solidarności” robotnicy ze sztandarem zatrzymali się. Troskliwie zaczęli go zwijać.

Uroczystie ubrany przewodniczący Karol Szadurski spojrzał na kolegów w przybrudzonych drelichach. „Dziękuję wam za przybycie” — powiedział i zamilkł. Po chwili rozłożył ręce jakby w geście przepraszającym za brak pointy: „Cieszymy się, że mamy nasz sztandar”.

(Tygodnik *Solidarność*, 8 maja 1981)

OTWOCK, 7 MAJA

7 maja od pijackiej awantury o godzinie 16-tej rozpoczęły się wydarzenia, które następnego dnia doprowadziły do spalenia i zburzenia komisariatu kolejowego MO. Przedstawiamy relację Jana Walca, który przebywał w Otwocku od godziny 20-tej dn. 7 maja do godziny 5-tej rano dnia następnego. W sobotę 9 maja w Otwocku została utworzona straż obywatelska i w mieście wreszcie zapanował spokój.

Zanim sąd przystąpi do przesłuchiwania świadka zadaje sakramentalne pytanie: czy świadek jest obcy dla stron. Żeby nie było wątpliwości: nie jestem obcy. Od końca 1977 roku byłem współpracownikiem Biura Interwencyjnego KSS KOR. Jestem współautorem tzw. Białej Księgi wydanej przez KOR a będącej opisem łamania prawa przez milicję, jestem autorem wielu tekstów na ten temat opublikowanych w nieistniejącym już dziś „Biuletynie Informacyjnym”.

Uważam za swój obowiązek poinformować o tym wszystkim czytelników „Tygodnika Solidarność” ponieważ mimo dobrej woli i głębokiego pragnienia, by zachować obiektywizm, mam zapełnione do milicji stosunek emocjonalny.



W Otwocku znalazłem się przypadkiem. Tego wieczora byłem umówiony ze Zbyszkim Romaszewskim, dawniej moim kierownikiem w Biurze Interwencyjnym KSS KOR, a obecnie pracownikiem Biura Interwencji Regionu Mazowsze. Nie zastałem Zbyszka, a tylko zostawioną przez niego wiadomość, że w Otwocku doszło do pobicia ludzi na stacji kolejowej i prośbę abym natychmiast jechał do Otwocka. Nie wiedziałem, o co chodzi ani po co jestem potrzebny, ale Zbyszek takiej prośby nie zostawiłby bez powodu.

Kiedy wszedłem w ogromny, falujący tłum na otwockiej stacji, nie zorientowałem się w pierwszej chwili, że tymi ludźmi, których trzeba dziś będzie bronić, są zamknięci w oblężonym posterunku milicjanci. Tłum robił straszne wrażenie. Jeżeli pijani nie przeważają, to z natury rzeczy najbardziej rzucają się

w oczy, przyciągają wzrok. I tylko oni, ponieważ tłum jest kompletnie amorficzny, nie ma żadnych przywódców czy przewodników. Rozpytuje się na chybił trafił. Słyszę, że milicja pobiła dwóch ludzi. Jeden został aresztowany, drugiego odwieziono do szpitala w Otwocku, jednak ze względu na skomplikowany uraz oka szpital go nie przyjął i w końcu odwieziono go do lepszego szpitala w Warszawie. Jeden z milicjantów, którzy bili, uciekł — tłum pilnuje teraz by nie uciekli pozostali.

Staram się selekcjonować informacje, które sypią się na mnie ze wszystkich stron. To już nie są szumy informacyjne ale informacyjny huragan. Ludzie gdzieś mnie prowadzą, coś pokazują, coś opowiadają. Wreszcie okazuje się że to znaczek związkowy, który noszę od tak dawna, że o nim nie pamiętam, czyni tu ze mnie osobę oficjalną.

Ludzie szczerlnie oblegają drewniany budynek. Słyszę głosy: Wyłamać drzwi! Dawać go tu! I dziesiątki imion, nazwisk, ksywek ludzi przez tutejszą milicję pobitych. Głowa, ręce, nerki — nie rejestruję tych informacji. Spod wrzawy przebija tylko pamięć — Otwock, Otwock, Otwock — ile to spraw milicyjnych pobić mieliśmy w korowskim Biurze Interwencyjnym stąd właśnie...

Przepycham się do obłożonego budynku, ludzie rozstępują się przed znaczkiem. Mówią, że w środku jest ormowiec, jeden z tych co bili. Uciekł tu, zamknął się i nie chce wyjść. Tłum próbuje wyłamywać drzwi. Atmosfera wiszącego w powietrzu linczu aż mdli. Jak tych ludzi powstrzymać. I znowu znaczek. — Jestem z Regionu Mazowsze — krzyczę ze schodków. Na miejscu są przedstawiciele Komisji Interwencyjnej. Sprowadzimy ich tutaj, otworzymy komisynie (Boże, co za słowo, ale wtedy nie pojmuję jego nieprzystawalności do sytuacji), winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

Z tłumu padają ciągle okrzyki domagające się zastosowania kodeksu Hammurabiego, ząb za ząb, oko za oko. I to nie jest żadna przenośnia, bo jeden z poszkodowanych ma właśnie zgodnie z opinią tłumu wybite oko. Moje darcie gardła przynosi jednak jakiś skutek. Apele o praworządność, deklaracje aby stare sprawy załatwiać po nowemu, wyłuskują z tłumu paru młodych ludzi, którzy wraz ze mną zastawiają drzwi. Pojawia się wysoka postać Zbyszka, który uspokaja ludzi, mówi im o praworządności, ale praworządność dla tego tłumu jest jedna — ukarać winnych, ukarać milicjantów, którzy biją LUDZI. Zbyszek nie wie, gdzie są świadkowie, owszem, byli, są zapisane personalia, ale nie wiadomo, gdzie tych ludzi szukać.

I właściwie dopiero teraz dostrzegam drugi obłożony przez tłum budynek, z racji jego mizernej architektury nie przychodzi mi do głowy że to może być komisariat milicji. Tam też jacyś ludzie tarasują drzwi przed tłumem; dostrzegam, że i wokół tego budynku gromadzą się ludzie. Z nadzieją że może tu czegoś się dowiem, ale bardziej po prostu niesiony falą, a może przez przejście które samo robi się przed moim znacznikiem, wpływam do środka. I dopiero wtedy orientuję się gdzie jestem, widzę mundury milicyjne, widzę milicjantów w cywili, których przez ostatnie lata nieomylnie nauczyłem się rozpoznawać. Opanowuje mnie uczucie ulgi. Nareszcie jest jakaś władza, ktoś, kto tym wszystkim dowodzi.

Pytam o świadków, nerwowo tłumacząc, do czego mi potrzebni. I dzieje się coś dziwnego: ani milicjanci, ani cywile nie wykazują najmniejszej ochoty, aby mnie indagować, nie żądają, abym się legitymował czy uzasadniał to, że jestem, pytam, próbuję coś robić. Jeden z cywilów przedstawia się jako miejscowy prokurator rejonowy i przedstawia mi z kartką w ręku przebieg wydarzeń: dwaj pijani Mariański i Gugała zaczęli ok. godz. 16-tej obrzucać kamieniami pusty komisariat MO. Interwencję podjął patrolujący okolice dworca kapral. Napastnicy stawili opór. Do kaprała dołączył obecny na dworcu funkcjonariusz w cywili i przypadkowy obywatel. Jeden z milicjantów został powalony przez awanturników. Możliwe, że kiedy się uwalniał, uderzył któregoś z nich. Kapral otworzył posterunek i zatrzymał awanturników, jednego w celi, drugiego w pomieszczeniu biurowym. Krzyczeli, że ich biją, posterunek oblegał tłum.

Ktoś przeprowadza świadka-kolejarza w roboczym kombinezonie. Idziemy do sąsiedniego budynku, gdzie zostawiłem przed kilku minutami obłożonego ormowca. Drzwi są już otwarte, ale ludzie nie dopuścili do linczu. Tłum krzyczy: — to ten w skórce, ormowiec! Znamy go! Dawać go tu! I wyzwiska, wyzwiska, wyzwiska.

Świadek mówi, że widział całe zajście i że ten ormowiec nie brał w nim udziału. Tłum ciągle zjezony, wlewa się częściowo do budynku. — Tu jest mielina, tu sprzedają wódkę — padają gęsto głosy. Rozmawiam z ormowcem, który zresztą twierdzi, że obecnie do ORMO nie należy. Dawniej, ale dzisiaj już nie. Ludzie rozchodzą się po budynku szukając wódki i pozostałych milicjantów.

Na środku jednego z pomieszczeń kupa butelek po wódce, ludzie kręcą się szukając, czy nie ma gdzieś wyjścia na strych albo do piwnicy, sprawdzają, czy w którejś szafce nie ma ukry-

tego milicjanta. Niektóre z szafek są zamknięte na kłódki, ktoś bierze się do ich ukręcania, pojawia się koncepcja, że milicjanci dali się ormowcowi pozamykać w szafkach właśnie. Kłódki się ostają, kołyszac szafkami sprawdzamy, że ludzi nie ma. Co za ulga! A gdyby byli? A gdyby kolejarz rozpoznał ormowca jako jednego z bijących? Mróz przechodzi po krzyżu.

Podchodzi do mnie jakiś pan, przedstawia się jako przewodniczący MRN, chce się włączyć, coś pomóc. Mówi, że jest tu dopiero od lutego. — W ramach odnowy? — pytam. Potwierdza z kwaśnym uśmiechem i mówi, że mało się tu zmieniło, że teraz pękł wrzód i może coś się ruszy. Radzę ormowcowi, żeby wiał jak najprędzej do domu, ale najwyraźniej się boi. Razem z przewodniczącym i świadkiem-kolejarzem przeciskamy się na posterunek.

Zbyszek Romaszewski niestrudzenie przemawia do tłumu, chrypie, ciągle uspokaja. Jedyne co może zrobić to starać się zapobiec dalszemu rozwojowi sytuacji. Staram się mu pomagać, ale nie jesteśmy w stanie tłumu uspokoić, a najwyżej powstrzymywać go nadal przed zdobyciem siłą komisariatu. Mówię przewodniczącemu MRN, że trzeba wytłumaczyć prokuratorowi i komendantowi milicji, że tym zgromadzonym tłumnie ludziom trzeba coś dać, że nie rozejdą się za darmo. Okazuje się, że prokurator nie ma żadnej koncepcji rozwiązywania konfliktu, komendant podobnie, ich głównym zajęciem i wielką zasługą jest powstrzymywanie płk. Rusinowicza z Komendy Stołecznej, który przybył na czele oddziałów ZOMO do Otwocka, stacjonuje w Komendzie Miejskiej.

I nie wiem, czy to skaza korowskiego życiorysu, ale wcale nie boję się tego tłumu, w którym nawet najbardziej pijani i rozżarci rozstępują się przed znacznikiem „Solidarności”, nie boję się nawet ludzi o ewidentnie bandyckich gębach i tatuażach — siedziałem z podobnymi do nich w niejednej celi. Boję się naprawdę płk. Rusinowicza. I ciągle nie wiem, czy uda się ocalić zestrachanego, trzęsącego się na posterunku rudego kaprała.

— Rudego dawać! Rudy najgorszy! Ile on ludzi nabił! Tłum wybiją szyby w zakratowanych oknach posterunku, do środka wpadają kamienie. Przewodniczący MRN rozmawia z cywilem, jak się okazuje, komendantem całej otwockiej milicji. Ja — z prokuratorem. Romaszewski z kolegami z otwockiej „Solidarności” przemawiają do tłumu. Na szczęście skądś zdobyli wiecową tubę.

— Panie prokuratorze — pytam — dlaczego pan nie zwolni

zatrzymanych? Przecież pan musi coś tym ludziom dać! Dowiaduję się, że jeden z zatrzymanych przewieziony został do Warszawy, do szpitala na Grenadierów, gdzie stwierdzono, że pomoc lekarska nie jest mu potrzebna i ostatecznie osadzono go w Izbie Wytrzeźwień. To komplikuje sprawę: zaczyna działać bariera biurokracji — zatrzymany nie należy już ani do MO, ani do prokuratora ale do warszawskich władz miejskich. Nie wiadomo, kto właściwie może go zwolnić.

Z-ca naczelnika Otwocka z dwoma kolegami z miejscowej „Solidarności” postanawiają jechać do Warszawy, do Izby Wytrzeźwień, bo ani komendant MO ani prokurator nie chcą, nie umieją czy nie mogą — nie wiem — załatwić przez telefon, aby zatrzymanego przewieźć do Otwocka.

Próbuję namówić kolejno prokuratora i komendanta do oświadczenia tłumowi, że milicjanci winni pobicia zostaną ukarani. Jak głową w mur. Tymczasem w okno aresztu od zewnątrz ktoś wkłada tłące się szmaty. Nie można ich usunąć, bo od wewnątrz okno aresztu zabezpieczone jest — jak zresztą w każdym areszcie — gęstą drucianą siatką. (Godzi się tu dodać, iż powtarzane w TV twierdzenie lekarki pogotowia, dr Ireny Morawskiej, iż zatrzymani wybili szybę w areszcie, a któryś z nich bił głową o kraty, jest kłamstwem — w żadnym areszcie, ze względów konstrukcyjnych, nie można od wewnątrz wybić szyby. Dodajmy przy okazji, że p. dr Morawska wywożąc zatrzymanych oświadczyła rozsierdzonemu tłumowi, że i tak zostali oni za mało pobici i że jest to najlepsza metoda pracy milicji).

Od zewnątrz wybite okno przysłonięto dyktą i cały gryzący dym wali do aresztu. Milicjanci, którzy się tam schronili, a wśród nich rudy kaprał, muszą opuścić celę. Żeby nie pokazywać się tłumowi, stają w głównym pomieszczeniu budynku schowani za kotarą. Bezradnie próbuję namówić prokuratora, żeby zawiesił w czynnościach służbowych kaprała, tłumacząc, że jeżeli złoży takie oświadczenie, tłum się uspokoi. Prokurator twierdzi, że nie ma kompetencji, komendant to samo. Chronią się pod ścianami, chociaż kamienie po wybiciu szyb przestały padać. I tylko powtarzają: panowie, tylko wy możecie coś zrobić, przecież tylko was słuchają.

Ciągle jeszcze słuchają, my ciągle powtarzamy, że winni będą ukarani zgodnie z obowiązującym prawem, że rozmawiamy z władzami w sprawie zwolnienia pobitych i zatrzymanych, ale tłum — czego by o nim nie powiedzieć — nie jest ani ślepy, ani głuchy, ani głupi i doskonale widzi, że milicja chętnie korzysta z ochrony Związku, ale wypuścić zatrzymanych ani ukarać mi-

licjantów, którzy ich pobili wcale się nie kwapi, próbuje iść na przeczekanie, nie chce nawet podać nazwisk zamieszanych w zajście funkcjonariuszy. I czeka, aż „Solidarność” rozwiąże konflikt.

Rozmawiam z prokuratorem. Jest pat. Wreszcie wpadamy na pomysł, żeby sprowadzić księdza. Chłopcy z miejscowej „Solidarności” jadą na plebanie. Po raz któryś nakręcam numer Mazowsza — nikt nie podnosi. I nagle coś mi się przypomina: 39-39-64 — numer, pod który przez ostatnie lata dzwoniło się zawsze, kiedy coś się działo, bez względu na porę dnia czy nocy, numer Jacka Kuronia.

Rozmawiam z Grażyną Kuroniową. Jacka nie ma w Warszawie, będzie jutro. — Gaju, nie mam notesu, nie mogę się nigdzie dodzwonić, spróbuj mi pomóc złapać Zbyszka Bujaka albo Adasia — nerwowo opowiadam co się dzieje, skąd dzwonię. A co to za wrzask? — pyta Gajka. Odejmuję słuchawkę od ucha, kieruję ją w stronę okna — „co nam obca przemoc wzięta, szablą odbierzemy” — razem słuchamy Mazurka. Podaję numer telefonu posterunku, ona jeszcze rzuca „trzymajcie się” i czekamy.

Telefony dzwonią, płk Rusinowicz ponawia swoją ofertę odzieczy po raz nie wiadomo już który, po prostu ma jeden pomysł i jest bardzo do niego przywiązany, prokurator sprzeciwia się, tłum przechodzi na „Boże coś Polskę”. Rudy kapral trzyma się za brzuch, mówi że już dłużej nie może wytrzymać, w komisaracie nie ma ustępu. Daję mu kubek ze śmieciami, mówię żeby wysypał je w kąt i poszedł do pustego aresztu. Tłum dalej śpiewa kolejną pieśń. Trzeszczą deski rozwalanej obok komisarjatu komórki, „przeszłości ślad dłoń nasza zmiata, przed ciosem niechaj tyran drży!”.

To nie ja mam drzeć, ale straszno. Mimo pijanych, to już nie jest pijacka czy chuligańska rozróbka, to co mnie od paru godzin otacza musi mieć swoją przyczynę i nie jest nią na pewno dzisiejsze pobicie dwu nietrzeźwych rozrabiaczy. Ci, którzy śpiewają za oknem, to po prostu lud. Przynajmniej dawniej tak to się nazywało. Ba, gdyby to mógł zrozumieć pułkownik Rusinowicz!

Śpiewy, wyzwiska, śpiewy, grube żarty i naigrawania się z coraz bardziej znękanych milicjantów. Coraz bardziej ludowo. Jest wreszcie ksiądz, ale widząc go tracę i tę nadzieję — jest blady, przestraszony, nijaki. To nie jest typ kaznodziei, który potrafi porwać tłum — ludzie go nawet słuchają, ale nie ma im nic do zaoferowania, powtarza w kółko kilka zdań o potrzebie

spokoju, nie daje się namówić do wygłoszenia kazania. Z tłumu padają żądania, aby milicjanci udali się do spowiedzi i to przed ołtarzem, ksiądz w kółko tłumaczy, że nie wolno nawracać siłą, wreszcie rozpoczyna modlitwę.

Znowu telefon. Prokurator podnosi słuchawkę. — „Pan Michnik do pana Romaszewskiego albo do pana Walca” anonuje takim tonem, jakby nigdy nic innego nie robił tylko pełnił obowiązki korowskiej sekretarki. Zbyszek się gdzieś zawieruszył. — Adaś — cieszę się jakby było z czego. I jak się okazuje mam rację. Funkcjonariusze też czekają z nadzieją. Adam rozmawiał przed chwilą z wicepremierem Rakowskim, który obiecał natychmiastowe podjęcie stosownych działań. To już coś, ale jak się okazuje bardziej dla mnie niż dla pozostałych stron — milicjantów i tłumu. Ani milicjanci ani tłum nie uważają, zdaje się, by wicepremier mógł tu coś załatwić.

Znowu telefon. Podnoszę słuchawkę. — Posterunek — mówię spokojnie, jakbym całe życie był posterunkowym. — Mówi Bujak — słyszę znajomy głos. — Mówi Walc — odpowiadam. Zbyszek pyta, co ja tu robię. Co robię? Nic nie robię, jestem. Referuję Zbyszkowi stan rzeczy. Cuchnie benzyną, cały budynek jest już oblany. Zbyszek obiecuje podjąć rozmowy z min. Bafią w sprawie zwolnienia zatrzymanych. Do Otwocka jedzie Seweryn Jaworski, wiceprzewodniczący prezydium regionu, z prof. Kłopotowskim.

W przedsionku zaczyna się palić, ktoś próbuje przytłaczać ogień stojącą tam trzydrzwiową szafą, milicjanci są zdezorientowani. — Kapitanie, gdzie jest gaśnica! — wrzeszczę. — Tam, za drzwiami, zawsze tam była. — Jest; syk, smród, po chwili to samo. Boję się, że gaśnicy na długo nie wystarczy. Z kolegą z otwockiej „Solidarności” wychodzimy z budynku. Tłum ogromny, co najmniej tysiąc osób, może dwa. Przechodzimy przez tory do zawiadowcy stacji po drugą gaśnicę. Przy okazji dzwonię do straży pożarnej, później dowiem się, że rozmawiałem z jej komendantem. Proszę, żeby na wszelki wypadek podjechać w pobliże, stanąć gdzie za rogiem. Taszczymy gaśnicę na posterunek, trochę obawiam się, czy ktoś po drodze nie będzie próbował jej nam odebrać, docieramy jednak szczęśliwie.

— Rudy taki owaki! Rudy taki owaki! — to tłum wyzywa dalej kaprała. Ten boi się wyjść z za kotary, żeby nie oberwać kamieniem. Ktoś wchodzi od zewnątrz na okno, rozkrzyżowuje się na kratkach, woła: wyłaż, teraz w ciebie nie uderzą, najwyżej we mnie. I rudy kapral wychodzi z za kotary, mówi parę zdań do tłumu. Tłum wrze. Na biodrze kaprała pistolet. Czy

to celowa ostentacja czy głupota? Chyba raczej głupota. Dobrze jednak, że się kapral pokazał, przynajmniej tłum ma pewność, że nie uciekł.

Kapral chowa się znowu za kotarę, ludzie włączają na okno, czepiają się gzymsów. Pojawia się Zbyszek Romaszewski, jeździł do ZWAR-u, chciał ściągnąć robotników z trzeciej zmiany, utworzyć coś w rodzaju robotniczej milicji, by zaprowadzić porządek. Czy to jednak brak surowców, czy któryś kolejny stopień elektrycznej bezsilności, dość, że trzeciej zmiany nie było. Dzwonię do Michnika, mówię żeśmy się już dwa razy zaczynali palić, że nadal cuchnie benzyna, że ksiądz nie pomógł, że znalazł się Bujak i jest w Mazowszu. Adam nie potrafi powiedzieć, czy Rakowski coś konkretnego zrobił, ale na moją prośbę obiecuje przyjechać.

Nie możemy się doczekać powrotu ekipy, która pojechała do Izby Wyrzeźwień. W końcu Zbyszek Romaszewski dzwoni tam i oto okazuje się, że władze nas wszystkich najbezczelniej oszukują, zatrzymany nie został odwieziony do Izby Wyrzeźwień, ale do aresztu. Bezsilna złość. Przecież nie powiemy tego tłumowi. Telefony, telefony, telefony. Biorę prokuratora na bok — jego zwierzchnicy uważają, że zatrzymani znajdują się w takim stanie, iż nie można ich wypuścić, bo to zaostrzy sytuację.

Nawet rozumiem prokuratora. Widywałem w rozmaitych celach ludzi, pobitych przez milicjantów. Dobrego wrażenia nie robili, to fakt. Ale benzyna śmierdzi, a bierny opór musi doprowadzić do pożaru. Wreszcie przyjeżdżają przedstawiciele Regionu — Jaworski i Kłopotowski. Byli na komendzie w Warszawie, gdzie przebywa jeden z zatrzymanych, rozmawiali z nim. Prof. Kłopotowski przemawia do tłumu, próbuje bagatelizować obrażenia zatrzymanego Mariańskiego, trochę się płacze, tłum mu nie wierzy. Jaworski, jak zawsze solenny, rzeczowy, spokojny, to też nie jest człowiek, który mógłby opanować ten tłum.

Jest chyba druga w nocy, tłum stopniowo trzeźwieje, upływ czasu robi swoje. Ludzi jest mniej, ale zostali ci najbardziej zacięci. Widzą, że „Solidarność” prowadzi rozmowy, że zaangażowani są w nie min. Bafia i wicepremier Rakowski. Ale widzą też, że władze przez cały czas grają na zwłokę. Jaworski, Kłopotowski, Romaszewski udają się do Komendy Miejskiej MO w Otwocku, gdzie siedzi Gugała. Towarzyszą im prokurator rejonowy i komendant miejski. Zostają milicjanci, koledzy z otwockiej „Solidarności” i ja. Sam. Ksiądz dawno nie ma, choć prosiliśmy go, żeby pozostał. Milicjanci wspominają wczorajszą

noc i marzą o deszczu, którego dziś nie będzie. Niebo jest bezchmurne.

Czas się wlecz. Rozmawiam z kolegami, którzy z z-cą naczelnika jeździli do Izby Wytrzeźwień. Opowiadają, że byli świadkami jego telefonicznych rokowań z prezydentem Warszawy Majewskim w sprawie wypuszczenia Mariańskiego z Izby Wytrzeźwień. Obaj rozmówcy nie wiedzieli, że naprawdę siedzi on w areszcie na Grenadierów, ale prezydent na wszelki wypadek odmówił, zasłaniając się niekompetencją. Miał natomiast własny pomysł na rozwiązanie tego konfliktu. Zналиśmy go już jako pomysł płk. Rusinowicza.

Z tłumu pada ultimatum: punkt trzecia podpalamy. Piętnaście minut. Dzwonię na komendę miejską, dzwonimy tam wszyscy — milicjanci, ormowcy, „Solidarność” otwocka. A tam rokowania. Jak Polak z Rusinowiczem. Odliczanie minut jak na kosmodromie. Sztab nie chce wypuścić Gugały, ponieważ narazi to na szwank autorytet milicji. Może ten autorytet ważniejszy od rudej głowy kaprała? Dla mnie nie, ale ja nie jestem obiektywny. Słysząc gulgot rozlewanej benzyny. Jest trzecia. Tłum wycofuje się na zewnątrz, ludzie zbierają płaszcze, kurtki, siwy kapitan, szef posterunku zdejmuje ze ściany olejną martwą naturę i prosi kogoś, żeby spróbował ją wynieść. Sam to malowałem i byłoby mi żal — tłumaczy się.

Dwie po trzeciej. Benzyna śmierdzi potwornie. Dzwonię ostatni raz. — Jeśli w tej chwili nie wyjedziecie, mówię do jakiegoś milicjanta po drugiej stronie, przyjedziecie na gaszenie. Odkładałem słuchawkę i natychmiast dzwoni telefon: — Wyjeżdżamy.

Wyjeżdżają, wyjeżdżają, wyjeżdżają. Część tłumu odbiega od okien w kierunku drogi, ale zostaje dość ludzi, żeby nas pilnować. Po chwili wprowadzają Gugałę. Jest pobity w widoczny sposób. Tłum domaga się, żeby powiedział, kto go pobił, Gugała nie wie czy nie pamięta, a może wie, że nie powinien tego mówić? Napięcie ogromne, ale chwilowo nie ma niebezpieczeństwa podpalenia. Odwożą Gugałę do domu. Przedstawiciele Mazowsza wsiadają do samochodu, jadą po drugiego zatrzymanego na Grenadierów.

Ktoś dzwoni, że Mariański już został z komendy zabrany przez Zbyszka Bujaka i Adama Michnika, już jadą. Teraz czekanie jest łatwiejsze. I wreszcie są! Dwóch ludzi niesie Mariańskiego na rękach. Jest w takim stanie, że nie może stać o włas-

nych siłach. Na gołe ciało ma nałożoną znajomą kurtkę Adama Michnika. Nadal jest albo pijany, albo przynajmniej zszokowany. Trzęsie się, bełkocze przez podaną mu tubę. — Pobili, (...). W szpitalu psychiatrycznym mnie zamknęli, a jak w głowę biją, kopią, to jak ma być inaczej? — Tu Michnik odbiera mu tubę. — Jestem doradcą warszawskiego MKZ-u — zaczyna, ale tłum kwituje to bardzo nieprzychylnym buceniem. Adam próbuje coś jeszcze mówić, ale już widać, że zupełnie nie trafia, ludzie nie chcą go słuchać, odebrał głos jednemu z nich. I wtedy Adam bierze nowy oddech: Nazywam się Adam Michnik — mówi głośno i dobitnie. — Jestem siłą antysocjalistyczną. — Ogromny aplauz. Wszyscy wpatrzeni. Milicjanci z rozdziawionymi ustami patrzą na bohatera rozlicznych szkoleń. — Wasze słuszne żądania — mówi dalej Michnik — zostały spełnione. Wasi koledzy zostali zwolnieni. Winni zostaną zgodnie z prawem ukarani. — Nie wierzymy! — Jakie mamy gwarancje — padają okrzyki z tłumu. Michnik nie gubi się. Przypomina, że sam nieraz siedział, że był bit, tłum traktuje go jak swojego człowieka, jak kogoś spośród nich a zarazem tego, który rozmawiał z wicepremierem i tego, który wreszcie przywiózł Mariańskiego. — Nie wierzycie? — pyta Michnik. — Komu nie wierzycie? Mnie, siłę antysocjalistycznej możecie chyba uwierzyć. A gwarancji nie ma żadnych. Żadnych. Jediną gwarancją jesteśmy my sami, nasza solidarność, nasza wola walki o praworządność, o to, żeby przestali bić. Tu się ze sobą zgadzamy. Nie zgadzamy się tylko co do metod. Podstawowe żądania państwa zostały spełnione i teraz trzeba się rozejść. — A jak ich jutro znowu zamkną? — pada pytanie z tłumu. — Jak ich jutro znowu zamkną, to się tutaj znowu spotkamy, a jak mnie nie będzie, to znaczy, że mnie też zamknęli. Będziemy walczyć o każdego niewinnie więzionego. — I za poglądy — dopowiada ktoś z tłumu. — I o pana Kuronia — dorzuca inny głos.

Michnik nie przemawia, Michnik nawiązał dialog i napięta atmosfera pęka, już wszyscy czujemy, że za chwilę rozejdziemy się w spokoju. Milicjanci kompletnie zbharanieli, na twarzach widać ogromną ulgę. Jeszcze mówi Zbyszek Bujak, jeszcze parę zdań Michnika, ktoś z tłumu dalej próbuje gadać, Adam przerywa: a teraz, zwyczajem Leszka Wałęsy odśpiewamy „Boże, coś Polskę”. Hymn wciąga ludzi, wygładza nastrój, wszyscy śpiewają pełną piersią.

Tłum zaczyna się rozchodzić, w pobliże budynku podjeżdża milicyjna nysa, milicjanci i ormowcy wraz z rudym kapralem opuszczają komisariat. Przed budynkiem siwy kapitan wyciąga

rękę: — Przepraszam, może pan nie zechce przyjąć, ale chciałem podziękować. — Michnik ściska dłoń kapitana, ten wypręża się na baczność i salutuje.

(*Tygodnik Solidarność*, 15 maja 1981)

Krzysztof CZABAŃSKI

Z POZNANIA

Pogoda była wówczas — 25 lat temu — taka sama. Parno, słonecznie. Stoimy z Włodzimierzem Branieckim, dziennikarzem *Głosu Wielkopolskiego* i współautorem spektaklu „*Oskarżony: czerwiec pięćdziesiąt sześć*” przed Teatrem Nowym w Poznaniu. O trzysta metrów dalej znajduje się ulica Kochanowskiego; tam z budynku UB padły pierwsze strzały do robotników. Braniecki świetnie pamięta czołgi, obserwował je właśnie spod teatru — wówczas jeszcze małej sceny Teatru Polskiego. Teraz, w teatrze, oskarża się tych, którzy rzeczywiście zawinili.

Demonstrację pamięta również Zdzisław Rozwałak, szef MKZ „Solidarność”. Miał wtedy 13 lat, siedł razem z robotnikami. Tak, jak Romek Strzałkowski, jego rówieśnik. Romek podniósł z jezdni sztandar biało-czerwony; dlatego zginął. Gdyby żył, miałby dzisiaj 38 lat. Tyle samo co Wałęsa. Z pokolenia Romka wywodzą się działacze „Solidarności” i działacze struktur poziomych w partii; z pokolenia wychowanego w Polsce Ludowej.



Miasto przyduszono do ziemi i kazano mu zapomnieć o własnej historii. Gazety nie drukowały wspomnień ani nekrologów. Najpierw wszystkiemu byli winni agenci imperializmu. Po kilku miesiącach przyznano, że protest robotniczy był słuszny. Jednak: „po co jątrzyć”? W Poznaniu zapamiętano zdanie o odrąbywaniu rąk. Z tym zdaniem zostały rodziny zabitych; z tym zostawiono rannych i inwalidów. Wszystkich.

Leżały pochowane gdzieś po strychach filmy ze zdjęciami rozbitymi ukradkiem, zza firanek, z narażeniem życia. Butwiały kartki papieru z notatkami, zapiskami, planami sytuacyjnymi.

W przepastnych archiwach utonęły akta procesów i dochodzeń śledczych. W powietrze uleciały słowa prokuratorów i obrońców. Pamięć zamknęła się w prywatnych domach. Szybko zapomniano poetów. „*Moje serce rozstrzelano w Poznaniu*” — pisała Iłakowiczówna. Od serca ważniejszy był Październik. Kraj z ulgą zajął się swoimi sprawami.



Jednak trwała pamięć w tych, którzy widzieli. Gdy pamięci przywrócono sens, gdy miasto mogło upomnieć się o swoją przeszłość — otwarto szuflady i usta. Na Zamku, gdzie 25 lat temu robotnicy nadaremnie czekali na rozmowy z władzami, wypisano nazwiska poległych. Obok stanął pomnik: dwa krzyże, orzeł i pięć dat: 1956, 1968, 1970, 1976, 1980. W pierwszej dacie cyfry 5 i 6 są pęknięte.

W Cegielskim, skąd ruszył kiedyś pochód, przypomniano na tablicy, przy bramie głównej: „*Stąd upomniano się po raz pierwszy o prawo do ludzkiej godności*”. Pojawiły się nowe nazwy ulic: 28 czerwca i Romka Strzałkowskiego. Zawisły tablice na gmachu szpitala i ZNTK. Zapaliły się znicze i posypały kwiaty.



Mieszkańcy Poznania znowu poszli 200-tysięcznym tłumem pod Cegielskiego i pod Zamek, na plac Mickiewicza. Ubrani odświętnie, nie jak kiedyś w drelichowych kombinezonach i drewniakach. W żałobie, ale i radości ludzi, którzy nie muszą już szeptać po kątach. Ołtarze, księża, poczty sztandarowe, reprezentacyjne orkiestry robotnicze, delegacje górników i hutników, chłopci i stocznioowcy, chóry i aktorzy recytujący o „czarnym czwartku”, ale i o nadziei.

— Czy może historia — pytał kardynał Macharski na placu przed zakładami Cegielskiego — płynąć przeciw prądowi sumień? Nie powinna, ale może. W miejscu, gdzie stoimy, człowiek, robotnik, Polak — dlatego, że człowiek, dlatego, że robotnik, dlatego, że Polak — postanowił zawrócić historię płynącą przeciw prądowi sumień. Sobą próbował Polak, robotnik, zastawić fał-

szywe koryto historii. Sobą. Jesteśmy tu dlatego, że tak było. I jesteśmy tu po to, żeby tak już nigdy nie było.



Tłum słucha w skupieniu słów, płynących przez głośniki. Słów kardynała i poetów, słów robotników i przywódców „Solidarności”. Młodzież, harcerze, starsze kobiety w żałobie, robotnicy i urzędy — są wszyscy.

Pamiętają o czerwcu, chcą o nim pamiętać. Ale chcą również usłyszeć, bardzo tego chcą, że teraz już nic nikomu nie grozi, że teraz będą mogli głośno mówić o tym, o czym myślą. I że nikt ich nie oszuka.

Klaszczą wtedy, kiedy słyszą słowa nadziei. Klaszczą, kiedy słyszą słowa jedności. — Nasza odpowiedź — mówi Wałęsa przy odsłonięciu pomnika — jest w solidarności, w solidarności ludzi pracy. Solidarności przeciw niegodziwcom i kłamcom, przeciw wrogom prawdy i sprawiedliwości. Nie damy się podzielić.

— Nie strzelajmy — dodał Stanisław Matyja, członek robotniczej delegacji Cegielskiego w czerwcu 56 — rozmawiamy, jeszcze raz rozmawiamy. Nie szczujmy na siebie wzajemnie. My zbudujemy tę Polskę, to znaczy ja już nie, jestem za stary, ale dajmy szansę ludziom uczciwym, młodym. Dajmy im szansę.

I ludzie klaszczą wtedy, kiedy się mówi, że jesteśmy silni. Silni solidarnością.



Miasto udekorowane biało-czerwonymi sztandarami. Ludzie chcą rozmawiać o tych, którzy zginęli — tak każe szacunek wobec zmarłych, szacunek wobec siebie — i wobec młodych.

Ludzie płaczą. Nie dlatego, że rozpamiętują, ale ze wzruszenia. Że doczekali takiego dnia.

Miasto odzyskuje godność. Ludzie czytają słowa prawdy, oglądają wystawy ze zdjęciami, słyszą o winnych i o ofiarach. I wiedzą, bardzo dobrze wiedzą, że właśnie ten fakt — to, że mogą głośno mówić i publicznie oceniać — jest najlepszą gwarancją na przyszłość. Jest najlepszą zaporą przed powtórzeniem się tragedii.



15 tysięcy ludzi obejrzało „Człowieka z żelaza”. 19 seansów w dwóch kinach w ciągu jednej doby. Tylko tyle czasu film mógł być w Poznaniu, nieoficjalnie. Dyrektor Theus podkreśla,

ze film zawdzięcza miasto „Solidarności”. Wałęsa widzi „Człowieka z żelaza” po raz pierwszy, razem z robotnikami Cegielskiego. Klaszczą Wałęsie, który siedzi na sali, i temu, który pojawia się na ekranie. Za każdym razem.

Przed filmem kronika z czerwca 1956 roku. Warto zapamiętać tendencyjne zdjęcia i fałszywy komentarz.

„Człowiek z żelaza” to nie tylko ciąg dalszy opowieści o Birkucie. To również ciąg dalszy historii Polski po poznańskim czerwcu. O kolejnej tragedii w grudniu i o pierwszym zwycięstwie w sierpniu 80. — Naszą szansą — mówi Wałęsa — jest, że nie damy się podzielić. To jedyna szansa.



Na scenie trybuna. Dygnitarze oglądają ludzi maszerujących dziarsko w stalinowskim pochodzie. Ale pochód staje się nerwowym, ludzie są zaniepokojeni. Z trzaskiem opada z trybuny czerwone płótno i pod rusztowaniami trybuny widzimy robotników.

Tak zaczyna się widowisko Izabelli Cywińskiej i Włodzimierza Branieckiego „Oskarżony: czerwiec pięćdziesiąt sześć”. Bilety wyprzedane w komplecie do listopada. Aktorzy mówią słowami prokuratorów i obrońców, dziennikarzy i oskarżonych, świadków i sędziego. Nic tu nie zostało wymyślone — każde słowo jest autentyczne. Odtworzone z taśm magnetofonowych nagranych wtedy; akt sądowych już nie ma, zostały zniszczone kilkanaście lat temu jako „materiały nie posiadające wartości historycznej”.

Na trybunie, gdzie przedtem siedzieli dygnitarze, siedzą teraz oskarżyciele: prokuratorzy, dziennikarze i tzw. przedstawiciele robotników z innych regionów kraju. Płyną słowa potępienia wobec uczestników demonstracji. Zapamiętajmy, że w chórze tym harmonijnie brzmią artykuły prasowe; autentyczne, pióra znanych dziś osób. Jedynie obrońcy mówią tak — i tak mówili wówczas w sądzie — jak dzisiaj, po sierpniu 80, mówi się o czerwcowej tragedii. Czyli prawdziwie.

Zamiast wyroku słyszymy głos Władysława Gomułki, przyznający rację robotnikom Poznania. Tłum radosnych ludzi wnosi na scenę czerwone płótno, zakrywa nim trybunę, na której pojawili się już nowi ludzie. Tłum przytrzymuje płótno z ochotą, i ufnością: z wiarą.



Rocznica czerwca 56. Przypomnienie, chęć pojednania i przestroga. „Solidarność”, miejska rada, partia, Kościół. Cały Poznań wie dobrze, że kwiaty złożone pod pomnikiem, tablicami czy na nowo nazwanych ulicach są symbolicznym aktem czci i wiary wszystkich Polaków. Prawda konstytuuje godność i szansę na przyszłość.

(Kultura, 5 lipca 1981)

Ernest SKALSKI

ANATOMIA SPORU

Od wielu miesięcy „mówi się”, że w kierownictwie Związku nie ma jedności, co wyraża się w ostrych sporach w KKP oraz gdańskim MKZ, jako że między tymi dwoma ciałami istniała dość ścisła unia personalna. Różny jest stosunek do tych spraw. Jedni twierdzą, że skrywa się przed Związkiem jakieś skandaliczne właśnie w gronie jego historycznych przywódców i założycieli, inni uważają, że nie należy o żadnych różnicach mówić, bo to Związkowi szkodzi.

I Walny Zjazd Delegatów Regionu Gdańskiego siłą rzeczy przeniósł spór w łonie MKZ i KKP na szersze forum publiczne. Konieczność pozyskania zwolenników dla proponowanych decyzji i kandydatów do władz skłoniły działaczy do prezentacji swoich stanowisk w kontrowersyjnych kwestiach.

Pierwszą z nich było łączenie funkcji we władzach związkowych, drugą — sprawa Anny Walentynowicz. O obu pisaliśmy w sprawozdaniu z pierwszej tury WZD (Tygodnik Solidarność Nr 15, str. 2-15). Podczas drugiej tury w dniach 13-16 lipca najistotniejsza była sprawa wyboru przewodniczącego zarządu regionu oraz członków zarządu.

Na przewodniczącego zgłoszonych było pięciu kandydatów: Lech Wałęsa, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis, Andrzej Kozicki i Z. Złotkowski, przy czym Gwiazda i Lis byli traktowani jako

przeciwnicy Wałęsy. W ostatniej chwili przed wyborami Lis się wycofał. Wałęsa uzyskał 366 głosów, Gwiazda — 134, Kozicki — 22 i Złotkowski — 6. W wyborach do zarządu Bogdan Lis, Andrzej Gwiazda, Alina Pieńkowska, Joanna Duda-Gwiazdowa — cała grupa osób uważanych za oponentów Wałęsy weszła już w pierwszej turze, uzyskując najwyższe liczby głosów. Około połowa delegatów to ludzie, którzy nie głosowali na Gwiazdę jako na przewodniczącego, ale chcieli go mieć w zarządzie. Ten fakt może świadczyć o płytkości podziałów w regionie. Gdyby istniał zdecydowany podział na — powiedzmy — zwolenników linii Wałęsy i linii Gwiazdy, to konsekwencja wymusiłaby podobny rozkład głosów we wszystkich wyborach — przeciwnik Gwiazdy nie chciałby go we władzach na żadnym stanowisku. Wydaje się, że ogół delegatów nie chce brać pod uwagę żadnego zasadniczego podziału wśród grona znanych wszystkim działaczy. Dążenie do utrzymania jedności jest silne i z takim wynikiem głosowania korespondowały liczne głosy w dyskusji.

Konieczność opowiedzenia się za czymś czy za kimś wymusza wybór tylko na jedno stanowisko — przewodniczącego. Poglądy większości głosującej na Wałęsę przedstawia Zbigniew (nie mylić z Bogdanem) Lis ze Stoczni Gdańskiej: — Ludzie głosują na Lecha, bo są za rozmowami, wolą nie strajkować, liczą, że z rządem da się wiele załatwić, jeśli zmienimy tryb postępowania.

— *To znaczy?*

— Stawiało się wymagania, były strajki i czekało się co rząd zrobi. Myśmy najwyżej zgłaszali uwagi do rządowych projektów. Teraz my musimy mieć własne projekty ustaw i z nimi wychodzić. Nie wszystko preforsujemy, ale nasza pozycja będzie lepsza. O tych rozmowach mówi Wałęsa i ma poparcie.

— *A jeśli ta linia zawiedzie, jeśli znowu doszłoby do napięcia?*

— To Wałęsa będzie wiedział, kiedy strajkować i ludzie to wiedzą...

To stanowisko jeden z dyskutantów wyraził w skrócie: „wpierw dyplomacja — potem konfrontacja”. Zaś Zbigniew Lis nie uważa, aby w regionie można było wyodrębnić jakąś zdecydowaną grupę radykałów, zwłaszcza aby miał do niej należeć — przypisywany czasami Bogdan Borusewicz czy Lis (Bogdan). — Ludzie do różnych spraw podchodzą różnie i nie ma co się tym za bardzo przejmować.

Waldemar Szymański, okręg nr 380, reprezentuje na zjeździe dziewięć małych i bardzo różnych zakładów z różnych branż.

Stanowisko swoje uzgadniał ze swoimi wyborcami. Głosował przeciw Wałęsie i uważa, że jego wybór jest nieszczęściem dla Związku. Wraz z tym wyborem „Solidarność” traci to, co ma najcenniejszego — demokrację. Wałęsa sam tego nie skrywa. Mówi otwarcie, że nie ma zaufania do działaczy, a przecież są to ludzie posiadający zaufanie związkowców. Zatem sam będzie starał się rządzić.

— *A linia programowa Wałęsy?*

— Wszystko co Związek osiągnął to tylko dzięki twardej taktyce, przez strajk albo groźbę strajku. Niczego nam nie dano po dobrej woli. A Wałęsa publicznie zapowiada, że koniec ze strajkami. To nie znaczy, że zawsze trzeba strajkować, ale nie wolno z góry składać broni. I Wałęsa reprezentuje Związek, a mówi to sam, bo przecież KKP nie podjęła takiej decyzji.

Bogdan Lis na pytanie dlaczego wycofał swoją kandydaturę odpowiada, że rozmawiał z delegatami i usłyszał, że on i Gwiazda nawzajem sobie odbierają głosy, więc postanowił, że on będzie tym, który się wycofa. Swego zdania jednak nie zmienia.

— *Jakie to zdanie w sporze z Lechem Wałęsą?*

— Lechu nie zawsze podejmuje decyzje w sposób demokratyczny. W ważnych sprawach decyduje jednoosobowo. Nieraz są to decyzje słuszne. Ale jeśli w przyszłości nie mamy się stać drugim CRZZ, to od samego początku trzeba się trzymać zasad demokracji, mimo że w jakimś konkretnym wypadku nie zawsze byłoby to potrzebne.

Bogdan Lis nie chce być doktrynerem i wie, że bywają sytuacje, które zmuszają do nieprzewidzianych decyzji. Mogą więc być odstępstwa od zasad. Ale to ma być uświadomione sobie i rozliczone. Zdarza się grzeszyć, ale trzeba mieć tego świadomość. Jednak te niedemokratyczne decyzje są do tego błędne merytorycznie. Wałęsa poszedł na niepotrzebne ustępstwa, a nie chce tego zrozumieć. Nie należy rezygnować, czy w ogóle podejmować żadnych kroków bez opinii Związku. A tego nie ma. Słaba jest informacja.

— Spory — mówi Lis — nie dotyczą celów, lecz metod postępowania. Lechu jest nieufny. Zraża niepotrzebnie ludzi. Działacze odchodzą od niego...

— *Czy nie ma w tym nieco małostkowości?*

— To prawda, że każdy ma swoją ambicję, ale nie to jest istotne. Są warunki, w których nie można pracować.

— *Może jednak nie jest tak źle, skoro nie wytwarza się przez to, w przeciwieństwie do innych struktur, stała grupka działaczy?*

— Wytwarza się, niestety. Takich co mówią przyjemne rzeczy. To zresztą działa na obie strony. Wszystkim potrzebna jest nadzieja, ludzie lubią takich, przy których wszystko wydaje się proste i łatwe. Wiedzą, że będzie harowa, ale nie lubią tego słyszeć.

— *Czy pana zdaniem, ten spór mieści się w demokratycznych regułach? Ma twórczy charakter czy destrukcyjny?*

— Znajduje się w punkcie zwrotnym. Może być tak i tak. Wszyscy przy tym wiedzą, że Lechu jest potrzebny. I ja wiem. I nikogo nie chce wykończyć. Ale Gwiazda też jest wszystkim potrzebny.

Sam Andrzej Gwiazda patrzy na sprawę nieco ostrzej. Jego zdaniem łatwiej jest się dogadać z ludźmi dążącymi do innych celów niż z tymi, którzy stosują inne metody. Na pytanie czy spór mieści się w regułach demokratycznej instytucji, odpowiada, że Związek przestaje nią być: Wałęsa narzuca swoją wolę za pomocą różnych demokratycznych* posunięć...

— *Ale ludzie nań głosują?*

— Tak. Jest popularny, ma zaufanie. Stwarza poczucie bezpieczeństwa. Wielu zwalnia od odpowiedzialności. Łatwiej jest go słuchać.

— *A ci, którzy głosowali na pana?*

— Nie obiecuję nikomu łatwego życia. Ale wybór należy do ludzi. To się właśnie mieści w demokratycznych regułach. Widzą na co głosują. Do tego Wałęsa niczego nie ukrywa. Uważam, że podstawowym warunkiem jest pełna demokracja na wszystkich szczeblach, do przewodniczącego Związku. Ale nie wszyscy tak postępują w praktyce. Nie tylko Wałęsa narusza te reguły.

A co stanowi istotę sporu? Jakie poglądy dzielą w nim strony? Nie tyle poglądy nas dzielą, co raczej właśnie metody. Trzeba tylko dobierać ludzi do programów a nie odwrotnie. Wiedzieć czego się chce. Co w tym kontekście jest naszym największym błędem? Ludzie chcą mieć przeżutą papkę oblaną białoczerwonym lukrem — stwierdza Andrzej Gwiazda.

Rozmawiamy z Lechem Wałęsą. — *Gwiazda, Lis i inni, uważani za pana oponentów weszli do zarządu dużą liczbą głosów. Złe to, czy dobrze?*

— Dobrze. Dobrze, że do zarządu. Ale nie powinno być zbyt wielu z tej grupy w prezydium. Wtedy bym nie mógł pracować. Odwołam się do sali, przedstawię swoje propozycje.

* Tak w oryginale, powinno być chyba: niedemokratycznych.

— *Zarzucają panu niedemokratyczne postępowanie. Czy słusznie?*

— W żadnym regionie nie dawano ludziom takich możliwości działania jak w Gdańsku. Tu wyrosło najwięcej działaczy. W niedemokratycznych warunkach to by nie było możliwe. Natomiast prawdziwe są te zarzuty o tyle, że niektóre decyzje podejmowałem sam. Chodziło o strajk generalny i inne sprawy: w Rzeszowie i innych miejscach, dokąd jeździłem gasić pożary. Potem był problem, że nie uzgadniałem z KKP. O to głównie chodziło, nie o decyzję. Wiedziałem zawsze, że członkowie Związku są za. Chociaż są w MKZ i tacy, którzy by podpalili wszystko.

— *Na czym polegają główne różnice między panem a pana oponentami?*

— Programowych różnic nie ma. Ale ja się nie zgadzałem żeby kierował nami KOR albo Kościół. Radzić, pomagać — tak, ale nie więcej. Związek ma się sam rządzić.

— *A nie boi się pan, że te różnice mogą się okazać niebezpieczne w momencie napięcia? Przecież nie można wykluczać, że takie momenty będą.*

— Na pewno będą. Ale wtedy spory zejdą na drugi plan. Związek się konsoliduje w trudnych chwilach. Jest jeszcze jedna sprawa — mówi Lech Wałęsa — chodzi o łączenie funkcji. To jest w pewnym zakresie konieczne. Żeby móc działać w stoczni muszę mieć wydział. Żeby utrzymać pozycję w regionie, potrzebny jest zakład. W krajówce — konieczny jest region.

— *A jeśli zostanie pan przewodniczącym krajówki...?*

— To wycofam się ze wszystkiego poza przewodnictwem w regionie.

— *Jak pan pogodzi region i Związek?*

— Zaproponuję dobrego sekretarza z grona zarządu. Tak jest u japońskich związkowców. Przewodniczący ma swój zakres spraw, a bieżące ciągnie sekretarz. Zresztą, region nie ucierpi. Nie jest tak trudno przejść z pokoju do pokoju...

— *Ale dlaczego konieczne jest to łączenie, wywołujące tyle sporów?*

— Bo żeby przeprowadzić słuszną linię na krajówce muszę wiedzieć, że mam za sobą taki region jak Gdańsk, który musi być wzorowy, pociągać za sobą inne. A jeśli sprawy będą przybierały zły obrót, gdy zobaczę, że centrala steruje nie tam gdzie trzeba, wówczas muszę mieć pewność, że mogę z tego wyłączyć Gdańsk. To może wpłynąć na decyzję ogólną. Inaczej sobie nie wyobrażam. Nie chodzi mi o nadmiar władzy. Dla mnie oso-

biście byłoby lepiej mieć jedną funkcję i cztery godziny pracy na dobę, a nie te dwadzieścia cztery...

(*Tygodnik Solidarność*, 24 lipca 1981)

Jan WASZKIEWICZ

GŁODNI ALE SAMORZĄDNI

Jest to opis kilku dni, które zadecydowały o tym, że tzw. protesty głodowe u nas, na Dolnym Śląsku, przebiegały spokojniej niż w innych regionach.

Jako członka Prezydium, osobę bezpośrednio zaangażowaną w opisywane wydarzenia, nie stać mnie na beznamietną narrację. Oczywiście, przez to na plan pierwszy wysuną się wydarzenia, w których uczestniczyłem osobiście oraz moje własne opinie. Nie oznacza to, że moja rola była w jakimkolwiek stopniu wyróżniona. Wręcz przeciwnie. W opisywanym okresie całe nasze Prezydium, cały Zarząd, inni działacze — wszyscy postępowaliśmy podobnie. Jeśli więc kogoś można by wyróżnić, to chyba jedynie Władka Frasyniuka, który jako przewodniczący Zarządu Regionalnego koordynował nasze działania.

Wiele wskazuje, że nie rozminęliśmy się z odczuciami naszych wyborców.

Czwartek, 23 lipca. Posiedzenie Zarządu Regionu Dolny Śląsk. Jednym z punktów jest dyskusja nad obecną sytuacją. Między innymi niezbędne jest wypracowanie stanowiska, które nasi wysłannicy przedstawią KKP. Wcześniej dyskutowaliśmy o tym na Prezydium. Zgodziliśmy się wówczas, że w obecnej sytuacji Związek powinien się skoncentrować na sprawie najważniejszej: wyjściu z kryzysu poprzez reformę samorządową. Ale jeszcze wcześniej problem był dyskutowany na zebraniu przewodniczących Komisji Zakładowych.

Grunť więc był przygotowany pod jasne stanowisko przyjęte przez Zarząd: popieramy projekt Sieci ustawy o przedsiębiorstwie

społecznym. Uważamy, że walka o jego szybkie przyjęcie, wymuszane przez tworzący się ruch samorządów pracowniczych, powinna być głównym zadaniem Związku w najbliższym czasie.

Sobota, 25 lipca. Posiedzenie KKP. W czasie wielogodzinnej dyskusji sytuacja rysowana jest dość jednolicie. Ludzie są zmęczeni pogarszającą się sytuacją rynkową i brakiem perspektyw poprawy. Protesty głodowe, zgodne z nastrojami ludności, wiszą w powietrzu (było już Kutno, Łódź przygotowuje się do akcji, w innych regionach jest podobnie). Obcięcie racji żywnościowych, podział załóg ze względu na przydziały, zapowiedziane podwyżki cen — wszystko to dodatkowo podsyca niezadowolenie. Sytuacja jest wybuchowa.

Tymczasem Związek i cały kraj czeka zasadnicza bitwa o kształt reformy. Czy wobec tego warto pchać się w zastępcze i marginesowe akcje? Chyba jedynie w ostateczności. Wszystko to zgodne jest ze stanowiskiem wypracowanym w naszym regionie. A może obraz nie był aż tak jednoznaczny, a my wypaczyliśmy sobie sens dyskusji odbierając ją przez pryzmat własnego stanowiska?

Poniedziałek, 27 lipca. Otwarte posiedzenie wrocławskiej części Prezydium regionu. Są przedstawiciele kilkudziesięciu zakładów. Zaprosiliśmy ich dla przekazania informacji o przebiegu KKP i przedyskutowania sytuacji.

Przy tej okazji mówimy o zasadniczej, wręcz dramatycznej zmianie w strategii Związku. Musi on obecnie aktywnie włączyć się w wypracowywanie dróg wyjścia z kryzysu. Społeczeństwu trzeba przedstawić wyraźną perspektywę poprawy sytuacji. (...) W końcu na niego, jako wiarygodną i rzeczywistą siłę liczy społeczeństwo. Przy tym nie wolno czekać aż wyczerpią się pokłady ludzkiej cierpliwości. Dlatego zgodnie z koncepcją Sieci i uchwałą KKP musimy pomagać w zakładaniu samorządów i ich komitetów założycielskich.

Po skończonym zebraniu podchodzi przedstawiciel Stoczni Rzeczej. Jutro być może będą strajkować. Na niektórych działach ludzie są rozgoryczeni i rozwścieczeni. Wiadomo — kartki.

Wtorek, 28 lipca. Większość Prezydium w terenie. Tymczasem od rana urywają się telefony: czy brać kartki? (Odpowiadamy, że tak). Co Zarząd zamierza robić? (Tłumaczymy, że koncentrować się będziemy na reformie). Co sobie rząd myśli? (Czytamy i rozsyłamy telexem komunikat z zakończonych w Warszawie rozmów)...

Najistotniejszy sygnał przychodzi z Dzierżoniowa. Zakłady

włókiennicze, kobieca załoga! Duże napięcie, być może będzie strajk. Tłumaczymy, żeby nie dali się w to wciągnąć. Przesyłamy komunikat o rozmowach z Łakomcem. Jest wprawdzie beznadziejnie mało konkretny, ale niektóre sformułowania stwarzają nikłą nadzieję... Prosimy o telefon, gdyby sytuacja się zaostrzała. Widać Komisja Zakładowa sama sobie poradziła, bo już więcej nie dzwonili.

Jedziemy do Stoczni Rzecznej razem z kolegami z prasy związkowej. Kiedy wchodzimy do hali, w której ma być wiec, maszyny jeszcze chodzą, ale wszystko jest przygotowane. Wózek akumulatorowy jako trybuna, nagłośnienie — więcej nie trzeba. Maszyny cichną, robotnicy zbierają się w grupy. Rozmawiamy, czekając na tych z innych hal.

Tutaj linia demarkacyjna między uprzywilejowanymi i upośledzonymi przebiega w poprzek hali. Oburza to jednych i drugich. Robota zbliżona — raczej rażąco różna.

— Co oni oszaleli? Nie dość, że nas głośzą, to jeszcze durniów robią! — To chyba kwintesencja różnych (na ogół niecenzuralnych) opinii.

Z przedstawicielem Komisji Zakładowej uzgadniamy porządek spotkania i włączymy na wózek. Ja idę na pierwszy ogień. Zaczynam od przeczytania i skomentowania komunikatu o rozmowach z Łakomcem. Wskazuję wszystkie słabości uzgodnień. W końcu nie jestem tu dla mydlenia oczu bądź podlizywania się słuchaczom. Powinni znać prawdę, a my jesteśmy po to, by przekazać ją nawet jeśli jest niewygodna... Z kolei omawiam wyniki KKP i zwrot w polityce Związku. Dochodzę do samorządności, ale muszę się cofnąć. Ludzie nie przyszli tu gadać na ten temat.

— Panie, ale ja jestem głodny. — Jest to powiedziane zbyt głośno, jednak ma swoją moc. Jeszcze więcej mówią przekrwione i podkrążone oczy, zmęczona i zgaszona twarz. Wiem, że w tych — w każdym! — oczach Związek musi zapalić iskierki nadziei. Ale nie za wszelką cenę, nie każdym argumentem. Dlatego wprost w te zmęczone oczy mówię, że nie ma. Że nasi sprawdziли (oczywiście nie wszystko). Mówię, że będzie jeszcze gorzej, zanim odbijemy się od dna. Tłumaczę, że turlającej się w dół lokomotywy naszej gospodarki nie da się natychmiast wyhamować, a co dopiero zmienić kierunek jazdy... Ale o tym właśnie kierunku trzeba myśleć. I myśleć o gwarancjach zmiany. Kierunek — to reforma, gwarancja — to załogi zorganizowane w swoich samorządach. I Związek, który musi tego manewru dopilnować. Oczywiście, nie pójdzie to łatwo. Będą chętni do przeszkadzania, ale przecież siła jest po naszej stronie...

— To pozbyć się dziadów od razu! — Ta, rzucona z tłumy propozycja spotyka się z gorącym przyjęciem.

Odpowiadam, że możemy. I — mówię to z całym przekonaniem — jeśli nasi wyborcy będą tego sobie życzyć, to my, wybrane władze Związku pójdziemy w pierwszym szeregu. Ale decyzja nie należy do nas. „Wy musicie ją podjąć, pamiętając przy tym o możliwych konsekwencjach”. Ponieważ wniosek o wymarsz na ulicę nie pada, wracam do samorządności i kończę swoją wypowiedź.

Po mnie mówi Marek Petruszewicz. Krótko i dobitnie. Koncentruje się na tym, że nie wolno dać rozbić Związkowi zagraniami takimi, jak kartki. Tłumaczy też, komu i dlaczego samorząd będzie nie w smak (nomenklatura i nieracjonalne więzi gospodarcze). Teraz już widzę w oczach błyski, o które chodziło. Część zebranych być może zobaczyła szansę, którą daje samorząd. Innych cieszy to, że można tu komuś zrobić koło pióra.

Napięcie opada. Padają pytania: o dostęp do środków masowego przekazu (kiedy wybudujemy radiostację, o której wspominał na wiecu Wałęsa?), o rozliczenia (Marek ma świeżo zakończoną sprawę pani dr Paślowskiej-Prus), o papierosy (kto wie, czy to problem nie poważniejszy od mięsa?) i o wódkę. Oczywiście musimy ustosunkować się do marnotrawstwa jedzenia (karygodne ale marginalne zjawisko), eksportu mięsa (jesteśmy przeciwni), oddawania kartek za obiady (stołówkowe — nie oddawać)...

Wyjeżdżając ze Stoczni wiemy już, że będą zakładać samorząd.

29-30 lipca. Liczne sygnały o niezadowoleniu w zakładach. W kilku przypadkach interweniują członkowie Prezydium. Wszyscy przedstawiamy uzgodnione stanowisko. Podobnie też argumentujemy. Jesteśmy w codziennym kontakcie z przedstawicielami zakładów. Ich opinia jest zgodna z naszą (choć oczywiście nie do końca jednolita). Niepokoją doniesienia z innych regionów. Po Łodzi rusza się Częstochowa i Warszawa. Prasa, radio i telewizja dziwnie skrupulatnie przekazują doniesienia na ten temat.

W środę podejmujemy decyzję o zwołaniu wiecu w poniedziałek. W czwartek koło południa na posiedzeniu Prezydium termin ulega przyspieszeniu. Więc będzie już nazajutrz. Oprócz hasła: „Głodni, ale solidarni” ogłaszamy, że mówić się będzie

o reglamentacji, reformie i samorządzie (tekst jednej z ulotek: „Głód nie pozwala nam czekać — naszą szansą samorząd. Wiec...”). Wiadomo też, że mówić się będzie o sprawie „Fadromy”.

W czerwcu załoga „Fadromy” wyłoniła w konkursie nowego dyrektora zakładów. Zjednoczenie zgodziło się na konkurs i zaakceptowało wynik. Potem, przy formalnym zatwierdzaniu zaczęły się kłopoty. Teraz, 27 lipca, to samo zjednoczenie stwierdza, że wyłoniony kandydat w ogóle nie może wchodzić w rachubę.

30 lipca. Prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk wydaje oświadczenie: „Związek nasz stoi na stanowisku, że nikt inny, tylko załogi mają prawo decydować o tym, kto ma być ich dyrektorem. (...) Niezatwierdzenie dyrektora 'Fadromy' traktujemy jako cios w ideę samorządności, która jest zasadniczym elementem niezbędnej do natychmiastowego przeprowadzenia reformy gospodarczej. Oświadczamy, że cały region 'Dolny Śląsk' jest gotów poprzeć żądania 'Fadromy' wszelkimi środkami przewidzianymi w statucie”.

Piątek, 31 lipca. Od rana trwają gorączkowe przygotowania do wiecu. Początek jest niezbyt zachęcający. Wprawdzie radio podało komunikat, ale prasa poranna nie zamieściła naszego ogłoszenia. Z powodu braku kłajstru, tramwajarze też nie wykleili swoich wozów naszymi plakatami. Dziurę w informacji łątamy ponownymi telefonami do zakładów, rozsyłaniem plakatów, rozdawaniem ulotek i skrzykiwaniem ludzi przez megafony wozu technicznego MPK.

Na wiec o godz. 17.00 przychodzi z 8 tys. osób. Nie jest to mało, jeśli weźmiemy pod uwagę trudności informacyjne, upalną pogodę oraz fakt, że jest piątek przed wolną sobotą (a w mieście kłopoty z kupieniem chleba). Razem z uczestnikami spotkań w zakładach daje to już niezłą reprezentację społeczeństwa.

Front budynku ozdobiony został hasłem: „Głodni, ale solidarni”, trybuną jest tym razem przyczepa ciągnika. Na niej prawie wszyscy wrocławscy członkowie Prezydium. Wiec prowadzi Władek Frasiński. Piętnuje on jednostronne decyzje rządu (jest to kolejne złamanie zawartych umów społecznych); stwierdza dramatyczną sytuację w państwowych magazynach; wskazuje na reformę jako drogę wyjścia i samorząd jako gwarancję... Kolejni mówcy rozwijają niektóre wątki (Marek mówi

o nomenklaturze, ja o przewidywanych trudnościach we wprowadzeniu reformy, wreszcie Karol Modzelewski — jak zwykle — wymiata temat do czysta...). Nasze wystąpienia przeplatane są głosami przedstawicieli zakładów. W. Jagodziński z ELWRO odczytuje rezolucję, według której uprzywilejowani pracownicy zrzekli się kartek „C”, aby nie dopuścić do podziału załogi. (Owacje). S. Kamiński z Fadromy opowiada o perypetiach z wyborem i zatwierdzeniem dyrektora. Stawia tezę, że chodzi tu nie o ich zakład, ale o zdławienie ruchu samorządowego. Determinacja załogi (jest rezolucja) w obronie dokonanego wyboru spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem.

Atmosfera wiecu momentami jest gorąca. Nastroje są bojowe, z tłumu padają propozycje działań znacznie przekraczających walkę o samorządność pracowniczą. Jednak wiec aprobuje zaproponowane stanowisko (ciągle to samo). Przyjęte zostają dwie uchwały.

Pierwsza mówi o kryzysie żywnościowym. Mówi się w niej o zerwaniu umów społecznych przez jednostronne decyzje władz, żąda ujawnienia winnych takiego działania, przywrócenia norm przydziałów i rekompensaty za zmniejszone racje, ujednolicenia systemu reglamentacji itd. Najistotniejszy jest końcowy fragment:

„Oświadczamy, że jeśli nacisk strajkowy na władzę stosowany w innych regionach spowoduje tam zauważalną poprawę zaopatrzenia, wówczas sami użyjemy najmocniejszych środków dla ochrony biologicznej egzystencji nas i naszych rodzin”.

To stwierdzenie podyktowane jest obawą, że władze dla uspokojenia strajków, marszów itd. — zechcą poprawić zaopatrzenie w niektórych regionach kosztem regionów spokojnych (takich jak nasz). Na to nie może być zgody!

Druga uchwała ma mniej doraźny charakter i przez to jest znacznie ważniejsza. Toteż przytaczam ją w całości:

„UCHWAŁA WIECU MIESZKAŃCÓW WROCŁAWIA

Nowe władze PRL okazały w ciągu jedenastu posierpniowych miesięcy niedopuszczalną bierność wobec narastającego rozpadu gospodarki. Stoimy wobec groźby głodu i nie możemy już czekać na odgórną inicjatywę naprawy.

Źródłem kryzysu jest obecny system zarządzania gospodarką. Bez zmiany tego systemu drogą reformy samorządowej nie będzie wyjścia z kryzysu. Władze przeciwstawiają się społecznym projektom reformy i ruchowi na rzecz samorządu. Jaskrawym tego przykładem jest narzucenie wrocławskiej 'Fadromie' dyrektora innego niż wybrany przed dwoma miesiącami przez załogę drogą konkursu.

Stoimy na stanowisku, że nikt inny, tylko załogi mają prawo decydować o tym, kto ma być ich dyrektorem.

Żądamy reformy opartej na samorządzie będącym gospodarzem własnego zakładu pracy. Załoga 'Fadromy' walczy o zasadę samorządu pracowniczego. Jest to nasza wspólna sprawa, sprawa uwolnienia kraju od groźby głodu. Walkę tę poprzemy wszelkimi środkami, do strajku regionu włącznie.

Nie pozwolimy by ci, którzy zapędzili nas w ślepą uliczkę, zagradzali nam drogę wyjścia z kryzysu. Społeczeństwo musi wziąć swój los we własne ręce, tworząc rady pracownicze lub ich komitety założycielskie jako organa samorządu.

MIESZKAŃCY WROCŁAWIA".

Wiec kończy się odśpiewaniem hymnu. W tym kontekście jego pierwsze słowa nie brzmią jak pusty frazes. Być może nie będzie też jedynie sloganem hasło, które pojawi się następnego dnia na plakatach w całym mieście: „Samorząd, Twój los w Twoich rękach!”. Bo o to w końcu chodzi.

1 sierpnia - 7 sierpnia. Warszawska sprawa postawiła kraj na krawędzi. Zarówno Prezydium, jak i przedstawiciele Komisji Zakładowych, z którymi byliśmy w stałym kontakcie, nie kryli swoich wątpliwości co do sensu tego wszystkiego. Tym bardziej, że ryk klaksonów i kłamstwa oficjalnej propagandy po „zerwaniu” rozmów zagłuszyły sprawę, naszym zdaniem, ważniejszą.

4 sierpnia zatwierdzony został nowy dyrektor Fadromy! Pozycja, którą społeczeństwo straciło w PLL LOT, została odwojowana. Jest to ważny precedens dla innych. Tylko kto w powstałym zamęcie ma głowę do takich spraw?!

(*Tygodnik Solidarność*, 21 sierpnia 1981)

WĘGIEL DAJEMY SOBIE

Bez poparcia Śląska wasz apel możecie na ścianie powiesić — powiedział do prezydium KKP jeden z górników.

Miał niewątpliwie rację.

Jeśli Apel KKP do społeczeństwa nie miałby poparcia w Regionie Śląsko-Dąbrowskim byłby jak kolejny banknot bez pokrycia.

A obawy o to poparcie można było żywić, były po temu powody. Przedstawiciele tego regionu na posiedzeniu KKP głosowali przeciw Apelowi. To tu w czasie ostatnich akcji protestacyjnych miejscowe władze podjęły szereg kroków przeciwko Związkowi i jego działaczom. Obserwatorzy spotkania Prezydium KKP i Prezydium Krajowej Komisji Koordynacyjnej Sekcji Górnictwa i Zarządu Regionu w Katowicach, 18 sierpnia byli więc nieco pesymistyczni, większość dziennikarzy zaś sądziła, że Apel zostanie odrzucony przez Region, w którym nie odwołano gotowości strajkowej, tylko ją zawieszono z powodu represji.

Najpoważniejsza sprawa o tzw. incydent w kopalni „Sosnowiec” w czasie 4-godzinnego strajku ostrzegawczego. Kierownictwo kopalni zwołało tuż przed rozpoczęciem strajku masówkę. II sekretarz KZ PZPR zagroził jednemu z górników, że jeżeli będzie strajkował, to go tak pierdolnie, że ten z głodu w powietrzu zdechnie, a jak nie to i tak go z roboty wyrzuci. Decyzją przewodniczącego Komisji Zakładowej, który obawiał się incydentu, odseparowano dyrekcję od załogi. Od kilku dni przewodniczący (Figiel) decyzją prokuratora nie może opuścić miasta. Zarzuca się mu celowe ograniczenie wolności dyrektora i sekretarza. Zdania górników na ten temat są inne.

Aresztowano Józefa Zajkowskiego z Mysłowic, który zniknął i jakoby nic o nim nie wiedziała ani prokuratura, ani MO. Dopiero, kiedy kopalnia dała ultimatum i zagroziła strajkiem okazało się, że Zajkowskiego zatrzymała SB. Wypuszczono go przed upływem terminu ultimatum.

13 sierpnia na dworcowym posterunku MO pobiło ciężko dwu uczniów udających się na pielgrzymkę. A jeszcze przedtem władze podgrzały atmosferę zamykając biuletyn Huty Katowice, „Wolny Związkowiec”. Jacek Kilian, przewodniczący Komisji

Zakładowej Huty mówi, że o wszystkim dowiedzieli się z telewizji. „Wolny Związkowiec” ukazuje się na mocy porozumienia z września 1980 zawartego między komitetem strajkowym a ówczesnym dyrektorem Huty, Szałajdą. 7 sierpnia redakcja przedstawiała dyrekcji 30 numer. Zawierał on m.in. trzy karykatury. Dyrekcja nie zgodziła się na druk numeru. Drukarze zaś go wydali. Następnego dnia, już po rozkolportowaniu nakładu, milicja rewidowała ludzi wychodzących z Huty, rzekomo rutynowo, a faktycznie szukając Biuletynu. Nadeszło też oficjalne pismo z prokuratury, w którym oprócz ostrzeżenia, nie było nawet zakazu druku. Wtedy to budynek drukarni dyrekcja (a nie prokuratura) opieczętowała. 32 poligrafom powiedziano, że dostaną skierowania do innej, zgodnej z kwalifikacjami pracy. Wreszcie w nocy przyjechała specjalna ekipa i skutecznie zabezpieczyła maszynę. Możliwe jednak, że faktyczną przyczyną zdenerwowania dyrekcji i prokuratury był opublikowany w tym numerze artykuł o miejscowym przywódcy partyjnym i jego opolskiej karierze.

Działanie przeciwko Związkowi to jedna strona sytuacji w Regionie Śląsko-Dąbrowskim. Druga to rozpaczliwa sytuacja zaopatrzeniowa, do tego brak 70 tysięcy kartek na mięso aż do końca pierwszej dekady sierpnia. — Opóźnienie rozdawania kartek żywnościowych spowodowało falę dodatkowego niezadowolenia wśród górników. W Domach Górnika zaczęły powstawać samorządnie komitety protestacyjne — „Solidarność” ich nie firmowała, były to protesty wszystkich mieszkańców. Jak w tej sytuacji mogliśmy opanować wrzenie na kopalniach? — pyta zebranych Zb. Kosmański, wiceprzewodniczący KKK Górników. Teraz zabiera głos Z. Bujak. Mówi tak: „Jesteśmy już zbyt potężnym Związkiem, żeby pojedyncze akcje przeciwko poligrafii odniosły skutek. O Apelu Bujak mówi, że po prostu skończył się etap rewindykacji. Akcje protestacyjne i strajki nic nie dadzą, bo władze są nieskore do podejmowania decyzji. Trzeba samemu wziąć się za zmiany, nie kontrolę.

Teraz mówią przedstawiciele górników.

A. Gorcyna (członek zarządu): Nie wszystko mnie przekonuje, co mówi Bujak. Jesteśmy w RWPG i w Układzie Warszawskim. A kto nas dopuści do kontroli tego.

J. Ciepiela (członek zarządu): Jesteście zmęczeni chyba, ośmielacie się wzywać ludzi do pracy w wolne soboty, bo trzeba podtrzymać tę władzę. A kto powiedział, że musimy ją utrzymać.

M. Wach (wiceprzewodniczący zarządu regionu): Apel ludzie

pracy przyjmują, ale powinien być uwarunkowany dostępem do środków masowego przekazu.

Zb. Bujak: Dostępu do nich nie kupimy za 8 wolnych sobót.

Kuszejko (członek zarządu): Apel podtrzymuje system gospodarczy. A nie podźwigniemy kraju bez zmiany mechanizmów władzy.

J. Kuroń (ekspert KKP): Apel nie zawiera żadnych warunków, bo to jest apel do ludzi pracy, którzy dla siebie biorą te wolne soboty. My nie dajemy tej produkcji rządowi, my sobie ją bierzemy.

H. Sienkiewicz, przewodniczący KKK Górników, zgłasza propozycję listu do górników, podejmującego apel, w którym przedstawione są zasady podziału wydobytego w soboty węgla. W pierwszej kolejności ma być on przeznaczony na uzupełnienie limitów na deputaty węglowe pracowników i emerytów górnictwa. Następnie — 700 tysięcy ton dla rolników, potem dla cukrowni, przemysłu przetwórstwa owocowo-warzywnego, dla elektrociepłowni i elektrowni na wypadek uciążliwej zimy. Górnictwo miedzi ma przeznaczyć złotówkowe i dewizowe efekty ze sprzedaży wydobytych kopalin: 30 % na modernizację przemysłu spożywczego, 30 % na modernizację własnych zakładów i 10 % na sprowadzenie zeszytów dla uczniów i studentów. Warunki podjęcia pracy przez osiem wolnych sobót to ogłoszenie limitów na deputaty i zaprzestanie wszelkich akcji represyjnych. Cz. Sławek z kopalni Jastrzębie: Przed sierpniem jak wchodziłem na kopalnię to przy wejściu zawsze wisiał jakiś apel — dyrekcji albo partii, żeby pracować. Teraz ten apel mógłby tak samo wisieć w tej gablotce. Jaka jest gwarancja, że ten węgiel pójdzie do rolników?

Michałowski, członek Zarządu: Trzeba iść na kompromis, oni ustawiają przed nami pikiety, a my się ich boimy. Ten apel jest kapitulanki. Nie będzie robił górnik, hutnik, ani budowlanin (okłaski).

Lech Wałęsa (krzyczy): To daj inne rozwiązanie człowieku! Daj lepszy pomysł! Uratuj nas człowieku inaczej! (też okłaski).

Jacek Kuroń: Śląsk spadł z zaopatrzeniem ze szczytu na sam dół. Inne województwa, bardziej rolnicze, wypuszczają tylko niewielkie nadwyżki, a Śląsk nie jest samowystarczalny pod względem żywności. Produkcja jedzenia z tych zieleniejszych od Śląska regionów powinna iść właśnie na zaopatrzenie Śląska i Łodzi.

Zb. Bujak: W 39 roku cały świat wiedział, że Polacy przegrają wojnę, tylko Polacy nic nie wiedzieli i wojnę przegrali.

W czerwcu 1980 roku pytałem Jacka Kuronia czy już czas na powstanie Wolnych Związków Zawodowych o zasięgu krajowym. Jacek mówił, że nie, ale Wałęsa o tym nie wiedział i Związek jest. Teraz wszyscy naokoło mówią, że gospodarka stanie. Ale my o tym nie wiemy, i wychodzimy z Apellem.

T. Jedynek (wiceprzewodniczący regionu): My tu gadamy a cenzor zdjął nam połowę kolumny z naszej „Solidarności” Jastrzębskiej. Uchwalamy Apel, a jutro górnicy nie dostaną swojej gazety. To czy oni pójdą do pracy?

W głosowaniu nad komunikatem (patrz tekst poniżej) obrad większość obecnych członków Zarządu Regionu głosuje za. Przeciwno jest 11 osób, wstrzymuje się 5. Prezydium KKK Sekcji Górnictwa w całości głosuje za.

A więc górnicy podejmują Apel KKP. Choć po wtorku była to decyzja nie samych górników, a ich przedstawicieli. Zarząd Regionu, górnicy (Zakładowe Komisje) wypowiadają się w stołówce KWK „Sosnowiec”, gdzie delegaci wszystkich kopalń spotkali się z Prezydium KKP, Zarząd Regionu i KKK Górników we środę. Po porannej mszy w cechowni w „gierkowskiej” kopalni „Sosnowiec”, zaczyna Wałęsa:

— Wczoraj mówiono, że popełniamy ten sam błąd, co za poprzedniej władzy, bo mówimy „pomozemy”. A my przecież mówimy „ratujemy się”. Możemy zażądać, żeby oni przywieźli, co wywieźli, żeby oddali to, co zniszczyli. Ale szkoda na to czasu. Musimy poczuć się odpowiedzialni. Oni się tłumaczą, że nie mogą nic zrobić, bo nie mają zaufania społecznego. Ale, że władzą to nie będą się dzielić. My możemy wziąć władzę, ale nie chcemy. Lepiej spróbować innej drogi, produkować dla siebie, kontrolować tę produkcję, żeby jakieś UFO (...) gdzieś nie wywiozło. A po sobotach, jak nie wyjdzie, możemy się wycofać, powiedzieć, że nas oszukano, że nie dano nam kontrolować i chwycić władzę za gardło. Ale zanim ją chwycimy, spróbujmy inaczej.

Argumenty Wałęsy rozwija L. Waliszewski, przewodniczący Regionu. Mówi tak:

— Narzekamy na rząd, że nie potrafi dzielić co wyprodukujemy. Spróbujmy dzielić sami.

Po Waliszewskim podejmują głos górnicy. Wielu jest przeciwnych Apelowi.

KWK „Katowice”: Ja, nasz zarząd, w żadnym wypadku nie wyjdziemy z apelem. Apele to dyrekcja niech rzuca.

KWK „Śląsk”: Na masówce załoga powiedziała stanowcze NIE. Najpierw żądamy rozliczenia codziennych 500 tys. ton węgla, dokąd on idzie.

Wielu stawia warunki.

KWK „Dębieńsko”: W soboty konsekwentnie nie fedrujemy, robimy natomiast remonty, przeglądy, co w ostateczności przynosi nam dodatkowo 25 tys. ton. Dlatego, ze względów ekonomicznych, nie popieramy apelu. Ale ze względów prestiżowych i politycznych dla Związku załoga jest gotowa przepracować 1 sobotę na miesiąc. Pod warunkiem, że zapłacą nam za strajki, zaprzestaną represji i dadzą Związkowi dostęp do środków przekazu. KWK „Kazimierz-Juliusz”: Ponieważ to apel KKP — odpowiadamy tak. Ale stawiamy warunki: zapłata za te soboty jak w soboty dobrowolne a nie planowe. Jak po 2 sobotach nie poprawi się zaopatrzenie w żywność — to wycofujemy się. Żądamy też dostępu do środków masowego przekazu i zapłaty za strajk.

Większość jednak kopalń popiera Apel. Większość załóg już zdążyła się wypowiedzieć na masówkach.

Wypowiedział się też w uchwale Związek Zawodowy Górnictwa (niezależny i samorządny), który skrytykował, choć nieśmiało, bo to przecież nie wypada, Apel. Twierdzi, że dzięki Apelowi organizatorzy strajków chcą się zrehabilitować i odrobić straty tymi strajkami spowodowane. Zarząd więc do pracy nikogo nie nagania, ani też nie odradza, każdy niech sam decyduje, ale „praca w dwie wolne soboty musi mieć w pełni dobrowolny charakter, bez naruszania prawa górników do wszystkich wolnych sobót. Jest to prawo... zagwarantowane. Porozumieniem Jastrzębskim... Praca w wolne soboty nie może mieć charakteru apelowego czy zdewaluowanego czynu. Nie może również mieć miejsca uzurpowanie sobie prawa do samodzielnego dysponowania wytworzonymi w wolne soboty produktami czy surowcami... Oczekujemy... propozycji godziwego opłacenia załóg za pracę w dniach wolnych od pracy”.

— Sami widzicie — śmieje się górnik z kopalni „Zabrze”.
— Bijemy ich własną ich bronią.

— Jedyna taktyka — dodaje przedstawiciel „Fazos” — to odebrać rządowi wszystkie atuty. Apellem parę wzięliśmy.

Obawy pesymistów rozwiewają się. Apel zyskuje poparcie. Nawet warunki, jakie stawiało wielu mówców, też właściwie przestają być istotne. Żądanie, aby warunkiem pracy w soboty był dostęp do TV, też upada, gdyż górnicy zaczynają rozumieć,

że jeśli rząd nie chce tej sobotniej pracy, to tym bardziej nie da dostępu do TV.

Jedziemy z Wałęsą do kopalni „Rozbark” w Bytomiu. Tu-tejsza organizacja partyjna zawiesiła aktywistów strajkowych w prawach członków, a na zebraniu POP uchwaliła, żeby kilkoma działaczami zajęła się prokuratura. Mimo że nikogo tu nie przetrzymywano, ani nie obrażono. Być może jest to próba odwetu za zbliżający się proces o nadużycia i niegospodarność, w którym przed sądem staną m.in. członkowie kierownictwa kopalni (także dyrektor, znany z zainstalowania kruszarki, która dodawała kamień do urobionego węgla).

Zebrani w cechowni górnicy nie mają wątpliwości, że powinni pracować w wolne soboty, że to praca dla nich, a nie dla czyichś laurów. I jeżeli o czymś warto dyskutować, to jak technicznie rozwiązać niektóre problemy, a przede wszystkim, jak kontrolować rozdysponowanie węgla. Ale te soboty będą przecież próbą generalną do rozpoczęcia pracy samorządów. I ta próba musi się udać.

(Tygodnik Solidarność, 28 sierpnia 1981)

ROZDZIAŁ CZWARTY
SOLIDARNOŚĆ WIEJSKA

Krzysztof SALACIŃSKI

GODZINY NAPIĘCIA

Na krańcu Polski

Piątek, 17 stycznia. Już na dworcu kolejowym wyczuwa się atmosferę napięcia. Wszędzie rozwieszone plakaty „*Żądamy sprawiedliwego podziału majątku po byłej WRZZ*”, „*Jedyna droga. Solidarność wiejska to chleb dla mnie i dla ciebie*”. Kilka innych wzorów. Wiszą wszędzie: na parkanach, murach, latarniach. Gdziekolwiek na wietrze powiewają strzępy plakatów. To efekt nocnej pracy ludzi o wiadomej profesji.

Dochodzimy powoli do budynku, w którym trwa strajk. Przed budynkiem gromada ludzi. Właśnie nadają aktualne komunikaty. Kilku strażników z biało-czerwonymi opaskami długo sprawdza nasze dowody. Otwierają w końcu ciężkie okratowane drzwi i wpuszczają nas do środka. Po kilku minutach schodzi ktoś z Komitetu Strajkowego, by się nami zaopiekować. Otrzymujemy stałe przepustki, po czym przechodzimy przez następne drzwi, strzeżone przez strażników. Aby się dostać do Komitetu Strajkowego, trzeba wylegitymować się jeszcze dwom strażom. Ostrożność — choć uciążliwa — jest niezbędna.

W budynku przebywa około 300 osób, dwie trzecie to rolnicy indywidualni z czterech województw: rzeszowskiego, przemyskiego, tarnobrzeskiego i krośnieńskiego. Pozostali to robotnicy z Rzeszowa i z okolicy. Są także reprezentowane regionalne organizacje NSZZ „Solidarność Wiejska”.

Wśród zgromadzonych osób nie wyczuwa się takiego napięcia, jakiego by można oczekiwać. Atmosfera jest bardzo spokojna, nawet pogodna, pozbawiona charakterystycznej dla robotniczych strajków determinacji.

Duża grupa mężczyzn ogląda telewizję w hallu, kilka osób gra w szachy. W sali teatralnej niewiasty, zwrócone w stronę zaimprovizowanego na scenie ołtarza, śpiewają „Ucieczko grzesznych” i inne piękne melodie religijne. Odmienność atmosfery strajkowej bierze się głównie stąd, że cały czas uczestnicy się zmieniają. Rolnik przyjeżdża do Rzeszowa, strajkuje 24 lub 48 godzin po czym wyjeżdża, zmieniony przez sąsiada. Nie czuje się tego, że strajk trwa już ponad dwa tygodnie. Cały budynek jest zradiofonizowany, głośniki zamontowano także od zewnątrz. W czasie nadawania komunikatów pod budynkiem zawsze gromadzi się tłum. Lokalne środki masowego przekazu, czyli *Nowiny Rzeszowskie*, Polskie Radio oraz krakowska TV dezinformują swoich odbiorców.

Jednym prawdziwym źródłem informacji na temat strajku rolników w Rzeszowie są komunikaty wygłaszane przez głośniki, druki ulotne oraz biuletyn *Wiść Rzeszowska*. Budynek jest doskonale przygotowany do dłuższego strajku. W stołówce zgromadzono ogromne ilości produktów spożywczych, nowe wciąż napływają. Znakomicie rozwiązany system wart uniemożliwia szybkie i niezauważalne opanowanie budynku, tak jak to się stało w Ustrzykach Dolnych. Nie zapomniano o gaśnicach i mas-kach przeciwgazowych...

Wspólnie z redaktorem z *Wsi Rzeszowskiej* wybraliśmy się z wizytą do I sekretarza KW PZPR. Przyjął nas wspólnie z II sekretarzem. Z ich zachowania wyraźnie widać, że są zaskoczeni naszym przyjściem. Postawiliśmy kilka pytań na temat aktualnej sytuacji politycznej w województwie rzeszowskim i stanowiska KW w tej sprawie. Z relacji panów sekretarzy, początek strajku miał być dla nich kompletnym zaskoczeniem.

„31 grudnia dano mi znać, że przedstawiciele „Solidarności” chcą się ze mną widzieć. Myślałem, że przyszedli złożyć życzenia noworoczne. Przybyli jednak w zupełnie innym celu. Przedstawili swoje krytyczne uwagi co do podziału majątku byłej WRZZ. Mieli uwagi do pracującej tam Komisji Likwidacyjnej, zgłosili pretensje, że nie mają małej poligrafii. Mówili, że wojewoda nie chce im budynku przydzielić. Wiem, że budynek jest własnością kolejarzy i wojewoda nie może im go przydzielić.

Rozstaliśmy się w zgodzie; jak już mówiłem, do 31 grudnia nasze stosunki były poprawne i myślałem, że dalej tak będzie”.

Drugiego stycznia „bomba” pękła. Dowiadujemy się, że w budynku WRZZ — proklamowano strajk okupacyjny. Byliśmy kompletnie zaskoczeni. Stawialiśmy na to, żeby nie doprowadzić do konfliktu, ściągaliśmy więc sekretarza Komisji Likwidacyj-

nej CRZZ oraz przedstawiciela ZG Związku Zawodowego Kolejarzy, jako właściciela obiektu i chcieliśmy rozmawiać z MKZ. Proponowaliśmy teren neutralny. MKZ stanowczo odrzucił tę propozycję. Poszliśmy na ich warunki. Była u nich raz komisja złożona z wojewody, dyrektora kolei i kilku przedstawicieli związków branżowych. Dwa razy usiłowano rozmawiać ze strajkującymi. Nie doszło do tego. Za drugim razem wojewoda został przetrzymany 7 godzin, po czym oświadczone mu, że rozmów nie będzie, bo strajkujący żądają rozmów z Komisją Rządową. Wojewodę potraktowali jak smarkacza. Teraz czekamy cierpliwie by doszło do podziału majątku. Czekamy więc na przybycie Komisji Rządowej. Żadnemu z nas nie wpadło do głowy, żeby robić na nich najście milicyjne, choć oni to głoszą. Wojewoda dwukrotnie zgłaszał przez prasę chęć podjęcia rozmów w tych sprawach, co do których jest kompetentny. Ludzie są przekonani, że my nie chcemy podjąć żadnego dialogu. Przecież wojewoda dał MKZ 5 pomieszczeń, samochód i rozumie, że trzeba dać więcej". I dalej w tym stylu.

Panowie sekretarze nie powiedzieli tego, czego się później dowiedziałem w Komitecie Strajkowym: Strajk musiał być dla władz zaskoczeniem, bo inaczej w ogóle by nie dopuszczono do jego proklamowania; strajk rozpoczął MKZ wspólnie z węzłowym KZ NSZZ „Solidarność” Kolejarzy dnia 2 stycznia o sprawiedliwy rozdział majątku byłej WRZZ; 5 bm. mieli proklamować strajk w budynku Urz. Woj. rolnicy dla poparcia strajku w Ustrzykach, jednocześnie wnosząc własne postulaty. MKZ i „Solidarność Wiejska” postanowiły wspólnie zrobić strajk. 3 stycznia rolnicy dołączyli do strajkujących już robotników i kolejarzy; strajk w Ustrzykach nie został rozwiązany, tylko rozpędzony. Po przeniesieniu się do budynku tamtejszego MKZ kontynuują go nadal; w sprawie rozdziału majątku WRZZ, ani w sprawie postulatów „Solidarności Wiejskiej” z Rzeszowa władze lokalne nie były kompetentne.

Z rozmowy z sekretarzem KW zrozumiałem też, że partia zajęła wobec tego konfliktu bierne stanowisko nic osobiście nie robiąc aby przyjechała kompetentna komisja. Charakter i rodzaj postulatów tak ustrzyckich jak i rzeszowskich wymaga przyjazdu Komisji Rządowej. Władze lokalne były o tym w pełni poinformowane; wojewoda idąc na rozmowy wiedział, że Komitet Strajkowy nie będzie z nim pertraktował, a jednak siedział i czekał nie wiadomo na co. Władze lokalne chciały prawdopodobnie za wszelką cenę rozwiązać sprawę we własnym zakresie, nie zrobiły jednak nic, by ściągnąć wreszcie kompetentną komisję.

Z rozmowy w Komitecie wyszliśmy przekonani, że władze partyjne przyjęły postawę biernego obserwatora wydarzeń.

Chcieliśmy porozmawiać jeszcze z wojewodą, umówiliśmy się na godzinę 16-tą, spotkanie nie doszło do skutku. Wojewoda w trybie pilnym został wezwany do Komitetu Wojewódzkiego.

Godzina 17-ta. Radio rzeszowskie nadaje komunikat prokuratora rejonowego w Rzeszowie. Wzywa on strajkujących do opuszczenia budynku, nie podając jednak terminu realizacji. Grozi surowymi karami na mocy kodeksu karnego wszystkim uczestnikom strajku. Kilka godzin wcześniej prokurator Krajewski rozmawiał na ten temat z przedstawicielami MKZ NSZZ „Solidarność” w Rzeszowie Antonim Kopaczewskim i Wiesławem Wolińskim. Według zapewnień prokuratora, rozmowa miała charakter nieoficjalny.

Przedstawiciele MKZ wyjaśnili, że nie mogą sami podejmować decyzji bez przekonsultowania jej z członkami związku. Zwrócili także uwagę, że brak jest dokumentów jednoznacznie określających kto jest właścicielem budynku. Prokurator swoje stanowisko przekazał rozgłośni radiowej, mimo że nie wystosował pisma tej treści do MKR. Nie podał także wyjaśnień przedstawicieli MKR. Jak na dłoni widać o co chodzi lokalnym władzom.

Zarówno w MKZ jak i w okupowanym budynku zaczynają się chwile niepewności. Im bliżej godz. 22.00, tym bardziej nerwowa atmosfera. Zbiera się nadzwyczajne posiedzenie Prezydium Komitetu Strajkowego, omawiające szczegóły zabezpieczenia budynku przed atakiem z zewnątrz. O godz. 19.45 anonimowy rozmówca zapowiedział telefonicznie, że dziś właśnie o 22.00 nastąpi rozpędzenie strajku.

Godz. 21.50. W Komitecie Strajkowym panika. Nie przyszedł jeden z kolegów, miał dzwonić pięć minut wcześniej. Anonimowy informator podał, że tego właśnie kolegę wsadzą pierwszego i od niego wszystko się zacznie. Nieme pytanie: już jadą? Każdy dźwięk dzwonka elektryzuje. Wreszcie o godz. 22.05 dzwoni zaginiony. Wszystko w porządku. Wielkie uczucie ulgi. Tej nocy strażę zachowały jednak wzmożoną czujność.

Sobota. Komitet Strajkowy podejmuje decyzję: strażę będą ubierane w mundury kolejarskie. Żeby od razu było widać, że w środku są też kolejarze. Demonstracja taka jest konieczna, gdyż kolejarze „branżowcy” robią wiele złej roboty, uważając budynek za swój. To właśnie Związek Zawodowy Kolejarzy wystosował do prokuratora pismo z żądaniem opróżnienia budynku przez strajkujących.

W godz. 12-13 odbyła się konferencja prasowa z udziałem dziennikarzy lokalnej prasy i radia oraz telewizji krakowskiej. Tam można było usłyszeć, co rolnicy naprawdę sądzą o kółkach rolniczych i reformie wsi. Nikt nie negował potrzeby istnienia kółek rolniczych. Powinny wrócić z gminy na wieś, być bliżej rolnika, tak jak to było w latach pięćdziesiątych. Wszyscy rolnicy wypowiadali się przeciw Spółdzielniom Kółek Rolniczych uważając, że to są rolnicze pieniądze i do rolnika powinny powrócić. Z „Solidarnością Wiejską” rolnicy wiążą duże nadzieje, uważając, że *tylko ten związek może wreszcie pomóc polskiej wsi*. Padały nawet stwierdzenia, że rolnicy przez dwa lata podwoją produkcję, jeśli tylko będą widzieć sens tego co robią, jeśli będą mieć rzeczywistego reprezentanta swoich interesów. I prawdziwy samorząd wiejski.

Nastroje wśród strajkujących najlepiej oddaje komunikat: *„Dnia 16. I. 1981 r. na jednogodzinnym strajku protestacyjnym, w którym wzięli udział chłopi i robotnicy podjęto uchwałę nr 1, w której wyrażono votum nieufności dla pła Ziemi Tarnowskiej Stanisława Gucwy, uzasadniając to tym, że ob. Stanisław Gucwa od lat nie występował w obronie słuszych interesów wsi i rolników indywidualnych. Całkowicie zawiódł zaufanie wyborców atakując w swoich wystąpieniach obronę przez ponad dwumilionową rzeszę drogę demokratyzacji wsi”*.

Po południu wyjeżdżam z czteroosobową delegacją do Ustrzyk Dolnych. Jadę z ochotą, ponieważ nie bardzo się orientuję w specyficznych problemach regionu Bieszczad. Delegacja miała wyjaśnić co się tam właściwie dzieje, a następnie złożyć relację plenum MKZ Mazowsze. Było to warunkiem ewentualnego poparcia sprawy Bieszczad i Rzeszowa na KKP.

Strajk w Ustrzykach nie ma już charakteru okupacyjnego. Uważając, że został on tylko rozpędzony, a nie rozwiązany członkowie Komitetu Strajkowego pełnią dyżury w lokalach tamtejszego MKZ, aby podkreślić jego ciągłość. Solidarność Bieszczadzka, czyli Federacja Robotników, Rolników i Innych Grup Zawodowych Bieszczad (oficjalna nazwa) ma swoje własne postulaty, wynikające ze specyfiki regionu. Trudno tam bowiem rozróżnić, kto jest robotnikiem, kto rolnikiem. Było i jest wiele kontrowersji kto w Bieszczadach ma tych ludzi reprezentować — „Solidarność” czy „Solidarność Wiejska”. Federacja została zarejestrowana przy krakowskim MKZ, za zgodą Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Struktura ma być następująca: dwa piony — rolniczy, czyli problematyka, którą zajmuje się „Solidarność Wiejska” i robotniczy, który reprezen-

tuje „Solidarność”. Te dwa piony miałyby współpracować ze sobą w ramach Federacji.

Mamy więc w Bieszczadach Federację, mamy „Solidarność”, do której przystąpiło 11 zakładów pracy z Ustrzyk, mamy „Solidarność Wiejską”, za którą opowiedziałyby się pozostałe zakłady, w tym PKS, dwa PGR i nadleśnictwo. Ale Bieszczady nie ograniczają się tylko do Ustrzyk.

Mówi W. Nowacki, szef Biura Informacyjnego Federacji: „9. XI. 1980 odbył się sejmik bieszczadzki. Niespodziewanie dla władz pokazał on siłę i skonsolidowanie mieszkańców tego rejonu. Większość stanowili rolnicy. Przebieg sejmiku i poruszona tam tematyka były szokiem dla władz. Wytknięto straty PGR, nadużycia Urzędu Rady Ministrów, który stworzył w Bieszczadach kilka elitarnych łowisk zwierzyny. Np. największe z nich, leżące na terenie byłych wiosek Arłamów, Kwaszenina i innych o powierzchni 60.000 ha i ogrodzone płotem długości... 120 km! Kilka wiosek zamieszkałych przez Greków przymusowo ewakuowano. Ujawnienie tego typu faktów nie mogło uść bezkarnie. Władze zaczęły robotę rozbijacką na całego, próbując dobrze znanymi metodami poróżnić „Solidarność” z nami. My jesteśmy zarejestrowani w Krakowie, bo było takie zalecenie KKP, aby być przy silnym ośrodku. Tu — na miejscu — nie ma jednolitości. Część MKZ rejestruje się w Krośnie, część w Przemyśle. Tworzony obecnie przez władze klimat zastraszenia i psychozy może słabszych załamać. Są również dowody na to, że próbuje się wywoływać rozdzwinki regionalne pomiędzy miejscową ludnością.

Jest tu tyle problemów, że Krajowa Komisja Porozumiewawcza chcąc nas poprzeć musiałaby tu w komplecie przyjechać. W Gdańsku, zza biurka wszystko inaczej wygląda. Nasze 21 postulatów można omawiać tylko tu, wśród miejscowej ludności. I wcale się nie dziwię, że komisji rządowej się nie spieszy. Po pierwsze mamy im zbyt wiele do powiedzenia, a po drugie właśnie w Ustrzykach i Rzeszowie ważą się losy „Solidarności Wiejskiej”.

W drodze powrotnej z Ustrzyk mieliśmy kilkakrotną, w odstępach kilkuminutowych, dokładną kontrolę drogową.

W niedzielę rano przyszedł z Gdańska telex informujący, że w poniedziałek odbędzie się posiedzenie KKP poświęcone między innymi sprawie poparcia dla strajkujących w Ustrzykach i Rzeszowie. Wiele MKR i zakładów pracy poparło akcję strajkową.

Wracam do Szczecina przekonany, że Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” oraz rząd powinny jak naj-

szybciej zainteresować się tymi problemami. Można by to nazwać testem odpowiedzialności.

(*Jedność*, 30 stycznia 1981)

Stanisław Grzegorz ŁYŚ

MY TU CZEKAMY

W południe Bydgoszcz wydaje się spokojna. Pogodnie i ciepło. Już z podjazdu dworca widać w perspektywie ulicy dużą grupę ludzi na chodniku przed budynkiem, z którego okien spływają wstęgi transparentów. W kratę drzwi wejściowych gmachu ZSL przechodnie wplatają wiązanki goździków. Potężny i dobroduszny komendant służby porządkowej załatwia dziennikarzy odmownie. Konferencja prasowa odbędzie się o czternastej, jak co dzień. Strajk bydgoski to solidne przedsięwzięcie.

Przed paroma tygodniami, 23 lutego, odbył się zjazd kółek rolniczych, który można uznać za początek łańcucha dramatycznych wydarzeń w Bydgoszczy. Tego dnia reprezentacja bydgoskich rolników zasiadła na podłodze Urzędu Wojewódzkiego przed zamkniętymi na głucho drzwiami sali konferencyjnej, w której bez ich udziału miano rozstrzygać — przynajmniej teoretycznie — o przyszłości bydgoskiego rolnictwa. Dopiero ta demonstracja sprawiła, że pięciu z nich, po długich przetargach, wpuszczono na salę. To prawda, że jak informuje Urząd Wojewódzki w swojej „Chronologii wydarzeń”, chodziło m.in. o zakwestionowanie legalności wyboru delegatów Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych wybranych w maju 1980 roku.

Rzecz w tym, że program odnowy w kółkach rolniczych przewidywał, iż delegaci wybrani demokratycznie na zebraniach wiejskich uchwalą na zjazdach gminnych utworzenie Gminnych Związków Kółek i Organizacji Rolniczych, a następnie wybiorą delegatów na zjazd wojewódzki. Cała ta operacja odbywała się

w pośpiechu, zamieszaniu i przy ingerencji etatowych pracowników kółek i administracji. Chłopom odczytywano statuty i wzywano, by uchwalili to, co mieli uchwalić. Niemniej jednak mechanizm od razu zaczął się zacinać. W niektórych gminach — np. w Pakości i Koronowie — rolnicy nie przystali na tworzenie WZKiOR i rzecz jasna nie wybrali delegatów na zjazd. W innych gminach wybrano delegatów, którzy okazali się dla władz przyszłego WZKiOR niewygodni. Do tego stopnia niewygodni, że jak stwierdzają strajkujący, na zjazd ich po prostu nie zaproszono.

W sumie w zjeździe 23 lutego uczestniczyło ledwie 48 delegatów wybranych na zjazdach gminnych. Całą resztę, 102 osoby, stanowili członkowie rad SKR — a więc ciał samorządowych powołanych w zupełnie innych warunkach — wybrani blisko rok temu, gdy o odnowie i reorganizacji kółek nikomu się nawet nie śniło. Zresztą i w stosunku do członków rad SKR zastosowano sprawdzony klucz. W gminie Koronowo z trzech delegatów SKR wybranych wiosną 1980 roku, ale jednak wybranych, nie zaproszono żadnego, nawet Jana Króla, przewodniczącego rady i przewodniczącego komisji rewizyjnej ówczesnego WZKR.

— Bo była sprawa jasna, że są to ludzie mądrzy, którzy wniosą poprawki do statutu — mówi Stanisław Mojzesowicz — dlatego kompletnie ich wyeliminowano. Nie wiedzieli nawet, że taki zjazd był. Inni delegaci... dam konkretny przykład. Delegat z Nowej Wsi Wielkiej, którego nikt nie wybierał, wszedł na trybunę, uklonił się i powiada tak: „Kłaniam się nisko panu wojewodzie, kłaniam się nisko panu sekretarzowi, ale za kartofle za mało nam zapłacili”. To był jego głos w dyskusji nad statutem. Jeżeli takich „delegatów” się dobiera, to jest po prostu skandal. Kompletny skandal. Oświadczam to jako wzorowy rolnik województwa bydgoskiego, wieloletni działacz kółek rolniczych, dyplom u mnie na ścianie wisi.

Zgromadzeni w sali konferencyjnej okupowanego budynku reprezentanci z innych regionów kiwają głowami. Każdy z nich ma do opowiedzenia podobne smakowite kawałki na temat kółkowej demokracji. Ale Pomorzacy i Kujawiacy, ludzie solidni i nastroszeni legalistycznie, potraktowali odnowę w kółkach poważnie. Z tego właśnie legalizmu i wstrząsu wywołanego historią powstania WZKiOR zrodziła się myśl o zwołaniu nowego demokratycznego zjazdu. Zaczęto go przygotowywać w środę 4 marca. W niedzielę 8 marca w świetlicy bydgoskiej „Belmy” zebrało się 248 delegatów z 28 gmin województwa. Na podstawie starego, choć zmodyfikowanego statutu kółek rolniczych wy-

brano władze Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych. Prezesem WZKR został Stanisław Mojzesowicz.

Przez następne kilka dni WZKR walczył o prawo do życia, o oficjalne uznanie, lokal i środki techniczne. W odpowiedzi, gdy minął moment konsternacji, władze ogłosiły, że zjazd WZKR odbył się nielegalnie. Uniemożliwiono przedstawicielom WZKR kontakt z Radą ZKiOR. „Zwiali przed chłopami i zamknęli się w ZSL-u” — mówi Marek Pasturczak, sekretarz rady WZKR, jedyny chyba w Polsce hodowca karakułów i pierwszy kosynier podczas wielkiej manifestacji chłopów, która odbyła się w Bydgoszczy przed kilku tygodniami.

W poniedziałek, 16 marca, grupa reprezentantów WZKR zdecydowała się raz jeszcze spróbować rozmów. Ale drzwi do siedziby WZKiOR były, już o ósmej rano, zamknięte i zaplombowane. Wobec tego delegaci przeszli na drugą stronę ulicy Dworcowej, do gmachu ZSL, i ogłosili strajk.

W ciągu dnia do okupowanego budynku przyjechał wicewojewoda Bąk, który po kilkunastu godzinach pertraktacji zdecydował się zagwarantować osobiście bezpieczeństwo strajkującym. Ale i tak tej nocy przedefilowała przed gmachem kolumna pojazdów MO z działkami wodnymi.

We wtorek komitet strajkowy przekształcił się w komitet ogólnopolski. Tego samego dnia na rozmowy z prezydium WZKR przyjechali do siedziby ZSL członkowie prezydium WZKiOR: siedli po dwóch stronach stołu, popatrzyli na siebie twardo. Pod wieczór przełamało się, oba prezydia padły sobie w objęcia. Teraz usiedli już po tej samej stronie stołu i wojewoda, gdy przyjechał, zastał przygotowane dla siebie miejsce — obok. Uzgodniono postulaty: nowy statut rozdzielający sprawy gospodarcze od społeczno-zawodowych, nowe wybory, przyjazd komisji rządowej.

— Chodzi o to, żeby kółka nie były w ręku naczelnika narzędziem do gnębienia chłopów — mówi Józef Roczeń, członek prezydium WZKiOR, siwy, stary, sterany. Mija trzeci dzień od chwili, gdy przyłączył się do strajku.

W czwartek, 19 marca, sprawy bydgoskiego WZKR i WZKiOR znajdują się już na dalekim planie. Nie chodzi teraz o kółka, w każdym razie nie tylko o kółka.

— My tu czekamy — zwierza się niziutki chłop z pooraną zmarszczkami twarzą — czekamy jak na zmiłowanie boskie na zarejestrowanie tego naszego chłopskiego związku.

— Tylko po to przyjechałem — mówi po prostu Witold

Rak, przewodniczący NSZZRI „Solidarność” z województwa radomskiego. Ten jest młody i energiczny. Często je wszystkich jabłkami, które przywiózł z grójeckich sadów.

— Dlaczego mówią o kontrrewolucji? — zachodzi w głowę niziutki — przecież my jesteśmy ludzie dobrzy, nikogo ukrzywdzić nie chcemy. Przestępstwa bynajmniej nie popełniliśmy żadnego. Siedzimy sobie tylko, na sali i w stołówce.

— Liczę na generała — deklaruje Wojciech Piwnicki spod Elbląga — że szybko postanowi tak czy inaczej.

Ale czas płynie, ludzie się niepokoją. Do okien zagląda słońce. Na razie jeszcze, gdy trzeba tylko obrządzać bydło, sieczkę rżnąć — można siedzieć. Pomogą sąsiedzi. Ale z wiosną, gdy trzeba wyjść na pola, nie będzie to już taka prosta sprawa. A i wiosna zapowiada się niedobrze, w wielu okolicach ziemia jest jak gąbka nasycona wodą, jeszcze z jesieni. Pojawia się podejrzenie: „biorą nas na przetrzymanie”. I w ślad za nim konstatacja: „Zobaczymy. Albo będzie gotowość do siewów, albo do strajku”.

Delegaci przywożą z różnych stron kraju wiadomości, że w tym tygodniu w wielu województwach wojewodowie wydali naczelnikom gmin nakaz konsultowania się ze wsią wyłącznie za pośrednictwem kółek rolniczych i niedopuszczania do innych zebrań. Zebrania NSZZRI „Solidarność” przenosi się do kościołów.

Po południu, gdzieś między trzecią a czwartą, rozchodzi się wśród strajkujących wiadomość o zerwaniu sesji WRN i o pozostaniu na sali części radnych oraz przedstawicieli rolników i bydgoskiego MKZ. Sytuacja zmienia się dramatycznie. Docierające wiadomości są sprzeczne i niepełne, między „szeregowymi” uczestnikami strajku — dezorientacja.

I nagle — coś pęka. Na salę wbiega Roman Bartoszcze, przewodniczący komitetu strajkowego. Ciężko opiera się o stół.

— Mój ojciec — mówi łamiącym się głosem — zawieźli go do szpitala. On zawsze chciał chłopów bronić. I ja tą ścieżką idę, tak nas wychował. Był działaczem, był partyzantem, był...

— Jest, j e s t — protestują ludzie. W tej chwili nikt już niczego nie jest pewien. Ktoś mówi, żeby okna pozostawiać stołami.

— Ja pracowałem w 70 roku w stoczni Komuny Paryskiej — mówi Irena Żyła, przewodnicząca NSZZRI „Solidarność” z województwa siedleckiego — widziałam wszystko. Uciekłam na wieś, bo moje sumienie nie mogło wytrzymać... Oni zginęli

za to, co teraz się w kraju dzieje i my musimy dokończyć tę sprawę, którą oni zaczęli.

Tymczasem potwierdzają się wiadomości, że Lech Wałęsa jest w drodze do Bydgoszczy. Znamcy sprzeczą się o odległość z Gdańska do Bydgoszczy. Czeką się — na Wałęsę i na to, co będzie. Tylko Marian Mikołajewski ciągle obraca w głowie swoją sprawę, najważniejszą sprawę w życiu.

— Proszę zanotować. Województwo Siedlce, gmina Liw, wieś Jartypory. Spaliłem się w 77 roku, 13 maja. Od tego czasu krowy trzymam na polu w stodole, dwa kilometry od domu. Krów mam dwanaście i tak codziennie chodzimy z mlekiem we troje: 2 km do drogi i do zlewni jeszcze 1,5. Ja w 77 roku oddałem 7.800 litrów mleka, a w 80 roku 18.400 l. A państwo o mnie nie dba. Kredytu na oborę potrzebuję, dla niektórych jest, dla mnie nie ma. Że niby sprawa własności przez sąd nie przeprowadzona. Nawet podatków jako pogorzelcowi mi nie umorzyli. Ja już w KC nawet byłem, w województwie ile razy — nie policzę. Teraz specjalnie na ten strajk przyjechałem, pani Irena mnie samochodem przywiozła. Przyjechałem z Siedlec jak stałem, żonę MKZ miał zawiadomić. Mnie kiedyś powiedział sąsiad „umrzesz, a sprawiedliwości nie dojdiesz”. I tak by było, gdyby nie te wypadki ostatnie. Bo przecież tu ktoś przyjedzie, Rakowski albo Jaruzelski. Wtedy ja wstanę i powiem przy nich i przy całej publice. Wszystko powiem, bo ja wojsko szanuję, i artylerzystą w 52 roku byłem dobrym. Jakaż to wroga robota — że ja oborę chcę budować?

Mikołajewski siedzi z miną skupioną i zdecydowaną i czeka na okazję, gdy będzie mógł powiedzieć wszystko. Siedział tak jeszcze przy tym samym stole tydzień później, co można było widzieć w relacji dziennika telewizyjnego. Bardzo wielu ze strajkujących ma tu oprócz spraw ogółu, większą lub mniejszą własną sprawę. Gmach ZSL w Bydgoszczy stał się w tych dniach prawdziwą ścianą płaczu dla całej chłopskiej Polski.

Pod sufitem sali konferencyjnej unosi się obłok dymu z papierosów. Komendant służby porządkowej przepędza ludzi spod drzwi. Korytarz musi być pusty. Niektórzy z członków komitetu strajkowego wyznawali nazajutrz, że podrywał ich nawet łoskot tramwaju.

Przed północą przyjeżdża niespodziewanie z Gniezna biskup Michalski, bardzo tu szanowany i lubiany.

— Cieszę się, że panów tu widzę — mówi od progu ksiądz biskup — ksiądz Prymas kazał mi mówić jasno. Więc powiem

tak: nie dopuszczajcie panowie myśli, że ksiądz Prymas, Episkopat i księża mogliby was kiedykolwiek opuścić.

Delegat z województwa skierniewickiego, który był wśród osób usuniętych z budynku WRN, opowiada raz jeszcze, co się zdarzyło. Potem krótka wspólna modlitwa. Ksiądz biskup rozdał obrazki. Łyk świeżego powietrza.

Niedługo potem potwierdza się wiadomość, że Lech Wałęsa jest już w Bydgoszczy.

Teraz atmosfera odprężenia. Starsi układają się do snu, młodzi dyskutują w kuchni — czy „chłop” to brzmi dumnie, czy wręcz przeciwnie i ma być „rolnik”. Staje na tym, że nie słowo ważne, tylko człowiek.

W sobotę, 21 marca, wieczorem — nastroje wśród strajkujących w budynku ZSL są nadal dobre, pełne wiary w szybkie i pomyślne rozstrzygnięcie. Widać już, że nad krajem gromadzą się chmury, ale wszyscy są przekonani, że tym razem sprawy chłopów, choć nagle znalazły się obok głównego nurtu wydarzeń, zostaną do końca załatwione. Przed godziną otrzymali taką obietnicę od obradującego w pobliskim hotelu „Brda” kierownictwa „Solidarności”. To po pierwsze.

Poza tym zaś, są dzisiaj w siedzibie ZSL przywódcy NSZZRI —, przewodniczący Jan Kułaj, nazywany „chłopskim Wałęsą” i zastępcy, pełen werwy Gabriel Janowski i niezmordowany Piotr Baumgart z województwa szczecińskiego. Dzisiaj także Wojewódzki Komitet ZSL zalegalizował obecność strajkujących w budynku i poparł ich żądania. No i przecież był wreszcie tutaj na nabożeństwie, o piątej — Lech Wałęsa. A teraz jest teatr, miejscowi aktorzy z przedstawieniem „Wroga ludu” Ibsena. I to zawsze jakaś pociecha.

Ktoś obwieszcza wszem i wobec: mamy pozdrowienia od Janka Rulewskiego. Kazał powiedzieć, że „zaczęliśmy chłopskie dzieło i je skończymy”. Ze wszystkich województw przychodzą nadal deklaracje poparcia. Przyjechało właśnie trzech delegatów z olsztyńskiego. Siedzą przy stole w kawiarni jeden przy drugim, w takich samych odświeżonych garniturach. W kłapach znaczki „Solidarności Wiejskiej”, które jakaś zręczna kobieca ręka przewiązała biało-czerwonymi kokardkami.

(*Tygodnik Solidarność*, 17 kwietnia 1981)

Włodzimierz KALICKI
Andrzej K. WRÓBLEWSKI

CZEGÓŻ CHCĄ CHŁOPI

Mają nowe związki zawodowe, mają porozumienia rzeszowskie, ustrzyckie, bydgoskie, mają podwyższone ceny skupu, towary zabrane z miejskich sklepów. Mają „zielone światło”, „wszystko dla rolnictwa”.

I co?

I strajkują.

W samym tylko województwie siedleckim protestowali rolnicy z Kłoczewa, protestowali wszyscy bez wyjątku mieszkańcy wsi Ponurzyca w gminie Osiek, strajk okupacyjny w Ministerstwie Rolnictwa przeprowadzili chłopci ze wsi Przywory, Burzec i innych. 25 października rozpoczęła się akcja protestacyjna w gminie Łochów, a dziesięć dni później w samych Siedlcach.

W Łochowie zgłoszono najpierw 5 postulatów. Po trzech tygodniach postulatów było już 15. W Siedlcach zgłoszono początkowo 7 żądań. Gdy zaczęły przybywać delegacje z różnych stron kraju, gdy rozpoczęto akcje solidarnościowe, liczba postulatów doszła do 28. Trudno powiedzieć, ile ich będzie gdy władza zdecyduje się na rozmowy.

Dlaczego strajkują?

— *Niech mi ktoś powie choć o jednym postulatcie rzeszowskim, który został pozytywnie załatwiony* — denerwuje się członek prezydium siedleckiego Komitetu Strajkowego Zenon Borkowski.

Dlaczego akurat w Siedleckiem?

60 % skarg na administrację, które wpływają do biura interwencyjnego OKZ NSZZ RI „Solidarność” pochodzi właśnie z Siedleckiego.

Połowa postulatów łochowskich dotyczy spraw lokalnych. Rolnicy żądają natychmiastowego odwołania wicewojewody siedleckiego Marka Zelenta, naczelnika gminy Ryszarda Reka, dyrektora SKR w Łochowie, Kazimierza Marciniaka. Każdemu z nich stawiają poważne zarzuty. Wojewodę oskarżają m.in. o brak kompetencji, błędne, katastrofalne w skutkach decyzje dotyczące melioracji, polityki inwestycyjnej w pegeerach, bezprawne wydawanie zezwoleń na budowę domków rekreacyjnych na gruntach uprawnych wysokiej klasy. Naczelnikowi Rekowii związkowcy i

zeteselowcy udowodnili sabotowanie ustaleń demokratycznie wybranych w każdej wsi samorządów, oszustwa w rozdziale materiałów budowlanych kosztem najuboższych i pozbawionych wpływów, m.in. samotnej matki z dziewięciorgiem dzieci. Dyr. Marciniak popisał się z kolei skoszeniem 80 ha żyta na kiszonki, które zresztą zgniły, podczas gdy spory areał łąk do dziś jest nie ruszony. Usługi SKR są skandalicznie złe, nawet jak na polskie warunki.

Szczególnie dużo emocji budzi w Łochowie sprawa tzw. resztek — nieużytkowanych filii PGR Turna. Rolnicy domagają się parcelacji 27 ha pegeerowskich odłogów we wsi Gwizdały oraz odłogów we wsi Brzucza. W pierwszej kolejności samorządy chcą wykroić ziemię na pełne gospodarstwa indywidualne dla dotychczasowych pracowników tychże filii PGR, resztę zaś podzielić między najbardziej potrzebujących i najlepszych rolników.

Postulaty ogólnospołeczne z Łochowa pokrywają się w zasadzie z żądaniami siedleckimi, a równocześnie jeden z postulatów siedleckich mówi o konieczności realizacji listy łochowskiej.

— *Postulaty rzeszowskie w 70 % pozostały do dziś niezrealizowane* — mówi wiceprzewodniczący OKZ „Solidarności” Rolników Gabriel Janowski. — *Żądania siedleckie są właściwie żądaniami rzeszowskimi przystosowanymi do dzisiejszej sytuacji w rolnictwie.*

Przewodniczący Janowski uważa, że podstawowe znaczenie mają punkty dotyczące samorządności wsi; przeprowadzenie demokratycznych wyborów do gminnych rad narodowych i przyznanie im prawa wyboru naczelnika gminy, uznanie zebrania wiejskiego za najwyższą władzę we wsi.

Jak przed sześcioma miesiącami powtarzają się postulaty dotyczące uczciwego uporządkowania sprawy kupna, dziedziczenia, sprzedaży i obrotu ziemią, równouprawnienia sektorów, wywiązania się administracji z zapowiedzianych przez nią dostaw na wieś, dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu, korekty podziału administracyjnego kraju.

Strajkujący bezwzględnie żądają likwidacji sprzedaży związanej towarów i środków produkcji za skup żywca rzeźnego w relacji 1 : 5. W zamian za to proponują gwarantowane przedpłaty na maszyny i sprzęt rolniczy dla wszystkich rolników, co nawiasem mówiąc niczego na wsi ani w skupie nie może dziś zmienić na lepsze, a na dłuższą metę może okazać się kolejną obietnicą bez pokrycia.

Sądząc więc po głównych tematach do rozmów, jesteśmy z rolnictwem w punkcie wyjścia. Podpisano i nadal podpisuje się kolejne porozumienia, wszyscy zapewniają o dobrej woli, a na wsi dzieje się coraz gorzej.

Przewodniczący Janowski i przywódcy strajku tym razem oczekują od rządu gwarancji niepodważalnych. Nie wiedzą tylko jeszcze, jakie to mają być gwarancje.



Akcję protestacyjną w Łochowie wywołał bezpośrednio naczelnik gminy Rek. Po długich negocjacjach zobowiązał się do zaproszenia na spotkanie z rolnikami wojewody Zelenta. Gdy w umówionym terminie przybyło do domu kultury 300 rolników, w sali, gdzie miało się odbyć spotkanie rozpoczęto projekcję filmu. Po dwóch godzinach wyczekiwania, na wniosek gminnej „Solidarności” i przy poparciu ZSL-u chłopci rozpoczęli okupację domu kultury. Przestraszony naczelnik przybył w godzinach wieczornych, proponując rozpoczęcie rozmów. Było na to jednak za późno — strajkujący m.in. żądali odwołania naczelnika. Przez tydzień rolnicy rozmawiali więc wyłącznie między sobą. Przyjechał co prawda dyrektor Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego, ale nie raczył odwiedzić protestujących.

W Siedlcach grupa rolników weszła do siedziby ZSMP, ZHP i ZSL. Kilkunastu obecnym pracownikom organizacji oświadczono, że rozpoczyna się strajk okupacyjny i od tej pory, ze względu na bezpieczeństwo, wszelkie telefoniczne, teleksowe i bezpośrednie kontakty ze światem zewnętrznym będą się odbywać pod kontrolą strajkujących. Kontrolowano przynoszoną z zewnątrz żywność, kontrolowano przybyłego lekarza, miejsca gdzie spali działacze. Gdy przed budynkiem zaczęły gromadzić się tłumy, gdy ze radiofonizowanej Nyski rozległy się kategoryczne żądania opuszczenia budynku — strajkujący zabronili podchodzić aktywistom do okien.

Po pięciu dniach, na wezwanie swych wyższych instancji, młodzieżowcy opuścili budynek.

— *Wybierając miejsce akcji liczyliśmy na poparcie młodzieży* — mówi rzecznik prasowy strajkujących Wiktor Stasiak. Główną jednak rolę odgrywały względy taktyczne — wyjaśniają strajkujący. Budynek usytuowany jest w centrum miasta, więc władze nie będą już mogły udawać, że nic się nie dzieje. Poza tym — co tu ukrywać — do budynku jest jedno wejście, jedne wąskie

schody na górę. Ułatwia to utrzymanie porządku, kontrolę wchodzących i — ewentualną obronę.

Obawy strajkujących co do nieprzychylnego stanowiska miejscowych władz potwierdziły się już w pierwszym dniu akcji, gdy prezydent miasta zapowiedział, że warunkiem podstawowym podjęcia rozmów jest opuszczenie budynku. Po kilku dniach egzekutywa KW PZPR oświadczyła, że w przypadku utrzymania okupacji budynku powinny być zastosowane wszystkie środki przewidziane prawem, a zmierzające do przywrócenia porządku.

I w Łochowie i w Siedlcach okupowane budynki przypominają warowne zamki. Nikt obcy nie ma szans na wejście do środka. W łochowskim domu kultury rozmowy z dziennikarzami, mimo przenikliwego zimna, odbywają się przed drzwiami. W Siedlcach dziennikarzy co prawda wpuszcza się do środka na codzienną konferencję prasową, ale po półgodzinnej kontroli dokumentów.

Totalna nieufność do wszystkiego co oficjalne.

— *Władza albo kompletnie nie rozumie o co nam chodzi, albo, co gorsza nie chce rozumieć* — mówi Zenon Borkowski. — *Od pierwszego dnia zaczęły się próby wmanewrowania nas w problem budynku. Pojawiły się ulotki i plotki przypisujące nam chęć zawładnięcia budynkiem. Jest to absolutna bzdura, z którą nawet nie ma sensu dyskutować.*

Mimo to, dla świętego spokoju, Komitet Strajkowy wydał oświadczenie, w którym odżegnuje się od jakichkolwiek zaborczych zamiarów co do siedziby młodzieżowców.

Rozdźwięk między unikami miejscowych władz a chłopskimi nastrojami jest po prostu przerażający. Strajkowy kucharz w przypływie gniewu grozi chwyceniem za kosy. Inni są w swych wypowiedziach ostrożniejsi, jednak w miarę rozmowy coraz częściej powtarzają słowa „*chamstwo*”, „*arogancja*”, „*niesprawiedliwość*”, „*absurd*”, „*idiotyzm*”. Zachłystują się przykładami.



Akcja w Siedlcach i Łochowie stała się najpoważniejszym bodaj od lutego ostrzeżeniem chłopów pod adresem polityki administracji wobec wsi.

Nie zmieniły tego próby zdyskredytowania uczestników strajku, ich poglądów i metod.

Trybuna Ludu podała 9 listopada, że bezpośrednio po roz-

poczęciu akcji protestacyjnej do budynku przybyli prezydent Siedlec oraz wiceprokurator rejonowy, których strajkujący nie wpuszcili do zajmowanych pomieszczeń i odmówili negocjacji. Tymczasem strajkujący twierdzą, iż obaj przedstawiciele administracji weszli do budynku, wysłuchali listy postulatów i zażądali opuszczenia lokalu jako niezbędnego warunku podjęcia rozmów.

Niewpuszczenie do budynku własnego reportara nie przeszkodziło *Trybunie Mazowieckiej* napisać, że ataki strajkujących „na gospodarstwa uspołecznione — PGR i RSP — są inspirowane przez określonych ludzi z wyraźnie sprecyzowanymi celami”. Jakimi celami? „Cel jest wyraźny — pisze dziennikarz *Trybuny* Henryk Pogorzelski. — „Im chodzi przede wszystkim o jeszcze jedno źródło konfliktów i napięć społecznych na wsi”.

Publikowane codziennie oświadczenia i komunikaty ZW ZSMP i KCh ZHP minuta po minucie opisywały życie „terroryzowanych” „drastycznymi środkami”, dwunastu aktywistów, z detalami fizjologicznymi włącznie. Tymczasem opuszczający po pięciu dniach okupowany budynek aktywiści młodzieżowi serdecznie pożegnali się z rolnikami, wręczyli im kwiaty i życzyli powodzenia.

Już po wyjściu i odprawie w zastępczym sztabie ZSMP dwunastka opublikowała oświadczenie, w którym wręczenie kwiatów nazywa „dowodem naszego humanitaryzmu” wobec rolników, których dalej określa jako niezorientowane marionetki manipulowane przez ekstremistów z „Solidarności”. Trzy dni po opuszczeniu budynku cała dwunastka ma już rzecznika prasowego i uzgodnione poglądy na temat swego „udziału” w strajku. Aktyw siedlecki ZSMP zgodnym chórem może już pytać w kolejnym oświadczeniu: „... komu i czemu ma służyć ta prowokacja? Kto kryje się za plecami okupujących budynek i jakie pragnie osiągnąć cele?”.

W skali kraju próbą neutralizacji wymowy siedleckich postulatów jest akcja cieszącej się poparciem administracji konkurencyjnej Rady Głównej Centralnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. RG CZKiOR wyłoniła 4 listopada komitet protestacyjny, który wysłał do rządu pismo, w sprawie — jak to napisano — nierespektowania stanowiska kółkowego wobec nowych zasad skupu żywca rzeźnego. Po kilku dniach sprawa ucichła. Bezpośrednio po rozpoczęciu solidarnościowych z akcją w Siedlekiem strajków chłopskich w innych regionach, komitet protestacyjny, powołany przez RG CZKiOR natychmiast wznowił działalność i nadal protestuje w sprawie, będącej tylko jednym z 28 postulatów siedleckich. Tego samego dnia DTV zdążył podać

informację o groźbie protestu przywódców kółek rolniczych. O strajku siedleckim i solidarnościowych z Siedlcami nie wspomniano w telewizji ani słowem przez wiele dni.



Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego „Solidarności” Rolników Indywidualnych na posiedzeniu w dniu 10 listopada uznało, że zgłoszone w Siedlcach postulaty wyrażają wolę rolników całego kraju i muszą być w całości spełnione.

Podczas wstępnych rozmów w Ministerstwie Rolnictwa ustalono, że właściwe negocjacje z rządem rozpoczną się w drugiej połowie listopada.

(*Kultura*, 29 listopada 1981)

ROZDZIAŁ PIĄTY

PARTIA WOBEC PRZEMIAN
SPOŁECZNYCH

Witold PAWŁOWSKI

WERYFIKACJA

— To jest już inna partia niż przed sierpniem — powiedział mi *Czesław Kaczorowski*, z dwudziestopięcioletnim stażem partyjnym, w swoim — pierwszego sekretarza komitetu zakładowego „Apatora” — gabinecie, z typową dla miejsca scenografią: portretem wodza rewolucji, statuetką górnika kutą w węglu i biblioteczką z materiałami zjazdowymi oraz plikiem broszurek Notatnika Lektora.

Jest inna — potwierdzali wszyscy moi rozmówcy, ludzie z aparatu toruńskiej organizacji partyjnej. Jaka? — tu zdania były podzielone. Różne znajdowałem nastroje i stan ducha — od niewiary i zwątpienia przez gorzki optymizm po radosne zadowolenie z siebie (bo, widzicie, zła była tylko centrala, to ona tłamsiła). Różny zastałem postęp weryfikacji treści i form życia partyjnego, ludzi partii i ich postaw. Dokonuje się to zmusznie i raczej powoli. Jakby wbrew temperaturze czasów — niecierpliwych i domagających się działań radykalnych i pospiesznych.

L a w i n a

— W sierpniu nas, partyjnych, ludzie ustawili w jednym szeregu — opowiada jeden z sekretarzy zakładowych. — Nikt nie patrzył na człowieka, jaki był, co dawniej myślał i robił. Uznali, że wszyscy jesteśmy współwinni. Ile było ironii, drwiny, obrazy — niezastłużonej.

— Była cholerna atmosfera na produkcji — mówi *Aleksandra Wrzecionkowska*, od dwóch tygodni sekretarz KZ „Merino-

texu", przędzalni chesankowej. — Opluwano nas, śrubami rzu-
cano.

W „Merinotexie” od niedawna kierują organizacją partyjną
dwie kobiety. Drogi zakładowe są ponazywane i komitet znaj-
duje się przy ul. Słonecznej, zastawiony zielenią doniczkową.
Nowy I sekretarz *Czesława Szczepańska*, nastawiacz maszyn, po-
przednio przez parę miesięcy była sekretarzem rady zakładowej.

— Lawina runęła, przeszła, teraz jest spokojnie. Zostaliśmy
zostawieni sami sobie. Każdy z nas musi to wszystko przemyśleć
z samym sobą, przegadać z własnym sumieniem.

Wewnętrzny rozrachunek z własną wiarą i doświadczeniem
różne dawał wyniki.

Przynosił odpowiedzi na tak i na nie.

Tych, którzy oddali legitymacje — w województwie zwró-
cono ponad 500 — w „Elanie” dzielą na towarzyszy, których
bardzo szkoda i takich, o których się mówi, że dobrze się stało,
iż odeszli. Ci ostatni pisali w podaniu, że właśnie skończyli par-
tyjną szkołę dla przodujących robotników i dziękują za dalszą
przynależność, albo — że zamiast małego fiata dostali przydział
na syrenkę, więc sitwa musi być w partii, stracili zaufanie.

— Jeśli się założyło p l a n wzrostu szeregów i było zadanie:
na VIII Zjazd — 3 miliony, to coraz więcej musiało trafiać tych
z przypadku lub za interesem.

W „Merinotexie” oddawali legitymacje do szuflady, na prze-
chowanie. — Wyczyścicie partię, mówili, to wrócimy.

— Oj nie, towarzysze — odpowiadała sekretarz *Szczepańska*
— my partię oczyścimy, ale dla was już nie będzie miejsca.

W „Towimorze” zwracali na miesiąc. Pozostawali w partii
bez legitymacji, albo odklejali zdjęcie.

— Mało miałem w życiu tak gorzkich rozmów — mówi
sekretarz *Kaczorowski* z „Apatora”. Przyszedł z legitymacją
towarzysz jeszcze z PPR-owskim stażem.

— Człowieku, na ludzi się gniewaj, nie na partię.

— Jakie mam gwarancje. Po grudniu też mnie przekony-
wali.

— Teraz nie będzie kultu, nie będzie teatru.

Oddał.

S z o k

Jeszcze się nie zakończył — każdego, indywidualny — we-
wnętrzny rozrachunek partyjny, kiedy przyszedł szok nowych

związków zawodowych. Tak mówią w komitetach partyjnych:
s z o k.

Przyszedeł żal, że oddolne i samorzutne porządkowanie Rzeczypospolitej odbywa się obok — poza szeregowymi instancjami partyjnymi, że nowe organizacje zdobywają tak wielkie poparcie, że tak wielu zweeksłowało na ich konto kapitał nadziei, do tej pory lokowany na koncie partyjnym.

— Taki mieli piękny start — mówi sekretarz z „Merino-texu”.

Przyszedeł żal o klimat w nowych związkach, klimat zapału i tworzenia, przeszkakiwania barier, dziewiczości nie zbrukanej tłumaczeniem, że trudności obiektywne nie pozwalają.

Żal, że partia trzymała uszy zamknięte na to, o czym mówiły doły.

— Postulaty nie spadły z sufitu — mówi sekretarz Kaczorowski. — Myśmy je wałkowali na zebraniach partyjnych od lat. Niektóre od 15 lat.

Pozostawały bez echa.

— Byliśmy nauczeni tłumaczyć ludziom, że postulaty są nie-realne, że nie stać nas, że jeszcze za wcześnie. Uwierzyliśmy w to, co nam przekazywali z góry.

— Kiedy przychodził towarzysz, który przepracował trzydzieści parę lat w Polsce Ludowej i prosił o kilka groszy podwyżki, żeby się do emerytury liczyło, ja rozkładałem ręce: wiecie, nie mamy możliwości.

— A teraz się okazało, że można dać podwyżkę wszystkim.

Sekretarz Kaczorowski jest zdania — i nie jest w tym odosobniony — że umowa z Wybrzeża powinna wyglądać tak, iż partia weźmie na swoje konto spełnienie części postulatów, co odbuduje i umocni autorytet dołów. Widzicie, to wam partia dała, mogliby ludzi przekonywać — tak jak to nieraz robili do tej pory.

— A partia żadnej ciepłej bułeczki w zapasie nie chowa — mówi. — Wiadomo, idą kłopoty, w sklepach będzie coraz mniej. Teraz, kiedy coś rzucą na rynek, ludzie komentują: to związki załatwiły; a jak niczego na półkach nie ma, mówią: to wina partii.

Kaczorowski zatem oczekuje na odgórne posunięcia partyjne o charakterze psychologicznym, zjednujące sympatię mas.

Ciąży na plecach instancji zakładowych jeszcze jeden garb, który ciężko zrzucić: postawa w czasie strajków. — Dostaliśmy w pewnej chwili interpretację, że to działanie sił antysocjalistycznych — mówi jeden z sekretarzy, który ze swoją funkcją roz-

stał się we wrześniu. — Później była interpretacja, że to słuszny bunt klasy robotniczej.

Sekretarze zakładowi, którzy agitowali przeciwko strajkom, którzy popadli w konflikt z załogą, spalili się. Przepadli w przyspieszonych wyborach, musieli odejść.

— Taka spotkała mnie nagroda za lojalność — mówi sekretarz.

— Szkoda tych żarliwych towarzyszy — dodaje Czesław Kaczorowski. — Myśmy się wtedy zupełnie pogubili. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi na Wybrzeżu, jakie mają postulaty. Obok strajkował „Towimor”, a myśmy nie znali, co się tam dzieje.

„Towimor”, produkujący sprzęt okrętowy, stał w sierpniu przez 12 dni — zastrajkował jako pierwszy i przez dłuższy czas jedyny zakład w mieście. Nie mieli pojęcia o postulatach ze stoczni, ale je poparli. Dopisali swoje, między innymi jeden znamienity, żeby do toruńskich władz wybierać ludzi stąd, miejscowych.

Zbigniew Iwanow, 32-latek, z wąsem, był wybrany do komitetu strajkowego, widać na zdjęciu jak klęczy w pierwszym szeregu przed prowizorycznym ołtarzem, tuż koło bramy. Kiedy na początku września — nie czekając na odgórne zalecenia — ogłoszono wybory w organizacji partyjnej, został I sekretarzem komitetu zakładowego.

— Zgłaszałem towarzyszom, że jestem wierzący i praktykujący — mówi. — Zaakceptowali.

Poprzedni sekretarz i trzech sekretarzy oddziałowych przepadło w wyborach.

Cały komitet zakładowy zapisał się do nowych związków, co druga osoba w prezydium związków to członek partii.

Iwanow uważa, że „Towimor” powinien stanąć na czele odnowy życia partyjnego w województwie. Mówi o poprzedniku: — Dobry był chłop, ale miękki. Zagubił się, wyleciał na zakręcie.

M ó w i e n i e

Przyszedł w instancjach partyjnych trzeci etap, etap mówienia.

— Musieliśmy teraz odrobić zaległości z tamtych, poprzednich milczących zebrań, kiedy dyskutowało się dopiero w autobusie, w drodze do domu, bo na sali nie było sensu; nikt nie chciał słuchać — mówi w „Elanie”.

— Zabierał głos tylko ten co się zgadzał, popierał. Jak miał inne zdanie — milczał. A przecież powinno być na odwrót.

— Bezmiar goryczy i żalu, te nasze dzisiejsze zebrania — mówi sekretarz Kaczorowski.

Znikły tematy zakazane i tematy tabu, tematy kularowe, przestały obowiązywać żelazne — dotąd — scenariusze zebraniowych rytuałów i zachowań. Nie ma świętych i nietykalnych.

Terapia mówienia.

Biorę udział w pierwszym spotkaniu nowego I sekretarza KW z organizacją partyjną „Elany”. Na drzwiach sali konferencyjnej plakat: SOLIDARNOŚĆ DZIŚ — SUKCES JUTRO. Stoliki pokryte zielonym suknem, ustawione w czworobok mikrofony. Zagajenie. — Zachęcam, towarzysze, do dyskusji. I nic, cisza.

— Myśmy się już wygadali — podpowiada mi naczelny gazyety zakładowej. (W ostatnim numerze: Cisza w samo południe — o piątkowym godzinnym strajku; Co będzie w zimie? — wiadomość z ostatniej chwili: pociąg z węglem jest już na dworcu głównym; Czego spodziewasz się po nowych związkach? — *Zdzisław Chodkiewicz*, aparaturowy Polimeryzacji: Czego mnie już nauczyły? Kompromisu. Myślałem, tak jak załoga, jednostronnie patrzyłem na problemy zakładu, teraz znam już stanowisko dyrekcji, umiem pogodzić się z jej argumentami — jeśli są słuszne; czwarty odcinek odpowiedzi na postulaty załogi — od 58 do 97).

Dyskusja:

● Patrzyliśmy na górę a nie na doły, na rozliczenie przed wyborcami; ● bronimy nietrzeźwych i obiboków, jak długo? ● zgubiliśmy kontakt z młodzieżą; ● chowamy głowę w piach i czekamy, co NSZZ będą robić; ● musimy ustalić vademecum każdego członka partii: zakres praw i obowiązków; ● na szkoleniach uczyć przede wszystkim leninowskich norm życia partyjnego — na praktycznych przykładach; ● im człowiek dłużej pracuje w zakładzie, tym ma gorszą pensję; ● rotacja kadr — tak, ale rotacja dyrekcji nie będzie dobra; ● krytyka członka partii nie jest krytyką partii; ● dosyć mamy bicia się w piersi. chcemy już usłyszeć, co będzie lepiej; ● żeby towarzysz znaczyło towarzysz, żeby bez skrępowania rozmawiać o błędach i niedociągnięciach; ● mówiłem: jak chcesz bracie zostać kierownikiem, to zapisz się do partii, nie było tak?; ● dyrektor z klucza

zostaje członkiem KW, co wtedy może szeregowy sekretarz z zakładu? KW to dla niego władza; • spokojnie, towarzysze, czego mam się wstydzić?, uważam moje lata w partii za chlubę; • „Elana” ma po przekątnej 3,5 kilometra — nie zapominajmy o osiągnięciach; • towarzysz Gierek nie miał szczęśliwej ręki do ludzi; • cała nadzieja — zjazd; nie lekajmy się konfrontacji, dajmy członkom partii możliwość wyboru; • na jakie cele idą składki partyjne?, póki nie dostaniemy informacji, postanowiliśmy na wydziale nie płacić; • to było zjawisko znane z teorii zarządzania; zasysanie kompetencji przez partię.

Zebranie bez oklasków.

Jest jeszcze jedna sprawa, która bulwersuje najbardziej.

— Mówiło się na VI Plenum, że koniec z przywożeniem władz w teczce, a dwa dni później wylądował w Toruniu helikopter z nowym pierwszym sekretarzem.

— Dziękiuję za podjęcie tego tematu — przerywa Pierwszy, *Zygmunt Najdowski*. Wyjaśnia: — Każdy sekretarz KW jest do dyspozycji. Dwa lata temu nie szedłem do stolicy z wielką radością. Nie będę oszukiwać, nie lubiłem w Warszawie pracować. Nie znam przypadku, żeby ktoś żądał mojego odejścia z ministerstwa kultury. Proponowano mi przejście do pracy partyjnej, poprzednik złożył rezygnację, odpowiedziałem, że jeśli KW zaakceptuje moją osobę, to wrócę.

— Ludzie u nas mówią, że Najdowski odpowiada za Radiokomitet i że za karę został zesłany do Torunia.

— Radiokomitet nie podlega ministerstwu kultury.

G n i e w

— Mam momenty cholernego optymizmu — mówi Aleksandra Wrzecionkowska, sekretarz z „Merinotexu” — i momenty zupełnego zwątpienia; że za wolno idą przemiany, że za dużo w partii babulą po staremu.

— Na zebraniach etatowego aparatu stare ziewanie półgębkiem i patrzeć na zegarki, żeby tylko szybciej się skończyło — mówi Iwanow z „Towimoru”.

— Przychodzą do mnie towarzysze z różnymi informacjami i pytają: sekretarzu, czy to prawda. Ja mówię: to nie może być prawda. Później przynoszą wydrukowane w gazecie. Ja, partia, wcześniej o tym nie wiedziałem — mówi Kaczorowski z „Apatora”.

Sekretarze są zgodni: brakuje informacji.

— Ciągłe dowiadujemy się na końcu — mówią w „Merino-texie”. — Nowe związki wywieszają swoje kartki, a my chyłkiem biegamy czytać.

— Wczoraj był u nas lektor z KC. Dobrze, że miał spotkanie z aktywem, bo ludzie na hali wyrzuciliby go po pięciu minutach za takie gadanie. Chcą konkretów.

— „Nowe Drogi” to są Bardzo Stare Drogi — mówią w „Elanie”. — O V Plenum — dziesięć linijek. Co mamy tłumaczyć na zebraniach.

Ludzie są niecierpliwi.

Korespondencja do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partijnej wyraźnie ożywiła się.

— Jest taka teza wśród aktywu, że było morze łajdactwa, a co drugi to złodziej — mówi szef WKKP, *Zygmunt Machowski*. I dodaje: — To jest Polak, towarzyszu. Najpierw była apatia, później wstyd, wstyd przerodził się w gniew. Przeciwno sobie, że tak długo siedział cicho, przeciwko koledze, do którego miał zaufanie. Mechanizm pomsty, psychologia zna takie stany.

— Jesteśmy organem opartym o społeczne odczucia. Do tej pory były kłopoty z przedarciem w dół, trzeba było się dopiero podpierać NIK-iem, prokuraturą, kontrolą dochodów, towarzysze kryli jeden drugiego, lawirowali. Teraz — mówią — co drugi złodziej. Z jednej skrajności wpadamy w drugą.

— Budowało się budynek, o przeznaczeniu, które obecnie budzi sprzeciw i dezaprobatę. Wiecie, był taki dylemat: jeśli się okazało, że nie ma przestępstwa, czy zainteresowany miał się usprawiedliwiać. Wielu towarzyszy było zdania, że nie. Ja uważam, że jeśli to jest działacz polityczny, to każda taka sprawa jest sprawą publiczną.

— Bulwersować opinii nie chcemy. Musimy każdą sprawę wyjaśnić do końca. Zachowujemy dużą ostrożność.

Działanie

Mówienie spełniało swoją rolę terapeutyczną, ale w końcu zaczęło nużyć — bicie w piersi swoje i bliźnich. Nadszedł czas na czwarty etap, etap działania. I z miejsca ujawnił rozbieżności w poglądach na temat — jak i co, podzielił na grupy, różne interesy, odmienne zainteresowania.

Najszybciej otrząsnęła się grupa trzydziestoparolatków. Są zresztą zwolennikami zmian najbardziej radykalnych i okazują

największe zniecierpliwienie. Chcą jakby zacząć wszystko od początku, otworzyć nowe konto. Występują za gruntowną reformą partii od góry do dołu, a przede wszystkim za wielkimi zmianami personalnymi i wymianą aparatu etatowego.

Grupa o kilkanaście lat starsza, z dłuższym partyjnym stażem i ukształtowanymi przyzwyczajeniami mniej jest skłonna przekreślić to, co do tej pory robiła, albo wcale nie ma ochoty, tym bardziej, że stary styl rządzenia był dla nich wygodny. Wcale nie mała część po cichu, wyraźnie zastrzegając anonimowość, uznaje część ostatnich decyzji centrali partyjnej za kapitulancie i w rezultacie osłabiające pozycje partii. Są również tacy, którzy uważają je za tymczasowe, dyktowane potrzebą chwili.

Owszem, są za zmianami, a w zasadzie za doskonaleniem i urealnieniem istniejącej struktury. Optują za odsunięciem na dalszy plan ludzi najbardziej skompromitowanych, ale też i za ostudzeniem zapału do zmian personalnych niepokojąc się o ciągłość instytucji partyjnych.

Wreszcie — do części z trudem dociera sens bieżących przemian, skłonni są je bagatelizować i minimalizować.

Najbardziej zgorzkniała wydaje się grupa pięćdziesięciolatków. Mają najsilniejszą świadomość cykliczności kryzysów partii, znają je z autopsji; gorycz budzą źle — po raz kolejny — ułożone nadzieje i zaufanie. Trudno kolejny raz zaczynać nowe życie, przedstawiać się z dnia na dzień, przywdziewać nowe — obowiązujące — oblicze; walczyć z resztkami wierności sobie, własnym poglądom.

Rodzi się, choćby podświadomie, rezerwa w stosunku do radykalnych trzydziestolatków, towarzyszy strach przed przyspieszoną emeryturą polityczną.

W najtrudniejszej sytuacji są ci, którzy pracują w partii zawodowo i na najniższych szczeblach; nie bardzo mają na co i na kogo liczyć. Wokół — próżnia.

Przedstawiony podział jest mocno — i krzywdząco czasem — uproszczony. Ludzi różnicuje również miejsce dotychczas zajmowane w hierarchii partyjnej, im wyżej, tym bliżej poglądów tej starszej grupy. W sumie sytuacja wygląda tak, że poszczególne kółka tej maszyny obracają się z różnymi prędkościami, trudno je ząbieć, żeby współpracowały ze sobą.

Sekretarz KW *Ryszard Dorożyński* przedstawia doraźny program instancji wojewódzkiej: ● zejście w dół, na zebrania instancji podstawowych, ● szukanie wiarygodnych autorytetów i poglądów, ● dyskusja nad instytucjonalnymi gwarancjami zmian

w życiu wewnątrzpartyjnym, • weryfikacja form aktywności partii.

Czy zadowoli masę?

— Stan umysłów jest tak gorączkowy, że racjonalne argumenty nie trafiają — mówi sekretarz Dorożyński. Komitet Wojewódzki znajduje się w specyficznej sytuacji — naciskany z dołu i z góry.

Gorące głowy nie mają zaufania ani do ludzi u wojewódzkiego i miejskich sterów, ani do struktur partyjnych. Właściwie na nic się zdają deklaracje sterników i ich mówienie po nowemu niewielki odnosi skutek. Zaufanie utraciły twarze.

— Realizowali błędną politykę, byli ucieleśnieniem tej polityki — mówi profesor Lang z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. — Nawet jeśli nie są skompromitowani osobiście, a wielu przecież nie jest — są skompromitowani jako układ personalny.

Zagubienie szeregowców polega na tym, że z jednej strony nie wierzą sternikom, a z drugiej — czekają aż oni właśnie dadzą sygnał do startu, przełożą VI Plenum na język konkretów.

Uznają dyrektywny sposób rządzenia partią za skompromitowany, a jednocześnie, wiedzeni starym przyzwyczajeniem, sami czekają na odgórne wytyczne.

Domagają się od struktur partyjnych działań bardziej ofensywnych — od plenum KW, że odegra aktywniejszą rolę w wyborze sekretarza KW, od WKKP, że rozliczy wszystkich, od szeregowców po sekretarzy, a jednocześnie uznają plenum KW w obecnym składzie za zupełnie nie reprezentatywne, a WKKP za część partyjnego *establishment*'u, a więc za niezdolną do wykonania oczekiwanych zadań.

Chcą wyborów i jednocześnie poddają w wątpliwość partyjną ordynację wyborczą.

Czekają, coraz niecierpliwiej, na wytyczne i dyrektywy. Te nie nadchodzą — więc jeszcze mocniej umacniają się w przekonaniu, że góra hamuje przemiany, bo taki góry interes.

Aparat z kolei nieufnie przygląda się dołom, bo runęła stara dyscyplina rozumiana jako ślepa lojalność i nie sposób kontrolować, co komu przyjdzie do głowy i co przyniesie ślina na język.

Jak w takiej sytuacji doprowadzić do porozumienia?

Rozwiązanie profesora Langa jest takie: rozwój form poziomych; rola KW: inspiracja i koordynacja.

— Musimy doprowadzić do sojuszu ludzi uczciwych — mówi.

Z inicjatywy organizacji partyjnej Instytutu Nauk Społecznych UMK, w sojuszu z ośmioma dużymi zakładami Torunia,

między innymi „Elaną”, „Apatorem”, „Towimorem”, Przemysłówką została utworzona Komisja Porozumiewawcza Organizacji Partyjnych, ciało otwarte, o zasięgu — w zamierzeniach — regionalnym, utworzone z zadaniem opracowania oddolnego programu na IX Zjazd, obowiązującego wojewódzkich delegatów.

Komisja, jak piszą organizatorzy, to skutek bierności i braku propozycji ze strony KM i KW, znajduje zwolenników również poza opłotkami, dogadała się z OOP w bydgoskim „Zamechu” i z Celulozą w Świeciu.

Warunkiem wstępnym zgłoszenia akcesu do Komisji jest przeprowadzenie u siebie wyborów. Często zresztą w ich wyniku u władzy zostają poprzednicy. Ważne aby mieli aktualny mandat wyborców.

Temat numer jeden forum: rola partii.

Sekretarz Iwanow z „Towimoru” widzi cel m.in. tak: — Żeby o każdym sekretarzu — KM, KW, KC — można było powiedzieć — mój sekretarz.

(*Polityka*, 8 listopada 1980)

Anna MATAŁOWSKA

WSZYSTKIE STRONY PATRZĄ REALNIE

Podczas listopadowego strajku ostrzegawczego „Solidarność Huty Warszawa” maszerowała między halami pod hasłami: „ukarać przestępców gospodarczych”, „precz z dygnitarzami”, „wolności słowa”. Na czasy spokoju ostał się cytat z Wyspiańskiego: „Musimy w końcu zrobić coś co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się tyle co nie zależy od nikogo”.

Wydział Propagandy Komitetu Fabrycznego odpowiedział Galczyńskim: „Oto jest nasz trud codzienny, małe budowanie...” recytuje z pamięci sekretarz Stanisław Zieliński. Nowe w myśleniu o propagandzie, zdaniem sekretarza Zielińskiego musi być szybkie i zmienne. Dlatego odstąpili od dotychczasowej linii:

ludzie dobrej roboty. Na zdjęciach ze strajków dawali wszystko, łącznie z mszami.

— *Ja nie oponowałem, powiedziałem tylko dajcie koncepcję, nasza pracownia fotograficzna wykona.*

A później dali fotoreportaż pod tytułem: DYSKUSJA NAD NOWYM KSZTAŁTEM, gdzie wszyscy wspólnie nad tym kształtem dyskutowali, także wszyscy zostali pod fotoreportażem podpisani: PZPR, „Solidarność”, Rada Zakładowa.

Ludzie — zdaniem sekretarza ekonomicznego Trześniewskiego — *właśnie ciągle patrzą, jak te czapki partii i „Solidarności” są do siebie nastawione.*

Dlatego właśnie tematem najbliższego posiedzenia Komitetu Fabrycznego będzie — określenie się — jak to nazywa sekretarz Trześniewski — wobec sytuacji związkowej. Bo niektórzy członkowie do dzisiaj nie wiedzą, co mają myśleć, tym bardziej co mają robić, no i czekają...

— *Oczywiście* — uspokaja sekretarz Zieliński — *stanowisko będzie za, nie może być inne, zresztą „za” jest nie od dziś, a wspólną płaszczyznę działania mają nie od soboty, czyli pierwszego jakby spotkania programowego stron.* Sekretarz Trześniewski miał z „Solidarnością” kontakt wcześniej, wchodził w skład komisji, która cisnęła dyрекcję w sprawach 800 postulatów załogi. W skład komisji wchodził również dyrektor ekonomiczny Ryszard Maślankiewicz, który od początku patrzył na tych wszystkich działających aktywnie ludzi i patrząc już wiedział, że to są ludzie, z którymi będzie się współpracować w przyszłości.

— *Bo oni chcą po nowemu i jak dotąd mieliśmy przykład* — mówi dyrektor Maślankiewicz — *bardzo sprawniej mobilizacji pracowników. A pracownicy na te apele jednomyślnie szli...*

Pierwszy apel rzucony przez dyрекcję był następujący: pomóżcie przy budowie masarni, żeby flaki i krew z hodowli hutniczych świnek nie były regularnie zakopywane w ziemi, ale żeby były z tego salcesony i kiszki.

— *Dyrektor potrzebował murarzy* — wspomina to pierwsze wspólne działanie wiceprzewodniczący „Solidarności” Karol Czadurski — *myśmy mu zorganizowali, bo mamy murarzy i oni pojechali i wymurowali.*

WSPÓŁPRACA „SOLIDARNOŚCI” Z DYREKCJĄ OD POCZĄTKU PRAWIE UKŁADAŁA SIĘ DOBRZE.

WSPÓŁPRACA Z RADĄ ZAKŁADOWĄ WYGLĄDAŁA TAK, ŻE OBIE STRONY PILNOWAŁY, ŻEBY SOBIE W DROGĘ NIE WCHODZIĆ.

WSPÓŁPRACA Z INSTANCJĄ PARTYJNĄ: W zależności od przywódców jednych i drugich — wspominają sekretarze Komitetów Zakładowych...

— Początkowo rosły antagonizmy: członek partii, członek „Solidarności”, a ja pytam — wspomina sekretarz Wydziału Mechanicznego — co przeciętny członek partii wyniósł z tego całego interesu prócz czasu zmarnowanego na zebraniach i posiedzeniach?

Sekretarz z Wydziału Głównego Technologa nie skalał się niczym — uważa — czego by się wstydził.

— A ponosimy konsekwencje za te wszystkie świństwa.

Sekretarz ze Stalowni od początku był za odnową demokratyczną i bardzo chciałby, żeby ona była prawidłowa. — Żeby prawidłowa ona była — twierdzi — wszyscy muszą do kupy się wziąć, kontrolować ale i robić.

Sekretarz z Mechanicznego dorzuciłby następujący fakt z tej wyboistej drogi postępu we wspólnym działaniu: po rozmowach, które przeprowadzili, „Solidarność” odstąpiła od działalności plakatowej. Sekretarz Mechanicznego wytłumaczył im, że przy takim plakacie powiedzmy: bryła, obrazująca Polskę na skraju przepaści, a z drugiej strony od tego upadku w przepaść podtrzymuje ją „Solidarność” otóż przed takim plakatem gromadziło się po 30 osób i dwie godziny potem dyskutowało. Porozmawiano więc o działalności plakatowej, zaniechano i to bez komentarzy typu partia wtrąca się w sprawy związkowe.

— Jeśli się porozmawia — dorzuca sekretarz z wydziału Głównego Technologa — to widać, że mają wspólny cel: chcą bronić sprawy robotnika. I żeby nie było nadużyć i kanciarstwa. A taki program każdemu przecież odpowiada.

Spośród wszystkich partnerów działania w hucie „Warszawa” obrażona czuje się właściwie tylko Rada Zakładowa. Przewodniczący Edward Płusa jest zdania, że co by nie zrobili, i tak wyjdzie, że stare jest czarne, biała jest tylko „Solidarność”.

— Ale tak jest — mówi przewodniczący Płusa — kiedy działa się na zasadzie budowania domu od dachu. Bez fundamentów. Bez zmian w przepisach, ustawach, bez regulaminu. Kto ma dzielić mieszkania, samochody, fundusz? — pyta od dłuższego czasu przewodniczący Płusa. Kto zatwierdzać plany, jeśli stare KSR-y się nie zbierają?

Jaki ma być samorząd — to pierwsze teraz i najważniejsze do ustalenia. Od tego będzie zależała reszta. Przywrócić stare rady robotnicze? Co z KSR-ami? Dzisiaj wszyscy psy wieszają, że fikcja, że parodia, niepotrzebne, żałosne widowisko.

— *A fikcyjność przecież* — twierdzi inż. Szadurski — *brata się stąd, że plany ustalano centralnie, więc co z tego, że w niejednej fabryce KSR planu nie przyjęt, uznał za nierealny, nie zatwierdził do końca — bywało — roku planowego?*

Teraz kiedy przymierzają się do współtworzenia planów w zakładzie rola KSR-ów autentycznie wzrosła. Ma być decydująca praktycznie.

Pierwsza przymiarka do tego współdziału w tworzeniu planu już się odbyła. Zjednoczenie rozeszło coś jakby na kształt instrukcji, planu działania w poszczególnych przedsiębiorstwach, dyrekcja opracowała swoją wersję.

— *Jak myśmy podeszli do budowy planu na rok przyszły? Huta cały czas pracowała, tak jak na to pozwalały warunki, czyli surowce i energia głównie. Dlatego — mówi dyr. Maślankiewicz — trzeba było przyjąć jakieś założenia. Przyjęliśmy, że ograniczenia będą nie większe niż były, policzyliśmy straty i o tyle mniej ustaliliśmy plan na 1981 rok. Do tego dodali coraz powszechniejsze żądania, żeby nie pracować w dni świąteczne.*

TAKI WSTĘPNY PLAN PRZEDSTAWIONO „SOLIDARNOŚCI”.

„Solidarność” skrzyknęła zespoły składające się z kierowników wydziałów, którzy w końcu najlepiej wiedzą, co jest realne, co realne nie jest — mówi inż. Szadurski — i okazało się, że to co przedstawiono, to pobożne życzenia przy pełnym zaopatrzeniu surowcowym i energetycznym. Wydział po wydziale zgłaszał więc swoje zastrzeżenia do wskaźników. Generalnie natomiast nie zgodzono się z faktem, że plan nie wziął pod uwagę systemu, w którym będzie pracowało hutnictwo, a konkretnie kto będzie pracował przez te siedem dodatkowych wolnych dni, skoro dzisiaj, codziennie brakuje 2.000 rąk do pracy?

Do tej pory obowiązywała zasada związać sznurkiem co się sypie i do przodu i tony, i tony... Dlatego „Solidarność” proponowała remonty.

Dyrektor Maślankiewicz jest zdania, że generalnie ludzie chcą pracować.

— *Nie obserwujemy wcale spadku wydajności* — podkreśla dyrektor — *przeciwnie, wydajność godzinowa jest wyższa. A to również sprawa swojego rodzaju presji, opinii środowiska — którą jakby się „Solidarność” — udało wytworzyć. Podjęli różne przedsięwzięcia porządkując problem wcześniejszych wyjść*

z pracy choćby. Przyjrżeli się, kto, kiedy, dlaczego — bez wyciągania konsekwencji, wnioski tylko przekazali dyrekcji.

— *A pracownik, jeśli czuje, że jest nakłaniany do czegoś sensownego nie tylko przez dyrekcję, ale i z boku, wyciąga wnioski — dodaje dyrektor.*

„Solidarność” przygotowuje się do wyborów, które chce zakończyć 15 stycznia: w planie sześciu etatowych działaczy plus eksperci: prawnik, socjolog, ekonomista.

— *Nie na wszystkim przecież musimy się znać — mówi wiceprzewodniczący Szadurski. — Wtedy będziemy od spraw takich, jak układ zbiorowy, kodeks pracy. Dzisiaj zajmować musimy się tym, z czym przyjdą ludzie. A przychodzą ze wszystkim. Przykład, pierwszy z brzegu, porządkującej działalności: robimy robotę strażników. Wokół huty melina na melinie, kupić można na kredyt, kiedy, ile się chce, zapłacić piętnastego.*

Z INNEGO BIEGUNA: przeprowadzili weryfikację stanowisk pod względem struktury zatrudnienia.

— *Złapaliśmy całe komórki na fikcyjnych etatach: maszynistki na robotniczych, Ośrodek Obliczeń Elektronicznych wiszący na funduszu płac huty, a były minister nawet o nim nie słyszał, drużynę piłkarską na etatach wysoko wykwalifikowanych robotników. I teraz tych chłopaczków zatrudniamy przy budowie ośrodka sportów zimowych. Trzeba było wykopać ziemniaczki zmarznęte — piłkarzy się powstało. Przyszła zima, kierownik Klubu Sportowego nie domyślił się, że lodowisko by się przydało. Też zrobili. I wie pani, że się ich jakoś gry podniosła.*

Z jeszcze innego bieguna: kartkowy system na mięso. Tyle oporów, tyle sprzeciwów. Na przykładzie kartek i konsultacji, która niby była, a właściwie nie była, Komitet Fabryczny i „Solidarność” — zawarł formułę — jak mówi sekretarz Zieliński — że będą się informować co słyszeć, a nie szeptać po kątach.

Konsultacja w sprawie kartek wyglądała tak, że dyrekcja spotkała się z urzędem dzielnicowym. — *No, jakaś reprezentacja też była — dorzuca sekretarz Zieliński — ale tak się nieszcześliwie złożyło, że konsultowano się w dzień po listopadowym strajku i naprawdę nie można było poprzedzić spotkania żadną praktycznie informacją.*

— *Bo nastroje były wiadomo jakie. Trzeba więc wrócić do tematu. Takie stanowisko przekazano dyrekcji.*

— **DZIAŁAJCIE WSPÓLNIE** — słyszał sekretarz Zieliński przez te ostatnie miesiące na niejednym wydziałowym zebraniu, ale pierwsze wspólne programowe spotkanie zaproponował do-

piero nowy sekretarz Komitetu Fabrycznego Wiesław Gemza. W dwa dni po tym, jak został wybrany, w głosowaniu tajnym, spośród sekretarzy komitetów zakładowych. A tak się złożyło, że przed wyborami „Solidarność” wywiesiła listę kto z czego korzystał i okazało się, że jeden sekretarz Gemza nie wyjeżdżał ani do Bułgarii, ani do NRD, ani pociągiem przyjaźni nawet.

— *Spotkanie odbyło się sympatycznie* — podsumowuje sekretarz ekonomiczny Trześniewski. — *Dotychczas było trochę jak z Salt II: dużo dystansu, mało punktów zbieżnych. Wreszcie określiliśmy płaszczyznę współpracy: powołamy komisję mieszaną, żeby nie dublować się w załatwieniu spraw i problemów całej załogi, partyjny, bezpartyjny — nieważne, ustaliliśmy żeby do tego działania wykorzystać ich kanał i kanał nasz.*

— *Ludzie chcą, żeby w ich imieniu działać wspólnie* — przekonany jest sekretarz Zieliński — *a nie każdy szarpie w swoją stronę. W końcu w „Solidarności” jest większość sekretarzy poniżej Komitetu Fabrycznego. W partii jest wiceprzewodniczący „Solidarności”, którego ostatnio dziennikarz z francuskiego La Croix zapytał, czy to nie sprzeczne być w partii i w „Solidarności”, bo sprzeczne — jego zdaniem — są interesy. Na co usłyszał, żeby tę sprzeczność inż. Szadurskiemu wskazać, bo on takiej nie widzi, raczej odwrotnie.*

Przychodzą do wiceprzewodniczącego Szadurskiego ludzie i mówią: teraz jest nadzieja, tym razem, mówią, się uda. A co by było gdyby nie Gdańsk, Szczecin, Jastrzębie — pytają. A inż. Szadurski im odpowiada: wyszlibyście w końcu na ulicę, starym sposobem zaczęłoby się pałowanie i wbilibyście znowu zęby w stół...

Więc przychodzą do sekretarza ekonomicznego i mówią: *tamci potrafili załatwić — wy nie.* A sekretarz ekonomiczny Trześniewski odpowiada, że podobne wnioski i podobne postulaty ma tu, w biurku, sprzed VIII Zjazdu, że rozsyłał je wtedy po wyższych instancjach, zjednoczeniach, ministerstwach, ale odpowiadali, nie ma możliwości, trzeba zacisnąć pasa. Stąd ludzie mocno są rozgoryczeni.

— *Mimo to* — mówi sekretarz Trześniewski — *wcale się nie licytujemy. Wszystkie strony patrzą przecież realnie.*

(*Polityka*, 3 stycznia 1981)

SŁUCHAĆ TEGO GŁOSU

„... Nie można sprawować władzy w oderwaniu od mas, bez ich poparcia, bez koniecznego kredytu zaufania. Nie wolno dłużej upatrywać herezji w poglądach szeregowych członków partii, żądających konkretnych, potrzebnych dla nas jako kraju i społeczeństwa reform... Socjalizm nie może być dobrem elity. Nie może stanowić przywilejów dla wyobcowanej warstwy rządzącej, związanej wspólnotą partykularnych interesów. Jest to bowiem władza z wyboru...” — to fragment listu otwartego Komitetu Zakładowego PZPR w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL Mielec do Komitetu Centralnego, odczytany na IX Plenum przez *Kazimierę Gromadę*, ślusarza z tejże fabryki. Cały jest w takim tonie. Można sobie wyobrazić że spotkanie członka Biura Politycznego, sekretarza *Kazimierza Barcikowskiego* z organizacją partyjną fabryki też łagodne nie będzie.

Na razie wszakże na sekretarza czeka w Rzeszowie wojewódzki aktyw. Też chce wiedzieć z pierwszych ust, co dzieje się na plenum i na najwyższych piętrach w partii. Na sali egzekutywa i plenum KW, lektorzy, rektorzy, dyrektorzy, sekretarze komitetów miejskich i zakładowych. I sekretarz KW *Franciszek Karp* otwiera obrady bardzo bezpośrednio i zwyczajnie. Notuję, że to już ten nowy styl, ale potem okazuje się, że to jest osobisty styl sekretarza Karpa, nowego człowieka na tym stanowisku.

Kazimierz Barcikowski mówi o plenum. Obradowało ono pod wpływem strajkowego napięcia. To zdominowało wszystko. A miało być o partii, o odbudowie jej zdolności do działania i jej roli w społeczeństwie. Już kiedy czytał referat czuł, że sala nie odbiera spraw partyjnych, że nie bardzo interesuje się dyskusją o centralizmie i demokracji. Tu chciałby mówić właśnie o partii. Będą ogólnopartyjne wybory, uznano wiele postulatów załóg, zjazd na pewno odbędzie się przed świętem lipcowym. Musi to być zjazd dobry i udany — ale to nie znaczy, że taki jak do tej pory. Należy odrzucić obrządek, deklaracje, manipulowanie — powinien być autentyczny, żywy, twórczy, ale odpowiedzialny. Są 4 obszary odnowy: praca wewnątrzpartyjna, samorządność, reforma gospodarcza, odnowa moralna. Wzmocnić ją musi pakiet ustaw obywatelskich, które powinny być przyjęte do 1 lipca br. i które tworzyłyby podstawy prawne zmian w życiu

społeczno-politycznym: ustawa o cenzurze, o związkach zawodowych, o samorządzie robotniczym i rolniczym, o spółdzielczości. Dalsze np. o radach narodowych powinny wejść w fazę dyskusji. Niedostatecznie wykorzystujemy te projekty, by uświadomić skalę proponowanych zmian. A właśnie pokazując to, co już nie jest założeniem, ale konkretnym projektem, można likwidować podejrzliwość, jaka ciąży na stosunku partii do odnowy.

Jaka jest sytuacja w kierownictwie partii? List Bratkowskiego przyczynił się do podgrzania tej kwestii. Kierownictwo zawsze dawniej było krytykowane za to, że jest monolitem. Dziś dowiadujemy się, że są różne stanowiska i jesteśmy zbulwersowani. A to chyba naturalne. Ważne jest ostateczne stanowisko, czy jest wspólne, szanowane i w jakim kierunku idą decyzje. Wiadomo z prasy, że część Biura podała się do dymisji. Później w wyniku rozmów przerwano ciąg składania rezygnacji. I sekretarz uznał, że Biuro powinno działać w składzie dotychczasowym. Czy rozwiązania personalne w pełni zadowalają partię? Wy wiecie najlepiej — powiedział do sali.

Co chce wiedzieć aktyw? Jak najwięcej o podziałach w Biurze Politycznym, ale także jak rozliczono dawnych przywódców, kto to są radykałowie w „Solidarności”, dlaczego nie ma natychmiastowej informacji partyjnej. Pada nawet pytanie czy tow. Grabski jest synem przedwojennego premiera i czy tow. Moczar jest Moczar czy ma inne nazwisko. Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi — *podejrzewam, że nie*, na drugie: *zapytajcie go sami*.

Pytać można już dziś o wszystko. Pytania przychodzą anonimowo, na kartkach. Pierwsze: List tow. Bratkowskiego z rewizjonistycznymi poglądami poparty został przez środowisko dziennikarskie, także rzeszowskie — czy więc mamy całe środowisko dziennikarskie przeciwko sobie?

Kazimierz Barcikowski: — *Rewizjonistyczne, nierewizjonistyczne, zostawmy to... Czy dziennikarstwo jest przeciwko leniновskim zasadom partii — ono nigdy nie było całe za, podporządkowywało się dyscyplinie, wcale nie zawsze uznając jej słuszność. Manifestują, jakimi są, teraz. Dla partii ważne jest, by mieć swoich partyjnych dziennikarzy w warunkach dziś istniejących. Trzeba powiedzieć z żalem, że nie za dużo dziś ich jest.*

— Jaki jest stosunek ludzi dawnego kierownictwa do obecnych wydarzeń i co się z nimi dzieje. — *Są odlegli od tego, co się teraz dzieje, trudno powiedzieć, jakie jest ich zdanie. Gierek i Jaroszewicz są na rencie, w kraju. Reszta szuka pracy — jest to bardzo trudne. Poza Wrzaszczykiem, który podjął pracę w*

motoryzacji, z resztą nie wiadomo, co zrobić, jak im zapewnić minimum warunków egzystencji... Szum na sali.

— Czy najtrudniejszy okres mamy już za sobą? *Nie jestem pewien, chciałbym. Oby ten był najtrudniejszy.*

— Tow. Olszowski powiedział na plenum, że Bratkowski wszedł na drogę działalności frakcyjnej. — *Proponuję nie ekscytować się tym — jeśli Bratkowski powiedział publicznie o Olszowskim, to Olszowski miał prawo powiedzieć o Bratkowskim. Zaczęła się rozmowa, mają sobie coś do powiedzenia, to chyba dobrze.*

— Co to jest frakcja „Grunwald”? — *Nie ma frakcji „Grunwald”, jest jakaś grupka bezpartyjnych i ludzi na uboczu partii represjonowanych przez UB w latach 50-tych, która urządziła mało poważną manifestację w Warszawie.*

— Jaką mieliśmy alternatywę na wypadek strajku powszechnego? — *Przetrzymać!*

— Czy zamierza się wrócić do dawnego podziału administracyjnego kraju? — *Limit reorganizacji w Polsce został wyczerpany na 50 lat. Uspokójmy się!*

— Czy ustanie wreszcie szkodliwa polityka rolna? — *Jesteśmy tu zawsze skłonni do lewactwa. Nikt jeszcze nie oberwał u nas za lewactwo w polityce rolnej. Początek zawsze jest rozsądny, a potem zaczyna się dryf. Trzeba szanować rolnika!*

O 13-tej spotkanie w Mielcu. Wita młody brodaty sekretarz KZ, wybrany zaledwie w ostatnią sobotę, Zbigniew Niziołek, 34 lata, inżynier-konstruktor. Najwyższa funkcja jaką dotąd pełnił to grupowy partyjny. Teraz został I sekretarzem 5-tysięcznej organizacji w 16-tysięcznej załodze Mielca. Odmienił się cały sekretariat, w egzekutywie został jeden człowiek z poprzedniej ekipy. Nie żeby były jakieś szczególne pretensje do dawnego aktywu, to właśnie poprzedni sekretarz jeszcze w listopadzie ub. roku zainicjował akcję wyborczą. Ludzie chcieli po prostu, żeby kierownictwo partii było nowe.

W sali mieleckiego domu kultury przeszło 500 osób, grupowi, sekretarze oddziałowych organizacji, plenum, ale także 250 zaproszonych szeregowych członków partii. Prawie sami mężczyźni. W wielu klapach znaczki „Solidarności”. Do „Solidarności” należy 95 % załogi, także nowy sekretarz. Przewodniczący „Solidarności” również jest na sali, też jest członkiem partii.

Sekretarz Niziołek debiutuje w prowadzeniu tak wielkiego zgromadzenia. Widać, że brak mu rutyny, ale też nie wydaje się mieć kompleksów wobec wysokiego kierownictwa partii. W krótkim wstępie, czytany z kartki, powołuje się raz jeszcze

na ich list otwarty do KC. Jeśli nie zostanie wysłuchany głos szeregowych członków partii, grozi długotrwały kryzys. Chcą rozliczenia z ich wniosków, tak jak ich się rozlicza. Taka jest opinia mas — muszą słuchać tego głosu.

Wszystko to powiedziane jest ładnym, zwyczajnym językiem. Aż dziw, jak niewiele czasu trzeba było, by przekreślić bez reszty tę znaną liturgię zebrań — ogólnik, sukcesy, drobne „ale” na końcu. Napuszenie, namaszczenie, frazes.

Głos zabiera Kazimierz Barcikowski, prowadzenie (mówione), podobne jest do tego dla aktywu, ale jakby z większym naciskiem na krytykę pracy kierownictwa. — Wiemy, że wszyscy chcą zmian szybszych i skuteczniejszych. Zależy to nie tylko od kierownictwa, także od całej partii. Trzeba pamiętać, że to właśnie kierownictwo sformułowało i wytrwale realizuje linię rozwiązywania konfliktów drogą polityczną. Ale zasób możliwości nie jest niewyczerpany. Trzeba procesowi odnowy w Polsce zapewnić minimum zaufania w stosunkach międzynarodowych.

Umiarkowane oklaski.

Na sali są mikrofony, ale pierwsze pytania wpływają na kartkach. Interesują w gruncie rzeczy te same sprawy, o które pytał aktyw w Rzeszowie, ale ton, język, czasem też punkt widzenia jest inny. Pierwsze: postawienie w stan oskarżenia winnych kryzysu jest rękojmią wiarygodności partii. — Barcikowski: *Za działalność polityczną — odpowiedzialność polityczna, za przestępstwa — odpowiedzialność karna. Jest cały wachlarz metod rozstawiania się z politykami, którzy zawiedli — od angielskiej po iracką. Angielska — ustępującemu politykowi ściska się dłoń, iracka — ścina głowę. Trzeba znaleźć coś pośredniego. Ile np. lat trzeba by dać Gierkowi?*

Z sali: — Nie sam Gierek rządził, a gdzie wyście byli? Szum. Sekretarz Niziołek wkracza zdecydowanie, prosi o poważną atmosferę i sala natychmiast się uspokaja.

— Kogo nazywamy wrogami socjalizmu i jak odróżnić strajk polityczny od innego? — Czy członkowie Biura Politycznego wiedzą, jak dalece utracili zaufanie, które mieli? Tow. Olszowski dziękował na plenum dziennikowi telewizyjnemu. Czy nie wie, że DTV jest powszechnie krytykowany za dezinformację? Na co wydano 26 mld dolarów? Dlaczego tyle się mówi o kontrrewolucji, a nie mówi się, że to błędna polityka kierownictwa partii i rządu doprowadziła do istniejącego stanu? Gdzie jest Gierek? Czy nie byłoby tak źle z gospodarką, gdyby nie strajki?

Tow. Barcikowski był ministrem rolnictwa, czy widział kryzys i dlaczego nie reagował?

Na każde z tych pytań pada odpowiedź, na ogół krótka. Na ostatnie z przytoczonych: *Nie uchylam się od odpowiedzi. Byłem w latach 1971-73 odpowiedzialny za rolnictwo w KC, potem jako minister. Pierwsza połowa lat 70-tych była w rolnictwie dobra, w drugiej następował stopniowy demontaż poprzedniej polityki z pozycji biurokratyczno-sekciarskich. Widziałem to i dlatego ustąpiłem z funkcji ministra rolnictwa, bo nie mogłem się pogodzić z likwidacją samorządu, reglamentacją itd.*

Po przerwie pytania zaczynają padać wprost z sali. Są ostrzejsze niż ne kartkach. Bardziej emocjonalne. Sekretarz Barcikowski jest coraz bardziej zmęczony — zbliża się szósta godzina spotkań.

Do mikrofonu podchodzi członek ZSMP. Pyta, kto nie uczestniczył w posiedzeniu Biura 22 marca. Dla jakiej sprawy sekretarz Włocławka złożył na plenum swój wniosek, jeśli rezolucje i dyskusje są wyrazem dezaprobaty dla kierownictwa? Prosi o komentarz do listu Bratkowskiego. Barcikowski zaczyna od końca. — *Na miejscu Bratkowskiego nie opublikowałbym takiego listu poza partią. Są zasady życia wewnątrzpartyjnego — można było przekazać go do członków władz albo nawet bezpośrednio do organizacji partyjnych. W czyim interesie występował Szymański? Pytanie sugeruje, że w moim. Nie muszę być członkiem Biura. Kto brał udział w posiedzeniu Biura 22 marca, a kto nie, jest to wewnętrzna sprawa Biura. Zachowuję sobie prawo do nieodpowiadania. Obowiązuje dyskrecja pracy, byłaby to nieojalność.*

Ktoś mówi, że tow. Barcikowski przyjechał tu nie jako Barcikowski tylko jako członek Biura. Nie zgadza się z odpowiedzią na pytanie o Olszowskiego (*każdy może mieć swoje zdanie na temat dziennika*). Dziennik TV dezinformuje. Co zarzucacie Bratkowskiemu? Jakże on miał szanse rozpowszechnić swój list kanałami partyjnymi? Barcikowski: — *Występuję we własnym imieniu. Zdania nie uzgadniałem. Co miałem do Bratkowskiego, powiedziałem. Żadna partia nie może zaakceptować takiego działania. Czy mogłem nie ustosunkować się do tego listu, skoro byłem tam wymieniony jako ten dobry? Wprowadzenie takich podziałów to najlepsza droga do rozbijania kolektywu.*

Wstaje bardzo przejęty robotnik. Mówi, że kiedy wstępował do partii Polska pięknie się przeobrażała i on rozumiał jej słuszną drogę. Ale ta droga doprowadziła do wspólnej mogiły. Nie

chce w tej mogile leżeć z tymi, co zawinili. Owija się i owija a wniosków nie ma. Gdyby ci, którzy zawinili, przyznali się, byłaby zupełnie inna atmosfera. A tak bezpartyjni pluja nam w twarz. Wyklucza się z partii jak ktoś majtki przez granicę przewiezie, albo drobiazg wyniesie z fabryki, dlaczego się tego samego nie stosuje do ludzi, którzy zaprzepaścili nam kraj?

Nurt rozliczeń i odpowiedzialności za kryzys ciągle dominuje. Ludzie, partia, wyraźnie nie mogą sobie dać z tym rady. Co mogłoby ich usatysfakcjonować? Jakie rozwiązania? Będzie na to musiał ostatecznie odpowiedzieć Zjazd. Tematyka polityczna wyparła niemal zupełnie z zebrania problematykę ekonomiczną, dawniej wszechobecną. Jeśli dziś ludzie pytają o gospodarkę, to też w kontekście win. Jest na dole w partii, także w Mielcu wielka gorycz i determinacja. Rzeczywistość, także partyjna, nie odpowiada oczekiwaniom. Jest to fakt społeczny.

(*Polityka* 11 kwietnia 1981)

Hanna KRALL

POKÓJ NAPRZECIWKO

Wszyscy mieszczą się w jednym korytarzu, w baraku administracji, na parterze. Na lewo — „Solidarność”, na prawo Komitet Zakładowy PZPR. Za drzwiami na lewo siedzi trzech inżynierów po trzydziestce. Za drzwiami na prawo też siedzi trzech inżynierów po trzydziestce. Różnice między nimi są takie: ci na lewo noszą swetry i mają wąsy lub brodę, ci na prawo nie mają bród i noszą jakieś kurtki, co, jak twierdzą, pozostało im z pobytu na praktyce w Stanach: przed wyjazdem powiedziano im, że mają tam wyglądać przyzwoicie. (Ci na lewo też byli na praktyce w Stanach, ale nawyk im nie pozostał). Poza tym w pokoju na lewo wisi krzyż, w pokoju na prawo nic nie wisi...

Zachodzi pytanie: dlaczego jedni są w pokoju na lewo, a drudzy w pokoju na prawo.

Przed wszystkim: ściślejsze wyliczenia wykazują, że wprawdzie jedni i drudzy są po trzydziestce, ale ci na lewo mają mniej o jakie pięć lat. Przedtem, kiedy jeszcze w „Solidarności” był komitet założycielski, wszyscy byli rówieśnikami, po wyborach jednak zeszli o pięć lat w dół i to jest właśnie ta różnica w stosunku do pokoju naprzeciwno.

Okazuje się — jest to bardzo istotna różnica i w niej to „pokój naprzeciwno” szuka przyczyn dzisiejszych przynależności.

— *Ta różnica — to Marzec* — mówi Jerzy Zakrzewski (główny automatyk, trzydzieści pięć lat). — *Zaczynaliśmy studia przed sześćdziesiątym ósmym rokiem, kończyliśmy po. Wszyscy, ilu nas teraz jest w tym pokoju, przeżyliśmy Marzec na uczelni, a edukacja społeczna, jaką się w czasie studiów odbiera, jest posagiem na resztę życia.*

Sidorowicz, na przykład, szef „Solidarności”, przyszedł na studia w sześćdziesiątym dziewiątym roku, czyli po wszystkim. My, marcowi — Zakrzewski nadal — przyszlismy skądinąd. Z epoki, w której idee traktowano serio. Kiedy zaczęło się dziać to wszystko, co stało się w Marcu i zasypało nas cytatami z różnych książek, i mówiono, że nie jesteśmy w zgodzie z ideą, zacząłem szukać tych cytowanych słów. I w innych rozdziałach tych samych książek, na innych stronach, znajdowałem zupełnie inne cytaty, które zgadzały się wprawdzie z moją ideą, ale kompletnie nie zgadzały się z tym, co było dookoła.

Otóż — Zakrzewski nadal — *ci, co po Marcu przyszli, w żadnych książkach niczego już nie szukali. Oni nawet nie czytali tych książek, które ja znam tak dokładnie. Oni w ogóle nie interesowali się ideą: zobaczyli, że rzeczywistość jest zła i nie porównywali jej z niczym, tylko — kiedy nadarzyła się sposobność — zabrali się do jej zmieniania.* (Jan Sidorowicz mówi, że u nich, w Sokółce, widział na oczy jednego jedynego ideowego działacza. Wszyscy inni chcieli gdzieś jechać, na coś się załapać i posuwać do przodu, i od początku było zupełnie jasne, że z tymi ludźmi nie da się być razem w żadnej sprawie). Z tego Marca Zakrzewski otrząsnął się dopiero po studiach, w pierwszej swojej pracy, kiedy to dostał brygadę robotników, swych rówieśników zresztą, z którymi razem pojechał w delegację, razem mieszkał, gadał po nocach, i którzy go wyprostowali w pewnych sprawach. Niech się pan nie daje zwariować filozofom — mówili mu ci robotnicy. O Marksie możemy sobie pogadać, ale kiedy indziej,

bo teraz to trzeba, panie inżynierze, tak: mieć gdzie mieszkać, co jeść, czym robić i wypieprzyć tych, którzy nie potrafią nam załatwić tego wszystkiego.

2.

Jakieś trzy miesiące temu dwudziestu ludzi, z których najstarszy miał czterdzieści lat, uznało, że muszą sami zająć się partią — przynajmniej w „Polkolorze”. Po pierwsze nie mogli dłużej trwać z tą kupą na głowie, której nie narobili. Po drugie — nie mogli dłużej patrzeć na to, że całą odnowę bierze na siebie „Solidarność”, a ich sekretarz czeka na instrukcje z KC, które zresztą nie nadchodzą. Po trzecie — ludzie ci też chcieli mieć swoich nowych, swoich młodych i swoich odważnych — i do tego też sprowadzał się ich program: że MA BYĆ INACZEJ. Jak mianowicie ma być — bliżej sobie nie wyobrażali.

Dwudziestu ludzi utworzyło grupę inicjatywną, czyli poziomą, i zobowiązani przez swoje oddziałowe organizacje przystąpili do opracowania zasad, według których należało wybrać nowy komitet. Wiedzieli, że jakaś odgórna instrukcja jest, ale nikt jej nie znał, bo sekretarz trzymał ją w szufladzie, w międzyczasie pojawiły się dwie nowe instrukcje, więc zanalizowało je kompetentnie trzech inżynierów-informatyków, którzy jednak stwierdzili, że zawierają wewnętrzne sprzeczności i pewne rzeczy formułują niejasno. Wobec czego należało opracować inną ordynację — jasną i logiczną. Na przykład uznano, że członkami komisji wyborczej mogą być tylko delegaci na konferencje, oraz członkowie ich organizacji partyjnej — co wykluczyło udział gości, w tym także z wyższych instancji, w pracy komisji. Następnie ustalono, że kandydatów do komitetu mogą — bez ograniczeń — zgłaszać organizacje oddziałowe, a także delegaci z sali, nie może natomiast przedstawiać żadnych list ustępujący komitet. I — co najważniejsze — postanowiono, że sekretarz będzie wybierany nie przez komitet, lecz przez całą konferencję zakładową.

Przygotowania przebiegały bez zakłóceń, oddziałowe organizacje partyjne zaaprobowaly ordynację i piątego marca odbyły się w „Polkolorze” wybory.

Pierwsze starcie nastąpiło już przy wyborze przewodniczącego; ustępujący sekretarz proponował swoich dwóch, a grupa inicjatywna swojego kandydata, inż. Zarzyckiego, informatyka.

Przeprowadzono głosowanie, po którym sekretarz odszedł od mikrofonu i mieli przewodniczącego.

Drugie starcie nastąpiło przy porządku obrad, ponieważ porządek starego komitetu nie przewidywał punktu o nowej ordynacji wyborczej. Znowu nastąpiło głosowanie i przeszedł porządek proponowany przez grupę poziomą.

Starcie najważniejsze miało miejsce przy wyborach pierwszego sekretarza KZ, bo tu już zabrał głos ówczesny sekretarz KW, tow. Szablak, kwestionując ich ordynację, jako niezgodną ze statutem partii. Natychmiast położono na stół statut i poproszono o wskazanie odpowiedniego miejsca. Tow. Szablak znalazł miejsce dotyczące sekretarza KW, którego wybiera egzekutywa, i mówił, że to obowiązuje i ich, choć nie wiedzieli dlaczego, wybierali bowiem sekretarza zakładu, nie województwa. Znowu odwołano się do sali i znowu sala przegłosowała wniosek, by utrzymać w tym punkcie ich ordynację, zresztą przyjętą już uprzednio przez zebranych.

Do komitetu kandydowały pięćdziesiąt trzy osoby, wybrano dwadzieścia osiem. — Czy była — pytałam — jakaś nieformalna lista osób, które powinny być wybrane? Grupa inicjatywna stwierdza z naciskiem, że takiej listy nie było. — *Owszem (powiedzmy sobie szczerze) było parę nazwisk, o których wiadomo, że wejść nie powinny, bo pewnych rzeczy trzeba jednak dopilnować, ale to wszystko.*

Pierwszym sekretarzem został Jerzy Woźnicki: inżynier chemik, trzydzieści siedem lat, staż w Stanach, żona — teoretyk muzyki, nie jest członkiem żadnego związku, bo z jednego wypisał się, a do drugiego nie wstąpił, o „Solidarności” myśli, że są tam bardzo uczciwi ludzie i że chętnie by ich rekomendował do partii, o strajku myśli, że członkowie partii powinni być tam, gdzie ich załoga, o Bratkovskim myśli, że pisał słuszne rzeczy, tylko w sposób do którego ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze, o partii myśli, że jej interes jest interesem szeregowych członków, a o swoich przyszłych obowiązkach — że powinien od czasu do czasu sprawdzać, czy jeszcze kogoś reprezentuje poza sobą. Tak mniej więcej odpowiadał na pytania stawiane mu w czasie kampanii wyborczej, i przez salę, i dotąd nie zmienił zdania.

3.

Jan Sidorowicz (inżynier mechanik, trzydzieści jeden lat, staż w Stanach) był w czasie przygotowań do strajku powszechnego przewodniczącym komitetu strajkowego w „Polkolorze”, teraz pełni obowiązki przewodniczącego komisji zakładowej, poprzed-

ni przewodniczący zrezygnował bowiem, nie otrzymawszy wotum zaufania. Sidorowicz też zresztą ubiegał się o godność przewodniczącego, ale nie przeszedł wówczas w wyborach. Postawiono mu zarzut, że się reklamuje, a to była po prostu zwykła kampania wyborcza, której szef, Dariusz Dziadkiewicz (inżynier mechanik, trzydzieści lat) rozklejał w zakładzie afisze z napisem — „Głosujcie na Sidorowicza”, oraz — „Tylko Sidorowicz ma program”. No i to właśnie nie podobało się masom członkowskim, które orzekły, że jak program ma, to — widać — biurokrata.

Otóż Jan Sidorowicz mówi, że „Solidarność” wypełnia lukę między działalnością partii a zapotrzebowaniem społeczeństwa — na demokrację, na samorząd, na informację, na prawdę...

Jerzy Woźnicki mówi, że ambicją komitetu zakładowego jest nie dać się ubiec nikomu w informacji, demokracji i prawdzie. To jest ambitne zadanie i dotyczy małych i dużych spraw. Mała sprawa jest wtedy, gdy komitet dostaje od pracownika skargę, wszystko jedno na co, na grupę zaszeregowania czy przydział domku, i musi nią się zająć natychmiast. Nie tylko dlatego, że za skargą kryje się człowiek (to, rzecz jasna, przede wszystkim), ale i dlatego, że człowiek ów tak się już wybystrzył, że zwraca się ze swoją sprawą i do partii, i do „Solidarności” jednocześnie, a partia nie może przecież wolniej załatwiać.

Natomiast duża sprawa jest wtedy, gdy dotyczy już nie zwykłego pracownika, lecz osób na świeczniku, jak syna towarzysza C., byłego sekretarza KZ choćby.

W przeciwieństwie do wielu innych komitetów i miast — partyjna komisja rewizyjna (odpowiednik komisji kontroli na szczeblu zakładu) „Polkoloru” zaczęła badać sprawy, które budzą, lub budzić mogą, wątpliwości i zaczęła wydawać komunikaty o wynikach tych badań.

W komunikacie nr 1 przedstawiono m.in. rezultat dochodzenia w sprawie mieszkania syna towarzysza C., na osiedlu Ursynów: okazało się, że syn ów mieszka w domku poamerykańskim (po Amerykanach budujących „Polkolor”) z rodzicami i złożył oświadczenie, iż nie będzie się ubiegał o mieszkanie z puli zakładu. Komunikat nr 2 zajmuje się zarzutem „iż działalność KZ ograniczała się głównie do rozdziału różnych profitów, jak talonów, nagród, odznaczeń, mieszkań i stanowisk...”. Stwierdza się, iż „KZ uzyskiwał od rady zakładowej pojedyncze talony na niepełnowartościowy sprzęt gospodarstwa domowego oraz radiowo-telewizyjny z przeznaczeniem dla aktywu partyjnego.

W KW uzyskano dziesięć talonów na samochody Fiat 126 p z przeznaczeniem dla robotników, które przekazano do dyspozycji oddziałowych organizacji partyjnych. Komisja rewizyjna uważa za nieprawidłowe dysponowanie talonami na sprzęt gospodarstwa domowego. Sposób dzielenia talonów na samochody ograniczał możliwości otrzymania talonów przez robotników nie będących członkami partii". (Załącza się listę dziesięciu nazwisk robotników, którzy dostali talony, członkami partii jest ośmiu).

Komunikat nr 3 jest szczególnie atrakcyjny: sprawa przydziału miejsca w hotelu pracowniczym synowi byłego sekretarza tow. C. („nie znajduje to uzasadnienia prawnego, w stosunku do winnych należy wyciągnąć wnioski”), dochody członków KZ i administracji (załączono wykaz osób, które zarobiły więcej niż 120 tysięcy i 144 tysiące złotych w roku 1979), skład komisji przydzielającej „Jowisze” i preceniającej telewizory (tu nazwiska członków — z których wszyscy przyznali sobie po „Jowiszu”), dalej — wykaz osób, które dostały po dwa talony na samochody w ciągu trzech lat, i wreszcie — tabelka: „Wybrane przydziały profitów w latach 1977-1980”. Rubryki: nazwisko — mieszkanie — domek — samochód — nagrody — talony na tv kolorowe — odznaczenia państwowe itd. — i nazwiska, z krzyżykiem w odpowiednich rubrykach. — *Widać, że te profity — komentuje sekretarz — kumulowały się wokół niewielkiej grupy osób najbardziej wpływowych i nagradzanych, głównie spośród kadry kierowniczej.*

Komunikaty komisji rewizyjnej rozsyłane są do oddziałowych organizacji i będą podawane do wiadomości publicznej. *Bez nacisku „Solidarności”,* mówi Woźnicki, choć już to mówił parę razy, za to *pod* naciskiem organizacji partyjnej.

4.

Pierwszy kontakt słowny między nowym komitetem a „Solidarnością” nastąpił dwudziestego marca rano: Woźnicki wszedł do ich pokoju i zapytał, czy wiedzą coś więcej o Bydgoszczy. Było to wydarzenie niesłychane, ponieważ nigdy przedtem sekretarze do tego pokoju nie wchodzili, z wyjątkiem byłego sekretarza, towarzysza C., który raz przyszedł zapytać, co się dzieje z bufetem, bo nie ma tam nic do jedzenia.

Drugi kontakt to była wspólna narada w dyrekcji (— *Długo*

przygotowywałem do niej grunt — mówi Woźnicki), trzeci natomiast miał miejsce ostatnio i dotyczył samorządu.

— *Chwileczkę...* (Następuje liczenie kogo ile jest, cztery tysiące w „Solidarności”, ośmiuset w partii, sześciuset w branżowych, no dobrze, ale teraz trzeba odjąć — od partyjnych, członków „Solidarności”, a od „Solidarności”, partyjnych, uzyskamy wtedy liczbę członków czystych i w zależności od tego...).

— *No to 6-2-2?*

— *A 5-3-2?*

— *A 6-3-1?*

(Sytuacja w „Polkolorze” jest taka: montownia stoi od tygodnia, w podzespołach pracują tylko ci, którym zostało trochę blachy, kineskopu kolorowego, dla którego w końcu zbudowano cały zakład, w ogóle się nie robi, a ostatnia pensja pochodziła już z pożyczki bankowej. Zakładowi grozi zamknięcie, załoga liczy pięć tysięcy osób i nikt nie ma żadnego wyobrażenia co z nią będzie. Dla jasności: całkiem możliwe, że demokratyczne paraflowanie i ratyfikowanie jest niezbędne. Co więcej — możliwe nawet, że gdyby wcześniej było tyle jawności i demokracji, to dziś nie trzeba by zamykać zakładów...).

— *Panowie* — zakończył spokojnie przedstawiciel jednej z organizacji — *uwzględniłam ogromny sukces sam fakt, żeśmy się spotkali.*

Następne spotkanie ma się zacząć od ustalenia nazwy i proporcjonalnego udziału stron...

5.

W pokoju „Solidarności” nie mogą się nadziwić pokojowi naprzeciwko: że tacy normalni ludzie tam zasiedli: Myślą jak wszyscy, mówią co myślą, w głowie się to nie mieści, naprawdę.

W pokoju „Solidarności” mówią, że gdyby nie było Sierpnia to wcale nie wiadomo, czy ci ludzie znaleźliby się w pokoju naprzeciwko.

I jeszcze mówią, że jak ta odnowa się nie utrzyma, to i oni się nie utrzymają w tych pokojach — i ci, tu, na lewo, i tamci, naprzeciwko.

(*Polityka*, 25 kwietnia 1981)

KOLEDA GRUDNIOWA

*Wstań i walcz!
Bo walczysz o wielką zecz!
Podnieś się!
I słabość odrzuć precz!*

Władysław Grudzień, lat 60, traser na wydziale drzewnym Stoczni Gdańskiej („uprawnienia mistrzowskie nawet posiadam”) pokazuje mi tę kartkę sprzed dziesięciu lat. Papier nieco pożółkł, ale pozostały wykrzykniki postawione wtedy po każdej linijce i pozostała ta sama ortografia. O ortografię nikt nie może mieć pretensji do robotnika, ale robotnik może mieć pretensję o wykrzykniki. Coście, do cholery, zrobili przez te dziesięć lat z naszymi świętymi wykrzyknikami z czasów nadziei?! Bo ten wiersz napisał Władysław Grudzień w szpitalu. Kula z pistoletu maszynowego utkwiała w obojczyku, omijając serce, aortę i co tam jeszcze. Tak że stoczniowy traser może mówić o szczęściu.

Ale w tych przyżółkłych papierach powinien być jeszcze jeden wiersz, również powstały na szpitalnym łóżku: o chłopaku rozejchany przez czołg. Tego chłopca — miał może 19, może ze 20 lat — nieśli na płachcie w stronę stoczni. Jeszcze żył i Władysław Grudzień zdążył spojrzeć mu w oczy, zanim napotkał swoją kulę. Więc gdzie jest ten najważniejszy wiersz, także pełen świętych wykrzykników?

— Na pewno żeś dał — mówi żona. — Zawsze rozdajesz ludziom tę swoją pisaninę i potem nic nie ma.

Ale przecież jest tak dużo w tych papierach. Bo on ma tu różne wiersze na każdą okoliczność: osobno patriotyczne, osobno o pracy i osobno takie życiowe do śmiechu. I nawet partyjne. Bo to wszystko jest potrzebne ludziom i dlatego czasem rozdaje, chociaż woli, żeby robić odpisy, bo w ten sposób zostaje pamiątka i dowód. Tak jak płaszcz z niewielką dziurką od kuli, takąż marynarka z zakrwawioną koszulą. O, proszę.

— Marynarki przecież już nie masz, oddałeś śmieciarzowi.

Ale płaszcz i koszula są. Także przypłaszczona kula pistoletowa i wiele innych rzeczy: zwłaszcza w papierach. Jest na przykład karta repatriacyjna matki zezwalająca w 1945 roku na

wyjazd do Polski z rodzinnego Wilna wraz z dziećmi. Władysław nie mógł z niej skorzystać, znajdował się zupełnie gdzie indziej (...). Jest także zdjęcie Władysława wystane z Czelabińska z dedykacją: „Najukochańszej Żonie w ciężkich chwilach mojego życia wraz z Życzeniami Najserdeczniejszymi z okazji Nowego Roku. Wowcia”. To był rok 1947. Jest też urwany kawałek zwolnienia z Czelabińska (...). Udaje się do miejsca zamieszkania. I na odwrocie adnotacja polskiej ambasady w Moskwie: „wypłacono 300 rubli zasiłku”. Bo skąd to wszystko? Ano po-niekąd stąd, że najpierw było AK w rodzinnym mieście i parę akcji, w tym akcja na niemiecki pociąg zakończona uszkodzeniem kręgosłupa. A potem różnie bywało, wlokło się to za człowiekiem i w różnych miejscach trzeba było pracować na menażkę zupy.

Do Polski udało się wrócić dopiero w 1956 roku. Rozpłakał się po przekroczeniu granicy: w punkcie repatriacyjnym kierują do Wałbrzycha, a tu chciałoby się do Gdańska, gdzie matka i rodzeństwo. Dzisiejszy Gdańsk to prawie w połowie potomkowie rodowitych wilniuków i nigdzie tak pięknie jak tu nie słysząc tej śpiewnej mowy. Tak układała się geografia repatriacyjnych transportów. Skoro władza każe... A władza to przecież władza — wiadomo. W końcu jednak na własną prośbę i własne ryzyko udał się nad morze. I tu trzeba byłoby właściwie popłakać się znowu, bo panienska w odnośnym urzędzie, gdy zaczął pokornie o pracy i zapomodze, rzuciła: „a pocóście się do Polski pchali, ciubaryki?”. Ręka zwinęła się w pięść. Tak zaczynał. Najpierw w budownictwie, potem w stoczni. Bo fachowiec z niego dobry, na radzieckich budowach był „prorabem” czyli właściwym mistrzem, tylko że papierów nie miał. Ale i na to przyszła pora na stoczniovym kursie. I w ogólności stocznia to porządny zakład, o ludzi dbający, więc jego chluba i duma z tego też płynie, że od 1959 roku ma tę samą pieczęć zatrudnienia w dowodzie. Tylko że odezwał się ten nieszczęsny kręgosłup, naruszony w AK-owskiej akcji, no i zresztą całe zdrowie nadszarpnięte na wojennych i łagrowych drogach. Poprzestał więc na traserstwie, choć mógł iść wyżej i dalej, a lekarze w papierach wprowadzili urzędową adnotację „niepełnosprawny”.

— No i co z tego? Przecież żyję. Tu w Polsce, wśród swoich, z dziećmi we własnym kraju. Gomułka to porządny człowiek, też przecierpiał swoje, będzie lepiej, na pewno będzie! Zbudujemy Polskę na miarę naszych marzeń, naszych wykrzykni-

ków, my komuniści! — Tak, bo w 1960 roku Władysław Grudzień wstąpił do partii.

— Tak — mówi — w grudniu 1960 roku. — Wszystko potwierdzam, niczego nie żałuję. Jestem polskim komunistą.

Co było dalej za Gomułki, wiemy... Wiemy?

W stoczni już w niedzielę 13 grudnia było niespokojnie — pracujący w nadgodzinach i stałe służby gromadziły się w rozdyskutowane gromady. W poniedziałek od rana mało kto pracował. Zeszli się pod budynkiem dyrekcji. Władysław Grudzień stał z tyłu, tłum gęstniał, nie wiadomo, kto tam w tym gmachu się schował, a kto zdecydował podjąć rozmowę. I tak niewiele słysząc, a tyle gorzkich żali.

Jedni poszli w pochodzie pod Komitet Wojewódzki, inni wrócili na wydziały. On z nimi, bo przecież — jeśli mają dochodzić swoich praw, to trzeba najpierw wybrać porządných przedstawicieli każdego wydziału. I partyjni mają przy tym być, taka ich powinność, skoro są przodującym oddziałem przodującej klasy, no nie? Dlatego nie poszedł pod komitet ani do domu.

Pod komitet poszli następnego dnia, poszli pochodem jeszcze potężniejszym i wspólnym, tym więcej, że poprzednio wybrani delegaci znaleźli się zaraz pod kluczem. Więc niech się kto należy z tego nam wytłumaczy. Ale zamiast wytłumaczenia pojawiły się czołgi. I gaz. I długie pałki.

I wtedy w tej kotłowni zobaczył przejechanego chłopca. I jeszcze zobaczył, jak rozbijano pierwszy sklep, aby dostać butelki z łatwo zapalnym denaturatem. I jeszcze widział, jak kole-dzy zdobyli czołg, wywiesili na nim biało-czerwoną flagę i pojechali z triumfem do stoczni. Wtedy już wracał przyspieszonym krokiem, bo niedobrze się robi, trzeba na wydział, naradzić się z towarzyszymi, z kolegami, wybrać nowych delegatów.

Przed czternastą znów wyszedł ze stoczni na ulicę Jana z Kolna. Na ulicy stał bezużyteczny czołg z biało-czerwoną flagą, który zepsuł się i utknął beznadziejnie na skutek nieumiejętnej obsługi. Od strony dworca unosił się dym, dochodził ludzki krzyk, łomotały gąsienice. Oparł się o czołgowe żelastwo na tej spokojnej wtedy przystoczniowej ulicy i rozmawiał z kolegą: no bo jak się teraz dostać do domu, wszystkie drogi odcięte? Wysoko leciał helikopter.

— Pewnie nas kapuje? — powiedział kolega.

I wtedy poczuł uderzenie, piekący ból. Upadł. Zdarli mu płaszcz, ponieśli na rękach do szpitala za stoczniową bramą. Po-

tem karetka. Karetka utknęła na wiadukcie „Błędnik”, gdzie walczyli ze sobą ludzie i płonęły auta. Przejechali chodnikiem.

— Komitet się pali! — rzucił sanitariusz.

Usiłował się podnieść, niewiele widział. Tak rzeczywiście. Nie był pierwszym rannym, ale był pierwszym rannym, jaki padł na przystoczniovym placyku. Nie wiedział, że dopiero następnego dnia będą strzelać do jego kolegów wychodzących ze stoczni i że ku czci ich pamięci na tym obskurnym niegdyś placyku wystrzelą w niebo krzyże pomnika. Nie wiedział nawet, co stało się w dwa dni później w Gdyni: zwożono tylko rannych, bardzo wielu rannych. Ktoś inny liczył zabitych. Potem rozeszły się złe wieści, ludzie powiadali, że zabiorą wszystkich rannych kontrrewolucjonistów do więziennego szpitala. Syn, kierowca podjechał niby z transportem węgla, wykradł rannego ojca i jego zapisane jedną ręką kartki. Przewieziono go do krewnych pod Lidzbark Warmiński, tam miał się kurować i czekać. Wiadomość o plenum i zmianie ekipy zastała ich w tej drodze, jeszcze nie wierzyli. Okrzyk „pomozemy!” dotarł i na jego odludzie. Znowu stawiał wykrzykniki nie tylko przy skardze, ale i przy nadziei. W marcu był już w pracy.

— Prowadził ktoś dochodzenie w sprawie strzałów z helikoptera? Badał okoliczności?

Bo układ przestrzelin w ciele i ubraniu wskazuje, że strzał przyszedł z wysoka. Więc jeśli nie z tego nadlatującego helikoptera, to skąd? Ale helikoptera strzelającego w dniu 15 grudnia 1970 roku brak w urzędowej wersji wydarzeń opublikowanej przed laty przez miejscową gazetę. Przecież zbadanie i ogłoszenie prawdy obiecał Gierek stoczniovcóm zanim jeszcze „pomozemy!” wbiło się ponad Polskę. Jak to jest?

— Pewnie, że mam papier — grzebie w swoim archiwum. — O tu. Przyczyną wypadku: postrzelenie. Czas i miejsce: ulica Jana z Kolna, tuż po godzinie czternastej dnia piętnastego grudnia. Protokół wypadku w drodze z pracy. Sporządził inspektor bhp, podpis nieczytelny.

No i tyle tego. Odszkodowanie za wypadek wypłacono. Sanatorium przyznano. Papiery przyzółtkły, wykrzykniki opadły. O czym jeszcze gadać?

— A za Gierkiem to my byli... Wierzyli my... Aż do siedemdziesiątego szóstego roku.

Wtedy znowu zaczynało się tak jak czternastego grudnia. Ale szybko się rozeszło, nie wyszło poza stocznie. Pewno i lepiej... Na pewno. Ale zaczęto zwalniać po cichutku co aktywniejszych „prowodatorów”, co bardziej pyskatych kolegów. Nie tylko sław-

nego Wałęsę. Także u niego na drzewnym. Nawet ówczesnego wiceprzewodniczącego ZMS.

— No i co?

— A nic... Coraz ciszej każdy siedział, swego patrzył. Wierzy wtedy prawie nie pisałem. W marcu 1980, wysiadając z autobusu, skręciłem nogę. Tak, to był rzeczywiście wypadek w drodze z pracy. Stare kości i ścięgna odmówiły posłuszeństwa, nic nie chciało się zrastać. W połowie sierpnia wciąż na zwolnieniu z widokiem na nieuchronną rentę chorobową. Gdy usłyszał o strajku, pokuśtykał do kolejki i pojechał. Autobusy już nie chodziły. I tyle go w domu widziano.

— Takie kaleki też się wtedy przydały. Mój obowiązek z kolegami być, z towarzyszami. Jedzenie podczas strajku przyrządzałem, sam Wałęsa mi rękę ścisnął.

Ostatnio pomagał wedle sił przy powstającym pomniku. A od ósmego grudnia już w robocie. W sam raz. Wszystko się jakoś zrosło i już nawet pamięć nie sięga w to, co było.

— Wiersze piszę ostatnio — mówi.

— Tyle zwojowałeś — mruczy żona spod swojej pierzyny. Leży w łóżku z grypą, bo centralne ogrzewanie na osiedlu „Żabianka” schrzaniłone jest od samego początku i nieodwołalnie. A światło oczywiście znowu wyłączyli i siedzimy przy świecach. Dobrze, że dowieźli te świece.

— Tyle zwojowałeś przez te dwadzieścia pięć lat!

— Oni — odmruczuje stary. — Do czego doszło.

— Oni, a nie my? My — partyjni.

— Myśmy pracowali. Myśmy krzyczeli na zebraniach. Myśmy ostrzegali. Strajkowaliśmy, kiedy trzeba. Więc proszę nie wtykać mi redaktorze, tego „my”.

— I co dalej?

— Jak to co? Robimy porządek. Ostatni raz i do końca.

Komisja przedzjazdowa powołana przez KW PZPR w Gdańsku, a demokratycznie wybrana przez podstawowe organizacje, obraduje w stoczni, w tej samej sali BiHP, w której podczas strajku zgromadził się MKS. To sala z charyzmą. Krzyż tylko do celów partyjnych usunięto. Lenin został. Postuluje się, aby każdy towarzysz kandydujący do władz posiadał mandat swojej podstawowej organizacji. Aż do samej góry. Coroczne głosowanie nad votum zaufania. Jednoczesne wybory do wszystkich instancji. I jeszcze kilka innych spraw. W ten sposób raz na

zawsze skończyłoby się przywożenie kogokolwiek w teczce. Tego chcemy.

I co jeszcze? Na razie nic więcej. Tylko tyle, że z papierków wysunęła się kolejna pożółkła kartka.

— A to nic takiego. Nie moje, tylko od ludzi przepisane. Grudniowa kolęda śpiewana w Bożenarodzeniowy wieczór przed dziesięciu laty. Ot i została. Rym częstochowski, treść od serca. Proszę czytać:

*Nie pomogły czołgi
ni helikoptery
Zabójców naród wystął
do jasnej cholery...
Niech idzie do piekła
durniów klika wściekła
Hej kolęda, kolęda...*

(pisane w grudniu 1980 r.)

(Tygodnik Solidarność, 24 kwietnia 1981)

Jerzy SURDYKOWSKI

CI NAJLEPSI

45 DNI PRZED NADZWYCZAJNYM ZJAZDEM PZPR

1.

Mamy się odnowić. Mamy odnowić partię. Po całych miesiącach zwlekania i jałowych sporów zaczynamy od tego, co już na początku było oczywiste: od demokratycznych wyborów. Nieraz słyszę od warszawiaków: „Wy sobie żyjecie w jakiejś Rzeczypospolitej Krakowskiej, wam się od tej odnowy w głowie przewraca! Macie najlepszą w kraju gazetę, sekretarzy, którzy nie przeszkadzają, rozsądną „Solidarność” i mądrego kardynała. Wy sobie centusie nie myślcie, że wszędzie tak idzie!”. Niemniej

Kraków jest pierwszy: jeszcze długo przed IX Plenum KC partyjne władze Krakowa podjęły decyzję sankcjonującą wybory od dołu aż po Komitet Wojewódzki — wszystko do odnowy! Ordynacja wyborcza do decyzji samych zainteresowanych.

— Jakże to, oddajecie się na odstrzał, na wycięcie? Bez odgórnej decyzji? Byle kogo wam wybiorą! „Solidarność” nabruździ! — protestowali niektórzy „wypróbowani towarzysze”.

2.

I teraz mamy się odnowić. 340 delegatów na nadzwyczajną konferencję sprawozdawczo-wyborczą dzielnicy Kraków-Śródmieście reprezentuje ponad 27 tys. członków partii; liczebnością ustępujemy tylko śródmiejskiej dzielnicy Warszawy, przewyższamy wiele województw. Nic dziwnego, że — choć w tym samym czasie odbywać się będzie X Plenum — oczy kraju, a może i zagranicy, zwrócą się na salę kina „Związkowiec” przy szacownych zakładach im. Szatkowskiego. Jest to pierwszy „przebieg wyborczy” na tę skalę, choć nie pierwsza już w Krakowie konferencja dzielnicowa. Jeden z pierwszych i ważniejszych papierków lakmusowych mających pokazać przebieg przyszłej akcji wyborczej w całym kraju. Co przyniesie żywioł demokracji? Czy stać nas na taką próbę?

3.

Wśród 340 delegatów zaledwie 50 robotników (niespełna 15 %) tylko 12 delegatów ma mniej niż 30 lat, za to więcej niż 20 milicjantów, a co najmniej połowa delegatów ma w rubryce „stanowisko” wpisane — dyrektor, prezes, kierownik albo przynajmniej zastępca. Takich wybrano, mamy się odnowić w takim właśnie gronie.

4.

Śródmieście jakiegokolwiek miasta nie jest dzielnicą robotniczą, to wiemy. Co gorsza od połowy ubiegłego roku do końca marca 1981 w podstawowych organizacjach partyjnych naszego śródmieścia oddało legitymację 998 członków i kandydatów, w tym aż 603 robotników, najwięcej legitymacji oddano w przemyśle i transporcie, najmniej w urzędach i administracji. To boli w partii noszącej miano „robotnicza” w nazwie. A więc zapewne będzie dominować tu inteligencja i ludzie kultury, wszak to „polskie Ateny”, kulturalna stolica, miasto twórców. Też nieprawda: śródmieście Krakowa, to przede wszystkim masa drobnych zakładów, spółdzielni, niewielkich półprzemysłowych

wytwórni, no i urzędy, urzędy, urzędy... Takie są realia, mamy wykrzesać odnowę z tego co jest; jestem jednym z delegatów.

5.

Sródmieście, to urzędasy, „beton”, ludzie uzależnieni od aparatu — zobaczysz, co tu będzie, na konferencji twardogłowi zaatakują, wykoszą wszystkich samodzielnie myślących, przekonasz się! — tak powiadali niejedni z moich „znających życie” przyjaciół, takie były ich prognozy.

Marzec, pierwsze spotkania konsultacyjne. Dawniej na takich spotkaniach uzgadniano z dzielnicowym aparatem nazwiska kandydatów do władz, eliminowano niewygodnych, reszty dokonywała przesławna „komisja matka” i rekomendacja ustępującej egzekutywy; wynik rozgrywki znany był przed rozdaniem wyborczych kart, delegatom pozostawało tylko podniesienie rąk w geście przyzwolenia, a może rezygnacji.

Dziś się krzyczy. Ktoś proponuje całkiem rozsądnie, by konferencję odbyć w dwu turach: w pierwszej wszyscy się wygadają, poznamy się trochę, zgłoszeni zostaną kandydaci do władz. W drugiej — po dwu tygodniach — wybory i uchwała. Krzyk, pewno manipulacja, a poza tym przecież nigdy czegoś podobnego nie było... Jakaś grupa podejmuje się opracować projekt uchwały. Krzyk. Kto za nimi stoi? Kto nimi manipuluje? Ktoś proponuje by wcześniej przedyskutować kandydatury. Nie, tylko z sali! Manipulacja! I tak dalej... Dziwić się? Przecież to nic innego jak gorycz i frustracja ludzi, którymi przez tyle lat manipulowano, którzy mieli swymi podniesionymi w geście głosowania rękoma dostarczać uzasadnień dla dobrego samopoczucia każdorazowej władzy. Tak było.

A teraz tyle miesięcy daremnego oczekiwania i szamotaniny między sprzecznymi racjami. Któż przeżył to bardziej gorzko niż partyjni, kogóż innego pokazywano palcami? I kto miał więcej żółci w posierpniowej miksturze, której najbardziej żący haust przypadł przecież tym z przemysłu, z transportu, z budowy: zwłaszcza wobec strajków, wobec rzucanych w twarz pytań, wobec rozdarcia między znaczkim „Solidarność”, a partyjną legitymacją. Nic dziwnego, że tam legitymacje padały najwcześniej i że teraz oni krzyczą najgłośniej, najmniej ufają. Z takim balastem mamy się odnowić, od takiego dna odbić.

6.

Nawiązujemy porozumienia. Pod koniec marca na dwudniowym konwentyklu zakrzyczana zostaje wersja zmian w statucie

proponowana wówczas przez partyjne władze. Niewystarczająca! Grupa delegatów siada do roboty, opracowujemy swój własny projekt zmian, my też wiemy jak powinien wyglądać system demokratycznych gwarancji i zabezpieczeń przed nadużyciem władzy. Oddajcie partię jej członkom! Inna grupa opracuje projekt uchwały — nie zostawimy tego ustępującemu komitetowi! Pojawiają się dokumenty przyniesione skądinąd, nici porozumień biegą przez Polskę: projekt statutu opracowany przez zespół naukowców z WSNS, dokumenty Komisji Przedzjazdowej z Gdańska, nasze krakowskie materiały przedzjazdowej Komisji Wniosków. To już jest zarys programu na dziś i jutro.

Przed IX Plenum dwóch przyjaciół pisze projekt apelu do tego najwyższego partyjnego gremium: sprzeciw budzi uchwała zakazująca udziału w strajku, żądamy też odsunięcia od władzy towarzyszy myślących o konfrontacji! Nad krajem unosi się cień Bydgoszczy. Projekt zyskuje aplauz na środowiskowych konsultacjach, bez namysłu podpisuje go jeden z sekretarzy, pęcznią kartki z podpisami delegatów, nawet niektórzy delegaci milicji spieszą z podpisami, ale przegania ich inny, inaczej myślący sekretarz. Była to jedna z blisko tysiąca rezolucji wpływających wtedy z telexu KC, myśmy myśleli, że akurat najważniejsza, bo nasza. Tak zaczynamy się odnawiać.

Czy zgodzić się na sformułowanie tymczasowego regulaminu wyborczego pozwalającego na kandydowanie do władz towarzyszym nie będącym delegatami i nie posiadającym mandatu swojej POP? Zgodny krzyk: NIE! Sami opracowujemy regulamin. Żadnych manipulacji. Dopiero teraz dociera do nas, że delegatami wybrano tylko 18 członków dotychczasowych władz dzielnic, w tym zaledwie dwu sekretarzy: nawet towarzysz „pierwszy” przepadł w swojej POP i musi odejść z aparatu. Czyżbyśmy rzeczywiście zaczęli się odnawiać?

7.

„Manipulacja”, to słowo, które po Sierpniu zrobiło karierę aż tak zawrotną, że zostało wymanipulowane z poprzednich znaczeń i stało się składnikiem swoistej odnowicielskiej nowomowy i co chwila zabierać głos w „kwesii formalnej” aż do południa pierwszego dnia konferencji*. Uprzednio wałkowany na spotkaniach i konsultacjach, opracowany przez samych delegatów — a nie odgórnie jak niegdyś nadany — regulamin obrad oraz wybo-

* Zdanie niezrozumiałe w oryginale.

rów zostanie dokładnie przemaglowany właśnie w obawie przed manipulacją.

Zgłaszać kandydatury wraz z rekomendacją tylko do komisji wyborczej, która ułoży je w porządku alfabetycznym? (oczywiście nie ograniczamy liczby kandydatów). Broń Boże, to pachnie manipulacją! A więc przez cztery z górą godziny będziemy zgłaszać ich z sali. Każdy kandydat ma wstać, odpowiedzieć na wszelkie zadane mu pytania, każdy ma prawo zgłosić zastrzeżenia. Tego wymaga przecież demokracja — wszyscy jej chcieliśmy. Ale ileż czasu wypadnie na jednego kandydata? Jeśli kandydować mogą tylko delegaci, jeśli demokratycznie nikt nie ogranicza zgłoszeń, to z kogo powołamy komisję skrutacyjną? Wszyscy do władz? Na każdego pół minuty: czy towarzyszyć się zgadza? Tak, dziękuję, zastrzeżeń nie słyszę, następny! Szybko, aby szybciej...

Nagle stop: naczelnik dzielnicy — zastrzeżenia są i to z wielu stron, przecież była mowa o niełączeniu stanowisk! Ale prawdziwa kłótnia wybucha dopiero przy kandydaturze byłego pierwszego sekretarza, wieloletniego pracownika aparatu: spór, krzyk, namietności, może nawet sejmik.

Tak staje się demokracja. Potem znów długie szeregi nazwisk bez twarzy, nowych ludzi — cóż o nich wiemy, o nic ich nie pytamy. O byłym pierwszym wiemy przynajmniej cokolwiek.

8.

„Protestujemy przeciw odebraniu trzech pomieszczeń biurowych zakładów im. Szatkowskiego na bufet dla potrzeb partyjnej konferencji i usunięciu stamtąd pracowników!” — głosi telex wysłany gdzie tylko można przez Komisję Zakładową „Solidarności”. — *„Uniemożliwiono pracę wielu pracownikom, co w dzisiejszej trudnej sytuacji gospodarczej...”*. Sensacja! Gdzie te trzy bufety? Może partyjni obżerają się szynką za państwowe pieniądze? Kto pójdzie negocjować z „Solidarnością”? Tyleśmy dostali od naszych związkowców zamiast życzeń pomyślnych obrad. Żeby chociaż napisali: *„zdemokratyzujcie się wreszcie i odnówcie, partyjni koledzy!”*. Nie, tylko: *„protestujemy!”*. Na sali obrad zapewne połowa delegatów należy do „Solidarności”.

— Przecież „Solidarność” miała oznaczać prawdę. Prawdę faktów i prawdę społeczną, do takiego związku obaj wstępowa-
liśmy — mówię panu Zielińskiemu, przewodniczącemu Komisji

Zakładowej. — A tu przecież bufet jest tylko w jednym pokoju, w dwu pozostałych działają komisje. Pracowników z tych pomieszczeń dyrekcja przeniosła do innych sal, gdzie pracują, choć w trochę gorszych warunkach. Ale przecież każda konferencja, czy partyjna, czy związkowa, musi mieć swoje zaplecze, pokoje dla komisji, dla maszynistek, jakiś bufet...

— Czy ja sam jestem w zakładzie? — odcina ostro przewodniczący. — Ludzie widzą, że kelnerzy w białych kitlach od „Hawelki” pałętają się po korytarzach, obrusy białe... Ludzi to wkurza, gdzie mają przyjąć?

Ano właśnie. Wciąż to święte słowo: „manipulacja”. I ten krzyk oburzenia. Myślimy o tym samym, tylko nazywamy to inaczej i potem skaczemy sobie do oczu. Taka jest posierpniowa Polska i taką mamy odnowić; tylko co zrobić z zapiekłym rozżaleniem rodzącym się z setek podobnie niechcianych incydentów?

— U nas w zakładzie 100 % pracowników należy do nowego związku — mówi potem z trybuny jeden z delegatów.

— Chylę głowę przed związkiem „Solidarność”, chociaż dzisiaj kopnął nas w bufet i kopnie chyba nie raz jeszcze... — to inny głos z mównicy. — Bo gdyby nie ten związek, to my partyjni obradowalibyśmy dziś prawdopodobnie w nieco innym składzie i nad czymś innym, a nie nad odnową. Nie mielibyśmy też tych wszystkich kłopotów z demokracją, a wyniki wyborów znalazłybyśmy jeszcze przed ich rozpoczęciem.

Potem wchodzi na mównicę towarzysz wybrany jednocześnie partyjnym delegatem i przewodniczącym Komisji „Solidarności” w swoim przedsięwzięciu: powie to jeszcze dosadniej.

9.

Piołun partyjnych przemówień o odnowie. I co teraz? I co dalej, towarzysze? Czy tylko Gierek winien, czy my na dole też nie przyłożyliśmy ręki do siewu tego zatrutego ziarna? Albo inaczej: rozliczać! wsadzać! potępiać! Jeśli będziemy wołać o tym dostatecznie głośno, to może zagłuszymy popiskiwanie naszego partyjnego sumienia. Może...

Tak mówimy wszyscy, żółć i gniew płyną z tej trybuny. I ostatnia nadzieja na przyszłość: że to ostatni raz! Do tego stopnia wszyscy, że nikt nie zastanowi się nad tym o czym od dawna już mówi się w organizacjach partyjnych, a nawet w kuluarach: czy w ogóle Komitet Dzielnicowy jest potrzebny?

Czy nie znieść tej pośredniej instancji, jak w przemyśle znosić się będzie zjednoczenia? I jaki ma być nasz program, jakie działania? Bo przecież nie dublowanie prac Urzędu Dzielnicowego — to wiemy. Może pośrednia instancja powinna zaspokoić tę potrzebę porozumienia się i wymiany myśli, dla jakiej gdzie indziej powstały sławne już „partyjne poziomy”?

Nie, wszyscy o odnowie, o demokracji, o gwarancjach statutowych, o rozliczeniu. Taka potrzeba chwili. Może to i dobrze. Ale gdzie jest ten „beton”, który miał zaatakować, narzucić ton; ten, przed którym ostrzegano? Nie słyszałem ani jednego głosu twardego, same odnowicielskie. Cieszyć się, że jednak nie mieli śmiałości, albo już przechrzcili się na nową wiarę?

10.

Wybory. Pierwsze demokratyczne wybory na tym szczęblu. A jednocześnie przerażające wybory „w ciemno”: nic o sobie nie wiemy. Kupowanie kota w worku. Nasze porozumienia, nasze konsultacje, inicjatywne grupki, które coś tam przed konferencją opracowywały czy podpisywały okazują się za wąskie, za nieśmiałe. Nie są nawet promieniem światła w ciemności. Teraz już wiemy, że to wszystko na nic, że to wszystko nie tak: cały system pośrednich wyborów na kolejnych konferencjach był dobry wówczas, kiedy pełnił jedynie funkcję dekoracyjną, kiedy wyniki „skonsultowane, gdzie trzeba” znane były przed rozdaniem kart. Delegatom pozostawał teatr głosowania dyrygowanego przez wypróbowanych podpowiadaczy.

A kto ma nam dziś — suwerennym wyborcom — podpowiedzieć: ten porządny i ideowy, a tamten tylko lis przefarbowany? Ten słabeusz, a tamten z determinacją? Znamy tylko kilkanaście nazwisk co głośniejszych działaczy, albo ludzi kultury, którzy startują w tych szrankach, zdążyliśmy zaobserwować nieco przypadkowych zachowań towarzyszy z prezydium czy z komisji, nieco przemówień, sporo wystąpień „w kwestii formalnej”, wiele przypadkowych, często niechcianych utarczek. Czyżbyśmy tylko z tego mieli skleić swój obraz, podjąć decyzję, określić los partii w czasie tak burzliwym? Jak przerażająco mało, jak pusto...

Już wiemy, że nie pomoże wszystko to, co z wypróbowanego arsenału demokracji wprowadziliśmy do regulaminu: wybory tylko wśród delegatów, komisja skrutacyjna bez udziału przedstawicieli wyższej instancji, odpowiedzi na pytania. Rozpacz niewiedzy, ale kreślić musimy. Samiśmy się wmanewrowali w ten zaulek, czy wmanewrowała nas długoletnia tradycja wielopiętro-

wych wyborów w naszej partii? Przecież nawet „Solidarność” poszła w tym samym kierunku, tylko my zaczęliśmy wcześniej na tych szczeblach; będą nasi koledzy pić ten sam gorzki miód przy swoich wyborach do MKZ-ów. Pozostaje nam tylko powielana broszura z nazwiskami delegatów i najkrótszą informacją o nich: gdzie i na jakim stanowisku pracuje, ile lat życia, ile w partii, czy zasiada we władzach?

A więc kreślimy na podstawie tego co wiemy.

Tak więc przepadają obaj sekretarze instancji dzielnicowej i obaj wojewódzkiej, którzy wystartowali na naszej konferencji; przepadają bo są członkami aparatu. Przepada nawet ktoś szczególnie wartościowy, kto wszedł do aparatu w lutym 1981; ma jednak wpisane „sekretarz” przy nazwisku.

Tak więc przepada intelektualista, który miał odwagę i poglądy dawno przed Sierpniem, potencjalny przywódca przez wielu widziany bardzo wysoko w nowych demokratycznych władzach; przepada, bo dyrektor i członek egzekutywy.

Przepada — choć wygłosił rozumne przemówienie — wojewódzki komendant MO, ale przechodzi jego zastępca, bo przy nazwisku miał wpisane nie „komendant”, ale „funkcjonariusz”.

Przepada człowiek, który wskazywał utytułowanych złodziei już od lat; przepada bo jest dyrektorem odpowiedniego organu kontroli.

Przepada wiceprokurator, który właśnie dopiero co wsadził do paki pewnego znanego złodzieja wywodzącego się z nietykalnego dawniej aparatu; przepada, bo z prokuratury.

Przepadają dyrektorzy, prezesi, nawet wybrani demokratycznie w ostatnich miesiącach pierwsi sekretarze, bo mają funkcję obok nazwiska.

Przepada nawet młody informatyk, który chyba najwięcej wysiłku, żaru i ideowości włożył w przygotowanie przedkonferencyjnych dokumentów i porozumienie choć części z nas: przepada w wyborach delegatów na konferencję wojewódzką bo za często wyskakiwał „w kwestii formalnej”, bo był zbyt aktywny (może manipulator?), a poza tym jest zastępcą dyrektora.

Najwięcej głosów — i słusznie — otrzymują robotnicy. Po nich idą intelektualiści i ludzie kultury nie pełniący żadnych funkcji administracyjnych lub partyjnych. Nie jest nawet ważne, co mówią i czy mówią. Nieobecny na konferencji (grał w teatrze) aktor i nieobecny (pogrzeb w rodzinie) dziennikarz otrzy-

mują bardzo wysoką liczbę głosów. Dobrze widziani są też „szeregowi” pracownicy nauki, inżynierowie, ekonomiści.

Tak się wybraliśmy demokratycznie.

Czy ktoś przypuszczał jak potężną siłą jest człowiek z ołówkiem i wyborczą kartką?

Przecież ta fala pójdzie dalej. Przez konferencję wojewódzką aż na Zjazd. Któż się jej oprze? W tej fali jest cała nasza partyjna gorycz i rozżalenie. Ale czy także nadzieja?

11.

Wybitnych wycięto. Pisał już o tym stary Alexis de Tocqueville: demokracja uśrednia. Ale czy to była demokracja, czy może tylko loteria? To jedno wiemy: nie może być tak jak było!

Ale jak ma być?

— Wybory w partii muszą być bezpośrednie. Nowy statut powinien skończyć z wielopiętrowymi konferencjami. Wybierają wielkie organizacje i połączone małe. Albo w oznaczonym dniu normalne wybory na zgłoszonych i spopularyzowanych wcześniej kandydatów. Normalne wybory jak do Sejmu z normalnymi urnami w komitetach, wchodzeniem za zasłonę i listami wyborczymi obejmującymi wszystkich członków partii na danym terenie.

— A jeśli na konferencjach, to konferencje w dwu turach. Przynajmniej miesiąc przed drugą turą musi być ogłoszona lista kandydatów i rozpoczęta kampania wyborcza.

To wiemy na przyszłość. Teraz już się stało. Czas wybrać pierwszego sekretarza. Kim będzie ten najlepszy? Wybierze konferencja spośród członków nowego Komitetu Dzielnicowego.

Już blisko północy drugiego dnia. Zmęczenie. Każdy może zgłosić kandydata, nawet swojego kolegę. Ten najlepszy ma poprowadzić 27 tys. członków rządzącej partii w stolicy kultury polskiej w najtrudniejszym dla Polski czasie. Czy udźwignie? Wybitnych wycięto. A może to nieprawda, może wycięto tylko znanych?

Kandydaci mają przedstawić się, zaprezentować program, odpowiedzieć na pytania. Już dawno po północy.

— Ani rząd, ani partia nie przedstawili programu — mówi człowiek z wielkiego zakładu. — Więc dlaczego ja...

Już wiemy, że go nie wybierzemy, choć budzi zaufanie.

Inny wręcz rozśmiesza salę. Kto go podał do cholery?

Najlepiej prezentują się trzydziestoparoletni, zupełnie dotąd nie znani dwaj adiunkci z wyższych uczelni, szef produkcji ze „Stomilu”. Absolutna zwyczajność dotychczasowego życia i mieszkanie w bloku, syrenka lub mały fiat, dzieci. Program: oparcie o nowo wybrane plenum, demokratyzacja partii, nowy statut, partia przywrócona swoim członkom.

I teraz wiele następujących po sobie tur tajnych głosowań nim wyłoni się tego jednego, który otrzyma statutowe ponad 50 % głosów.

Trzeba jeść do końca tę żabę.

Nie wiem, czy mamy tego najlepszego, ale mamy na pewno najzwyczajniejszych członków partii u władzy. Dół zawłasczył górę. Tegośmy chcieli. Chcieliśmy, to i mamy.

12.

Pierwsze plenum KD PZPR. Same nowe, nie znane twarze, sporo młodych. Nikogo z poprzednich władz, żadnej kontynuacji. Nowo wybrany I sekretarz dr Ryszard Borowiecki, adiunkt Akademii Ekonomicznej. Rany, jak mu się teraz wszystko w życiu przestawi? A my? Kiedy stać w kolejkach, przecież to partia bez przywilejów? Chwila zerowa, patrzymy w jeszcze nie znane sobie twarze. Tak zaczyna się nasza wymarzona demokracja.

13.

Dodatkowa sesja konferencji poświęcona przyjęciu uchwały odbyła się 13 maja. Był gotowy obszerny projekt dotyczący spraw, o których mówi dziś Polska. Dyskusja, krytyka, liczne uzupełnienia. Nagle wniosek — nie uchwalać, odesłać do krakowskiej, przedjazdowej komisji wniosków — przechodzi przyniatającą większością. Jak gapa ostatnia, prowadząc wtedy obrady, nie rozumiem ani wniosku, ani wyniku, ale tak właśnie jest: przedstawiciele 27 tysięcy partyjnych rezygnują z zabrania głosu w ważnych sprawach państwa, partii i jej statutu. *Happy end?* Zmęczenie czy świadoma wola?

Dość, że góra urodziła mysz. Może choć następni skorzystają z naszych doświadczeń.

(*Kultura*, 24 maja 1981)

DO TYŁU

Działalność Katowickiego Forum Partyjnego niemal z dnia na dzień znalazła się w centrum uwagi opinii publicznej. 28 maja *Gazeta Krakowska* i *Sztandar Młodych* opublikowały cztery rezolucje „Forum” („*W sprawach partii*”, „*W sprawie zamazywania rzeczywistego oblicza i istoty kontrrewolucji*”, „*O środkach masowego przekazu*” i „*O internacjonalistycznej odpowiedzialności PZPR*”). W sześć dni później, w momencie kiedy siadałem do pisania tego tekstu, znanych było już kilkaset uchwał organizacji partyjnych; wyrażały one stanowczy protest wobec stanowiska KFR (Uchwałę POP PZPR w redakcji *Kultury* opublikowaliśmy w poprzednim numerze).

Trzeba przytoczyć niektóre fragmenty rezolucji „Forum” — dają one pojęcie o kierunku krytyki wyrażonej w owych dokumentach; także o specyficznych, dawno już u nas nie stosowanych metodach argumentacji:

— *Z dnia na dzień w partii coraz bardziej rozprzestrzeniają się poglądy liberalno-burżuazyjne, trockistowsko-syjonistyczne, nacjonalizm, agraryzm, klerykalizm, solidaryzm klasowy oraz szczególnie kultywowane przez prawicę poglądy i nastroje antyradzieckie.*

Narastającej groźbie puczu rewizjonistycznego w partii towarzyszy bierna i w efekcie przyzwalająca postawa kierownictwa PZPR. Niektórzy członkowie Komitetu Centralnego i Komisji Zjazdowej są nawet inspiratorami i opiekunami rewizjonistów i sił rozbijających partię.

— *Praktyka ostatnich miesięcy dowodzi, że zarówno prasa jak i radio oraz telewizja opanowane zostały przez ośrodki antypartyjne, głoszące w sposób jawny poglądy prawicowo-oportunistyczne, rewizjonistyczne i liberalno-burżuazyjne. Ośrodki te z całą konsekwencją nie dopuszczają natomiast do głosu analiz i publikacji z pozycji marksizmu-leninizmu.*

— *Domagamy się rzetelnego informowania bratnich partii komunistycznych o rzeczywistym rozwoju sytuacji w PZPR i kraju.*

Te i tym podobne stwierdzenia wywołały tak rozległy i jednoznaczny sprzeciw, że Biuro Polityczne uznało za potrzebne wyrażenie swego zdania: „*Na tle całokształtu przedjazdowej*

dyskusji Biuro Polityczne KC PZPR uznało za szkodliwe stanowisko zaprezentowane przez 'Katowickie Forum Partyjne' (...)'.

Sprawa katowickiego „Forum”, chcemy czy nie chcemy, stała się już wydarzeniem politycznym, którego skutków nie wolno lekceważyć. Same protesty i oburzenie nie wystarczą — wiadomo, że są w kraju ludzie, którzy widzą w demokracji i odnowie zagrożenie, niebezpieczną herezję, może nawet odstępstwo od socjalizmu. Mówiąc po prostu — mamy tu do czynienia z niezaleczoną infekcją stalinizmu; w sprzyjających okolicznościach nawet niewielkie ognisko zakażenia stać się może powodem dramatycznych powikłań.



Katowickie „Forum” nie wykluło się nagle jak *deus ex machina*. Pomysł utworzenia tej grupy dojrzywał w województwie katowickim już od jesieni ub. roku. Jeden z organizatorów KFP, doc. dr Wsiewołod Wołczew poinformował o tym w wywiadzie dla *Trybuny Robotniczej* (20 maja): „*Nasza działalność datuje się od narady działaczy partyjnych w grudniu ub. roku. Następnie mieliśmy spotkanie aktywu partyjnego z tow. Szlachcicem. Uznaliśmy w końcu za stosowne włączyć się do dyskusji toczącej się w kraju nad obliczem partii na zasadzie forum dyskusyjnego. Nasi członkowie są także lektorami Komitetu Wojewódzkiego. Występują z teoretycznymi problemami marksizmu-leninizmu w organizacjach partyjnych. Jest to druga strona naszej działalności*”.

Ośrodkiem krystalizacji KFP był Zakład Badań Politycznych Śląskiego Instytutu Naukowego; na czele tego zakładu stoi doc. dr Wsiewołod Wołczew.

Do założycieli „Forum” związanych z Zakładem Badań Politycznych Śl. Inst. Naukowego (częściowo także z Uniwersytetem Śląskim) należą: oprócz doc. dr. W. Wołczewa, dr Szczepan Wysocki, dr Stefan Owczarz, mgr Edward Karolczuk, mgr Wiesław Wysocki oraz dr Antoni Domański.

Nazwiska doc. Wołczewa oraz innych pracowników naukowych Zakładu Bad. Politycznych kojarzą się z nieudaną próbą zawiązania przy KM PZPR w Katowicach w styczniu br. Dyskusyjnego Klubu Inteligencji Partyjnej im. Bolesława Bieruta. Już pierwsze spotkanie klubu okazało się niewypałem. Uczestniczyło w nim niewiele ponad dwadzieścia osób, głównie pracowników Śl. Inst. Naukowego i Uniwersytetu Śląskiego. Klub Bieruta

zniknął, nie wzbudzając szczególnego zainteresowania. Zabrakło mu poparcia, a chyba przede wszystkim rozgłosu chociażby tak dwuznacznego, jaki wywołały ogłoszone w maju rezolucje KFP.

Nieudany debiut Klubu Bieruta nie oznaczał jeszcze końca. Niektórzy członkowie późniejszego „Forum” próbowali przebić się ze swymi koncepcjami do instancji wojewódzkiej PZPR w Katowicach. Starania te były znane egzekutywie POP przy Śl. Inst. Naukowym. Czytamy o tym w niedawnym liście otwartym podpisanym przez 6 pracowników naukowych Śl. Inst. Naukowego m.in. także przez I sekr. POP przy Instytucie, mgr. Jana Kitę. List tak charakteryzuje doc. Wołczewa i jego podwładnych: *„W naszym środowisku znani są ze swej negacji linii politycznej partii wytyczonej i realizowanej przez nowe kierownictwo PZPR po sierpniu 1980 r. W swym zaciętrzewieniu i megalomanii bezwzględnie atakują nie tylko większość współtowarzyszy w macierzystej POP, ale także występują imiennie przeciwko wielu czołowym działaczom partyjnym i państwowym, zarzucając im, tak jak np. wicepremierowi rządu PRL tow. Mieczysławowi Rakowskiemu, rewizjonizm. (...) Egzekutywa naszej POP wielokrotnie zwracała uwagę miejskiej i wojewódzkiej instancji partyjnej w Katowicach na szkodliwą postawę tej grupy, ale bezskutecznie. Przeciwnie, ludzie ci znajdują tam coraz większy posłuch, o czym — wśród wielu innych — świadczy fakt zaproszenia niektórych z nich i udzielenia im głosu na ostatnim Plenum KW w dniu 7 maja br.”*

Faktycznie, w opublikowanym w Trybunie Robotniczej sprawozdaniu czytamy, że 7 maja w dyskusji na katowickim plenum wzięło udział 20 towarzyszy. Aż trzech dyskutantów — Antoni Domański, Roman Grębosz i Stefan Owczarz — należy do grona najaktywniejszych założycieli Katowickiego Forum Partyjnego. To, co mówili na Plenum nawiązywało jakoś do tez zawartych w rezolucjach KFP. Trybuna Robotnicza streszcza wystąpienie S. Owczarza: *„Zdaniem mówcy oraz niektórych uczestników dyskusji, w prasie partyjnej takiej jak Życie Warszawy i Trybuna Robotnicza zaczyna dominować pogoń za sensacją a nie ma jednoznacznego stanowiska w kwestiach ideologicznych i próby analiz politycznych”*.

W maju organizatorzy Katowickiego Forum Partyjnego otrzymują pomoc KW PZPR. Dostali lokal w gmachu Woj. Ośr. Kształcenia Ideologicznego przy ul. Żdanowa 6a w Katowicach oraz przyznano im dostęp do bazy poligraficznej.

Deklaracja programowa Forum oraz cztery rezolucje KFP,

które tak bardzo zbulwersowały opinię publiczną wydane zostały po raz pierwszy w powielanym biuletynie KW PZPR *Fakty*.



Spotkanie założycielskie Katowickiego Forum Partyjnego przy KW odbyło się 15 maja br., w gmachu WOKI. Wzięło w nim udział około stu osób. Uczestników poinformowano, że na czele Rady Programowej Forum stoi tow. Gerard Gabryś, czł. Biura Politycznego, górnik kopalni „Barbara-Chorzów”. Nie było go na sali; przybyli musieli uwierzyć organizatorom na słowo, że tow. Gabryś faktycznie przewodniczy przedsięwzięciu, które zapowiadało się dość osobiście. Uchwalone 15 maja rezolucje a także Deklaracje KFP zawierały przecież totalną krytykę całej partii i jej kierownictwa, którego członkiem jest w końcu Gerard Gabryś (*„Cała partia i jej poszczególni członkowie pod naporem obcych wpływów ideologicznych, którym zawsze sprzyjał w przeszłości i patronuje aktualnie prawicowy oportunistyczny burżuazyjny liberalizm w szeregach samej partii, utraciły ideowo-polityczną i programową busolę walki o socjalizm”* — z Deklaracji KFP).

Redakcja *Trybuny Robotniczej*, czując, że demagogiczna retoryka deklaracji i rezolucji KFP prowadzi do jakiejś niejasnej politycznej awantury, odmówiła publikacji dokumentów „Forum”. Ustąpiła dopiero pod naciskiem drukując po 10 dniach *„Deklarację”* a w cztery dni później — już po *Gazecie Krakowskiej* i *Sztandarze Młodych* — również i rezolucje, zamieszczając jednak na pierwszej stronie gazety mocny w tonie protest kolegium redakcyjnego, egzekutywy POP i Zarządu Koła SDP.

Tuż obok protestu *Trybuny Robotniczej* ukazało się następujące oświadczenie Egzekutywy KW PZPR w Katowicach: *„Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach oświadcza, że Katowickie Forum Partyjne działa na zasadach klubu dyskusyjnego.*

Egzekutywa nie utożsamia się do końca z wszystkimi poglądami wyrażanymi przez członków „Forum” w formie różnych rezolucji”.

Ostrożny i zdradzający pewne wahanie komunikat Egzekutywy KW ukazał się w druku dosłownie w ostatniej chwili — 29 maja zaczynały już napływać protesty organizacji partyjnych z całego kraju.

W dodatku poprzedniego dnia, 28 maja, odbyło się drugie posiedzenie „Forum”, na którym uchwalono kolejne cztery doku-

menty („List otwarty do zastępcy członka KC tow. Albina Siwaka”, „List otwarty do członków organizacji partyjnej Huty im. Lenina w Krakowie”, „Rezolucja w sprawie działalności naczelnych organów administracji państwowej PRL” i „10 pytań do członków Biura Politycznego KC”). Coraz wyraźniej pachniało skandalem.

Spotkanie KFP 28 maja, w którym uczestniczyło już około 200 osób, odbywało się w burzliwej, wysoce emocjonalnej atmosferze, padały na nim m.in. takie zdania (cytuję za obecnym na posiedzeniu red. Janem Lazarem z *Dziennika Zachodniego*): „Partia działa z kagańcem demokracji i nic z tym nie robi”, „Dlaczego partii odbiera się prasę i telewizję?”, „Na prasę ma wpływ Bratkowski i cała jego banda”, „Stanisław Kania nie jest odpowiednim I sekretarzem, bo rozbił partię”. Red. Lazar był zaskoczony nie tylko gwałtownością tych ataków, uderzyła go również stylistyka wypowiedzi. Dyskutanci niemal z zasady twierdzili, że przemawiają w imieniu klasy robotniczej. Najczęściej używanymi słowami były: „w imieniu klasy robotniczej”, „klasa”, „pryncypialnie”.

Już w pierwszych protestach organizacji partyjnych powtarzał się zarzut, że „Forum” jest anonimowym tworem. Jakby w odpowiedzi, Katowickie Forum Partyjne przedstawiło 28 maja prasie skład Rady Programowej. Na jej czele miał stać tow. Gerard Gabryś, którego ponowną nieobecność tłumaczono wyjazdem do Hanoweru na Kongres Niemieckiej Partii Komunistycznej. Poza nim w skład Rady weszli: W. Wołczew (Śl. I. N.), G. Kmita (dyr. Zjednoczenia „Domgos”), S. Owczarz (Śl. I. N.), P. Mazelon (przew. komisji ds. oceny i ustalania odpowiedzialności byłych członków kierownictwa woj. katowickiego), H. Olszewski (z-ca kier. Wydz. Przemysłu KW PZPR), A. Bałdys (czł. KC, górnik kop. „Czerwone Zagłębie”), J. Konieczny (przew. ZG Zw. Zaw. Górników), K. Wilczek (Huta Kościuszki), R. Grębosz (I sekr. KM PZPR w Jaworznie), T. Potwora (kier. WOKI), S. Wysocki (Śl. I. N.), W. Wierszko (Huta Katowice) oraz S. Marzec (z-ca dyr. Przeds. Montażu Urz. Elektr.).

W parę dni później z Radą Programową zaczęły się dziać dziwne rzeczy. 1 czerwca do *Dziennika Zachodniego* wpłynęło oświadczenie S. Marca: „... nie brałem żadnego udziału w Katowickim Forum Partyjnym i jestem zdziwiony pojawieniem się mojego nazwiska... Jednocześnie stwierdzam, że dokumenty KFP w niewłaściwym świetle przedstawiają sytuację w naszym kraju, są obraźliwe dla wielu członków naszej partii”. 2 czerwca odciął się od „Forum” Jan Konieczny („... wykorzystywanie mo-

jego nazwiska i pełnionej funkcji przez organizatorów KFP jest bezprawne i samowolne"). 3 czerwca PAP otrzymała oświadczenie Gerarda Gabrysia „... nie uczestniczyłem w żadnym zebraniu i nigdy nie wyraziłem zgody na przewodniczenie Radzie Programowej. Moje stanowisko w sprawach 'Forum' utożsamiam w pełni z opinią Biura Politycznego z dnia 2 czerwca”.



2 czerwca w gmachu katowickiego WOKI odbyłem dłuższą rozmowę z 12-osobowym gronem czołowego aktywu „Forum”. Chciałem dowiedzieć się, co sądzą o nowej sytuacji. Mieli już okazję przekonać się, że ich poglądy spotykają się z wyjątkowo mocną i jednomyślną dezaprobatą organizacji partyjnych, załóg, społeczeństwa. Czy daje im to coś do myślenia?

Oto co usłyszałem (moi rozmówcy autoryzowali wszystkie wypowiedzi):

S. Wysocki: Wokół Katowickiego Forum Partyjnego jest wielkie nieporozumienie w kraju. Działalność naszego „Forum” oceniono jednostronnie. Żadna z organizacji partyjnych piszących rezolucje nie podjęła merytorycznej polemiki. Kampanię szczucia na KFP rozpoczął tow. Klasa. Zarzuca się nam anonimowe dokumenty, dywersję — i potem to idzie przez kalkę na całą prasę. Do wszystkich redakcji lecą teleksy od Bratkowskiego, też się je powieliła. Tak było np. we Wrocławiu. Wiemy to od towarzysza, który tam uczestniczył. Przypomina to nam stare, złe metody powielania listów. Uniemożliwia się nam publikację naszych dokumentów. Tak postępuje np. tow. Zieliński, naczelny *Trybuny Robotniczej* i tow. Zarzycki, który kieruje katowickim ośrodkiem TV. Zieliński był kierownikiem kancelarii Gierka, teraz rzuca na nas paszkwile. Zarzycki był sekretarzem u Grudnia, dziś nas atakuje. Co robili przedtem, czy protestowali z klasą robotniczą?

W. Wołczew: Powinniśmy być wdzięczni organizatorom tej nagonki za rozpropagowanie „Forum”. Ta sprawa nie może już teraz zejść z porządku dziennego. Musi się nią zająć cała partia. Mimo całej nagonki było dziś u nas wielu ludzi a 17 towarzyszy podpisało deklaracje przystąpienia do „Forum”.

Nie możemy się przebić z naszym partyjnym głosem — mówi inny uczestnik „Forum”. — Jest ostra walka klasowa. Ci, którzy wiedzą o co chodzi, rozumieją, że podchodzimy z punktu widzenia klasy robotniczej. Co robotnik uzyskał w wyniku odnowy? Jego żona stoi teraz dłużej w kolejce. Ludzie *high-life’u*, inteli-

gencja w centralnym aparacie państwowym, gospodarczym, po części partyjnym — ci walczą o swoje interesy.

Z. Barczyński: Przystąpiłem do „Forum”, bo tu widzę swój interes klasowy. Dostałem podwyżkę a towarów nie ma. Czy robotnika stać na 140 zł za kilo białego sera? Dla kogo to wszystko? Dla wąskiej grupy ludzi z aparatu państwowego i prywatnej inicjatywy.

R. Grębosz: Nasza jaworznicka organizacja partyjna domagała się weryfikacji w partii przed Zjazdem. Na oczach partii dokonuje się teraz harakiri — na przykład sprawa Iwanowa, struktur poziomych. Tow. Werblan w latach siedemdziesiątych tworzył teorię rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, dziś chce zrobić karierę na strukturach poziomych. I to mu uchodzi, ale nasza działalność nie uchodzi.

W. Wołczew: Robotników w instancjach jest coraz mniej, mniej też jest ich wśród delegatów na Zjazd. Oportuniści mają swobodę działania. Przykłady: od miesiący trwa podważanie zasadniczych podstaw ustrojowych. Trzeba sobie wreszcie odpowiedzieć czy może istnieć socjalizm przy jednoczesnej prywatnej własności środków produkcji? Czy można rozwijać socjalistyczną ekonomikę i zabezpieczać ogólnonarodowe cele i interesy klasy robotniczej a jednocześnie, w wyniku szerokiej autonomizacji poszczególnych zakładów, przekształcać własność ogólnospołeczną w grupową, co w efekcie rodzi sprzeczność między interesem grupowym i ogólnospołecznym? Czy można zrezygnować z centralnego planowania?

Część środków masowego przekazu nie krępuje się już żadnymi metodami i formami działania. Dochodzi do gangsterskich metod. W Polsce działa z jednej strony Iwanow, z drugiej Wołczew. Tylko, że Iwanow miał od początku poparcie prasy, choć mówił o sobie, że nigdy nie był komunistą i zawsze był socjaldemokratą. Czemu działalność Iwanowa nie została poddana takiemu ostracyzmowi jak działalność Wołczewa? Bo Wołczew jest komunistą! A na temat tolerancyjności najwięcej mówią przedstawiciele kultury i nauki.

S. Owczarz: Jeśli jest tylko transmisja z dołu do góry, partii nie musi to służyć. Partia powinna nie tylko odzwierciedlać dążenie mas członkowskich lecz formułować, w oparciu o wnikliwą i krytyczną ocenę rzeczywistości, dalekosiężny i doraźny program działania, który obowiązywać będzie wszystkie instancje i wszystkich członków partii. I na tym właśnie polega istota centralizmu demokratycznego.

S. Wysocki: Z łamów prasy zeszła sprawa przeciwników

socjalizmu, KPN, KOR. Teraz pisze się o nas jako o głównym przeciwniku socjalizmu. Przeraża nas, że określenia naszego „Forum” są tak jednolite, poczynawszy od prasy kapitalistycznej i Wolnej Europy a skończywszy na niektórych członkach KC.

W. Wierszko: W prasie partyjnej jednoznacznie nas potępiono.

R. Grębosz: Demokracja wewnątrzpartyjna nie może być ograniczona tylko do niektórych grup.

Na zakończenie postawiłem jeszcze pytanie: jaki jest wasz stosunek do dyscypliny partyjnej?

W. Wołczew: Będziemy bezwzględnie wykonywać wszelkie partyjne uchwały.

G. Kmita wyjął z portfela kartkę z następującym cytatem z Lenina: *„Zaciekła walka, zdecydowana walka, nawet obfitująca w ekscesy nie jest jeszcze rozłamem”*.



Czy uczestnicy katowickiego „Forum” mają prawo do głoszenia własnych poglądów, choćby były niepopularne, ekstrawaganckie i anachroniczne? Chyba tak. Na tym przecież polega istota demokracji, o której zresztą ci sami towarzysze wypowiadają się z niechęcią i niepokojem. Chcą głosić antydemokratyczne poglądy — ich sprawa. Byłoby nonsensem, gdyby zatykać im gębę; lepiej, gdy przekonają się namacalnie, jak trudno znaleźć poparcie dla sekciarskich żądań zastopowania reform gospodarczych i demokratyzacji, ograniczenia swobody wypowiedzi.

Nie widzę też nic zdrożnego w fakcie, że korzystają ze wsparcia swojej wojewódzkiej instancji. Jest sprawą Egzekutywy KW, z kim chce chodzić pod rękę; wybory pokażą, jaka część członków partii myśli podobnie.

Przyznanie „wołczewistom” (bo tak ich nazywają w Katowicach) prawa głosu pociąga jednak za sobą konsekwencje wynikające logicznie z demokratycznych reguł gry. Członkowie „Forum” nie mogą żądać dla siebie specjalnego traktowania jako posiadaczy prawdy objawionej a jednocześnie obsypywać swych oponentów insynuacjami, określając ich jako rewizjonistów, burżuazyjnych liberałów, syjonistów, klerykałów i Bóg wie jak jeszcze.

Powoływanie się na Marksa i Lenina nie zmienia faktu, że rezolucje „Forum” zasługują na bardzo surową krytykę. Wartość intelektualna tych dokumentów jest bardzo skromna; niedostatek konstruktywnych myśli nadrabiany jest histerycznym tonem,

straszeniem kontrrewolucją, demagogią, inwektywami i uproszczeniami.

Mija się z prawdą podstawowa teza „Forum”, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza oddala się obecnie od socjalizmu i rozstaje się z klasowym interesem robotników. Jest akurat odwrotnie. Sens dramatycznych wysiłków ostatnich miesięcy polega właśnie na mozolnym usuwaniu rozdzźwięków między partią i klasą robotniczą. Powtarzanie kompletnie martwego hasła „kto nie z nami, ten przeciw nam” — a taki właśnie program oferuje Katowickie Forum Partyjne — stanowi zaproszenie do wejścia w ślepią uliczkę.

W praktyce oznacza to izolację partii, utratę tak ciężko zdobywanego ponownie autorytetu, może nawet otwarcie tragicznego scenariusza zapowiadającego tyleż nieszczęść Polsce, co naszym sąsiadom i sojusznikom.

Trudno odmówić słuszności zdecydowanie krytycznej ocenie rezolucji „Forum” wyrażonej w uchwale Wojewódzkiego Zespołu Delegatów w Katowicach: *„W naszym przekonaniu dokumenty te w fałszywym świetle przedstawiają sytuację w kraju i w partii, wprowadzając tym samym naszych sojuszników w błąd. Uważamy, że są one obraźliwe dla większości członków PZPR. Treść dokumentów oraz działalność 'Forum' w obecnej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej jest — naszym zdaniem — wysoce szkodliwa także z tych powodów, że skierowuje dyskusję przedzjadową na boczne tory”*.

Manifestacja dogmatyzmu, bo tak chyba trzeba określić w największym skrócie i krytykę i propozycje programowe KFP, z pewnością nie podbudowała autorytetu partii. Dotyczy to zarówno jej prestiżu wewnętrznego, jak i międzynarodowego. Niemniej nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Bulwersujące rezolucje „Forum” miały niezamierzony przez autorów skutek pozytywny: zmusiły one do ideowego samookreślenia wielotysięcznej masy wahających się i przeżywających wewnętrzne rozterki działaczy partii. Niepokojąca nuta deklaracji i rezolucji KFP zmusza tych ludzi do wyboru. Wymowa uchwał spontanicznie podejmowanych przez tak liczne organizacje nie pozostawia żadnych wątpliwości: PZPR nie odstąpi od posierpniowego kursu. Jest to kurs na socjalizm, demokrację i głębokie reformy, które muszą być przeprowadzone właśnie w imię interesów klasy robotniczej.

P.S. 4 czerwca Rada Programowa „Forum” opublikowała następujący komunikat:

„W związku z oceną dokumentów i działalności Katowickiego Forum Partyjnego przy KW PZPR przyjętą na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR w dniu 2 czerwca br., Rada Programowa Forum zawiadamia wszystkich uczestników, że stojąc na stanowisku przestrzegania zasad centralizmu demokratycznego do chwili zajęcia przez Biuro Polityczne jednoznacznego stanowiska w sprawie dalszej działalności Forum (list z taką prośbą został wystosowany do Biura Politycznego KC PZPR) nie będą odbywały się ogólne zebrania Katowickiego Forum Partyjnego, przy KW PZPR”.

(Kultura, 14 czerwca 1981)

ROZDZIAŁ SZÓSTY
ZJAZD SOLIDARNOŚCI

Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI

JAK POLAK Z POLAKIEM

Co za szczęście, że działacze „Solidarności” nie znają historii. Gdyby wiedzieli, jakim rykoszetem potrafią się odbić najlepsze intencje, na jakie manowce może się zsunąć najbardziej masowy ruch, gdyby gniotły ich wątpliwości, czy większość zawsze ma rację. I gdyby zdawali sobie sprawę, komu ta większość wystawia rachunek, kiedy się okazuje, że racja się wymknęła — nie mieliby tego rozmachu, który wprawdzie kilka razy postawił Polskę na skraju przepaści, ale też zmienił ją nie do poznania. I to raczej na lepsze. Nikt nie wie, jak to się skończy, ale ja wciąż wierzę, że wyjdziemy z dna, kryzys minie, a „Solidarność” zostanie i z czynnika destabilizującego państwo — przeobrazi się w konstruktywny. Oczywiście i to państwo się zmieni, nauczy się uwzględniać wolę większości, zanim zostanie groźbą strajku przyciśnięte do ściany. Słowem ufam, że nastąpi to, czego niepoprawni optymiści spodziewali się już rok temu, tuż po podpisaniu porozumień: może maszyneria społeczna dotrze się, jak nowy silnik, państwo zrezygnuje z autorytatywnego stylu, a społeczeństwo z niewykonalnych żądań.

Jaka szkoda, że działacze „Solidarności” znają zjazdowe obyczaje. *Aż dziwne, że tak nowatorskie i bezprecedensowe idee włączono w tak tradycyjne formy.* W powodzi proceduralnych i zupełnie błahych spraw (np. żeby nie przemierzać sali obrad w poprzek, tylko wzdłuż i obchodzić z tyłu) ginęła gdzieś wizja społeczeństwa, które by miało być humanistyczne i sprawne, praworządne, a nie zanarchizowane, równe i mimo to wydajne. Zdjęcia pamiątkowe, górnicze czapki z pióropuszymi, okolicznościowe stemple pocztowe i kioski z papierosami (na kartki, ale w lepszym wyborze) przypominały zupełnie inne zjazdy, sformali-

zowane, jałowe. Może to niesprawiedliwe pisać tak w momencie, gdy dyskusja dopiero się rozkręca, u progu trzeciego dnia obrad. Chciałbym by dalszy ciąg zjazdu zadał mi kłam, ale nie mogę zwlekać, tempo narzuca mi bezlitosny rytm produkcji tygodnika.

Zaczął się ten zjazd w momencie wyjątkowo dla związku niekorzystnym. Rosnąca irytacja ludzi w coraz dłuższych kolejkach może się zwrócić zarówno przeciw tym, którzy rządzą, jak i tym, którzy żądają — i to zupełnie niezależnie od tego, jaki procent winy komu można przypisać. Liczne lokalne konflikty (drukarze w Olsztynie, drukarze w Rzeszowie, metalowcy w Gorzowskim, hutnicy w Dąbrowie Górniczej) trwonią siły związku w beznadziejnej wojnie pozycyjnej. Umorzenie śledztwa w sprawie bydgoskiej akurat w takiej chwili, być może przez prokuraturę zamierzone po to, żeby zdjąć tę sprawę z porządku dziennego, odniosło skutek akurat przeciwny i postawiło „Solidarność” wobec bolesnej alternatywy: puścić to płazem, czy walczyć, czyli wchodzić na drogę politycznej konfrontacji.

Na domiar wszystkiego *po południu pierwszego dnia obrad wydarzył się, znowu w Bydgoszczy, wypadek z postrzeleniem uciekającego areштanta, zgromadzeniem tłumu i w następstwie akcją milicji.* Dobrze poinformowani, a takich pełno w kuluarach każdego zjazdu, twierdzili, że to grubymi nićmi szyta prowokacja, żeby popchnąć ludzi na ulicę i rozprawić się z „Solidarnością”, bo to na nią zwalono by winę. Dobrze myślący, a takich niestety zawsze jest mniejszość, pukali się palcem w czoło: jeszcze tego rządowi do szczęścia potrzeba. Próba sił trwa, ale na szczęście nie przekracza pewnego bezpiecznego pułapu temperatury nastrojów. Przegrzanie i wybuch byłyby najpewniej zgubą dla obu stron, podobnie jak wojna termojądrowa bez zwycięzcy w skali globalnej.

Związek musi się wobec tych i licznych innych zasadzek zdecydować: *czym właściwie ma być: luźną federacją samorządnych organizacji związkowych, w których każde koło i każdy region ma wiele swobody i walczy o swoje sprawy — czy też scentralizowaną, zorganizowaną armią, w której stosownie do nazwy jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.* Odpowiedź, ale tylko częściową, przyniesie uchwalony na zjeździe statut. Przypomnę, że przed rokiem, kreśląc kształt nowych związków Lech Wałęsa ciągle powtarzał, iż wszystko w nich będzie wychodziło od dołu, demokratycznie, inaczej niż w CRZZ. Co mówi dzisiaj? Tylko gdy będziemy działać solidarnie otworzymy drogę do lep-

szej Polski, jeśli nie będziemy razem, mimo różnicy zdań, mimo różnic poglądów, wtedy nie wygramy. Luźna struktura związku nie daje siły, ale pozwala umyć ręce od odpowiedzialności za jakiś pojedynczy wyskok, a trudno żeby się taki nie zdarzył w ponad 9-milionowej organizacji. Struktura ściślejsza z kolei pozwoli obarczyć „Solidarność” winą za każdy strajk, każdą antyradziecką ulotkę i nawet każdy postulat podniesienia płac — bo czym niby kosztem. Innych, także członków „Solidarności”.

Wydaje się, chociaż słowa i reakcje 818 delegatów nie muszą być reprezentatywne dla całego związku, że *większość skłania się ku temu drugiemu modelowi, bardziej scentralizowanemu, i to niezależnie od różnic poglądów i zdań, o czym dość otwarcie mówił Wałęsa*. Te różnice dotyczą raczej tego, kto ma mieć większy wpływ na formułowanie polityki związku niż tego, czy taka wspólna polityka ma w ogóle być formułowana. „Solidarność” ma coraz częściej swoje zdanie nie tylko w kwestiach przewietrzania hali fabrycznej czy rekompensaty za podwyżkę cen chleba, ale i praworządności, ochrony środowiska czy programów szkolnych. Czy to zdanie jest zawsze rozsądne i czy dobrze służy interesom narodowym, to inna sprawa. Na razie odnotujmy, że nasz młody związek zawodowy zajmuje się sprawami dalece niezawodowymi.

Gdyby nawet ktoś chciał z tego uczynić zarzut, zaglądając do statutu „Solidarności” sprzed roku, niech go lepiej zarzuci: ten związek jest organizacją bez precedensu, niezależność od pracodawcy socjalistycznego to jest niezależność od państwa, a przecież od państwa całkiem niezależnym być nie można, państwo jest wspólne dla wszystkich obywateli, z kolei większość tych obywateli jest związana z „Solidarnością”. Nie szukajmy słów, czy to związek, czy ruch społeczny.

Charakter związku nie przesądza jednakże, czy pójdzie on po kursie kolizyjnym względem władz partyjnych i państwowych, czy na ugodę. Zerwane przed miesiącem rozmowy w URM kazały spodziewać się najgorszego, tymczasem kurtuazyjne słowa Wałęsy, który najpierw powitał przedstawicieli rządu, a następnie wystąpienie ministra Cioska i odczytany przezeń list wicepremiera Rakowskiego, rozjaśniły nieco ciemne chmury — i to mimo, że gołym okiem było widoczne w hali „Olivii” zarzewie następnego konfliktu, mianowicie brak kamer Polskiej Telewizji.

Nie wdając się w komentowanie tego smutnego sporu, w którym każda ze stron ma trochę racji, pragnę odnotować, że *większość delegatów świadomie głosowała przeciw dopuszczeniu*

telewizji na salę, nie pod wpływem chwilowego wzburzenia. Niedzielny tłumek pod halą „Olivii” podzielał chyba te decyzje, a w każdym razie nie słyszało się, żeby ktoś oponował. Po drugiej stronie ulicy, przed zaparkowanym na wszelki wypadek wozem transmisyjnym gdańskiej TV wymalowano białą farbą na chodniku „telewizja kłamie”. Jednym słowem duży postęp ku prawdzie, który przez miniony rok zrobili koledzy z TV, jest wciąż przez dużą część opinii publicznej uważany za niedostateczny.

Co innego natomiast wydaje mi się godne uwagi. Czy chodzi o dostęp do TV, czy o rekompensatę za chleb, o śledztwo w sprawie Bydgoszczy czy o projekt ustawy o samorządzie — coraz częściej „Solidarność” siada przy stole negocjacji po przeciwnej stronie niż rząd, a nie obok. *Coraz częściej okazuje się, że brakuje niezależnych autorytetów i neutralnych faktów, a jest tylko prawda jednej strony albo drugiej.* Przeczytajmy np. relacje z zerwanych rozmów w *Polityce* pióra Jerzego Urbana i w *Tygodniku Solidarność*. Mowa o dwóch różnych wydarzeniach, tak są do siebie niepodobne! Gdzie się podziała rozmowa „Jak Polak z Polakiem”?

Nadzieje na budowę centrum, czy też sojuszu sił rozsądku i odpowiedzialności, jedynej skutecznej zapory przeciw ekstremizmowi, wyglądają coraz naiwniej i myślę, że wielu ludziom coraz trudniej pogodzić członkostwo partii i „Solidarność”. Na lipcowym IX Zjeździe PZPR nie czuło się jeszcze tego tak wyraźnie i nawet, jak pamiętamy, wybrano do Biura Politycznego członkinię „Solidarność” Zofię Grzyb. Ale już na I Plenum KC dała ona wyraz swojemu rozczarowaniu do rosnącego w siłę ekstremistycznego skrzydła związku. *Nie wiem, ilu partyjnych jest w hali „Olivii”, ale nastrój nie sprzyja ich sumieniu: ilekroć o władzy i o partii mówi się krytycznie, tylekroć mówcę nagradzają oklaski.*

Co jest właściwie rdzeniem konfliktów między „Solidarnością” a władzami? Myślę, że po pierwsze — rozliczenia za poprzednią dekadę, o których partia nie chce już wspominać, uważając, że zdemokratyzowała się i odnowiła, więc stare grzechy uległy zatarciu, zaś „Solidarność” z upodobaniem do nich wraca, a po drugie — różnica w optyce, taka jak między partią pracy a partią *establishment*’u gdzieś na Zachodzie. Pierwsza sprawa jest jasna i tłumaczyć jej nie trzeba. Co do drugiej — wciąż spijamy piwo po głupiej, upraszczającej propagandzie, która chwaliła zachodnich komunistów, socjalistów, a niechby i labourys-

tów, kiedy strajkami osłabiali nieprzyjazne nam państwa. Tymczasem kiedy labourzyści przesadzili z popieraniem strajków i coraz częściej mówiono o krótkowzrocznym związkowym egoizmie, dorzynającym brytyjską gospodarkę — stracili władzę. *Wciąż niewielu ludzi u nas rozumie, że po to, aby w kraju dobrze się działo, potrzebne są nie tylko silne związki, ale i silne państwo.*

Nie jestem pewien, czy rozumie to nawet KKP „Solidarności”, skoro w referacie sprawozdawczym na Zjeździe powiada: *„Solidarność jako wielka realna siła stwarza szansę społecznej równowagi, w której człowiek będzie chroniony, a władza skutecznie kontrolowana”*. Schorzenie, kiedy władza może za wiele a jednostka za mało, znamy z długiej przedsiębiorczej praktyki, ale i nierównowagę odwrotną, mianowicie paraliż władzy i wybujałe prawa jednostek, zdążyliśmy poznać w ciągu ostatniego roku. Nasz rząd jest na pewno niedoskonały, ale chciałbym zobaczyć w jego roli zespół najsprawniejszych choćby fachowców, jak sobie radzą wobec braku mięsa, braku węgla, braku pieniędzy i w dodatku braku zaufania, poganiani tylko zewsząd okrzykami, żeby coś zrobili, ale nie kosztem społeczeństwa.

To jest kolejny mit, który przedostał się do wewnątrz hali „Olivii” — mit, że ktoś inny może ponieść koszty. Kiedy przedstawiciel austriackich związkowców wręczył prezent dla „Solidarności”, elektroniczny kalkulator, prowadzący obrady zażartował, że to do obliczania rekompensaty za wyższe ceny chleba. *„Solidarność od początku podjęła walkę przeciwko groźbie przerzucenia kosztów kryzysu na barki społeczeństwa”* — powiedział w referacie sprawozdawczym sekretarz KKP, Andrzej Celiński. Na czyje więc barki go złożyć? Próbować zaciągnąć jeszcze więcej kredytów? Na barki amerykańskiego farmera, radzieckiego naftowca, francuskiego mechanika — aż powie, że on może i za miskę zupy pracować, jeżeli dla siebie, ale nie dla Polaków, którzy domagają się pełnej rekompensaty za pieczywo cukiernicze nawet?

Nigdy się nie dowiemy, czy na temperamenty delegatów działał kojąco krzyż, a właściwie dwa krzyże: jeden zawieszony nad stołem prezydialnym obok godła państwa, drugi powyżej, wyświetlony na komputerowym ekranie hali i jeszcze okraszony napisem *„Polonia Semper Fidelis”*. Otwarcie zjazdu poprzedziła msza, nazajutrz, w niedzielę, odprawiono mszę dla delegatów, co może niejednego związkowca ubodło, bo zapisywał się do orga-

nizacji zawodowej, nie religijnej. Ale rząd powinien błogosła-
wić Kościół za jego tonizujący i stabilizujący wpływ. Homilia
prymasa Józefa Glempa przypominała o ojczyźnie i o potrzebie
pracy, rozważa i odpowiedzialności. Oto paradoks historii:
*Kościół znalazł się w sytuacji mediatora pomiędzy robotniczym
państwem a robotniczym związkiem.* Nie dlatego, żeby leżał
w pół drogi ideologicznego dystansu między partnerami, ale dla-
tego, że z większej historycznej perspektywy i bez młodzieńczej
zapalczywości ocenia szanse, co można zyskać, a co stracić. *Mam
nadzieję, że historia znajdzie właściwe określenie na ten prze-
dzwiny model historycznego kompromisu komunistów i katoli-
ków.* Mam nadzieję także, że społeczność potrafi utrzymać i wy-
korzystać ten zrąb postawy pojednawczej, tym bardziej samotny,
im bardziej podzielony na obozy staje się nasz naród.

*Czy uda się Kościołowi i innym neutralnym siłom społecz-
nym zaszcześcić ducha kompromisu?* O kompromisie chętnie mó-
wimy, kiedy ustąpić ma nasz adwersarz, ale zapominamy, kiedy
nasz ruch, „Solidarność”, oskarża rząd o prowokowanie konflik-
tów i dobiera całkiem innych słów, kiedy to od niej wychodzi
inicjatywa i kiedy ona chce koniecznie postawić na swoim.
I chociaż nie można tych konfliktów osądzać przy pomocy syme-
trii, bo jedna strona reprezentuje państwo i jego obowiązki
względem wszystkich obywateli, a druga tych samych obywateli,
ale z ograniczoną odpowiedzialnością — to jednak utarło się
już patrzeć na nie jak na kolejne rundy meczu dwóch nierównych
drużyn.

Roczny okres współzycia władz z „Solidarnością” powinien
obu stronom wykazać dowodnie, że nie ma co liczyć na elemen-
tarny błąd przeciwnika, że się go od tyłu nie zajdzie, frontalnie
nie pokona i wobec tego jedyne, co pozostaje, to dogadać się,
jak Polak z Polakiem, czyli kompromis. Bo jeśli nie, grozi nam
dogadywanie się, jak Irańczyk z Irańczykiem.

*„Polskę zrobimy taką, jaką sobie wymarzyliśmy, bo inna być
nie może”* — powiedział Lech Wałęsa otwierając zjazd, a dele-
gaci oklaskiwali te słowa, aż im ręce puchły. *Trudno się było
oprzeć wzruszeniom na tym zjeździe. Mnie jednak nie wolno
kierować się wzruszeniem, ja muszę na zimno spytać, czy ta Pol-
ska wymarzona jest Polską realną, a jeszcze wcześniej, czy jest
Polską konkretną? Czy zjazd zarysował wizję kraju, która by
się wspierała nie tylko na szlachetnych i czystych słowach, jak
prawda, wolność, sprawiedliwość czy demokracja — ale na real-
nych mechanizmach społecznych. I odpowiedź na razie nie jest,*

niestety, pozytywna. „Solidarność” wciąż o wiele lepiej wie, czego nie chce, niż czego chce.

(*Polityka*, 12 września 1981)

Ewa BERBERYUSZ
Krzysztof SZYMBORSKI

DRAMATURGIA WYDARZEŃ

*„Kluczem do niepodległej Polski
jest praca nad pracą...”*

Ks. Józef Tischner, z homilii
wygłoszonej podczas Mszy zjazdowej.

Gdyby pokusić się o oddanie jednym wyrazem, czym była pierwsza tura Zjazdu „Solidarności” najbliższym słowem jest „harówka”. Był to w gruncie rzeczy potworny trud, szlifujący zręby tego, co ma się stać nowym historycznie sposobem istnienia 10 milionów ludzi nad Wisłą. Ich przedstawiciele, zebrani na tafli sportowej hali „Olivia” w Gdańsku przez sześć dni „odwalili” taki kawał wielkiej roboty, iż opisanie tego wysiłku byłoby niepodobieństwem, w relacji na gorąco. Ograniczamy się do zapisu dramaturgii wydarzenia.

◆

Pierwszy dzień Zjazdu, wolna sobota, pogoda piękna. Telewizji nie będzie. Ten komunikat Zjazd przyjął owacją. Wiadomość podano dziennikarzom w przeddzień wieczorem. Na krótkim przedzjazdowym *briefing*’u Janusz Onyszkiewicz przypomniał przebieg negocjacji „w tym temacie”: Radiokomitety uzależniały rozmowy nad kształtem transmisji od wyrzeczenia się przez

„Solidarność” prawa do strajku w środkach masowego przekazu. Nie mogąc przyjąć takich warunków wstępnych, bo oznaczałoby to rezygnację ze statutowych uprawnień, jakim jest prawo do strajku w dziedzinie, która nie jest z tego prawa wyłączona ani statutem związku, ani tezami do projektu ustawy o związkach zawodowych — „Solidarność” wysunęła własne propozycje. Nie da się zaprzeczyć, że i ona stawiała warunki, które — najwidoczniej — Radiokomitet uznał za zamach na monopol w dziedzinie informacji telewizyjnej i, mimo podjętych przez KKP teleksowych i telefonicznych prób kontynuowania dialogu — rozmów nie podjął. Z serwisu zjazdowego: *„Dlaczego nie możemy wpuścić kamer TVP na nasz Zjazd? Dla tego samego powodu, dla którego nie wpuszcza się na pokład samolotu uzbrojonego gangstera...”*.

Nie będzie więc telewizji, nie będzie też na Zjeździe delegacji związkowych z krajów socjalistycznych. Związki te „Solidarność” zaprosiła zbiorczo za pośrednictwem federacji praskiej, uznając tę formę za najstosowniejszą z punktu widzenia zarówno własnego, jak i interesów państwa, za co jednak — u progu Zjazdu — została — w osobach Bogdana Lisa i Bronisława Geremka — ostro skarcona w radiu i TV.

Prof. Geremek: *„Pan minister Wiejacz w prywatnej rozmowie ze mną powiedział, że ostro protestuje przeciwko faktowi nieobecności związków socjalistycznych. Dając odpowiedź, że gdyby to była rozmowa oficjalna, to przypuszczam, że przedstawiciel 'Solidarności' odpowiedziałby, iż ostro protestuje przeciwko ostremu protestowi rządu, ponieważ rząd nie ma prawa ingerować w to, kogo 'Solidarność' zaprasza a kogo nie. Natomiast w rozmowie nieformalnej mogę powiedzieć, że jeżeli rządowi nie podoba się brak zaproszeń indywidualnych, może to natychmiast nastąpić. W dwie godziny później prezydium KKP, któremu przekazałem sprawę, telegraficznie zaprosiło związki krajów socjalistycznych w sposób indywidualny. Jest rzeczą dziwną, że minister o tym nie wiedział. W dwa dni po rozestaniu telegramów, w oficjalnych wypowiedziach znalazły się stwierdzenia, że związków socjalistycznych nie zaproszono. Zaprotestowaliśmy, ponieważ nie odpowiadało to prawdzie. Zostały zaproszone, lecz nie skorzystały z zaproszeń”*.

Związki z zaproszeń nie skorzystały, ale przybyli korespondenci ich krajów: Jest dwóch Węgrów, Bułgar, dziennikarz ADN, są trzej bardzo intensywnie pracujący TASS-owcy oraz redaktor Lipavski z Czechosłowacji, któremu dziennik zjazdowy „Głos Wolny” zaoferował swoje łamy, gwarantując integralność

tekstów, podobnie jak rzecznikowi rządu polskiego, Jerzemu Urbanowi. Obaj odmówili.

Gdyby nie „sfery telewizyjna i zaproszeniowa”, pierwszy dzień upłynąłby pod znakiem nudy proceduralnej. Jeszcze nie rozpoznana jest druga scena Zjazdu — kuluary, jeszcze zgromadzenie plenarne, które nawiasem mówiąc, obraduje na tafli lodowej, bo „Olivia” to wielka ślizgawka — nie nabrało odpowiedniej temperatury. Uwaga ludzka tępieje wśród odczytywania góry adresów powitalnych i wniosków natury formalnej, nieustannie poddawanych pod głosowanie.

Można by rzec, że jedynym ruchem na tej sali jest ruch podnoszenia czarnych tabliczek delegatów dyżurnych, zliczających głosy sektorów. Jeden z wniosków tyczy zakazu opuszczania obrad poza przerwami, inny, budzący rozbawienie, stawia o ukaranie naganą Wałęsy, Lisa i Gwiazdy, których częsta nieobecność rzuca się w oczy. Cóż, cena popularności. Rzeczywiście, Wałęsy mało. W tym momencie akurat jest i replikuje: *„Musicie państwo zrozumieć, że jestem jeszcze w grypie, przecież się nie wałęsam...”*.



Drugi dzień, niedziela, 6 września — piękna słoneczna pogoda — zdaje się kontynuacją pierwszego. Pozdrowienia, wnioski, pozdrowienia, wnioski, wnioski do wniosków, anulacje wniosków; jest też wniosek formalny Ślązaków — przegłosowany, a następnie przez nich samych wycofany — żeby Msza święta odbywała się tu, w sali, codziennie o godzinie ósmej rano. Msza i tak się w tym miejscu i czasie codziennie odbywa bez uchwały Zjazdu. Przychodzi kto chce, i nawiasem mówiąc, jest to jedyny moment, kiedy dziennikarze mogą „legalnie” wejść na salę: podczas obrad prasa oznaczona kolorem niebieskim pozostaje w wyizolowanym sektorze. Jedynie reporterzy związkowi, najliczniejsi, obok plakietki niebieskiej, otrzymują żółtą z napisem „Organizator”, która upoważnia ich do swobodnych ruchów.

Ku schyłkowi dnia coraz częściej na usta ciśnie się pytanie, kiedy treść zwycięży nad formą, kiedy ukonstytuowane wreszcie przez Zjazd komisje zaczną działać, zasilając salę w dyskusyjne „półfabrykaty”, które będzie można wziąć pod obróbkę. Ktoś dowcipny pyta, czy trzeba cudu nad Bałtykiem, żeby Zjazd ruszył: inny — zamierza udać się na pocztę, bo telegram ma większą siłę przebicia do Zjazdu niż żywa ludzka mowa! a chce powiedzieć, chce krzyczeć, żeby zostawić wszystko na boku i zająć się

„czymś konkretnym”: *„Cały kraj ma prawo denerwować się, że po dwóch dniach jesteśmy w stanie zero!”*.

Mimo ogólnego zniecierpliwienia, ostrożność, wręcz czujność, delegatów jest nieubłagana. Gdy pada wniosek, aby głosować *en bloc* na całą listę 60 kandydatów do Komisji Statutowej, pojawiają się zastrzeżenia, czy nie za dużo, może wyłonić z tego grona bardziej operatywną jedenastkę? Dlaczego tak licznie reprezentowane są Mazowsze i Dolny Śląsk? Przecież Statut to sprawa równie ważna dla wszystkich regionów, niech więc każdy ma przynajmniej jednego „swojego” człowieka w tym gremium. Szczęściem, udaje się uniknąć uciążliwej rekonstrukcji listy, i wniosek zostaje przegłosowany.

Nie brak takich, którzy określają te dwa dni jako zbiorową paranoję, szukając jej przyczyn w długoletnim fatalnym doświadczeniu społecznym, ktoś powie: *„Wywołano w nas psychozę podejrzliwości, ludzie boją się być manipulowani nawet przez wybrane przez siebie ciała”*.

Ale kij ma dwa końce: owe ciała na wszelki wypadek same starannie uchylają się od podejmowania jakichkolwiek decyzji, pozostawiając je ogółowi. Mówi ekspert Mazowsza, Jacek Kurczewski: *„Jeżeli się patrzy z boku, można się lekko uśmiechnąć, bo ten podejrzliwy stosunek do komisji i grup roboczych, obawa, że oni będą manipulować, w rzeczywistości zwiększa szanse manipulacji. Na przykład: Jeżeli w lęku przed manipulacją Zjazd nie dopuszcza do procedury najzdrowszej, czyli publicznej prezentacji stanowisk ekspertów, to w rezultacie ich poglądy muszą być przekazywane poprzez delegatów, czyli jakby z drugiej ręki. Jednym słowem, niektóre antymanipulacyjne decyzje prowadzą do małych indywidualnych manipulacyjek”*.

Na głośniejszej konferencji prasowej „Solidarności” emitowanej przez TVP tuż przed Zjazdem prof. Geremek upatrywał „psychozy spisku” w reakcjach władzy, teraz odnosi się wrażenie, że ta sama psychoza unosi się tu, nad tą salą. Przychodzi na myśl powiedzenie wicepremiera Rakowskiego użyte z innej okazji: *„Wszyscy jesteście naszymi dziećmi, niestety...”*.

Tu jednak teoria spisku nie służy do wyjaśnienia dziejów. Wręcz przeciwnie — to sala usiłuje dowieść, że demokracja jest możliwa.



Ten obraz nastrojów, choć wyrazisty, jest jednak obrazem widzianym w krzywym zwierciadle, okiem ludzi o temperamen-

cie niecierpliwym, dziennikarskim, okiem ludzi nękanym głodem akcji.

W rzeczywistości akcja stale się rozwija. W ciągu dwu pierwszych dni prawie do końca dopracowano dwie ważne uchwały: o związkach zawodowych i o samorządzie pracowniczym. Ważne nie tylko ze względu na treść, ale na fakt, że Zjazd — w imieniu 10 milionów członków związku — zwraca się do Sejmu, czyli stara się znaleźć rozwiązanie drogą istniejących kanałów instytucjonalnych. Tu wypada wspomnieć, że do projektu uchwały o samorządzie, opracowanego przez zespół w Łodzi, w którym prócz merytorycznego stanowiska znajdują się takie sformułowania jak „prerażona władza” — z miejsca zgłasza zastrzeżenie delegat Mazowsza, Jacek Bukowski: *„Związek powinien występować zdecydowanie, ale powinien ogłaszać o tym w słowach dobranych, nikogo nie obrażając i dając szansę stronie, z którą ma się w rezultacie wynegocjować rozwiązanie”*.

Te ważne tematy stanowią jeszcze nadal dopiero zwiady w kierunku wzięcia w rękę spraw merytorycznych. Pozdrowienia wciąż napływają, goście wciąż przemawiają, dziennikarze wciąż narzekają na brak „mięsa reportażowego”.

Gdyby jednak Zjazd — gwołi skrócenia części kurtuazyjnej — przyjął zasadę selekcjonowania wystąpień, stałaby się wielka szkoda. Może zabrakłoby głosu związkowca włoskiego, komunisty, Luciano Lamy, który wyznał, *„że z satysfakcją stwierdza, iż siły odnowy są obecnie nie tylko w waszym związku, ale i w strukturach władzy”*? Albo utraciłoby się ważne słowa Niemca, Erwina Kristoffersena, który stwierdziwszy, że związki zawodowe w RFN od lat obchodzą rocznicę Września jako dzień antywojenny, powiedział: *„Cierpienie, które zostało zadane waszemu krajowi w imieniu Niemiec było tak wielkie, że pamięć o tym przetrwa całe pokolenia... Pamięć o tym jest potrzebna, żeby nikt na tym świecie nie dał się lekkomyślnie wciągnąć w wojnę”*. I zakończył przesłaniem: *„Mamy nadzieję, że podacie ręce nowym wolnym Niemcom...”*. Albo czy nie dobrze się stało, że prawie tysiąc delegatów usłyszało z ust Stefana Bratkowskiego, że dziennikarze nie domagają się niczego innego, jak tylko prawa do przyzwoitości?

Fakt, że na tym Zjeździe spotkały się związki reprezentujące tak odmienne tendencje w światowym ruchu zawodowym był bezprecedensowym ewenementem, był zaskoczeniem dla nich samych. Z Japonii zgodnie przybyły dwie dalekie sobie ideowo centrale reprezentujące sektory państwowy i prywatny. (Na późniejszym przyjęciu w sopockim „Grandzie” zajmują sąsiednie

stoły). Obok naszych związków autonomicznych, tradycyjnie bliższych „Solidarności”, dało się zauważyć — choć nie osten-tacyjną: proszono o zachowanie incognito nazwisk — obecność branżystów.

Tadeusz Mazowiecki powiedział: tu jest cała Polska i duży kawał świata. I przy wszystkich mankamentach to jest ta głębsza warstwa wydarzenia.

Jan Rulewski, którego trudno podejrzewać o cnotę cierpli-wości, a który mimo kolejnych „wypadków bydgoskich” cały czas siedzi na sali, tak podsumowuje pierwsze dwa dni: *„Wszystko odbywa się wedle normy. Ludzie słuchają i rosną. Chcą po po-wrocie powiedzieć rodzinom: 'ja tam byłem, ja to tworzyłem'. Nie jak nasi ojcowie mówili: 'wysadziłem pociąg, strzelałem'. Ci chcą powiedzieć: 'tworzyłem konstrukcję'”*.

Jest zdania, że nad Zjazdem nie unosi się żaden „duch spis-ku”, ale duch poglądów, ambicji i odpowiedzialności, których gra rozpocznie się na dobre lada moment.

I tak się staje następnego ranka, w poniedziałek, 7 września — wciąż przy niezmiennie pięknej pogodzie — efektywnym wy-marszem z sali delegacji łódzkiej. *„Zbuntowaliśmy się”*, oznajmia spokojnie Andrzej Słowik. W istocie nie jest to żaden bunt, ale znak, że czas dojrzał, by przerzucić Zjazd na główny tor. Jeśli nie łodzianie, zrobiłby to ktoś inny. Temperatura wyraźnie rośnie i już nie opada, a delegacja łódzka wraca na salę, by włączyć się do dyskusji na tematy statutowe, czyli przede wszystkim na te-maty kształtu władzy w związku. Starły się tu dwie tendencje: jedna, hołdująca „jednowładztwu”, upatrująca go w zreformowa-nej KKP, druga lansująca model „dwuwładzy” w postaci powo-łania Rady Naczelnej jako ciała ustawodawczego.

Dyskusja na ten temat będzie się toczyła do późna, przybie-rając w miarę upływu czasu na ostrości.

Jerzy Kropiwnicki (Łódź): Nasza propozycja: przewodniczą-cego wybiera Zjazd, skład Komisji Krajowej ustalony przez re-giony, KK wyłania z siebie prezydium.

Karol Modzelewski (Dolny Śląsk): *„Dwuwładza oddala kie-rownictwo od polityki bieżącej. Jesteśmy w sytuacji szybkiej wojny manewrowej. Ścisłe kierownictwo musi być silne. Popie-ramy propozycję kolegi Kropiwnickiego z Łodzi”*.

Lech Wałęsa (Gdańsk): Niezależnie od rozstrzygnięć final-nych, niezależnie, kto tu będzie przewodniczącym, dajcie mu, żeby on jakoś mógł sterować. A więc na pewno konieczne jest, aby struktury, które były, które się sprawdziły, zostały. Jak było, tak było — Krajowa Komisja się sprawdziła. Oczywiście

trzeba zrobić tak, żeby była ona autorytatywna, tzn., żeby nie było: mały ośrodek — 15 tysięcy, duży — milion, żeby one miały to samo. Nie może tego być. A więc Komisja Krajowa na pewno tak, ale proporcjonalna do wielkości. Jednocześnie prezydium, które będzie sterowało w bojowym duchu walki, musi być reprezentatywne. Muszą to być ludzie, którzy będą wciąż siedzieli, wciąż orali i pracowali. Ale jednocześnie muszą to być przewodniczący wielkich regionów, bo inaczej decyzje KK nie będą przez te regiony realizowane, to będą miniksięstwa. Reasumując, widzę około stu ludzi w KK, widzę piętnastu do dwudziestu w prezydium, jednocześnie: siedmiu do dziesięciu wybranych, ale i dobranych, żeby im się dobrze współpracowało, siedzących na stałe z mieszkaniem w Gdańsku... Idziemy na twardy bój i w tym boju muszą być generałowie dywizji z regionów — bez generała dywizji, np. z Mazowsza, Bujaka — tu pauza — możecie sobie powalczyć!

Mimo długotrwałej owacji „generał” Bujak jest zdania odmiennego. Nie odpowiada mu „centralizm”: *„Musi być władza ustawodawcza i władza wykonawcza, nie może być inaczej w demokratycznym związku...”*.

Jak dalece koncepcje co do struktury władzy nie przebiegają wedle klucza regionalnego, może świadczyć fakt, że Lech Kaczyński — delegat Gdańska, jak Lech Wałęsa — opowiada się inaczej niż „szef”. Jest za rozłożeniem władzy między dwa ciała: *„... silny organ ustawodawczy wybrany przez regiony, którym byłaby Rada Naczelna, obok ciała wykonawczego, wyłonionego przez Zjazd”*.

Za „dwuwładzą” optuje również Zbigniew Iwanów (Toruń), delegaci ze Słupska i Lublina.



Poniedziałek wieczór. Komisja Statutowa, aby ułatwić sobie pracę nad projektem zmian, postanawia na roboczo przeprowadzić wśród delegatów sondaż opinii w postaci dziewięciu pytań. To swoiste referendum przemienia się w decydującą konfrontację stanowisk.

Zrazu wszystko odbywa się w miarę sprawnie. Pytania: Czy zachodzi konieczność całościowej zmiany statutu? Zdecydowana większość odpowiada „nie” (są tylko trzy głosy na „tak”). Czy statut powinien uwzględniać szczegółowe zasady regionalizacji? „Nie”. Czy należy w statucie wprowadzić szczebel pośredni między organizacją zakładową a regionalną? Głosy się dzielą, trzeba

liczyć, czarne tabliczki wędrują w górę, ostatecznie przeważa odpowiedź twierdząca.

Teraz pada pytanie decydujące, wokół którego rozgorzeje spór:

Czy należy wprowadzić zmiany w strukturze władz krajowych? Potrzebę taką dostrzega większość delegatów. Drugi człon pytania: Jeśli tak, to czy należy oddzielić władzę uchwałodawczą od wykonawczej?

Ten problem statutowy wydaje się wymagać komentarza eksperta. Sala głośnie, by pozwolić wypowiedzieć się mecenasowi Olszewskiemu:

— Nie będę mówił długo — zaczyna Olszewski — (niektórzy wypomną mu potem 18 minut jego wystąpienia) — lecz sprawa, o której dyskutujemy, ma znaczenie zasadnicze...

Gdy mówca rozwija historyczny rodowód projektu Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych, sala zaczyna się niecierpliwie, coraz więcej mandatów faluje w powietrzu.

— Są dwie zasadnicze koncepcje — kontynuuje Olszewski — tak w jednej, jak w drugiej można mówić o władzy silnej. O władzy sprawnej można jednak mówić tylko w przypadku koncepcji zakładającej oddzielenie władzy uchwałodawczej od wykonawczej...

Mimo prób uciszenia sali przez przewodniczącego, klaskanie, które jest przyjętą formą odbierania głosu, zagłusza dalszą wypowiedź eksperta. Gdy Jan Olszewski schodzi z mównicy, włącza się z sali Karol Modzelewski:

— Dziękuję Jankowi Olszewskiemu — oświadcza przewrotnie — że nie wykorzystał swego wystąpienia, żeby przeprowadzić agitację a tylko ograniczył się do bezstronnego wyjaśnienia kwestii prawnych.

Ktoś z delegatów śląskich (sektor 15) stawia kropkę nad i:

— Nie zgadzam się z kolegą Modzelewskim, to nie było bezstronne wyjaśnienie, ale próba agitacji. Niech eksperci pomagają Komisji Statutowej a nie doczadzają delegatom!

Siedzący za stołem prezydyjnym członek Komisji Skrutacyjnej, delegat Gdańska, posuwa się jeszcze dalej:

— Jesteśmy związkiem robotników i możemy poradzić sobie bez ekspertów...

W nerwowej atmosferze pada wniosek delegata Rzeszowa, Cichulskiego, o zmianę przewodniczącego obrad.

Przewodniczący:

— Przepraszam, proszę powtórzyć wniosek. Nie dosłyszałem, bo akurat rozmawiałem...

Wybuch śmiechu rozładowuje napięcie. Cichulski powtarza.
— Wniosek jest formalny i dobry jak każdy inny — stwierdza przewodniczący. Zarządza głosowanie. Wniosek upada.

Głos spośród członków prezydium, najwyraźniej w obronie mec. Olszewskiego:

— Nie każdy, kto broni swych poglądów, jest manipulatorem.

Delegat Gdańska:

— Drugi człon pytania jest źle sformułowany. Prosimy o konkretne sformułowanie sprawy. W czym mamy wybierać? Kto jest autorem poszczególnych projektów i jak one brzmią? Proszę zrezygnować z górnołotnych, choćby znakomitych, sformułowań, które są niekomunikatywne...

Tadeusz Syryczyk (Małopolska):

— Jeśli ktoś tutaj wstaje i mówi, że jesteśmy manipulowani, obraża nie tego, który występuje, lecz wszystkich tu obecnych. Delegaci mieli zresztą dość czasu, żeby zapoznać się z meritem sprawy i powinni znakomicie wiedzieć, o co toczy się dyskusja.

Oczywiście, wiedzą znakomicie. Argumentem manipulacji też można manipulować, by wygrać.

Komisja Statutowa zgodnie ze swoją rolą stawia nową, uproszczoną wersję obu członów pytania:

— Kto jest za Radą Naczelną plus Komisja Krajowa?

— Kto jest za Komisją Krajową z wybieranym z jej grona prezydium?

A jednak nie obywa się bez zastrzeżeń formalnych i ostatecznie pod głosowanie poddana zostaje pierwotna wersja pytania jako najprecyzyjniejsza. Zdecydowana większość jest przeciw rozdziałowi władzy uchwałodawczej od wykonawczej. Wynik sala wita długą, niemilknącą owacją. Tym dłuższą, im dłużej narastało napięcie. Wszyscy — i ci za, i ci przeciw — mają świadomość, że dobrze czy niedobrze — stało się. Krok w określonym kierunku został zrobiony.

Na dziś — kamień z serca. Punktualnie o godzinie 22-ej tafla gdańskiej „Olivii” pustoszeje.



Sprawa kształtu władzy była chyba w tej turze Zjazdu tematem centralnym. Wśród setek głosów w dyskusji, wniosków, kontrwniosków, wariantowych propozycji poprawek do Statutu, obok tematu „dwuwładzy” — pojawiło się kilka innych punktów krystalizacji: Czy wolno działaczom związku łączyć kierownicze funkcje na różnych szczeblach? Wszyscy zdają sobie sprawę,

że za tym bezosobowym sformułowaniem kryć się może dramat Lecha Wałęsy. Kto wie, czy nie będzie musiał wybierać pomiędzy Gdańskiem a Polską? Albo, czy „generał” Bujak będzie mógł kierować Mazowszem, a jednocześnie być tam, gdzie zapadać będą codzienne decyzje o wadze ogólnokrajowej? Dylemat mają również delegaci. Andrzej Krajewski (Mazowsze) mówi, że — po zastanowieniu — będzie głosował za niełączeniem funkcji kierowniczych, gdyż chce mieć Bujaka na miejscu.

W ciągu tych kilku dni Zjazd podjął wiele postanowień — uchwałę o funduszu dla inwalidów, poprawkę do Statutu o przeciwdziałaniu alkoholizmowi i narkomanii — wywołujących zrazu wśród zebranych przyganę za wszystkoizmem. Jednakże spontaniczna i stale powracająca obecność tej tematyki wydaje się świadczyć, że Zjazd — bezwiednie — wypełnia w ten sposób rolę zagubionego sumienia Polski. W tym duchu należy przyjąć deklarację, przedstawioną na którejś z konferencji prasowych przez Dolny Śląsk, upominającą się o ludzi, którzy wyemigrowali do Izraela, zabierając przecież w sercach kawałek Polski. Oni też są częścią wielomilionowej polskiej „diaspory” rozrzuconej po kontynentach. Również „przesłanie do ludzi pracy krajów socjalistycznych” ma w intencji charakter bardziej moralny niż polityczny.



Czwarty dzień Zjazdu, wtorek, 8 września — pogoda ta sama — przebiega pod znakiem uchwały o samorządzie, a atmosferą przypomina najlepsze tradycje zebrań KKP. Próba relacji musiałaby się przemienić w zapis sztuki teatralnej, ze wstępem, kulminacją, i katharsis; akcja operuje szybką wymianą ripost ze środka sceny, z doskoku, z szeptami na stronie, z „chórem i choreografią”. Z góry, z trybun, na których siedzimy, wygląda to trochę jak ruchy wojsk. Wielkie ożywienie umysłów sprawia wrażenie fizyczności.

Karol Modzelewski, główna *dramatis persona*, osiąga dziś szczyty kunsztu jako trybun ludowy, transmitując wywody ekspertów i delegatów na język natychmiast podchwytywany przez wielką rzeszę ludzką. Uchwała o samorządzie zostaje podjęta, acz nie w formie, jaką przedwczoraj sugerował Jacek Bukowski.

Naraz wszelkie zażalenia, kwasy, dąsy — ustają. Już nikt nie narzeka na obsługę prasową, bałagan, nieporadność, nudę — wszyscy się lubimy. Naraz wszyscy jakbyśmy przetarli oczy, dostrzegamy wysiłek delegatów, porządkowych, „prasowców” — wszystko jest na medal. Już nie mijamy się w przejściu z błęd-

nym wzrokiem, anonimowość przestała istnieć. Wiemy, kto-kim, co-gdzie, i nie jest to tylko kwestią rutyny, ale poczucia wspólnoty wynikłej z uczestnictwa w tym, co się tu naprawdę dokonuje.

Nastąpiło przetasowanie poglądów i narodowości, na ławeczkach, na schodach, w szatniach, z bułkami na papierowych taczkach, Japończycy obok Amerykanów, prawicowcy obok lewicowców.



Na Zjeździe ważne jest nie tylko to, o czym się dyskutuje, ale i to, o czym zdecydowano się nie rozmawiać. W paragrafie pierwszym Statutu znajduje się lakoniczne sformułowanie „patrz Załącznik”. Wszyscy pamiętają, ile trudu kosztowało Związek wypracowanie formuły tzw. deklaracji politycznej, ile wymagało mądrości.

Wniosek, aby tę sprawę ponownie rozważyć — a mamy już 9 września — stawia delegat Gdańska, Sobieszek, sprężarkowy z firmy „Siarkopol”, urodzony w roku 1945 w Wałbrzychu i obdarzony imieniem „Lech”, jako pierwsze dziecko tego polskiego już miasta.

Liczenia głosów nie było: na pytanie, kto jest „za”, liczba podniesionych mandatów niemal równała się zeru. Wieczorem, na prasówce, rzecznik uznaje rzecz za niebyłą: żaden formalny wniosek o poddanie sprawy pod głosowanie tajne, co wymaga zgody 10 % obecnych, do prezydium nie wpłynął.



Gdy kończymy pisać, Zjazd trwa. W pomieszczeniach uczelni Trójmiasta, po akademikach, pracuje trzynaście grup roboczych. Ta tura nie może się rozjechać bez dania związkowi „oszlifowanego” statutu, który — po weryfikacji przez co najmniej połowę regionów, reprezentujących co najmniej połowę związkowców — stanie się w niespełna trzy tygodnie podstawą wyboru władz krajowych. Choć projekt gotowego Statutu nie jest jeszcze znany, ważne, że centralny spór rozstrzygnięto.

Stanęły w nim naprzeciw siebie dwie racje: z jednej strony wizja demokracji chyba zbyt wyidealizowanej — jak na „teraz i tutaj” — z drugiej: władza scentralizowana, zdolna do szybkich operacyjnych ruchów, władza z pewnością na czasie, tylko

— i ten problem należy w tej sytuacji szczególnie zaakcentować — która musi zadbać o skuteczne mechanizmy kontroli samej siebie.

Jako refleksja nasuwa się nieco nostalgiczne pytanie: Czy nadejdzie czas, by powrócić do idei, której bez powodzenia bronił na tej sali w imieniu mniejszości mecenas Olszewski? Być może, stanie się tak nawet niedługo. Jak, wybiegając w przyszłość, powiedział Jan Rulewski: *„Wobec czekającej nas reformy gospodarczej, dyskusja nad zmianami w Statucie już staje się trochę zdezaktualizowana. Proszę zauważyć, że oś naszego Statutu, jego szpica, kieruje się przeciwko dyrekcji, przeciwko administracji państwowej. W warunkach reformy kierunek osi ulegnie zmianie. Stroną stanie się dla nas samorząd i do tego faktu trzeba będzie nasz Statut powoli adaptować”*.



Telewizji nie było. Dlatego w tej relacji staraliśmy się pełnić rolę oczu i uszu. Czy daliśmy pełne świadectwo prawdzie? Nie wiemy. Może i w tym tekście jest trochę naszej prywatnej, małej manipulacji?

(Tygodnik Powszechny, 20 września 1981)

DEMOKRACJA CZY DYKTATURA?

(d y s k u s j a)

W redakcji gazety zjazdowej „Głos Wolny” odbyła się dyskusja na temat struktury władz związkowych, w której udział wzięli Zbigniew Bujak, Bronisław Geremek, Seweryn Jaworski, Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa. Nieautoryzowany tekst dyskusji przytaczamy za „Głosem Wolnym”.

LECH WAŁĘSA: — Mówiłem już na konferencji prasowej, że według mojego robotniczego rozumu, dyktatura w naszych wa-

runkach jest niemożliwa. Ja, mówiąc: dyktatura, miałem na myśli to, że będziemy bardziej zdyscyplinowani i konsekwentni. To nazwałem dyktaturą. Przecież my nie mamy ani więzień, ani armii, ani nie strzelamy, ani nie wieszamy, nie jesteśmy więc dyktatorami. Gdybyśmy jednak teraz chcieli podzielić się na organ uchwałodawczy i wykonawczy — a ja się na to zasadniczo zgadzam — to wiem, że na dziś, zanim byśmy to podjęli, przedyskutowali, dobrali doradców, a jeszcze rozwiązali problem, to już by były śliwki po obiedzie. W niektórych momentach, a takie momenty będą nas czekały jeszcze dwa lata, trzeba połączyć te siły. Ta władza wykonawcza i ta, która będzie coś proponowała, musi być razem, żeby operatywniej działać. W dalszym ciągu opieramy się trochę na hasłach i dlatego te wielkie nazwiska, te, które się sprawdziły, są nam potrzebne do firmowania różnych decyzji. Chciałbym zarządzać takim ciałem, które miałoby i siłę umysłową i fizyczną. Jest to potrzebne, aby wygrywać.

TADEUSZ MAZOWIECKI: — Myślę, że trzeba wyróżniać dwie rzeczy: jedna — to jest meritum sprawy i tu nie było, w moim przekonaniu, sporu między demokracją i dyktaturą, a druga, to sposób przeprowadzania tego sporu, który w odczuciu niektórych ludzi był odebrany na pewno jako łamanie demokracji. Jeśli chodzi o meritum, to wybór między tymi koncepcjami nie był absolutnie — moim zdaniem — wyborem między dyktaturą a demokracją, lecz był wyborem między bardziej lub mniej skutecznym sposobem działania Związku w istniejących warunkach.

Natomiast jeśli chodzi o sposób przeprowadzenia tej zmiany, to mówiłem już o tym panu Lechowi w oczy i mówię teraz, że uważam, iż pierwsza jego wypowiedź ostatniego dnia obrad nie była zbyt szczęśliwa. Tak została też odebrana. Natomiast drugą porwał salę i nadrobił wszystko. Jest tylko problem, żeby ludzie, którzy tutaj przyjechali i którzy mają poczucie współdecydowania, mieli nadal w trakcie Zjazdu i w dalszej jego fazie to poczucie. Ten Zjazd jest pewną szkołą kultury politycznej w naszym Związku. To jest niezwykle ważne i myślę, że wśród przywódców Związku musi być świadomość, że Zjazd jest właśnie szkołą takiej kultury.

LECH WAŁĘSA: — Powiem, żeby się wytłumaczyć: Gdybyśmy rozpatrywali obrady dnia dzisiejszego, to były takie, że lepiej być nie mogło. Nie można jednak być wciąż najlepszym, jeśli się jest zwykłym człowiekiem, który się wkurza i przeklina, a jednocześnie umie przeprosić.

JACEK KURON: — Ja myślę, że tutaj nie to, jak Lech występował było istotne, lecz to, że Zjazd zmienił decyzję. Rzeczywiście zaczęto mówić o sporze na temat: dyktatura czy demokracja. Niezbyt to fortunny, tym bardziej, że grożą naszemu Związkowi różne niebezpieczeństwa, ale w żadnym razie nie dyktatura. Nie grozi mu nadmierna centralizacja. Ten Związek powstał jako ruch społeczny, od dołu. W rzeczywistości założyło go kilka milionów ludzi, którzy czują się jego gospodarzami i to w taki sposób, że nikt im niczego nie może narzucić. To, co grozi Związkowi to fakt, że ten Związek zmuszony jest do całego szeregu scentralizowanych działań ze względu na scentralizowaną władzę, którą ma za partnera i przeciwnika. W tej sytuacji niezwykle łatwo jest o to, żeby Związek się rozproszył i nie mógł podjąć skoordynowanych działań. To jest problem Związku. Jak dotąd rozstrzygany on był za pomocą autorytetu. I sądzę, że tylko na autorytecie może się to rozstrzyganie opierać. W żadnym razie nie jest to niedemokratyczne. W jaki sposób przekona się większość, czy autorytetem, czy argumentem — to nie jest kwestia demokracji. Czy zatem obawa, że zaważył autorytet, jest bezpodstawna? Nie sądzę. Mamy taki układ w Związku, że Wałęsa jest symbolem, spierać się z symbolem jest niezwykle trudno, ale dla dobra tego Związku spierać się trzeba.

Popatrzmy na Prezydium, które koledzy na sali sobie obmyśli. Miałoby to być prezydium składające się w rezultacie z funkcjonariuszy Związku, którzy na stałe mieszkaliby w Gdańsku. Ponieważ nie działamy w sytuacji ustabilizowanej, w związku z tym szereg decyzji pozornie technicznych podejmowanych przez Prezydium w istotny sposób przesądza o realizacji linii Związku i o tym, czy jest ona realizowana. Kiedy Wałęsa chce mieć w Prezydium przewodniczących Regionów, to po prostu chce mieć ludzi, z którymi się będzie spierał. Ja rozumiem, że jemu głównie chodzi o to, aby decyzje podejmowane przez Prezydium były realizowane. I słusznie, ponieważ jest to najważniejsza sprawa dla Związku. Oczywiście, nie jest bez znaczenia, jakie to będą decyzje. Jeżeli w Prezydium będą ludzie, którzy ze względu na swą pozycję w Regionie i przez to znaczną niezależność od Komisji Krajowej i od samego Wałęsy będą dla niego partnerami, to mamy o wiele większe szanse, że będą to decyzje wyważone, mądrzejsze, słuszniejsze. Obawa, że Prezydium Komisji Krajowej będzie zamiast niej rządzić między zjazdami, byłaby uzasadniona wówczas, gdybyśmy przyjęli, że ci przewodniczący działający w Prezydium Komisji Krajowej szybko mieliby jedną linię, osiągnęli porozumienie i z tym przychodzili na posiedzenia Kra-

jowej Komisji. Taka sytuacja po prostu jest niemożliwa ze względu na to, że federacja wielkich regionów to są różne interesy, różne dążenia, różne sprawy. Chodzi o to, by były one w Prezydium uzgadniane. Ale ponieważ nie sposób do końca ich uzgodnić, członkowie Prezydium będą się ciągle odwoływali do KK. W sumie sądzę, że była to decyzja, która wzmocniła jedność Związku.

Problem w tym, że decyzja zapadła bez dyskusji, że potem ją cofano. Może to stworzyć wiele zła, wiele obaw przed dyktaturą i w związku z tym — działań przeciwko tej dyktaturze. Tego się szczególnie boję, ponieważ twierdzę, że Związkowi nie grozi centralizm, a przeciwnie — brak skoordynowanych działań.

LECH WAŁĘSA: — Gdyby naprawdę zależało mi na przewodniczeniu, to tamta propozycja popierana przez salę była dla mnie wygodniejsza, ponieważ dostałbym trzeci, czwarty garnitur działaczy, którzy by mi nie podskoczyli. Nie mieliby armii i mógłbym robić z nim, co chcę. Ale mi nie zależy na rządzeniu. Zależy mi na wygraniu. Dlatego chcę tych kłótliwych ludzi, którzy nawet nie będą mi się chcieli podporządkowywać. Będziemy się po prostu spierać. Ale oni będą skuteczni i zobowiązani, żeby realizować to wszystko. Jest to dobre dla zwycięstwa, jest to jedyna możliwość, żeby zwycięstwo osiągnąć. Jeśli tak zostaną zrozumiani, to będzie dobrze.

TADEUSZ MAZOWIECKI: — Może oderwijmy się od dzisiejszego dnia. Ludzie obawiają się tego, co już nieraz było w historii. Mówiło się: „dzisiaj jest nam potrzebna silna scentralizowana władza, a jutro będziemy robić demokrację”. Tymczasem okazywało się, że jutro tej demokracji się nie robiło, a silna władza zostawała. Otóż niewątpliwie jest to problem dla Związku, jak mając silną władzę — po to aby być skuteczniejszym — równocześnie kształtować demokrację. To jest problem dla wielu ludzi, którzy byli na sali obrad.

JACEK KURON: — Tu jest właśnie mój największy niepokój. Dla mnie argumentacja, że jest to trudny okres i nie stać nas na demokrację, jest po prostu fałszywa i błędna. Jeśli się naprawdę demokrację zawiesiło, to ja nie wierzę, żeby powrót do niej kiedykolwiek był możliwy. Ale czym innym jest problem demokracji, a czym innym scentralizowania. Może być silna scentralizowana, demokratyczna władza, może być bardzo zdecentralizowana władza małych dyktatorów. Związkowi grozi decentra-

lizacja, z którą mogłoby się w pewnym sensie łączyć ograniczenie demokracji przez spadek aktywności. Z tego punktu widzenia pewien stopień centralizacji jest użyteczny.

LECH WAŁĘSA: — Powiedziałem, że będę dążył do tego, żeby nie było „księstw” warszawskich, poznańskich i innych. Będę dążył do równości regionów i tak je wyrównam, że będą i bogactwem, i siłą równe. Żeby nie było takiej dominacji. Dzisiaj tak jest, bo nie można było zrobić inaczej. Wiem, że tylko w partnerskim równym stosunku będziemy się doceniać. Wtedy nie będzie, że ten przeciąga, ten mi zabiera. Równy z równym nie będzie się bił.

ZBIGNIEW BUJAK: — Skończmy z dyskusją nad tym sztucznym problemem. Problem — dyktatura czy demokracja — stworzyliście sobie tutaj, w tej dyskusji. Uważam, że na Zjeździe walka o strukturę władz i ta długa dyskusja nad nią była niepotrzebna, bo w istocie dotyczyła układów personalnych. Dlatego, że żadna reforma władz zrobiona na tym Zjeździe nie będzie działać inaczej, niż działały władze Związku do tej pory. Będzie przechodziła swoją naturalną ewolucję bez względu na to, jak zostanie powołana, jak ją zbudujemy, jaką jej damy strukturę. Na tym tle, kształtowania silnej władzy, równolegle szedł problem personalny. Towarzyszył on poszczególnym koncepcjom, poszczególnym formom władzy, jakie próbowaliśmy narzucić. A teraz ta ostateczna forma, która została dziś przyjęta. Uważam nawet po twoich słowach Leszek — że jej podstawowym celem był również pewien układ personalny, stworzenie władzy na bazie pewnych postaci, osób które mają odpowiedni autorytet. Mówienie o tym, że taka władza, znaczy silna, dobra, jest w tej chwili potrzebna — uważam za z gruntu fałszywe.

Podjęcie i forsowanie takiej decyzji wiązało się z czymś zupełnie innym.

Jeżeli zdecydowaliśmy się na Zjeździe wybierać przewodniczącego, to uważam, że nie było potrzeby tworzenia obok silnego Prezydium. Bo jeśli my teraz obok siebie, Lechu, stworzymy silne personalnie prezydium, to ono i tak nie będzie miało większego wpływu na kształtowanie polityki Związku, przynajmniej w zasadniczych kwestiach. Jeżeli wejdzie w skład Prezydium parę silnych osobowości, parę silnych osób, będzie to służyło tylko do tego, żeby rozkładać odpowiedzialność i rozkładać tę robotę — o której Lechu mówiłeś — na innych. Nie wiem czy to dobrze, czy źle. W każdym razie uważam, że to jest pod-

stawowy efekt, jaki uzyskaliśmy. Tylko, że można to było zrobić w innym trybie i przy innym układzie, nie łamiąc szkieletu sali, który został tutaj na Zjeździe utworzony. Uważam, że niepotrzebny był ten spór, niepotrzebna była batalia o zmianę władzy, o zmianę struktury Związku.

LECH WAŁĘSA: — Związek będzie musiał podejmować w niektórych momentach niepopularne decyzje. Teraz ja wiem, że ty osobiście przyjedziesz, bo będziesz do tego zobowiązany, choćby wielkością swojego regionu. A jak ty się do czegoś zobowiąziesz, to staniesz na głowie i przeprowadzisz to, co wspólnie ustalimy, a jeśli nie przyjdiesz, to my podejmiemy sami decyzję. A ciebie rozliczymy później za to, że czegoś nie wykonałeś. Bez udziału regionów nic nie przeprowadzę, a muszę myśleć na dziś i na jutro.

BRONISŁAW GEREMEK: — Podzielam zdanie Bujaka, że jest to dyskusja nad sztucznym problemem, ponieważ problem dyktatury w Związku nie istnieje. „Solidarność” nie pozwoli na dyktaturę nawet Lechowi Wałęsie. Rezultatem I części Zjazdu jest takie rozwiązanie statutowe, które nie zamyka żadnych wyjść, stwarza możliwość elastycznych decyzji. Ogromną przewagą rozwiązania, którego L. Wałęsa broni, jest potwierdzenie zdecentralizowanego charakteru Związku. Związek jest zdecentralizowany i trzeba ten jego charakter zachować. Jest to rzeczywiście Związek o charakterze federacyjnym. To, że nie została przyjęta koncepcja Rady Naczelnej, jest — moim zdaniem — wynikiem społecznego nieprzygotowania. Jesteśmy wszyscy w pewnym sensie dziećmi tego systemu. Rozdzielenie władzy uchwałodawczej i wykonawczej mogłoby spełnić rolę rozsadzającą obyczaje polityczne i instytucjonalne dookoła nas istniejące i nie byłoby to wcale niebezpieczne. Jest tak, jak jest i myślę, że to dobrze, że Związek nie podejmuje pochopnych decyzji, że w ważnych sprawach które określają jego strukturę chce przede wszystkim opierać się na doświadczeniach minionego roku, a do wcześniejszych doświadczeń nie ma zaufania. I tę nieufność, która przez cały tydzień zatruwała obrady, ocenilibym również jako wartość Związku, bo świadczy to o tym, że Związek rozsądza system, że zachowuje wewnętrzną dynamikę, wywodzącą się z Sierpnia.

W sprawach statutowych podstawą jest relacja między Związkami a układem społecznym dookoła. I myślę, że tak możemy zbilansować pierwszą część Zjazdu. Pokazała ona, że Związek jest nadal silny demokracją i decentralizacją i że idąc dalej tą

drogą zdaje sobie sprawę, że wszystko, co jest dookoła musi się zmienić, bo współistnieć nie może.

SEWERYN JAWORSKI: — Chciałbym wyrazić nieco odmienne zdanie na temat tego czy w Związku potrzebna jest dyktatura czy sprawność działania. Sprawność działania może być zapewniona nie tylko wtedy, gdy w Związku będą autorytety, lecz również wtedy, gdy będą tacy, którzy ciężko pracują a jednocześnie pamiętają o wielu rzeczach. Przewodniczący może rzucić główną myśl, ale wszystkiego sam nie zrobi. Jeżeli ci ludzie, którzy reprezentują regiony, nie będą mieli czasu na pracę w Prezydium KKP, to wszelkie konsekwencje będą spadać na grupę doradców, którzy siłą rzeczy zmuszeni będą do kształtowania linii Związku oraz do wprowadzania jej w życie poprzez KKP lub kierownictwa regionów. Jest to rzeczywiście trochę niedobre i dlatego wielu związkowców ma zastrzeżenia do tego rodzaju kierowania Związkiem. Widzą oni możliwość nieodpowiedzialności ze strony ludzi — doradców, którzy mają duży wpływ na Związek, a bezpośrednio nie ponoszą odpowiedzialności.

TADEUSZ MAZOWIECKI: — To jest problem zmitologizowany. Oczywiście, doradcy i eksperci muszą się utrzymywać w swojej roli. Kariera związkowa nie może dotyczyć doradców, dlatego że rzeczą doradców jest mówienie obiektywne, niebranie pod uwagę osobistej popularności, i interesów wyborczych.

LECH WAŁĘSA: — Jestem o tyle trudny że słucham wszystkich i jednocześnie nikogo nie słucham. Każdy mnie posądza o to, że ktoś mnie nakręca. Doradcy często mają do mnie pretensję, że nie robię tego co mi mówią. Ja mam swoje własne koncepcje. Oczywiście bardzo ich potrzebuję, bo często nie widzę różnych problemów. Ale to nie znaczy, że robię to co mi się podpowiada.

JACEK KURON: — Zjazd przewyciężył zasadnicze problemy tego Związku. Powstawał on z niczego i naraz musiał podjąć mnóstwo decyzji. Na sto — 10 decyzji załatwiały te ciała, które były do tego powołane, bo na więcej nie miały czasu. Pozostałe załatwiał ten, kto rano wstał. Dlatego rola ekspertów była szczególnie, znacznie przekraczająca to, co mogą i to co powinni robić. Rzeczą instancji, które zostaną wybrane jest stworzenie takiego mechanizmu decyzyjnego, aby tego typu sytuacje nie miały miejsca.

BRONISŁAW GEREMEK: — Chciałbym zrobić bilans polityczny pierwszej części Zjazdu. Odbywała się ona w sytuacji radykalizacji wymuszonej. Scenariusz, który był bez przerwy dookoła realizowany, wytwarzał pewną atmosferę, w której Zjazd obradował. Dlatego postawmy sobie pytanie: czy w tej atmosferze Związek potrafił określać i realizować politykę samoograniczania, którą realizował przez ten rok i czy potrafił zachować więź ze społeczeństwem. Na to pytanie w tej chwili wcale nie jest łatwo odpowiedzieć. Można powiedzieć, że w tym samoograniczeniu przekroczyliśmy pewne bariery. Powstała sytuacja pewnego zagrożenia stabilizacji kraju. Musimy mieć tę świadomość. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób będziemy realizowali to, co zostało uchwalone. A uchwalone zostało, że chcemy, aby Polska była samorządna, czyli chcemy samorządu pracowniczego i chcemy poszanowania pewnych praw i zasad politycznych. To jest sprawa wyboru do rad narodowych i od tego nie ma odejścia. Zjazd zażądał tego od władz, które wybierze i te władze mają to realizować. Jednocześnie więź ze społeczeństwem oznacza umiejętność zachowania właśnie tego, co Związek do tej pory czyni, aby nie stawiać w stan zagrożenia zbiorowego interesu narodowego. Ważne jest, żeby nie zniknął przed Związkiem horyzont ludzi, którzy boją się głodu, stoją w kolejkach, boją się zimy i tego, że będą w tych kolejkach marzli. Myślę, że uchwała przyjęta na zakończenie Zjazdu nie odpowiada oczekiwaniom społecznym. Ale my na te oczekiwania w tej chwili odpowiedzieć nie możemy. Nie możemy odpowiedzieć słowami — musimy odpowiedzieć programem działania. Tego programu działania jeszcze nie ma. Natomiast uchwała końcowa określiła pewne kierunki. Wszystko zależy od drugiej części Zjazdu, od tego czy podczas drugiej części będziemy umieli mówić realistycznym językiem prawdy. Myślę, że radykalizacja pierwszej części Zjazdu wymuszona została przez władze. W drugiej części Zjazdu muszą być wysunięte konstruktywne programy działań, takie programy, które będą prawem dla wybranych władz, które będą musiały być realizowane. Wedle nich władze Związku będą rozliczane. Idea samoograniczania i łączności ze społeczeństwem nie została naruszona.

LECH WAŁĘSA: — Partnerem dla naszego Związku jest rząd. Przecież 36 milionów Polaków nie będzie pisać do premiera. Musimy podać rządowi jeden wspólny list. Pamiętajmy, że co najmniej 80 % ludzi nie będzie ani posłami, ani radnymi i nie będzie ich interesowało, kto tam jest — czy Wałęsa czy Kuroń

czy Geremek. Oni chcą mieć chleb i nie chcą się za bardzo narażać. Przenosząc w dół nasze uchwały musimy powiedzieć, że my dążymy do wielkiego rozwiązania, a na poziomie zakładu pracy rozwiązaniem jest na przykład walka o samorząd. Tak to trzeba zrealizować.

(*Tygodnik Solidarność*, 18 września 1981)

Ks. Józef TISCHNER

POLSKA PRACA JEST CHORA

Homilia wygłoszona w hali Olivii podczas mszy św. przed rozpoczęciem drugiego dnia zjazdu, zaliczona jego uchwałą w poczet dokumentów zjazdu.

Czegoś podobnego jeszcze u nas nie było. Na czym polega wyjątkowość dzisiejszego spotkania? Nie jest łatwo na to pytanie odpowiedzieć. Wszyscy to czujemy: jest historyczne miejsce, jest historyczna rocznica, jest jakieś budowanie, jest Polska. Ale co w tym wyjątkowego? Wydaje mi się, że dotknę sedna sprawy, gdy powiem: po raz pierwszy w naszej historii podjęliśmy na taką skalę pracę nad pracą. Tak, o to chyba nam idzie: o pracę nad pracą, tego jeszcze na taką skalę nie było. Dotychczas najczęściej uwagę Polaków przykuwało pytanie: co robić? Co robić, aby Polska była krajem niepodległym? Co robić, aby było więcej chleba? Co robić, aby było więcej książek? Dziś sytuacja jest inna. Nie, nie można powiedzieć, że pytanie „co robić” nie jest aktualne. To także ważna dziś sprawa, ale na pierwszym planie jest: jak robić. Naszym problemem stała się jakość pracy. Powiedzmy jeszcze dokładniej: problemem stała się kultura pracy. Nasze dzisiejsze spotkanie należy rozpatrywać jako wydarzenie w dziejach polskiej kultury pracy.

Bo należy przede wszystkim pamiętać o tym, że praca człowieka ma swoje własne dzieje, ma swoją historię. Inaczej praco-

wali nasi praojcowie, a inaczej my pracujemy. Kiedyś orało się ziemię sochą, potem sochę zastąpił pług. Kiedyś pomocnikiem oracza był koń, dziś jest nim maszyna. Historia pracy, to historia narzędzi pracy. Ale nie tylko to. Historię pracy kształtują również więzi wzajemności między ludźmi, które niejako z natury łączy praca. Ważne jest to, kto z kim pracuje. Kiedyś pracował ojciec, a z nim rodzina. Dziś wspólnota się poszerzyła. Wzajemność przekroczyła granice wsi, miasta, granice państwa. Nie wiem kto zrobił pióro, które mam w kieszeni. Ktokolwiek je zrobił, ma udział w mojej pracy; jest moim współpracownikiem. Jestem ogniwem ogromnego łańcucha.

Tak więc zmieniają się narzędzia i poszerza wzajemność. Praca jest jak rzeka, która rośnie zbierając do siebie boczne dopływy. Jesteśmy niedaleko ujścia Wisły, Wisła zbiera wody większości polskich rzek. Nasz Zjazd zbiera dziś w jedno strumienie polskich prac i chce się im dobrze przyjrzeć. Chce tę polską pracę zrozumieć, określić ją, uchwycić jej istotę, aby na tej drodze podjąć dzieło — pierwsze dzieło w historii Polski — pracy nad pracą.

Aby dzieło to dobrze rozpocząć, musimy się przyjrzeć jakby z góry, z wierzchołka Tatr, gdzie wody Wisły także mają swój początek. Zachęca do tego sama liturgia mszy świętej. Otóż za chwilę, na ofiarowanie usłyszemy słowa: „Błogosławiony jesteś Panie Boże Wszechświata, albowiem dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy chleb — owoc ziemi oraz pracy rąk ludzkich, który Tobie ofiarujemy...”. I to samo z winem: „Otrzymaliśmy wino, owoc ziemi oraz pracy rąk ludzkich...”. Ten chleb i to wino staną się za chwilę ciałem i krwią Syna Bożego. Ma to głęboki sens. Oto odsłania się przed nami ostateczny horyzont pracy. Gdyby nie ludzka praca, nie byłoby chleba ani wina. Gdyby nie chleb i nie wino — nie byłoby wśród nas Syna Człowieczego. Bóg nie przychodzi ku nam poprzez dzieła natury: święte drzewa, wodę, ogień. Bóg przychodzi poprzez pierwsze dzieła kultury — chleb i wino. Praca tworząca chleb i wino jest budowaniem drogi Bogu. Ale każda praca ma udział w tej pracy. Nasza praca również. W ten sposób nasza praca, praca każdego z nas, okaże się budowaniem drogi Bogu.

Wisła przynosi tutaj także wodę z Tatr. A tam, jak wiemy, bliżej jest nieba. Tatrzańska woda jest czysta. W czystej wodzie odbija się niebo. Taki jest też sens naszej pracy. W niej także odbija się niebo. Specyfiką polskiej pracy było i jest to, że w niej częściej odbija się niebo. Bóg szczęści polskiej pracy. Bo polska praca jest polską drogą do Boga. Musimy strzec tego

odbicia, jak oka w głowie. Odbicie to nadaje bowiem najgłębszy sens ludzkiej pracy. Bez niego człowiek stracić może poczucie sensu swej pracy. Może również utracić poczucie polskości.

Praca to wzajemność. Ale nie chodzi tylko o wzajemność z ludźmi. Chodzi także o wzajemność z Bogiem, który pracując łaską — uświęca świat.

Ze szczytów trzeba spojrzeć na naszą codzienność. Polska praca jest chora. Właśnie z tego powodu tu jesteśmy, że polska praca jest chora. Jest wielka jak Wisła, ale też jak Wisła zanieczyszczona. Stawiamy dziś pytanie: dlaczego jest chora? Nie jest łatwo na to pytanie odpowiedzieć, ale pewne fakty są jawne. Praca w Polsce zamiast pogłębiać wzajemność, zamiast być płaszczyzną człowieka, stała się płaszczyzną nieporozumienia, sporu, nawet zdrady. Wody Wisły są brudne. Wody Wisły są nawet i krwawe. Jesteśmy tu po to, aby oczyścić wody Wisły. Pracujemy nad pracą, aby praca znów stała się płaszczyzną porozumienia, zgody, pokoju.

Naszą troską jest niepodległość polskiej pracy. Słowo „Niepodległość” trzeba właściwie zrozumieć. Nie chodzi o to, żeby się odrywać od innych. Nie chodzi o to, aby się ponad innymi wznosić. Praca jest wzajemnością, jest porozumieniem, jest niezależnością wielostronną. Praca tworzy wspólnotę. Ale w tej wspólnocie i wzajemności każdy musi pozostać sobą: kowal kowalem, nauczyciel nauczycielem, stoczniowiec stoczniowcem. Być niepodległym znaczy: być sobą. Sam rozwój kultury pracy domaga się niepodległości.

Polska praca jest mimo wszystko niepodległa. Praca jest wtedy niepodległa, gdy przynosi takie owoce, których nie można podrobić. Owocem polskiej pracy niepodległej były dzieła poetów romantycznych: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Krasińskiego. Owocem polskiej pracy niepodległej jest dzieło będące również dziełem europejskiego humanizmu — dzieło Jana Pawła II „Redemptor hominis”. Owocem takim jest dzieło Czesława Miłosza. Jest nim także społeczny ruch „Solidarności”. Można mnożyć przykłady...

Zastanawiamy się również nad sprawą niepodległości Polski. Sprawa ta ma dziś inny sens niż w XIX wieku. Kluczem do niepodległej Polski jest praca nad pracą. Jest namysł nad sprawą kultury pracy. Kluczem do niepodległości jest dziś niepodległość polskiej pracy.

Siedząc wczoraj wśród was w Katedrze Oliwskiej i słysząc słowa Prymasa Polski o Ojczyźnie, przypomniałem sobie dawną historię. Oto po upadku powstania listopadowego na paryskim

bruku znalazło się kilkunastu oberwańców — pobitych, skłóconych, bez nadziei na powrót do domu. Francja udzieliła im schronienia z łaski. Wydawało się, że są skazani na powolną śmierć. Ci ludzie zaczęli swą pracę, mówili o sobie dumnie: „My jesteśmy żywą historią”. I historia im przyznała rację. Bo wszystko mija, ale praca trwa. Trwa, bo jest owocem wzajemności.

Wydaje mi się, że mam prawo powtórzyć dziś te słowa. Wiemy, jak jest trudno. Wiemy jak jest ciemno. Znamy wszystkie upiory nocy i krzyki dnia. Ale wtedy było trudniej. Władza była przeciw nim. Wszystkie siły Europy były przeciwko. Niemniej to oni mieli rację. Bo nie to się liczy w historii kto ma siłę, ale kto ma rację. Praca płynie jak rzeka. Rzeka, zwłaszcza Polska rzeka, zawsze trafia do swego morza.

Dlatego: My jesteśmy żywą historią. Żywą, to znaczy: owocującą. Chrystus powiedział: „Pozwólcie umarłym grzebać umarłych swoich”. A więc pozwólmy. Zajmijmy się owocowaniem. Niechaj woda w polskiej Wiśle stanie się czysta i niepodległa — taka, jaką jest woda w Tatrzańskich Pięciu Polskich Stawach.

(*Tygodnik Solidarność*, 18 września 1981)

Ewa BERBERYUSZ
Teresa TORAŃSKA

NA PRZEDPOLU

26 września 1981 roku. Na świetlnym zegarze hali sportowej „Olivia” godzina 10.10. Poczty sztandarowe, hymn, „Boże, coś Polskę”.

Kogo nie ma?

Rządu. W pustym boksie do którego prowadzą osobne schody od reszty odgrodzone metalową barierką, siedzi mężczyzna. I pilnie notuje. Porządkowy przydzielony do ochrony prominen-

tów informuje, że to ktoś ze szczebla urzędu wojewódzkiego, ale wchodzić i tak nie wolno. Wolne więc do siedzenia zostają schody.

Nie ma central związkowych, dwóch międzynarodowych zachodnich i francuskiej „Force Ouvrière”. Na pierwszej turze były, na drugą zapowiedziały przyjazd, ale prawie w ostatniej chwili unieważniono im wizy. Dziwna też sprawa wynikła z przyjazdem pana Kirklanda, sekretarza wielkiej centrali amerykańskiej. Odmówiono mu wizy. Ksiądz George Higgs z Waszyngtonu wygłasza w zastępstwie jego przemówienie, kończąc słowami: „z 'Solidarnością' będziemy zawsze”.

Poza tym, nie ma Bratkovskiego, wielkich napisów namalowanych białą farbą na płotach oraz poprzedniej ekipy fotoreporterów BIPS-u. Okazała się za amatorska, ludzi wymieniono, ale zjazdowy serwis informacyjny nie jest doskonały.

Kto jest?

Przede wszystkim, historia PRL-u. Ci, co siedzieli, i ci co — jeżeli nawet bezpośrednio nie sadzali — „przyłożyli rękę”. Gromadzą się w bufetach przy kawie i wspólnie radzą, jak rozwinąć demokrację. I kto by próbował z tego sztydzić, znaczy, nic z dramatu naszej historii nie rozumie.

Pojawiła się nowa kategoria osób z plakietkami „obserwator”. Wielu ludzi nie reprezentuje swojej macierzystej firmy. Dziennikarze „oficjalni” popodłączali się do pism związkowych albo przyjechali „w ramach urlopu wypoczynkowego”.

Intelektualiści załatwili akredytację dziennikarską, a co bardziej zagorzali solidarnościowcy, którzy przepadli w wyborach na delegatów, teraz paradują z wywieszką „ekspert”, każdy chce być.

Kto jest jeszcze? Wałęsa, co widać po zbitym stadzie fotoreporterów, siedzi w pierwszym rzędzie z gdańską delegacją oraz milicja, przedtem niewidoczna, a — jak niepokoi się japoński dziennikarz — teraz jeździ po trójmieście w odkrytych wozach.

Są „bloki”. Na przykład, regionu Ziemi Łódzkiej, wzmocnionej załogą zakładów „Próchnika”. Podczas debaty plenarnej mają reprezentować wspólne stanowisko. Sprawą numer jeden jest samorząd. Zjazd ma dać ostateczną wykładnię związku na temat ustawy sejmowej, aprobowanej uprzednio przez Prezydium KKP.

Na razie gra toczy się w kuluarach. Docent Szymon Jakubowicz, ekspert grupy negocjującej z Sejmem, wyjaśnia, jak doszło do wypracowania obopólnego kompromisu: chodziło nam o niedopuszczenie do zamysłu konfrontacyjnego, jaki mógł na tym tle

wybuchnąć. W tej sytuacji uznaliśmy za celowe podjęcie sugestii przewodniczących dwu komisji sejmowych: uchwałodawczej oraz planu i budżetu, aby te doprowadzić do wspólnego końca i w rezultacie zdecydowaliśmy się na wprowadzenie poprawek w wersję uchwały podjętej podczas pierwszej tury Zjazdu. Biorąc pod uwagę okoliczności, doc. Jakubowicz uważa ten krok za korzystny: jest za etapowością w dochodzeniu do formuły samorządu, który najtrafniej będzie korygować praktyka życiowa. Tekst ustawy sejmowej w obecnym brzmieniu jest otwarty, daje pole do rozmów z rządem co do listy „zawarowanych” przedsiębiorstw, w tym tak spornych dla obu stron — zakładów „sieci”. Czego obawia się „tu i teraz”? Radykałów związkowych przeświadczonych, iż bez względu na czasy problem samorządu należy rozstrzygnąć w jednym globalnym starciu. Podobne obawy żywi przewodniczący grupy, która „podpisała” poprawki, Mieczysław Gil z Huty Lenina: „zarzucą nam na sali, że nie mieliśmy prawa iść na ugodę z Sejmem, będzie wielkie bicie piany...”. Obaj „modlą się”. Żeby to „bicie piany” odbyło się nazajutrz, gdy emocje ostygną, niech trochę czasu upłynie, niech się z tym prześpią. Na razie na sali konstituuje się nowe przyzium Zjazdu, trwa procedura, nuda.

Na zewnątrz weselej, nastrój jarmarkowy. Świeci słońce, wolna sobota. Kobiety z dziećmi, psami, wózki, rowery i rzędy „solidarnościowych” wozów.

Dwóch górników w strojach galowych informuje, jak wydobywa się węgiel. A więc, że trzeba fachowo, i że zwolnieni z wojska, to amatorzy, którzy mogą siebie i innych narazić na niebezpieczeństwo. Głos podejrzliwy: czy ci żołnierze w kopalni to nie specjalnie...? Poinformowany: nic nam nie zrobią.

Nie ma lizaków, cukrowej waty na patyku, jest za to słowo pisane. Ogromne ilości. Każdy region przyjechał z własnymi wydawnictwami: Miłosz za 180 zł: „Rewolucja bez rewolucji”: warto — zachwala sprzedawca — tylko za jedno 50 zł, a mądre. Jutro mają rzucić „Historię Polski” Poboga-Malinowskiego po 1000 zł za tom.

Zjazd w kolejkach do: toreb plastikowych z napisem „Solidarność”, okolicznościowych kopert, papierosów na kartki, zapalek, stosownych czapeczek z elano-bawełny, a największą — do prasy oficjalnej. „Syrenka”-combi oferuje wszystkie rodzaje związkowych plaketek: wprost z „nyski” jak z barobusu idzie pisemko o tytule „Wryj”, w guście francuskiego „Harakiri” z zapowiedzią: „kupujcie, następny numer jeszcze wredniejszy”.

Niewybredność, kicz, zły smak, zgoda, ale i nauka pisania. Charakteru pismo nabiera poprzez praktykę.

To całe jarmarkowanie ma jedno ucho czujne na nagłośnienie. Gdy na sali zaczyna się coś dziać — wszyscy słuchają, a delegaci wracają na salę. Właśnie przewodniczący Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, Leszek Waliszewski, omawiając „afere szczygłowską”, czyta oświadczenie swojej delegacji: „Mając na względzie, by II tura krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność” odbywała się w atmosferze spokoju, Zarząd Regionu zwraca się o przerwanie strajków solidarnościowych”.

O strajkach w sześciu kopalniach wiadomo od wczoraj. Na konferencji prasowej mówi o nich wiceprzewodniczący regionu Marek Wach: „23 września w kopalni ‘Szczygłowice’, przed końcem pierwszej zmiany, zjawiała się ekipa dziennika telewizyjnego z panem Bronikowskim. Przewodniczący związku branżowego górników przyprowadził pracownika z trzeciej zmiany, przebranego i zrobiono z nim wywiad. Ten człowiek powiedział, że w imieniu wszystkich górników, całej załogi, aprobuje uchwałę Rady Ministrów nr 199 o dodatkowym wynagrodzeniu dla górników pracujących w wolne soboty i składa podziękowanie władzy za trud i dodatkowe pieniądze. W tym momencie zjawiał się przewodniczący ‘Solidarności’ Tadeusz Arendt i zaczął pytać, jakim prawem, kto ich wpuścił, i co się w ogóle dzieje. Podczas tej sprzeczki zjawili się pracownicy na drugą zmianę i dowiedziawszy się, o co chodzi, przegonili telewizję. Operator telewizji próbował się tłumaczyć: to nie ja, ja tylko pracuję, to Bronikowski. Tymczasem na górę wyjechała już z dołu pierwsza zmiana i zrobiono masówkę. Zadzwoniono po Bronikowskiego żeby przyjechał i przeprowadził autentyczny wywiad, co myśli załoga. Nie przybył. Górnicy najpierw czekali, a potem zainteresowali się, kto sprowadził do kopalni ekipę telewizyjną. Do tego przyznał się przewodniczący branżowego związku górników. Górnicy podnieśli rwetes i Arendt, żeby uspokoić sytuację, powiedział, żeby przygotowano taczkę, wymoszczono ją pięknie i zaproponował przewodniczącemu branżowców: ‘zdradziłeś załogę, wiesz, co masz robić’, sam sobie delikatnie wsiadł do taczki i wyrzucono go grzecznie za bramę.

„Na tym pierwsza faza incydentu się skończyła” — relacjonuje dalej Wach — „druga zmiana górnicza pracowała, trzecia i znowu pierwsza poranna. Następnie przewodniczący Solidarności Tadeusz Arendt otrzymał wezwanie do prokuratury, poszedł tam z prawnikiem regionu i go zatrzymano. Z jakiego artykułu ‘Solidarność górnośląska’ jeszcze nie wie”.

Po aresztowaniu natychmiast stanęła kopalnia „Szczygłowice”, a po niej następnych pięć kopalń... Andrzej Celiński uzupełnia relację: przecież wiadomo było, że zatrzymanie przewodniczącego spowoduje strajk. Wydaje się nieprzypadkowe, kiedy prezydium KKP podjęło próbę znalezienia drogi do kompromisu w sprawie najistotniejszej dla kraju — reformy, samorządu, wyboru dyrektora — kiedy ten kompromis zaczął być realny, w tym momencie na Śląsku następuje aresztowanie... Tyle wczorajsza konferencja.

Gdy dziś na mównicy Zjazdu do sprawy powraca Leszek Waliszewski, w hallu pod oknem już dyskusja. Jeden z delegatów podaje receptę na prowokację: wziąć jednego Bronikowskiego, a jeszcze lepiej Samitowskiego, przy nim ustawić górnika branzowego, puścić światła i zapytać: co myśli załoga — wszystko jedno na jaki temat. (Górnicy w zdecydowanej większości należą do „Solidarności”, w niektórych kopalniach w 90 %).

— Czy Bronikowski przyjechał do kopalni sam z siebie? Śmiech. Telewizja nieraz dała dowody swojej dyspozycyjności. A rezultat: sześć kopalń stoi, kilkadziesiąt tysięcy ton węgla mniej, Bronikowski otrząpał ręce i pojechał, jednego człowieka wywieziono, drugiego zamknięto...

— Mogli wytoczyć mu sprawę — wie Stefan Staszewski, choćby z własnego politycznego doświadczenia — areszt nie był konieczny, nie istniało niebezpieczeństwo ucieczki podejrzanego, ani zatarcia dowodów.

Ale zamknięto. Andrzej Celiński mówi, że po to by odwrócić uwagę delegatów od spraw dla związku najważniejszych — samorządu i reformy. Górnik z kopalni „Siemianowice”, żeby zastraszyć.

Jedno nie budzi wątpliwości: jakkolwiek wśród robotników „kara tacek” ma to samo tradycyjne znaczenie co „kocowa” na kapusiu w więzieniu — „Solidarność”, ze względu na swój autorytet społeczny, powinna od tego fabrycznego obyczaju odstąpić. Trudno się więc zgodzić z opinią sędziego Strzembosza, komentującego incydent, że dobrze się stało, iż w kopalni „Szczygłowice” wybrano mniejsze zło (taczki) od większego zła (lincz?). No nie, wina ukaranego polegała na gadaniu, nieważne, prawdziwym, czy nie. „Solidarność”, która pomaga otwierać usta narodowi, nie może ich zamykać swoim przeciwnikom.

Podobna bezwzględność, choć bez brutalności, ujawniła się przy „sprawie kroniki filmowej”. Nie wpuszczono jej na salę argumentując, że na tę turę nie przyjechała ekipa zaprzyjaźniona, a więc dostatecznie wiarygodna. Janusz Onyszkiewicz dowodził,

iz zachodziła obawa „przekazania” materiałów telewizji, nie przyjmując do wiadomości ani okazanego publicznie „listu gwarancyjnego”, ani prostego faktu, że PKF nie podlega „jurysdykcji” Radiokomiteu. W imieniu SDP w obronie obecności PKF na Zjeździe wystąpiła Wilhelmina Skulska. Bez rezultatu.

Tenor wypowiedzi kularowych na ten temat: wpuszcza się, na przykład Lipavskiego jako dowód liberalizmu, a za bramą zostawia jeszcze niesprawdzonych szaraków...

Tadeusz Syryjczyk, delegat Małopolski, który przewodniczył zjazdowemu prezydium w pierwszej turze, określił to tak: „ludzie muszą najpierw nauczyć się tolerancji dla poglądów innych. Jest bardzo wielu delegatów, którzy nie bardzo umieją uznać wolę większości...”.

Teraz na sali przeżywamy właśnie taką scenę. KKP, kiedyś, wystąpiła do Związku Literatów Polskich o zawarcie umowy o współpracy. Właśnie przyjechali. Na trybunę wchodzi Jan Józef Szczepański. Pomruk niezadowolenia. Nie wobec osoby, ale tak, w ogóle, wobec decyzji podejmowanych przez KKP. Że nieważne. Teraz Zjazd jest najwyższą władzą. Trzeba decydować od nowa. Prezes Szczepański schodzi z trybuny, ktoś krzyczy: nie bądźmy szaleńcami. Na razie szaleje demokracja. Zgromadzeni na trybunach nie bardzo wiedzą, o co chodzi, delegaci z parteru też chyba nie, a prezes Związku Literatów czeka na decyzję.

W przedszkolu demokracji może musi tak być: że nie ma równiejszych i nie liczy się przeszłość, zasługi, siwy włos, i każdy jest podejrzany. Głosowanie, chyba setne tego dnia, i prezes Szczepański może wejść na trybunę. „Nie czuję się dotknięty, mówi, ale zaskoczony. Prosiłbym, żebyśmy nie byli nadmiernymi formalistami...”.

Huragan braw.

„... porozumienie, które tu podpisujemy, rozumiem nie jako zwykłą wymianę usług między instytucjami, ale jako służbę społeczeństwu...”.

Huragan braw.

„... temu dziecku — powołuje się na plakat „Solidarności” — chcemy pomóc, żeby rosło zdrowe...”.

Tyle zebrani mają „Solidarnościowcy” już za sobą, a na każdym powtarza się ten sam scenariusz: najpierw gromkie „nie”, potem kilku rozsądnych nawołuje do zgody, burzliwa dyskusja, często nieadekwatna do tematu, u jednych zmęczenie, u drugich otrzeźwienie, więc pada „tak” — i zaraz aplauz. Szczepańskiemu co chwila. Gdy pochyla się podpisując wraz z przewodniczącym

Zjazdu wspólny dokument, Wałęsa wyrywa się ze swego miejsca w szeregu i biegnie do mównicy: wymieniają uściski.

Ale nie tylko podejrzliwość i brak wyrobienia dyktują podobne zachowania: branie wszystkiego pod lupę. Gdzieś w głębi serca każdy ma poczucie wagi każdego słowa, które stąd pada. Chwilami bywa to uciążliwe, chwilami śmieszne.

Gdy Andrzej Kozicki z gdyńskiej „Komuny” zgłasza wniosek o wystosowanie zaproszenia do milicjantów, którzy z warszawskiej Hali „Gwardii” wysłali apel do Zjazdu — ktoś z sali zgłasza poprawkę stylistyczną: ma być nie „mamy zaszczyt zaprosić”, bo to brzmi jak „co to był za ślub”, ale „serdecznie prosimy, przyjeżdżajcie”.

Zmęczenie. Widoczne na twarzach. Coraz mniej szans, by sprawę samorządu „napocząć” dzisiaj. Chyba każdy się jej boi. Andrzej Bogucki (Wielkopolska) mówi wprost: „nie róbmy tego teraz, bo zniecierpliwienie może nas doprowadzić do katastrofalnego błędu”.

Pierwszy dzień drugiej tury Zjazdu kończy się o godzinie dwiętnastej. Noc po podróży, więc najlepiej żeby wszyscy poszli spać. „Kto śpi, ten nie manipuluje” (cytat ze zjazdowego pisemka satyrycznego „Pełzający manipulo”).

(*Tygodnik Powszechny*, 4 października 1981)

Leszek BĘDKOWSKI
Janusz REITER

PO 18 DNIACH ZAKOŃCZYŁ OBRADY I ZJAZD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Gdańsk, 7 października.

— Przypadek zrzędził, i dobry los, że podobnie jak w sierpniu przetrwaliliśmy osiemnaście dni — powiedział Lech Wałęsa zamykając obrady drugiej tury I Zjazdu Delegatów „Solidarności”.

— W sierpniu, w stoczni — mówił Wałęsa — też walczyliśmy 18 dni. Tamto zwycięstwo okazało się na tyle trwałe, że po roku czasu spotkaliśmy się i rokuje nadzieje, że i ten zjazd będzie podobnym zwycięstwem. Dziękując za wszystko można stwierdzić: wytrwałości nam nie zabrakło. Mamy program na pewno piękny i wielki. Jednocześnie pamiętajmy, że życie podpowie i zmusi nas do jeszcze innego programu, który też będziemy musieli realizować. Jadąc do zakładu pracy należy go przekazać w zrozumiałym języku, bo dla świata może on nie być taki zrozumiały. Dlatego pamiętajmy o tym, że musimy go tam wyłożyć i skorygować o to co nam przyniesie życie.

Zanim Lech Wałęsa mógł zabrać głos delegaci obradowali jeszcze jeden długi dzień.

Aż 5 dni trwały wybory do Komisji Krajowej. Najwięcej trudności sprawił delegatom wybór kandydatów z Dolnego Śląska, Mazowsza i Gdańska. Trzy razy pod rząd żaden z dwóch kandydatów z Gdańska nie uzyskiwał wymaganej większości głosów, w szóstej turze niezbędne minimum otrzymał Bogdan Lis. W ten sposób zjazd wybrał 69 członków Komisji Krajowej. Są wśród nich między innymi Andrzej Gwiazda z Gdańska, Stanisław Kocjan i Stanisław Wądołowski z Pomorza Zachodniego, Antoni Tokarczyk z Bydgoszczy, Karol Modzelewski z Dolnego Śląska, Grzegorz Palka z ziemi łódzkiej, Zbigniew Janas, Janusz Onyszkiewicz i Henryk Wujec z Mazowsza, Tadeusz Jedynek i Andrzej Rozpłochowski z regionu śląsko-dąbrowskiego oraz Lech Dymarski z Wielkopolski. W wyborach przegrali zaś między innymi Ryszard Bugaj, Bronisław Geremek, Mieczysław Gil, Kazimierz Switoń, Zbigniew Iwanow, Jerzy Milewski i Ryszard Kalinowski.

Komisja Krajowa składać się będzie ze 107 osób. Oprócz związkowców, wybranych przez zjazd, działać będzie 38 przewodniczących regionów wchodzących w jej skład z urzędu. Członkiem KK jest także Lech Wałęsa jako przewodniczący związku. Do najważniejszego organu wykonawczego „Solidarności” weszło bardzo wielu etatowych działaczy regionalnych, w tym wielu wiceprzewodniczących regionów. Ponieważ w komisji są już przewodniczący regionów związek staje przed trudnym zadaniem uchronienia się przed nadmiernym scentralizowaniem władzy i przed ograniczeniem liczby osób mających wpływ na podejmowanie decyzji. Na swym pierwszym posiedzeniu, które ma odbyć się we czwartek, komisja wybierze ze swego składu prezydium.

W środę, o godz. 14.30 przewodniczący obrad mógł ogłosić wiadomość, na którą z coraz większą niecierpliwością czekali

członkowie NSZZ „Solidarność”: pierwszy program działania związku został uchwalony. Otwiera go lista 21 postulatów gdańskich z sierpnia 1980 roku. Włączono ją do programu w ostatniej chwili po wtorkowej wizycie delegacji stoczniovców, która przyniosła ten historyczny już dokument. Umieszczenie tak zwanej umowy społecznej ma rangę symbolu. Przypomina genezę ruchu i daje mu poczucie ciągłości. Jest to — miejmy nadzieję — dobry znak na przyszłość. Nawiązując do porozumień społecznych związek potwierdził swą wierność idei dialogu.

Dokładne omówienie obszernego dokumentu w ramach tej korespondencji jest zadaniem niewykonalnym. Każdy z jego ośmiu rozdziałów i każda z 38 tez zasługuje na szczegółową analizę. W swym pierwszym punkcie program odpowiada na pytanie „Kim jesteśmy i dokąd dążymy”. „Solidarność określa się w nim jako organizacja, która łączy w sobie cechy związku zawodowego i wielkiego ruchu społecznego”. Podstawowy sens deklaracji zawiera się w zdaniach: „Chcemy rzeczywistego społecznienia systemu zarządzania i gospodarowania. Dlatego dążymy do Polski samorządnej”. Opowiadając się za ludowładztwem „Solidarność” zastrzega, nie może ono być „władzą stawiających się ponad społeczeństwem grup, które przypisują sobie prawo orzekania o potrzebach oraz reprezentowania interesów społeczeństwa”.

W następnym punkcie programu „Solidarność” określa swe stanowisko wobec dzisiejszej sytuacji w kraju. Związek deklaruje się tu jako siła społeczna kierująca się poczuciem odpowiedzialności za kraj. „Jesteśmy w pełni świadomi, że społeczeństwo polskie oczekuje od nas służby pełnionej w taki sposób, aby ludzie mogli żyć w pokoju. Naród nie wybaczy nikomu zdrady ideałów, dla spełnienia których „Solidarność” powstała, naród nie wybaczy nikomu nawet z najlepszej woli zrodzonych działań, jeśli doprowadzą do przelewu krwi, zniszczenia naszego duchowego i materialnego dorobku. Świadomość ta nakazuje nam urzeczywistniać nasze ideały stopniowo, w taki sposób, aby każde kolejne zadanie zyskiwało poparcie społeczeństwa”.

Związek kierując się tą samą motywacją oświadcza: „Odpowiedzialność nakazuje nam dostrzegać układ sił, jaki powstał w Europie po drugiej wojnie światowej, podjęte przez nas dzieło wielkiej przemiany chcemy prowadzić bez naruszania sojuszków międzynarodowych. Mogą one uzyskać gwarancje rzetelniejsze niż dotąd. Naród nasz, ożywiony głębokim poczuciem godności, patriotyzmu i swej tradycji, może być wartościowym partnerem jedynie wtedy, gdy zobowiązania podejmuje sam i świadomie”.

Aby utracić ten fragment programu 73 delegatów zażądało na piśmie powtórzenia głosowania i to w trybie tajnym. Wniosek ten sala zdecydowanie większością głosów odrzuciła.

Trzeci rozdział programu zatytułowano „Związek wobec kryzysu i reformy gospodarczej”. Wywołał on przed kilkoma dniami niezwykle ożywioną dyskusję i spowodował zupełny impas w pracy nad tekstem. Zarysowały się wówczas dwa trudne do pogodzenia stanowiska wobec polityki gospodarczej i sposobów przewycięzania kryzysów. Jedno z nich, sformułowane przez Ryszarda Bugaja i kilku innych delegatów, zostało umieszczone w pierwszym projekcie uchwały programowej. Z gwałtowną krytyką tego stanowiska wystąpił w imieniu konkurencyjnego zespołu delegatów i ekspertów doradca „Solidarności” Stefan Kurowski. Aby wybrnąć z impasu komisja programowa pozostawiła tę część programu bez większych zmian a wszystkie alternatywne projekty przeniosła do aneksu z zaleceniem, aby członkowie związku rozważyli je. Kontrowersje nie dotyczyły w zasadzie najważniejszego celu zawartego w tezie pierwszej, w której związek domaga się „wprowadzenia reformy samorządowej i demokratycznej na wszystkich szczeblach zarządzania, nowego ładu społeczno-gospodarczego, który skojarzy plan, samorząd i rynek”.

W drugiej, uchwalonej przez zjazd wersji programu znalazł się nowy rozdział zatytułowany „Ochrona pracy jako podstawowe zadanie związku”. Przyczyniły się do tego żądania delegatów, którzy domagali się aby „Solidarność” zwróciła większą uwagę na sprawę pracowniczych interesów związkowców.

Swój stosunek do życia społecznego związek zawarł w rozdziale „Solidarne społeczeństwo — polityka społeczna”, a poglądy na życie publiczne w rozdziale „Samorządna Rzeczpospolita”. W tej drugiej sprawie nie doszło ostatecznie do polemiki pomiędzy tzw. fundamentalistami i pragmatykami. Zjazd uznał, że podstawą demokracji w samorządnej Rzeczypospolitej powinien być pluralizm światopoglądowy, społeczny, polityczny i kulturalny.

Zasady życia wewnątrzwiązkowego ustalone zostały w rozdziale „Nasz związek”. W tezie 35 potwierdzono zasadę, że podstawowym sposobem dochodzenia obywatelskich i pracowniczych praw członków związku są uzgodnienia i negocjacje, a dopiero gdy one zawiodą akcje protestacyjne, w tym także strajki. Do rangi zasady życia wewnątrzwiązkowego podniesiono referendum zastrzegając jednocześnie, że musi być ono stosowane bardzo rozważnie.

Uchwałę programową zamyka rozdział pt.: „Nowe porozumienie społeczne”. „Solidarność” domaga się zawarcia porozumienia antykrzysowego, porozumienia w sprawie reformy gospodarczej, oraz porozumienia dla samorządnej Rzeczypospolitej. Ostatnie zdania programu określają idee tych porozumień: „Niech to będzie porozumienie wokół tego, co narodowe, demokratyczne i ludzkie. Wokół tego, co nie powinno nas dzielić”.

Z zaciekawieniem oczekiwano na to, jaki będzie ostatecznie oficjalny stosunek „Solidarności” do niedawnej podwyżki cen papierosów. Już po wtorkowej debacie na ten temat wiadomo było, że podstawą uchwał będzie propozycja złożona przez Karola Modzelewskiego. Została ona — jak należało się spodziewać — przyjęta w nowej, nieco zmienionej wersji.

„Solidarność” żąda:

1. Wypłaty rekompensaty za przeprowadzone ostatnio znaczne podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby oraz przeznaczenie całego dochodu uzyskanego z podwyżki cen towarów monopolowych: tytoniu i alkoholu na pomoc socjalną dla rodzin najgorzej sytuowanych.

2. Zamrożenia cen detalicznych podstawowych towarów do czasu szczegółowego uzgodnienia ze związkiem programu i terminarza zmian cen oraz systemu rekompensat w powiązaniu z przygotowywaną reformą gospodarczą i gwarancjami poprawy zaopatrzenia rynku.

3. Ustanowienia społecznej kontroli nad programem bieżących działań antykrzysowych oraz ich realizacją. Działania antykrzysowe mogą być skuteczne jedynie przy czynnym udziale społeczeństwa i jego organizacji, co nie będzie możliwe bez społecznej kontroli nad gospodarką.

Zjazd zobowiązuje Komisję Krajową, aby w razie nie osiągnięcia w tych sprawach porozumienia z rządem, proklamowała w ciągu najbliższych 2 tygodni powszechny strajk ostrzegawczy oraz ustaliła formy i terminarz właściwej akcji protestacyjnej. Jednocześnie zjazd wzywa załogi zakładów pracy do powstrzymania się od lokalnych akcji protestacyjnych, oprócz tych które okażą się konieczne dla ochrony i bezpieczeństwa związku”.

Końcówka ostatniego dnia zjazdu była prawdziwym maratonem uchwał. Przyjęto między innymi uchwałę o spółdzielczości, o niezawisłości sędziowskiej, o uznaniu za agendy związkowe komitetów obrony więzionych za przekonania, uchwałę w sprawie uwolnienia więzionych za przekonania, oraz uchwałę o zacieś-

nieniu współpracy z NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Prezydium Zjazdu zasypywane zaś było wnioskami formalnymi, których autorzy domagali się ponownego dyskusowania przyjętych już uchwał i fragmentów programu.

O godz. 22.00 przewodniczący obrad oświadczył, że wszystkie punkty porządku obrad zostały zrealizowane. Ostatnią decyzją delegatów było uznanie historycznego sztandaru gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego za sztandar NSZZ „Solidarność”.

Zjazd trwał 18 dni i był zapewne jednym z najdłuższych w historii organizacji związkowych. Delegaci złożyli 375 wniosków merytorycznych. Zjazd uchwalił statut, program działania, 47 uchwał i wybrał władze związku. Wartość uchwał i programu sprawdzi życie. Wystarczyło jednak dobrze przyjrzeć się sali, aby zrozumieć, że związek będzie musiał włożyć wiele wysiłku w utrzymanie tak potrzebnej mu jedności.

(*Życie Warszawy*, 8 października 1981)

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OSTATNIE TYGODNIE
WOLNOŚCI

Michał MOŃKO

NAPRAWDĘ I NA NIBY

Między czynszowymi blokami, na placu Wolności, leży martwy pies. — Dobrze, że nie człowiek — mruczy kulawy śmieciarz. — Z głodu to i człowiek mógł paść. — Śmieciarz przykrywa psa zmiętym *Głosem Robotniczym*. Na pierwszej stronie RZĄD DEKLARUJE NADAL DOBRĄ WOLĘ W STOSUNKACH ZE WSZYSTKIMI PARTNERAMI POROZUMIENIA NARODOWEGO.

Wiatr porywa Głos. Śmieciarz śpieszy w stronę dworca. Dochodzi 5.10, pociąg E-276 odjedzie do Warszawy o 5.20.

Po szóstej wychodzą z fabryki ci, co robili na nocnej zmianie. Pędzą pod sklepy, do domów, do pociągu. Zanim otworzą Urząd Miasta, na ulicach robi się pustawo. Milicjanci ziewając gapią się w witrynę „Domu Książki”.

Tytuł niebieski i czerwony bije w oczy, niepokoi: *BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ* — *materiały repertuarowe. Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury. Warszawa 1974. Cena: zł 50 — przekreślona. Nowa cena: 24 zł.* Publikacja przeznaczona jest dla amatorskich teatrów robotniczych, np. w Żyrardowie.



BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ to wybór wierszy, publicystyki i scenariuszy poetyckich, które ze względu na poruszoną w nich problematykę nie utracą swojej aktualności i w następnych latach — piszą autorzy wstępu do książki. — Tematyka dramatów dotyczy spraw i tęsknot zwykłych ludzi, np. robotników budujących Port Północny (Czeszko: *Teraz na budowie Portu Północnego w Gdańsku zrobiło się bardzo gęsto...*).

Naprawdę — potrzebne silne ręce i wczesne o świcie wstawanie, i chleb w kieszeni. A na niby wystarczą rekwizyty.

Głównym rekwizytem w spektaklu jest czerwone płótno, które staje się symbolem w zależności od sposobu jego użycia. Przedstawienie powinno sprawiać wrażenie improwizacji... Oświetlenie sali powinno stwarzać pozory codzienności, atmosferę zebrania czy wiecu.

W pozorach codzienności, w fabrycznej hali pamiętającej XIX wiek, fabryczna aktorka — DZIEWCZYNA W FARTU-CHU recytowała wiersz:

*Polska nie ma czasu przeszłego...
Nie jest jeszcze zrobiona. Jest
zaledwie zaprojektowana. Stos cegieł
do ułożenia według wzorów
snu.*

(Piechal)

— Tu każdy chciał zrobić coś naprawdę — mówią kobiety z Zakładów Przemysłu Lniarskiego „Żyrardów” im. Rewolucji 1905 roku. — Mówili nam: tamta Polska to betka, druga, lepszą, bogatszą Polskę zbudujemy. No i ludzie rwali się do tego budowania, do roboty. Bo wierzyli.

Tu, w Żyrardowie, wierzyli w słowa wypisane w publikacji „*Budujemy drugą Polskę*”; *Konsekwentnie rugować będziemy z życia społecznego mentalność i postawy drobnomieszczańskiego indywidualizmu i burżuazyjnej prywaty...*

Po Sierpniu kobiety z Zakładów im. Rewolucji 1905 dowiedziały się, że kiedy one budowały drugą Polskę — władza budowała sobie wille i pałace, przepijała Polskę.

— Nie wezmą nas więcej na piękne słówka, na wierszyki — komentuje Marek Sidorek, drukarz z Wykańczalni Zakładów im. Rewolucji 1905. — Sparzyliśmy się na budowie drugiej Polski. I słowa przestały być takie ważne.

Dziś liczy się tylko to, co jest naprawdę, co można dotknąć, zobaczyć na własne oczy, przeżyć samemu. NAPRAWDĘ to jest ciężko, ciężiej niż na niby przy budowie, która runęła jak domek z kart. I ciężiej jest dlatego, że przyszło pracować zwyczajnie, bez wierszy pod hasłem „*Budujemy drugą Polskę*”.

To przecież było tak niedawno, gdy aktor w fufajce wołał do zmęczonych robotnic:

*Wydobyliśmy tyle a tyle
ponad normę. Wiadomo.
Niech dzieci spytają: „Ile
chleba z masłem przybyło do domu?”*

(Broniewski)

Dziś trudno i o chleb, i o masło

choć wydobyliśmy tyle a tyle ponad normę. Wyprodukowaliśmy tyle a tyle bel ponad plan. — No, nie bardzo — wyjaśnia Zbigniew Łukaszewski z ZPL. — Jesteśmy ciut pod plan. Wszystkiego brak. Skończył się karnawał, zaczął się post.

Czasem jest margaryna i olej. Gorzałka kosztuje (bez kartek) na bazarze tysiąc dwieście. Paczka papierosów w kiosku — pięćdziesiąt. Butelka szamponu w drogerii — tysiąc osiemset pięćdziesiąt. Jajko — szesnaście. Kilo rąbanki — czterysta. Gęś — tysiąc dwieście. I ludzie przestali wierzyć w lepsze życie.

— Nastał głód — mówi Zbigniew Łukaszewski, lat 52, specjalista ds. barwników, przewodniczący Komisji Wydziałowej NSZZ „Solidarność” na Wykańczalni ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905; 26 lat pracy zawodowej, dwoje dzieci. — W ciągu ostatnich miesięcy schudłem 21 kg. To może świadczyć o tym, co tu, w Żyrardowie, można było kupić np. u rzeźnika. Mam syna, 17 lat, 180 wzrostu. Uczy się, uprawia sport. Jeśli on nie dostanie odpowiedniej ilości jedzenia zapadnie na płuca. Sobie odmówię, żonie odmówię — a synowi dam. Inni to samo robią. No i w wieku 50 lat idą na rentę, albo umierają. Tu, w zakładzie, od siedemdziesiątego siódmego widać wyraźnie co znaczy brak żywności.

J a j k a

Jeśli chodzi o jajka — mówi Ryszard Chudzik, lat 27, ekonomista, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, członek PZPR, od dwu miesięcy żonaty. — U nas przypada 3,3 jajka na osobę na miesiąc. Chleba nie ma. Jeździliśmy w nocy do piekarni i sprawdzaliśmy co się dzieje. Kur nie podglądamy. — My, znaczy „Solidarność”, partia, związki branżowe napisaliśmy memoriał do sekretarza i do prezydenta miasta w sprawie chleba, jajek i mięsa.

— Co na to władze?

— Władze odpisały, że przekraczamy swoje kompetencje. Ludzi to wnerwiło. Poszli na opór, choć doprawdy nie chcieliśmy strajkować. W końcu doszła również sprawa przyłączenia Żyrardowa do województwa warszawskiego.

K r e w

przywozi się tu z Łodzi, a nie z Warszawy — mówi Zdzisław Wilk, lat 34, od niedawna główny energetyk w ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, od maja sekretarz Komitetu Miejskiego. — Chodzi o krew dla chorych. Tak, że wedle mnie bardziej związani jesteśmy z Łodzią.

— Ale ludzie ciągną do Warszawy.

Liczą na to, że w województwie stołecznym będzie więcej żywności. Bo tu krucho. Szczególnie z mięsem. O, proszę, mam kartki z sierpnia i z września. Nie zrealizowane. Wstyd mi się pchać. Żeby zapobiec strajkom chcieliśmy dać każdemu pracownikowi po dwie kostki margaryny, po jednej kostce smalcu i po butelce oleju. Właściwie — margarynę, albo olej — zamienne. Z butelkami musieliśmy jechać po olej do olejarni.

Jak sekretarz zakomunikował to załogom — to „Solidarność” na nas się rzuciła. Że niby: jak to? — wołano, władze partyjne biorą się za zaopatrzenie, za napełnianie butelek olejem. A ja pytam: a niby dlaczego partia ma nie jeździć po olej? Powiedzieliśmy, że jesteśmy z ludźmi i chcemy być z ludźmi. No i potem było wystąpienie na przędzalni. Padały różne słowa. Od tego właściwie się zaczęło...

Zza okna dolatuje śpiew na melodię „Glory, glory Alleluja”.

*Solidarity forever
Solidarity forever
Solidarity forever
For it makes the union strong...*

Czy partia jest od napełniania olejem butelek? Widowisko BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ odpowiada na to pytanie.

Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie wstaje, podnosi z podłogi czerwone płótno i przykrywa nim stół.

Kim jest Partia?

Czy zasiada w domu z telefonami?

Czy myśli jej są tajne a decyzje nie znane

Kim jest Partia?

Drugi z aktorów siedzących za stołem wstaje i mówi w taki sposób jakby odpowiadał na pytania:

My jesteśmy Partią!

Ty. Ja i my — wszyscy

Mieści się ona w twoim ubraniu.

Dlaczego był strajk?

— zastanawia się Tadeusz Wasek, inżynier, były dyrektor techniczny ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, od niedawna prezydent Żyrardowa. — Na głodniaka nikt nie będzie pracował. Ludzie chcą chleba. Nie w przenośni, nie na niby, ale dosłownie — chleba. (Salomon miał rzec: *Ten, kto umyka w pocie chleba robotnikowi najemnemu — mężobójcą jest*). Znam stanowczość środowiska robotniczego. Stąd jestem. Obawiam się, że ta stanowczość długo się utrzyma. Tym bardziej, że władze nie mają nic do zaoferowania z tego, co chcą robotnicy.

Robotnicy tylko na niby chcieli być ludźmi (chcieli chcieć?). Nie mówili o tym — nie wiedzieć dlaczego. To do nich mówili aktorzy z widowiska *Budujemy...*

(Cała sala tańczy, tworzy się nastrój ludowego festynu. Poszczególne figury i układy poloneza wykonawcy ustalają sami w zależności od możliwości i wyobraźni. Poniższy tekst powinien być mówiony przez całą grupę podczas tańca).

Stań się światło!

*Niechaj robotnik strudzony
od wieku po wiek
powie ziemi rodzonej
Jestem człowiek!*

(Broniewski)

Trudno być człowiekiem

— mówi Cecylia Cegielska, lat 44, w Zakładach od 23 lat, rolowaczka, czł. Związku Zawodowego Włóknarzy (branżowcy), matka pięciorga dzieci, bez męża. — Wstaję po czwartej. Robię śniadanie, jeśli mam z czego. Sprzątam. Oporządkam dzieci. Wychodzę z domu dwadzieścia przed szóstą. Po pracy, o 14-tej idę do kolejki. Jak nic nie dostanę, to robię placki ziemniaczane. Jeśli coś dostanę — daję dzieciom. Sama jem niewiele.

Ostatnio się ważyłam. Ważę 46 kg. Telewizja mówi, że ludzie są leniwi, wydajność spada. Wydajność wcale nie spada. Przed Sierpniem rolowałam 170 bel, obecnie roluję ponad 190 bel. U nas metr tkaniny waży przeciętnie 400 g, to wychodzi na belę od 40 do 80 kg.

— Była pani na wczasach?

— Nie byłam. Podczas urlopu sprzątam, ceruję, piorę. Mój szczęśliwy dzień? Wczoraj dostałam drożdże to upiekłam bułeczki. Dziecko wzięło bułeczkę, jabłko i poszło do szkoły.

D a w n i e j

w wielkim województwie warszawskim byliśmy ważni — mówi Tadeusz Wasek, prezydent Żyrardowa. — Liczono się z Żyrardowem. A w Skierniewickiem jesteśmy nawet za Grodziskiem. Nie mamy szans rozwoju. Nie mamy mieszkań. Nie mamy jedzenia. I nie można się dziwić, że ludzie są rozgoryczeni. Żądają przyłączenia do Warszawy. Ja od pokoleń związany jestem z Żyrardowem. Tu się urodziłem. Coś mnie jednak ciągnie do stolicy. Tam skończyłem szkoły, studia. Tam kształcił się mój syn. Nie umiem przeżyć tygodnia bez spaceru po Starym Mieście. Tu wszyscy czują związek ze stolicą.

Jak to pisał o Warszawie Miron Białoszewski: („Sezamki”, strona 238 „BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ”).

Tu dewizowe drapacze u góry, potem parę pięter Ściany Wschodniej, Sezamy, Juniory. A te „Sezamki, sezamki”?

— *Jak to skąd? Z Bródna.*

— Mieszkam w fabrycznym domu, jak przed wiekiem — mówi Joanna Wiekł, lat 33, rolowaczka w ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, dwoje dzieci — 6 i 11 lat, bez męża, członek „Solidarności”. — Izba razem z kuchnią — 21 m². Ubikacja na dworze, kaflowy piec w rogu, woda w korytarzu. Jedno dziecko w szkole, drugie w zerówce. Kiedy jedno odrabia lekcje, drugie się bawi i mu przeszkadza. Ja też im przeszkadzam, bo w jednej izbie piorę, gotuję. Starszy syn, ten jedenastoletni opiekuje się młodszym sześciolatkiem. Odprowadza go do zerówki, zabiera do domu.

Dzieci chodzą w tenisówkach, a tu deszcze padają. Nie mogę kupić żadnych butów, nawet śniegowców. Sama chodzę w szmaciakach, w podartych rajstopach. Nie ma mięsa, ale dlaczego nie ma mydła, butów, ubrań? Przecież wszyscy pracują. My

pracujemy, choć nie mamy sił. I już nie mówią nam o drugiej Polsce...

Druga Polska zawałiła się w podmuchu Sierpnia. W fabrycznych halach zostały po tej drugiej Polsce słowa malowane na ścianach. (*Lepsze jutro wykuwamy dziś na każdym stanowisku pracy.* — Nie wykuwamy, a rolujemy! — wołały kobiety). Zostały słowa (w pamięci) wypowiedziane przez aktorkę „dziewczynę w biało-czerwonym płaszczu (według scenariusza):

— pytasz co Polska?

— *to niebieskookie niezapominajki w rowie...
to linia wysokiego napięcia*

(Dobrowolski)

Słowa: wysokie napięcie — co dziś oznaczają? Oznaczają gotowość strajkową, strajki. Słowa zmieniły sens, funkcje. Ważne są nie w telewizji, nie w radiu, nie w gazetach — ale na ścianach. (Hasło na murze: *Telewizja wasza — ściany nasze*). Na brunatnych ceglach Żyrardowa wiszą ulotki.

NSZZ SOLIDARNOŚĆ żąda:

Sprawiedliwego podziału żywności dla wszystkich obywateli naszego kraju.

Na ulotkach przyklejone ulotki, ogłoszenia, zawiadomienia.

„Głos wolny” Represje. 22 bm. otrzymałem wezwanie... Na gazetce — ogłoszenie: PARKIETY — *przyjmuję zamówienia na 1982 rok. Mielczarek, Lutomiersk.* Obok: KUPIĘ owce hodowlane. Tel. Tuszyn... Na tym — ulotka: ... *Spokój w zakładach pracy umożliwiający rytmiczną i efektywną pracę umożliwi władzom miasta...* Na ulotce — ogłoszenie: PSA ZŁEGO kupię natychmiast. Zgłaszać — Piotrkowska 96, Łódź.

Pada deszcz. Kobiety z pierwszej zmiany przemokają pod murami, tłoczą się w bramach i na dworzu. Z kilku punktów miasta słychać ciepły głos spikera:

... *nad przyczynami wielowiekowych zmagani myśli ludzkiej z problemami wolności, odpowiedzialności... Hegel natomiast powiedział, że wolność jest zrozumianą koniecznością. Nie jestem wolny — powiedział w jednym ze swych ostatnich felietonów KTT — nawet w najbardziej wolną sobotę przy słabo ośdzonej herbacie...*

— O strajki chodzi? — zastanawia się Zbigniew Łukaszewski. — Że komuś gorzko? Udowadnia się nam, że godzina strajku to godzina dłużej w kolejce. A czy rząd się zastanowił, że

w zakładach nie ma surowców, materiałów, a bez pewnych surowców powstają straty większe niż dwugodzinny strajk.

GUS wyliczył ile to w ciągu godzinnego strajku przepadło milionów pończoch, milionów metrów materiałów. A gdzie jest produkcja z pozostałych dni, miesięcy i lat pracy? Przecież my tu wszystkie oddałyśmy robocie wszystko — młodość!



Ze scenariusza BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ: (Grupa z transparentami przez chwilę maszeruje w miejscu, następnie zatrzymuje się, a pojedynczy wykonawcy zaczynają recytować)

*Siebie daj ojczyźnie — kowadło i młot
O ziarno woła ziemia i żona
lalek i słońca dziecko żąda!*

— Moje dzieci chodzą bose i gołe — mówi Bożena Kubicka, lat 30, szwaczka w ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, członek Związku Zawodowego Włóknarzy (branżowcy), matka trojga dzieci. — Wczoraj cały dzień chodziłam za butami. Stałam pod sklepem bo mieli coś przywieźć. Stałam od 16-tej do 19-tej. Nic nie przywieźli. Wróciłam do domu z kawałkiem chleba. Chłopaki krzyczą: jeść. Dałam im tego chleba z masłem roślinnym. Mąż dostał serek homogenizowany. Wiadomo, mężczyzna musi zjeść. Mówią w telewizji, że jest nawis inflacyjny. Kto ten nawis ma? Ja nie mam, koleżanki też nie mają. No więc kto ma? Pieniądze jakie dostają ledwo starczą mi na jedzenie. Czekam na mieszkanie w bloku. Co miesiąc płacę po 200 zł. Tyle płacę na ile mnie stać. Teraz mówią, że to mieszkanie to może moje dzieci dostaną. Ale czy na pewno dostaną moje dzieci?

— Ja mieszkanie mam, ale nie mam co jeść — mówi Marek Sidorek, lat 31, drukarz na Wykańczalni ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905, członek „Solidarności”. — Żona chora, w kolejkach stać nie może. Dostaje słabości. Niedawno kupiłem kurę bez kolejki. Zapłaciłem 400 zł. Ile ja muszę pracować, żeby kupić kurę dla dzieci na rosół?

— Długo pan tak wytrzyma?

— Długo. Byle telewizja mnie nie denerwowała. Oni czasem bredzą nie do wytrzymania. I wtedy protestuję!

O proteście mówiono na niby, mrużąc przy tym jedno oko. Już był post, a jeszcze ogłaszano karnawał (gospodarczy, polityczny). Podczas spektaklu „BUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ”

niezadowolenie miało być tylko grą, którą można było nagle przerwać. Widownię naszpikowano aktorami, którzy wyrażali dezaprobatę dla... recytatorów. Według scenariusza było tak: *Ostatni recytator przekrzykuje śmiechy i szmer dezaprobaty, jaki narasta wśród widzów. Rozlegają się gwizdy. Z poruszonej widowni wybiega młody człowiek, głośno krzycząc opanowuje sytuację.*

Dość tego rzępolenia na klawiszach niepotrzebnych słów! mój młody rodaku z długopisem w dłoni!

(W tym czasie dziewczyna w roboczym fartuchu trzymająca szczotkę do zamiatania podchodzi do mówiącego przysłuchując się).

Nie ujdiesz stąd...

*Polska rozlewisk wiosennych i fabrycznych dymów
bruzd ciebie dogoni!*

— Dogoniła tych, którzy traktowali nas jak przedmioty — mówi Zbigniew Łukaszewski. — W siedemdziesiątym szóstym stłumiono strajk. Zawieziono ludzi do Radomia na wiec. Każdy kto chciał czy nie chciał musiał potępić „radomskich warcholów”. Łamano ludzi, nawet tych silnych.

Polskę najpewniej budowali ci, co zaczęli od budowy własnego domu.

Mówią nam, że państwo dało nam to i tamto

a przecież jest inaczej — mówi Roman Nowakowski, lat 30, głaziarz, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905. — Wszystko co mamy zawdzięczamy tylko sobie. Po ślubie jestem 9 lat. Zaczęłam pracę po szkole zawodowej jako ślusarz. Dużo się nauczyłam. Żona pracowała tu, w Żyrardowie, jako szwaczka. Ona miała 3200, ja 2800. Uważałam, że powinienem zarabiać więcej niż żona. Przeniosłem się z modelarni na odlewnię do Ursusa. No i moje zarobki wzrosły. Praca była ciężka. Po pięciu latach, a był to już 13 rok mojego zatrudnienia, przeniosłem się do Żyrardowa. Mieszkam z żoną na wsi, u teściów. Dorobiłem z teściem piętro. Obecnie sytuację mieszkaniową mam rozwiązaną.

Kobiety z żyrardowskich fabryk na ogół mieszkają w fabrycznych domach (według scenariusza):

Dziewczyna w fartuchu: — Oto dom czynszowy z czerwonych cegieł...

— Żółtaczka panuje — mówi Hanna Skibińska, lat 29, opisywaczka kroju na Składni ZPL „Żyrardów” im. Rewolucji 1905. — Dzieci w szpitalach, w ruderach. Starzy umierają samotnie, bez najbliższych. Bo ci w robocie, albo w kolejkach. Mam starych w izbie to wiem.



Dawniej, przed Sierpniem, o życiu włókniarek — rolowaczek, szwaczek, opisywaczek — mówiły aktorki ubrane w fartuchy, fufajki, kombinezony. I wszystko było podobne do prawdy, podobne do prawdziwego życia, do prawdziwych włókniarek. Dziewczyna podobna do Skibińskiej (— Uchowała się nam panna — mówi Sidorek), czyli niby Skibińska, aktorka w biało-czerwonym kostiumie (ze scenariusza *BUDUJEMY...*), recytując wiersz Urszuli Kozioł przypadkiem wypowiada myśli prawdziwej Skibińskiej:

*Wyzłocona blaskiem zachodzących lat
nasza po trzykroć nie wygrana MŁODOŚĆ
ZE SWEGO CIERNIA WYZWOLIĆ CHCE
PROMIEN.*

I to jest NAPRAWDĘ, dziś.

(*Kultura*, 6 grudnia 1981)



Małgorzata NIEZABITOWSKA

MUSI BYĆ NADZIEJA

Szesnasty dzień strajku

*W naszym Żyrardowie głodni ludzie siedzą;
Mięsa, chleba nie ma, władze o tym wiedzą.*

*Chcą ludzie jedzenia i sprawiedliwości,
To się na nas za to nasza władza złości.
Przystali nam teleks! oj, nie bardzo śliczny.
Że nasz strajk to istny wybryk polityczny.*

Kobiety stoją w kacie, tyłem do pokoju, żeby nikt ich nie rozpraszał. Zawodzące śpiewanie przypomina godzinki w kościele, bo i melodia podobna i rozwlekłość. Ciągnie się ta piosenka przez wiele stronik kratkowanego papieru i dłuży jak strajk, który opisuję.

Czekano na kogokolwiek i nikt nie przyjechał, by z nimi rozmawiać. Wicepremier Mach już prawie był w drodze, ale dojechał kto inny, mniej ważny i bez kompetencji. Wreszcie, po dziesięciu dniach, przyjął delegację Rakowski w Warszawie. Częstował kawą, serdecznie mówił i obiecał, że... może ktoś przyjedzie. „Ktoś” nie zjawił się ani w sobotę, ani w niedzielę. W poniedziałek kolejna delegacja, tym razem wsparta przez Seweryna Jaworskiego z Huty Warszawa, odwiedziła w Sejmie panią Skibniewską. Wicemarszałek, członek „Solidarności” była im naprawdę życzliwa. Podjęła się przedstawić całą prawdę na wieczornym prezydium rządu, przyspieszyć przyjazd komisji. Wczoraj przyszła wiadomość, że wicepremier Obodowski wyznaczył pełnomocnika na Żyrardów. Ustalono, że o dziesiątej we wtorek przyjedzie on na rozmowy do Zakładu Tkanin Technicznych.

*Niech się nasza władza przyjechać nie lęka,
By się zakończyła naszych kobiet męka.*

Jest wtorek, godzina dziesiąta, siedziba Komitetu Strajkowego Żyrardowskiego Lnu, największego zakładu miasta. Kobiety ćwiczą zawzięcie, lecz nie pełnomocnikowi ma być śpiewane tylko Wałęsie. Spodziewają się go lada chwila; już wyjechał z Warszawy. Kiedy przyjeżdża przewodniczący, to już na pewno wszystko zbliża się ku końcowi. On ich wesprze, zmusi władzę, by spełniła postulaty. Jest wielka radość i wielka nadzieja, ale także trochę tremy.

Za oknem widać maszerujące środkiem ulicy robotnice. Czworkami, z boku straż. To tkalnia idzie do fabryki, gdzie ma się odbyć wiec z Wałęsą. Potem przechodzą inni, ze „Stelli”, z „Poldresu”. W Komitecie kończą przygotowania. Nagłośnienie? — jest. A w Resursie? — także. Dziewczyna w białoczerwonej opasce ściera kurze. Dzwoni dyrektor, że niestety może tylko kawę pożyczyć, bo cukru w całym biurze nie ma ani

łyżeczki. Przewodniczący Komitetu Strajkowego, młody mężczyzna z brodą, chodzi nerwowo wzdłuż pokoju, mówi coś cicho do siebie, jakby przerabiał lekcję przed egzaminem.

Jest! Jest! Gdzie te kwiaty? Już go witają przed domem i zaraz robi się ciasno, mimo że siedzibę „Solidarność” z „Lnu” ma naprawdę pańską. To dawny prywatny klub właścicieli. Tu, gdzie teraz przy długim stole usiadł Wałęsa, odbywały się orgie, zupełnie jak z filmowej „Ziemi obiecanej”. Flesze reporterów obnażają zniszczenia — łuszczące się ściany, odpadające stiuki. Tylko piękne weneckie okna mieszczą dużo ciekawych głów.

Nie mieliście wyjścia

Rozmowa jest krótka, ludzie czekają na zimnie, więc tylko żeby wprowadzić w sytuację: *Strajkujemy już szesnasty dzień. Zaczynają żartować, że kobiety chcą pobić krajowy rekord, a im nie w głowie rekordy. Są zmęczone, bardzo zmęczone, ale uparte i wytrwałe. Zresztą nie można inaczej. Tak żyć, jak żyliśmy już nie sposób. Rząd zarzucił nam, że to strajk polityczny. Takie stanowisko sprawę tylko rozjątrzyło, bo przecież to nie jest nawet strajk ekonomiczny. Tu chodzi o przetrwanie, o biologiczne minimum.*

Więc ten pierwszy, najważniejszy postulat — żeby Żyrardów był zaopatrywany tak, jak inne miasta i by nie było podziału na uprzywilejowanych i głodzonych. A drugi — 100 % zapłaty za strajk. Przecież to jest protest ludzi doprowadzonych do ostateczności, którzy po wielokrotnych, nic nie przynoszących negocjacjach, nie mieli już żadnej innej broni.

Jeszcze parę słów o przebiegu strajku. Długo czuli się zupełnie samotni i izolowani. Takie ignorowanie to była, oczywiście, celowa polityka władz. Chciano zmęczyć, zniechęcić, pokazać im, że są niczym. Ale, niestety, także własny Region nie udzielił im wsparcia. Mają o to pretensję. Dopiero ostatnio „Mazowsze” zainteresowało się, no i wtedy od razu coś ruszyło.

Wałęsa słucha skupiony i spokojny. Widzi naokoło twarze przejęte, spojrzenia pytające. Czuje to wielkie oczekiwanie, a zarazem pewną nieśmiałość i drażliwość ludzi z prowincjonalnego miasta, którzy mają teraz swoją chwilę w historii. Przede wszystkim ucina wątpliwości. Komisja Krajowa apelowała o zaniechanie wszystkich strajków, a one są i wybuchają w coraz nowych miejscach. *Jesteśmy z tego niezadowoleni, ale wy postąpiliście słusznie. Nie mieliście wyjścia. Tu chodzi o żywność. I zaraz*

proponuje, żeby iść do robotników, bo po co dwa razy to samo mówić.

Czekają na niego na dziedzińcu zakładów lnianych. Tłum wtłoczony między dziewiętnastowieczne mury fabryki. Przeważają kobiety. Wielkie brawa i okrzyki. Już wszedł na trybunę, przeprosza za to, że się spóźnił, że się tak późno włączył, ale spraw teraz więcej niż włosów na głowie. Mówi o ciężkiej sytuacji w kraju. Zniknęło wszystko, nawet guziki i naprawdę czas już najwyższy sprawdzić po kolei, gdzie się to wszystko podziewa. Czy to UFO nam zabiera? Potem proponuje, to co zawsze — pytania i odpowiedzi.

Pytań jest dużo.

Dostęp do telewizji? *Załatwiliśmy prasę, będziemy też mieli własną telewizję. O, tu widzicie — pokazuje w bok — są nasze kamery.*

Jak widzi sytuację po powrocie z Francji? *Jest ciężko. Na teraz najważniejsze sprawy to: żywność, węgiel i lekarstwa. Musimy przetrwać zimę. Najbliższe miesiące będą decydujące.*

Interwencja? *Pokonanie nas nie jest logiczne — i jeśli będą musieli dać i pożyczki płacić. A w ogóle jest to walka psychologiczna. Przyjmujemy wszystko ze spokojem, rozważą i uśmiechem, a wtedy na pewno wygramy. Nie dajmy się zdenerwować.*

Czy „Solidarność” bezczęści pomniki? [— — —] [Dziennik Ustaw nr 20, poz. 99, art. 2, pkt. 3]. *Żołnierz, który padł na tej ziemi, może miał żonę i dzieci — osierocił je...*

Czy rzeczywiście ludzie występują ze Związku? *Nieliczni. Kazali im wstąpić, teraz każą wystąpić. Także ludzie mniej odporni, którzy nie rozumieją, że jeśli się poddamy, to nasze dzieci się nie podniosą.*

Ocena współpracy z Bujakiem? *Osobiście nie mam zastrzeżeń. Z tego chłopaka będzie działacz dużej klasy. Wiem, że macie pretensję o to, że się nie od razu zajął, ale my mamy bardzo dużo problemów, także w regionach, w KK. Nas szarpia.*

Nowe wybory do Sejmu i rad narodowych? *Nie pchajmy się do władzy. Sami dopiero uczymy się demokracji. Ktokolwiek będzie wybrany, on już nie jest nasz. Możemy go szanować, lubić, ale taki człowiek musi patrzeć szerzej. My powinniśmy go pilnować. I nas samych także.*

Co z Gierkiem i Jaroszewiczem? *Problem nie jest w kradzieżach, bo tego, co nakradli i tak już nie odzyskamy, tylko w tym, ile zmarnowano, zrobiono nie tak, zniszczono, zdewastowano. Nonsens gonit nonsens. I dlatego trzeba dziś ustawić wszystko w ten sposób, żeby więcej do tego nie doszło. Żeby*

inni cwaniacy od początku tego nie zaczęli. Trzeba się zabezpieczyć strukturalnie.

U nas branżowcy strajkują razem. Jak jest na wyższym szczeblu? *Jest źle, bo chodzi o podział majątku po CRZZ. Ale przecież musimy kiedyś zacząć współpracować, byle na uczciwych zasadach. Myślę, że będziemy się przechytrzać w dobrym działaniu.*

Jest propozycja, żeby jutro razem z ogólnopolskim strajkiem ostrzegawczym zakończyć i nasz?... Wałęsa żyłyma się na to nieaktacyjne pytanie. Przecież nie możemy odsłaniać naszych kart. *Ten, który tu do was jedzie na rozmowy jeszcze by się cofnął z drogi. A poza tym za dużo was to kosztowało. Nie możecie przestać, dopóki nie wywalczycie tego, co chcecie. Czy nie tak?* Potwierdzenie jest powszechne i gromkie.

Seweryn Jaworski prosi Wałęsę, aby udał się razem z delegacją na rozmowy z pełnomocnikiem rządu. To na pewno przyspieszy wszystko. Wśród aplauzu Wałęsa zgadza się. *Zaraz nawiążemy kontakty. Biorę pod opiekę zakład, i będę z wami aż do końca. Nie fizycznie, bo dziś po południu muszę odjechać, choć szkoda — tyle tu dziewczyn, ale będę pilnował.*

Znowu brawa, hymn i „Sto lat”. Ludzie się uśmiechają, Wałęsa szybko zbiega z podium. W programie jeszcze spotkanie w Resursie i rozmowy z pełnomocnikiem. W Komitecie okazuje się jednak, że pełnomocnik nie dojechał. W tej chwili jest w Skierniewicach, u wojewody. Przysłał teleks, że już zaraz wyjeżdża i będzie czekał na delegację w Urzędzie Miasta. Zdziwienie jest ogólne. Poprzednio ustalono przecież, że rozmowy mają się odbyć w Tkaninach Technicznych. Ktoś się zaperza. Inny, przytomny, przypomina, że to stara, dobra metoda. *Nie dajmy się wpuścić w kanał!*

W sąsiednim pokoju Wałęsa na tym samym honorowym miejscu. Ale ludzie wokół jakby bliżej, normalniej. Żartują, śmieją się. Młody mężczyzna prosi o autograf. Po chwili każdy podsuwa to co ma. Wałęsa podpisuje cierpliwie i naraz rzuca hasło: *Do Resursy.*

Na wszystko odpowiem

Na sali działacze, członkowie Komisji Zakładowych. Ma to być spotkanie robocze, więc Wałęsa proponuje, by mówili, czego chcą się dowiedzieć. *My nie wierzymy rządowi, partii, ale także sobie nawzajem. Jeśli mamy uczciwie iść dalej razem, to musimy*

wyjaśnić sobie wiele spraw i nieporozumień. Pytajcie, a ja na wszystkie pytania odpowiem.

Znów ludzie podchodzą do mikrofonu, by porozmawiać z przewodniczącym. Niektóre pytania powtarzają się z tymi, zadanymi na wiecu. Wałęsa tłumaczy cierpliwie, co chwila zapala się, rozwija jakiś temat. Wszystko to obserwują z góry tłuste amorki i złoto-niebieskie nimfy, z boku zaś monstrualnych rozmiarów Lenin. Resursa wybudowana została ku rozrywce robotników w dziewiętnastym wieku przez właściciela. Ozdobiono ją hojnie według ówczesnej mody w stiuki, plafony i freski. Wszystko to jakoś przetrwało wojny i rewolucję razem z całą resztą filantropijnej działalności: mieszkalnymi blokami, ochronką, żłobkiem i kościołami.

Po dziś dzień te czerwone, ceglaste budynki tworzą jedyny, może niezbyt piękny, ale solidny i logiczny architektoniczny układ w mieście. Reszta to przypadkowe, obskurne domy o łuszczących się tynkach, a także — w samym centrum — baraki drewniane, krzywe i rozpadające się.

Panie przewodniczący, czy uzasadnione są plotki dotyczące walki o stołki w naszym Regionie? *Niemożliwe jest społeczeństwo, gdzie nie byłoby podstawionych ludzi. Oni mącą. Poza tym grają ambicjy. Ale wydaje mi się, że po tej zmianie Prezydium w „Mazowszu” będzie w porządku. Powinno być tak, że przewodniczący pracuje z ludźmi, którzy mu odpowiadają. Bo przecież dajecie mi program do wykonania, ale dajecie też konie, z których każdy ciągnie w swoim kierunku. Więc jak ja mam ten program realizować? Dopiero kiedy jest zgrana grupa, możecie i powinniście nas rozliczać.*

Pełnomocnik przybył! Tę wiadomość przynosi Grzegorz Popielczyk, przewodniczący MKS. *Ale — dodaje od razu — wice-premier Obodowski zakazał mu rozmów w zakładzie. Sam pełnomocnik uważa, że to śmieszne, niemniej musi słuchać. Co robić? Po krótkiej dyskusji postanawiają zaprosić pełnomocnika na grunt neutralny, do Resursy właśnie. Dwie robotnice z „Lnu” i Popielczyk idą do Urzędu Miasta, żeby zaproszenie przekazać.*

Która z wizyt zagranicznych była najbardziej korzystna dla Związku, a która najprzyjemniejsza dla pana osobiście? *Przyjemna nie była żadna. Taka wizyta to jest potworna harówka. Nieraz i dziesięć spotkań dziennie z różnymi ludźmi, często o odmiennych przekonaniach. Oni są życzliwi, ale trzeba bardzo uważać, żeby nikogo nie urazić, a jednocześnie pozostać sobą i załatwić, co trzeba. Myślę, że ci z Zachodu mogą nam wiele*

dać. Ale i my im. Bo oni wszystko mają, tylko czy są szczęśliwi? Chyba nie. Żyje im się dobrze w sensie fizycznym, lecz nie mają tej wyższej konieczności. I to też jest bardzo ważne dla nas, żebyśmy nie ztratili tej celowości wewnętrznej.

Jak pan widzi rolę Kościoła? Chciałbym, żeby Kościół, tak jak dotąd, był ostoją narodu. I dlatego On nie może iść za blisko z nami. Choć czasami bardzo mi to jest potrzebne. Musimy oszczędzać Kościół. On jest ponad wszystko. Jeśli byśmy przegrali, tylko Kościół pozostanie naszym dzieciom.

Znowu pytanie i znowu odpowiedź, a tymczasem w Urzędzie Wojewódzkim trwają przepychanki z pełnomocnikiem. Przecina je telefon do Warszawy. Wicepremier Obodowski chce mieć skonkretyzowane postulaty. Zapozna się z nimi, skonsultuje z kim trzeba i one staną się podstawą właściwych negocjacji. Na sali szmer. Więc znowu nic, nadal przeciągają. Wałęsa rozkładuje: *Pojadę do Warszawy, zobaczę wszystko, a teraz możemy sobie przynajmniej dalej spokojnie rozmawiać.*

Panie przewodniczący, co zrobi rząd, jeśli...

Boimy się cały czas

Idę przez pustą fabrykę. Martwa hala z wielkimi krosnami, ogromne zwoje nici nieruchomo leżą na podłodze, jasno od wiecznie palących się jarzeniówek. W ciszy słysząc wyraźnie głosy dobiegające z boku. *Święta Mario, Matko Boża módl się za nami, grzesznymi...* Codzienny różaniec skupił wszystkie robotnice. W świetlicy spóźnialskie właśnie ubierają się, by dołączyć do modlących. Proszę, by się chwilę zatrzymały.

Jak się podobał Wałęsa? Wszystkim bardzo się podobał. Przestały się czuć same.

Halina Dłużniak: *Normalny człowiek, jak każdy inny tyle że wesoty.*

Józefa Nyc: *Gdyby się załamywał duchowo, to by dawno zginął, a my z nim.*

Czy strajk był potrzebny?

Krystyna Ambroziak: *To jest ostateczność, ale inaczej się nie da załatwić, tylko tak.*

I naraz zaczynają mówić jedna przez drugą, gwałtownie, z rozpaczą. Życie, które opisują, prawie się opisowi nie poddaje. Słowem, osiem godzin nieustannego biegania między krosnami, z uwagą napiętą do maksimum, mimo huk, który otepia

i pyłu, co dusi. A potem piekło kolejek, beznadziejność zaniedbanego domu i opuszczonych, często głodnych dzieci.

Dłużniak: *Tuż przed strajkiem wyszłam z drugiej zmiany, stałam przed mięsnym całą noc i na drugi dzień do pierwszej. Nic nie przywieźli, a ja musiałam iść do pracy.*

Maria Ryba: *Dzieciak sześćioletni przychodzi do domu i siedzi jak psiak zamknięty, dopóki z pracy nie wrócę, a jak pójdę do kolejki to i do wieczora. Bez obiadu.*

Nyc: *Od lipca nie spotkałam ani kawałka wieprzowiny. Ostatnio już w ogóle żadnego mięsa.*

Co panie gotują?

Ambroziak: *Szczaw na mleku rozrobię, żeby był gęściejszy wrzucam bułkę i do tego kartofle.*

Ryba: *Makaron, ser biały trochę okraszę i jem.*

Dłużniak: *Czerwony barszcz nie okraszony i ziemniaki...*

Nyc: *Za pierwszy gatunek wzięłam kurczaki i smażę dziecku, mimo że to podobno niezdrowe. Sama jem chleb z cebulą. Z udek kurzych robię dziecku kanapki do szkoły, bo jest po żółtaczce i musi się dobrze odżywiać.*

Czy nie boicie się strajkować?

Ryba: *My się w czasie strajku cały czas boimy. Siedzimy tu, jedna powie to, druga tamto. Nerwy straszne.*

Kiedy było najtrudniej?

Nyc: *Jak te transporterzy przejeżdżały. Jechały bardzo wolno, aż się ziemia trzęsa!*

Długo?

Dłużniak: *Cały dzień. A nam skóra cierpła.*

Ambroziak: *Wszystkie mamy dzieci...*

Co tu robicie cały czas?

Ryba: *Rozmawiamy, płaczemy. Któraś coś opowie i już tzy się w oczach zaroją.*

Nyc: *Nie każda lubi płakać, ale jak tu się tak wspólnie całymi dniami siedzi, o tym wszystkim mówi, to jakoś się tak dzieje, że jedna zaczyna, a potem już wszystkie.*

Wierzycie, że coś się zmieni?

Dłużniak: *Oczywiście! Musi być nadzieja.*

Kobiety zamilkły. Chwilę trwa cisza, a potem jedna z nich cicho, jakby sama dla siebie zaczyna nucić:

„Zwycięży 'Solidarność',
Zwycięży Związek nasz.
A klasa robotnicza
Zrzuci niewoli płaszczy.

*Jak długo w naszym kraju
Będą na strach nas brać,
Tak długo ludzie pracy
Z uporem będą stać.*

(Tygodnik Solidarność, 6 listopada 1981)

Piotr RACHTAN

POSIEDZENIE KOMISJI KRAJOWEJ 3-4 LISTOPADA

Komisja Krajowa zebrała się w sytuacji bardzo napiętej. Strajki w Tarnobrzescu, Zielonogórskim, w Żyrardowie, w Radomiu, prowokacja w Sosnowcu, niezwykle ostre ataki ze strony propagandy, ale i na forum Sejmu, groźby wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Wydawało się, że może to tylko skłonić najwyższe przedstawicielstwo Związku do usztywnienia stanowiska wobec władz. KK musiała wypowiedzieć się w wielu sprawach, zarówno ocenić pewne gesty władz jak i odnieść się do groźby niekontrolowanych strajków.

W kuluarach ratusza staromiejskiego mówiło się też o możliwym spotkaniu Wałęsy z Jaruzelskim.

Posiedzenie rozpoczyna się informacją BIPS o sytuacji strajkowej, po czym głos zabiera współprzewodniczący zebrania W. Sikora. Mówi, że Prezydium KK nie ma wypracowanego stanowiska w sprawie dyscypliny związkowej. Trzeba je opracować tu na tej sali. Związek nie może w obecnej sytuacji prowadzić normalnej działalności, a mnożące się strajki służą tylko propagandzie rządowej.

Przedstawiciele regionów, gdzie trwają strajki, informują KK o przyczynach strajków i żądaniach strajkujących. Stanisław Szymkowiak (Region Zielona Góra) mówi, że apel Prezydium

KK do członków Związku „jest na miejscu i powinien być przestrzegany”, jednak strajk w regionie zaczął się przed wydaniem tego apelu. Jadwiga Kundecka (przedstawicielka MKS Żyrardów) mówi, że główne żądanie kobiet — poprawa zaopatrzenia — w pewnym stopniu już zaspokojono. Władze jednak uznają ten strajk za polityczny i nie chcą wypłacić należnego wynagrodzenia za czas strajku. Zbigniew Kokoł (Częstochowa) domaga się, by tu, na tej sali, zakończyć wszystkie strajki. Żąda także, by zwrócić się do generała Jaruzelskiego o przyjazd na posiedzenie KK „niech pan premier wysłucha sobie i tych kobiet z Żyrardowa i kolegów z Zielonej Góry”.

Po raz pierwszy na sali pada propozycja wystąpienia o przybycie gen. Jaruzelskiego. Będzie jeszcze kilkakrotnie powracać.

A. Sobieraj (Radom) relacjonuje sytuację w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Mówi, że to ostatnia już w kraju uczelnia, gdzie „Siwak może skończyć studia”.

O sytuacji wśród szczecińskich budowlanych mówi M. Jurczyk. Twierdzi, że zrobił wszystko, by odłożyć ich strajk. Popiera projekt zaproszenia W. Jaruzelskiego.

Przedstawiciel „Ziemi Sandomierskiej”, mówiąc o przyczynach strajku w swoim regionie, stwierdza, że pokrycie na kartki mięsne wynosiło tam od 14 do 25 %, że szerzyła się korupcja, a władze pozostawały biernie. Strajk musiał wybuchnąć.

O sytuacji w kopalni „Sosnowiec” poinformował L. Waliszewski, zaś w Hucie „Ostrowiec” — A. Dudek, który stwierdził że prezydium KK powinno poczekać ze swym apelem do posiedzenia całej komisji. „Nie wolno opuścić nam tej sali bez rozwiązania wszystkich problemów, ale nie uchwałami, uchwał już nikt nie czyta!”. Na koniec A. Dudek wniósł wniosek formalny o zwrócenie się do premiera, by przybył do Gdańska. Wiceprzewodniczący KK Stanisław Wądołowski sprzeciwia się wnioskowi, twierdzi, że należy poczekać na powrót Lecha Wałęsy ze spotkania z Prymasem. Popiera go Janusz Onyszkiewicz, który przekonywał, że W. Jaruzelski po pierwsze nie przyjedzie, a po drugie gdyby nawet tu przybył, „to najwyżej pogadamy z nim sobie. Żadnych decyzji tu nie podejmie”. W czasie głosowania na sali czuje się napięcie. Dziennikarze wstają z miejsc, żeby lepiej widzieć, kto jak głosuje. Za wnioskiem A. Dudka (wystąpić o przybycie premiera) opowiedziało się 29 członków KK. Za wnioskiem Wądołowskiego (czekać na L. Wałęsę) głosowały 32 osoby.

Dyskusja rozwija się dalej, koncentrując się wokół kilku wątków. Jeden z nich to funkcjonowanie władz Związku oskarżo-

nych o brak autorytetu (A. Pietkiewicz), o nierealizowanie uchwał, nieprzestrzeganie przyjętych terminów, „brak zdolności do generalnego rozstrzygania spraw” (E. Szumiejsko). Władz Związku bronił w swoim wystąpieniu St. Wądołowski.

Drugim wątkiem był ostatni, jednogodzinny strajk ostrzegawczy. Według Zd. Rozwałaka (Wielkopolska) odebrano ten strajk jako źle przygotowany — „dosyć takich niby strajków!”. Inni mówcy natomiast stwierdzali, że podjęcie strajku i jego sukces świadczy o wielkim autorytecie KK.

Trzecim wreszcie wątkiem była zmiana stylu działania Krajowej Komisji wobec konfliktów. Postulowano powołanie grup roboczych, które udać się do regionów ogarniętych strajkami i będą prowadzić negocjacje z odpowiednimi władzami. M. Krupiński przestrzegł przed utratą wiarygodności przez Związek, o ile nie podejmie on „scentralizowanych negocjacji w sprawie konfliktów lokalnych”.

Około godz. 13-tej na sali pojawił się Lech Wałęsa, który przyjechał po odbyciu rozmów z Prymasem.

Ogólna ocena sytuacji Związku była raczej negatywna: „Związek cofa się od marca” (St. Jałowiecki). „Władze wykończają chaos i brak autorytetu KK” (A. Pietkiewicz). „Władze działają na zmęczenie członków Związku” (J. Onyszkiewicz). Najobszerniej o sytuacji Związku wypowiadał się ponownie St. Jałowiecki, który zaproponował trzy możliwe wyjścia: strajk czynny, na który jest już troszeczkę za późno, wariant zgody na istniejący system pod warunkiem nierozbudzania nowych aspiracji i wreszcie wariant rekonstrukcji i umocnienia Związku.

Dyskusje przed przerwą zakończył Jerzy Kropiwnicki (Łódź) mówiąc, że „ugoda społeczna nie może dokonać się na trupie Solidarności”.

Po przerwie nastroje społeczne i stosunek do ostatnich strajków w świetle badań OBS Mazowsze przedstawił Ludwik Dorn. 76 % badanych winą za konflikty obciąża głównie władze, 13 % uważa wszystkie dotychczasowe strajki za konieczne. 1/3 respondentów sądzi, że większość lub nawet wszystkie strajki wcale nie były konieczne, ale inicjatywę ostatniego plenum KC o zawieszeniu prawa do strajku tylko 26 % badanych uważa za słuszną. Całość badań według L. Dorna potwierdza większość prezentowanych na tym posiedzeniu opinii.

Teraz na forum Komisji Krajowej stanęła sprawa budownictwa. Rząd pod pretekstem ograniczania inwestycji likwiduje budownictwo mieszkaniowe. Fabryki domów pracowały dawniej na 3 zmiany, teraz na jednej nie mają co robić. Grożą zwol-

nienia. Sekcja budownictwa żąda od KK zgody na strajk, zaznaczając, że podporządkuje się każdej decyzji.

Następny punkt porządku dziennego to Społeczna Rada Gospodarki Narodowej. G. Palka informuje, że rząd zaproponował podjęcie na ten temat rozmów z komisją pod kierownictwem J. Bafii. J. Waszkiewicz mówi, że należy zwrócić się do Prezydium PAN i do Komitetu Koordynacyjnego Związków i Stowarzyszeń Naukowych i Twórczych o pomoc w wytypowaniu członków SRGN. A. Stawikowski (Toruń) dodał, że kolegium rektorów uczelni też by mogło uczestniczyć w typowaniu członków Rady. Te propozycje zaatakował bardzo ostro Andrzej Gwiazda, twierdząc, że SRGN nie może być żadnym kompromisem, a do profesorów z PAN trudno mieć zaufanie. Przeciwwstawił mu się A. Słowik, który powiedział, że współpracować należy właśnie z Polską Akademią Nauk, a powołanie SRGN to będzie „największy cios w nomenklaturę”.

Jeden z ostatnich poruszanych tego dnia problemów to znów trwające strajki.

Burzę wywołuje informacja, że minister pracy już podjął decyzję o wypłacie żyrardowskim kobietom 100 % poborów, przy czym o zwrot 50 % od Związku ma wystąpić później do sądu. Okazuje się, że większość członków prezydium, w tym i L. Wałęsa już o tym wiedzą. Wszelka dyskusja traci więc sens, jak również głosowanie nad propozycją Zb. Bujaka o strajku w zakładach zbrojeniowych Regionu Mazowsze (43 głosy za, przeciw 29). Bujaka atakuje P. Kosmowski (Podbeskidzie), który wskazuje na konsekwencje międzynarodowe takiego strajku. Przeciwno wnioskowi protestują też żyrardowianki, które nie chcą takiej odpowiedzi: „bądźcie mężczyznami, chłopcy!” — wołają. Bujak wycofuje się i mówi, że tak ważny wniosek musi mieć absolutną większość. 43 głosy to za mało, a więc wniosek jest nieważny. Słowik i Kropiwnicki domagają się „potępienia żartu Bujaka”, po krótkiej wymianie zdań przewodniczący obrad zgłasza wniosek o unieważnienie poprzedniego głosowania. Wniosek przechodzi (43 głosy za, 11 — przeciw).

Słowik: „Czy można teraz 43 głosy uznać za liczbę wystarczającą?”.

O strajkach mówi jeszcze Lech Wałęsa: „Ta rozróbka idzie w poważną walkę, więc strajkujmy nie o pieniądze, a o poważne sprawy (...). Odejdzie od tej koncepcji!”.

Drugi dzień obrad otwiera St. Wądołowski, który długo mówi o strukturze prezydium, działaniach i trudnościach, głównie mieszkaniowych. Ktoś w końcu mu przerywa.

Pojawia się znów sprawa M. Jurczyka. Podejmuje ją St. Kocjan (Pomorze Zachodnie) pytając rzecznika prasowego KK Marka Brunné, co miał na myśli wypowiadając się w radio na ten temat. Marian Jurczyk wstaje i mówi, że „obronca zabronił mi mówić cokolwiek. Jedno mogę powiedzieć, że nigdy nie powiedziałem, żeby wieszać komunistów. Zaś prawo musi być jedno dla wszystkich, dla robotnika i dla tego, co ma trójwładzę”. Przewodniczący obrad odczytuje pismo, które do prezydium wpłynęło od sekretarza redakcji *Tygodnika Solidarność*, Krzysztofa Wyszowskiego: „... M. Jurczyk stwierdził, że 3/4 władz polskich stanowią Żydzi, którzy są nieprzyjaciółmi naszego państwa. Chciałbym zwrócić uwagę Komisji na fakt, że ta publiczna rasistowska wypowiedź wysokiego i popularnego funkcjonariusza obciąża cały Związek (...). Jest to poważny cios w dobre imię Związku...”. Odpowiedzi M. Jurczyk udzieli znacznie później, po południu. Powie tak: „Nie będę uchylał się od żadnej odpowiedzialności. Wszystkie narody szanują niezależnie nawet od koloru skóry. Powiedziałem, że tam jest 3/4 Żydów, ale nie powiedziałem, że Żydzi są winni. Teraz nie mogę powiedzieć nic więcej”. Sprawę Jurczyka zamknął A. Słowik, wnioskując, by na tej wypowiedzi już skończyć.

Natychmiast po odczytaniu listu K. Wyszowskiego przewodniczący poinformował KK, że Lech Wałęsa za godzinę wyjeżdża do Warszawy na spotkanie z premierem Jaruzelskim. Oświadczenie to działa jak bomba.

A. Słowik: „Lechu, zaskakujesz nas, nie wiemy, co potem ludziom powiedzieć w regionach”.

L. Wałęsa: „Żadnych decyzji bez demokratycznego ustalenia nie podejmę”.

J. Rulewski: „Jedzie się z prezentem do pana premiera — Żyrardów, Tarnobrzeg, a może i Zielona Góra. Z punktu widzenia taktyki twoja pozycja byłaby mocniejsza, gdyby strajki trwały”.

L. Wałęsa: „Nie jestem kupcem, a przewodniczącym Związku. I o nic nie będę prosił na kolanach”.

J. Rulewski: „KK co najmniej powinna znać program tematyczny rozmów. Najlepiej, żeby to był program Zjazdu. Ale ty go już zanegowałeś. Ty masz jakiś własny program. Co ty chcesz tam wygrać? Stawiam wniosek, by KK określiła zakres rozmów”.

Padają następne wnioski: by Wałęsa nie jechał w ogóle, by jechał, ale z delegacją, by wcale nie rozmawiał z generałem.

J. Łużny: „U mnie na zakładzie to dyrektor do Związku przychodzi. Niech Jaruzelski do nas przyjedzie”.

L. Wałęsa: „Zróbmy wniosek: KK nie chce rozmów z Prymasem i Jaruzelskim. Podpisz się na tym wniosku i jedź z nim do swojego zakładu”.

Z. Rolicz: „Bardzo szanuję Wałęsę, ale czas, żebyśmy zaczęli myśleć o sprawach osobowych”.

L. Wałęsa: „Zróbmy Zjazd i wybierzmy nowego przewodniczącego!”

St. Wądołowski: „Chciałbym kolegom przypomnieć, że Lechu ma po prostu przygotować płaszczyznę rozmów”.

M. Krupiński: „To nie jest spotkanie, na którym załatwi się wszystkie sprawy”.

Frasyniuk: „Wnoszę o zakończenie tej bezprzedmiotowej dyskusji”.

Po wyjeździe Wałęsy napięcie jakby opadło. Sala nieco pustoszeje, teraz członkowie KK zaczynają załatwiać głównie w kularach, swoje sprawy. Na sali zaś omawia się projekty kolejnych uchwał.

Po przerwie dyskusję otwierają eksperci. Andrzej Wielowieyski przedstawia opracowanie na temat sytuacji rynkowej w III kwartale, a Stefan Kurowski pobieżnie omawia warianty podwyżek cen. Teraz temperatura sali znów rośnie. Obiektem ataków tym razem są eksperci: „Słuchając ekspertów sądziłem, że jestem na zebraniu partyjnym” (Szelwicky), „Zrobili odpis z rocznika statystycznego, co uczeń w szkole może zrobić” (Nowara). „Podstawa rachunków jest niepewna” (Gwiazda). W obronie ekspertów występują Palka i Kropiwnicki.

Wieczorem salę elektryzuje informacja A. Tokarczuka, który telefonicznie rozmawiał z Wałęsą. Członkowie KK w milczeniu wysłuchują krótkiego sprawozdania ze spotkania z Prymasem i premierem.

Posiedzenie dobiega końca. Trzeba jeszcze wybrać trzy osoby do prezydium. Skarbnikiem zostaje Alicja Matuszewska (53 głosy), vacat po Januszu Onyszkiewiczzie obejmuje Eugeniusz Szumiejko (51 głosów), zaś Ryszard Bogacz (58 głosów) zajmie się problemami zatrudnienia i płac.

Następne posiedzenie Komisji Krajowej wyznaczono na 1-2 grudnia br.

(Tygodnik Solidarność, 13 listopada 1981)

T Ł U M ?

Kalisz, strajkowa środa, 28 października. „Metalplast” jest firmą średniej wielkości, 600 zatrudnionych, branża budowlana, konkretnie wyroby z tworzyw sztucznych dla budownictwa. „Solidarność” w normie: 90 % załogi; ani agresywna, ani potulna. Dyrektorzy mówią, że umiarkowana; w regionie, że trochę zbyt spokojna.

Andrzej Blesmanowicz — przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność”: *„Przytączamy się do strajku, skonsultowaliśmy to z załogą. Kto nie chce, nie strajkuje. Były pewne wątpliwości, czy da nam to mydło, mięso. Przeważało przekonanie, że trzeba pokazać iż związek istnieje i należy się z nim liczyć”*.

Do 12-tej jest jeszcze kilka godzin, a właśnie o 12-tej, na wiecu, można najlepiej się dowiedzieć, co myślą ludzie. Zostawmy więc ten temat — proponuje Blesmanowicz — i chodźmy na zebranie w sprawie samorządu. Samorząd powstał przed trzema miesiącami z inicjatywy „Solidarności”. *„Mamy z nim kłopoty — mówi Blesmanowicz — chociaż przewodniczący jest członkiem naszego związku. Nie mogą wystartować, czekają na dyspozycje. Niby istnieją, ale ciągle my musimy działać za nich. Dyrektor zaś przestaje się z nami liczyć twierdząc, że ma już samorząd”*. Dlatego „Solidarność” zaproponowała związkowi branżowemu i partii spotkanie w celu „obudzenia samorządu”. Tak to jakoś wypadło na środę, przed strajkiem.

Zebranie otwiera szef „Solidarności”, mimo że Blesmanowicz jest chyba najmłodszy na sali:

— *Czekają nas trzy „s”, powinniśmy się docierać, a samorząd nie protestuje, gdy dyrektorzy podejmują decyzje bez konsultacji. Zaczęły się przesunięcia ludzi, powstają jakieś projekty nowej struktury zatrudnienia. Jest więc pytanie do Rady Pracowniczej, co robi w sprawach kadrowych.*

— *Mamy projekt przesunąć...* — odpowiada Jerzy Raczkowski, przewodniczący Rady Pracowniczej.

— *Kto go opracował?* — pyta sala.

— *Dyrekcja. Związki ten projekt chyba też otrzymały...*

— *Otrzymaliśmy, ale chodzi o to, że nie od was* — mówi podenerwowany Blesmanowicz.

— *Od tego są komórki funkcjonalne, samorząd nie będzie ich zastępował...*

— *Ale pewne rzeczy musicie robić sami, np. zmniejszyć zatrudnienie w administracji...*

Raczkowski wyciąga regulamin samorządu i odczytuje punkt o tym, że samorząd „opiniuje i zatwierdza” plany, decyzje itd. Zebrani protestują. „*Samorząd ma być gospodarzem — krzyczą ludzie — tak jak jest nie może być. Jak my wejdziemy w reformę?*”. Raczkowski ripostuje, że istnieje komisja do spraw reformy gospodarczej która przygotowuje raport o stanie przedsiębiorstwa i plan wprowadzenia reformy. Zebranych nie zadowala ta informacja: „*Samorząd musi tu mieć głos decydujący, komisja da ogólne ustalenia, ale z konkretnymi nie można się na nią oglądać*”. Raczkowski poddaje się: „*Jest nas w prezydium siedem osób, pracujemy społecznie, a zrobić reformę społecznie jest bardzo trudno*”.

— *Rozmawialiśmy z dyrektorem — wyjaśnia Blesmanowicz — będzie etat dla przewodniczącego rady.*

Ja z zawodu nie zrezygnuję — zastrzega Raczkowski — na etat może pójść któryś z członków prezydium.

Żaden z członków prezydium nie chce. Ktoś podrzuca pomysł: niech samorząd zobowiąże Raczkowskiego, aby przeszedł na etat.

— *Jak mnie do tego zmusicie, to podam się do dymisji — protestuje przewodniczący rady. Wśród zamieszania o głos prosi I sekretarz organizacji partyjnej, Marian Mikołajczyk:*

— *Nie dyskutujemy chaotycznie o szczegółach. Regulamin samorządu musi zostać zatwierdzony przez zebranie ogólne załogi. Taki dokument pomoże zorganizować pracę rady. Widać też wyraźnie, że potrzebne jest szkolenie działaczy: gdy w 1956 roku powołaliśmy w naszym przedsiębiorstwie radę robotniczą, to szkolenie było od zaraz. Tu nie powinno być przepychanki, ponieważ i dyrektor, i samorząd są statutowymi organami przedsiębiorstwa.*

Sala zgadza się, ale upiera przy sprawach bieżących:

— *Dział socjalny nie dba o pracowników.*

— *Co się dzieje z funduszem socjalnym, przecież to my go wytworzyliśmy.*

— *Co z etatami w kasie, bibliotece, bufecie, przyjmują tam ludzi, i w nowy rok wejdziemy z przekroczeniem funduszem płac.*

Są też sprawy gospodarcze — czy musi być tyle środków transportu? Zaczynają się rozmowy o zbiornikach kupionych za miliony i stojących bezużytecznie, o bzdurnych wnioskach racjo-

nalizatorskich, które przyniosły pożytek tylko wnioskodawcom. Stanisław Łomikowski, wiceprzewodniczący „Solidarności” protestuje: *„Nie wracajmy do starych spraw, myślimy, jak iść do przodu”*. Sala zgadza się, trzeba podjąć decyzję.

— *Czy mamy prawo?* — zastanawia się ktoś głośno. — *A kto? Partia — nie, „Solidarność” — nie, samorząd — nie, to kto ma prawo...*

— *Dyrekcja* — podpowiada ktoś z boku, sala wybucha śmiechem.

Powstaje w końcu uchwała o tym, co samorząd musi zrobić od zaraz. Od zaraz samorząd musi m.in. zobowiązać dyrekcję do konsultowania podejmowanych przez nią decyzji personalnych. Koniec zebrania, proszę o głos:

— *Czy samorząd ustosunkował się do dzisiejszego strajku?*

— *Nie wypowiadaliśmy się* — odpowiada po chwili milczenia Raczkowski — *byliśmy tylko na zebraniu aktywu, gdzie odczytano apel egzekutywy.*

— *Jest przecież konflikt interesów między samorządem i związkiem?*

— *Miejmy nadzieję, że do tych konfliktów nie będzie już dochodzić.*

— *Samorząd powinien mieć mniej nadziei, a więcej racji...*

— *Takie konflikty mogą być bardzo często* — włącza się do rozmowy Blesmanowicz — *samorząd reprezentuje załogę, jako całość, a my interesy pracowników, jako jednostek. W razie różnicy zdań będziemy siadać do stołu. Tylko, żeby samorząd był wreszcie dla nas partnerem.*

Apel egzekutywy, o którym wspomniał Raczkowski, napisał osobiście sekretarz Mikołajczyk. Apel jest godny i spokojny. Strajk będzie *„kolejnym pasmem ludzkich rozterek i dramatów”* — napisał sekretarz. POP i aktyw gospodarczy uważają, że krajowi potrzebne jest porozumienie sił kierujących się szczerymi intencjami, na gruncie Konstytucji PRL, oraz rzetelna praca wszystkich Polaków. Do wyjścia z kryzysu potrzebna jest *„jednolita, dobrze zorganizowana i konsekwentnie działająca władza zgodnie z wolą narodu, ale przy zachowaniu należytej wyrozumiałości i cierpliwości obywateli, proporcjonalnie do trudności w jakich tej władzy przyszło działać. Towarzyszyć temu musi wysoka dyscyplina społeczna obowiązująca na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej i we wszystkich dziedzinach życia”*. Dlatego egzekutywa i aktyw apelują o rozsądne podejście do kwestii zapowiedzanego strajku ostrzegawczego.

W pierwotnej wersji apel kończył się wezwaniem do nieprzy-

stępowania do strajku. „*Towarzysze robotnicy, członkowie egzekutywy — mówi Mikołajczyk — zwrócili mi uwagę, że mogłoby to spowodować odwrotną reakcję i dlatego poprzestaliśmy na rozważeniu*”. Niektórzy członkowie partii przystępują do strajku. *Jako ludzie świadomi decydują o sobie — uważa sekretarz — a bolesne jest nie to, że złamają dyscyplinę, ale to, że pokierują się odczuciem chwili, tak jak wszyscy*. Sekretarz, który był przez miesiąc członkiem „Solidarności”, wychodzi bowiem z założenia, że ludzie strajkują, aby wyrazić gorycz. Gdyby nie sytuacja rynkowa, strajk mógłby się nie powieść. *Niewielu — objaśnia Mikołajczyk — bierze pod uwagę motywy podane przez Komisję Krajową. To jest właśnie zastanawiające, że ludzie nie dociekają przyczyn zła, że tak szybko popadają w frustrację*.

— *Podobnie reagują działacze samorządowi, oni jeszcze nie mają „tożsamości samorządowej” — powiada sekretarz. — Powoduje to, że są tacy bezradni...*

Sekretarzowi przerywają syreny, które rozlegają się w całym mieście. Dwunasta, początek strajku. Z głośników radiowęzła „Metalplastu” płynie komunikat: *Rozpoczynamy (...) zbieramy się na masowce w hali wtrysku...*

Stają wszystkie wydziały produkcyjne. Ludzie schodzą się do hali. Tylko w budynku administracyjnym pozostaje przy biurkach kilkadziesiąt osób, nikt nie potrafi powiedzieć, kto do pilnowania, a kto, aby pracować.

Blesmanowicz odczytuje z plakatu, o co chodzi „Solidarności”: *szkodliwa polityka... awanturnicze poczynania... odrzucanie propozycji... szkalowanie... aresztowania. Związek domaga się pokrycia dla kartek, zaprzestania represji, powołania Społecznej Rady Gospodarki Narodowej. Żeby nie poprzestać na hasłach, przewodniczący przypomina treść uchwały Komisji Krajowej, a później wyjaśnia, co to ma być rada. „Nie mam jeszcze pełnych materiałów — mówi — na razie dysponuję ulotką”*.

W ulotce jest napisane, że SRGN musi być powołana ze względu na katastrofalny stan gospodarki i „niemoc rządu”. Ekwiwalentem „ograniczenia rządu” byłoby uzyskanie społecznej akceptacji dla jego poczynąń uzgodnionych z radą.

Blesmanowicz wyjaśnia jeszcze, na czym polegałby strajk czynny: *„Ponieważ nie możemy już więcej przerywać pracy, gdyż bije to w nas”*. Jego zastępcą Adam Gościński tłumaczy różnicę między radą a komisją mieszaną proponowaną przez rząd. *Czy są jakieś pytania? Jest pierwsze:*

— *Gdzie się podziewa węgiel, o to się pytam — mówi star-*

szy robotnik. Ludzie milczą, a na środek hali wychodzi sekretarz Mikołajczyk. Nikt nie protestuje.

— *Rzeczywiście — mówi Mikołajczyk — dzienne wydobywanie węgla jest w tym roku wyższe niż w ubiegłym. Ale w poprzednich latach górnicy pracowali 365 dni w roku, a w tym tylko 255. I stąd biorą się niedobory...*

Głos zabiera ponownie Blesmanowicz: *Musimy pogodzić się z tym, że towarów jest mniej, ale jako związek nie pogodzimy się z tym, że są one dzielone nierówno i w tajemnicy.*

Ludzie ożywiają się, temat staje się najwyraźniej interesujący: *W Ostrowiu dają na kartki więcej kawy niż w Kaliszu, a to przecież to samo województwo...*

— *Chcą nas skłócić!*

— *Mówią, że nic nie robimy. Dobrze! Robiliśmy i w soboty i na czynach społecznych. Gdzie są pieniądze, powinny być w banku — krzyczy starsza kobieta. — Ale jak żyliśmy, pani Pietrzakowa — dorzuca jej sąsiadka. Na jednej z maszyn staje robotnik i mówi tubalnym głosem:*

— *A co będzie z tytoniem, w innych zakładach pracy załatwili go ludziom.*

Blesmanowicz próbuje go uspokoić: *Ja też nie mam co palić i muszę jakoś żyć, tyle, co wykombinuję.*

— *O, jak już „wykombinuję”, to niedobrze — strofuje przewodniczącego robotnik. Blesmanowicz wycofuje się: — No nie, pomaga rodzina, znajomi.*

— *No to poczęstuj, kolego przewodniczący — śmieje się robotnik.*

— *Panie kolego — odzywa się jedna z kobiet — tytoń tytoniem, ale pończochy! Wy macie przynajmniej spodnie...*

— *Czy myślicie o kartkach na artykuły przemysłowe? — wspiera ją ktoś inny — ludzie, którzy pracują, niczego nie widzą w sklepach...*

— *Czy nie zdajecie sobie sprawy, że rząd idzie w tym kierunku, aby zepchnąć nas na sprawy „paznokciowe” — próbuje tłumaczyć Blesmanowicz. — Kartek nie możemy mnożyć, bo nie ma na nie pokrycia. Po to chcemy powołać radę...*

— *To nie są „paznokciowe” sprawy — przerywają oburzeni związkowcy. Wśród zamętu pada propozycja, żeby powiedział coś na ten temat sekretarz partii. Mikołajczyk wychodzi na środek hali:*

— *Ja mam od początku swoje zdanie, że tylko pracą...*

— *Gierek też tak mówił* — protestują ludzie. Mikołajczyk kontynuuje: — *Żadne zwierzę nie zabija się samo, człowiek też nie powinien się unicestwiać...*

Nie dają mu mówić, krzyczą, że pracują od 36 lat. Wśród innych wyróżnia się jeden głos: „*Mówią nam, że jesteśmy antysowieccy, ale chcemy te pół chleba, papierosy, sprawiedliwości, a obojętne jest nam, jaki rząd to załatwi, byle dobry*”.

— *To mi się podoba* — mówi Mikołajczyk i usuwa się za plecy zgromadzonych. Ludzie uspokajają się, godzina wieczu mija.

— *Proszę państwa* — mówi Blesmanowicz — *ponieważ jest za pięć minut pierwsza...*

— *Za trzy* — poprawia go Mikołajczyk. Blesmanowicz zgadza się: „*Tym bardziej wracajmy na stanowiska pracy, aby punktualnie o pierwszej rozpocząć robotę*”.

Pytam sekretarza, czy strajkował. Nie — odpowiada. Nie strajkowali też dwaj dyrektorzy, chociaż wpadli zobaczyć, co dzieje się na wiecu.

Zdzisław Pogłodziński, dyrektor ekonomiczny: „*Decydujący moment to uczucie zawodu. U nas pracują i nadają ton na ogół ludzie starsi, którzy pamiętają historię. Czują, że znów stoją na rozdrożu, z którego nic nie widać. Myślę, że 80 % załogi przeżywa wewnętrzny konflikt — czy strajk ma sens. Podporządkowują się jednak „Solidarności” wierząc, że związek coś wywalczy, rozjaśni co nieco sytuację. A jeśli już rozmawiamy szczerze, powiem panu, że gdy oglądam dziennik tv, mam wiele obaw. Jeśli go nie oglądam: czytam gazety, to jestem spokojniejszy. Jakoś inaczej oceniam tę samą rzeczywistość*”.

Dyrektor techniczny, Bronisław Martyna, szuka przyczyn w historii. „*Przyszedeł Gierek i nadzieje, zakład odżył, nowa hala, modernizacja, wyższe zarobki, aż nagle taka katastrofa. To jest ta sama załoga, z którą doszliśmy do zdolności produkcyjnej szybciej niż licencjodawca z RFN. Tak, mamy ofiarnych ludzi*”.

A samorząd, panowie dyrektorzy, czy samorząd może zapobiec strajkom lokalnym, kiedy nie chcą ich już i władze „Solidarności”?

— *Samorząd* — zastanawia się Pogłodziński. — *Ludzie jakby nie wierzyli, więcęj, jakby nie potrafili...*

— *Ludzie się obawiają* — uzupełnia Martyna — *że w styczniu będą musieli podejmować konkretne decyzje...*

— *Przed nami wszystkimi piętrzy się niewiadome* — kontynuuje Pogłodziński — *robotnicy widzą naszą bezradność, gdy szukamy uszczelki do beczynnie stojących maszyn z importu, których nie potrafi remontować nikt w Polsce, widzą co wyczy-*

niamy, by zdobyć zaopatrzenie... Ludzie boją się ponadto „wypełniaczy” do ustaw sejmowych o samorządzie i przedsiębiorstwie. Boją się, że wezmą odpowiedzialność za firmę, a przepisy wykonawcze pozbawią ich kompetencji.

Tak to się splata: te resztki nadziei, ten samorządowy strach, strajki, dyscyplina, telewizja.

Na wydziale, gdzie był wice, stoi codziennie beczynnie połowa maszyn. Ludzie przynoszą zwolnienia lekarskie na dwa, trzy dni. Dyrektorzy i Rada Pracownicza wiedzą, że ludzie „chorują”, aby odstać kartki w kolejkach. Ci, którzy nie „chorują”, dyżurują przy zakładowym bufecie. Gdy przywiozą do niego któregoś dnia salceson, trzeba stać w ogonku trzy razy, żeby kupić pół kilo, ponieważ sklepowa dzieli równo po 15 dkg na głowę. Jak więc to rozsypać: jedzenie, samorząd, strajk?

— *Ludzie, zwykli robotnicy, czekają* — mówi ze smutkiem Stanisław Łomikowski, z zawodu konstruktor, wiceprzewodniczący zakładowej „Solidarności”. — *I ciągle jeszcze swoją siłę czują tylko w tłumie.*

(*Życie i Nowoczesność*, 6 listopada 1981)

Piotr ALEKSANDROWICZ

DNI REKTORSKIE

Z Radomia docierają zadziwiające wiadomości. „Solidarność” Wyższej Szkoły Inżynierskiej nie uznaje wyników demokratycznego głosowania i zaciekle walczy o wybory z kluczem. Nomenklaturowy Senat głosuje za powszechnymi i bezpośrednimi wyborami rektora przez całą społeczność akademicką. Studenci nie popierają władz swoich organizacji i jako jedyni próbują dotrzeć do obiektywnej prawdy o konflikcie. Podobnych paradoksów można znaleźć więcej.

Strajk proklamowany przez uczelnianą „Solidarność” i Niezależne Zrzeszenie Studentów trwa.

Inkubacja konfliktu

w WSI trwała równo rok. 14 października 1980 roku Koło „Solidarności” poprosiło gdański MKZ o interwencję w sprawie fatalnych stosunków pomiędzy władzami uczelni i pracownikami. MKZ przesłał list do ministerstwa i sprawa ucichła. Pierwsze miesiące istnienia upłynęły „Solidarności” na drobnych utarczkach z rektorem WSI, profesorem Michałem Hebda. Ryszard Hombek, szeregowy członek PZPR i szef jednego z kół związku podsumowuje ten okres tak: *„Trudno znaleźć wspólny język, kiedy nie ma w ogóle kontaktu. Po prostu rektor nie odpowiadał na nasze pisma i interwencje”*.

9 kwietnia na posiedzeniu Senatu wybucha afera: fundusz płac jest przekroczony o 8 milionów złotych. Ściśle kierownictwo uczelni uważa, że należy zredukować zatrudnienie w każdym instytucie o 10 %. Początkowo niemrawa „Solidarność” przechodzi do działania. W piśmie do ministra Górskiego 28 kwietnia żąda odwołania rektora za niekompetencje i podejmowanie prób wykaraskania się z kłopotów finansowych kosztem pracowników. Powstaje cała litania zarzutów; ludzi irytuje wszystko — luksusowo urządzony gabinet i dyktatorski system rządzenia.

Równocześnie specjalna komisja, w której skład wchodzi również przedstawiciele „Solidarności”, przygotowuje wariantowy projekt ordynacji wyborczej do władz uczelni. Pod koniec maja przekazuje go Senatowi w celu przeprowadzenia społecznej konsultacji.

Do tego czasu w większości uczelni wybory rektorów już się odbyły. Wszędzie w specjalnych kolegiach elektorских równą lub podobną liczbą głosów dysponowali samodzielni pracownicy nauki, lektorzy wybrani przez innych nauczycieli akademickich i elektorzy studenci. Zbliżone rozwiązanie przyjmuje również projekt opracowany w WSI.

Główna rozbieżność dotyczy natomiast tzw. kadencyjności. Robocze ustalenia Komisji Kodyfikacyjnej, pracującej pod kierunkiem profesora Resicha nad projektem ustawy o szkolnictwie wyższym, wykluczały możliwość kandydowania na trzecią z rzędu kadencję. Jednak w WSI organizacja partyjna i najsilniejszy związek zawodowy, ZNP-Nauka, jednoznacznie opowiadają się za dopuszczeniem kandydatury profesora Hebdy rządzącego uczelnią od 6 lat, jedną kadencję jako rektor Politechniki

Świętokrzyskiej, w skład której do 1978 roku wchodziły wydziały radomskie i drugą, już jako najwyższa władza samodzielnej WSI. „Solidarność” występuje przeciwko. Członkowie związku najzwyczajniej w świecie obawiają się, że wybór znanego z autokratycznego działania profesora doprowadzi do stopniowego zlikwidowania „Solidarności” na terenie uczelni. Proponują jednakże rozwiązanie kompromisowe — referendum w sprawie wyboru wariantu ordynacji.

Od tej chwili dyskusję nad zmianami w modelu organizacyjnym uczelni czy w polityce badawczej, co do których istnieją poważne zastrzeżenia, wszyscy odkładają na później.

3 czerwca w związku z zarzutami wobec rektora przyjeżdża do Radomia komisja ministerialna. W ciągu trzech dni jej członkowie otrzymują kilkaset informacji i donosów. Wszyscy opluwają wszystkich. Przybycie profesorsko-urzędniczej delegacji odświeża w cień sprawę wyborów.

Potem przez trzy tygodnie nie może się zebrać Senat. Wreszcie 26 czerwca dochodzi do posiedzenia, na którym najwyższa władza uczelni uznaje, że sama jest dostatecznie reprezentatywna i wybiera warianty, m.in. i ten, który umożliwia ponowne kandydowanie profesorowi Hebdzie. „Solidarność” stara się mimo wszystko przeforsować ideę referendum w sprawie wariantów ordynacji. Komitet Uczelniany partii i ZNP stawiają zdecydowany opór. Szamocący się związek uzyskuje tylko obietnicę resortu, że nie przedłuży się kadencji profesora Hebdy.

Tymczasem z protokołem komisji ministerialnej dzieją się cuda. W trakcie podsumowywania wyników kontroli, jeszcze 5 czerwca w Radomiu, członkowie komisji ocenili działalność uczelni niezwykle krytycznie. Pierwsza wersja protokołu była już jakby łagodniejsza. Gdy w połowie sierpnia z Warszawy nadchodzi wersja końcowa, „Solidarność” porównuje obie i stwierdza zadziwiające zmiany. Oto, na przykład, pojawia się zdanie: *„należy podkreślić dużą aktywność i konsekwencję z jaką kierownictwo uczelni realizowało założony program rozwoju”*. Znika natomiast zapis: *„naczelną zasadą w tym systemie stało się jednoosobowe zarządzanie uczelnią”*.

Kilkanaście dni później minister Nawrocki przedłuża kadencję rektora o dwa miesiące.

„Jeśli chcesz mieć dyktatora wybierz Hebdę na rektora”. Strajkujący oplakatowali korytarze w budynku rektoratu i w ten sposób dodają sobie ducha.

Despotyzm i autokracja

— przekonują — to nasz zarzut najpoważniejszy, bo przecież na przykład brak zaufania do Senatu jest pochodną faktu, że mianował go prawie w całości rektor i senatorzy robią to, co im każe.

— *A już szczytem wszystkiego* — mówi Jerzy Piel, starszy asystent w Centrum Informatycznym — *było to, że w skład senatu wchodził pan z Komitetu Wojewódzkiego, który w ogóle nie jest pracownikiem uczelni. Nawet komisja resortowa skrytykowała metody powoływania członków senatu i nomenklaturę.*

Krystyna Pochodyło, sekretarz Komisji Zakładowej, przynosi teczek z dokumentami.

— *Zacznijmy od tego, że komisja z ministerstwa mimo naszych postulatów nie zajęła się w ogóle sprawami przydziału mieszkań, samochodów, wykorzystaniem pojazdów służbowych, stypendiami, rozdziałem nagród. A o wszystkim decydował rektor i w ten sposób uzależniał od siebie ludzi.*

— *No cóż, dopóki byłem przewodniczącym Rady Zakładowej ZNP* — mówi Ryszard Patryniak — *miałem wpływ może na połowę rozdzielanych mieszkań i w pewnym stopniu udawało się uwzględnić listy społeczne. Mój następca... może na dziesięć procent.*

— *Tak jest i dziś. Mój kolega z wydziałowej „Solidarności” nie strajkuje* — zauważa Ryszard Hombek — *gdyż, jak mi powiedział, ma obiecane mieszkanie z uczelni.*

Rektor nie tolerował również działalności swoich pracowników w duszpasterstwie akademickim. W dokumentach zebranych przez „Solidarność” znajdują się oświadczenia na temat represji lub grózb ich zastosowania w przypadku niezaniechania praktyk religijnych.

— *Jednak najpoważniejszym dowodem na dyktatorskie metody rządzenia* — mówi Krystyna Pochodyło — *jest... protokół komisji resortowej, który stwierdza na przykład, że Senat zbierał się zbyt rzadko, że brak jest dokumentacji z większości jego posiedzeń i zebrań kolegium rektorskiego, że kolegialne władze uczelni nie opiniowały i nie zatwierdzały planów badań naukowych, planów rozwoju kadr czy działalności dydaktyczno-wychowawczej.*

W wygładzonym protokole znaleźć można i taką obserwację: „podstawową formą zarządzania uczelnią były zarządzenia rektora”.

We wrześniu i październiku trwają wybory elektorów. „Solidarność” bojkotuje zebrania i w ten sposób częściowo blokuje tworzenie kolegium elektorskiego. Napięcie wzmagają incydenty w rektoracie. Według związkowców ich przewodniczący, doktor Walasek, został wyrzucony z zebrania Kolegium Rektorskiego, którego jest członkiem. Według władz, zebrani, na wniosek sekretarza KU PZPR, przegłosowali wyproszenie go z posiedzenia. Sekretarz uważał bowiem, że przewodniczący Komisji Zakładowej postępuje niemoralnie przychodząc na kolegium, skoro jego związek nie uznaje ani senatu, ani rektora.

„Solidarność” cały swój wysiłek koncentruje nadal na doprowadzeniu do referendum w sprawie wariantów ordynacji wyborczej. Ankieta rozpisana wśród pracowników wykazuje, że znaczna ich większość opowiada się „za”. Wyniki ankiety ZNP stwierdzają z kolei, że pracownicy są skłonni dopuścić kandydaturę profesora Hebdy do wyborów. Tymczasem Senat uparcie odmawia zgody na referendum i bez konsultacji przyjmuje 15 października propozycję zmiany ordynacji wyborczej. Zarządza powszechne, bezpośrednie, tajne wybory rektora według zasady

jeden człowiek — jeden głos.

Jak twierdzą sami senatorzy, chcą oni w ten sposób okazać swoje demokratyczne przekonania. Senat decyduje także, że wybory będą ważne bez względu na liczbę głosujących.

W ten sposób równe prawa wyborcze, wbrew akademickiej tradycji i wbrew projektowi Komisji Kodyfikacyjnej, otrzymuje 1200 pracowników, od sprzątaczek do profesorów, oraz 1600 studentów, a wśród nich około 300 z I roku, od trzech tygodni zaledwie obecnych na uczelni. Jednak ustawy nadal nie ma i formalnie decyzję senatu trudno podważyć. Tak oto opóźnienie procesu legislacyjnego przez resort powoduje, że w ostatniej w kraju uczelni nie mającej jeszcze nowego rektora, konflikt gwałtownie zaostrza się.

„Solidarność” oburzona kolejnym manewrem Senatu ogłasza gotowość strajkową i bojkot wyborów, nie wystawiając oczywiście własnego kandydata.

— *Po prostu nie ma kogo wystawiać* — twierdzą zwolennicy rektora.

Kandydaturę profesora Hebdy zgłasza Rada Uczelniana Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Jej przewodniczący

mówi tak: *Zgłosiliśmy Pana profesora, ponieważ tylko on daje gwarancję istnienia i rozwoju uczelni. Jest równocześnie dyktatorem i wspańiatym człowiekiem. W tym środowisku, przy bardzo słabej władzy dziekańskiej, tylko jednoosobowe zarządzanie mogło przynieść efekty. Bez niego nie byłoby uczelni tylko tak jak dawniej — szkółka. Otworzył właściwie nieograniczony strumień funduszy dla WSI.*

Lista kandydatów zawiera 7 nazwisk, ale dotychczasowy rektor ma tylko jednego poważnego konkurenta — profesora Tomassiego.

26 października grupa członków „Solidarności” rozpoczyna okupację gmachu rektoratu. Dzień później do strajku przyłącza się NZS. Tego samego dnia odbywają się wybory.

Wygrywa profesor Hebda, ale bojkot przynajmniej częściowo daje efekty. Głosuje tylko 48 % uprawnionych, 60 % głosów otrzymuje dotychczasowy rektor, 30 — profesor Tomassi. W sumie mniej niż co trzeci członek społeczności uczelnianej oddaje głos na Michała Hebdę.

Na podstawowe pytanie: dlaczego jednak ponad połowa pracowników wzięła udział w wyborach, członkowie „Solidarności” odpowiadają tak: głosowała administracja, ludzie nadal boją się rektora, są konformistami.

— *Trzeba również przyznać* — uzupełnia Włodzimierz Sułek, strajkujący sekretarz jednej z oddziałowych organizacji partyjnych — *że część pracowników po prostu uznaje metody rządzenia stosowane przez profesora Hebdę za skuteczne i właściwe.*

Strajk okupacyjny trwa. Do Radomia przyjeżdża

misja czterech profesorów

pełnomocników rektorów Politechniki Warszawskiej i Łódzkiej, AGH i Uniwersytetu Warszawskiego. 20 października wieczorem przedstawiają swoje wnioski ministrowi Nawrockiemu. Profesorowie obiektywnie oceniają zasługi rektora Hebdy dla uczelni, ale uważają, że przyczyną konfliktu jest jego autokratyczny styl rządzenia. Stwierdzają, że Senat WSI stracił zaufanie społeczne i konieczne będzie przeprowadzenie nowych wyborów wszystkich władz uczelni.

Minister oświadcza, że postąpi według sugestii profesorów, zastrzega sobie jednak uprzednią konsultację „po linii partyjnej”. W kilkanaście godzin później podpisuje nominację profesora Hebdy na rektora WSI.

Strony okopują się na swoich pozycjach. Senat WSI zatwierdza wyniki wyborów. Komitet Uczelniany PZPR żąda zaprzestania strajku, a władze uczelni zobowiązuje do organizacji zajęć w innych budynkach.

4 listopada w Radomiu przebywa komisja rządowa, która wznawia negocjacje z miejscowym MKR w sprawie czerwca 76. W czasie rozmów wypływa konflikt w WSI. Komisja oświadcza m.in., że nie będzie się mieszać do spraw autonomicznej uczelni, gdyż nie byłoby to zgodne z... postulatami strajkujących, mówiącym o zagwarantowaniu wyborów wolnych od administracyjnych nacisków.

Po drugiej stronie barykady strajkujący rosną w siłę. Jest ich około 300, w tym grupa członków ZNP i PZPR. Mają sympatyków i osoby pomagające. Wstrzymali nawet przyjmowanie dalszych chętnych do uczestniczenia w okupacji. Otrzymują poparcie od Komisji Krajowej „Solidarności”. Niezależne Zrzeszenie Studentów ogłasza na 12 listopada ogólnopolski strajk protestacyjny. Postulat przeprowadzenia nowych wyborów według zasad zawartych w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym popierają senaty kilku uczelni, konferencja rektorów wyższych szkół technicznych, prezes Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauki, profesor Grzegorz Białkowski. Senat Uniwersytetu Warszawskiego krytycznie ocenia działalność ministerstwa w sprawie ustawy i WSI zgłasza votum nieufności dla ministra Nawrockiego.

9 listopada zbiera się po raz kolejny senat WSI i stwierdza, że w kraju rozpowszechniane są nieprawdziwe wiadomości o strajku, oraz że konflikt należy rozwiązać wewnątrz szkoły, a nie rozwlekać po innych uczelniach, bowiem wybory były demokratyczne i praworządne...

Odpowiedzią jest zorganizowana następnego dnia w Politechnice Warszawskiej konferencja prasowa, na której przedstawiciele Komitetu Strajkowego z Radomia ogłaszają, że będą prowadzić akcję

aż do zwycięstwa.

W oszalałej od protestów i kontrprotestów WSI przytomna jest tylko grupa studentów Wydziału Transportu, która widząc totalną dezintegrację szkoły na wieść o „zajęciach zastępczych”, organizuje wiece w hali sportowej. Na pierwsze dwa przychodzi około 600 studentów, którzy wysłuchują wypowiedzi swoich

reprezentantów w senacie i studentów — członków komitetu strajkowego, pracowników naukowych z obu stron barykady oraz profesora Hebdy. 418 uczestników trzeciego spotkania bierze udział w sondażu. 92 % studentów głosuje za przeprowadzeniem nowych wyborów rektora, 88 % za votum nieufności dla Senatu w dotychczasowym składzie.

Następnego dnia mają się zgromadzić po raz czwarty, by ustalić plan dalszych działań. Zastają zamkniętą halę sportową. Władze ogłosiły dni rektorskie.

Zdeterminowani do ostateczności w kilka dni później, 10 listopada, rozpoczynają okupację kolejnego budynku szkoły.

Radomska uczelnia dogorywa, a podziały są tak głębokie, że zapewne nie znikną nawet po ogłoszeniu nowych wyborów. Na taką ewentualność misja 4 profesorów proponowała rozwiązanie radykalnie ucinające przepychankę: przekształcenie WSI w filię Politechniki Warszawskiej lub Łódzkiej.

Nie jest wykluczone, że wówczas zastrajkowaliby w Radomiu wszyscy i osiągnięta zostałaby tak potrzebna jedność środowiska.

P.S. 16. XI. — Licytacja trwa. Resort ... ogłosił apel o rozwiązanie konfliktu i czeka. ZNP „Nauka” w WSI zarządził gotowość strajkową przeciwko akcji „Solidarności”. Z kolei, popierając „Solidarność” WSI do 24. XI strajkować mają wszystkie uczelnie w kraju. Mało śmieszne...

(Kultura, 22 listopada 1981)

Piotr BERNAT

W KATOWICACH

Wtorek, 20 października o godz. 11-tej na rynku w centrum Katowic, jak codziennie, pojawia się samochód „Solidarności”. Na nim nalepione ulotki i transparent z napisem żądającym uwolnienia więźniów politycznych. Trzy dziewczyny i jeden

chłopak sprzedają prasę związkową i niezależne wydawnictwa. Szybko formuje się długa kolejka kupujących. Ludzie stoją po tygodniową, lokalną i centralną prasę związkową, broszurę pt. „W sowieckim zaborze — o wkroczeniu wojsk radzieckich na ziemię polskie w 1939 roku”, wiersze Miłosza, książkę „Polski marksizm”, zdjęcia z Katynia.

— *Zaraz po jedenastej pojawili się jacyś dziwni ludzie, po dwóch, trzech, pięciu, stali przy samochodzie i patrzyli, co i jak sprzedajemy. O 13-tej przyjechał na sygnale radiowóz i zaraz za nim biały i brązowy fiat z poznańską rejestracją. Chcieli chyba już wtedy nas wziąć, ale wystraszyli się ludzi. Sprzedawaliśmy dalej* — mówi jedna z dziewcząt.

Na dalszy rozwój wypadków nie trzeba było długo czekać. Około 15-tej, gdy kończy się praca w fabrykach i biurach, gdy z pobliskich uczelni i szkół wychodzą studenci i uczniowie — ruch w centrum miasta zostaje wstrzymany. Na Rynek wjeżdża kawalkada milicyjnych wozów.

Tłum gęstniał. W oknach domów, sklepów, w pobliskim teatrze — wszędzie ludzie. Fotografują, filmują, dyskutują, wygrażają. Stoją już głowa przy głowie i wołają, by sprzedawać dalej.

Na początku było spokojnie. Milicja apelowała, żeby się rozejść. Sprzedający ze spokojem wykonywali swą robotę, może tylko trochę szybciej, by wysprzedać tego jak najwięcej. Stojąc wśród ludzi i czując, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta, Tadeusz Buranowski przez tubę mówi:

— *Ludzie, otaczają nas ubecy, czy nie boicie się?*

I mówił jeszcze wiersz Miłosza, piękny wiersz, taki, że na kilka minut zrobiło się zupełnie cicho. Ktoś w końcu mu tę tubę złamał i wtedy rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Od wewnątrz otwarto drzwi samochodu i wciągnięto Buranowskiego do radiowozu. Milicjanci gorączkowo poczęli przenosić książki do swego samochodu. Tłum zafalował, przerwał kordon milicji — oddzielającej samochód „Solidarności” — szamotanina; gwizdy, okrzyki [— — — —] [Dziennik Ustaw nr 20 poz. 99 art. 2 p. 61] i „wolność”. Sprzedający wyrrywają milicjantom gazety i książki, rozrzucają je wśród ludzi.

Od teraz działa już prawo tłumu. Wszyscy prą do przodu. Nawet ci, co nie są do końca zdecydowani. Patrzę na twarze, młode i starsze, inteligentkie i spracowane robotnicze. Wszystkie zdecydowane. Podnoszą się pięści. Coraz głośniejsze skandują: [— — — —] [Dziennik Ustaw nr 20 poz. 99 art. 2 p. 61]. Przeciskam się do przodu, przede mną już tylko kordon mili-

cjantów — młodych, chyba zaledwie 18-, 19-letnich. Niektórzy z nich arogancko i opryskliwie próbują dyskutować z ludźmi. To tylko podsycia napięcie. Rosną emocje. Nie sposób już tego zahamować — milicja więc wycofuje się. Tłum napiera. Widzę uśmiechniętą twarz milicjanta zza szyby opancerzonego samochodu i dramatyczne gesty działaczy „Solidarności”, bezskutecznie próbujących powstrzymać dalszy bieg wypadków.

Grupa ludzi blokuje przejazd milicyjnych samochodów z aresztowanym Buranowskim. Lecą kamienie, robi się gorąco. Na pełnym gazie przejeżdżają.

Wyrażnie formuje się grupa przewodnia, przeważnie młodzi. Większość woli patrzeć z boku. Na myślenie jednak nie ma czasu. Tłum podąża na ul. Pocztową, pod komisariat. Znowu jest bardzo dużo ludzi. Coraz trudniej jest się przeciskać. Prawie wszystkie miejsca gdzie można postawić stopę są zajęte. Znowu rozlegają się okrzyki [— — — —] [Dziennik Ustaw nr 20 poz. 99 art. 2 p. 6] i „wolność”, „wolność” i [— — — —] [Dziennik Ustaw nr 20 poz. 99 art. 2 p. 6]. Kilkunastu ludzi przewraca milicyjną nysę z kierowcą w środku. Słychać jakby głos syren. Pojawia się oddział ZOMO. W hełmach z osłonami na twarzach, plastikowymi tarczami i długimi pałami.

Na przewróconą nysę wchodzi ktoś z zarządu „Solidarności”. Mówi o konieczności odpowiedzi na wyraźną prowokację spokojem i rozważą, o tym, że sprawa ta zostanie wyjaśniona, że nie odejdą stąd, aż wypuszczą aresztowanego. Dostaje oklaski. Lecz nie ma czasu na wicowanie. Oddziały ZOMO posunęły się o kilka kroków do przodu. Tłum znowu jest niespokojny. I faluje. Część prze do przodu. Ktoś intonuje pieśń — Wyklęty powstań ludu ziemi...

Tymczasem witany oklaskami kilkutysięcznego tłumu pojawia się mikrobus z „Solidarności” i radiowóz milicyjny. Przez jego megafony, bo solidarnościowy samochód takowych urządzeń nie ma, przemawia Marek Wach z Zarządu — Regionalnego i Stanisław Bury. Apelują o spokój i rozagę. Tłum nie ustępuje. Żądają natychmiastowego zwolnienia aresztowanego. Ktoś mówi, aby przenieść się pod siedzibę „Solidarności” na ul. Szafranka. Tam, przez własne już megafony będą nadawane regularne komunikaty. Ba, ale jak taki tłum namówić do rozejścia się.

Najpierw więc chłopak niosący flagę „Solidarności” wycofuje się, lecz za nim idzie zaledwie kilka osób. Tłum żąda, „by najpierw wycofała się milicja”. Czyżby więc zarzewie nowego konfliktu? Ale roztropny kapitan dowodzący oddziałem ZOMO próbuje się jeszcze tłumaczyć, ale już wydaje odpowiednie roz-

kazy. Milicjanci usuwają się i... odjeżdżają. Większość zainteresowanych udaje się za wolno jadącym samochodem „Solidarności”. Jest w zasadzie po wszystkim.

Po 17 na ulicy Pocztowej, przed komisariatem zostają tylko grupki dyskutujących ludzi. Zaledwie w kilka godzin później tłum tych, którzy nie chcieli pogodzić się z takim zakończeniem konfliktu zebrał się jeszcze raz. Przez całą noc robotnicza straż porządkowa patrolowała miasto.

Godzina 20.40. Wypuszczenie z aresztu Tadka Buranowskiego. Oświadcza, że nie odniósł obrażeń.

Byłoby to zakończenie tej całej historii, gdyby nie jeszcze jeden wątek, jakże charakterystyczny dla obecnej sytuacji Związku. Otóż, delegacja Zarządu Regionalnego udała się do telewizji z zamiarem odczytania swojego stanowiska w kwestii zaistniałego konfliktu w lokalnym dzienniku — Nasz dzień. Początkowo tłumaczono się trudnościami technicznymi, a następnie stwierdzono, że tekst ten musiałaby najpierw ocenić cenzura. W końcu redaktor naczelny OTV w Katowicach oświadczył wprost, że gdyby to dał, to następnego dnia zostałby zdjęty ze stanowiska.

W tym oświadczeniu ZR NSZZ „Solidarność” czytamy m.in.: „Podczas sytuacji grożącej wybuchem niekontrolowanego gniewu, gospodarze województwa są nieuchwytni. Prokuratorzy, tak aktywni na co dzień w prowadzeniu postępowania przeciwko związkowcom naszego regionu — są nieosiągalni. Sprawa Bydgoszczy, ale i ta dziś w Katowicach, nauczyła nas, że nie tylko szeregowi, ale i gabinetowi tzw. praworządcy są taką siłą, która za wszelką cenę chce stłamsić wolny ruch związkowy i społeczny”.

(*Tygodnik Solidarność*, 30 listopada 1981)

Jarosław BRODA

WE WROCŁAWIU

W środę, 21 października we Wrocławiu o godzinie 17.40 do stojącego w centrum miasta radiowego wozu Zarządu Regio-

nalnego „Solidarności”, nadającego aktualne komunikaty związkowe i satyryczne piosenki podjechały cztery samochody MO. W ciągu kilkunastu sekund — jak powiedział jeden z uczestników zajścia — funkcjonariusze ZOMO wciągnęli do swoich samochodów obsługę radia „Solidarność” i odjechali w kierunku pobliskiej Komendy Wojewódzkiej MO, zabierając także sprzęt i pojazd Związku. Aresztowano Olgerda Zaszofta — pracownika działu informacji ZR, Waldemara Białeckiego — pracownika Dolmelu i szesnastoletniego chłopca Andrzeja Sochę.

Ludzie słuchający radiowego serwisu „Solidarności” najpierw głośno protestowali przeciwko nie mającej precedensu akcji milicji, a następnie udali się (kilkadziesiąt osób) w kierunku Komendy Wojewódzkiej. Drogę zagroził im kordon ZOMO, wyposażony w długie pałki, miotacze granatów z gazem, hełmy. Równocześnie podobne, najwyraźniej wcześniej przygotowane oddziały zablokowały wszystkie ulice prowadzące w kierunku komendy. Ze wszystkich stron zaczął narastać tłum zdeorientowanych mieszkańców Wrocławia, dowiadujących się z niejasnych jak zwykle w takich wypadkach informacji o aresztowaniu, akcji milicji, zatrzymaniu członków Związku. Rosło więc napięcie i wzburzenie wśród mimowolnie zebranych. Sytuację zaogniło aresztowanie redaktora serwisu informacyjnego „Z dnia na dzień” Zenona Palki, który usiłował rozmawiać z groźnie wyglądającymi stróżami porządku.

Pojawiła się obawa, że tłum zaatakuje kordon. Ludzie głośno domagali się uwolnienia zatrzymanych.

Okolo godziny 19-tej do KW MO udali się przedstawiciele ZR z propozycją wycofania oddziałów milicji i zastąpienia ich służbą porządkową „Solidarności”. Mimo ponowienia tej inicjatywy usłyszeli, że „pomoc nie jest potrzebna MO” oraz zarzut, że to „Solidarność” organizuje zbiegowisko.

Wbrew tym sugestiom przybyli na miejsce działacze „Solidarności” i NZS spontanicznie zorganizowali służbę porządkową, która zapobiegła bezpośredniemu zetknięciu się tłumowi z kordonom, nawołując jednocześnie do zachowania spokoju i rozejścia się.

Zagrozenie jednak rosło, ponieważ jeden z oddziałów ZOMO wyparł tłum na główną ulicę miasta — Świerczewskiego. O godzinie 21-ej strajk protestacyjny rozpoczęło MPK. O tej samej porze na miejsce wypadku przybyli członkowie Zarządu Regionu.

Do zebranych przemówili: wiceprzewodniczący ZR Piotr Bednarz i członkowie ZR — Tadeusz Laczyński i Antoni Lenkiewicz. Zaapelowali o spokój i godność, o nieuleganie prowokacji,

o taką samą postawę jak przed rokiem podczas sierpniowych strajków. Po odśpiewaniu hymnu i interwencji służby porządkowej „Solidarności” wrocławianie zaczęli wracać do domów. Około godziny 22-ej zapanował spokój.

Mogło dojść do tragedii: zmęczeni, zrozpaczeni sytuacją żywnościową ludzie, wzburzeni zatrzymaniem działaczy Związku, stojący naprzeciw uzbrojonych przedstawicieli władzy — gotowi byli ich zaatakować. Na szczęście zwyciężył rozsądek i do zamieszek nie doszło. Trzeba jednak zapytać, jak długo w naszym kraju będzie dochodziło do podobnych prowokacji? Jak długo kontakt z policją będzie jedynym autentycznym spotkaniem społeczeństwa z władzami?

Następnego dnia MO uwolniła wszystkich zatrzymanych i ogłosiła komunikat, w którym czytamy: „postanowiono podjąć interwencję zmierzającą do uniemożliwienia stałego naruszania prawa”.

Komendant wojewódzki MO płk Biernaczyk stwierdził na konferencji prasowej: „Gdyby milicja chciała użyć siły, to nie byłoby żadnego problemu z jej użyciem”. To stwierdzenie wystarczy za pointę.

(*Tygodnik Solidarność*, 30 listopada 1981)

Kazimierz MACHCEWICZ

SAMORZĄD SĘDZIOWSKI

17 listopada 1981 roku, godzina 10-ta, sala 252

W największej sali warszawskich sądów tym razem nie rozprawa, ale zgromadzenie wszystkich sędziów faktycznie urzędujących w okręgu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

Celem tego niezwykłego zgromadzenia, bezprecedensowego w historii polskiego (a bodajże i europejskiego) sądownictwa, obejmującego zarówno sędziów wojewódzkich jak i regionowych

był wybór kandydatów na prezesa Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

Kiedy na długo przed wyznaczoną godziną liczne grupy sędziów, w sposób widoczny przejętych powagą tej chwili, wypełniały salę, dla wielu spośród nich była to chwila refleksji nad tak niedawną przecież przeszłością.

Zaledwie rok temu organizowały się na terenie sądów warszawskich nowe związki zawodowe. Po zjeździe sędziów w Poznaniu w końcu października 1980 roku, odbyło się w sądzie warszawskim zebranie, na którym po raz pierwszy referowano postulaty NSZZ „Solidarność” pracowników wymiaru sprawiedliwości. Kiedy padł postulat, dotyczący wyboru prezesów przez sędziów, obecne na sali ówczesne kierownictwo sądu zareagowało rozbawieniem.

Na tej samej sali 252 w lutym 1981 roku koncepcję wyboru kandydatów na prezesa przez ogół sędziów, określano jednoznacznie jako próbę „demontażu wymiaru sprawiedliwości”.

Prawdę powiedziawszy, niemal do ostatniej chwili sytuacja wydawała się być niejasna. Szczególne opory ze strony kierownictwa resortu sprawiedliwości wywoływała kwestia udziału sędziów rejonowych w zgromadzeniu. Sposób przeprowadzenia takich wyborów przed kilkoma tygodniami w sądach we Wrocławiu i w Lublinie zaalarmował środowisko sędziów warszawskich, mimo iż ukazujące się w prasie krótkie komunikaty PAP przedstawiały powyższe jako pełny sukces idei samorządu sędziowskiego.

W tej sytuacji ostateczna decyzja zwołania w Warszawie zgromadzenia z udziałem wszystkich sędziów faktycznie urzędujących w tym okręgu była wielkim sukcesem całego środowiska warszawskiego i pierwszym w skali ogólnopolskiej materialnym dowodem, iż zmiany zachodzące w sądownictwie nie mają charakteru pozorowanego i taktycznego. Uparta walka sędziów o samorząd, jedną z najważniejszych gwarancji niezawisłości sędziowskiej, zaczynała wreszcie dawać owoce.

W myśl regulaminu, opracowanego przez władze Sądu Wojewódzkiego w Warszawie przy udziale przewodniczących organizacji związkowych i organizacji partyjnej, prawo do wysuwania kandydatów na stanowisko prezesa przysługiwało zarówno ministrowi sprawiedliwości, wszystkim organizacjom działającym na terenie sądów jak i poszczególnym sędziom (pod warunkiem zebrania co najmniej 10 podpisów). Spośród tych kandydatów, którzy uzyskają więcej niż 50 % głosów sędziowskich (50 % + 1 głos),

minister sprawiedliwości dokona ostatecznego wyboru prezesa Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

Do dnia 9 listopada 1981 (ostateczny termin zgłaszania kandydatów) wpłynęło 6 kandydatur. Trzech spośród nich zgłosił minister sprawiedliwości. Byli to: sędzia Sądu Najwyższego Ryszard Bodecki, wicedyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Sprawiedliwości sędzia Jerzy Kosiński oraz prezes Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie sędzia Kazimierz Michałuk.

Społeczność sędziowska przedstawiła również trzech kandydatów: podstawowa organizacja partyjna sędziego Juliusza Sucheckiego, przewodniczącego wydziału cywilnego rewizyjnego, NSZZ Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości sędziego Sądu Najwyższego Stanisława Rudnickiego, założyciela i przewodniczącego organizacji zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Sądzie Najwyższym (znanego czytelnikom „TS” ze swych publikacji).

Trudno ukrywać, że sędziów, działających w „Solidarności” nurtował wielki niepokój, jak wypadnie w wyborach kandydat tej organizacji, a czasu na kampanię wyborczą było mało.

Oprócz tej podstawowej troski o szanse wyborcze naszego kandydata, były jeszcze i inne, przede wszystkim o frekwencję na zgromadzeniu. Sędziowie nie należą do ludzi najbardziej zdyscyplinowanych. Przez wiele niedobrych lat nauczyli się unikania jak ognia wszelkich narad, odpraw, zebrań. Czy nie zlekceważą tego dnia w nawale pracy i codziennych, dokuczliwych kłopotów?

Tłum, zapełniający coraz gęściej wielką salę, ozdobioną jedynie białym orłem i wazonem z pękiem różnokolorowych chryzantem, rozwiewał jednak te obawy.

Sędziowie patrzyli na siebie z niejakim zdziwieniem. W tak licznym gronie nie spotkaliśmy się jeszcze nigdy. Pełno nieznanych twarzy — przybyli przecież nie tylko sędziowie z sądów, mających swą siedzibę w gmachu na Lesznie, ale również z Piaszeczna, Pruszkowa, Otwocka, Wołomina, Grodziska, Nowego Dworu.

Otwierający zgromadzenie wiceprezes Sądu Wojewódzkiego sędzia Kazimierz Strzępek jest wyraźnie przejęty i nawet przy odczytywaniu listy kandydatów „zgubił” jednego, o którego sala natychmiast się upomniwała.

Przewodniczącym zebrania wybrany zostaje jednogłośnie sędzia Michał Kulczycki. W krótkim przemówieniu wspomina o przełomowym znaczeniu tego zgromadzenia, którym zainteresowa-

ni są nie tylko sędownicy, ale i całe społeczeństwo. Mówi też o „wietrze historii”, który wieje na tej sali.

Część proceduralna, w przeciwieństwie do wielu różnych wyborów czy zjazdów w naszym kraju, trwa bardzo krótko, mimo że na sali znajdują się sami prawnicy, specjaliści od dzielenia włosa na co najmniej cztery części. Jest to niewątpliwie zasługa precyzyjnie przygotowanego regulaminu wyborczego oraz bardzo sprawnego prowadzenia zebrania przez przewodniczącego.

O godzinie 11-tej regulamin wyborczy zostaje uchwalony i wybrana siedmioosobowa komisja skrutacyjna.

Uwagę sędziów przyciąga ława w pierwszym rzędzie, w której zasiadają kandydaci — elekti. Jest ich tylko czterech.

Przewodniczący zebrania wyjaśnia przyczyny nieobecności dwóch kandydatów, zgłoszonych przez ministra sprawiedliwości. Jeden z nich, sędzia Jerzy Kosiński, złożył rezygnację, od drugiego natomiast, sędziego Ryszarda Bodeckiego, wpłynęło poprzedniego dnia na ręce przewodniczącego Kolegium pismo, stwierdzające, iż uważa on taki tryb opiniowania kandydatów spośród których minister sprawiedliwości może mianować prezesa Sądu Wojewódzkiego za niezgodny z obowiązującymi przepisami w związku z czym nie stawia się na zgromadzeniu sędziów. Pismo to następnie zostało wycofane przez autora.

Ta korespondencja sędziego Bodeckiego wywołuje poruszenie na sali. Sędzia Kulczycki wyjaśnia, że upewniono się w Departamencie Kadr Ministerstwa Sprawiedliwości, iż powyższe pismo nie oznacza wycofania swej kandydatury przez nieobecnego na sali sędziego Bodeckiego.

Następna część zebrania to odczytanie charakterystyk poszczególnych kandydatów(pięciu, po rezygnacji sędziego Kosińskiego), zawierających przebieg ich pracy zawodowej, społecznej, politycznej, posiadanych odznaczeń itp.

Z odczytanych charakterystyk wynika ponadto, że najbardziej sędziowską, a nie administracyjną przeszłość mają dwaj kandydaci: sędzia Rudnicki i sędzia Suchecki.

Potem w kolejności alfabetycznej zabierają głos „elekti”, prezentując swoje poglądy na rozmaite kwestie, związane z zawodem sędziowskim.

Sędzia Michałuk, jedyny obecny na sali kandydat ministra sprawiedliwości, wydaje się być najbardziej przygotowany do tego wystąpienia, ma chyba nawet notatki. Lojalnie uprzedza swoich wyborców, że najpoważniejszą „okolicznością obciążającą” go jest fakt, że 20 lat spędził na stanowiskach administracyjnych, choć zawsze czuł się blisko związany ze środowiskiem sędziowskim.

Sędzia Rudnicki na życzenie sali uzupełnia dane biograficzne, przedstawiając swój dorobek naukowo-publicystyczny. Mówi o swoim rozumieniu roli administracji sądowej, która ma służyć sędziom, a oni społeczeństwu, a nie abstrakcyjnie rozumianemu wymiarowi sprawiedliwości. Kiedy, wymieniając, jakie cechy, po 30-letniej pracy w tym zawodzie, uważa za najważniejsze dla sędziego, ustawia je w następującej alfabetycznej kolejności: odwaga, rozsądek, serce, wiedza — na sali zrywają się burzliwe oklaski.

Bardzo serdecznie sala przyjmuje wystąpienie sędziego Sucheckiego kandydata podstawowej organizacji partyjnej, który w sposób zdecydowany i przemyślany wypowiada swój pogląd na rolę administracji sądowej, która winna pełnić funkcje czysto usługowe i zajmować się jedynie stworzeniem optymalnych warunków pracy sędziom. Treść orzeczeń sędziowskich winna być administracji zupełnie obojętna. Stwierdza stanowczo, że nigdy nie pozwoliłby sobie na ocenę orzeczenia sędziowskiego z pozycji tzw. polityki karnej czy innej i opowiada się jako zdecydowany zwolennik samorządu sędziowskiego.

Jako ostatni z kandydatów zabiera głos sędzia Wieczorek, najlepiej znany w naszym środowisku bo zyskał dużą popularność kiedy do początku lat siedemdziesiątych pełnił funkcję prezesa Sądu Powiatowego dla m.st. Warszawy i wiceprezesa Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Sędzia Wieczorek zastanawia się, dlaczego, choć mu to na nic już nie było potrzebne, uległ złudzeniom, że może uda mu się zbudować lepszy świat — tym razem w wymiarze sprawiedliwości.

Przed przystąpieniem do głosowania przemawia jeszcze krótko sędzia Ryszard Nowak, przewodniczący Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” przy sądach warszawskich.

Podkreśla wagę tego zgromadzenia i z aprobatą wypowiada się o kandydatach, wysuniętych przez środowisko sędziowskie.

W głosowaniu bierze udział 241 sędziów — na ogólną liczbę 281 faktycznie urzędujących w okręgu. Oddawanie głosów trwa dosyć długo — stojący przy urnie jeden z członków komisji skrutacyjnej, sędzia Antoni Cyran, śledzi każdą rękę z napiętą uwagą.

Kiedy komisja skrutacyjna zamknęła się na sali i przystąpiła do obliczania głosów, sędziowie przenieśli się do bufetu. Nastroje były coraz bardziej napięte, padały rozmaite przypuszczenia co do liczby głosów, które uzyskają poszczególni kandydaci. Najwięcej emocji budziły szanse dwóch kandydatów reprezentujących skrzydła „ekstremalne” — sędziego Bodeckiego i sędziego Rudnickiego. Zresztą i telefony z Ministerstwa Sprawiedliwości

świadczyły o tym że również kierownik resortu jest żywo zainteresowany wynikiem naszych wyborów.

Przed godziną 15-tą wchodzimy wszyscy na salę. Tłum taki sam jak na początku zgromadzenia prawie wszyscy dotrwali do końca. Za chwilę drzwi od pokoju narad otwierają się i wchodzi komisja skrutacyjna.

Przewodnicząca komisji skrutacyjnej sędzia Aniela Popowicz ogłasza wyniki. Na ogólną liczbę 241 głosujących sędziów poszczególni sędziowie uzyskali:

1. sędzia Bodecki — 13 głosów
2. sędzia Michałuk — 23 głosy
3. sędzia Suchecki — 124 głosy
4. sędzia Wieczorek — 165 głosów
6. sędzia Rudnicki — 188 głosów.

Wielka, długo nie milknąca burza oklasków i radości. Gratulacje dla tych kandydatów, którzy w wyniku wyborów zostają przedstawieni ministrowi sprawiedliwości celem mianowania z ich grona prezesa Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Jest ich trzech — tych, którzy uzyskali więcej niż 50 % głosów sędziowskich: sędzia Stanisław Rudnicki, sędzia Józef Wieczorek i sędzia Juliusz Suchecki. Wszyscy trzej wysunięci i rekomendowani przez środowisko sędziowskie.

Opuszczamy salę powoli, wyczerpani tym niezwykłym dniem, pełni radości, z trudem jeszcze przyzwyczajając się do myśli, że już po wszystkim, że odnieśliśmy pełny, prawdziwy sukces.

Ostatecznego wyboru spośród grona tych trzech sędziów dokona minister sprawiedliwości. Ale niezależnie od tego, jaka będzie ta decyzja — sędziowie warszawscy tego dnia już nie zapomną. Dzień ten dał im poczucie własnej podmiotowości, współdecydowania o obliczu polskiego sądownictwa — a także, co równie ważne, poczucie wewnętrznej więzi i przekonanie, że możemy nawzajem na sobie polegać.

Był to również dzień wielkiej satysfakcji dla tych, którzy tworzyli „Solidarność” w sądach warszawskich. Wyniki głosowania dają prawo do wniosku, że nasza działalność zyskała sobie aprobatę i zaufanie środowiska sędziowskiego, a przecież tylko taki mandat społeczny może nadać sens wszystkim naszym poczynaniom.

Zamykając zebranie sędzia Michał Kulczycki podziękował zgromadzonym sędziom za ich postawę, okazaną tego dnia: pełną godności i dojrzałości.

Zamykając zaś to sprawozdanie z sali 252 warszawskich sądów na Lesznie, należy koniecznie przypomnieć, że zgromadze-

nie sędziów z dnia 17 listopada 1981 roku nie może być przez nikogo traktowane jako jeden z eksperymentów, z przemijających efemeryd.

Przyjęte rozwiązania, wymagające z pewnością (przynajmniej zdaniem „Solidarności”) udoskonalenia, powinny jak najrychlej znaleźć zagwarantowanie w ustawie o ustroju sądów powszechnych. Oczekuje tego nie tylko społeczność sędziowska, ale i cały naród, dobrze rozumiejąc, że bez niezawisłych sądów nie ma sprawiedliwości.

A jak głosi napis na frontonie naszego gmachu „Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”.

Post scriptum

Życie dopisało bardzo szybko pointę do tego sprawozdania. W dniu dzisiejszym (18 listopada) Minister Sprawiedliwości przedstawił ministerialny projekt ustawy o ustroju sądów powszechnych, w świetle którego zgromadzenie sędziów warszawskich z dnia 17 listopada 1981 roku wygląda niestety tylko na eksperyment. Jeżeli Minister Sprawiedliwości zechce oprzeć się na tym właśnie projekcie — to niewykluczone jest, że prezesem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie może zostać nawet ten spośród kandydatów, który uzyskał najmniejszą ilość głosów.

„P.S. Minister Sprawiedliwości z przedstawionych sobie kandydatów mianował Prezesem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie Sędziego Józefa Wiczorka”.

(*Tygodnik Solidarność*, 4 grudnia 1981)

Krzysztof GOTTESMAN
Mateusz WYRWICH

GASZENIE POŻARU

„Użycie sił MSW wobec strajkujących podchorążych Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa jest kolejnym dowodem nasilenia

się we władzach partyjnych i państwowych tendencji do rozwiązywania konfliktów metodą konfrontacji a więc sprzecznie z zasadami porozumień sierpniowych, które pozostają podstawą pokoju społecznego w Polsce". Tekst ten jest fragmentem uchwały, jaką, bezpośrednio po wydarzeniach w WOSP, podjął zarząd Regionu „Mazowsze”. Podobnej treści uchwały podejmują organizacje związkowe w całej Polsce.

O podłożu konfliktu pisaliśmy w poprzednim numerze „TS”. Teraz ciąg dalszy wydarzeń...

Noc poprzedzająca atak przeszła spokojnie. Teren Szkoły, tak jak w ciągu ostatnich dni, otoczony był przez oddziały ZOMO. Działyły telefony. Mieszkańcy Warszawy i rodzice mogli podawać strajkującym jedzenie i papierosy. Straż robotnicza z warszawskich zakładów pracy utrzymywała porządek wśród zgromadzonych.

Środa, 2 grudnia 1981 roku. Od wczesnych godzin rannych wzrasta ruch wozów milicyjnych. Około 9.30 siły porządkowe wzmocnione zostają oddziałami Nadwiślańskiej Jednostki MSW. W tym samym czasie zablokowano także ulice prowadzące do huty „Warszawa” i na Wolę. Z pobliskich sklepów usuwani są ludzie. O godzinie 10.00 wiceminister łączności — generał Kołatkowski wydaje decyzję o blokadzie łączności teleksowej i telefonicznej w Szkole i Regionie „Mazowsze”. W redakcji *Tygodnika „Solidarność”* przestają działać teleksy. W chwilę później oficer MO wzywa jeszcze raz — ostatni, jak ostrzega — podchorążych do dobrowolnego opuszczenia szkoły.

Wokół niej wyszkolone jednostki milicji uzbrojone po zęby. W hełmach z przyłbicami, z tarczami u nogi, pałki. Z terenu szkoły odzywa się cichy jęk syreny strażackiej. Zrezygnowany, bez wigoru, jakby oznajmiał koniec walki o prawa podchorążych, major milicji oznajmia zgromadzonym w auli studentom: „W ciągu piętnastu minut macie się przebrać i być przy autokarach stojących na dziedzińcu uczelni!”. Cywile wspomagający strajkujących zostają aresztowani. Na teren uczelni przybywa coraz więcej plutonów milicji. Przeszukują pomieszczenia. Studenci w mundurach, w cywilnych ubraniach, gromadzą się wokół niebieskich autokarów. Śpiewają „Mazurka Dąbrowskiego” i „Pieśń Konfederatów Barskich”. Wsiadają do autobusów. Nie wierzą, że zostaną — jak ich poinformowano — wywiezieni na dworce i do akademika na Jelonkach.

Za bramą Szkoły warszawiacy pozdrawiają ich oklaskami, dodają otuchy okrzykami. Ktoś robi zdjęcia powoli jadącym auto-

busom. Chłopcy, z niepewnymi uśmiechami na twarzy, machają rękoma. Jakaś matka z płaczem usiłuje przedostać się przez kordon milicji. Ktoś pluje na milicjanta. Powoli spod Szkoły odjeżdża część obstawy. Rozkaz został wykonany.

Niedługo potem podchorążowie są już na dworcach Wschodnim i Zachodnim oraz w akademiku na Jelonkach. Część z nich idzie stamtąd na Mokotowską, do siedziby Regionu „Mazowsze”. Tam na konferencji prasowej opowiadają: nie, nikogo milicja nie biła. Zachowywali się grzecznie. W szpitalu jest jednak jedna z kobiet pracujących w Szkole. Podobno pobito ją pałkami już po zajęciu WOSP.

Kłamstwem jest — mówią podchorążowie — że aresztowaliśmy komendanta Szkoły. Przez cały czas strajku mógł on się poruszać po terenie uczelni, a także z niej wychodzić. Korzystał z tego prawa wielokrotnie. Nie wiedzą, jaki będzie dalszy los ich Szkoły. Na razie, do siódmego grudnia mają urlop, później muszą się zgłosić do komendanta okręgu straży pożarnej w miejscu swojego zamieszkania w celu odbycia praktyki. Potwierdzają, iż koledzy strażacy z innych miast jechali do Warszawy na pomoc. Zostali jednak zablokowani przez wojsko. Zdaniem podchorążych w akcji brało udział około 6 tysięcy milicji i wojska.

Do akademika na Jelonkach przybywają rodzice, rodzeństwo, narzeczone. Łzy radości. Już po wszystkim. Studenci uspokajają podenerwowanych bliskich. Skończyły się naciski wywierane na nich przez władze szkolne. Psychologiczna podstępna walka, szantaże i groźby. Duża część telegramów przysyłanych rzekomo przez rodziców to był wymysł milicji i władz pożarnictwa. Przesłano, na przykład, telegram do studenta, który już od dawna nie studiuje na tej uczelni.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, około 200 podchorążych i cywilnych pracowników WOSP przeszło na teren Politechniki Warszawskiej by dalej prowadzić swoją akcję protestacyjną. Spodziewano się represji. Stefan Olszowski na spotkaniu w Ursusie powiedział, iż ci słuchacze, którzy nie byli w wojsku — zostaną doń wcieleni.

Następnego dnia odbyło się spotkanie rektora i studentów Politechniki ze słuchaczami i pracownikami szkoły pożarnictwa. Rozważano możliwość przyjęcia podchorążych na niektóre wydziały uczelni. Studenci i pracownicy naukowcy Politechniki Warszawskiej zapoznali podchorążych z rodzajem i specyfiką studiów. Kolejne spotkanie odbyło się nazajutrz; tym razem — z konferencją rektorów warszawskich. Rektorzy poinformowali o swoim apelu skierowanym do ministra obrony narodowej, o przedłu-

żenie odroczenia służby wojskowej. Zarówno studenci, jak i rektorzy zgodzili się, iż najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby utworzenie wydziału pożarnictwa przy jednej z uczelni technicznych, ponieważ kłopotliwe będzie dla studentów kontynuowanie nauki na wydziałach nie związanych z pożarnictwem. Jeden z rektorów zauważył także, że na mocy nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, o którą teraz toczy się walka, rektor nie będzie miał prawa do samodzielnego podejmowania decyzji o przyjmowaniu na studia. Na zakończenie spotkania rektorzy zgodnie stwierdzili, iż interesy studentów i profesorów są wspólne i zrobią wszystko, by podchorążych nie spotkały żadne represje i by mogli kontynuować naukę w wybranym przez siebie kierunku.

(Tygodnik Solidarność, 11 grudnia 1981)

Kazimierz DZIEWANOWSKI

KONGRES KULTURY: KTO, PO CO I DLACZEGO?

W dniach 11-13 grudnia 1981 roku, w Warszawie, w Teatrze Dramatycznym odbędzie się Kongres Kultury Polskiej. Wszystko wskazuje, że będzie to wydarzenie ważne i o charakterze, który można śmiało nazwać bezprecedensowym.

Najpierw kilka informacji podstawowych. Inicjatorem Kongresu jest Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Komitet ten powstał we wrześniu ubiegłego roku w wyniku porozumienia kilkunastu największych związków twórczych i niektórych stowarzyszeń z dziedziny nauk humanistycznych. W krótkim czasie do Komitetu przystąpiło wiele dalszych stowarzyszeń i obecnie ich łączna liczba wynosi trzydzieści sześć. Jest to zatem ciało — porozumienie, czy też zjednoczenie ludzi kultury, jakiego dotąd w Polsce nie było. Komitet stanowi dziś rzeczywistą reprezentację polskiego świata kul-

tury i nauk humanistycznych, stanowi ośrodek, który pozwala na koordynację poczynąń i uzgodnienie wspólnego stanowiska w najważniejszych sprawach dotyczących kultury. Nie trzeba zaś nikomu tłumaczyć jak wielką rolę w życiu narodu polskiego odgrywała zawsze — i nadal odgrywa — kultura, będąca jednym z najważniejszych elementów narodowego bytu i trwania.

Powstanie Komitetu jest jednym z rezultatów polskiego Sierpnia i stanowi przejaw woli polskich środowisk twórczych i naukowych dokonania takich przekształceń życia kulturalnego w kraju, które by służyły prawdziwemu uspołecznieniu kultury i zapewnieniu jej możliwości pełniejszego i nieskrępowanego rozwoju.

Idea Kongresu powstała właśnie w łonie tego Komitetu. Zostało powołane ciało mające przeprowadzić prace organizacyjne, a także opracować założenia programowe. W skład Komitetu Organizacyjnego Kongresu Kultury Polskiej weszli, wybrani na plenarnym posiedzeniu Komitetu Porozumiewawczego: Jerzy Gierzejewski, Kazimierz Dejmek, Aleksander Gieysztor, Józef Gierowski, Stefan Gierowski, Konrad Górski, Władysław Hasior, Gustaw Holoubek, Tadeusz Kantor, Antonina Kłoskowska, Witold Lutosławski, Karol Małcużyński, Stefan Nowak, Krzysztof Penderecki, Helena Syrkusowa, Klemens Szaniawski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Wajda, Jacek Woźniakowski, Stefan Żółkiewski. Przewodniczącym został prof. dr Jan Białostocki. Wybrano także sekretariat Kongresu.

Kongres jest przedsięwzięciem zorganizowanym całkowicie siłami społecznymi. Nikt spośród sztabu ludzi zajętych przygotowaniem do Kongresu nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia, a uczestnicy nie otrzymują zwrotu jakichkolwiek kosztów.

Do udziału w Kongresie zaproszono około 400 uczestników. Kierowano się następującą zasadą: zaproszeni zostali ci, którzy legitymują się wybitnymi osiągnięciami w dziedzinie twórczości artystycznej lub naukowej, albo też są znani z nieprzeciętnych zasług w dziedzinie upowszechniania kultury. Oczywiście, jak zawsze — w przypadkach, gdy mamy do czynienia z niewymiernymi kryteriami — może się zdarzyć, że organizatorzy (bez złej woli ze swej strony) pominęli kogoś, kogo należałoby zaprosić. Jest to nieuniknione, zwłaszcza, że liczba miejsc w Teatrze Dramatycznym jest ograniczona. Można jednak z całą pewnością powiedzieć, że wszyscy zaproszeni mają pełny tytuł do uczestnictwa w Kongresie. I należy też dodać, że ci, którzy zgromadzą się w Teatrze Dramatycznym, stanowią ścisłą czołówkę polskiej kultury.

Prócz uczestników krajowych zaproszono też pewną liczbę uczestników z zagranicy: polskich twórców, uczonych, wydawców itp., którzy działają na emigracji. Organizatorom chodziło bowiem o podkreślenie, że kultura polska jest niepodzielna i nie można jej ograniczać w sensie geograficznym; dotychczasowe zaś praktyki w tej dziedzinie były szkodliwe. Polska kultura jest jedna i dociera wszędzie tam, gdzie są ludzie mówiący naszym językiem.

Jakie są cele Kongresu? Na to pytanie można by odpowiedzieć po prostu: jest to pierwsza niezależna impreza tego rodzaju, impreza społeczna, a nie oficjalny obrzęd czy pompa. Kongres przemówi zatem nie sztucznym, a autentycznym głosem polskiej kultury. Taka odpowiedź naturalnie nie wystarcza. Celem więc Kongresu jest sformułowanie wspólnego stanowiska wobec potrzeb kultury i najważniejszych problemów jej przyszłego rozwoju. Opracowanie takiego wspólnego stanowiska jest zagadnieniem wielkiej wagi. Chodzi przy tym nie tyle o przedstawienie głębi kryzysu, w jakim znalazła się kultura: ruch wydawniczy i produkcja filmowa, sieć kin i bibliotek, lektury szkolne i podręczniki, teatry, muzea, konserwacja zabytków itp. (ponieważ o tym powiedziano już w ostatnich miesiącach dostatecznie wiele) — ile o próbę zarysowania programu pozytywnego, próbę znalezienia właściwych rozwiązań, próbę określenia wspólnego stanowiska wobec najważniejszych zagadnień przyszłości.

Chodzi naturalnie tylko o próbę, ponieważ w ciągu trzech zaledwie dni Kongresu z pewnością nie będzie można znaleźć pełnej odpowiedzi na wszystkie niepokojące twórców kultury pytania. To nie byłoby możliwe. Organizatorzy mają jednak nadzieję, że Kongres zapoczątkuje ogólnokrajową dyskusję nad sposobami rozwiązania najważniejszych zagadnień związanych z dalszym istnieniem i funkcjonowaniem kultury, która dotąd była kulturą upaństwowioną, a chodzi o to, aby była uspołecznioną i ogólnonarodową. Kongres będzie także mógł zapoczątkować dalsze prace zmierzające w tym kierunku. Może to mieć duże znaczenie na przykład w obliczu zapowiedzianej sesji Sejmu poświęconej sprawom kultury, a także wobec trwających prac nad reformą ekonomiczną.

Nie ulega wątpliwości, że wszystko, co Kongres składający się z ludzi o tak wielkiej randze krajowej i międzynarodowej postanowi, uchwali, czy ogłosi — będzie miało poważny wpływ na opinię publiczną i znajdzie szerokie echo. Ranga ludzi uczestniczących w Kongresie gwarantuje, że ten głos zabrzmi donośnie i że będzie to głos wyrażający głębokie poczucie odpowiedzial-

ności za losy kultury i kraju. Dlatego mylą się głęboko ci, którzy zanim jeszcze Kongres się odbył, już pospieszili z twierdzeniami, że Kongres ma rzekomo stanowić jakiś kolejny zamach polityczny na najróżniejszych urzędników, czy nawet na państwo. Nie o urzędników tu chodzi, lecz o kulturę. Brakiem zaś odpowiedzialności wyróżnili się dotąd nie ci, którzy polską kulturę rozsławili po całym świecie, lecz raczej ci, którzy sprawili, że na przykład w produkcji książek, Polska znajduje się dziś na jednym z ostatnich miejsc w Europie.

Napisałem już, że Kongres nie będzie ani kolejnym rozrachunkiem, ani jałową jeremiadą, będzie natomiast próbą pozytywnego spojrzenia w przyszłość. Gdyby miało być inaczej — szkoda by było na to czasu.

Przykładem takiego podejścia jest zaprojektowana tematyka obrad. Przewidywane referaty nie będą na ogół stanowiły przeglądu stanu i potrzeb poszczególnych tylko dziedzin twórczości artystycznej, czy nauki albowiem ten stan i potrzeby są już dostatecznie znane, będą natomiast zawierać spojrzenie szersze, interdyscyplinarne i wybiegające w przyszłość. Wyraża się w tym troska o to, aby kultura mogła spełnić obowiązki, jakie na nią nakłada zarówno historia naszego narodu, jak i jego przyszłość.

Jakie będą rezultaty Kongresu, jego wymierne i niewymierne skutki? Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie. Twórczość artystyczna, czy naukowa nie powstają na kongresach, nie są z nimi związane, ani od nich nie zależą. Ale głos najwybitniejszych polskich twórców powinien zabrzmieć głośno i być usłyszany przez wielu. W naszym kraju miało to zawsze wielkie znaczenie. Nieraz większe, niż w innych krajach.

(*Tygodnik Solidarność*, 11 grudnia 1981)

SPIS RZECZY

<i>Przedmowa</i>	7
------------------------	---

Rozdział pierwszy

DROGA DO SOLIDARNOŚCI

Stanisław Matyja: <i>... i ludzie wyszli na ulicę</i>	29
Hanna Krall: <i>Słowa na trzy dni</i>	32
Krystyna Jagiełło: <i>Koniec wielkiego strachu</i>	39
Leszek Będkowski: <i>Jeden dzień — cztery lata</i>	48
Mariusz Muskat: <i>Grudzień przed Sierpniem</i>	56
Marta Wesołowska: <i>Teraz jesteśmy w przyspieszeniu</i>	66
Krzysztof Turkowski: <i>Boże Ciało w Małym Cichem</i>	70

Rozdział drugi

NARODZINY SOLIDARNOŚCI

Ryszard Kapuściński: <i>Notatki z Wybrzeża</i>	75
St. Kozicki, M. Ziomecki: <i>Z tamtej strony bramy</i>	79

J.W.: <i>Jakie życie ofiaruje mi pani potem</i>	85
Małgorzata Szejnert: <i>Chwila przed podróżą</i>	88
Jarosław Szczepański: <i>Przed rokiem w Jastrzębiu</i>	96
Joanna Siedlecka: <i>Hala i biurowiec</i>	105
Marta Wesołowska: <i>Trzeba patrzeć na ręce</i>	113
Ewa Berberysz: <i>Zjazd delegatów</i>	123
Ewa Berberysz: <i>Załącznik</i>	132
Jolanta Strzelecka: <i>Na Miodowej i u „Nowotki”</i>	140

Rozdział trzeci

SOLIDARNOŚCI DZIEŃ ZWYKŁY

Helena Kowalik: <i>Sto lat samotności</i>	147
Ewa Berberysz: <i>Dzień Lecha W.</i>	160
Jacek Susuł: <i>Gdańsk, 16 grudnia 1980</i>	173
Barbara W. Olszewska: <i>Wybory</i>	182
Jarosław Piwar: <i>Milicja was uzdrowi</i>	191
Jerzy Loch: <i>Spór o metodę</i>	198
Tomasz Zieliński: <i>Prowokacja</i>	209
Krzysztof Czabański: <i>Bydgoszcz</i>	216
E. Berberysz, K. Szymborski: <i>Powrót postów</i>	226
Małgorzata Niezabitowska: <i>Sensacyjny temat</i>	237
Jan Dworak: <i>Sztandar Huty Warszawa</i>	245
Jan Walc: <i>Otwock, 7 maja</i>	248
Krzysztof Czabański: <i>Z Poznania</i>	258
Ernest Skalski: <i>Anatomia sporu</i>	262
Jan Waszkiewicz: <i>Głodni ale samorządni</i>	267
Piotr Rachtan: <i>Węgiel dajemy sobie</i>	274

Rozdział czwarty

SOLIDARNOŚĆ WIEJSKA

Krzysztof Sałaciński: <i>Godziny napięcia</i>	283
Stanisław Grzegorz Łyś: <i>My tu czekamy</i>	289
Wł. Kalicki, Andrzej K. Wróblewski: <i>Czegóż chcą chłopci?</i>	295

Rozdział piąty

PARTIA WOBEC PRZEMIAN SPOŁECZNYCH

Witold Pawłowski: <i>Weryfikacja</i>	303
Anna Matałowska: <i>Wszystkie strony patrzą realnie</i>	312
Danuta Zagrodzka: <i>Słuchać tego głosu</i>	318
Hanna Krall: <i>Pokój naprzeciwko</i>	323
Jerzy Surdykowski: <i>Kolęda grudniowa</i>	330
Jerzy Surdykowski: <i>Ci najlepsi — 45 dni przed Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR</i>	335
Jacek Maziarski: <i>Do tyłu</i>	345

Rozdział szósty

ZJAZD SOLIDARNOŚCI

Andrzej K. Wróblewski: <i>Jak Polak z Polakiem</i>	357
E. Berberysz, K. Szymborski: <i>Dramaturgia wydarzeń</i> ..	363
— : <i>Demokracja czy dyktatura? (dyskusja)</i>	374
Józef Tischner (ks.): <i>Polska praca jest chora</i>	382
E. Berberysz, T. Torańska: <i>Na przedpolu</i>	385
L. Będkowski, J. Reiter: <i>Po 18 dniach zakończył obrady I Zjazd NSZZ „Solidarność”</i>	391

Rozdział siódmy

OSTATNIE TYGODNIE WOLNOŚCI

Michał Mońko: <i>Naprawdę i na niby</i>	399
Małgorzata Niezabitowska: <i>Musi być nadzieja</i>	408
Piotr Rachtan: <i>Posiedzenie Komisji Krajowej 3-4 listopada</i>	416
Leszek Będkowski: <i>Tłum?</i>	422
Piotr Aleksandrowicz: <i>Dni rektorskie</i>	428
Piotr Biernat: <i>W Katowicach</i>	435
Jarosław Broda: <i>We Wrocławiu</i>	438
Kazimierz Machcewicz: <i>Samorząd sędziowski</i>	440
K. Gottesman, M. Wyrwich: <i>Gaszenie pożaru</i>	446
Kazimierz Dziewanowski: <i>Kongres Kultury: kto, po co i dlaczego</i>	— 449

KATALOG KSIĄZEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka</i> — Szkice 1970-1978 (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1978-1979)	256	75,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1980-1981)	224	70,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> . Kultura (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawnicza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> ..	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00

	Stron	F.
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdynurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrowki po Argentynie</i>	256	50,00
G ł o s („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwyczajstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1973-1979), t. II	368	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koszelewec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. <i>Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicky, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Kuśmierek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00

	Stron	F.
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11)	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinną Europą</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3)	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Najder, Z.: <i>Ile jest dróg?</i>	196	60,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rekalski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Combrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Sławka</i>	400	18,00

	Stron	F.
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. I/III</i>	1324	99,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszylski, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939, t. I i II, str. 238 i 342</i>	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 62 (listopad 1982). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		50,00
Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.		

Prenumerata *KULTURY* na rok 1983:

rocznie — F. 340,00; półrocznie — F. 175,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1983:

rocznie — F. 240,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 60,00
(dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 220,00).



W PRZYGOTOWANIU

Mrozek, Sławomir: *Vatzlav*. — *Ambasador*.

Miłosz, Czesław: *Świadektwo poezji*. Eseje.

Krynicki, Ryszard: *Niewiele więcej* — Poezje.

Zagajewski, Adam: *List*. — *Oda do wielkości* — Poezje.

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 2 DECEMBRE 1982
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1982.

ORBIS BOOKS

£12.50